

Van Lustbader Eric

Syreny

.. Siedzą na łące, a na wybrzeżu pełno jest kości tych, co słuchali ich głosu, pełno but-więjących skór. Trzeba ci je minąć. Ugnieć wosk żółty jak miód i pozalepiaj uszy towarzyszy, by nikt z nich nie słyszał... - Kirke do Odyseusza.

Homer, *Odyseja*, tłum. Jan Parandowski

Rozejrzałem się po pustym pokoju - który nie był już pusty. Był w nim głos, i wysoka, smukła piękna kobieta.

Raymond Chandler, *Playback*

CZĘŚĆ PIERWSZA

GRA BŁYSKAWICY

*Gra błyskawicy -
która wczoraj była na wschodzie,
jest dzisiaj na zachodzie.*

Kikaku

1

Daina Whitney zredukowała bieg, wchodząc w ostry zakręt na zachodnim zboczu wzgórza. Zgodnie z zapowiedzią, tuż po zmroku napłynęło chłodne powietrze, oczyszczając kaniony i wzgórza L.A., przepędzając zalegający dolinę smog tam, skąd

1

pochodził.

Światła widoczne ze szczytów wzgórz Beverly Hills, błyskające pod falującymi na wietrze koronami palm, zdawały się roztapiać w mgiełce odległości.

Daina delikatnie wjechała na środek wijącej się drogi, na krótko wrzuciła trójkę. Wsluchana w gardłowy ryk silnika, przypomniała sobie cytata z Iana Fleminga: „Prowadziła jak mężczyzna, ze zmysłową rozkoszą...”. Mniej więcej tak to brzmiało. Ta kwestia przywiodła jej na myśl Mariona, reżysera *Heather Duell*. Ciężko pracowali nad filmem przez ponad sześć tygodni i właśnie wrócili ze zdjęć plenerowych kręconych na pocętkowanych słońcem wzgórzach na północ od Nicei. Marion cieszył się reputacją człowieka dbającego o autentyzm, jednak tym razem uparł się, żeby wszystkie wnętrza kręcić w Hollywood.

- W studiu mogę kontrolować czas, zatrzymać światło na niebie, uciszyć wiatr lub wywołać deszcz - powiedział jej w dzień powrotu.

- W terenie człowiek bez przerwy musi zmagać się z naturą. A ja chcę kontrolować wszystko. Ostatecznie dlatego przyjechałem do Hollywood.

Krążył wokół niej, tryskając energią jak pracujący pełną mocą silnik.

- Ale za tę kontrolę każdy musi zapłacić częścią swojej woli. Przebywanie w Hollywood wrywa cię z rzeczywistości. Im więcej dajesz temu miastu, tym więcej z ciebie wysysa - niczym najlepsza kurwa. I to wrażenie jest tak doskonałe, że chcesz, by trwało w nieskończoność.

Daina przywołała w pamięci moment, kiedy Monty, jej agent, po raz pierwszy wspomniął o tym projekcie. *Regina Red* właśnie weszła na ekrany. Był to emocjonujący, kontrowersyjny film, pełen efektów pirotechnicznych. A, co ważniejsze, grała w nim swą pierwszą rolę główną i, jak podkreślił sam Monty, znalazła się w punkcie zwrotnym kariery.

- Chyba jesteś gotowa - oznajmił pewnego dnia przy lunchu w Ma Maison - wyjść poza *Regina Red*. - Musiała pochylić się ku niemu, żeby usłyszeć go w zgiełku przesłodzonych głosów zmieszanych z brzękiem szklanek. Wokół krążyli przedstawiciele śmietanki Beverly Hills przysiadający się na chwilę do jednego bądź drugiego stolika na jeden czy trzy drinki. - Zauważ, że nie krytykuję tego filmu. Wszystkie obrazy reżyserowane przez Jeffrey'a Lessera są w najwyższym stopniu godne uwagi. Jednak czuję, że nadszedł czas, byś wyszła poza filmy akcji. Powinnas to zobaczyć: dosłownie tonę w scenariuszach dla ciebie.

- No cóż - roześmiała się. - To coś nowego.
- Tylko uważaj, Daino. Obecnie możesz dostać rolę bez najmniejszego

problemu, lecz chyba nie chcemy, żebyś wplątała się w jakąś szmirę. Chcesz zobaczyć szmirę? Jak mówiłem, przyjdź do mojego biura. Mam tego na stopy. To miasto przerabia mózgi scenarzystów na hamburgery. Od miesiący nie widziałem rozsądnego pomysłu...

Oczywiście, tak jak chciał, usłyszała nie dopowiedziane „ale...”, jednak nie miała zamiaru sprawiać mu satysfakcji i pytać. Czuła się jak pies na łańcuchu; wiedziała, że częściowo wynika to z nudy - Mark był zajęty kręceniem swej politycznej epopei, a ona beczynnym marnowała czas. Aktywność Marka, na zasadzie kontrastu, rozwścieczała ją jeszcze bardziej.

- Nie chcę czekać rok czy nawet więcej na pojawienie się mitycznego pomysłu, o jakim marzysz - rzuciła ostro. - Chcę pracować, bo inaczej oszaleję.

I wtedy agent uśmiechnął się. Pomyślała, że jego uśmiechowi nie można się oprzeć. Był szeroki, rozjaśniał całą twarz i, co najważniejsze, był pełen ciepła. Już dawno doszła do wniosku, że kiedy Monty uśmiecha się w taki sposób, ona automatycznie zaczyna darzyć go bezgranicznym zaufaniem. Zresztą to samo odnosiło się do wszystkich; każdy musiał być przekonany, że ten uśmiech przeznaczony jest wyłącznie dla niego, że Monty nigdy w podobny sposób nie uśmiecha się do nikogo innego.

- A co powiesz - zaczął z zadowoleniem - na podjęcie pracy od razu? - Podał jej scenariusz w niebieskich okładkach.

- Ty skurwielu - zawołała ze śmiechem.

Dał jej noc na przeczytanie scenariusza, a ona doskonale wiedziała dlaczego. Chciał, by jej podniecenie utrzymało się na tym samym poziomie. Z dała od biura, podczas śniadania w Malibu, zapytał:

- I co o tym myślisz?

Z wyrazu jego twarzy odgadła, co on myśli, postanowiła więc podroczyć się z nim.

- Nie jestem pewna. Jeszcze nie przeczytałam.
- Cholera, Daina, mówiłem ci...! - Urwał widząc, jak ona śmieje się bezgłośnie. - Aha. Dobrze, może wobec tego odpowiem na parę twoich pytań i w ten

sposób pomogę ci podjąć decyzję.

Spokojnie, z zadowoleniem sączyła mrożoną kawę.

- Kto reżyseruje?

- Marion Ciarke.

Podniosła brwi.

- Masz na myśli Anglika, który robił tego Stopparda na Broadwayu... no...
jakiś dwa lata temu?

Agent skinął głową.

- Tego samego. Dostał za to Tony'ego. Nadal była zdziwiona.
- Co on tu robi? I to w filmie?

Ciężkie ramiona Monty'ego podniosły się i opadły.

• Najwidoczniej właśnie tym chce się zajmować. I nie będzie to jego pierwszy film. Zrobił dwa inne, ale tamte w zasadzie się nie liczą. Były niskobudżetowe; w ten wytwórnia Twentieth pakuje kupę szmalu.

- A jak doszło do tego, że wzięli Clarke'a?

• Uhm... - Jego brązowe oczy umknęły w bok, w kierunku Pacyfiku, który w promieniach porannego słońca miał barwę jasnego mosiądzu. Nad powierzchnią wody wirowało bezładnie kilka mew zajętych poszukiwaniem śniadania. - Producent go wprowadził. Ciarke najwyraźniej widział scenariusz wcześniej, dokonał paru istotnych zmian, dostał gwarancję od producenta i wtedy poddał generalnej obróbce to... - wskazał małą, ptasią głową; zapadnięte policzki zadrżały, jakby chciały strząsnąć głęboką opaleniznę - co właśnie czytałaś.

- Kim jest producent? - zapytała czujnie Daina.

Mężczyzna potarł mięsisty nos, z zakłopotaniem wodząc widelcem po drewnianym stole. - Daino...

- Monty...

Rozpoznał w jej głosie ostrzegawczy ton i niechętnie odpowiedział:

- Rubens.
- Och, na miłość boską!

Skrzywił się na jej okrzyk. Czubki palców mu zbieleły, gdy zaparł się dłońmi o stół, jak gdyby przygotowując się do zązartej kłótni.

- Ten sukinsyn próbował wciągnąć mnie do łóżka, gdy tylko tu przybyłam! A

ty chcesz, żebym grała w jego filmie? Nie wierzę!

Wstała, odepchnęła krzesło i wyszła z chłodnego wnętrza restauracji na miękki piasek. Zostawiła budynek za sobą. Z tyłu pobrzmiwał warkot sunących po Sunset samochodów.

Schyliła się, zdjęła buty i ruszyła w stronę morza. Na skraju plaży poczuła twardość piasku, jego chłód. Potem woda omyła jej stopy, połaskotała kostki. Daina zadrżała, ogarnięta dziwnym przerażeniem na myśl o pracy z Rubensem. Świadomie unikała go od tak dawna, a teraz miało dojść do spotkania. Niepotrzebnie rozgniewała się na agenta - nie był niczemu winien. Nagle zrobiło się jej wstyd, że tak go potraktowała.

Poczuła się lepiej, gdy zobaczyła, że idzie za nią. Z trudnością brnął przez plażę, oddychał ciężko, brakowało mu tchu. Poniewczasie przypomniała sobie o zażywanych przez niego pigułkach na serce.

- Myślę - zaczął cicho - że będziesz gwiazdą. To życiowa rola. Ty...
- Nie lubię, kiedy zaczynasz coś planować za moimi plecami.
- Rubens i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Znamy się - ile? – dziesięć czy

więcej lat. Jeżeli uspokoisz się i postarasz spojrzeć na tę sytuację obiektywnie, Daino, zobaczysz, że to dla ciebie wprost wymarzona okazja. Znow była zła.

- A co Rubens może wiedzieć o moich zdolnościach aktorskich? Dobrze wiem, na co ma ochotę.

- Myślę, że nie masz racji - powiedział Monty.

Odpędziła jego słowa ruchem ręki.

- Jeden koleś popiera drugiego. - Odwróciła się, nie mogąc znieść jego zrównoważonego spojrzenia. Miała mętlik w głowie. Rubens, pomyślała kwaśno, nazwisko, które otwiera wszystkie drzwi w Hollywood. Ale jakie drzwi otworzy dla niej?

Jarzące się nad zachodnim Pacyfikiem niebo przypominało sceniczną dekorację, przywodziło jej na myśl twardą drogę w górę, poczynając od całkowitego ignorowania jej jako aktorki poprzez występy w niewielkich scenkach do ról drugoplanowych.

Promienie słońca złociły jej nos, migotały w oczach, rozświetlając ich głęboki fiolet. Zmysłowe usta zacisnęły się w wąską linię.

Kiedy znów się odezwała, jej głos był niski i pełen złości.

- Nie jestem kurwą. Jeżeli Marion Ciarkę chce, żebym grała w *Heather Duell*, niech, cholera, sam do ciebie zadzwoni!

- Właśnie tak zrobił - odparł spokojnie agent.

Marion Clarke w ogóle nie był taki, jak się spodziewała. Był starszy, miał pobrużdżoną twarz z długim patrycjuszowskim nosem. Miękkie, metalicznoszare włosy zaczesywał w stylu rzymskiego senatora. Daina przyłapała się na tym, iż zastanawia się, czy pochodzi on z angielskiej klasy wyższej, Oxford i cała ta reszta, ze starym jak świat kompleksem Johna Fowlesa wychwalanym jako najwyższa cnota. I czy Hollywood zniszczy go w ten sam sposób, w jaki beznadziejnie głupi myśliwy powala wspaniałe dzikie zwierzę.

Patrzyła w przeszywające niebieskie oczy, przypominające okruchy lodu, i myślała: Nie, z tym wyniosłym wyglądem da sobie radę. Ale wtedy on przemówił i cały lód w jego źrenicach roztopił się w rwący potok i olśniewające tęcze.

Gdy spotkała go po raz pierwszy - w studiu, gdzie miały być kręcone wnętrza - niósł zwiniętą w ciasny rulon kopię scenariusza. Kiedy się przedstawiła, podał rulon swemu asystentowi - młodemu łyseму chudzielcowi po czym mocno, władczo ujął jej ramię i zaczął spacerować z nią z dała od grupki ludzi. Prowadził ją nie tyle słowami, ile dłońmi, i z tego powodu pomyślała, że rozumie naturę kontroli, jaką chciałby - jak wszyscy reżyserzy nad nią posiadać.

- Jak dobrze znasz scenariusz? - Ton jego głosu był lekki, neutralny. Roześmiała się, nieco niepewnie.

- Obawiam się, że nie miałam czasu nauczyć się go na pamięć.

Regina Red; jak bardzo pragnęła, by oko kamery znów na nią spojrzało, zamknęło ją w wielkim technicolorowym prostokącie. Wiedziała, że na dużym ekranie narodzi się na nowo. Nadszedł moment kolejnego życia; czuła przenikający ją dreszcz, miała uczucie, że prąd przepływa przez jej mózg i wiedziała, że nie zaśnie tej nocy, a uda się to może dopiero wtedy, gdy dowie się, że dostała tę rolę. Uległa pozwoliła, by Marion przeprowadził ją obok paru koszy na śmieci, w dół fałszywego zaułka z jego wyprodukowanym przez maszyny „brudem”, ze starannie podartymi, spłowiałymi plakatami, które gdzieś trzepotały na murach zbudowanych z gipsu i sklejki, i, nagle, znaleźli się w Hollywood.

- Posłuchaj. - Ciarękę zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Światło spływające na jego twarz nadawało policzkom rumieńców pijaka.

- Możesz myśleć, że *Heather Duell* to film akcji. Ludzie z Twentieth z pewnością tak uważają. - Mówił z przerwami, każde słowo wychodziło z jego ust oddzielnie, jakby żyło własnym życiem. - Zapewniam cię, że my nie traktujemy tego tak jednoznacznie. - Uśmiechnął się, szerokie usta o wąskich wargach rozchyliły się; wyglądały jak wylot fabrycznego komina wyrzucający w powietrze kłęby pary. Wzniósł palec wskazujący. - Nie daj się nabrać. To film całkowicie innego rodzaju.

Terroryzm jako koncepcja w obecnej dekadzie jest zjawiskiem równie epidemicznym jak komunizm w latach dwudziestych. Jedno i drugie ma te same polityczne podstawy. Ale ten film nie mówi o walce Żydów z Palestyńczykami. Nie zamierzamy robić filmu o wojnie, rozumiesz? - Podniósł palec jeszcze wyżej, aż jego czubek dotknął srebrnej skroni.

- Chodzi nam o coś szerszego; coś, co wszyscy zrozumieją. O sterroryzowanie umysłu, niewiarygodnie niebezpieczne; o efekt, jaki wywiera to na poszczególne jednostki. - Z zadumą ściągnął usta. - Ostatecznie Heather Duell nie tak znów bardzo różni się od ciebie czy milionów kobiet, które obejrzą ten film.

Do momentu, który tak drastycznie zmienia jej życie, jaki miała kontakt z terroryzmem, przemocą, udręką duszy? James zadbał, by żyła z dala od tego.

Jednak teraz to wszystko... - dźgnął palcem powietrze jak dyrektor szkoły omawiający niezmiernie istotne zagadnienie - to wszystko spada na nią niczym grom z jasnego nieba i elementem napędowym filmu będzie pytanie: w jaki sposób Heather zmieni się w wyniku konfrontacji z terroryzmem? Co się z nią stanie? Rozumiesz?

Na tym polega prawdziwa siła *Heather Duell* - nie na pistoletach, nie na maskach, nie na smrodzie kordytu i strachu. Dlatego posunąłem się tak daleko, by reżyserować ten film; dlatego Rubens wkłada w niego tyle własnej forsy. To są cudowne cechy, a rozumnie wykorzystane, pomogą zrobić z tego obrazu prawdziwy przebój.

Lecz to nie wszystko. Od początku każdy musi dokonać świadomego wyboru, rozumiesz? Nie wystarczy robić filmów, które są tylko rozrywką, Daino. Jesteśmy światowymi producentami snów i jako tacy ponosimy straszliwą odpowiedzialność za to, by nie napychać ludziom bez przerwy głów trocinami.

Musimy starać się być przekąźnikami emocji, proponować publiczności coś,

co w innym przypadku nigdy nie zostałyby odkryte. Na tym polega nasza wyjątkowość. - Reżyser wspiał się na palce, policzki miał zaczerwienione ze wzruszenia. - Ten film to wstrząsająca opowieść o ludzkim umyśle; o zderzeniu woli; o powolnym sączeniu się strachu, który narasta z każdą upływającą chwilą; o bombie, która jeszcze nie eksplodowała, a która zagraża istocie cywilizacji, ponieważ przedziera się do jej jądra. I co stanie się z Heather Duell w środku tego wszystkiego? Zginie czy przetrwa?

Właśnie taki jest Marion, pomyślała Daina, zmieniając bieg na niższy, by pokonać szczególnie ostry zakręt. Trzeba zacząć żyć rolą, dla niego i dla siebie, zanim pozwoli włączyć kamery i grać.

Pomyślała o ostatniej scenie z El-Kalaamem. Zderzenie woli, jak nazwał to Ciarke.

I te wspomnienia gniewu i siły przywołały widoki Manhattanu, które skłębiły się w jej umyśle niczym fale: błękitne cienie na ulicy; potężne kaniony z przydymionego szkła i stali; gorący sierpniowy wiatr przemykający z chichotem po Riverside Drive; park pełen Portorykańczyków w koszulkach bez rękawów, gotujących rajskie banany i czarną fasolę na prowizorycznych piecykach opalanych węglem drzewnym; brązowa rękojeść dwudziestki dwójki wystająca zza pasa. Uliczny hiszpański brzęczący monotonnie w jej głowie, jakby ze starego, nie zsynchronizowanego filmu. Czy faktycznie było to tylko pięć lat temu?

Znów zredukowała biegi. Wąska droga wiodła tutaj nieomal pionowo - właśnie dlatego nią jechała, było to wyzwaniem dla jej refleksu i koordynacji ruchów. Uwielbiała kolory i architekturę przemykających obok niej budynków. Słońce zachodziło. Do Los Angeles zakradała się noc - luminescencyjny, ulotny kochanek.

Wjechała w szeroki podwójny zakręt i nagle poczuła, że stoi na skraju wielkiej przygody, jakby była Cortezem przeczuwającym własną wielkość na niezgłęzionych morzach, wyruszającym do bogatego w złoto Meksyku.

Monty miał rację. *Heather Duell* była jej filmem, który albo wyniesie ją na szczyty, albo zniszczy. Poczwała dreszcz niczym upiorne palce wędrujące wzdłuż kręgosłupa i przesunęła się na skórzanym fotelu. Tak wiele zależało od innych. Sukces wymagał całkowitego zgrania, dopasowania wszystkich elementów. A ona albo poleci ku gwiazdom, albo...

Jej palce zacisnęły się na kierownicy. Obok przemykały pokryte kremowym i

bladoniebieskim szlachetnym tynkiem mury. Naparła dziko na dźwignię zmiany biegów, w gniewie nieomal przebijając sprzęgłem wykładzinę. O co się martwi? Jest aktorką. Tchnięcie życia w wypisane na białym papierze martwe kwestie zależy wyłącznie od niej. Musi stać się Heather Duell, musi pozwolić, by ta rola narastała wokół niej bez udziału świadomości, dopóki sama nie wniknie w nową rzeczywistość. W nowe życie. Ona - Daina Whitney zostanie wówczas sprowadzona do roli zainteresowanego, lecz postronnego obserwatora innej osobowości.

I z pomocą jakiego tajemnego procesu zdoła to osiągnąć? Nie rozumiała go, wiedziała tylko, że daje jej przeogromną siłę.

Wcisnęła twardo pedał gazu.

Podniecenie pchało ją jak gorączka. Wdychała nocny aromat drzew porastających zbocze wzgórza. Pomyślała, że Mark na pewno wrócił już z terenu. Ich wyjazdy z L.A. nastąpiły prawie w tym samym czasie, on wyruszył zaraz po niej. Telefonowali do siebie rzadko i w ogóle nie pisali. Daina coraz częściej słyszała niepokojące wzmianki o niełatwych postępach jego filmu: wojennego filmu - zjadliwie antywojennego („Coppoli nie udało się go pociąć do końca” - często powtarzał), którego realizacja z powodu ciągłych zmian w scenariuszu była poważnie opóźniona. A poza tym skądś musiały się na to brać pieniądze.

Odpędziła od siebie te myśli i poczuła ogarniające ją ciepło. Dzień dobiegał końca; wyobraziła sobie, że Mark okrywa ją niczym kołdra. Poczuła jego siłę przenikającą jej ciało, kości, gdy wyobraziła sobie, jak pieści jej plecy, jak gorące otwarte wargi zamykają się na jej ustach...

Skręciła na podjazd przed domem i wyłączyła silnik. Wewnątrz paliły się światła - wesołe powitanie - ale zewnętrzne były wyłączone. To dla niego typowe, pomyślała. Jest tak pochłonięty polityką, że przyziemne sprawy nie mają dla niego znaczenia. W pogodnym nastroju weszła po schodach, podśpiewując, wymachując torebką jak batutą. Ciemnozielony bluszcz, pnący się bujnie po obu stronach szerokich dębowych drzwi, lśnił w blasku ostatnich promieni zachodzącego słońca odbijających się od kolosalnej czary nieba. Przekręciła klucz i weszła do domu.

Zatrzymała się, sparaliżowana, tuż za progiem i w swoistej, pełnej przerażenia fascynacji wlepiała oczy w dwa ciała kopulujące na gołym parkiecie.

Wściekłość wpompowała w żyły miarkę adrenaliny, krew przyspieszyła i zaszumiała jej w uszach, gdy patrzyła na zwierzęce podrygi czarnych pośladków

Marka, w górę i w dół, w górę i w dół, regularnie niczym wahadło piekielnego zegara odmierzającego ostatnie w świecie chwile miłości.

Ku swemu zaskoczeniu przyłapała się na myśli, że tej dziewczynie na podłodze musi być zimno. Potem, jak przez mgłę, dotarło do niej sapanie i stłumione mlaskanie, i to sprawiło, że poczuła się zbrukana, zagubiona jak wtedy, gdy będąc małą dziewczynką po raz pierwszy - i jedyny - wczesnym rankiem wtargnęła po cichu do sypialni rodziców. Zakręciło się jej w głowie, poczuła przerażający ucisk w piersiach, jak gdyby nagle znalazła się w polu zwiększonej grawitacji. Czuła straszliwe zimno, zdrętwiała tak, że nie mogła się ruszyć.

Potem dziewczyna jęknęła i czar został przełamany. Daina miała wrażenie jakby poraził ją prąd, gwałtownie i mocno. Zamachnęła się torebką i skoczyła tak błyskawicznie, że znalazła się przy nich prawie w tej samej chwili, w której zaimprovizowany pocisk uderzał w głowę Marka.

- Hej! - Mężczyzna wykręcił szyję pod wpływem ciosu. Zaczął podnosić się z dziewczyny.

- Nie, nie, nie! - Jej głos wzniósł się do krzyku, długie blade palce wily się po jego naprzężonych bicepsach. - Nie zostawiaj mnie teraz! Jeszcze nie! Nie... Och! - Oddech wyrwał się z jej ust niczym eksplozja.

Zaciśnięta pięść Dainy pomknęła w kierunku zaczerwienionej twarzy Marka. Trzasnęła go w ucho. Mężczyzna sapnął. Potem napała na jego ramię i Mark stoczył się z dziewczyny, czemu towarzyszył odgłos przypominający wyciąganie korka z butelki.

Uniósł rękę.

- Hej, hej! Co, do diabła...! - Jego członek już robił się miękki.
- Ty wredny sukinsynu! - To było wszystko, co zdołała wykrztusić. - Ty wredny sukinsynu! - Myślała, że udławi się nie wypowiedzianymi słowami.

Dziewczyna, pozostawiona sama na podłodze, skuliła się i przetoczyła na bok, jej palce wsunęły się między wilgotne uda, zaczerwienione piersi drżały. Cienka nitka wilgoci nadal łączyła ją z Markiem.

- Chryste, Daina!

Ale ona nie przestawała uderzać go, nie chcąc dopuścić do tego, by zaczął mówić. Miała dość jego gadania. Biła go nie jak kobieta, lecz jak mężczyzna;

przydało się szkolenie, jakie przeszła przygotowując się do filmu. Dodatkowym atutem były umiejętności wyniesione z rodzinnego Nowego Jorku, gdzie uczyła się, jak się bronić, jak wybijać piłkę w trzydziestojardową spiralę. Czerwona, czerwona wściekłość niczego nie zmieniała.

- Daina, Daina, na miłość... uff! - na miłość boską, wysłuchasz mnie czy nie?

Nie chciała słuchać, wiedziała, że jest dobry w logicznym uzasadnianiu swoich racji. Trafiła go pięścią w usta, w ostatniej chwili przekreśliła rękę, więc złoty pierścionek z jaspisem - ten, który kupiła sobie na prezent, kiedy powiedziała: Żegnaj, Nowy Jorku, i przyjechała tutaj - rozdarł delikatne ciało i naznaczył dolną wargę. Krew spłynęła czerwoną wstążką.

Mężczyzna odskoczył z oczyma rozszerzonymi ze strachu. Wiedział, że w tym okropnym momencie nie zdoła nad nią zapanować. Daina zobaczyła, jak lęk wykrzywia jego przystojną twarz.

Oczy jej zapłonęły i znów sięgnęła po ciężką torbę.

- Wynoś się do diabła, sukinsynu! - Nie mogłaby teraz zwrócić się do niego po imieniu. - Wynocha! I zabierz z sobą... - uderzyła torbą w biodro dziewczyny, wyrывая ją z erotycznego transu - to.

Ostrożnie, nie spuszczać z niej oka, Mark okrążył ją i zbliżył się do dziewczyny. Poderwał ją na nogi. Była chuda, prawie że krucha, kalifornijskie słońce opaliło jej nieskazitelną skórę na jednolity brąz. Nawet teraz nie okazywała ani śladu wstydu czy zażenowania. Daina, która po raz pierwszy mogła przyjrzeć się jej dokładniej, z drżeniem zdała sobie sprawę, że dziewczyna nie może mieć więcej niż piętnaście lat. Miała drobne, dopiero pączkujące piersi i wygolony wzgórek łonowy.

Mark, z ubraniami skłębionymi pod pachą jak błam wyleniałego futra, raz jeszcze spróbował dojść do głosu, ale Daina ucięła ostro:

- Nie. Ani słowa. Byłeś tu tylko lokatorem. Po prostu lokatorem i niczym więcej. Nie chcę słyszeć niczego, co masz do powiedzenia.

- Łzy błysnęły w kącikach jej oczu, widziała jak przez mgłę. - Nic nie może usprawiedliwianie...

I tak znalazł się za drzwiami, i pobrnął w noc, popychając przed sobą nagą i teraz drżącą dziewczynę na tyły domu, gdzie trzymał samochód.

Jak gdyby gdzieś z głębi morza, pomyślała, słysząc krótkie kasznięcie zapuszczanego silnika, echa tłukące się po wzgórzach, cichnące o wiele za wolno.

Przez okno zobaczyła dwa rubinowe punkty przypominające oczy żmii, mrugające w niesamowitym po-życiu, raz widoczne, raz przysłonięte przez wzdychające na wietrze drzewa, oraz pomarańczowy kwiat przednich świateł już zacieranych przez dal.

Stała kompletnie nieruchomo, słuchając szumu wiatru w drzewach. Czuła się jak jakiś dziwoląg wyrwany ze swego środowiska, jak syrena głupia na tyle, że dała się złapać w sieci rybaka, wyciągnąc z głębi chłodnego mroku w jasny, pozbawiający tchu świat, gdzie wszystko jest nowe i dziwne, i z pewnością przerażające.

Znów przeniknął ją chłód. Objęła się ramionami i nogą zatrzęsnęła drzwi. Jej ciało pokryła gęsia skórka. Mój dom. Mój dom. To zdanie wirowało jej w głowie. To jest mój dom, myślała. On był tu tylko lokatorem. Cholernym lokatorem, którego zaprosiłam osiemnaście miesięcy temu. By dzielić... mój Boże. Mój Boże!

Odwróciła się od okna, powłócząc nogami weszła do salonu, zatrzymała się przy barku. Spojrzała na rząd butelek z alkoholem, sięgnęła po bacardi tak raptownie, że płyn zburzył się jak morze podczas sztormu. Nalała na trzy palce rumu i wychyliła duszkiem, jakby to było lekarstwo. Zamknęła oczy i zadrżała. Odepchnęła grubą kryształową szklankę, potrząsnęła głową i wybiegła do holu.

Rzuciła się do sypialni, gwałtownym ruchem otworzyła szafę, wyrzuciła wszystkie ubrania, podeszła do komody, wyciągnęła pozostałe rzeczy na środek dywanu. Upchnęła to, co mogła, do sponiewieranej walizki - która, jak mówił Mark, poznała gorąco La Paz i lśnienie Buenos Aires, tajemnice i nędzę Moulmein i Lom Sak - i zatrzęsnęła wieko. Z walizką w jednej i resztą ubrań w drugiej ręce popędziła niezdarnie przez dom. Zahaczyła stopą o nogę krzesła, zakłęta, wypadła na dwór.

Ptaki śpiewały słodko, przemykając w koronach drzew. Pies zaszczekał ze złością gdzieś po drugiej stronie wzgórza, może na kojota, który wtargnął na jego terytorium. Z radia na chwilę buchnął ogłuszający rock.

Skierowała się na stok porośnięty wysoką trawą oraz gęstymi, kolczastymi jeżynami. Spojrzała na walizkę, podnosząc ją w górę. Była jego nieodłączną towarzyszką, gdy przenosił się z Birmy do Tajlandii, a stamtąd, jak utrzymywał, przez granicę na własne ryzyko do zakazanej Kambodży. Robił to, ponieważ był orędownikiem sprawy, ponieważ uważał za słuszne wykrwawianie się za okaleczonych i umierających ludzi po drugiej stronie świtu, ponieważ czuł się częściowo odpowiedzialny za ich cierpienie i zagładę. Ale to, na co był narażony w czasie tej przeprawy, musiało, jak promieniowanie, oślepić go na inne równie ważne,

a bliższe im sprawy. Zmienił się niczym astronauta wracający do domu z przechadzki po Księżycu, pomyślała, jego umysł został wypaczony, emocje stały się groteskową parodią tego, czym niegdyś były. Poparzyły go płomienie jakiegoś nieznanego stosu pogrzebowego.

Wreszcie cisnęła ciężką walizkę w noc i patrzyła, jak wiruje niby w zwolnionym tempie, koziołkując po porośniętym paprocią, gęstym jak poszycie dżungli zbocz. Dwadzieścia jardów niżej walizka uderzyła kantem w ziemię. Wieko odskoczyło pod wpływem zderzenia i ubrania rzygnęły w bezgłośniejszej eksplozji.

Wtedy, całkiem świadomie, na zimno, Daina zaczęła wyrzucać pozostałe części garderoby Marka, po sztuce na raz, dopóki nie została jej tylko jedna rzecz. Była to jedwabna koszula, którą kupiła mu na ostatnie urodziny - jego ulubiona, jak kiedyś wyznał. Zwinęła ją w kulę i cisnęła za resztą. Koszula na chwilę zawisała na gałęzi potężnej akacji, powiewając jak proporzec na już straconym polu bitwy. Potem chłodny nocny wiatr szarpnął ją, oderwał i poniósł w górę niczym zwolnionego z uwięzi latawca, coraz dalej i dalej. Jednak Daina odwróciła się, nim koszula zniknęła jej z oczu.

Pobiegła do domu, zamknęła frontowe drzwi na klucz i założyła łańcuch po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Cykady. Tykanie kuchennego zegara. Patrzyła w przestrzeń, obejmując się rękoma. Powoli ogarniało ją odrętwienie. Sięgnęła do telefonu i wystukała numer Maggie, ale po czwartym sygnale przypomniała sobie, że przyjaciółka jest w studiu z Chrisem i dziś wieczorem na pewno nie ma ochoty na rozmowę o takim wariactwie.

Mruknęła: - Niech to cholera! - i poszła się przebrać. Po przeprawie z Markiem i jego rzeczami miała ochotę wyjść. Warehouse wydawał się odpowiednim miejscem na ochłonięcie i odprężenie się.

Przystanąła, widząc siebie w łazienkowym lustrze, kadr wiążący przez czas i przestrzeń. Nieprzemierzona siła wciągnęła ją do chłodnego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia. Wszelki ruch ustał na chwilę. Mogła być posągiem dryfującym w rozproszonym, nieostrym świetle. Nagłym wyrzutem szczupłej opalonej ręki zapaliła światła wokół lustra i tęcza obramowała jej twarz. Nie odrywając oczu od swego odbicia, usiadła powoli. Odgarnęła gąszcz opadających na ramiona włosów o barwie miodu. Przyglądała się swojej twarzy tak, jakby obserwowała obraz na ekranie, rejestrując mocną owalną strukturę, szeroko rozstawione oczy, wydłużone i lekko

skośne w kącikach, ze złotymi cętkami na fioletowych tęczęwkach, wysokie kości policzkowe. Pomyślała, że jest bardziej podobna do matki niż do ojca.

Zaczęła płakać, choć chwilę wcześniej była pewna, że tego nie zrobi. Pochyliła głowę, wsparła ją na splecionych rękach i szlochała rozpaczliwie. Kołysała się lekko, znajdując ukojenie w tym ruchu. Kiedy spazm minął, wstała, odkręciła kurki i przemyła twarz.

Ale woda w umywalce szumiała jak głos Marka szepczący: „Kochanie, kochanie!”. I zatrzęsała się, czując wstręt do takiego litowania się nad sobą.

Nie zachowuj się jak dziecko! - upomniała się dziko. Do diabła, po co ci on? Jej ciało miało na to gotową odpowiedź. Była to jedyna rzecz tego wieczora, która wywołała uśmiech na jej twarzy.

Rozebrała się szybko i weszła pod prysznic. Chwilę później włożyła błękitną jedwabną bluzkę. Początkowo myślała o dżinsach, jednak dziś spodnie wydawały się zupełnie nieodpowiednie i ubrała się w bladożółtą spódnicę. Popatrzyła na siebie, na jędrne, wysokie piersi - piersi Kim Novak, jak powiedział jej kiedyś żartobliwie Rubens - na szczupłą, lecz nie chudą talię, na długie nogi tancerki.

Jadąc nocą srebrnym mercedesem, pokonała ostry zakręt na niskim biegu, potem ruszyła pełnym gazem. Wiatr tarosił jej włosy, a otoczone aureolami mgły światła doliny zdawały się mrugać do niej przez napierające, czarne jak niebo listowie.

Samochód tętnił pod nią jak serce. Przemknęła obok wysokiego muru oporowego z betonu i kamieni i na chwilę ostra woń benzyny przytłumiła aromat kapryfolium. Przywiodło jej to na myśl ulice Nowego Jorku, ryczące i pijane życiem, zataczające się, nieokiełznane, majestatyczne w swej surowości.

Były to dziwne, niepokojące echa z czasów, gdy nie miała niczego własnego, nie miała do kogo się zwrócić o pomoc. Sama, pełna strachu i tłumionego gniewu, odkryła, że jedynym sposobem na przeżycie jest wyjście na ulice; tylko tam ludzie traktowali ją jak kogoś, kto myśli i czuje i żyje jako niezależna, odrębna jednostka.

Ogarnęła ją stara tęsknota za Babą i łzy znów popłynęły po policzkach. Nie rób tego, pomyślała. Byłaś na tej drodze wcześniej i wiesz, dokąd ona prowadzi. Zadrzała. Jestem blisko krawędzi. Marion pcha mnie w nową głębię, a to samo w sobie jest wystarczająco okropne bez Marka zrywającego na moich oczach nasze stosunki. Niech go cholera! Czuła się wyłączona, rozbita, wspaniałe domy

przemykające obok niej nie byłyby bardziej obce, niż gdyby właśnie przybyła z jakiegoś innego systemu słonecznego.

Wytarła oczy, szarpnęła za dźwignię zmiany biegów, mercedes skoczył do przodu, ścinając ostry zakręt. Podnosiła się mgła, przemykająca obok niczym widmowe żagle, i nagle Dainę ogarnęło przerażenie - bała się, że świat wypełnia pustka równie wielka, jak ta, którą czuła w sobie.

Z dzikim jękiem pochyliła się, wepchnęła kasetę do odtwarzacza i usłyszała twardy, elektroniczny rytm Heartbeatsów: ostre staccato perkusji na tle potężnych basów; gitary i klawisze podporządkowane pełnemu złości głosowi Chrisa. Słowa padały z głośników jak kule: „Przez cały czas próbowałem/Zmusić cię, złamać cię/Dokuczyć ci, dręczyć cię/ /Wiesz, że znajdę cię wszędzie... „Odrzuciła w tył głowę, pozwalając, by wiatr odgarnął włosy z twarzy. „Spętana i związana/Gumowa piana na moich ustach/Nie ma czasu na ucieczkę - Nie ma drogi/Wzięta siłą/ W głuchą noc...” Pod naporem wiatru rozchyliła wargi i przez chwilę nie musiała myśleć, owładnięta wewnętrzną siłą muzyki, jak gdyby była ona prądem wynoszącym ją na morze. „Wzięta siłą/Bez walki.”

Poniżej błękitno-cytrynowa półkula L.A. pulsowała pod ciężarem smogu, jakby jakaś głęboko pogrzebana dusza próbowała uwolnić się z dręczącego uścisku miasta.

Pomknęła mu na spotkanie.

Warehouse składał się z masy oślepiających świateł, odbijających się i podrygujących jak kolonia luminescencyjnych morskich stworzeń na powierzchni wody. O tej porze Marina del Rey nie była zatłoczona, a Admiralty Way wyludniona ku zaskoczeniu każdego dziennego bywalca. Potężne jachty zostały zredukowane do dwuwymiarowych cieni, ich przypominające bicze anteny wysyłały tajemnicze sygnały w niebo.

Tutaj znajdowała się restauracja, którą lubiła najbardziej ze wszystkich innych w L.A. Znała tu wszystkich, a oni robili, co mogli, by czuła się jak w domu. Była wystarczająco daleko od Rodeo Drive w Beverly Hills, by nie nachodzili jej łowcy gwiazd, „sławomani”, którymi pogardzała.

Restauracja, zgodnie z nazwą, przypominała nabrzeżny magazyn, na jej wystrój składały się stare dębowe beczki oraz olbrzymie drewniane paki, oznaczone stemplami z nazwami najbardziej egzotycznych portów świata: Szanghaj, Marsylia,

Pireus, Odessa, Hongkong, Makao, nawet San Francisco. Z sufitu zwieszały się ciężkie konopne sieci.

Był to wielki i raczej bezładnie rozplanowany lokal. Dzięki zwróconemu w stronę morza olbrzymiemu oszklonemu balkonowi, z którego roztaczał się oszałamiający widok na port, przypominał jej wiejską gospodę w Nowej Anglii.

Wewnątrz jak zwykle panował tłok, ale Frank, szef sali, komplementując z uśmiechem jej wygląd, poprowadził ją do stolika od strony morza. Wszystkie głowy obracały się w ich stronę. Długiej, krętej kolejce przy barze grzecznie, lecz stanowczo powiedziano, że na wolny stolik trzeba czekać co najmniej godzinę.

Daina zamówiła bacardi z lodem i cytryną i została obsłużona prawie natychmiast. Sączyła drinka przez, zdawałoby się, nieskończenie długi czas, śledząc w szybie odbicia ludzi przy barze, spokojnie wypijających swoje kolacje, mrugających do siebie zaczerwienionymi oczyma. I po raz pierwszy pomyślała, że wie, co czują.;

Przekręciła głowę i przyłapała się na wpatrywaniu we własne odbicie. Prześledziła zarys nosa, niedoskonałego i lekko skrzywionego - była ogromnie zadowolona, że nigdy nie kazała go poprawić. Tylko moja matka tego chciała, pomyślała.

Nie Jean-Carlos. Z niemałym drżeniem wchodziła po schodach do jego szkoły, która mieściła się na piętrze pod numerem 8666 na Trzeciej Zachodniej Ulicy w Los Angeles.

- Witaj, Daino! - rzekł, uśmiechając się szeroko i obiema rękoma energicznie ściskając jej dłoń. Poczwała duże, żółte odciski, twarde jak beton.

- Witamy w szkole. - Położył rękę na jej ramieniu. - Wszyscy tutaj jesteśmy po imieniu. *Sin ceremonia*. Nazywam się Jean-Carlos Ligeró.

Pomyślała, że nie może być Meksykaninem. Miał krótkie, kręcone rude włosy, wąskie czoło, pod którym płonęła para błękitnych oczu.

- Ha, *chica* - powiedział dudniącym głosem, który dobywał się jakby nie z krtani, a z głębi klatki piersiowej. - To dodaje ci charakteru - i przeciągnął czubkiem palca po jej nosie.

Miał szerokie usta, nad którymi wyginał się w łuk zadbany, ciemnorudy, cieniutki wąsik i twardą, agresywną szczękę; ogólnie jego głowa wydawała się kwadratowa. Wąski w biodrach, poruszał się z gracją tancerza, ale bez śladu zniewieściałości.

- Pochodzisz z wysp? - strzeliła.

Twarz pokryła mu się siecią zmarszczek, gdy się uśmiechnął. Bruzdy te były jakby bezpośrednim dowodem niszczącego wpływu czasu na ludzkie ciało. Zęby na tle opalonej skóry wydawały się zaskakująco żółte.

- Z wyspy, *cara*. Z Kuby! - Uśmiech zniknął jak zachodzące słońce pod oponą gnanych wiatrem chmur. - Dwadzieścia lat temu uciekłem z Morro Castle; zabrałem z sobą trzech innych, a zostawiłem Fidela... i rodzinę: braci, siostrę.

Teraz... - Stał przed nią, jego ręce zwinęły się w pięści na biodrach. Znajdowali się na środku przestronnej sali. Przez dwa olbrzymie świetliki w suficie wpadało rozproszone światło. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się poręcz z wypolerowanego drewna, nad którą wisiało długie lustro, zaś nad nim zwieszała się sieć tworząc cienie. Podłoga była drewniana, zarzucona zwyczajnymi szarymi matami. Poza tym pomieszczenie było puste.

- To wszystko? - zapytała Daina, rozglądając się ciekawie.
- A czegoś się spodziewała? - Mężczyzna uśmiechnął się figlarnie.
- Może czegoś ciut bardziej egzotycznego? Ściągniętego ze stronic powieści o Jamesie Bondzie?

Odpowiedziała mu uśmiechem, wreszcie odprężona.

- Chodź. - Skinął na nią. - Zobaczmy twoje ręce.

Wysunęła dłonie.

- Najpierw najważniejsze - powiedział poważnie i wyjął nożyczki do manikiuru. - Z czymś takim do niczego nie dojdiesz. - Zabrał się umiejętnie do jej paznokci i obciął je po męsku. Przeciągnął czubkami palców po półokrągłych krawędziach i z zadowoleniem pokiwał głową. Potem odsunął się od niej.

- Rozumiesz, dlaczego tu jesteś?
- Tak. James, mój filmowy mąż, nauczył mnie być znakomitym myśliwym.
- W porządku. - Mówił spiesznie, ale spokojnie, jak to wyłożył - *sinceremonia*. - Prowadzę tu wyspecjalizowany trening na potrzeby filmowe, tak, jednak to, czego nauczę cię w ciągu trzytygodniowego kursu, nie jest lipą. Musi to być dla ciebie zupełnie jasne. To nie żarty. Nauczysz się prawdziwych rzeczy: wiedzy o broni - jak ją trzymać, rozpoznawać, ładować, strzelać z niej. Jak bronić się gołymi rękoma, nożem i tak dalej. - Wzruszył ramionami.

- Niektórzy reżyserzy nie przejmują się tym za bardzo... Dopóki wszystko dobrze wygląda na ekranie, są zadowoleni, no nie? Z takimi ludźmi nie współpracuję. Odsyłam ich gdzie indziej. Nie stać mnie na marnowanie czasu.

- Podniósł długi palec. - Z Marionem spędziliśmy wiele przyjemnych wieczorów - on zna rum... i trzcinę cukrową. Piliśmy, żuliśmy, rozmawialiśmy. Ten człowiek wie, czego chce, więc przychodzi do mnie. „To potrwa dłużej”, powiedziałem mu, „lecz kiedy twoi ludzie ode mnie wyjdą, będą wiedzieli wszystko, co trzeba”.

Splótł ręce na piersiach.

- W porządku. Zaczynamy.

Daina znów rozejrzała się po pustej san.

- Ale tu nie ma nic prócz mat.
- *Paciencia* - mruknął Jean-Carlos. - Wszystko, czego będziesz potrzebowała, jest tutaj. - Znikąd wyciągnął pistolet i rzucił jej. Złapała go niezdarnie.

- Nie, nie, nie - skarcił ją lekko. - Trzeba tak. - Pokazał jej. - To broń samoczynna - objaśnił. Odwrócił pistolet, by pokazać dolną stronę rękojeści.

- Tutaj wkłada się magazynek. - Oddał jej broń. - Widzisz, nie ma bębena. Nigdy nie powierzaj swego życia automatom. Zbyt często się zacinają. Używaj rewolweru. Masz. - Z tego samego miejsca - znikąd - wyjął kolejny pistolet.

- Wypróbuj police special. Jest cięższy, jak widzisz, lecz ma swoje zalety, które to kompensują. Większy kaliber pocisków, mniejszy odrzut, bardzo celny. Jesteś myśliwym, więc wszystkie te czynniki są dla ciebie ważne.,

Nie, w ten sposób. - Jego silne, zręczne palce pokierowały jej dłonią.

- Oburącz, tak jest dobrze. Ciężki? Tak? W porządku. - Wziął dwa obciążone paski, owinał je wokół jej nadgarstków i zapiął za pomocą rzepów. - W ten sposób poćwiczmy przez pierwsze dwa tygodnie. Później wcale nie będziesz czuła ciężaru broni. I jak każdy świetny strzelec wyborowy zapomnisz o nim całkowicie.

Zgodnie z tym, co powiedział, pracował z nią ciężko, nie popuszczał jej, póki nie poznała tuzina różnych pistoletów i dwudziestu strzelb, póki nie nauczyła się pewnie i celnie strzelać, oprawiać nożem drobną zwierzynę, a wszystko to w ciągu trzech tygodni przed wyjazdem do Nicei na zdjęcia plenerowe.

- Później przećwiczmy inne rzeczy - rzekł. - Ale na razie jesteś gotowa.

- Daina - cześć!

Spojrzała przez ramię i zobaczyła stojącego obok Rubensa. Był przystojny, wysoki i szeroki w ramionach. Miał czarne oczy osadzone w jastrzębiej twarzy, której wyraziste rysy dodatkowo podkreślała głęboka opalenizna. Obdarzony był śródziemnomorskim typem urody, który może wywodzić się tak z Grecji, jak z Hiszpanii. Całości obrazu dopełniały silne, stanowcze usta i włosy równie czarne jak oczy.

Jednak wszystkie te fizyczne szczegóły miały znikome znaczenie. Wystarczyło, że Rubens wchodził do pokoju, a każdy z obecnych wyczuwał jego odstraszącą, niezwykle silną osobowość. Promieniował mocą niczym nowo wynaleziony mobilny reaktor jądrowy. I, co było może nieuchronne, z tego powodu plotki podążały jego śladem jak ogon za kometą.

Mówiono na przykład, że nigdy nie przegrał walki przy stole konferencyjnym - a było ich mnóstwo; że nie zadowalało go samo zwycięstwo, musiał jeszcze wgnieść przeciwnika w ziemię.

Mówiono również, że rozwiódł się z żoną - piękną i utalentowaną kobietą - ponieważ nie chciała obejmować go publicznie.

W morzu pełnym rekinów Rubens znany był jako ich pogromca i była to reputacja, którą od lat starał się ugruntowywać. Z tej racji był wielce podziwiany i pożądany, ludzie przyzwyczajeni do zginania karków schlebiali mu i rozpieszczali go.

- Rubens. - Daina, wznosząc szklaneczkę bacardi, pomyślała: jest zdecydowanie ostatnią osobą pod słońcem, jaką miałabym ochotę dzisiaj spotkać.

Ponieważ był na ustach wszystkich, do chwili poznania go miała już wyrobione zdanie: przedstawiano go jako zimne serce L.A., najwyższą wyrocznię „sławomanów”; był bardziej symbolem niż człowiekiem.

Położył rękę na oparciu stojącego naprzeciw niej krzesła z wikliny i chromu.

- Nie masz nic przeciwko?

Była przerażona i z drżeniem zacisnęła ręce na kolanach pod stołem. Z konsternacją stwierdziła, iż jej ciałem owładnęła inna, silniejsza emocja. Doskwieriała jej samotność i teraz, patrząc na tego mężczyznę, nie mogła powstrzymać się od myślenia o innym, uciekającym w noc z dziewczyną o jędrnych pośladkach, które podrygiwały w ciemności, gdy biegła swobodnie i lekko, zaśmiewając się bez troski. O Marku.

Znów zbierało się jej na płacz i tylko aktorski trening uratował ją od zrobienia z siebie kompletnej idiotki. Nie chciała być z Rubensem, ale teraz, po rozstaniu z Markiem, jego towarzystwo było mile widziane.

Chrząknęła.

- Ależ bardzo proszę. - Jej głos brzmiał dziwnie obco. Rubens zajął miejsce.
- Wódka i tonik, Frank - powiedział do krążącego w pobliżu szefa.

- Stolicznaja.

- Stolicznaja. Służę, proszę pana. Panna Whitney? Jeszcze jedno bacardi?

• Jasne. - Podniosła pustą szklaneczkę. - Dlaczego nie? Skinął głową i zabrał szklanekę.

Rubens czekał, aż kelner poda drinki i odejdzie. Mężczyźni oblepiający bar brzęczeli jak muchy, ich ochryply śmiech ostro kontrastował ze starannie kontrolowanymi ruchami rąk i głów. Krótko mówiąc, wyglądali jak pijacy w każdym barze w każdym zakątku świata.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.
- Co?
- Twój smętny nastrój.

Pijąc zastanawiała się, do czego on zmierza. Kiedy indziej mogłoby to być wyzwanie, lecz teraz...

- Po prostu zły dzień.
- Na planie wszystko w porządku? Stała się podejrzliwa.

- Wiesz o wszystkim, co dzieje się na planie. Wiesz, że nie o to chodzi. Co ty knujesz?

Rozłożył ręce.

• Nic. Wszedłem, zobaczyłem wyraz twojej twarzy... - Podniósł szklaneczkę, pociągnął łyk. - Nie lubię, gdy moje gwiazdy są nieszczęśliwe. Pomyślałem, że może będę mógł pomóc.

• Dostać się do łóżka - dopowiedziała bez zastanowienia i pomyślała: O Chryste, ale narobiłam.

- Wobec tego idę. - Złapał swoją szklanekę.

Z zamętem w głowie patrzyła mu w twarz. Może i jesteś skurwysynem, myślała, jednak dziś wieczór mam tylko ciebie. Uszczęśliw mnie.

- Nie, nie odchodź - rzekła bez entuzjazmu. - Po prostu jestem w podłym nastroju. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Podniósł się i obdarzył ją smutnym uśmiechem.

- Obawiam się, że to ma coś wspólnego ze mną. Miałaś wszelkie prawa, by powiedzieć to, co powiedziałaś. - Znów rozpostarł ręce w charakterystycznym geście.
- To prawda. Ty o tym wiesz. Ja to wiem. Chciałem iść z tobą do łóżka, od czasu gdy przedstawiono nas sobie półtora roku temu. Ale ty właśnie poznałaś tego szalonego czarnego reżysera... jak on się nazywa? Mark jakoś tam...

- Nassiter - rzuciła szybko.

Strzelił palcami.

• Tak, racja. Nassiter. - Zdawało się, że to nazwisko drażni mu język. Wzruszył ramionami. - No cóż, komu tu można zaufać. - Rozejrzał się konspiracyjnie.
- Wszyscy pieprzą się ze wszystkimi. I pomyślałem...

• Nie - przerwała mu z napięciem w głosie - ja tego nie robię.

• Nie - powtórzył. - Ty nie. - Pomyślała, że Rubens wygląda trochę smutno. - Lecz na nieszczęście odkrycie tego faktu zajęło mi osiemnaście miesięcy. - Wzniósł szklaneczkę jak do toastu. - Do zobaczenia.

A jej wpadło do głowy, że może myliła się co do niego. Że od początku widziała go tylko pod jednym kątem, osądzała na równi z postacią z ekranu; że pozwoliła, by inni ukształtowali sposób, w jaki na niego reagowała - wszystkie te historyjki, plotki, podekscytowane szepty: żądza „sławomanów”. Nie, nie, nie. Daina Whitney nie chciała mieć w tym najmniejszego udziału.

Miała ochotę śmiać się z samej siebie za to, że była taką podłą jędzą, wiecznie zaglądnącą pod dywan w poszukiwaniu ukrytych motywów.

Ale jednocześnie zdała sobie sprawę z istnienia głębszego, mroczniej szego powodu, dla którego odtrąciła go. Rubens był, jak mówiono, człowiekiem bez serca, twardym jak diament. Jednak reprezentował również władzę; on był L.A. Czy dlatego tak ją do niego ciągnęło? Jaki mógł być w stosunku do niej? Był niebezpieczny, wiedziała, i ta wiedza sprawiła, że zaczęła się pocić. Nagle przyszło jej na myśl, że kolejne życie wiodły ją prosto do tej chwili. Tak. Wyszła z domu z określonego powodu, lecz teraz narastała w niej pewność, że gdyby scena z Markiem nie miała miejsca, wydarzyłyby się coś innego.

W głębi siebie poczuła podniecenie: jego gorąco, jej tarcie; kombinacja, której nie chciała dopuścić do świadomości. Na razie.

Powoli położyła rękę na jego dłoni.

- Zostań - poprosiła, patrząc mu w oczy. Czują jego twarde, pokryte odciskami palce i ni z tego, ni z owego pomyślała o palcach Jean-Carlosa.

Rubens również miał zwierzęcy wdzięk: wielką, utrzymaną w ryzach siłę. Miała wrażenie, że strzelają z niego iskry.

Po raz pierwszy wydawał się niepewny, więc w ramach zachęty dodała:

- Och, śmiało. Ty byłeś skurwielem, a ja suką, co nie znaczy, że nie możemy spędzić razem paru godzin. Wszystko wcześniejsze mogło być nieporozumieniem.

Usiadł i pociągnął duży łyk alkoholu. Cofnęła rękę, przyglądając mu się uważnie.

- Na co tak patrzysz?
- Wiesz, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu...
- O Chryste, Rubens!
- Nie, nie. - Uniósł dłoń, chcąc ją powstrzymać. - Naprawdę tak uważam.

Sądzę, że nigdy wcześniej - co zabrzmiało dziwnie - nie widziałem cię naprawdę. Byłaś po prostu nową dziewczyną...

- Trofeum.
- Moja wina. - Ale trudno było doszukać się przeprosin w jego głosie.
- *Mea culpa*. Człowiek tak bardzo przyzwyczaja się do linii montażowej.

Tutaj jest jak wszędzie indziej, z tym, że tu ma się do czynienia z ludzkim ciałem.

- Machnął ręką, jakby wymazując te słowa. - W każdym razie po pewnym czasie staje się to hipnotyczne. Dziewczyny przychodzą i odchodzą... cytując Michelangela. - Roześmiał się i ona także, zaintrygowana nawiązaniem do T. S. Eliota. - To łatwe, tak cholernie łatwe, że czasami chce się krzyknąć.

Skrzywiła się.

- Czyżby nie wszyscy mężczyźni marzyli o rajach?
- Coś ci powiem - zaczął poważnie, pochylając się ku niej nad stołem.
- Raj jest miejscem odpowiednim tylko do marzeń. Nie daje się wpasować w prawdziwy świat. A wiesz, dlaczego? My... - zatoczył łuk wolną ręką wszyscy, aby przeżyć, potrzebujemy niebezpieczeństw. Aby żyć i robić... rzeczy, które musimy,

żeby co roku wspinać się o szczebel wyżej. - Bacznie obserwował jej twarz. - Uważasz, że różnisz się od nas, Daino? - Pokręcił głową. - Wiesz, że nie. - Odsunął szklanę; teraz dzieliła ich tylko pusta płaszczyzna stołu.

- Weź na przykład *Heather Duell*. Jak sądzisz, czy będziesz szczęśliwa, gdy film nie okaże się takim hitem, jak mamy nadzieję? Oczywiście, że nie. Człowiek nie jest szczęśliwy, póki nie zostanie numerem jeden. Ale bez tego bodźca, bez wiary we własne umiejętności, nie przeżyłabyś tutaj... ani nigdzie indziej.

Masz w sobie pewną cechę, której nie potrafię zdefiniować. Prawie tak, jakbyś była osobą przeniesioną z innego czasu, z innego miejsca. - Przekrzywił głowę na bok. - Nie wiem. Pomyślisz, że to zagrywka, gdy ci powiem, że jest w tobie coś... odmiennego.

• Nie - zaprzeczyła. - Nie pomyślę. - Teraz była naprawdę zaintrygowana. Oczywiście nie mógł wiedzieć, była tego pewna, a jednak potrafił to dostrzec. Domyślił się? Uznała, że to możliwe.

• Prawie... - Znow powtórzył swój typowy gest, skrajem dłoni przecinając powietrze. - Jednak nie... - potrząsnął głową - to niemożliwe.

• Co? - Teraz ona pochyliła się nad stołem.

Uśmiechnął się, prawie nieśmiało, i przez mgnienie oka widziała, jak wyglądał będąc małym chłopcem. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Och, prawdopodobnie poczujesz się urażona. - Odczekał chwilę, jakby podejmując ostateczną decyzję. - Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, przysięgłbym, że wychowywałaś się na ulicach. Lecz czytałem twój życiorys: rodzina klasy średniej z eleganckiej części Bronxu. Wtedy, nie teraz - poprawił.

- Co mogły znaczyć dla ciebie ulice Nowego Jorku? Kina, książki...

Baba, pomyślała, grzebiąc w głębi serca swą tajemnicę. Jednak była zaskoczona jego przenikliwością. Domyślił się, mimo że nigdy o tym nie rozmawiali, i to sprawiło jej przyjemność.

• Jaki był Nowy Jork? - zapytała.

• Och, sama wiesz. Po prostu taki sam. Śmieci piętrzą się w nieskończoność, wszyscy nienawidzą burmistrza, a Metsi nadal przegrywają.

• Ale tam jest wiosna - rzekła tęsknie. - Obawiam się, że zapominam, co to są pory roku. Tutaj żyje się jakby poza czasem.

- Właśnie dlatego tu mi się podoba - powiedział Rubens.

- Nie tęsknisz za Wschodnim Wybrzeżem? Wzruszył ramionami.

- No cóż. Moja firma ma biura w Nowym Jorku i bywam tam co najmniej raz w miesiącu. Lubię to miasto, mimo to chyba mi go nie brakuje. – Napił się. - Lubię zatrzymywać się przy Park Lane. Naprawdę sprawia mi przyjemność... widok nad Central Parkiem, na północ, na Harlem. To interesujące, patrzeć z wysoka tam, gdzie żyje biedota.

- Więc tylko interesy zmuszają cię do powrotów. Skinął głową.

- Wiesz, to zabawne - rzekła, spoglądając na wodę. - We wszystkich miastach świata, w których byłam - w Rzymie, Paryżu, Londynie, Genewie, Florencji i wielu innych - najbardziej magiczne są poranki; to jakby transcendentalne dziewictwo, gdy cała mechanizacja zamiera na tyle, by serce zmiękło.

- Potrząsnęła głową. - Lecz nie tutaj. W tym mieście przez całą noc trwa ruch. To dlatego L.A. nie ma cnoty, którą mogłoby tracić każdego dnia. Jest urodzoną kurwą.

- Twarde słowa w odniesieniu do miasta, w którym postanowiłaś zamieszkać - zauważył Rubens.

Daina zanurzyła czubek palca w resztkę drinka i zaczęła mieszać na wpół roztopione kostki lodu.

- Och, ma swoje zalety. - Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs. - Jest najbardziej luksusowym miastem na świecie, pełnym kapryśnych widoków i platynowych bransolet.

- Skoro tak uwielbiasz noc, powinniśmy coś zrobić.

- Na przykład?

- Beryl Martin wydaje przyjęcie. Znasz ją?

- Spotykam tylko ludzi pracujących w reklamie dla studiów.

- No cóż, Beryl jest najlepsza z niezależnych. Bywa nieco uszczypliwa, ale, gdy ją poznasz, potrafisz to docenić.

- No, nie wiem.

- Możemy jechać, kiedy tylko zechcesz. I obiecuję, otoczę cię dobrą opieką.

- Mam tu merca.

- Daj mi kluczyki. Każę Tony'emu odstawić wóz do twego domu. Sam

poprowadzę lincolna.

Rubens ominął Sunset - wolał ciemne, szybkie ulice od neonowego lśnienia i wolnego ruchu na bulwarze. Wielkie, pseudohispańskie domostwa stopniowo ustąpiły bankom o frontonach ze szkła i chromu oraz jasno oświetlonym parkingom komisów używanych samochodów, nad którymi powiewały kolorowe proporzyczki.

Daina, siedząca obok niego na wygodnym fotelu krytym wyłaczanym aksamitem, wyciągnęła rękę, włączyła radio i nastawiła je na stację KHJ. Po chwili rozbrzmiał utwór z ostatniego singla Heartbeatsów, *Bandyci*.

- Lubisz to, prawda? - zapytał Rubens.
- Chodzi ci o rock czy o Heartbeatsów?
- O jedno i drugie. Słyszę tę cholerną piosenkę, gdziekolwiek bym się ruszył.
- Dlatego, że wszędzie jest numerem jeden.
- Nie rozumiem tego - powiedział, skręcając w lewo. - Ci faceci są na fali od

bardzo dawna, prawda?

- Siedemnaście lat czy coś koło tego.

Przyhamował, wchodząc w zakręt w prawo, zignorował czerwone światła, skoczył niczym nieustraszony odkrywca w noc rozjaśnioną, jak się wydawało, jedynie dwoma snopami światła wozu.

- Chryste, kto by pomyślał, że nie rozpadną się albo przynajmniej nie pójdą własnymi drogami jak Beatlesi.

- Są jedną z ostatnich grup pierwszej inwazji brytyjskiej muzyki - rzekła. - Bóg wie, jak wytrzymują z sobą tak długo.

- Bez wątplenia mają z tego kupę szmalu. To dobry bodziec. Odwróciła głowę.

- Nie byłbyś zainteresowany wejściem w...

- Dobry Boże, nie. - Roześmiał się. - Prędzej obciąłbym sobie rękę, niż uzależnił się od zgrai ćpających muzyków, którzy nigdy nie dorośli. - Zerknął we wsteczne lusterko. - Poza tym nie podoba mi się to, co grają. Nigdy tego nie lubiłem.

- W ogóle nie lubisz muzyki?

- Kiedy mam czas, lubię słuchać jazzu, utworów klasycznych, o ile nie są zbyt ciężkie.

- Mam wyłączyć? - Sięgnęła do radia.
- Nie. Zostaw. Tobie się podoba.

Przejeżdżali przez osiedle na Beverly Hills, domy tutaj były dłuższe, niższe, bardziej zdobione.

- Jak tam twoja przyjaciółka Maggie? Czy nie żyje z kimś z tego zespołu?
- Tak. Z Chrisem Kerrem, liderem. Ma się dobrze. Jest teraz z nim; kapela pracuje w studiu nad nowym albumem. Nadal szuka swojej roli.

Rubens jęknął.

- Założę się, że oddałaby przednie zęby za twoją rolę w *Heather Duell*.

- Nie, gdyby to znaczyło, że ja jej nie będę miała. Cieszy się z mojego powodzenia. - Dostrzegła niedowierzanie w jego oczach. - Poważnie. Jest moją najbliższą przyjaciółką. W ciągu minionych pięciu lat przeżyliśmy razem wiele złego.

- Tym lepszy powód, by ci źle życzyć - stwierdził, skracając na długi, kolisty podjazd oświetlony po obu stronach japońskimi kamiennymi latarniami. - Pora zacząć odróżniać dziewczęta od kobiet.

Naturalnie zgubiła go w pierwszym wybuchu oślepiającego światła, dzikiego hałasu i zapachu perfum. Widziała kątem oka, jak uprowadza go Bob Lunt z William Morris o nawiedzonym wyrazie twarzy. Wkrótce obaj zastygli z pochylonymi ku sobie głowami niczym studenci drugiego roku zwarci w futbolowym pojedynku.

Ogłuszająca rockowa muzyka, Linda Ronstadt na przemian z Donną Summer, nadawała przyjęciu dziwnie schizofreniczny charakter. Daina rozpoznawała ludzi ze wszystkich głównych studiów, razem z niezależnymi producentami i reżyserami, których było zdecydowanie więcej niż aktorów.

- Ach! Daina Whitney.

Beryl Martin była potężną kobietą o głowie, która prawie do złudzenia przypominała łebek papugi. Jej podobny do dzioba nos stanowiłby dominujący element płaskiej, owalnej twarzy, gdyby nie godne uwagi zielone oczy, błyszczące na tle ziemistej skóry niczym szmaragdy.

- Cześć, Beryl!

Starsza kobieta zawirowała w nadzwyczaj zwinny sposób.

- No, jak ci się podobam? Chodzi mi o stronę fizyczną. - Roześmiała się, nie oczekując odpowiedzi. Ujęła Dainę pod rękę i powiodła do zatłoczonego baru, skąd

wzięła drinki dla nich obu.

- Musisz mi powiedzieć ~ zaczęła ciepło - jak udaje ci się żyć w tak przyjacielskich stosunkach z Chrisem Kerrem. Chodzi mi o to, że on... no cóż, wszyscy ci ludzie rocka, naprawdę, są takimi dziwakami. Albo... - domyślnie uniosła brew - może to sekret? - Zachichotała. - Oni są tacy *outré*.

- Uściskała Dainę. - To takie rozkoszne!

- To wcale nie tak - odrzekła Daina, ni to zaintrygowana, ni zdenerwowana. - Nie mam pojęcia, dlaczego wszyscy uważacie muzyków za tak niezrozumiałych. Myślę, że ludzie z naszego środowiska w większości zapraszają ich na przyjęcia tylko dlatego, że to ich ekscytuje i czują się lepsi od nich.

- Muzyków... - Beryl obracała to słowo w ustach niczym kęs jedzenia.

- Hm, nie. Muzycy to ludzie, którzy grają w orkiestrach symfonicznych czy combach jazzowych. Rock and roli jest grany przez... och, jak powinnam ich nazwać? Przez wyjętych spod prawa. - Wzruszyła mięsistymi ramionami.

- Nie wiem, oni wszyscy wydają się tacy głupi.

- No cóż, Chris taki nie jest - odparła Daina, trochę zezłoszczona tym, że musi go bronić. - Nie rozumiesz go, bo pochodzi z całkiem innego środowiska. Jest tu obcy. Wyobrażam sobie, że nadal czuje się nieprzyjemnie wśród was; przez tak długi czas nie posiadał niczego.

- Wyznam ci coś w sekrecie - zaczęła lekkim tonem Beryl. - Kiedy tu przyjechałam, miałam w kieszeni pięćdziesiąt centów. Mimo że ważyłam tylko sto piętnaście funtów, nie mogłam być modelką. - Odwróciła twarz do światła.

- Widzisz, mam drobnokościstą budowę. Ale tym samym mogło się poszczycić dziesięć tysięcy innych dziewcząt dużo ładniejszych ode mnie. Niektóre z nich faktycznie zrobiły karierę.

Ja, niestety, musiałam padać na kolana i brać w usta coraz bardziej wpływowe fiuty, żeby w końcu stanąć na nogi, jeśli można tak powiedzieć.

- Powtórnie wzruszyła ramionami. - Czasami to działało, a czasami mimo wszystko byłam wyrzucana. To bardzo nieczułe miasto. - Roześmiała się, rozsiewając w powietrzu delikatną mgiełkę alkoholu i śliny. Jej skóra była ciepła i sucha; pachniała Chanel nr 5.

- Pewnego dnia wpadłam na pomysł. Dosłownie w środku aktu. Byłam tak

podniecona, że prawie mu go odgryzłam. - Parsknęła rubasznym śmiechem.

- Obrabiałam pewnego dziennikarza, podczas gdy on rozmawiał przez telefon z klientką. Od razu poznałam, kim ona jest, i że ton jego głosu jest zdecydowanie fałszywy. Nie miał zdania.

W pewnej chwili ten sukinsyn położył rękę na mojej głowie i przycisnął mnie bliżej siebie. I wtedy mnie olśniło. Co ja tu robię, obciągając druta jakiemuś dupkowi, kiedy mogę załatwić tej aktorce dobrą prasę? Więc, cha, cha, trochę wyplułam mu na spodnie, a kiedy wyszedł do łazienki, znalazłam w jego rolodexie adres tej facetki.

Natychmiast po wyjściu z biura pojechałam do redakcji *Timesa* i szepnęłam Epsteinowi słówko na temat artykułu. I on to kupił. Teraz musiałam tylko przekonać aktorkę, żeby mnie zatrudniła.

Beryl wysuszyła szklaneczkę i z rozkoszą oblizwała wargi.

- No cóż, powiem ci, to było łatwiejsze, niż myślałam. Ona tak długo jechała na jałowym biegu, że zapomniała, co to znaczy być na pierwszym. Ten kawałek z *Timesa* był dla niej niczym doładowanie. Taki był początek. - Poklepała się po brzuchu. - Śniadanka, lunch, kolacyjki, i moja figura modelki zniknęła. Na początku byłam wściekła, ale potem pomyślałam: Co miałam ważyć sto piętnaście? Głowę między kolanami. Po pewnym czasie nauczyłam się kochać swoją tuszę. Obróciłam ją w część swego image'u. W każdym razie... - mrugnęła - teraz to mężczyźni wsuwają usta między moje uda. Cha, cha!

- Nie miałaś innej drogi? Beryl pokręciła głową.

- W czasach, o których mówię, nie. Teraz jest trochę inaczej: kobieta może wybrać sobie drogę.

Daina roześmiała się.

- Tak. Codziennie mówi się o wolności i swobodzie wyboru, ale na tym się kończy.

Otyła kobieta obrzuciła ją szacującym spojrzeniem.

- Dostrzegam w tobie coś więcej, niż Rubens mi powiedział. - Pokiwała głową. - Teraz rozumiem, dlaczego tak żywo interesuje się twoją karierą. Według mnie byłaś całkiem dobra w *Regina Red*, ale prasa - należałoby raczej rzec: jej brak - była skandaliczna. Trzeba było mnie zatrudnić w Paramount. Myślę, że Monty przegapił okazję. Powinien był dać ci jakieś gwarancje. Do diabła, gdybym to ja była na pokładzie *Regina Red*, zostałabyś wylansowana.

- Zrobił wszystko, co mógł - stwierdziła Daina. - Ostatecznie to była moja pierwsza rola główna.

- Do diabła, kochanie, nie można tak myśleć. Jeffrey Lesser miał cholerne szczęście, że dostał ciebie do tej roli. Tak. Cały ten film byłby do niczego bez porządnego, solidnego aktorstwa, a ty je zapewniłaś. - Beryl otoczyła ręką plecy aktorki! - Słyszałam też, że mu się postawiłaś.

- Och, znasz Jerry'ego. Uwielbia zastraszać ludzi. Marcie Boyd złamał w trzy dni. Zadręczył ją jedną - sceną... zrobił sto piętnaście ujęć... naprawdę bez powodu. Jest po prostu wrednym neurotykiem. Marcia za każdym razem coraz bardziej histeryzowała i w końcu trzeba było ją zastąpić. On uwielbia coś takiego.

- A co się stało, gdy próbował tego samego z tobą? - zapytała cichym, konspiracyjnym tonem Beryl. - Moim zdaniem nie wyglądasz na histeryczkę.

- Nie daję złamać się tak łatwo.

- Brawo! - Kobieta zacisnęła obie ręce na szklance. - Nie jesteś cykorem! - Mówiła jeszcze ciszej, więc Daina musiała pochylić się ku niej, by słyszeć ją w gwarze przyjęcia. - Ale próbował, prawda?

Pokiwała głową.

- Tak, próbował. Lecz ja po prostu stanęłam okoniem i odpłacałam mu pięknym za nadobne.

Beryl wyglądała na zdumioną.

- I nie wyrzucił cię ze studia? Daina roześmiała się.

- O, nie. Widzisz, dość wcześnie odkryłam, że Jeffrey czuje się dużo bezpieczniej, gdy zrazi do siebie całą obsadę, ponieważ jest przekonany, że to wywołuje pożądane napięcie twórcze.

- To prawda?

Aktorka wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Myślę, że robi tak, bo to on funkcjonuje najlepiej w takich warunkach. Zobaczyłam, co się dzieje między nim a Marcia, i nauczyłam się nim kierować.

- Spryciula! - Beryl z uczuciem ścisnęła ją za ramię.

- O czym rozmawiacie? - zapytał Rubens, który wyłonił się z tłumu i zatrzymał obok nich.

- Och, o niczym, co by cię mogło interesować - odparła bezceremonialnie gospodyni przyjęcia. - Takie tam babskie ploteczki. - I zaśmiewając się gromko zostawiła ich.

- Co tu jest grane? - zapytał. - Od dawna nie widziałem Beryl tak roześmianej.

- Pokrewieństwo dusz - odparła Daina. - Myślę, że doszliśmy do porozumienia.

- To wspaniale. - Wyglądał na nadzwyczaj zadowolonego.

Zerknąwszy na wirujący tłum gości, Daina ujęła Rubensa pod rękę i odwróciła w inną stronę.

- Chryste - jęknęła. - Chyba idzie tu Ted Kessel.

- Nie lubisz go?

- To łasica! Życie jest dla niego niepełne, jeżeli kogoś nie robi na szaro.

Wiesz, że *Regina Red* początkowo miała być filmem wytwórni Warners?

- Jasne.

- No cóż, to Kessel sprzeciwił się w ostatniej chwili. I wiesz, dlaczego? Stwierdził, że rola główna powinna być powierzona komuś o bardziej kasowym nazwisku. Denerwował się, bo ja nie byłam dość znana i, jego zdaniem, stanowiłabym ryzyko.

- Ciekaw jestem, co wymyślił, by wyjaśnić twój sukces swoim szefom.

Kessel zobaczył ich i faktycznie ruszył w ich stronę. Miał krótko obcięte białe włosy; jego podgardle było różowe i gładkie dzięki goleniu zwyczajną brzytwą i gorącym okładom. Nosił brązowe luźne spodnie i kurtkę safari zapiętą tylko na jeden guzik, przez co widać było bezwłosą klatkę piersiową i raczej okazały brzuch piwosza.

- Daina, co ty robisz z tym piratem! - zawołał kordialnie. Klepnął Rubensa po plecach, pochylając się do przodu. - Małe tete-a-tete w interesach czy dla przyjemności? Macie zamiar się skojarzyć?

- Prawdę mówiąc, jedno i drugie - odparł producent. - Planujemy z Dainą następny film.

- Już? Przecież jeszcze nie jesteście nawet w połowie tego.

- Ted - wyjaśnił Rubens, obejmując go ramieniem - kiedy odnosi się sukces,

trzeba planować z wyprzedzeniem.

Kessel nawet nie wspomniał o *Regina Red*. Jego rybie oczy przesuwają się z aktorki na producenta.

- Przypuszczam, że Twentieth ma opcję.

Rubens odczekał dłuższą chwilę, nim spojrział na Dainę i powiedział: - Nie, nie ma.

- Poważnie? Masz już jakieś studio na oku? - Daina nieomal mogła zobaczyć, jak Kessel się oblizuje. - Znasz moją pozycję w Warners, Rubens. Szepnij tylko słówko, a rano ci odpowiem. - Teraz, gdy sprawy zaszły tak daleko, zwracał się wyłącznie do producenta.

Ten przybrał powątpiewający wyraz twarzy.

- No, nie wiem, Ted. Przecież nie masz zielonego pojęcia o tym projekcie.

Tłuste palce Kessela zatrzepotały w powietrzu. Był na tropie i nic nie mogło go powstrzymać.

- To nie ma znaczenia. Wszystko zależy wyłącznie od ciebie, Rubens. Twoje nazwisko znaczy tyle samo, co złoto.

- I Dainy. Jej nazwisko też.

- Tak, tak. Oczywiście - rzucił spiesznie Kessel. - Wszyscy słyszeliśmy same dobre rzeczy o *Heather Duell*.

Rubens mając świadomość, że rozmówca pragnąłby dowiedzieć się jak najwięcej o rzekomo planowanym filmie, rzekł:

- Chcielibyśmy dostać jak najwięcej gwarancji.
- Hej, a od czego ja tu jestem? Wszystko można załatwić, wierz mi.
- Och, wierzę ci, Ted - oświadczył producent, znów obejmując go ramieniem. - I jestem pewien, że Daina też ci wierzy. Ale widzisz... - Rozejrzał się. - Ted, powiem ci coś w największym zaufaniu...

- Tak? - Policzki mężczyzny załśniły, gdy zaczął węszyć smaczny kąsek.
- Jakiegolwiek by to studio było - zaczął z całą powagą Rubens - nigdy nie będzie należało do wytwórni Warner Brothers. - Wybuchnął śmiechem, gdy Kessel wyrwał się ze złością z fałszywie przyjacielskiego uścisku i z zaczerwienioną twarzą i karkiem wymaszerował z pokoju.

- Widzę, że nie jedziemy do mojego domu - stwierdziła. Nie mogła nic

poradzić na cyniczny ton; miała wrażenie, że jest jej jedyną obroną.

Jeżeli się tym przejął, nie dał tego po sobie poznać. Odpowiedział poważnie:

- Nie. Wiem, że kochasz morze.

Dokładnie w tej chwili, jak gdyby na magiczny rozkaz największego z prestidigitatorów, z Pacific Palisades wyjechali na krętą, spokojną drogę do Malibu.

Daina dotknęła przycisk, otworzyła okno na całą szerokość i wyłączyła radio. W ciszy słyszała syk fal przybrzeżnych, stały i krzepiący jak bicie serca. Ale gdy podjechali bliżej, widok ospałego Pacyfiku wywołał u niej atak nostalgii za surowym, granatowym Atlantykiem, walącym twardo w ostre skały, przykrywającym je chmurami białej piany i zmywającym wodą tak zimną, że skóra na niej cierpła, a wargi robiły się sine.

Długi lincoln, mrużąc cicho, sunął po Old Malibu Road. Mijali milczące, ciemne domy ustawione tak, że Daina widziała tylko przerywane błyski morza.

- Robi się późno - powiedziała odruchowo. - Jutro czeka mnie praca.
- Wszystko w porządku.

Zatrzymali się gładko przed pasem nagiej plaży. Niewiarygodne, nie było tu żadnego domu.

- Gdzie jesteśmy?
- Chodź - rzekł, wysiadając z samochodu.

Wysiadła, odetchnęła głęboko morskim powietrzem. Przynajmniej ono jest takie samo, pomyślała, wdychając bogaty zapach oceanu, soli, fosforu i czegoś więcej, amalgamatu stworzeń pływających, unoszących się, falujących w jednym nieprzerwanym łańcuchu.

Spojrzała na Rubensa nad lśniącym dachem wozu. Zdjął marynarkę i teraz, stawiając jedną stopę przed drugą, zzuwał buty.

Wyciągnął rękę, a ona przeszła na drugą stronę lincolna i ujęła ją, drżącą, i pozwoliła mu przeprowadzić się przez drogę, na plażę. Na wpół biegnąc, potykając się i grzęznąc w piachu, minęli sznur świateł po prawej stronie, znaczących jakby kraniec cywilizacji. Znaleźli się na nowym i niezbadanym terytorium. Dotarli do skraju wody, lecz on pociągnął ją dalej. Schyliła się, zsunęła buty i - sama nie wiedząc dlaczego - weszła za nim.

Z początku uwięzione powietrze wybrzuszało ich ubrania, ale po chwili

ucieкло i materiał, teraz ciężki jak ołów, przylgnał szczelnie do skóry.

Zaczęli płynąć, zostawiając brzeg za sobą. Rubens, wysunięty nieco do przodu, wskazywał drogę. Byli prawie przy łodzi, nim Daina zdała sobie sprawę, że jest ona punktem ich przeznaczenia.

Był to długi na trzydzieści trzy stopy słup, stojący na kotwicy i zacumowany do boi. Przy jego łagodnie wygiętej burcie Rubens wyrzucił w górę długie, muskularne ramiona. Jego palce najwyraźniej zacisnęły się na czymś, bo przez parę sekund wisiał częściowo w powietrzu, nim z pluskiem nie zsunął się do wody. Ściągnął sznurową drabinkę, śliską od wodorostów.

- Wchodzisz?

Daina drgnęła i spojrzała w górę. Łódź piętrzyła się w ciemności ponad jej lewym ramieniem. Z góry wyciągnęła się ku niej ręka; Rubens już wspiął się na pokład. Podniosła w wodzie jedną nogę, trochę niechętnie przygotowując się do opuszczenia środowiska, w którym jej ciało ważyło tak niewiele.

Impulsywnie wsunęła głowę pod wodę i otworzyła oczy, jak gdyby dzięki temu mogła lepiej słyszeć. Trwała tak, póki płuca nie zmusiły jej do wynurzenia, lecz nie usłyszała niczego poza przytłumionym, niemym hukiem, trudnym do określenia, prawie bezdźwięcznym, jak gdyby był to ostry, właśnie rozpoczynający się ryk entropii ogarniającej wszechświat - krainę poza czasem, gdzie wszystko rodzi się i umiera jednocześnie, poznawalną i anarchiczną zarazem. Wychynęła na powierzchnię, potrząsnęła głową, by pozbyć się wody z oczu i nosa, zaczerpnęła ustami nocne powietrze. Z nieokreślonego powodu czuła się pokonana i smutna. Odetchnęła głęboko i sięgnęła do ręki Rubensa.

• Łowisz? - zapytał, podając jej puszysty granatowy ręcznik. - Złapałem z tej łodzi wiele ryb głębinowych. Jest do tego idealna.

• Nie. Nie lubię łowić. - Schyliła głowę, żeby osuszyć włosy.

• Nie - powiedział. Przytrzymał ręcznik tak, że musiała go opuścić. Jej oczy, jarzące się w poświacie księżyca, były wyraziste i migotały niczym gwiazdy. - Proszę. - Znieruchomiła, patrząc na niego, z grubym ręcznikiem udrapowanym na szczupłych nadgarstkach jakby w przygotowaniu do jakiejś ceremonii. - Podobają mi się twoje wilgotne włosy. Wyglądasz jak syrena.

• Wydawał się lekko zakłopotany własnymi słowami. Odwrócił się nieco.

- Co p niej myślisz? - Rozpostarł szeroko ramiona.

Daina rozejrzała się po łodzi. Miała jeden maszt, płaski pokład, niską rufę. Na dziobie dostrzegła lekkie wzniesienie białej kabiny.

- Jest piękna - odparła. - Ale co robisz, kiedy trafiasz na spokojną wodę? Rubens uśmiechnął się.

- Pod pokładem jest diesel. Osłona wybrzusza linię stępki, przez co łódź ma większe zanurzenie i jest wolniejsza od innych, jednak zdecydowanie bardziej stabilna w czasie paskudnej pogody. Naturalnie dzięki temu jest również więcej przestrzeni.

Rozmowa o łodzi szybko poprawiła mu samopoczucie. Usiadł niedbale na mostnicy po lewej burcie, z ręcznikiem na karku, plecami do lądu, wyciągając nogi przed siebie.

- Nie przypuszczałam, że masz łódź.

Roześmiał się.

- Nie. Trzymam to w sekrecie. Czasami po prostu muszę uciec od wszystkich i od wszystkiego. Tenis jest moim sportem towarzyskim; tyleż przyjemnością, co sposobem na załatwianie interesów. - Znów się roześmiał; lekki, beztroski dźwięk. - Wiesz, jacy są faceci. Kolegują się, trochę się poopalają, trochę razem postękają i od razu myślą, że mogą sobie ufać. To nasza forma madżonga.

Poderwała się jak oparzona.

- Sugerujesz, że gra w madżonga jest jedyną rzeczą, z jaką mogą sobie radzić kobiety?

- No cóż, ja z pewnością nie znam żadnej innej - odrzekł żartobliwie, lecz widząc jej wyraz twarzy szybko dodał: - Słuchaj, wcale nie to miałem na myśli. Ja tylko... Jezu, Daina, o czym my mówimy? Wiem, że nie jesteś kolejną Bonnie Griffin. - Bonnie Griffin była wiceprezesem w Paramount i, jak Rubens wiedział, Daina miała z nią do czynienia w czasie kręcenia *Regina Red*.

- Co to, u licha, ma znaczyć?

Rubens być może zaczynał podejrzewać, iż dołał oliwy do ognia, myśląc, że to woda, ale nie wyglądał na człowieka gotowego się poddać.

- Wiesz bardzo dobrze. Oboje wiemy, jaka ona jest. Lubi wydzierać się, jak tylko ma okazję.

- I myślisz, że ja też tak robię. - Jej oczy płonęły dziko w blasku księżyca, co czyniło ją jeszcze bardziej ponętną.

- Wcale tak nie powiedziałem. Chodzi mi tylko o to, hm... wiesz, jakie są dziewczyny, gdy są razem...

- Nie. Jakie są? - Lecz w rzeczywistości wiedziała bardzo dobrze.

- Na miłość boską, chciałem tylko powiedzieć, że faceci są tacy sami. Nie masz powodu, by urywać mi głowę.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Wokół nich fale pluskały radośnie jak rozdokazywane dzieci. Rytmiczny szcęk takielunku brzmiał jak uspokajająca litania, przywodząca na myśl krainę snu i tańczących cukierków. Przed oczyma wyobraźni Dainy przemknęły szybkie i jasne jak błyskawica obrazy: letnie dni i noce dzieciństwa na Cape Cod.

- Jest cholernie dobra jako wiceprezes - stwierdził Rubens. - Jednak mieć z nią do czynienia to samobójstwo.

- Tylko dlatego, że... - zaczęła Daina i urwała. Kołysali się na fali przyływu. - Tak, masz rację.

Uśmiechnął się do niej i napięcie minęło, tropikalny prąd przełamał straszną lodową krę. Mężczyzna westchnął, chociaż równie dobrze mógł to być szum wiatru, i podszedł do niej - zwinne nocne stworzenie, na które miała szczęście natknąć się w środku nocy.

Malejąca przestrzeń między nimi była naładowana promieniującym z niego magnetyzmem, a w końcu Daina została objęta otoczką generowanego przez niego żaru. Serce skoczyło jej do gardła, jakby znajdowała się w szybko opadającej windzie. Jeszcze jej nie dotknął, ale światło księżyca, perłowe krople morskiej wody spływające powoli z jego skóry na pokład, sposób, w jaki na wpeł rozpięta koszula przywierała do mięśni klatki piersiowej, wszystko to sprawiało, że wyglądał prawie podniecająco. Sutki jej zeszywniały, uda ogarnęły płomienie, pragnęła go aż do bólu, i zobaczyła nieuchronny koniec tej długiej nocy prawie tak wyraźnie, jakby został jej przepowiedziany. Nieświadomie wysunęła język, zwilżyła górną wargę. Usta miała suche jak po pokonaniu pustyni.

Niemal fizycznie czuła jego spojrzenie; oczy na moment ześliznęły się niżej, gdzie mokra, oblepiająca ciało bluzka otwarła się na tyle, że widać było szczelinę

między piersiami, potem wróciły na twarz. Rzęsy miała ciężkie od wody, a włosy, pociemniałe i mokre, opadały pasmami na uszy i ramiona jak wodorosty. Miała wrażenie, że faktycznie jest wspomnianą przez niego syreną.

- Chodź tutaj. - Szept był tak cichy, że nie miała pewności, czy naprawdę wyszedł z jego ust. Zdawał się tak miękki i zarazem surowy, jak noc przychodząca znad morza, niosąca ze sobą niepokojący zapach dalekich krajów, które musnęła po drodze: Tahiti, Fidzi, nawet Japonii, unoszących się spokojnie po drugiej stronie świata.

Podeszła do niego, do jego piersi, które buchały gorącem jak przegrzany silnik, i westchnęła, gdy jej sutki zetknęły się z jego skórą, a potem rozchylone wargi opadły na jej usta. Ich języki spotkały się, jego dłonie zsunęły się na jej pośladki - została uniesiona w górę, z wygiętymi w łuk plecami - czubki palców delikatnie pieściły ją między udami i przyciskały do niego. Kiedy jej łono znalazło się na wysokości stwardniałego pod lekkimi spodniami członka, kuliście poruszyła biodrami; wciąż się całowali.

Objęła go za szyję, gładziła kark, później przesunęła ręce w dół, czując szorstki materiał koszuli i sprężyste mięśnie pleców. Wyszarpnęła koszulę zza paska, wsunęła dłonie pod spód, wędrując nimi w górę; jej obcięte po męsku paznokcie przyprawiały go o dreszcz.

Rubens już rozpiął guziki z tyłu jej spódnicy i teraz rozwijał ją niczym pelerynę dziewczyny z haremu, dopóki tkanina nie spłynęła na pokład i nie legła ciemną kałużą u jej stóp: doskonały kwiat z krepy, z którego wyrastała Daina. Przycisnął jej biodra do swej pachwiny i Daina jęknęła, jedwab bikini nagle stał się dręczącą przeszkodą dzielącą ją od upragnionej, rozżarzonej twardości.

On rozpinał jej bluzkę, ona zaś gładziła go po piersiach i bokach, czując napięte mięśnie. Rozchylił materiał, zamknął dłonie na jej piersiach. Usłyszała jęk, gdy poczuł, jak twarde są jej brodawki, i jego głowa gwałtownie opadła w dół, gorące usta przywarły do piersi.

Kiedy zaczęła porywać ją fala rozkoszy, znów pomyślała o nieuchronności tej chwili, ale tym razem efekt był inny.

- Nie - powiedziała. - Przestań. - Ujęła w ręce jego głowę i oderwała zachłanne usta od swego ciała.

- O co chodzi? - Jego głos był napięty i stłumiony.

Skrzyżowała ręce na piersiach, odwróciła się od niego, wystawiając twarz na wiatr. Poczowała się zagubiona, bezwolna, jak gdyby ta nieuchronność nie była już czymś, czego chciała, lecz zaledwie życiowym przypadkiem, na który natknęła się w ciemności. Strach zacisnął na niej swe lodowate palce, przyprawiając ją o drżenie. Poczowała rękę Rubensa w zgięciu łokcia, kostki musnęły wrażliwą pierś. Odtrąciła dłoń bez słowa.

- Co ja zrobiłem?

Nie mogła nawet mu odpowiedzieć. Pomyślała o Marku, przeklęła go, bowiem nadal go pragnęła, wewnętrzny ogień nie chciał zgasnąć tak łatwo, gniew jeszcze nie ucichł tak, jak powinien, jak miał w przyszłości.

- Daino...?
- Cicho - wyszeptała. - Proszę.

Może gdyby mu powiedziała, odczułaby ulgę, ale nie mogła. Próbowwała dwa razy, lecz była bezradna jak niemowa. Nie chciała wrócić, nigdy nie wróciłaby do Marka - serce jej zamarło jak przeszyte strzałą - a jednak stare uczucie nie chciało zmaleć, nie chciało jej opuścić.

Podeszła do relingu, zapatrzyła się w morze. Noc była chłodna, ale delikatnie pluskająca woda ciepła. Pacyfik, pomyślała nagle, został trafnie nazwany. Jak samo Los Angeles był zbyt senny i zadowolony, by zaatakować niezmienny wzór, do którego przyzwyczaił się przez długie lata. Nic nie mogło go zmienić, tak jak nic nie mogło zmienić miasta. Los Angeles istniało, wysysając żywotne siły, przekształcając je w światło słońca i smog, palmy i mercedesy, dryfujący odór pieniędzy, który wszyscy wdychali niczym aromat pływających liści lotosu i, jak załoga Ulissesa, odmawiali ruszenia w dalszą drogę...

Odwróciła się do Rubensa, który czekał nieruchomo jak posąg, nie spuszczać z niej oka. Wiedziała teraz, co musi zrobić: ulec egoizmowi; albo to, albo rozwieje się jak kłęb dymu w mgiełce L.A. On był jej ostatnią deską ratunku; tylko on mógł ją dziś uratować, jego siła, jego sącząca się w nią moc.

Ruszyła ku niemu, z nabrzmiałymi piersiami, z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, i gdy znalazła się tak blisko, że ich ciała musnęły się, przyciągnęła do siebie jego głowę, jego usta zamknęły się na jej drżących z przerażenia wargach - w głębi

duszy bała się, że jego zatrważająca energia strawi ją jak płomień nieodparcie przyciągający cme.

- Moje piersi - wyszeptala, kiedy ją objął. Pochylił głowę, jego ręce przesunęły się po jej nagiej skórze i delikatnie podniosły piersi ku otwartym ustom.

Daina odrzuciła w tył głowę, długa, wspaniała szyja wygięła się w łuk, powieki zatrzepotały, gdy poczuła przenikającą ją iskrę, początek pożaru rozprzestrzeniającego się w dół przez brzuch do pochwy. Mimowolnie rozsunęła uda i zaczęła pocierać łonem o jego pachwinę, w górę i w dół, aż westchnął.

On nie odrywał się od jej piersi, póki nie spłynęły potem i śliną, a sutki nie zaczęły boleć. Spowił ją żar i wydawało się niewiarygodne, że oddycha tlenem; nocne powietrze przemieniło się w piżmo.

Jęknęła cicho, sięgając do klamry jego pasa. Kiedy zrzucił spodnie, natychmiast ujęła jego męskość w palce, gładziła delikatnie, pocierała dwie włochate kule. Jęknął wodząc językiem w szczelinie między jej piersiami. Palcami pieścił uda wokół skraju majtek.

I w końcu byli całkiem nadzy, ciało przywierało do ciała. Ujęła fallusa w palce i czując, jak nabrzmiwa w jej dłoni, pocierała koniuszkiem wokół ust, aż to rozkoszne tarcie nie stało się dla niej zbyt trudne do zniesienia.

Wtedy połączyli się, aksamitny kontakt wyrwał jęk z ich krtani, gdy penis wsuwał się w nią na całą długość. Kontakt trwał w nieskończoność, napełniał jej brzuch, sięgał po gardło. Płonęła. Jej uda dygotały i piersi drżały, kiedy ogarniał ją wir emocji. Twardy brzuch falował w urywanym oddechu, zderzając się z jego brzuchem.

- Nie mogę... - zdołał wydyszeć. - Przepraszam... och... - W tej samej chwili opuścił głowę, przycisnął usta do rozkołysanej piersi, sięgnął do pośladków, a ona poczuła się jakby rozszczepiana na dwoje przez niewyobrażalne gorąco.

Usłyszała jego jęk po raz ostatni i przyciągnęła go kurczowo do siebie, jego gwałtowne pchnięcie wycisnęło jej powietrze z płuc. Szczytowała. Nie zdając sobie sprawy, co czyni, przygryzła skórę na jego ramieniu, smakując sól i zapach jego podniecenia, w tym momencie jej mięśnie zaczęły się kurczyć. Poczuła początki jego eksplozji, gdy dochodziła całą sobą, krzycząc i próbując stopić się z jego twardym, tryskającym żarem ciałem.

Później bez słowa skoczyli za burtę i przetaczali się wokół siebie na falach, beztroscy i zachwyceni, dotykając się od czasu do czasu lekko pomarszczonymi

czubkami palców rąk i nóg. Niekiedy stykali się biodrami i wtedy Daina czuła wstrząs, jakby złapała za przewód pod napięciem, prawie zbyt intensywny do zniesienia - jej ciało stało się tak wrażliwe, że wszelki kontakt graniczył z bólem.

Wrócili na pokład i Rubens powiódł ją na dół, otworzył iluminatory i zapalił przyćmione światło. Pod pokładem mieściła się łazienka, maleńki kambuz wyposażony w sprzęt z nierdzewnej stali, jadalnia ze stołem i ustawionymi naprzeciwko siebie kanapami, które można było zamienić w podwójne łóżko.

Rubens zaczął krzątać się w kambuzie, przygotowując jajka z bekonem i kawę. Na wodzie było bardzo spokojnie i Daina, wyłóżając słuch, usłyszała wreszcie ciche, przedłużone dźwięki, których szukała wcześniej w morzu. Rozpoznała dialog wielorybów, głęboki i odbijający się echem w nieskończonych korytarzach Pacyfiku. Olbrzymie ssaki poruszały się bezszelestnie; ani uderzenia czarnych płetw, ani szum wysokich pióropuszy wydmuchniętej wody, ani plusk garbatych lśniących grzbietów, gdy wyskakiwały dla zaczerpnięcia długiego oddechu przed kolejnym zanurzeniem, nie zakłócały tajemniczych odgłosów towarzyszących im w w głębinach.

Zbliżyła się do iluminatora i, czując łagodny nocny wiatr na twarzy, chłonęła dźwięki. Łzy zamgłyły jej oczy i spłynęły po policzkach, gdy wspomniała jasne, gorące dni ostatniego lata, jakie spędziła z ojcem przed jego śmiercią. Rozmowy wielorybów przywiodły jej na myśl dni i noce na Cape Cod, wspomnienia - szkiełka zabarwione przez czas - wirowały w dziecięcym kalejdoskopie jej wyobraźni.

Zacisnęła szczelnie powieki, nie mogła więc widzieć, jak jej ręce zaciskają się w drobne, białe pięści, jak paznokcie wbijają się w dłonie. Później miała znaleźć ślady, półokrągłe serie czerwonych prążków, i zastanawiać się nad pochodzeniem tych stygmatów, jednakże teraz wytarła załzawione oczy i otrząsnęła się. Rubens, zajęty po drugiej stronie kabiny podsmażaniem skwierczącego bekonu i precyzyjnym rozbijaniem jaj, nie widział ani nie słyszał niczego. Nim do niej podszedł, dumnie dzierżąc dwa talerze z parującym jedzeniem, Daina znów była kobietą, z którą kochał się parę chwil wcześniej.

2

W trwającej zdawałoby się wiecznie chwili przed strzałem James Duell wykrzyknął jej imię.

- Heather!

Spokojny poranek w leżącej na południu Francji willi, do której zaproszono ich na tydzień, został gwałtownie przerwany przez ryk materiałów wybuchowych i chrapliwe szczekanie broni maszynowej.

Niektórzy z gości nie mieli pojęcia, co zapowiadają te dźwięki, i ci patrzyli na siebie w niemym zdumieniu. Ale inni - jak James i Heather, jak srebrnowłose amerykański sekretarz stanu Bayard Thomas - byli z nimi obznajomieni i rozpierzchli się w poszukiwaniu osłony.

Willa padła ofiarą brutalnego, błyskawicznego ataku, który zmusił amerykańskich i izraelskich agentów służb specjalnych do porzucenia wyznaczonych pozycji i rozbiegnięcia się po terenie.

Dzień był jasny, światło ostre. Podnosiła się mgła. Wysoka żelazna brama leżała poskręcana i połamana tam, gdzie rzucił ją wybuch. Przez powstałą lukę wdarło się może dwadzieścia postaci w oliwkowoburych mundurach polowych bez żadnych oznaczeń i dystynkcji. Większość z nich była uzbrojona w lekkie pistolety maszynowe MP40. Rozsmarowana sadza czyniła ich twarze groteskowymi i nierozpoznawalnymi. Prowadził ich wysoki, barczysty mężczyzna z gęstym zarostem i jasnobrązowymi oczyma. W pewnym momencie zatrzymał się i wydał rozkazy swoim ludziom, którzy nie dbając o własne bezpieczeństwo rzucili się w stronę willi.

- Dopilnujcie, by wszyscy zostali zabici! - ryknął brodac. Jego dziwnie akcentowany angielski zagłuszył na chwilę huk wystrzałów.

Ludzie ze służb specjalnych padali podziurawieni kulami. Jeden używając martwego towarzysza jako tarczy cofał się, póki nie dostał się w śmiercionośny ogień krzyżowy. Drugi zabrał rannemu terrorystce MP40 i siał spustoszenie, zanim celny strzał w twarz nie odrzucił go na bok. Jeszcze inny uciekał zygzakiem, wyciągając w drodze walkie-talkie spod powiewającej marynarki. Został zastrzelony, w chwili gdy zaczął mówić.

Pozostali przy życiu agenci ostrzeliwali się i tu i ówdzie na przesiąkniętą krwią ziemię osuwali się unieszkodliwieni terroryści. Niestety, fala napastników parła niewzruszenie do przodu, całkowicie eliminując zdziesiątkowaną już ochronę.

James Duell zdołał wyrzeć przez najbliższe, roztrzaskane okno. - Jezu Chryste! - mruknął. Spiesznie zniżył głowę, bo przez okno sypnął się grad kul. Ludzie wrzeszczeli, gdy pociski siekły drewnianą boazerię po drugiej stronie pokoju. Duell

odwrócił się do żony.

- Kim oni są? - zapytała.
- Bez wątpienia OWP. Wiesz, po co przyszli. Gdzie jest Rachel?
- Była w kuchni, gdy ostatni raz...
- Chodź! - Wyskoczył z kryjówki za pluszową sofą. Susan Morgan, drobna brunetka mniej więcej w wieku Heather, zabiegła mu drogę, gdy pędził przez salon w kierunku otwartej wnęki i kuchni.

- James, czekaj...! - krzyknęła Heather.

Wielkie, okute żelazem drzwi willi stanęły otworem. Wpłynął przez nie gęsty biały dym, przyprawiający Heather i Susan o atak kaszlu, z którego wyłoniło się dziesięć postaci. Po chwili weszła jeszcze jedna osoba, podtrzymująca rannego towarzysza.

- Nie ruszać się!

Brodaty mężczyzna zatrzymał się tuż przy drzwiach. W rękę trzymał pistolet maszynowy MP40. Zaraz za nim po prawej stronie stanął niski mężczyzna o ciemnej karnacji. Miał ponury wyraz twarzy i oczy gryzonia. Niósł nieco większy automatyczny karabin AKM. Po drugiej stronie brodacza przystanąła kobieta o posągowych kształtach, lśniących czarnych włosach, wysokich kościach policzkowych i lekko skośnych oczach Azjatki. Była ubrana identycznie jak mężczyźni, a u biodra trzymała MP40.

W chwili gdy drzwi otworzyły się z hukiem, James Duell zatrzymał się i odwrócił, by sprawdzić, co się stało, i teraz znajdował się na otwartej przestrzeni między żoną a wejściem do kuchni.

- Fessi - odezwał się brodac, rozglądając się po pokoju i mierząc wzrokiem zmrożone, przerażone twarze Bayarda Thomasa, jego doradcy Kena Rudda, Susan, Heather, Freddie'ego Bocka, ich gospodarza przemysłowca, MacKinnona i Davidsona, dwóch angielskich członków parlamentu, Renę Loucha, francuskiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych, i Michela Emouëura, jego attaché o bardzo młodym wyglądzie. - Sprawdź, gdzie jest dziewczyna.

Mężczyzna o oczach gryzonia ruszył przez salon, mijając pobladłą pokojówkę i lokaja, tak jakby nie istnieli. Był może jard od Jamesa, gdy w kuchennej wnęcie coś się poruszyło.

Nadchodziła Rachel. Była to ciemnowłosa, może trzynastoletnia dziewczynka o pięknej twarzy, której rysy już zdawały się nieco surowe. Miała ogromne, jasnobłękitne oczy. Natychmiast ogarnęła nimi całą scenę.

W człowieka o szczurzych oczach jakby coś wstąpiło. Jego ramiona napięły się, gdy przesuwiał lufę AKM w kierunku nastolatki. Palec zbiegał na spuście, a na czole zaczęła pulsować nabrzmiąta żyła. James, na wpół odwrócony w jego stronę, zobaczył wypełzającą na twarz terrorysty czystą nienawiść.

W tej samej chwili rzucił się między wychodzącą z kuchni Rachel a lufę AKM. Zasłonił dziewczynkę własnym ciałem. Powietrze nie było już spokojne. Zabrzęczał w nim rój pocisków w stalowych koszulkach, wystrzelonych z lufy automatycznego karabinu.

Heather, stojąca jak sparaliżowana przy końcu sofy, usłyszała, jak mąż wykrzyknął jej imię, bardzo głośno, bardzo czysto, a ułamek sekundy później jego ciało zostało przeszyte kulami i rzucone w tył na Rachel. Dziewczynka złapała go i zatoczyła się, gdyż okazał się dla niej za ciężki. Duell osunął się powoli do jej stóp i, trzepocąc powiekami, znieruchomiał w kałuży własnej krwi.

Brazowe oczy brodacza uważnie obserwowały Rachel.

- Tak - powiedział. - Córka premiera Izraela.

Jego słowa przełamały czar, który paraliżował Heather. Rzuciła się do męża. Wysoka kobieta stojąca obok brodatego mężczyzny zrobiła ruch, by ją zatrzymać, ale przywódca terrorystów odepchnął ją i sam złapał wolną ręką nadgarstek przemykającej obok Heather. Ta zawirowała, krzyknęła i stanęła z nim twarzą w twarz.

Spojrzał jej w oczy, studiując z uwagą to, co w nich znalazł.

- Otwórz moją lewą kieszeń bluzy na piersiach - rzekł zimno.
- Puść mnie! - krzyknęła. - Zastrzelił mego męża!
- W kieszeni znajdziesz cygaro. Włóż mi je do ust. Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Zwariowałeś! Mój mąż jest ranny!

- Może umrzeć - oznajmił brodacz - jeżeli zaraz nie zapalę. - Ty skurwysynu!

- Rób, co kazałem - polecił mężczyzna, zacieśniając palce na jej nadgarstku

tak, że skrzywiła się z bólu. - To lekcja, której musisz się nauczyć; jedna z wielu.

Heather obrzuciła wzrokiem pokój. Spojrzała na Jamesa i zagryzła wargi. W końcu, powoli, podniosła rękę do piersi mężczyzny, wsunęła palce do kieszeni. Wyjęła cygaro, długie i czarne, i włożyła ostrożnie terrorystce między zęby.

- Zapal je - nakazał, ani na chwilę nie spuszczać z niej oczu. Kobieta szarpnęła się, jej włosy zafalowały w powietrzu, a on dodał: - Twój mąż czeka na ciebie, może to jego ostatnie chwile.

Ręka Heather powędrowała do kieszeni munduru. Wyjęła chromowaną zapalniczkę, przytrzymała płomień przy czubku cygara. Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu błyskając trzema złotymi koronkami.

- Tak jest dużo lepiej - stwierdził. Wydmuchnął dym, gdy chowała zapalniczkę do kieszeni.

- Puść mnie. Powiedziałaś, że...

Rozejrzał się po pokoju, rozkoszując się widokiem ściągniętych ze strachu twarzy. Jego mina jasno dawała do zrozumienia, że sprawia mu to przeogromną przyjemność.

- Kiedy powiem to, co mam do powiedzenia. - Tym razem nie patrzył na Heather. Zwracał się do obecnych. - Panowie - zaczął niespiesznie, żując cygaro - panie, wszyscy jesteście teraz zakładnikami Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Jesteście bezradni. Wszelkie próby stawiania oporu są bezcelowe. Ochrona, jaką nigdy mieliście, została wyeliminowana. - Susan Morgan jęknęła. - Mamy willę; mamy was. Panie sekretarzu stanu, panie ambasadorze, obecnie wasza wartość dla świata jest dużo większa niż dla nas.

W trakcie tej przemowy jego głos nabierał barwy i tonu, które nakazywały nie lekceważyć wypowiedzianych słów.

- Bierzemy udział w wojnie - i, nie popełnijcie błędu; wszyscy jesteśmy w nią wmieszani - w wojnie o wolność i sprawiedliwość. Palestyński naród został ograbiony ze swej ojczyzny - pozbawiony praw do swojej ziemi - przez syjonistycznych intruzów.

Jesteśmy tutaj, by odzyskać należący do nas prawowicie kraj. OWP musi zostać uznana przez Izrael i Stany Zjednoczone jako rzecznik ludu Palestyny; jesteśmy wyrazicielami jego woli. Nasz kraj musi zostać nam zwrócony; trzynastu

naszych braci, torturowanych przez syjonistów, musi zostać zwolnionych z więzienia w Jerozolimie. Te warunki muszą zostać spełnione, w przeciwnym razie zginiecie. Ale... - podniósł palec wskazujący - jeżeli będziecie z nami współpracować, wszystko będzie dobrze; nikomu nie stanie się krzywda.

Raz jeszcze omiół wzrokiem twarze obecnych.

- Jestem El-Kalaam. Zaznajomicie się dobrze z tym nazwiskiem. I, jeżeli szczęście wam dopisze - jeżeli wasze rządy okażą się rozsądne - będziecie je błogosławić za to, że nie stało się nazwiskiem waszego kata.

Powiedziawszy to, puścił nadgarstek Heather, a ta pobiegła na wpół schylona do leżącego u stóp Rachel półprzytomnego Jamesa.

- Idiotka! Powinnaś była do mnie zadzwonić - nawet do studia.
- Och... no cóż. Wiem, jaka jesteś w towarzystwie Chrisa.

Niebieskie oczy Maggie McDonell spojrzały z wymówką z drobnej owalnej twarzy, której skóra, barwy i delikatności porcelany, usiana była ślicznymi piegami. Jej długie włosy koloru masła wyglądały jak naelektryzowane. Miała lekką, ptasią budowę; zgrabnej, łagodnie zaokrąglonej figury modelki nie psuł żaden ostry kontur. Ubrania spowijały jej szczupłą postać absolutnie doskonale.

Daina, wyczerpana, rzuciła się na bladozieloną haitańską sofę, sięgnęła po przyrządzonego przez przyjaciółkę long drinka z wódką i tonikiem. Pociągnęła potężny łyk, jakby to była woda.

• Ale to było poważne - kontynuowała Maggie. - Mam na myśli wyrzucenie Marka... Powinnaś do mnie zadzwonić.

• Na szczęście dałam sobie radę sama. W końcu wylądowałam na przyjęciu u Beryl Martin.

- Dopiero to musiało cię cholernie znudzić.
- Jesteś zazdrosna, bo nie zostałam zaproszona - rzuciła lekko Daina.

- Tylko dlatego - zripostowała Maggie, odwracając się, by nalać sobie drinka - że nie jestem gwiazdą.

Daina zamknęła usta. Miała zamiar opowiedzieć przyjaciółce o nocy z Rubensem. Teraz nie była pewna, czy powinna. Przyszedł jej na myśl jego bezceremonialny komentarz: „Pora zacząć odróżniać dziewczęta od kobiet”. Wspomniała, jak poznały się z Maggie. Szukano dziewczyny do malej rólki w

Powrocie do domu. Daina właśnie przybyła do L.A. i czuła neodpartą potrzebę nawiązania trwałej przyjaźni z rodzaju tych, jakimi cieszyła się w Nowym Jorku. I była przekonana, że nie uda się to z nikim, kto nie przeniósł się równie niedawno jak ona.

- Jestem z St. Marys w Iowa i niewiele wiem - powiedziała wtedy Maggie. Natychmiast doszły do porozumienia; Maggie chciała wiedzieć wszystko o Nowym Jorku, który zawsze pragnęła odwiedzić. Przyjaźń pozwoliła im przeżyć długie dni i jeszcze dłuższe noce niepowodzeń bez załamania. Miały za co sobie dziękować, a jednak, co ciekawe, nigdy tego nie zrobiły.

Daina przypominała sobie również pewien mglisty poranek, kiedy podczas śniadania u McDonalda przyjaciółka wyszła ze swej skorupy i zaczęła się zwierzać. Wychowała się w St. Marys z radiem tranzystorowym przyklejonym do ucha, marząc o szalejących wykonawcach i muzyce porywającej widownię.

- Chris Kerr - rzuciła takim tonem, jakby wywoływała magicznego ducha. - Zeszłej nocy widziałam jego występ. - I roześmiała się jak mała dziewczynka, tak zaraźliwie, że Daina przyłączyła się do niej, chociaż jeszcze nie zorientowała się, co było takie zabawne. - Jego kapela, Heartbeats, dawała koncert w Santa Monica Civic. Mój Boże, jego wyjściu na scenę towarzyszył ogłuszający hałas... czułam się niczym porwana przez burzę. I pomyślałam: Oto on. Muzyka pulsowała mi w głowie własnym życiem - życiem, które jej dałam, gdyż bez tego oszalałabym w St. Marys, sama ze swą zaharowaną, nudną jak flaki z olejem rodziną. I teraz zobaczyłam człowieka, który ją tworzył, który sprawił, że moje serce biło tak silnie, aż do bólu. Ach, Chryste, to było zbyt wiele!

Oczy Maggie, jasne jak latarnie, zamrugały kilka razy, jakby za nimi ciągle przewijały się widziane wcześniej sceny.

- Pierwsze akordy były tak przytłaczające, że pomyślałam: Rock to czysty seks, i nasi rodzice bali się, że właśnie to wychycimy z tej muzyki. Ale ona pozwoliła dać upust nie ukierunkowanemu gniewowi, którym pałaliśmy jako nastolatki, nawet nie wiedząc, że jest naszą częścią. Była rodzajem wyzwalacza... - Oczy jej błyszczały, jakby zaraz miała zapłakać.

- Cieszę się, że w końcu go zobaczyłaś - wtrąciła Daina.
- Och, ale na tym nie koniec. - Długie, smukłe palce Maggie o twardych, nie

malowanych paznokciach dotknęły grzbietu spoczywającej na blacie dłoni przyjaciółki. Ich *Egg McMuffins* stały między nimi zimne i ściągnięte. - Po koncercie odbyło się przyjęcie. Wydała je firma nagraniowa, a jak wiesz, zawsze mamy wstęp wolny na takie imprezy, ponieważ obecność aktorów jest niejako podsumowaniem sukcesu. Wytrzeszczają na nas oczy, jakbyśmy nie byli prawdziwi czy co. Najwyraźniej jeszcze nie odkryli, jak bardzo niektórzy z nas potrafią być niezdolni.

Cofnęła rękę i, teraz, gdy wylała z siebie pierwszy strumień słów, odprężyła się nieco, odchyliła na krzeselku z pomarańczowego plastiku i odetchnęła, wydymając pełne usta.

- Widzisz, już sam koncert był wystarczająco zdumiewający. Po prostu mnie porwał. Słuchaj, popatrz na mnie! Dziewczyna z małego miasteczka, wychowana z górnikami, którzy są zbyt zmęczeni, by myśleć o czymkolwiek innym poza pracą, których zbyt szybko wykańcza pylica... - Powiedziała to całkowicie beznamiętnie, bez śladu żalu czy gorzkości. Taki miała sposób mówienia. Daina wiedziała, że jej serce skrywa jakby skorupa szarego brudu, jakby warstwa węglowego pyłu, której nawet największe szczęście nie zdrapie tak do końca. Jej ojciec, jej starszy brat umarli właśnie w taki sposób, łamiąc sobie grzbiety, jak wyraziła się półżartem, dla dobra spółki węglowej. - I raptem znalazłam się niejako w innym świecie. To było niczym podróż do krainy Oz, tylko - i to jest ciekawe - w pewnej chwili w czasie koncertu wszystko odwróciło się tak, że ten koncert stał się prawdziwym życiem, a lata przeżyte w St. Marys zostały sprowadzone do rangi koszmaru, który musiałam śnić kiedyś w czasie choroby.

Pamiętam single, jakie kupowałam w Des Moines, kiedy jeździłam w odwiedziny do ciotki Sylvii. Musiałam przemycić je do domu: *Chcę trzymać cię za rękę*, *Trasa 66*, *The hippy hippy shake*. Nie masz pojęcia, jak to jest.

- Mogę sobie wyobrazić.
- Nie, nie możesz. Urodziłaś się i wychowałaś w Nowym Jorku. Czym jest dla ciebie Ameryka poza Nowym Jorkiem i L.A.? Och, jasne, może kiedyś byłaś w Chicago albo widziałaś Atlantę. Lecz cała reszta jest dla ciebie po prostu jakimś dziwnym, obcym krajobrazem, który istnieje tylko w opowieściach lub filmach albo atlasach.
- Ale, Maggie - zaczęła Daina. - Byłam...

- Nieważne. To nie to samo, co życie w takim miejscu. Nie rozumiesz? - Głos przyjaciółki był teraz pełen bólu. - Mieszkałam w cholernej czarnej trumnie świata, płaskiej, nudnej i niezmiennej. Niemożliwe, żebyś mogła sobie wyobrazić, co znaczyła dla mnie muzyka.

I to, że teraz jestem tutaj... Nie masz pojęcia, jak często dopiero jakieś dziesięć minut po przebudzeniu uświadamiam sobie, że naprawdę jestem tutaj, że to nie sen, że kiedy odwrócę głowę, otworzę oczy, nie zobaczę szkolnych proporczyków wiszących beznadziejnie na ścianie nad moją głową ani swetra „cheerleader”, udrapowanego na oparciu rozklekotanego drewnianego krzesła, które dała mi babcia. - Nerwowo splatała i rozplatała palce. - Gdybym wtedy nie opuściła St. Marys, już chyba nigdy nie zdobyłabym się na odwagę. Rzuciłam się na oślep i pobiegłam aż do L.A.

- Wszyscy biegniemy, Maggie - powiedziała przyjaźnie Daina. - Wszyscy, którzy robimy to, co robimy. Wszyscy uganiamy się za złotym jarzmem, by zarzucić je sobie na szyję. - Westchnęła głęboko. - Jedyne kłopot w tym, że my ostatnio chyba biegniemy w miejscu.

Przyjaciółka uśmiechnęła się.

- Przynajmniej dzięki temu jesteśmy w formie. Daina roześmiała się i poprosiła:

- Mów dalej. Co się stało na przyjęciu? Maggie radośnie wyszczerzyła zęby.

- Poznaliśmy się, Chris i ja. - Podniosła szczerą rękę w geście baletnicy.

- I zdobyłam go.

- Żartujesz!

Przyjaciółka przecząco potrząsnęła głową.

- Na początku byłam pełna lekceważenia. Wiesz, słyszałam, jakie wulgarne potrafi stać się to rockowe towarzystwo, kiedy człowiek zdecyduje się do niego zniżyć; takie...

- Podniecające - odpowiedziała szeptem Daina.

- Tak! - Maggie zaczęła mówić z akcentem angielskich klas wyższych.

- Ale w końcu każdy znudzi się odwiedzaniem zakazanych miejsc dla rozrywki.

- Zachichotała, porzucając stylizację. - Więc wyszliśmy.

Taki był początek i tydzień później Maggie zamieszkała z Chrisem w Malibu, gdzie rozlega się krzyk mew, a senne fale stale szumią i syczą, gdzie kobiety marzące o poderwaniu jakiegoś sławnego faceta uprawiają jogging na plaży, eksponując podrygujące piersi, i gdzie głęboko w nocy słychać cichy śpiew wielorybów.

- Chryste, ale ten skurwiol zasłużył, by wyrzucić go na zbity pysk - podjęła przyjaciółka, podnosząc szklaneczkę do ust. - Dobrze zrobiłaś, Daino, pozbywając się go. Chyba teraz mogę ci się przyznać, że nigdy za bardzo nie lubiłam Marka.

- Nie?

- Był dla mnie podejrzany. Jego polityka... Nie wiem. Taki altruizm jest zbyt czysty, by mógł być prawdziwy. A on był tak dobry w swojej retoryce... taki cholernie zręczny. Może wygadać sobie drogę dokądkolwiek zechce.

Daina skinęła głową.

- Dzięki temu, jak sądzę, mógł kręcić w Azji Południowo-Wschodniej.

- Ten film jest prawie skończony, prawda?

- Chyba tak. Właśnie wrócił z robienia ostatnich ujęć. I po skończeniu zdjęć miał czas na... - Pociągnęła duży łyk alkoholu.

- Daj - poprosiła Maggie. - Doleję ci. - Zabrała pustą szklaneczkę i poszła zmieszać nowe drinki. - Przepraszam za bałagan, ale gdy Chris zaczyna nagrania, wszystko staje do góry nogami.

- Jak idzie nowy album? - Daina wzięła napełnioną szklaneczkę. Szkło ziębiło ją w dłonie.

Maggie obdarzyła ją uśmiechem, który spłowieł zbyt szybko.

- Trudno powiedzieć na tym etapie. Na razie to istny groch z kapustą.

- Zawsze używała wielu brytyjskich idiomów. Daina domyślała się, że wynika to z jej miłości do angielskiego rock and rolla. - Za każdym razem, wiesz, pojawia się ogromne napięcie, gdy zaczynają nagrania. Ciśnienie twórcze jest tak wielkie, że, no cóż, niektórzy z nich stają się nieodpowiedzialni. Naturalnie wzięcie wszystkich w garść i puszczenie tej maszyny w ruch zależy od Chrisa.

- Usiadła w głębokim fotelu, przyłożyła szklanę do policzka, na chwilę zamknęła oczy.

Mimo licznych lamp w pokoju panował półmrok. Daina słyszała dobiegający z zewnątrz delikatny szum Pacyfiku, lecz tutaj, gdy ich głosy ucichły, panowała

absolutna cisza. Przyjaciółka, siedząca z zamkniętymi oczyma naprzeciwko niej, wyglądała tak, jakby opuściły ją siły witalne. Daina odwróciła wzrok, spojrzała na wielki perski dywan na podłodze, na jego skomplikowane wzory utrzymane w tonacji ciemnej zieleni, szafiru, brązu i czerni tak ciemnej, że wydawała się absolutna. Ściany były w kolorze umbry, ich gładkie płaszczyzny gdzieś urozmaicały płótna Caldera, Lichtensteina i kłócące się z nimi Utrilla, wszystko oryginały. Pod przeciwległą ścianą stał olbrzymi studyjny zestaw stereo, zawierający wzmacniacze, magnetofony kasetowe i szpulowe oraz dwie wielkie, wysokie na cztery stopy kolumny.

Maggie nagle otworzyła oczy i pochyliła się, stawiając szklaneczkę na stoliku z giętego hebanu. Jej ręce minęły bibułki i plastikowy woreczek z marihuaną. Wilgotny palec wskazujący potarł powierzchnię małej, kwadratowej płytki z matowego szkła, zbierając resztki białego proszku. Przeciągnęła czubkiem palca po różowych skrajach dziąseł. Według Dainy był to dziwnie obsceniczny gest. - Naprawdę powinnaś wyluzować się nieco i spróbować. - Lecz była zbyt zajęta sobą, by zwrócić uwagę na przeczącą odpowiedź Dainy.

Przesunęła ręką wzdłuż krawędzi stolika. Podchwyciła ten nieodłącznie związany z L.A. nawyk dotykania wszystkiego wnętrzem dłoni, żeby nie popsuć długich, wymanikiurowanych paznokci. Westchnęła.

- Pamiętasz, jak było, gdy zaczynałyśmy? Wtedy obie byłyśmy jednakowo przerażone; obie takie... równe.

- Maggie, nie możesz oczekiwać...

- Ale już nie jesteśmy, prawda? - Spojrzała na Dainę ostro. - Zmieniłaś się, cholera! Dlaczego tak się musiało stać?

- Och, na miłość boską!

- Tylko ja nie należę do tego komercyjnego świata - lamentowała Maggie. - To poniżające. Chryste, ja wcale nie gram! Ja zaledwie pozuję. To chłam! - Złapała wielką srebrną zapalniczkę między dłonie, zapalała ją i gasiła.

- Rzygać mi się chce od czekania na coś prawdziwego. Odbija mi!

- Jestem pewna, że rozmawiałaś z Victorem - rzekła spokojnie Daina.

- Co ci powiedział?

- Żebym była cierpliwa, że daje mi to, co może. - Wstała i zaczęła chodzić po

pokoju, jakby dawała ujście nadmiarowi energii. - Gdzie to jest? Potrzebuję kogoś, kto naprawdę coś dla mnie zrobi. - Wreszcie znalazła małą foliową torebkę, wysypała biały proszek na kwadratową płytkę.

Daina w milczeniu przyglądała się, jak jej przyjaciółka wciąga do nosa kokainę.

Ta, wdychając proszek, odwróciła się ku niej.

- Jak myślisz, co mam zrobić? Może wylać Yictora?

- Victor jest dobrym agentem. To nie jest rozwiązanie. Nie jest nim również wpychanie tego świństwa do nosa.

- Dzięki temu czuję się jak w siódmym niebie - wyszeptła Maggie.

- Wiesz o tym. Proszę, nie dręcz mnie znowu. Nie mam innego wyboru.

- Masz - upierała się Daina - ale nie chcesz o nim słyszeć. Zmieniłaś się, Maggie. Zwykle wierzyłaś w siebie; myślałaś, że jesteś najlepsza. Pamiętasz te całonocne dyskusje o tym, która z nas jest lepsza?

- Szczeniactwo. Świat okazał się całkiem inny, prawda, Daino? - Jej oczy, gdy patrzyła spod na wpół przymkniętych powiek, miały zraniony wyraz.

- Ty wygrałaś wszystko, a ja utknęłam w miejscu. Moja kariera zmierza donikąd. - Pochyliła się, zażyła jeszcze trochę kokainy. - Więc ani słowa więcej na temat koki, dobra? Będąc na haju mogę zapomnieć, że nie jestem niczym więcej jak napaloną fanką, która kurczowo trzyma się Chrisa...

- Maggie, wiesz, że tak nie jest. Chris cię kocha...

- Nie mów o czymś, czego nie możesz wiedzieć! - wtrąciła ostro przyjaciółka. - Kiedy chodzi o mnie i o Chrisa, nie wiesz niczego, ni cholery!

- Zadrzała, wysypując kokę na kolana. - Och, Chryste! Widzisz, co przez ciebie zrobiłam! - Zaczęła płakać, próbując zebrać kokainę do plastikowego opakowania. Większa część proszku spadła na dywan u jej stóp. - Och, do diabła! - Konwulsyjnym ruchem cisnęła opakowanie na drugą stronę pokoju.

- Kochanie, odstaw to - poradziła łagodnie Daina. - Tylko na parę dni.

- Robię to tylko dlatego, że Chris tak chce - powiedziała Maggie cichutko.

Wytarła oczy grzbietem piegowatej dłoni.

- To nie jest powód do robienia czegokolwiek.

- Och, nie chcę go stracić, Daino. Umrę, jeżeli odejdzie. A poza tym

zaczęłam to lubić.

- Maggie, nie...
- Boże, jestem taka podła. Jesteś ostatnią osobą, na której powinnam się wyżywać.

Daina delikatnie pogładziła ją po opuszczonej ręce.

- A może zrobisz nam kawy?

Przyjaciółka wytarła ostatnie łzy, uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Ja zaraz wrócę - dodała Daina.
- Aha, słuchaj - zawołała z kuchni Maggie. - Skorzystaj z łazienki w naszej sypialni. Kibelek w holu jest w remoncie.

Leżąca od frontu sypialnia miała kształt wielkiej litery L, była przestronna i przewiewna. Dwa wysokie okna wychodziły na Pacyfik. Ściany pomalowane były na lśniący granat. Wisiały na nich oprawione w srebrzyste metalowe ramy plakaty zapowiadające koncerty w teatrach Fillmore East and West, najświetniejszych ze wszystkich rockowych miejsc koncertowych lat sześćdziesiątych, teraz nieczynnych. Zobaczyła Heartbeatsów, którym towarzyszyli: B. B. King i Chuck Berry w błękitach i srebrze; Cream w bladej żółci i umbrze; Jimi Hendrix w głębokiej czerwieni i kolorze piasku; Jefferson Airplane w leśnej zieleni i jasnym brązie - psychodeliczne barwy i liternictwo Ricka Griffina przedstawiały członków grup w niemal średniowieczny sposób, jako dzielnych i pełnych galanterii rycerzy z trzepocącymi kolorowymi proporcami, przygotowujących się do walki. I jak rycerze, pomyślała Daina, wszyscy odeszli w taki czy inny sposób: rozpadli się, przemienili, rozwiązali. Z wyjątkiem Heartbeatsów, którzy przetrwali siedemnaście lat i nadal byli na fali.

Ominęła ogromne łoże, na którym leżała kołdra w granatowe i bladezielone pasy, odrzucona tak, że widać było jej drugą stronę, kremową jak brzuch wielkiej śpiącej jaszczurki. Na łóżku leżał magnetofon kasetowy, pusty, z podniesioną pokrywą kieszeni. Obok poniewierała się książka z przełamanym grzbietem, *Getting into death* Toma Discha i większe od normatywnego wydanie *The Wind in the Willows* Kennetha Grahame'a z ilustracjami Arthura Rackhama oraz zaczytane kieszonkowe wydanie powieści *The Outsider* Colina Wilsona.

Pod ścianą stał stolik zarzucony tygodnikami muzycznymi, *Billboard*, *Record World*, *Cash Box* i *Variety*, oraz czasopismami z Anglii, *New Musical Express*,

Melody Maker i *Musie Week* poświęcony Blondie. Obok stolika widniało ciemne wejście do łazienki.

Tuż na lewo od drzwi wisiała oprawiona w złożoną ramkę, reklamowa fotografia zespołu, formatu 8 na 10 cali. Sądząc po krzykliwych strojach, pochodziła z lat sześćdziesiątych.

Daina spojrzała na nią zafascynowana. Nigdy nie widziała Heartbeatsów w ich wczesnym wcieleniu; odkryła ich nieco później, na początku lat siedemdziesiątych. Zobaczyła pięciu członków, nie czterech. Był tam Chris, gitarzysta i wokalista, wysoki i przystojny; Ian, basista, ciemnowłosy i ciemnooki, chudy i suchy jak tyczka; Rollie, perkusista, pulchny jak pluszowy niedźwiadek, z wiecznym uśmiechem na sympatycznej twarzy; Nigel, klawiszowiec - który pisał też teksty do muzyki Chrisa - patrzący w obiektyw aparatu w charakterystyczny sposób, który stał się na długie lata symbolem grupy. Z nich wszystkich to on najbardziej dbał o image. Nie znała tylko mężczyzny w środku. Miał on dość długie włosy, ściągnięte w tył tak mocno, jakby nosił kitkę. Twarz, wyrazista, głęboko pobrużdżona, sprawiała wrażenie surowej, za co być może odpowiedzialne były wąskie wargi i garbaty nos, który wydawał się za wielki w stosunku do głowy.

Ale zaintrygowały ją jego oczy. Były nadzwyczaj ekspresyjne i zdecydowanie nie pasowały do rysów twarzy, co powodowało, że mężczyzna emanował niepokojącą tajemniczością. Jego spojrzenie było lodowato wyniosłe, lecz Daina przeczuwała, że jest to tylko fasada skrywająca raczej wyrafinowany intelektualizm. W głębi jego oczu wrzały, jakby uwięzione, nieuchwytnie emocje. Poczwała nieprzemienne pragnienie, by wyciągnąć rękę i mu pomóc.

Potrząsnęła głową, roześmiała się cichutko. Wyobraźnia, pomyślała. Z pewnością wszystko to nie mogło być zawarte w zwykłym dwuwymiarowym zdjęciu.

Kiedy wróciła do kuchni, kawa parzyła się w ekspresie, a bogaty aromat przesycił powietrze.

- Tutaj nie dostaniesz błyskawicznej - powiedziała z ożywieniem Maggie. Najwyraźniej jej ponury nastrój przeminął. - Chris przez cały czas chce mieć świeżo parzoną i muszę przyznać, że go nie winię. Sama zaczynam dostrzegać różnicę. - Odwróciła się i naląła kawę do filiżanek. - Proszę. Daina wzięła swoją.

- Słuchaj, Maggie, widziałam w sypialni stare zdjęcie kapeli. Kim jest ten piąty facet?

- Och, to Jon. - Przyjaciółka napiła się kawy, skrzywiła i dołała nieco mleka.

- O Jezus. Próbowałam pić ją, jak Bóg przykazał - czarną. Ale nie mogę.

- Co z tym Jonem? - dopytywała się Daina. - Co się z nim stało?

Maggie zlizwała kropelkę mleka z palca.

- Niewiele jest do powiedzenia, naprawdę. Był w zespole, wiesz, na początku. Zmarł właśnie wtedy, gdy zaczęli wypływać. - Odwróciła się do kuchennej lady, nasypała cukru do kawy, posmakowała jeszcze raz. - Umm, tak jest lepsza. Wypadek. Ktoś - może Rollie - kiedyś napomknął, że on był trochę niezrównoważony. Złamał go stres, jak sądzę.

- Rozmawiałaś o nim z Chrisem?

- Och, on nigdy nie rozmawia o Jonie. Zbyt bolesne wspomnienia, przypuszczam. On i Nigel wychowali się z Jonem na północy. Przyjechali do Londynu całą paczką, by poszukać szczęścia. - Zmarszczyła nos. - Ale wiesz, jak to jest w ich biznesie. Zbyt wiele nieszczęśliwych wypadków.

Przerwał im warkot silnika. Obie podniosły głowy.

- Papa wrócił. - Maggie uśmiechnęła się szeroko, zostawiła swoją kawę na ladzie i wyszła do salonu. Daina podążyła za nią. - Ma nową zabawkę - poinformowała przyjaciółka, sięgając do klamki. - Cholernie wielkiego harleya robionego na zamówienie. Korpus jest przezroczysty, tak że można widzieć, jak silnik pracuje. Chris przez cały czas nalega, żebym z nim pojeździła, ale ja boję się tej maszyny. Nie wsiadam na nią nawet wtedy, gdy silnik jest wyłączony.

Gardłowy dźwięk ucichł. Usłyszały świerszcze i szum fal w tle, barwiące noc chłodnymi pastelami.

Maggie otworzyła drzwi. - Cześć! - Chris wziął ją w ramiona i pocałował. Był masywnie zbudowany i przy nim kobieta wydawała się o połowę mniejsza. Miał ponad sześć stóp wzrostu, jego skóra była opalona na brązowo - jak mówił, właśnie dlatego osiedlił się w LA. i zrezygnował z powrotu do Londynu. Oczywiście w rzeczywistości chodziło o brytyjski urząd skarbowy, z powodu którego korzystniej było zamieszkać za granicą - Ian miał dom na Majorce; Nigel willę na południu Francji. Wszyscy byli podatkowymi emigrantami, jak wielu innych znaczących muzyków rockowych.

Kerr postawił Maggie i wszedł do pokoju. Na widok Dainy pokazał zęby w

szerokim uśmiechu.

- Hej, jak się masz, Dain? - Pocałowali się.

Miał ciemnobrązowe faliste włosy, oczy zielone i tak ciemne, że czasami zdawały się czarne.

- Wcześniej wróciłeś - zauważyła Maggie, gdy razem podeszli do sofy.

Muzyk rozłożył się wygodnie.

- No, nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie kolejna cholerna użerka. Prawie przebiłem podłogę głową Nigela. Tak trzeba postępować z tym leniwym sukinsynem. Cholera jasna!

- Myślałam, że tym razem wszystko zostało załagodzone – rzuciła Maggie, robiąc skręta. Zapaliła go, zaciągnęła się, podała Chrisowi.

Zaciągnął się łapczywie; rozległ się syk jak w parowej łaźni. Trzymał dym w płucach przez dłuższą chwilę.

• Znasz tych durnych skurwieli - powiedział na wydechu. - Wszystko wpada im jednym uchem, a wylatuje drugim, bo pomiędzy nie ma nic prócz powietrza. - Sztachnął się drugi raz i jego nastrój nagle uległ zmianie. Usiadł, strzepnął popiół do stojącej na hebanowym stoliku wielkiej popielnicy z brązu. - Ale, hej, cieszę się, że tu jesteś, Dain. - Sięgnął do kieszeni stylizowanej kowbojskiej koszuli, wyjął białą plastikową kasetę.

• Ścieżki? - zapytała podekscytowana Maggie.

• Lepiej. - Wyszczrzył zęby. - Miks moich dwóch kawałków do nowego longplaya. Po raz pierwszy napisałem coś bez Nigela.

Przyjaciółka zwróciła się do Dainy.

• Poczekaj, aż je usłyszysz. Są niepodobne do wcześniejszych. Całkiem nowy kierunek.

• Tak - przyznał Chris, wstając i ruszając przez pokój do stereo. - Tchnienie wielce potrzebnego świeżego powietrza. - Przykucnął przed zestawem, wciskając przełączniki. Zapaliły się światła, rubinowe i szmaragdowe punkciki mrugające niczym odległe gwiazdy. Wsunął kasetę do kieszeni magnetofonu.

- Okay. Gotowe?

Obie przytaknęły.

Nadal siedząc w kucki, powiedział:

- Pierwszy utwór nosi tytuł *Nurt*. Drugi jest instrumentalny. – Wcisnął guzik i natychmiast w pokoju rozbrzmiała muzyka: akordy gitary, stalowy puls basów, wibrowanie perkusji jak szmer wody w żwirowym korycie strumienia. Potem rozległ się głęboki, charakterystyczny głos Kerra: „Pamiętasz czasy/Na tyle forda/Rozżarzone światła deski/Czy znaleźliśmy wynik?/Tego dnia dorośliśmy/Doszliśmy do finału-/Te dni palm i olejku wydają się dziś tak odległe”.

Muzyka wzbijała się jak fontanna - preludium do nowej zwrotki: „Porzuciłem wiersze/Poza którymi żyliśmy/Limuzyny, przyjęcia/Dziewczyny, które dają/Wszystko, co mogą/Na tyle furgonetki/Ach, te jasne noce rozkoszy i koki wydają się dziś takie dalekie”.

Gitara, teraz z dwóch ścieżek, więc brzmiąca zdecydowanie grubiej, podjęła melodię niczym napompowany adrenaliną szór. Najpierw była powtórka, a potem finał, znów zdominowany przez gitarę.

Przez kilka sekund trwała cisza, po czym zaczął się utwór instrumentalny. Była to muzyczna antyteza *Nurtu*, niespieszna melodia narastająca w tonacji minorowej, wznosząca się spiralą w tęskne zapomnienie, co skojarzyło się Dainie z *Adagio for strings* Samuela Barbera.

Muzyka zanikała tak wolno, że dopiero po usłyszeniu cichego trzasku wyłączającego się magnetofonu uświadomiła sobie, że utwór dobiegł końca.

Chris obrócił się dokoła.

- I jak?
- Jestem oszołomiona - wyznała Daina. - Nie wiem, co powiedzieć.
- Podoba ci się?
- Jestem zachwycona.
- Są po prostu wspaniałe - stwierdziła Maggie. - Nigel zleje się z zazdrości.
- Jeszcze ich nie słyszał - poinformował Chris. - Inni też nie. Ian i Rollie znają tylko tyle, co sami grali. Nigel nie słyszał ani jednej nuty i tak będzie dopóty, dopóki nie będę miał ostatecznego miksa. - Poderwał się na nogi. - No cóż, skoczę na przejażdżkę.

- Chris, dopiero co wróciłeś do domu. - Głos Maggie zabrzmiał płacząco.
- Dain - zapytał - nie masz ochoty?
- Przykro mi - powiedziała, podnosząc się - ale o piątej mam spotkanie w

charakteryzatorni. - Pożegnała się z przyjaciółką, aż nadto dobrze widząc gniew i zazdrość w jej oczach. Zadrzała, jakby otarło się o nią coś fizycznego.

Długa ciemnoniebieska limuzyna marki Mercedes stała na podjeździe niczym masywna forteca, jej cień, gdy przejeżdżała obok, zdawał się większy od znajdującego się za nią domu.

Podjechała do niej całkiem blisko, wyłączyła silnik i wysiadła. Tchnienie nocnego wiatru musnęło jej policzek, zburzyło włosy barwy miodu.

Ostry stukot obcasów na żwirze zagłuszył monotonne granie świerszczy. Gdy zbliżyła się do mercedesa, tylne drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wewnątrz zapaliło się światło: bogaty, ciepły blask, jaki rzuca jedynie doskonale ocieniona lampa. Samochody nie mają takich świateł.

Schyliła głowę, wsiadła. Na ekranie małego kolorowego telewizora Johnny Carson przemawiał z patosem do Stockarda Channinga, jednocześnie postukując ołówkiem w blat biurka. Leciał program *The Tonight Show*. Fonia była wyłączona.

- Tęskniłem, gdy nie przychodziłaś do domu - powiedział Rubens.
- Już jestem w domu.
- Mam na myśli swój dom.

Odwróciła się do okna i wyjrzała w ciemność nocy. Drzewa maskowały stromiznę stoku. Za nimi rozkładał się ogromny wachlarz świateł. Miała wrażenie, że fotel jest twardy jak kościelna ławka.

- To nigdy nie powinno się wydarzyć.
- Co nigdy nie powinno się wydarzyć?
- Zeszła noc - odparła, nadal patrząc za okno. - Byłam zła, zdenerwowana...

coś się stało. A potem pojawiłeś się ty.

- Zawsze byłem.

Nie rzekła nic, obejmując się ramionami. Czuła chłód.

- Nie powiesz mi, że to był jednorazowy przystanek...
- Nie zamierzam mówić ci niczego.

• ...ponieważ wiem, że taka nie jesteś. - Odwróciła głowę i spojrzała na niego, światło lampy delikatnie kładło się na ostro zarysowanej kości policzkowej, na wyrazistych ustach. - Nie oddałaś mi swego ciała ot tak, bez namysłu. Nieważne, co mi powiesz, wiem o tym. - Pochylił się, wyłączył telewizor. Johnny i Stockard

zniknęli.

• Wiem również, że to nie było tylko pieprzenie. Wiem, ponieważ przez ostatnich parę lat robiłem to tak często i z tyloma dziewczynami, że straciłem rachubę. Wiem, jak to jest, aż za dobrze. My nie pieprzyliśmy się zeszłej nocy.

- Nie? - zapytała, podnosząc głos. - W takim razie co robiliśmy?
- Kochaliśmy się. Ja to wiem i ty to wiesz.
- Co z tego, jeśli nawet? Wyciągnął rękę, dotknął ją.
- Nie chcę tego stracić. Odsunęła jego palce.
- Co ty sobie myślisz? - spytała zimno. - Że możesz kupić mnie taką gadką?

- Chciała uśmiechnąć się szyderczo, ale niepokój narastał w niej zbyt szybko, by zdołała to zrobić.

- Okay. Wyraziłem to w zły sposób. Wybacz. Możesz mnie zaskarżyć.
- Jesteś bardzo sprytny, wiesz. - Jej oczy były jasne i przeszywające. Przez

cały czas, gdy tak z nim siedziała, czuła dziwne trzepotanie w piersi, prawie jak przed atakiem serca. Położyła rękę na klawce.

- Nie odchodź - powiedział, powtarzając jej prośbę z poprzedniej nocy.

Przysunął rękę do jej dłoni, cofnął ją szybko. - Nie masz powodu, by się mnie bać.

- Chyba żartujesz. - Ale on miał rację i ona to wiedziała; narastała w niej

panika.

- Proszę. - Otworzył barek, przyrządził jej bacardi z lodem. Nie zapomniał

wcisnąć odrobiny limona.

Kostki lodu zagrzechotały o szkło, gdy brała od niego szklankę. Napiała się, odchyliła na oparcie, zamknęła oczy, westchnęła.

- Teraz możesz odejść, jeśli chcesz.

Odbierała jego głos jak bezcielesną siłę docierającą przez ciemność narzuconą przez opuszczone powieki. Mógł być lekarzem.

- Nie chcę - zaczęła powoli - nie chcę, byś mnie posiadał.
- Daino, powiem ci prawdę. Nie sądzę, żeby to było możliwe. Uważam, że

nie mogę...

- Jeżeli zakocham się w tobie, to może stać się realne.
- Czy nie jest trochę za wcześnie...

Lecz ona otworzyła oczy i spojrzała wprost na niego.

- A jest? - zapytała.

Teraz na niego przysła kolej, by odwrócić się do okna.

- Nie wiem - odparł po chwili. - Wiem tylko, że przyjechałem tu prosić cię, byś ze mną zamieszkała.

- Tak po prostu? Bez żadnych warunków?
- Jakich warunków? Myślisz, że to jakiś interes?

Zignorowała jego słowa, znów zamknęła oczy. Nieomal czuła delikatne kołysanie łodzi, słyszała długie, niesamowite melodie wielorybów.

- Pamiętasz, jak zeszłej nocy mówiłam ci, że coś się wydarzyło? No cóż, wyrzuciłam Marka. Uznałam, że jest... nieważne. Jest sukinsynem i dostał to, na co zasłużył.

Ale... - raczej nieświadomie przesunęła się na koniec siedzenia - to mną wstrząsnęło. Żyliśmy razem przez prawie dwa lata. Zawsze było to coś... stałego. I nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo na tym polegałam, dopóki nie odszedł.

Minionej nocy byłam sama, obca w obcym kraju; czułam się tak, jakbym była nieostrym zdjęciem. Potem traf chciał, że przyszedłeś, i... - Gwałtownie odwróciła głowę i przeszyła go wzrokiem, który przyprawił go o wewnętrzne drżenie. - Kiedy kochaliśmy się... - wymawiała każde słowo jako odrębną całość - nigdy nie byłam taka wyzwolona. Nigdy tak wyraziście nie czułam, że jestem kobietą. Nie w sensie ogólnym, ale tradycyjnym. Ja miałam swoje miejsce i ty miałeś swoje, i...

- Nie powiedziałem niczego; nie zrobiłem niczego, by...
- Nie. Ten stan był wynikiem mojego nastroju i... częściowo twojego. Efektem twojej siły. Właśnie ona mnie przeraża; w pewien sposób mnie przytłacza.
- Nie. - Potrząsnął głową. - To twój strach cię przytłacza, nic innego.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Chodź ze mną do domu.

- Nie dzisiaj - odrzekła, otwierając drzwi. Mięśnie jej ud zadygotały, gdy obserwowała odjeżdżającą limuzynę.

Tej nocy, owinięta w prześcieradła, śniła o dawno minionych czasach: o dniach Woodstock. Ludzie wszędzie, we wszystkich kierunkach, jak tylko sięgała okiem. Kołyszące się frędzle i paciorki podzwaniające niczym jakiś kosmiczny zegar;

włosy spływające na oczy i po nagich plecach niczym grzywy spienionych koni. Powietrze wilgotne i ciężkie od dymu. Tu, obok niej, jakaś para kocha się, niepomna otaczającego ją lasu ludzi, tam mężczyzna ze splątanym kucykiem podnosi różowego, nagiego synka nad głowę, podczas gdy jakiś chudzielec jest niesiony nad powierzchnią tłumu, głowa kołysze się bezsensownie - odleciał za daleko na kwasie - i teraz wędruje na ruchomych noszach dłoni w kierunku stanowiska pierwszej pomocy, odsyłany tam z miłością.

Ostatnie ogłoszenia szybują w powietrzu jak preludium do muzyki, która wybucha niepohamowanie, trąca tłum jak długo więziony w klatce byk. Co mówią przez głośnik? Skupiło się tu ponad pół miliona dusz, dotykających się, współodczuwających. Całe pokolenie, złączone przez wojnę, okazuje swoją solidarność w Erze Wodnika; nie ma bogów przed nimi, jedynie odbijająca się echem muzyka, głośno, głośniej, jeszcze głośniej, by zagłuszyć zgiełk śmierci na polach ryżowych, szczekanie karabinów maszynowych i szum spadającego napalmu, ohydneho deszczu żelatynowego ognia. Do diabła, nie, my nie pójdziemy!

Muzyka wyraża ich wściekłość, rozgłasza na wszystkie strony ich wyzwanie - nieugięte postanowienie, wywołuje w umyśle Dainy burzę ognia czy, może dokładniej, wyzwala światło słońca, które ją omywa.

Obrazy skaczą i pękają jak laserowe wybuchy, gdy jej ciało dygoce pod wpływem potężnego dudnienia basów, i to miniaturowe trzęsienie ziemi omotuje ją fizyczną siecią.

W czasie tego długiego festiwalu gotowała dla tłumu, zszywała podarte drelichy obcym, którzy w zażyłej atmosferze komuny natychmiast stawali - się znajomi, a wczoraj - czy może było to dzień wcześniej - uchroniła drobną młodą dziewczynę przed połknięciem języka w czasie ataku epilepsji równie gwałtownego, jak muzyka. Jadała niewiele i wcale nie spała, a teraz siedzi w środku kłębiącego się tłumu i porywają ją siły, których nie rozumie, ztraca na chwilę swe człowieczeństwo, osuwa się atawistycznie o tysiące lat w przeszłość, staje się niewinnym zwierzęciem.

Nagle wszystko rozpada się, jakby strzaskała wszystkie lustra czasu. Wstaje i widzi, że jest zaledwie cętkiem wśród niezliczonych mas, częścią tętniącego organicznego konglomeratu; obracając się wokół, widzi jedynie morze ludzi i czuje się w nim zatracona, jakby już nie było jej, Dainy, a tylko jedno wielkie, wrzące my. Staje się trybem w maszynie, komórką w organizmie, szprychą koła, które obraca się

ze stałą prędkością - teraz rozumie, że nie z własnego wyboru. Jest zanurzona w bezdennym morzu, niesiona prądem, którego istnienia nigdy nie podejrzewała.

Odwraca się. Muzyka grzechoce jej kośćmi, jakby były plastikowe. Twarze, twarze, podskakujący strumień twarzy, pędzący na nią jak ulewa. Potem Daina znika i uświadamia sobie, że ona również jest tylko kroplą deszczu.

Przerażona, odchodzi. Odchodzi. Odchodzi. Trwa to długo. Jak wieczne opuszczanie Manhattanu. Coraz szybciej i szybciej, nabierając jakiegoś szalonego pędu. Obok bez końca przemykają domy. Ludzie bez końca. Twarze jak okna, drzwi, boczne uliczki. Dopóki wreszcie drzewa, trawa, wiatr i ogromne błękitnoszare niebo ponad jej głową nie odpowiadają echem.

I, odszedłszy, jest wyczerpana.

Heather, klęcząc, delikatnie podniosła głowę męża z kałuży krwi na kolana. Ręce miała poplamione krwią.

- James - wyszeptała. - Och, James, co cię napadło, żeby zrobić takie głupstwo?

Otworzył oczy, ogromne i błękitne, i próbował uśmiechnąć się do niej. Jego usta poruszyły się, ale nie dobyło się z nich nic prócz dziwnego, mrozącego krew w żyłach szczebiotu, który nosił tylko nieznaczące podobieństwo do ludzkiej mowy.

Rachel próbowała podejść do nich, ale Malaguez złapał ją za bluzkę i szarpnął do tyłu.

- Przykro mi - powiedziała do Heather. - Tak mi przykro.

Wokół nich terroryści zganiaли resztę zakładników. Amerykanie i Francuzi ścisnęli się niewygodnie na pluszowej sofie; dwaj angielscy członkowie parlamentu stali razem po drugiej stronie marmurowego kominka, zaś członkowie ugrupowania wiązali im nadgarstki i kostki. Jeden z terrorystów przyprowadził pokojówkę i lokaja i pchnął ich ze złością do stóp Anglików. El-Kalaam ruchem ręki wysłał czterech ludzi na zewnątrz, by przetrząsnęli teren i stanęli na straży.

- Heather - wycharczał Duell.

- Och, Jamie. - Dźwięk jej czy też jego głosu sprawił, że znów zaczęła płakać. - Miałeś rację. Oni chcą mieć z powrotem swój kraj.

Oderwała ręce od twarzy, spojrzała na niego z nadzieją. - Ale powiedzieli, że jeśli będziemy z nimi współpracować, wypuszczą nas

dość szybko.

- Nie rób tego, Heather. - Powieki mu opadły.
- Oczywiście, że to zrobię - rzuciła gorączkowo. - Im szybciej ten koszmar się skończy, tym szybciej będziemy mogli sprowadzić lekarza.

• Tak ci powiedzieli? - Przesunął się lekko w jej ramionach, usta wykrzywił mu ból. - Nie myśl o mnie. Zapamiętaj sobie jedno: nie wierz w ani jedno wypowiedziane przez nich słowo.

W kącie w pobliżu drzwi wejściowych wysoki terrorysta z krzaczastymi wąsami podniósł głowę znad leżącego towarzysza. Jego dłoń spoczywała na czole rannego.

- El-Kalaam, on majaczy.

Brodaty mężczyzna, który naradzał się z Malaguezem, niskim, barczystym i prawie łysym mężczyzną, spojrział na niego.

- Zaczyna hałasować?

- Już zaczął - odparł terrorysta. - Nie może się powstrzymać. El-Kalaam bez słowa przeszedł przez pokój i sprawdzwszy, czy wszyscy zakładnicy na niego patrzą, wyjął z pochwy myśliwski nóż. Dwunastocalowe ostrze zaskrzyło się w świetle. Mężczyzna pochylał się i bez chwili wahania ciął po odsłoniętym gardle rannego. Rozległ się cichy, okropny charkot i ciało, trzymane przez wysokiego, podskoczyło jak rażone prądem. Krwawa piana wystąpiła na usta martwego, jakby był dzieckiem wydmuchującym bańki mydlane. El-Kalaam dwoma oszczędnymi ruchami wytarł ostrze o spodnie zabitego, po czym schował broń do pochwy na lewym biodrze.

- Wy dwaj, wynieście go na zewnątrz.

• Mój Boże! - wyszeptała chrapliwie Heather. - Właśnie zamordował jednego ze swych ludzi.

• Nie jestem zaskoczony - odparł niewyraźnie James. - Jest zawodowcem, Heather. Strzeż się go. Słowa dla kogoś takiego są tylko środkiem politycznym. Mówi wyłącznie po to, by przygotować grunt do swych poczynań.

• W porządku - powiedział El-Kalaam, rozglądając się po pokoju. - To im wystarczy. Rita.

Posągowo zbudowana kobieta zrobiła trzy kroki, wyciągnęła rękę i szarpnięciem postawiła Heather na nogi.

- Chodź - rozkazała szorstko.
- Co? - Heather była zdumiona. - Nie mogę go tak zostawić.
- Miałaś dla niego dość czasu. Czego się spodziewałaś? Że opatrzymy go i odeślemy was oboje w swoją drogę? - Roześmiała się - był to melodyjny dźwięk kontrastujący z tonem jej głosu. - O nie!

- Ale to nieuczciwe!
- Uczciwe? - Terrorystka zmarszczyła brwi. - Uczciwe? A co w życiu jest uczciwe? Czy to, że zostaliśmy pozbawieni naszej ojczyzny? Czy to, że nasze kobiety i dzieci umierają, z głodu? Że nasi mężczyźni są torturowani i zarzynani przez syjonistyczne świnię? - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie! Nie śmieję więc mówić mi o uczciwości. Nie ma jej na świecie.

- Chcę, żeby ktoś... aaach! Rita wykręciła jej rękę.
- Dość! Chodź!

Zbliżył się do nich El-Kalaam.

- Co tu się dzieje? - Przeniósł spojrzenie z Heather na Ritę. - Dałem ci prosty rozkaz. Spodziewam się, że zostanie wypełniony.

- Już jest wypełniany - upierała się kobieta. - Ona tylko...
- Daj mi ją... - zaczął.
- Skurwiel! - wrzasnęła Heather. - Skurwiel, robić takie... Mężczyzna skoczył do niej jak wąż i popchnął ją.

- Suka! - krzyknął z wściekłością. - Co ty wyprawiasz? Heather wyrwała się Ricie i zaczęła się z nim szamotać.

- Cięcie! - zawołał Marion, zrywając się z krzesła. - Cięcie! - Przebiegł pędem obok gapiących się techników. - Cholera jasna, George, do diabła, co ty sobie myślisz? - Rozpostarł ręce, próbując odepchnąć George'a Altavosa, aktora, który grał El-Kalaama, od Dainy.

- George...!

- Co ta suka sobie wyobraza, czemu dodaje improwizowane kwestie? Przepychali się wszyscy troje na środku planu, podczas gdy inni w napięciu czekali na wynik. Za ich plecami rodził się szept, nie z jednego wyraźnego źródła, ale ze wszystkich stron na raz.

- To moja scena! - zawył Altavos, szarpiąc Marionę tak, jak wcześniej Dainę. - Tak ją powtarzaliśmy! Teraz ona dodaje kwestie...

- Uspokój się, na miłość boską! - mitygował go reżyser.

Yasmin, grająca Ritę, przerwała impas. Wcisnęła się między Dainę a George'a z taką siłą, że Marion musiał złapać aktora za ramię, żeby się nie przewrócić.

- Yasmin - wysapał, a ciemnowłosa kobieta ujęła Dainę za łokieć i odprowadziła ją z planu tam, gdzie nie było już słycać pomstowania Altavosa.

- To sukinyń! - zawołała Daina, wyrывая się z uścisku aktorki. Potarła obolałe ramię. - On mnie naprawdę uderzył! Chryste, co się z nim dzieje?

W tej chwili podszedł Don Hoagland, asystent reżysera.

- Jest mi strasznie przykro w związku z tym wszystkim, Daino. Postępu

George'a nie można niczym usprawiedliwić... to niewybaczalne. - Potrząsnęła głową. - Chcę, abyś wiedziała, że Marion jest z nim teraz...

- Jasne - wtrąciła drwiąco Daina - i bez wątpienia wstawia mu taką samą mowę.

Hoagland obdarzył ją nikłym uśmiechem. Był Irlandczykiem, miał przycięty srebrny wąsik i przylizane włosy. Uzgadniał każdy projekt z Clarkiem i nietrudno było zrozumieć dlaczego; był elokwentny i przekonujący.

- Poważnie, Daino - rzekł spokojniej - to wcale nie jest prawdą.

- Dotknął jej ręki: przymilny gest dobrego wujaszka. - Fakt, Marion wychodzi z siebie. Uważa twoje wstawki za doskonałe. Myślę, że nieco utemperuje George'a. - Poklepał ją po grzbiecie dłoni. - Nie martw się. Weźmiemy wolne na resztę dnia i do jutra rana wszystko zostanie zapomniane.

- Lepiej, żeby Altavos odzyskał zdrowy rozsądek - powiedziała Daina. Hoagland uśmiechnął się do niej.

- Marion tego dopilnuje. - Odwrócił się. - Nie martw się.

- Nic ci nie jest? - zapytała Yasmin, gdy zostały same. Daina wytarła twarz i spojrzała na nią jak gdyby po raz pierwszy.

- O tak, jasne. - Uśmiechnęła się. - Dzięki za to, że między nas wpadłaś. Yasmin pomachała ręką w powietrzu.

- Daj spokój. Prawdę mówiąc, to chyba moja wina, że to wszystko dzisiaj wybuchło, i jest mi z tego powodu okropnie przykro.

- Myślisz, że to się może znów powtórzyć? - zapytała Daina, wycierając twarz.

- Nie wiem. Chyba częściowo zależy to ode mnie. - Pokiwała głową.

- Chodźmy na zewnątrz. Tutaj nadal złość wisi w powietrzu.

Przeszły przez zaciemnioną część sceny dźwiękowej z jej wijącymi się kablami i stosami sprzętu. Gdy otworzyły ciężkie metalowe drzwi i zeszły po metalowej rampie na plac za halą, uderzyło w nie słońce.

- Do mojej przyczepy czy twojej? Daina roześmiała się. Wyciągnęła rękę.

- Napiałabym się trochę tej wrednej kawy.

Podeszły do wielkiej ciężarówki o otwartych bokach, z której wydawano jedzenie i napoje.

Zabrały kubki w cień i patrzyły na nie kończącą się paradę aktorów i aktorek w kostiumach i „po cywilnemu”.

- Prawda jest taka - zaczęła po chwili Yasmin - że George i ja rozstaliśmy się. Wyprowadziłam się zeszłej nocy.

Wszyscy wiedzieli, że George i Yasmin żyją ze sobą.

- Co się stało?

Aktorka wzruszyła ramionami.

- Miałam go dość. Jego nieustannego psioczenia i jęczenia; jego biadolenia, że robi się coraz starszy, że traci włosy... „Gdzie podziały się wszystkie główne role?” - Popatrzyła na Dainę, potem na ruchliwy plac. W końcu jej oczy zatrzymały się na kawie. - Do diabła! - zaklęła i odrzuciła kubek. - Nie mam pojęcia, dlaczego kłamię. Chyba z nawyku. Daina spojrzała na nią.

- Nie jesteś mi winna żadnych wyjaśnień, Yasmin. Kobieta uśmiechnęła się.

- Może i nie. Ale myślę, że jestem je winna sobie. - Zaciśnęła nerwowo ręce na poręcz, o którą się opierała. - Prawda jest taka, że my - to znaczy George i ja - dobiliśmy targu. Przynajmniej ja uważałam to za coś takiego. On chciał pójść ze mną do łóżka, ja chciałam dostać rolę w *Heather Duell*. - Wzruszyła ramionami. - Proste, nie? Wszyscy to robią, prędzej czy-później. Oboje wygraliśmy. - Westchnęła. - Nie chciałam nikogo skrzywdzić.

- No cóż, nie podpisywałaś kontraktu - powiedziała Daina. - To znaczy, ludzie są ludźmi, nie przedmiotami. Są obdarzeni uczuciami i w danej chwili mogą

mówić coś, co naprawdę myślą, ale uczucia zmieniają się i słowa tracą znaczenie. Nie jesteśmy zrobieni z kamienia.

- George z pewnością nie - rzekła ze smutkiem Yasmin. - Jest we mnie zakochany. - Odwróciła się do Dainy. - Aż do tej chwili nie miałam pojęcia, jak bardzo go zraniłam, Daino. Nie chciałam tego, ale tak się stało. Jak gdyby każde z nas straciło kontrolę na zawsze. Jakbyśmy oboje się zsuwali.

- Co do niego czujesz? - zapytała Daina, myśląc o Rubensie.

- To jest naprawdę okropne. Nie wiem. To znaczy, tak między nami dziewczynami, zrobiłam to, co musiałam, i teraz o tym z tobą rozmawiam. Nasz arsenał broni jest różny od ich arsenału, to wszystko. - Roześmiała się krótko.

- Jedyne problem w tym, że nie jestem pozbawioną sumienia suką. Nadal lubię George'a.

- Wobec tego jest tylko jedna rzecz do zrobienia - stwierdziła Daina

- powiedz mu to.

- Och, nie zechce mnie wysłuchać.

- Zatem zawsze będziesz miała go na sumieniu. Chcesz tego?

- Biedny George - powiedziała Yasmin, mrużąc oczy w palącym słońcu.

Coś poruszyło się na drodze. Obie z zaciekawieniem spojrzały na jadącą ku nim olbrzymią srebrną limuzynę. Wszystkie szyby były pokryte tą srebrzystą substancją, która nie przeszkadzając wyglądać, nie pozwala zajrzeć do środka. Osłona chłodnicy była akrylowa. Wiele osób przerwało swoje zajęcia, by, odwracając głowy, zastanawiać się, kto jest w środku.

Limuzyna podjechała do aktorek i zatrzymała się. Tylne szyby po ich stronie osunęła się bezgłośnie i z wnętrza buchnęła muzyka - skrzeczące gitary i walące bębny. Daina zobaczyła w mroku uśmiechniętą szeroko twarz Chrisa. Miał oprawione w stal okulary przeciwsłoneczne o czarnych szklach. Gdy przesunął się na siedzeniu, zauważyła, że jest ubrany w obcisłe, sprane niemal do białości dżinsy i ognistoczerwoną bawełnianą koszulkę z czarnej-srebrną gitarą wydrukowaną ukośnie na piersiach. Gitara miała taki sam kształt jak jego robiony na zamówienie instrument.

- Hej, hej, hej! - zawołał na powitanie. Jego palce zacisnęły się na krawędzi okna. - Jesteś zajęta?

Podeszła do niego.

- Zwariowałeś? Do diabła, jak się tu dostałeś? Roześmiał się.

• Wszędzie ma się swoich fanów, wiesz. - Rozejrzył się. - Macie kryzys czy co? Nie kręcicie?

• Nie. Dzięki napadowi złego humoru mamy wolne na resztę dnia.

• No, to świetnie. Wsiadaj.

Daina odwróciła głowę. Zbliżyła się Yasmin. Przedstawiła ją Chrisowi. Ten skinął głową, powiedział: - Cześć! - i z powrotem zajął się Dainą.

- Och, do diabła, jeszcze się wahasz?

Yasmin potrząsnęła głową, uśmiechnęła się. Daina otworzyła ciężkie drzwi i wsiadła.

- Na razie! - zawołała do aktorki, gdy Kerr wduślił przycisk i szyba podniosła się, odcinając ich od świata. Czują jego zapach, czysty, silny i męski. Rozsiadła się na pluszowym siedzeniu, które objęło ją niczym dłoń. Ciemna opalizująca przegroda oddzielała ich od przodu limuzyny, gdzie siedział kierowca.

Wyjrzała przez okno. Miała wrażenie, że patrzy przez szkła przeciwsłonecznych okularów, wszystkie kolory były przytłumione, wszędzie zalegały zielonkawe cienie, zastępujące rzeczywistość.

Popatrzyła na Chrisa, gdy minęli strzeżoną bramę i skręcali na autostradę. Ciemne włosy miał rozczochrane, nos rysował się wyraźnie jak ostrze brzytwy. Trudno było powiedzieć, ile ma lat - pod czterdziestkę? - jego twarz ryły ślady przyspieszonego tempa, w którym żyli oni wszyscy, ci szczególnie ludzie, naznaczeni cieniami innego świata, jak gdyby byli niedobitkami jakiejś nie kończącej się egzystencjalnej wojny, której istnienia zwyczajni śmiertelnicy mogli się tylko domyślać.

• Cóż. - Uśmiechnął się szeroko, strzelając rytmicznie palcami, jakby w takt słyszanej tylko przez siebie muzyki. Pod cienką koszulką nabrzmiały mu bicepsy. Naładowany energią rock ucichł już dawno i tylko delikatny szept silnika limuzyny zakłócał ciszę.

• Wcześniej wstajesz - zauważyła. Potem, ponieważ była trochę zakłopotana zaistniałą sytuacją, szybko zapytała: - Gdzie jest Maggie? - Chris nigdy wcześniej nie zachował się w ten sposób. Zastanawiała się, jakie znaczenie może mieć ten jego gest.

• W domu - odparł, nadal pstrykając palcami. - Wyszła. - Wzruszył

ramionami. - Tylko ty i ja, wolni tralala! - Patrzył przez pewien czas na ciągnący w milczeniu sznur samochodów, wśród których prześlizgiwali się jak zwinny rekin przez ławicę płochliwych rybek. - Hej, chyba nie masz nic przeciwko... - spytał, odwracając się w jej stronę - że Maggie tu nie ma? Chciałem... - Rozłożył ręce wnętrzem dłoni w górę.

Daina uśmiechnęła się.

- Nie, nie ma sprawy. I tak musiałam wyrwać się stąd na chwilę.

- No, to w porządku. - Potrząsnęła głową, jego gęste włosy zafalowały niczym grzywa jakiegoś mitycznego stwora. - Więc... - Klepnął się po udach.

- Cieszę się, że mogłaś wyjść.

Wyglądał na skrępowanego i Daina pomyślała: Chryste, chyba nie ma zamiaru zostawić Maggie. Nie teraz. Nie potrzebuję wysłuchiwać tego rodzaju wyznań.

Dwupoziomowe przejazdy, żelbetowe chmury unoszące się ponad metalowym krajobrazem, od czasu do czasu zaciemniały wnętrze wozu.

Miała zamiar zapytać, czy ma do niej jakąś sprawę, kiedy Kerr wybuchnął:

- Więc co myślisz o ostatnim albumie?

Przez chwilę patrzyła za okno. Ruch zmalął, gdy zbliżyli się do Pacyfiku. Zastanawiała się, czy wyznać mu prawdę. W przypadku artystów często trudno było poznać, co naprawdę chcą słyszeć. Zbyt wielu było łasych na tanie kłamstewka, dzięki którym udawało im się żyć w tej krainie snów. Jaki był naprawdę Chris?

Nagle uświadomiła sobie cały fałsz takiego toku rozumowania. Kogo obchodzi, co on chce usłyszeć, tłumaczyła sobie. Jeżeli zdenerwuje go to, co powiem, to paskudnie. Ale nie skłamię.

- Prawdę mówiąc, byłam rozczarowana.

- Och? - Obojętnie zmierzył ją wzrokiem. - Mów. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest poważny.

- Zgoda. Uważam, że takie rzeczy robiłeś już wcześniej. I lepsze. Na przykład utwór *Twarz na podłodze* jest powtórką starych pomysłów. *Bar Blitz* jest dużo lepszy i napisałeś go, kiedy? Dwa lata temu?

- Trzy.

Przez pewien czas panowało milczenie. Jechali w dół Pacific Palisades na Coast Highway.

- Chris, wcale nie jest mi przykro, że to mówię. Pytałeś mnie i...
- W porządku. - Machnął ręką. - Poważnie, cieszę się, że to powiedziałaś.

- Odwrócił ku niej głowę. - Ponieważ jestem tego samego zdania i ta myśl tłucze mi się po czaszce. - Parsknął szyderczo. - Fakt, nowy album zapowiada się wrednie i chcesz wiedzieć dlaczego? Na okrągło to samo cholerstwo. Mówiłem tym sukinsynom, żeby się nie opierdalali, ale to nic nie dało. I tak mamy bajzel. O niczym nie myślą...

- Co mówią?

Potań dłońmi po udach.

- Najpierw mnie olali. Potem, kiedy nie zamknąłem jadaczki, doszło do bijatyki - wiesz, o takie bzdury, że panienki nie mogą przychodzić na sesje, o czym wszyscy bardzo dobrze wiedzą. Twarde prawo, ale - Chryste, pewnego wieczora w zeszłym tygodniu wpakowałem Rollie'emu werbel na głowę. Musieli nas rozdzielać dwaj technicy.

- A co z Nigelem? Jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi...

- Tak, Nigel. - Kerr roześmiał się. - Cholerna z niego pomoc. Nadyma się jak balon za każdym razem, gdy próbuję mu zwrócić uwagę, że ta cholerna suka, Tie, wtyka nos w nie swoje sprawy, jak zresztą od początku. - Splótł przed sobą wielkie ręce o długich palcach. - Cholera, to nie wychodzi na dobre muzyce, Dain. Mówię ci...

- Chris, czy wasz menażer nie mógłby wyczyścić tego bagna? Ostatecznie on...

Muzyk odchylił w tył głowę, śmiejąc się sardonicznie.

- Nie, mała, nie. Benno jest cholernym podżegaczem. Rozmawiałem z nim parę tygodni temu, kiedy zaczęło się to całe gównno... - Sięgnął do cholewy buta, wyjął skręta. Zapalił go, wciągnął dym, zaproponował macha Dainie. Gdy odmówiła, kontynuował: - Nigdy nie spotkałaś Benna, prawda? Cóż, jak mu to pasuje, może wyciągnąć jad ze żmii. Ja to wiem, rozumiesz? Mimo to usiadłem z nim, *mano a mano*, jak mówią na bulwarze, i opowiedziałem mu o wszystkim. Obiecał, że zajmie się tym. „Ale musisz być cierpliwy”, rzekł. „Wiesz, jacy oni są, Chris. Zmienni jak cholera. Więc potrwa to jakiś czas. Lecz ty to wiesz”. Więc czekałem, jak idiota pierwszej klasy.

A potem Nigel przychodzi z najgorszym tekstem, jaki w życiu słyszałem. Brzmiał tak, jakby zerznął wszystkie pomysły z naszego ostatniego albumu, i tak

zostałem z kutasem w dłoni i dziesięcioma nutami na sesję, która jeszcze nie ruszyła z miejsca. Cholera jasna!

Limuzyna zaczęła podjeżdżać pod lokal Jack in the Box. Chris pochylił się, waląc pięściami w przepierzenie. Gdy zsunęło się nieco, wrzasnął do szofera:

- Nie, cholera, mówiłem do Polynesian! - Szyba podniosła się i limuzyna skręciła między nieliczne pojazdy, znów nabierając prędkości.

- Wtedy zaczęły się bijatyki - podjął Kerr tak, jakby nie było żadnej przerwy. - Oni wszyscy zachowują się jak regularne sukinsyny. Potem, jednego wieczora, Nigel przychodzi do mnie i mówi, że Benno jest wkurzony, bo jesteśmy spóźnieni, i jeżeli nie skończymy tego cholernego longplaya zgodnie z rozkładem, nie zdążymy na rozpoczęcie tournée - a wiesz, jak lubią robić. Wypuścić singiel na początku trasy, a potem, w trakcie, album. Biznes się kręci, mała. Więc mu wygarnąłem: „Ty przypale, gdybyś odwalił swoją cholerną robotę na czas, mielibyśmy gotowe kawałki, ale zamiast tego wszyscy idą na łatwiznę i mamy kompletny burdel!”

I wiesz, co ten cholerny sukinsyn miał czelność mi powiedzieć? „Masz rację, Chris. Ale to ty idziesz na łatwiznę. Mamy gotową receptę, człowieku, i ona za każdym razem daje nam kupę szmalu.” Wskazał na mnie palcem. „Nikt w tej kapeli tego nie zmieni. Dalej będziemy robić muzykę taką, jak zawsze, dopóki dzieciaki nie powiedzą nam, że już nie chcą jej słuchać i to będzie koniec wszystkiego, jasne?”

Podjechali do długiego, niskiego, krytego strzechą budynku stojącego przy drodze od strony oceanu. Limuzyna zwolniła i zatrzymała się, czekając na wolny przejazd, potem zatoczyła wdzięczny łuk i majestatycznie wjechała na wysypany żwirem podjazd. Szofer, starszy człowiek o pulchnej, dziobatej twarzy, otworzył im drzwi. Wyszli, wspięli się po szerokich, drewnianych schodach i minęli strzegące wejścia dwa wysokie na dziewięć stóp totemy boga Tiki.

Wewnątrz panowała ciemność. Jasnowłosa kobieta w zielono-niebieskim sarongu, która wyszła im na powitanie, przeprowadziła ich przez główną jadalnię o ścianach imitujących słomiane maty na oszklone patio. Ze skośnego sufitu zwieszał się hamak. Wskazała im stolik, z którego roztaczał się widok na Pacyfik, niestrudzenie wdzierający się na brązową plażę. Unoszący się jakby niechętnie w powietrzu pył wodny chwytał słońce i obsiewał morze maleńkimi tęczkami, niematerialnymi mostami donikąd.

Daina czekała, aż podadzą im drinki - rum i sok owocowy w wydrążonych skorupach kokosa. Wyjęła brązowe plastikowe mieszadełko w kształcie totemu i zgięła je na krawędzi stołu.

• Chris, muszę cię o coś zapytać, i nie dlatego, że nie jestem zainteresowana twoją muzyką, bo jestem, ale... Dlaczego nie pogadałeś na ten temat z Maggie?

• Skąd wiesz, że nie?

• Gdyby było inaczej, nie rozmawiałbyś ze mną. To nie problem, który trzeba poddawać pod głosowanie.

Uśmiechnął się nieznacznie, napił się drinka.

- Mniej więcej zgodne z prawdą. - Położył ręce na stole, przykrywając kartę dań. - Słuchaj, Dain, nie zrozum mnie źle. Kocham Maggie, naprawdę. Jednak czasami, no cóż, ona po prostu nie potrafi być obiektywna... Znasz jej stosunek do muzyki. Robak w słoju z cukierkami w ogóle jej nie wzruszy, bo go po prostu nie zobaczy, rozumiesz, co mam na myśli?

Rozumiała.

- A skąd wiesz, że ze mną jest inaczej?

Wyjął z jej ręki mieszadełko, przełamał je, wzruszył ramionami.

• Tak przeczuwam, to wszystko. I prawdą jest... - Wyszczrzył zęby jak szczeniak.

• Co jest takie zabawne?

• No, wiesz, kiedy Maggie nas przedstawiła, od razu sobie ciebie przypomniałem.

• Skąd? Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

• Nie, ale byłem pewien, że gdzieś cię widziałem. W Woodstock. Roześmiała się.

• Och, to szaleństwo. Tam było ponad pół miliona ludzi. Jak mógłbyś...

- Byłaś z przodu, bardzo blisko sceny, i to dziwne, wiesz, bo nadal pamiętam, jak pomyślałem: Skąd, u diabła, ta mała wytrzasnęła takie czarne dzinsy? Polowałem na nie od czasu przyjazdu do Ameryki.

Potań nos.

- My graliśmy pod koniec trzeciego dnia... Chyba to była niedziela. Tak, niedziela. Wtedy doszło do jakiejś pyskówki z menażerem Airplane.

- Nadal nie łapię. Zapamiętałeś mnie po dzinsach? Uśmiechnął się szeroko.

- Nie mów mi, że zapomniałaś? Chryste, gdy tylko zaczęliśmy pierwszy kawałek, wstałaś, zdjęłaś koszulkę i...

- Wystarczy! Pamiętam!

Chris roześmiał się.

- Jak mógłbym zapomnieć takie ciało!

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć, iż byłam tam dla pokoju i miłości.

Popatrzył na nią dziwnie.

- Co za różnica, dlaczego tam byłaś?

- To był dla mnie zły okres. Uciekałam przed wszystkim, czemu nie chciałam stawić czoła. W przerwach między koncertami mogłam myśleć wyłącznie o fortepianowym utworze, jakiego zwykł był słuchać mój ojciec. Gdy byłam mała, zawsze go słyszałam, idąc do łóżka, i potem zawsze płakałam. Później ten utwór przypominał mi ojca.

- Jaki?

- *Pawana na śmierć Infantki* Maurycego Ravela. Kerr pokiwał głową.

- Och, jasne. Znam ten kawałek. W Soho natknąłem się na starego dziwaka. Żłopał dżin na okrągło, ale trochę nauczył mnie grać na pianinie. Grywał *Pawanę* jak noc długa, płacząc do szklanki. *Quel triste*, mawiał. *Quel triste*. Biedny stary kutas. On...

- Hej, człowieku, Chris Kerr! Nie wierzę!

Oboje podnieśli głowy i zobaczyli muskularnego, zgarbionego osobnika z pożółkłym od nikotyny zadartym wąsem. Jego długie, tłuste włosy były związane w kucyk. Miał na sobie poplamione i spłowiałe dzinsy oraz bluzę San Diego State z rękawami obciętymi na wysokości ramion.

- Chris Kerr. Cześć! Kurwa, kupę lat! - Jego uśmiech był pełen brązowych zębów i czerwonych dziąseł. Kompletnie zignorował Dainę. - Mikę Beates. Hej, musisz pamiętać, człowieku. Spotkaliśmy się na zapleczu w Nowym Jorku. Akademia Muzyki - wiesz, teraz to jest Palladium. Dawno, tak, w sześćdziesiątym szóstym. Zimą, człowieku. Wtedy byliście niczym. Graliście po Chucku Berryem.

- Nie sądzę, bym pamiętał.

- Och, jasne, pamiętasz. - Rozciągnął wargi i pokazał jeszcze więcej zębów.

- Porządna jamajska gandzia. Ekstra. - Uczynił ruch naśladowujący palenie trawy.

- Słuchaj, jesteśmy w środku lunchu. Rozmawiamy...
- Hej, ale spotkanie - przerwał mu Bates. - Rany, to musi być karma.

- Przekręcał szeroki pas od zegarka na nadgarstku. - Hej, taa, to była na pewno zima. Śnieg na ulicach, powietrze zimniejsze od cyców czarownicy, a wy byliście zerem. A dzisiaj - spójrz na siebie. - Wsparł rękę na oparciu krzesła przy sąsiednim stole. - Rany, ja wtedy też niewiele robiłem, a teraz... – jego mięsiste ramię uniosło się i opadło - mniej więcej to samo. – Zaczął przysuwać krzesło. - Interesik tu, interesik tam, nic wielkiego, ale gdybyś...

- Nie rób tego - powiedział Chris. - Jak wspomniałem, omawiamy ważną sprawę. Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Aha. Ale, słuchaj, to zabierze ci tylko parę minut, słowo. - Usiadł. Krzesło jęknęło pod jego ciężarem. - Mam plan, obmyślony od dawna. Wszystko zadziała...

- Nie słyszałeś? - warknął Chris. Daina wyczuwała narastające w nim napięcie.

- Rany, człowieku, trzeba tylko trochę szmalu. Ty go masz do obrzydzenia, Chris, wiem. Tylko małe dofinansowanie.

- To dla ciebie - rzekł muzyk. Złapał mężczyznę za bluzę, poderwał go na nogi.

Daina odepchnęła swoje krzesło, pobiegła do drzwi tarasu, wołając kierownika. Pojawił się w jednej chwili: smagły osobnik z krzepkim Meksykaninem-wykidają u boku. Strzelił palcami i Meksykanin kocim krokiem zszedł po schodach.

Kierownik zawołał coś do niego w szybkim ulicznym hiszpańskim i wykidajło wyciągnął potężne ręce o tępo zakończonych palcach. Zacisnął stalowe dłonie na ramionach Mike'a Batesa i szarpnął go w tył tak gwałtownie, że Daina usłyszała klekotanie zbrązowiałych zębów.

Kerr skoczył za natrętem, nie puszczając jego bluzy. Daina ruszyła ku nim i, nie bacząc na ostrzegawcze okrzyki restauratora, wsunęła się między nich i złapała muzyka za rękę. Była bardzo blisko, czuła na policzku jego urywany oddech, widziała jego oczy o dziko rozszerzonych źrenicach.

- Chris - powiedziała miękko, wkładając więcej siły w uchwyt – puść go. Niech Meksykanin się nim zajmie. Już go trzyma. - Mówiła jak matka uspokajająca

dziecko. - Zabiorą go od razu, gdy tylko im na to pozwolisz. Chodź już.

Niechętnie opuścił ręce, a wykidajło natychmiast poderwał intruza i wyciągnął go z tarasu.

- Sukinsynu! - zawołał Bates. - Nie wierzysz w podział dóbr? Co dla ciebie znaczy parę patoli! Zachowywałeś się trochę inaczej, gdy razem paliliśmy trawę w sześćdziesiątym szóstym, ty kutasie! - Potem zniknął we wnętrzu ciemnej restauracji.

- Tak mi przykro - rzekł kierownik, nerwowo wykręcając dłonie. Spróbował przywołać uśmiech na twarz, ale bez wielkich rezultatów. - Sława, co? - dodał w formie przeprosin. - Tak jest zawsze, nie? To takie brzemię. - Zaklaskał językiem o podniebienie jak zasmucona stara kobieta. Podniósł rękę, przyglądał ciemne, natarte olejkami włosy. - Proszę nie myśleć o nas źle. Jedzenie. Jedzenie! Lunch na koszt firmy. - Odwrócił się, strzelił palcami, jakby to były kastaniety. Pojawił się kelner.

- Cholerne pasożyty - warknął Chris, gdy Daina podprowadziła go do stolika. - Spotykają człowieka jeden jedyny raz i od razu myślą, że jest im winien życie. Chryste, ale to mnie wkurza.

Podano jedzenie: parujące talerze z krewetkami w półskorupkach, żeberka w sosie barwy czerwonego lakieru, słodko-kwaśny smażony wonton, pieczona kaczka, smażony ryż; i kolejne drinki w rozłupanych skorupach kokosa. Stół już się uginał, a mimo to stojący dyskretnie w cieniu kierownik pstrykał palcami i kelner pojawiał się i zniknął niczym uczeń czarnoksiężnika, zataczając się pod ciężarem potraw.

- Chryste - rzekł w końcu Kerr, rzucając ostatnie ogołocone żeberko na stosik kości. - Jestem w szambie, to wszystko.

Daina odstawiła filiżankę z kawą.

- Mówisz tak, jakbyś absolutnie nie panował nad sytuacją. Rozwiązanie jest proste. Jeżeli nie podoba ci się w kapeli, odejź.

Spojrzał na nią.

- To pierwsze, co poradziła mi Maggie. - Wytarł zatłuszczone wargi zmiętą papierową serwetką.

Restaurator strzelił palcami i kelner zaczął zabierać spiętrzone talerze. Kiedy zostali sami, muzyk kontynuował:

- Ale nie sądzę, żebyście miały takie samo zdanie. Chodzi mi o to, że ona jest jak dziecko, poważnie. - Machnął ręką. - Ty nie jesteś taka naiwna, Dain. Wiesz,

że nic nie jest takie proste. Nie w tym życiu.

- Co chcesz powiedzieć? Że nie możesz odejść? Wiesz doskonale, że można zerwać każdy kontrakt. - Milczał, wyglądając przez okno. Błękit Pacyfiku niknął w oślepiających promieniach słońca. - Chciałabym zatem wiedzieć, Chris, co zamierzasz zrobić?

Jego spojrzenie skierowało się jakby do wewnątrz i twarz mu posmutniała. Serce jej pękało, gdy widziała go w takim stanie. Stał się inną osobą, pozostającą w całkowitej niezgodzie z beczelnym, zblazowanym gwiazdorem rocka, który kroczył dumnie po scenie wśród wrzasku pięćdziesięciu tysięcy gardeł małych latów.

- Nie wiem - odezwał się wreszcie. Myślni był gdzieś daleko. - Nie chcę stracić kapeli. Tworzymy zespół... wszyscy oni są przyjaciółmi, których znam od blisko piętnastu lat. Fani przychodzą i odchodzą, robią wszystko, żeby tylko znaleźć się blisko ciebie. Są częścią biznesu, wiesz, i po chwili otrząsas się z nich jak z pijawek. Myślą, że zyskują wgląd do wewnątrz, ale tak nie jest.

Żaden z nas nie pozwala im wejść tak daleko; jesteśmy zbyt zamknięci.

- Roześmiał się krótko. - Czasami myślę, że dlatego możemy wydawać się tacy dziwacznymi, hermetyczni. Lecz kochamy się... oni kochają mnie bardziej niż mama czy tata. Chcę, żebyśmy zawsze byli razem. Wiesz, my przeciwko światu, jak było od początku.

Ale... - zacisnął pięści i Daina zobaczyła ściętna napinające się z wysiłku na jego szyi - wiem, że dzieje się coś złego. Nie wiem, co, ale czuję to.

- Patrzył jej prosto w oczy, a ją przebiegły ciarki po plecach. - Jakby to coś żyło własnym życiem, wymknęło się spod kontroli, gotowe pożreć nas żywcem.

- Drżał od wewnętrznego napięcia, które Daina doskonale potrafiła zrozumieć. W jej przypadku był to ładunek emocjonalny, który gromadziła w sobie tuż przed wyjściem na plan. Napięcie zaczynało się w stopach, sprawiało, że mięśnie zaczynały dygotać, a kiedy spazm dosięgał kolan, był czas wychodzić przed kamery.

Nagle Chris trzasnął dłonią w stół tak silnie, że kawa wylała się z filiżanki.

- Hej! - zawołał - wiesz, co zrobimy? W bagażniku limuzyny mam tego cholernego słonia harleya. - Uśmiechnął się szeroko, znów przemieniając się w beztroskiego chłopca. Złapał ją za rękę. - Chodź! Przejedziemy się!

I popędzili ponad perłowym bezmiarem morza na czerwonym jak krew

motocyklu, którego korpus działał jak reflektor, wzmacniając barwę metalowych rozporok. Wielki silnik warczał i wibrował między jej nogami; obejmowała Kerra w pasie i czuła jego twarde mięśnie, myśląc przelotnie o Maggie, która nie dawała się namówić na przejażdżkę.

Przyciskała piersi do zakazanego muru jego przygarbionych pleców, ciepły wiatr omiatał jej policzki jak gdyby zazdrośnie, burzył długie włosy, rozwiewał je na kształt wachlarza; słońce grzało jej nagie ramiona, wsączało się w zmrużone oczy niczym płynne złoto.

Chris zwiększył gaz i harley skoczył pod nimi jak rumak, unosząc ich coraz szybciej i szybciej, póki, jak się zdawało, nie prześcignęli samego czasu. Linia brzegowa zniknęła, pozostała jedynie brązowo-beżowo-zielono-biało-czerwona smuga, oderwana, świat został zredukowany do jasnych strzał światła na jej ciele, do energii płonącej w jej żyłach jak ogień. Uniesienie.

Nie kończąca się ekstaza...

3

Przez długi czas siedziała za kierownicą mercedesa. Bel Air wokół niej było spokojne i ciche. Tutaj nie docierał nawet wieczny szum sunących po Sunset Boulevard wozów. Zaparkowała niedaleko początku szerokiego, zamasyztego, wysypanego kruszonym marmurem podjazdu wiodącego do domu Rubensa, i zastanawiała się, czy wejść. Wysoko w chmurach zabrzączał samolot, kierujący się ku międzynarodowemu lotnisku w Los Angeles.

Patrzyła wprost przed siebie na wysoki szpaler drzew jacarandy, które z tej strony ogradały posiadłość, ale w rzeczywistości widziała coś innego. Ciężki, mocny zarys sylwetki Nowego Jorku, oddychający w czas zachodu i wschodu słońca, przepelniający ją mocą bogini. To wielkie dynamiczne miasto huczało jej w myślach jak ryk zwycięstwa.

Z jej na wpół otwartych ust wyrwał się dźwięk, jakby duch tamtego krzyku, stłumiony przez czas i odległość. Oparła się o chłodną skórę fotela. Jej długie palce delikatnie gładziły krzywiznę kierownicy.

Zapadał zmierzch. Lecz ona słyszała jedynie echa tego krzyku, wirujące w jej

głowie jak wino, podczas gdy w myślach raz jeszcze próbowała uchwycić istotę tej wulgarnej, granitowej duszy miasta. Jej puls bił raz-dwa, raz-dwa - delikatne drżenie u podstawy szyi, po wewnętrznej stronie nadgarstków - „Mark, Mark”. Serce zaczęło tłuc się o żebra, łzy zalśniły jej w oczach i przygryzła usta, myśląc: Och, ty skurwielu.

Nagle zapuściła silnik, wrzuciła pierwszy bieg, skręciła na podjazd. Dom Rubensa wydawał się naprawdę daleki. Był ogromny, miał hiszpański dach kryty pomarańczowymi dachówkami i białe łuki z dekoracyjnego tynku. Jego jasne barwy były złagodzone bryzgami różowego żaru z niewidocznego Hollywood, które padały na niebo niczym błogosławieństwo kapłana o fałszywym sercu.

Obok niej przemknęło dwanaście topoli, spowijając świat chłodem i mrokiem. Mignęła płaska twarz meksykańskiego ogrodnika, który odjeżdżał do domu na swej hondzie.

Maria, gospodyni, otworzyła drzwi na dźwięk gongu. Ona również wychodziła.

- *Buenas tardes, senorita* Whitney - powiedziała z lekkim ukłonem.

- *Señor* właśnie kończy grę w tenisa.

- Och - bąknęła Daina. - Kto z nim jest?

Maria uśmiechnęła się.

- Nikt, *senorita*. Dzisiaj gra z maszyną. - Cicho zamknęła drzwi za jej plecami.

Daina, minąwszy wiszące po lewej stronie olbrzymie płótno el Greca, ruszyła korytarzem do łukowego wejścia salonu.

Rubens, w białych tenisowych szortach i koszuli z pionowymi granatowymi pasami po obu stronach piersi, właśnie wchodził drzwiami po drugiej stronie pokoju. Na ramionach miał biały ręcznik, na prawym nadgarstku błękitno-białą opaskę przeciwpotową. Za nim, po jego lewej stronie, Daina zobaczyła jedną trzecią basenu o olimpijskich wymiarach i, tuż na prawo, róg kortu tenisowego.

Rubens uśmiechnął się do niej.

- Jednak przyszłaś.

- Myślałeś, że nie przyjdę? Machnął dłonią z boku na bok.
- Pół na pół. Założyłem się z sobą. Podeszła do niego.
- Na które pół postawiłeś? Wyszczrzył zęby.
- Na wygrywające. - Podeszedł do baru, by przyrządzić drinki.

- Myślę, że oszukiwałeś.

Nalał jej bacardi, wcisnął odrobinę limona.

- Z sobą zawsze jestem uczciwy. Wzięła z jego rąk zimną szklanę.

- I bardzo pewny.

- Doświadczenie - stwierdził, pociągając duży łyk stolicznej. – Niejeden raz życie dało mi popalić.

Roześmiała się, pewna, że żartuje, ale natychmiast spoważniała. Zapatrzyła się w rum.

- Mało brakowało, a bym nie przyszła.

Nie rzekł ani słowa. Wyjął papierosa z cienkiej złotej papierośnicy, zapalił. Strużka dymu wysnuła się z jego ust. Strzepnął popiół do doniczki z kaktusem. Daina ze smutkiem przeczuwała, że powie: Co za różnica. Jesteś tu. Tylko to się liczy. Była zaskoczona, gdy zapytał:

- Co się stało?

Zobaczyła troskę na jego twarzy i uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy chciała, aby powiedział coś innego, aby okazał się gruboskórny, ponieważ wtedy łatwiej byłoby wstać i wyjść; niczego nie odczuwać.

- Chyba nie chcę o tym rozmawiać.

• Nie drocz się - rzucił, wychodząc zza baru. - Inaczej po co miałybyś zaczynać?

Ujął ją pod rękę i sprowadził po trzech stopniach na niższy poziom pomieszczenia, gdzie pod wysokim sufitem stała przeogromna, kryta szafirowym aksamitem kanapa w kształcie litery U.

- Okay - powiedział, gdy usiedli. - Śpiewaj. Oczy jej rozbłyły.

- Teraz ty robisz z tego jakiś żart.

- Ja? - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Ten dialog niby z Raymonda Chandlera...

- To pamiątka z mego poprzedniego wcielenia, gdy byłem Philipefn Marlowe'em. Nie żartuję z ciebie.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Rzuciłam Marka. On...

- Już to mówiłaś.

- Przystaniesz i wysłuchasz mnie, czy...
- Jest ci dużo lepiej bez niego.
- Dlaczego? Bo jest czarny?
- Nie w dzisiejszych czasach.
- Nie chrzań, to nadal się liczy.
- Tak, liczy się, ale chciałem rzec, że to z powodu jego poglądów, nie koloru skóry. - Napił się wódki. - Comeback Fondy wymagał wielkiego zachodu ze strony wielu ludzi.

- To nie miało nic wspólnego z jej polityką. Podniósł brew.
- Nie? Och, wybacz, nie sądziłem, że jesteś taka naiwna.
- A właściwie, co ty wiesz?

- To, co ci powiedziałem. - Postawił szklanekę na białym blacie stolika do kawy. - Słuchaj, twoja rakieta stoi na płycie wyrzutni. Chyba nie chcesz, by coś rozłączyło przewody. - Zmierzył ją wzrokiem. - Prawda?

Na moment skierowała wzrok w inną stronę.

- Ten problem dotyczy tak nas, jak Marka i mnie. Pora jest nieodpowiednia, nie rozumiesz? W chwili gdy próbuję otrząsnąć się po zerwaniu długotrwałego, silnego związku, pojawiaasz się ty i sprawiasz, że zaczynam czuć się jak wahadło, kołyszące się w tę i z powrotem nad przepaścią. Mam wrażenie, że w każdej chwili mogę spaść.

Wyciągnął dłoń, dotknął jej ramienia.

- Zatem nie myśl więcej o tym skurwielu. Zawsze uganiał się za...
- Nie - rzuciła ostrzegawczo.
- O co chodzi? Jesteś zbyt delikatna, by to usłyszeć? Wiesz, że sypiał z różnymi, na planie i w terenie. Nie potrafił zerwać z tymi wulgarnymi...
- Przestań!

Jego twarz znajdowała się teraz bardzo blisko jej twarzy. Widziała warstewkę potu, krótką szczecinę brody, ale przede wszystkim wdychała jego zwierzęcy zapach.

Głos mężczyzny był niski i doskonale opanowany.

- Nie mam pojęcia, coś ty kiedykolwiek widziała w Marku Nassiterze, ale cieszę się, że go rzuciłaś. - Podniósł wolną rękę, obrócił jej twarz w swoją stronę. -

Szlag mnie trafia, gdy patrzę na ciebie i wiem, że nadal coś do niego czujesz. Do tego skurwiela, który spędził półtora tygodnia na podrywaniu tej nastoletniej suki...

- Wiedziałeś! - Wyszarpnęła się i wstała.
- Zaczekaj chwilę...

Trzasnęła go, twardo i bez ostrzeżenia. Jej palce pozostawiły czerwone ślady na jego policzku.

- Ty sukinsynu! Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Naprawdę wierzysz, że chciałabyś mnie wysłuchać?
- Zdeptałeś mnie dokładnie tak, jak wszystkie inne kobiety w swoim życiu.

Jesteś do tego przyzwyczajony. - Patrzyła na niego z wściekłością. - Chyba naprawdę straciłam rozum.

Zawirowała na pięcie, wróciła po stopniach do właściwego salonu, a on pospieszył za nią.

- Słuchaj, to wcale nie tak.

Odwrociła się, spiorunowała go wzrokiem.

• Kłamca! Może nie wiedziałeś, co się stało, gdy spotkaliśmy się w Warehouse? Rzuć mi to prosto w oczy, a napluję ci w twarz. - Widziała, że Rubens drży. Krew odpłynęła mu z twarzy, nie powoli, a wszystka na raz. Wyczuła jego napięcie i instynktownie poznała, że tak reaguje w sytuacjach krytycznych: gwałtownością. Z tego powodu nie mogła się powstrzymać. Chciała popchnąć go dalej, sprowokować do silnej reakcji, która by udowodniła, raz i na zawsze, jak bardzo mu na niej zależy.

• Tak właśnie myślę, Rubensie. Uwielbiasz kłamać dla własnej korzyści. Jesteś tak przyzwyczajony do owijania sobie kobiet wokół palca, że zapominasz, iż są one ludźmi. Ja jestem człowiekiem i nie lubię być okłamywana. Nie możesz traktować mnie w ten sposób.

Powietrze między nimi przemieniło się w ołów. Było tak, jakby cały świat obracał się wokół tego punktu.

- W porządku - rzekł producent całą wieczność później. - Taki był początek.

Dostałem telefon w dziesięć minut po tym, jak to się stało.

- Dzięki.
- Poczekaj, powiedziałaś... - Złapał ją za rękę, lecz ona spojrzała na niego w

taki sposób, że natychmiast ją puścił. - Może oboje musimy czasem posłuchać, co? Może na tym polega problem.

• Nie mam zamiaru stać tu i wysłuchiwać tych bredni. - Odwróciła się. - Wyszkoliliś się tak dobrze, że już nawet nie wiesz, kiedy kłamiesz. Prawda już nie ma dla ciebie znaczenia. Liczy się tylko to, co w danej chwili jest najlepsze dla Rubensa. Chryste, nie wiem, jak mogłam czuć cokolwiek...

- Co mam zrobić, żeby cię przekonać? Obdarzyła go bladym uśmiechem.
- Och, z mojej strony nie spodziewaj się najmniejszej pomocy.
- A ty po prostu wyjdiesz?
- Dlaczego nie? Nic tu po mnie.
- Jeśli teraz odejdziesz, nigdy nie dowiesz się, czy miałaś rację.
- Wierz mi, Rubensie, wiem.
- Nadal chcę, żebyś się do mnie przeniosła. Proszę.

Zapadła szczególna, pełna napięcia cisza. Było tak, jakby stali na zielonej polanie, odarci nie tylko z ubrań, ale i ze starannie pielęgnowanej warstewki cywilizacji. Atawistyczne emocje przenikały powietrze. Tylko ich oczy poruszały się nieznacznie. Nozdrza rozdymały się, wężąc. Lada chwila mogli obnażyć zęby i rzucić się na siebie z charkotem.

- Tak naprawdę, to nie chcesz odejść, Daino. - Jego głos, nawet jeśli nie zawierał pogroźki, dźwięczał jak stal. Doskonale zdawała sobie sprawę, do czego zmierza. Miała dość jego zastraszania. Była świadoma, jak bardzo pragnie roli Heather Duell, ale podjęła już nieodwołalną decyzję. Wiedziała, co robi. Ostatecznie, ile milionów już zainwestowano w ten film? Zbyt wiele, by pozwolił jej odejść. Był to po prostu kolejny element jego taktyki. Tak jak chwilę wcześniej powstrzymał się od uderzenia jej, tak teraz nie pozwoli sobie na zrobienie tego kroku.

A jeżeli nie blefuje? - zapytała się w myślach. Jest silny. Może to zrobić. Co wtedy stanie się ze mną? Gdybym była mężczyzną, nigdy by do tego nie doszło. Siła. Właśnie jej mi brakuje.

Zawahała się, lecz po chwili skoncentrowała się na ostatniej myśli. Jeżeli pozwolę mu, by zmiażdżył mnie kciukiem, to będzie się to powtarzało i nigdy się nie wyzwolę. Nigdy nie będę miała wystarczającej siły.

- Nie zabierzesz mi tego filmu. - Jedyńy sposób, w jaki mogę się bronić, pomyślała.

Twarz producenta była pozbawioną wyrazu maską.

- Pragniesz tej roli za bardzo, Daino. Potrzebujesz jej.
- Prędzej pójdę po sąsiedzku do Teda Kessela. Zrobiłeś z tej roli bat, by mnie upokorzyć.

- W porządku. - W jego głosie rozbrzmiał szczególny ton. - Nie masz już tej roli.

Przez chwilę myślała, że serce przestało jej bić. A może się przesłyszała? Może to koszmarny sen? Niestety. Przeliczyła się, pchnęła go zbyt daleko.

Odwróciła się, ruszyła przez długi salon w kierunku holu. Widziała starca el Greca o podłużnej twarzy mędrca. Jego chłodne źrenice obserwowały ją, gdy podchodziła. Serce jej pękało i łyzy stanęły w kącikach oczu, nieruchome, jakby siłą woli powstrzymywała je od stoczenia się po policzkach i przyniesienia jej wstydu. Stary człowiek z Hiszpanii - jakiś rezolutny Żyd - zobaczył jej łyzy, ale zdecydowała, że Rubensowi nie będzie to dane.

Wtedy pomyślała o innym wstydzie, o okresie, jaki zamknęła gdzieś w głębi siebie, i jej żal stał się nie do zniesienia. Zwróciła się o pociechę do starca, ale on przecież nie mógł wyciągnąć ręki, dotknąć jej, jedynie przemawiał do niej swymi wyrazistymi oczyma. I powiedział: Ja przeżyłem. Ty też przetrwasz.

Była niedaleko wyjścia, gdy usłyszała głos Rubensa. Dotarł do niej jak z innego świata.

- Wróć tutaj, proszę - rzekł cicho. - Nie chciałem tego. Nadal patrzyła w oczy starca.

- Czy potrafisz mi wybaczyć? Odwróciła się.
- Dlaczego musisz sprawiać mi taki ból? - Wiedziała, że łyzy błyszczą w kącikach jej oczu. - Dlaczego mi to powiedziałeś?

- Wygrałaś, nie widzisz?
- Co wygrałam? I to nie jest walka.
- Och, jest - rzucił lekkim tonem. - Wszystko jest walką - dodał w formie upomnienia.

- Zatem jak mogłam wygrać z tobą?

- Opuszczałem stopę, gdy ty ją wykręciłaś. Powiedziałaś „nie”, chociaż pragniesz tej roli nade wszystko.

- Prawie nade wszystko.

Po raz pierwszy w czasie, który zdawał się wiekiem, mężczyzna uśmiechnął się. Był to miły uśmiech, ciepły i delikatny.

- To „prawie” odróżnia cię od...

- Słodkich idiotek.

- ...wszystkich innych. - Podeszedł do niej. - Wszystkich. - Otoczył ją ramionami, a ona nie sprzeciwiła się. - Nie bój się mnie - wyszeptał. - To coś, czego potrzebuję w kobiecie. - Pocałował ją w szyję. - Bardziej, niż możesz przypuszczać.

- Więc terroryzowałaś mnie...

- Nie. - Pokręcił głową. - To ty mnie sterroryzowałaś. W chwili gdy pojąłem, że naprawdę zamierzasz odejść, wiedziałem, że nigdy na to nie pozwolę. Zrobiłbym wszystko...

- Dasz mi wszystko, co zechcę? - Jej głos był bardzo miękki.

- Tak. - Mówił jeszcze łagodniej niż wcześniej. Objął ją mocniej i wtulił twarz w jej szyję.

Jej ręka wzniosła się nieświadomie, palce wplotły w gęste włosy, a ciało przycisnęło silnie do jego ciała. Nozdrza przepelniła woń piżma tak potężna, że zakręciło się jej w głowie. I odkryła, że przywiera do niego jakby szukając oparcia.

Ale on już zsuwał się w dół, jak gdyby jego ciało przemieniło się w deszcz. Stała nieruchomo, z palcami nadal wplecionymi w jego włosy. Zadrzała, gdy jego ręce zaczęły błądzić przy rozcięciu jedwabnej sukni. Westchnęła, czując delikatne drapanie palców na udach, a potem, niewiarygodne, jego usta przywarły do jej łona. Wysunął język i zaczął ją pieścić. Mięśnie jej ud zadygotały i jakby cała siła odpłynęła z jej nóg. Pochyliła się tak głęboko, że dotknęła piersiami jego pleców, poruszając się w górę i w dół na miękkiej lancy jego języka.

Spazmy rozkoszy sprawiły, że poczuła się ociężała; serce waliło jej w piersiach; usta rozchyliły się, a biodra zaczęły falować. - O Boże! - jęknęła, zapamiętała pocierając piersiami o jego plecy, badając sutkami jego skórę, rozpuszczając się w prądach rozkoszy.

Później leżała na nim. Pieściła go przez jakiś czas, czubki palców miała mokre

od własnej wilgoci. Wreszcie jego oczy stały się szkliste. Jęknął głośno, gdy ich gorące ciała zetknęły się, a odczuwanie go w sobie było tak cudowne, że wstrząsnął nią dreszcz.

W końcu rozszeptane palmy ukołysały ich do snu. Zasnęli tam, gdzie leżeli, na dywanie obok wielkiego kominka z różowego i szarego marmuru, z wysokim i pustym okapem.

Daina przebudziła się przed północą, gdy w okolicznych domach jeszcze mrugały telewizory, i zapatrzyła się w twarz Rubensa. Wyciągnęła rękę, delikatnie pogładziła miejsce, gdzie go wcześniej uderzyła. Otworzył oczy.

- Nie powinno tak być - wyszeptła. - Nie powinno być walki, nie między dwojgiem ludzi. - W myślach dodała: Którzy się kochają, ale nie mogła tego powiedzieć.

Spojrzał jej w oczy.

- Opanowanie tej sztuki jest bardzo ważne, ponieważ to miasto aż roi się od głupców. Myślą oni, że pieniądź jest wielkim straszakiem. Nie zdają sobie sprawy, że im bardziej polega się na forsie, tym człowiek staje się słabszy, aż wreszcie mózg mu się rozmiękcza od nieużywania. A wtedy podejmuje wyłącznie złe decyzje.

Przyłożyła rękę do jego piersi, wyczuwając rytm oddechu, i patrzyła w jego ciemne, błyszczące oczy.

- Siła woli - ciągnął - jest bronią nieskończenie lepszą od pieniędzy, gdyż działa przez cały czas. Zdobywasz dzięki niej wszystko, czego pragniesz, ale nikt nie może dać ci tej rady, musisz sama dojść do tego wniosku w taki sam twardy sposób jak ja.

Na Alei C na Manhattanie nie znajdziesz pieniędzy. Wyrwanie się z takiej dziury wymaga czasu, a poza tym trzeba jeszcze przeżyć...

Przysunął się do niej. Jego ciało było spięte, a przez to twarde jak skała.

- Czasami wracałem do domu po ciemku, opatrując skrwawiony policzek, zwichniętą szczękę. Nos miałem połamany tyle razy, że straciłem rachubę. - Jego bezlitosny śmiech zabrzmiał jak szczekanie zajadłego psa. - Och, jak ci Ukraińcy mnie kochali! „Hej, Żydzie!” - wołali. „Chodź, żydku, mamy dla ciebie prezent”. Pięść w żołądek, kolanem w pachwinę, skórzanym pasem po twarzy. „To zapłata za zabicie Chrystusa, zasrańcu.”

Bili mnie z zimną, metodyczną furią, jak gdyby odziedziczyli po swych

rodzicach wiedzę o okrutnym bestialstwie, z jakim Niemcy traktowali Europejczyków. To był istny koszmar, jakby naziści, nawet pokonani, zdołali zmartwychwstać w dzieciach swoich ofiar, oszukać śmierć i stać się nieśmiertelnymi.

Leżała, obejmując go, czując prężące się ciało. Milczał tak długo, że nabrała przekonania, iż opowieść dobiegła końca.

- Był taki jeden - zaczął tak nagle, że aż się przestraszyła - który im przewodził. Wysoki, rozczochrany dzieciak z błękitnymi oczyma o łagodnym blasku. Zawsze nosił rozpiętą koszulę, nawet w środku zimy, można więc było zobaczyć srebrny krzyż na jego piersi. Zwykłem myśleć, że krzyż ma mu przypominać, kim on jest.

W każdym razie zawsze to jego głos docierał do mnie pierwszy w czasie tych utarczek; jego pięść, jego kolano, jego śmiech, jego ślina na twarzy.

Och, stawałem do walki, ale oni byli więksi i zawsze było ich zbyt wielu. Moja matka płakała, widząc mnie pokrwawionego, lecz nie mówiła ani słowa ojcu. Pewnego razu on zauważył mój rozkwaszony nos, złapał mnie za ręce, zwinął je w pięści i powiedział: „Nie nauczyłeś się bronić? Masz pięści, to ich używaj”.

Wtedy po raz pierwszy nie ośmieliłem się wyjść z domu. Byłem przekonany, że na mnie czekają. Wiedziałem, że oni są nieważni. To wielki chłopak o błękitnych oczach nawiedzał moje sny, jakby karząc mnie za wymaginowane grzechy. Potem pewnego dnia wyszedłem. Była sobota, lato, pomyślałem, że może oni poszli na Brighton Beach. Przeszedłem parę kwartałów nie napotykając nikogo znajomego, jakbym był obcy w swojej dzielnicy. I poczułem ogarniające mnie oburzenie. Spojrzałem na ręce, zacisnąłem je. Ojciec przynajmniej częściowo miał rację. Musiałem czegoś użyć... musiałem znaleźć w sobie coś do obrony. Wiedziałem, że to nie będą pięści. Ale nie były one wszystkim, czym mogłem dysponować.

W tej chwili podniosłem głowę i zobaczyłem białego cadillaca. Biały caddy pokazywał się w okolicy raz czy dwa razy w tygodniu. Wiedziałem, co rozprowadza - no cóż, mniej więcej. Narkotyki były czymś, co znałem tylko ze słyszenia. Biały wóz skręcił w Pierwszą Wschodnią. Przystanąłem na rogu i obserwowałem, jak jedzie w dół ulicy. Zatrzymał się w jednej trzeciej kwartału i wtedy ktoś wyskoczył z ciemnego wejścia budynku. Był to chłopak o błękitnych oczach. Dał mężczyźnie z cadillaca jakieś banknoty, a w zamian dostał parę małych foliowych opakowań.

W ciągu następnego tygodnia sporządziłem plan trasy białego wozu na

Pierwszej Wschodniej Ulicy. Niezmiennie zatrzymywał się przed tym samym budynkiem, lecz nigdy nie widziałem, by chłopak o błękitnych oczach wyszedł raz jeszcze. Kilka razy dostawę przejmował jeden czy drugi ukraiński dzieciak, ale równie często posyłano któregoś z młodszych chłopców, jacy pałętali się wokół schodów. Nigdy dwa razy nie brano tego samego.

W następną sobotę padało. Nie był to dzień odpowiedni na wyjście na plażę. Wymknąłem się z domu i pobiegłem przez Aleję C na Pierwszą Wschodnią. Po drodze musiałem wskoczyć do warzywniaka starego Wyczka, żeby schować się przed Ukraińcami. Szli w kierunku centrum, do kina Loew's Delancey. Chłopaka o błękitnych oczach nie było wśród nich i wiedziałem dlaczego.

Ruszyłem w dół Pierwszej Wschodniej i przyciłem się na schodach, na zachód od jego mieszkania. W dziesięć minut byłem przemoczony do suchej nitki, a w ciągu następnych dziesięciu zacząłem dygotać, chociaż wcale nie było zimno. Wreszcie usłyszałem znajomy warkot silnika i wiedziałem, że nadjeżdża biały caddy.

Zatrzymał się niedaleko od miejsca, w którym siedziałem. Przez chwilę nic się nie działo. Potem rozległ się szmer opuszczanej szyby i usłyszałem głos: „Hej, mały! Hej!” Podniosłem głowę. Zobaczyłem kiwającą rękę. „Chwileczkę.” Wstałem i podszedłem do samochodu. „Masz parę dolców. Zanieś tę paczkę pod 6F w tym budynku.” Gruby paluch wskazał na mieszkanie niebieskookiego chłopaka.

Wewnątrz, na schodach, ostrożnie rozwinąłem paczuszkę. Zawierała trzy foliowe woreczki. Zapakowałem je z powrotem, wszedłem cuchnącą klatką schodową na najwyższe piętro. Słyszałem ryczące radio, szum deszczu na dachu. Schowałem pakiecik i zapukałem do drzwi.

Nie poznał mnie od razu. Dlaczego miałby poznać? Byłem ostatnią osobą, jakiej mógł się spodziewać. Czekałem cierpliwie, póki sobie nie skojarzy. „Widzę, że jeszcze nie nauczyłeś się swej lekcji”, powiedział w końcu. „Muszę wbić ci ją do głowy.” Zamachnął się, ale zrobiłem unik. „Lepiej, żebyś tego nie robił”, rzekłem spokojnie. „Mam twoje prochy.”

Oczywiście, był zbyt głupi, by mi uwierzyć, i nie uwierzył, póki nie wysypałem zawartości pierwszej torebki do zlewu i nie splukałem wodą. „Nie wyrzucaj reszty”, prosił. „Jest mi potrzebna.” „Ale ma ją żydek”, ja mu na to, biorąc drugą paczuszkę. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś tak błagał... Dosłownie padł na kolana i żebrał. Zobaczyłem ślady po igle na jego ręce. Budził we mnie wstręt.

Wysypałem drugą torebkę do zlewu. „Teraz została tylko jedna”, oznajmiłem. Popatrzył na mnie i piękny błękit zniknął z jego oczu, teraz wydawały się brązowe jak błoto.

„Masz”, powiedziałem, kołysząc trzecią paczuszką nad jego głową. „Prezent od żydka.” Rzuciłem ją w jego drżącą dłoń i patrzyłem, jak udręka pojawia się w tych na wpół martwych oczach. Mówiłem dalej: „Niewiele o tym wiem; jak myślisz, co by się z tobą stało, gdybyś strzelił sobie w żyłę wszystkie te prochy?” Potem odwróciłem się i wyszedłem. Ale jego twarz została w mej pamięci na zawsze.

W narastającej ciszy Daina poczuła, że stopniowo napięcie opuszcza go, tak jakby spływało podziemną rzeką. Słyszała jego powolny oddech, wiedziała, że zasypia.

- Rubens - wyszeptła - co się stało z tym chłopcem? Przez długi czas nie odpowiadał. Przewrócił się na bok, objął ją.

- To nie ma znaczenia.

- Jak możesz tak mówić?

Pocałował ją tak czule, że łzy stanęły jej w oczach.

- To nie jest rzecz najważniejsza w tej opowieści. - Jego cichy szept mógłby być szmerem nocnego wiatru. - Teraz śpij, kochanie.

- Władza - mówił Marion - to z jej powodu każdy ciągnie do Hollywood. Tutaj koncentruje się więcej władzy niż w każdym innym miejscu świata. Och, z wyjątkiem Waszyngtonu. - Roześmiał się zjadliwie. - Ale i tam chcieliby

mieć nasze pieniądze. - Spacerowali po peryferiach planu, obok trzech wielkich kamer Panavision, które wyglądały jak wysuwające się z bagna łby prehistorycznych jaszczurów.

- Przybycie do Hollywood jest ostatecznym sprawdzianem człowieczeństwa.

- Clarke'a charakteryzowała raczej sztywna angielska wyniosłość, pewien dystans w stosunku do pospolitych mieszkańców świata, którzy nie mieli dość szczęścia, by urodzić się poddanymi Imperium. Niemniej jednak była to cecha dość sympatyczna, gdyż stanowiła element jego staroświeckiego prowincjonalizmu, nawiązującego do ideałów dziewiętnastego stulecia. Nikt nigdy nie dopuszczał do siebie myśli, że reżyser może interesować się czymkolwiek poza własnym dobrem.
- Mogłem zostać w teatrze do końca życia. Ostatecznie, będąc chłopcem, tylko o tym

marzyłem. Pragnąłem stać się częścią West Endu i oczywiście Broadwayu. Ale powodzenie zmienia każdego, to prawda. Weź na przykład siebie. Dzięki *Regina Red* zostałam, jeśli wolno tak powiedzieć, „włączona”. Nawiązałam najintymniejszy stosunek z widzami. Rozumiesz, o co mi chodzi? Twoje życie z tego powodu musiało ulec zmianie.

W moim przypadku odniesiony w teatrze sukces sprawił, że zacząłem tęsknić za czymś... wspanialszym, bardziej imponującym. Postanowiłem przyjechać do tego centrum władzy. Po pierwsze, aby przekonać się; czy zdołam tu przeżyć, a po drugie, by sprawdzić, czy uda mi się je podbić. - Ujął jej rękę. - Lecz tutaj każdy dość szybko uczy się, że już samo przeżycie jest zwycięstwem, i to wcale nie pomniejszym. Wielu z wielkich to się nie udało. A dlaczego?

Po planie zaczęli kręcić się aktorzy i technicy, odciągnął ją więc w ostatni szary i ocieniony zakątek spokoju. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Dlatego, że na początku każdy jest pochłonięty... - słowa podkreślał ruchami rąk, rysując w powietrzu między nimi małe kręgi - totalnie pochłonięty zdobywaniem władzy. Każdy dochodzi do przekonania, że na tym koniec, że osiągnął wszystko. - Szeptał teraz, ale jego słowa miały siłę krzyku. - To nieprawda, Daino. Najtrudniejsze zadanie polega na inteligentnym korzystaniu ze swej władzy. - Posmutniał. Nie sama władza niszczy, lecz ignorancja w jej stosowaniu.

Gwar za ich plecami doszedł do szczytu i wszędzie panował ruch, wszyscy spieszyli na swoje stanowiska.

- Moja droga, mam wrażenie, że dla naszego przyjaciela... - wiedziała, że ma na myśli George'a - jest za późno. Jednak dla ciebie z pewnością nie. Kontrolowanie go jest bez wątpienia moim obowiązkiem, więc jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w krzyżowym ogniu, po prostu usuń się i przyjdź do mnie. Nie chcę, żebyś wdawała się w to wszystko. Jesteś zbyt wspaniałą aktorką, aby niepokoiły cię... hmm... aberracje naszego przyjaciela.

On pragnie tej roli i jestem przekonany, iż się do niej nadaje. Niemniej to dla niego trudne. *Heather Duell* oczywiście została napisana dla kobiety - dla ciebie - i od czasu do czasu George musi dać ujście swemu oburzeniu.

- Roześmiał się i teraz był to głęboki, wesoły dźwięk. - Może być sobie świnia przez cały rok, ale oboje wnosicie na ekran absolutną magię. Będąc bystrym gościem

pokazałem mu sekwencje z wczorajszej sceny. Można posądzać go o różne rzeczy, lecz na pewno nie jest głupcem. I okazał się na tyle człowiekiem, że przyznał, iż wiem, co robię. - Marion znów się roześmiał, i odwrócił, gdy obok pojawił się ktoś trzeci. - George! - zawołał. - Chodź i poznaj ponownie pierwszą damę naszego filmu.

- Tak - mówił do telefonu El-Kalaam. - Tak będzie dobrze, panie prezydencie. Przed chwilą miałem na linii premiera Izraela. Rozmawiał z córką i przekonał się, że żyje i ma się nieźle. Chwileczkę - zerknął na Bayarda Thomasa. - Pański sekretarz stanu był niezłą premią. - Zwykle rumiana twarz Amerykanina obecnie była biała jak jego włosy. Również bystre błękitne oczy zdawały się wyprane z koloru. Nie podniósł ich na terrorystę; wpatrywał się we własne nadgarstki. Wydawało się, że drży.

Po drugiej stronie pokoju, pod regałem z książkami, siedział James. Oddychał jakby lżej, ale nadal tracił krew. Heather i Rachel patrzyły na niego.

- Słucham, panie prezydencie. Nie zrozumiałem, co pan powiedział. Ech, to transatlantyczne połączenie... Nie, to nie ma znaczenia. - Nie spuszczał oka z Thomasa, chcąc zmusić go do podniesienia głowy. Amerykański sekretarz stanu uparcie wpatrywał się w drżące dłonie.

El-Kalaam nagle wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Pański sekretarz właśnie leje w spodnie, panie prezydencie. - Zaklaskał językiem o podniebienie. - Żenujące.

Twarc mu spochmurniała, gdy zerknął na zegarek.

- Teraz mamy dwadzieścia cztery minuty po dziesiątej. O szóstej wieczorem czekam na telefon od pana z informacją, że naszych trzynastu braci zostało zwolnionych z więzienia w Jerozolimie. Do ósmej jutro rano spełni pan nasze pozostałe żądania. Wie pan jakie. Dalszych negocjacji nie będzie. Jeżeli przed upływem tego czasu nie usłyszymy przez lokalne radio, częstotliwość tysiąc trzysta megaherców, o waszej bezwarunkowej zgodzie, córka premiera Izraela, pański sekretarz stanu i wszyscy inni zostaną straceni w trybie doraźnym. - Starannie odłożył słuchawkę.

- To oburzające - powiedział Renę Louch. - Żądam natychmiastowego zwolnienia siebie i mojego attache. Francja nie toczy żadnego sporu z OWP. Jeżeli tak się nie stanie...

- Zamknij mordę - przerwał mu Malaguez.

El-Kalaam odwrócił się do Rudda.

- Musisz lepiej się nim zająć - poradził z nutą rozbawienia. - Robi się za stary na swoje stanowisko.

- El-Kalaam! - zawołał Louch. - Posłuchaj mnie!

- Jeszcze się nie nauczył - rzekł beznamiętnie El-Kalaam. Patrzył teraz na Susan, ale najwyraźniej mówił do Fessiego.

Mężczyzna o oczach gryzonia pozornie nie uczynił żadnego ruchu, lecz kolba ciężkiego AKM trzasnęła Loucha w brzuch. Francuski ambasador runął jak uderzony toporem. Zwinął się na podłodze, podkulił nogi, objął rękoma brzuch. Z jego otwartych ust wydobył się charkot, a po policzkach spłynęły mu łzy. Wtedy Fessi stuknął go krawędzią dłoni w kark i głowa mężczyzny opadła bezwładnie.

El-Kalaam zmarszczył nos i klasnął językiem jak wówczas, gdy rozmawiał przez telefon. Pochylił się, zniżył lufę MP40 i wepchnął ją pod brodę leżącego. Louch otworzył oczy i spojrzał mu w twarz. Skóra Francuza była ziemista i spocona, oczy podkrążone.

- Proszę - zaczął uprzejmym tonem El-Kalaam - nie odzywać się do mnie, póki nie każe. - Ściągnął wargi. - Wiem, to musi być dla pana wielkim szokiem. Ale tutaj nie ma sprzymierzeńców. Jest pan wrogiem jak wszyscy.

- Wskazał ręką na innych zakładników. - Pan i oni to jedno. - Poderwał lufę pistoletu maszynowego, patrząc z góry na leżącego mężczyznę. Twarz Loucha drgała nerwowo. - Nie jest tak? - Dyplomata patrzył na niego, niemy, z załzawionymi oczyma. Terrorysta uderzył go pięścią w bok głowy. Pochylił się, oderwał jego twarz od podłogi.

- Proszę powiedzieć „tak”, panie ambasadorze. - Wymówił tytuł z przesadnym naciskiem w wyrazie pogardy.

Louch wysunął język, zwilżył suche usta.

- Tak. - Jego głos zanikł. Ambasador chrząknął i zaczął jeszcze raz.

- Tak, jesteśmy... jesteśmy wrogami.

- Właśnie! - El-Kalaam patrzył na niego przez chwilę. Potem przez jego twarz przemknął niesmak i odwrócił się do Emouleura. - Doprowadź go do porządku. Czego innego można oczekiwać po attache?

- Co? - zająknął się młody Francuz. - Z rękoma związanymi na plecach? El-

Kalaam odsunął lufę pistoletu od twarzy Loucha i mężczyzna upadł do jego stóp. - Użyj języka. - Odwrócił się.

Po drugiej stronie pokoju Duell nadal tracił krew. Lewa ręka, jak sparaliżowana, leżała bezwładnie u jego boku. Prawą zaciskał rękaw koszuli.

- Proszę... - zaczęła Heather, stając obok Rity. - Pozwól mi mu pomóc. Jaką krzywdę może wam teraz zrobić?

El-Kalaam jakby nie słyszał.

- To bardzo interesujące. Całkiem... - poderwał głowę, patrząc na zabiegi Jamesa - inspirujące. - Zbliżył się i zatrzymał przed rannym. - Jestem ciekaw, czy może zrobić to sam.

- A jeżeli nie? - zapytała Rachel. Malaguez stał tuż za nią. - Uratował mi życie. Teraz ja chciałabym mu pomóc. Skoro nie pozwalasz Heather, pozwól mnie.

- Tobie? - El-Kalaam nie odrywał oczu od Duella. - Nie pozwoliłbym ci nawet zawiązać sobie sznurowadeł. Nie zbliżaj się do niego.

James był skoncentrowany na swoim zadaniu. Jego przystojna twarz, ściągnięta i spocona z bólu, krzywiła się, gdy próbował złapać zębami kawałek materiału. Stęknął i ścięgnął nabrzmiały mu na karku, gdy wyciągał głowę do granic możliwości. Wreszcie udało mu się złapać koszulę. Chwilę później

usłyszeli ostry trzask. Mężczyzna wbił dwa palce w rozdarcie, szarpnął silnie w dół. W ręku została mu połowa rękawa. Po chwili miał bandaż. W oczach El-Kalaama pojawił się dziwny wyraz.

- Bardzo dobrze - podsumował, patrząc, jak Duell mocuje prowizoryczny opatrunek. - Robisz to jak zawodowy... żołnierz.

James nie spieszył się z komentarzem. Osuszył czoło grzbietem zdrowej ręki, wytarł dłoń w spodnie. Na nogawce została ciemna plama. Oparł się o regał, z trudem zaczerpnął powietrze. Urywany wydech przemienił się w kaszel. Duell natychmiast wytarł z ust różową pianę, ale terrorysta złapał go za rękę i obejrzał ją.

- Krwawi - powiedział, a ranny wyszarpnął dłoń i wytarł ją spiesznie. Heather zdusiła krzyk. Zamknęła oczy.

- Znam się trochę na żołnierce - oznajmił James, nie patrząc na nią.

- Znasz się. - El-Kalaam przyłożył lufę MP40 do jego piersi, odsunął na bok połę koszuli. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. - I?

- Urodziłem się i wychowałem w Falls w Belfaście - wyjaśnił Duell. Głowa opadła mu w tył, oczy zamknęły się.

- Nie, Jamie - prosiła Heather. - Nie forsuj się.

Rita ruchem ręki kazała jej się uciszyć, jednak El-Kalaam powstrzymał kobietę.

- Daj spokój - rzekł zimno. - Nie zwracaj na nią uwagi. James mi powie.

- Przykucnął przed rannym. - Prawda, James? Mężczyzna otworzył oczy.

Popatrzył prosto na El-Kalaama.

- Falls - przypomniał cicho terrorysta. - Urodziłeś się w Falls, w Belfaście.

- Tak, w Falls - powtórzył Duell. - Gdzie przyszli cholerni Anglicy ze swoimi protestanckimi informatorami, by zabijać i torturować walczących o wolność młodych chłopców.

El-Kalaam rozciągnął usta w wilczym uśmiechu i odwrócił głowę, by zerknąć na MacKinnona i Davidsona.

- Czy wy, dwaj angielscy dżentelmeni, nie zechcielibyście podejść bliżej? Nie chcecie posłuchać o okrucieństwach, jakich wasz rząd dopuszcza się wobec irlandzkich katolików?

MacKinnon i Davidson, bladzi i niewzruszeni, patrzyli na El-Kalaama.

- Żyjemy z tym na co dzień - odparł Davidson. - To element życia.

- Widzisz, jak to z nimi jest? - zwrócił się El-Kalaam do Jamesa.

- Widzisz, jak racjonalizują swoje grzechy?

- Wszyscy grzeszymy - rzekł cicho ranny. - Ja opuściłem Falls, bo wiedziałem, że lepsze interesy zrobię w Stanach. - Odwrócił się w stronę żony.

- Wiesz, dokąd idzie większa część zysków, ukochana. - Opuścił powieki, łzy popłynęły po jego policzkach.

- Do Irlandzkiej Armii Republikańskiej, co? - El-Kalaam skinął głową i znów poderwał ją, spoglądając w pełną bólu twarz Duella. - Ale zastanawiam się, jakie były prawdziwe powody opuszczenia Belfastu.

- Przypuszczam, że w głębi duszy zawsze byłem tchórzem. Mój brat i narzeczony mojej siostry walczyli z protestantami... i umarli za swe ideały. Nie mogli dać za sprawę ani szylinga... oddali życie. Dokonali wyboru. Teraz ja dokonałem swojego.

- Wyboru? Jakiego?

James zamilkł na pewien czas, potem popatrzył na terrorystę.

- Między obroną honoru a poddaniem się bandytom. Anarchistom.

Eł-Kalaam przeszył go wzrokiem. Wstał, cofnął się.

- On ma rację, wiesz - odezwał się Ken Rudd mimo histerycznych syknięć Thomasa, który starał się go uciszyć.

- Co ty robisz? - szeptał chrapliwie sekretarz stanu. - Zwariowałeś? Zobacz, co kazał zrobić Renę Louchowi.

Rudd obrzucił go lodowatym wzrokiem. El-Kalaam odwrócił się do amerykańskiego doradcy.

- Słowa - skwitował. - Tylko słowa.

- Słowa są tym, czym Ameryka żyła i za co umierała przez ponad dwieście lat - odparł Rudd. - Wolność i swoboda, sprawiedliwość i...

- Pokażę ci, ile znaczą słowa. - Głos El-Kalaama ociekał pogardą. Kiwnął ręką. - Rita.

Wysoka kobieta wysunęła się zza Rachel. Zdjęła z ramienia pistolet maszynowy.

- Co chcesz zrobić? - zapytała dziewczynka. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

- Cicho! - syknął Malaguez, celując w nią z pistoletu. - Stój i patrz.

- Nie chcę tego widzieć!

- Proszę, proszę - zakpił Fessi, szczerząc zęby. - Izraelitka ma cykora.

- Wyłącz ją z tego - rzekł Bock, który dotychczas zachowywał milczenie.

- Kobiety w ogóle nie powinny być w to wmieszane.

- Widzisz - zwrócił się do Rudda El-Kalaam. - To gadanie jest bez znaczenia.

Liczą się jedynie czyny.

Gdy mówił, Rita wyprowadziła lokaja na środek pokoju. Był to chudy, łysiejący mężczyzna, wyraźnie przygarbiony. Dziko potoczył oczyma i zaczął drżeć.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Amerykanin.

- James wie, co się stanie, prawda, James?

Głowa Duella opadła na ramię. Oczy wbiły się w nieruchomy punkt na przeciwległej ścianie. Nie dał żadnego znaku, że cokolwiek słyszy.

- Co się dzieje, El-Kalaam... - Ruddowi przerwało historyczne szczeknięcie Thomasa: - Zamknij się, dobrze? - Sekretarz stanu szczelnie zacisnął powieki.

- Zamknij się i wszyscy dajcie nam spokój!

Terrorystka zostawiła przerażonego lokaja i cofnęła się. Rozległ się szcęk, gdy odbezpieczała pistolet maszynowy.

- Na miłość boską! - krzyknął Emouleur.

Pokojówka wybuchnęła płaczem; Susan sapnęła, wciągając powietrze.

- To nie jest sposób na... - zaczął Davidson.

Ostry trzask pistoletu sprawił, że wszyscy podskoczyli. Heather krzyknęła.

Lokaj obrócił się wokół osi, odrywając jedną stopę od podłogi. Grad pocisków cisnął go na ścianę w fontannie krwi. Mężczyzna odbił się i zatoczył. Rita jeszcze raz nacisnęła spust. Hałas był ogłuszający. Ręce lokaja rozpostarły się szeroko, palce złapały kurczowo powietrze. Ciało zatańczyło, oczy wywróciły się w głąb głowy. Był zlany krwią. Rozsmarował ją po tapecie, gdy osuwał się na podłogę. Długie nogi złożyły się pod jego ciężarem, głowa opadła na piersi.

Pokojówka, młoda blondynka z wyzywającym makijażem, zaczęła piszczeć. Reszta zakładników, jak gdyby kierowana milczącym porozumieniem, zaczęła się od niej odsuwać. Dziewczyna skuliła się przed kominkiem. Rita zawirowała. Lufa MP40 jeszcze raz bluznęła pomarańczowym ogniem i pokojówka jakby skoczyła do tyłu. Marmurowy gzyms kominka uderzył ją w łopatki, wygiął jej plecy w łuk. Usta poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Palce zakrzywiły się jak szpony, kiedy opadała na kolana. Chwiała się przez chwilę na kłęczkach, a potem przewróciła na bok.

- W porządku - warknął El-Kalaam. - Teraz wiecie, co mamy do powiedzenia. Słowa są dla nas niczym, odwaga jest bezużytecznym śmieciem w porównaniu z posiadaną przez nas władzą. A jest ona ostateczna i nieodwołalna.

Jego głowa odwróciła się, ciemne oczy syciły czystym strachem malującym się na bladych twarzach. Uśmiechnął się lekko, obserwując przerażonych zakładników. W pokoju panowała absolutna cisza. El-Kalaam poklepał lufę pistoletu maszynowego i splunął głośno na podłogę między ciała lokaja i pokojówki.

Rubens nie tylko zyskał bardziej ludzki wymiar, ale, co być może ważniejsze, jego terrorystyczne początki w Lower East Side poruszyły strunę ukrytą głęboko w jądrze jej istoty. Wiedziała, co to znaczy nienawidzić tak bardzo, że nienawiść staje

się niemożliwym do splukania smakiem w ustach. I, oczywiście, знаła karę za takie ślepe uczucie. Nic więc dziwnego, że pod koniec dnia znalazła się nie u siebie, tylko w domu Rubensa. Popływała w basenie, a potem Maria przyniosła jej na tacy wielką, pokrytą kropelkami rosy szklanę cudownie schłodzonego bacardi i talerzyk kanapek z kurczakiem, ponieważ „*senor* wróci dziś później i prosi, żeby zaczekała pani z kolacją”.

Wypiła połowę rumu, nim ochłodziła się na tyle, by wrócić do domu. Usiadła w mokrym kostiumie kąpielowym, kończąc drinka i czując, jak gęste włosy ciężą i wiją się na ramionach. Zapatrzyła się na wielki obraz wiszący tuż na lewo od kominka. Przedstawiał siedzącą na urwistych skałach zdecydowanie przytłustą syrenę. Z jej pyzatej różowej twarzy wyzierała para enigmatycznych oczu. Długie włosy skrzyły się siecią morskich klejnotów - muszelek. Wilgotne łuski ogona połyskiwały w słońcu. Usta miała na wpół otwarte, jakby śpiewała. Poniżej i za jej plecami kłębiło się morze, jak gdyby chcąc ją pochłonąć. Ciekawy rys płótna polegał na tym, że oczy syreny były dokładnie w tym samym odcieniu co woda, przez co powstawało oszałamiające wrażenie, że patrzy się przez nie w głąb oceanu. Daina zamknęła powieki.

Może to logiczne, że tej nocy śniła o lochu. Nigdy w życiu nie wypowiedziała tego słowa, a gdy przed laty czytała jakiś historyczny tekst, który je zawierał, znieruchomiała i wpatrywała się w nie długo, jakby w transie, jakby się bała, że może ożyć. Działo się tak, ponieważ tego słowa używała w myślach na określenie pomieszczenia leżącego trzy kondygnacje pod powierzchnią, pogrzebanego w ziemi jak chory, czekający na śmierć kret. Pozbawione światła i powietrza krążyło w jej podświadomości, ciągnęło ją z powrotem do czasów, kiedy w jej życiu brakowało woli, kontroli... jak gdyby wróciła do łona.

Obudziła się zlaną potem, jak zawsze z tego powtarzającego się snu, z ohydny smakiem gumy w ustach. Wrażenie było tak silne, że chciała wstać i pójść do łazienki, by umyć zęby. Niestety, było to niemożliwe, gdyż nadal czuła się tak, jakby była przywiązana do łóżka.

- Daina - mruknął sennie Rubens - dobrze się czujesz?

Przez chwilę nie mogła odpowiedzieć. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w sufit. Potem on przysunął się do niej, poczuła ciepło jego skóry i znów było wszystko w porządku. Wstała i bez słowa wyszła do łazienki. Kiedy wróciła,

siedział na łóżku i czekał na nią. - Co się stało? Krzyczałaś.

- To tylko sen. - Stała w nogach łóżka, naga i nieruchoma.
- Powiedziałaś to jak dziecko. - I bardzo cicho dodał: - Jesteś taka piękna...

Uśmiechnęła się.

• Jak to miasto płodzi piękno! Wkrótce stanie się ono tak pospolite, że straci wszelkie znaczenie.

- Nie mówię o twojej twarzy... ani o ciele...
- No to o czym?
- O twoich gestach, intonacji... o twojej prezencji. - Wyciągnął ku niej ramiona. - O tobie całej.

Pozwoliła, by włosy spłynęły jej na ramiona jak chmura, gdy uklękła na łóżku i ruszyła w jego stronę.

• Nie jesteś zimny. Wszyscy mówią, że jest inaczej. - Zadrżała lekko, czując obejmujące ją ręce.

• Jestem bardzo zimny - oświadczył, lecz ona nie była pewna, czy naprawdę tak uważa. Był w nim ogrom iluzji, którego jeszcze nie zgłębiła.

- Byłeś taki z żoną?
- Zwłaszcza z żoną.
- A widzisz - rzuciła z udawanym triumfem. - Wszystkie te opowiadane o tobie historyjki muszą być prawdą.

• Jakie historyjki?

Czuła jego rzęsy, delikatne jak muśnięcia motyla, gdy pieścił ustami jej obojczyk.

- Słyszałam, że rozwiodłeś się z żoną, bo nie chciała dotknąć cię publicznie.
- Też to słyszałem.
- To prawda?
- Czy to ważne?
- Nie wiem. - Odsunęła się nieco, żeby lepiej widzieć jego twarz. Odgarnęła kosmyk z jego czoła. - Chyba tak, powiedziałyby mi coś o tobie.

• Że niezły ze mnie egomaniak. Jestem przekonany, że do takiego wniosku dochodzi większość ludzi.

- Nie jesteś.
- Jestem. Poważnie. Jednak to tylko zewnętrzna manifestacja. To moja żona była tak oziębła, jak ja rzekomo mam być. Nauczyłem się tego od niej.
- Nie jesteś wcale oziębły. - Przyłożyła dłoń do jego policzka.
- Nie. Nie przy tobie. - Przykrył jej dłoń ręką. - I to mnie zaskakuje.
- Nie powinno. - Spojrzała mu w oczy. - To logiczne, naprawdę. Posiadłeś mnie, „spenetrowałeś”. Ale co z tego? Tylko ciało i ciało. W ogóle nic, w porównaniu z...

Zadźwięczał gong przy drzwiach frontowych. Rubens wyrzucił nogi w powietrze i zerwał się jak młody chłopak. Daina przetoczyła się na bok i zerknęła na zegarek. Było parę minut po północy.

- Musisz otwierać?
- Tak. - Włożył granatowy szlafrok z jedwabnej satyny, który mógłby należeć do Williama Powella. Znowu odezwał się gong i mężczyzna wyszedł na korytarz.

Daina przewróciła się na plecy, przeciągnęła rękoma po chłodnej pościeli, zamknęła oczy. Sen nie chciał nadejść. Westchnęła, sięgnęła po telefon. Maggie zostawiła wiadomość, gdzie dzwonić.

- Cześć, co słychać?
 - Jestem trochę zdołowana, to wszystko. - Jej głos był stłumiony i zmęczony.
- Gdzie jesteś?
- W domu - odparła Daina. - Och, nie. Tak naprawdę jestem u Rubensa.
 - Co tam robisz?
 - Mieszkam.
 - Cha, cha, cha! - Śmiech był chrapliwy, jakby drewniany. W głosie Maggie brakowało ożywienia. - Rozumiem. I jak?
 - Okay. Słuchaj, Maggie, wolałabym porozmawiać o tobie.
 - Nudne. Po prostu siedzę tu i płaczę.
 - Zajrzę do ciebie, nie powinnaś być sama.
 - Głupiaś. Nie. Nie potrzebuję nikogo.
 - A właśnie że potrzebujesz. Chris będzie przez całą noc pracował w studiu...

- Nawet jeśli nie, nie wróci do domu.

Zapadła chwila ciszy, podczas której Daina zastanawiała się, co powiedzieć.

- Ma problemy z zespołem, to wszystko. - W chwili gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że są one niewłaściwe.

- Skąd wiesz? - zapytała ostro przyjaciółka.

- Och... no... wczoraj się na niego natknęłam. Trochę pogadaliśmy. Wiesz, zwykła pogawędka.

- Nie, nie wiem. Do diabła, co tu jest grane, Daina?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Jesteś z Chrisem?

- Co się z tobą dzieje? Przecież ci mówiłam...

- Wiem, co mi mówiłaś! - Odłożyła słuchawkę.

- Cholera! - zaklęła Daina i ponownie wybrała numer. Próbowwała trzy razy, ale linia była zajęta.

Wstała i zaczęła się ubierać, naciągnęła dżinsy i welurową koszulkę.

Zeszła na dół do holu, a stamtąd do salonu. Rubens rozmawiał z wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Był on opalony na ciemny brąz i miał zaczesane do tyłu, spalone słońcem włosy. Mógł być surfmogowcem, który przyszedł wprost z Laguna Beach. Jedynym elementem nie pasującym do tego obrazu były raczej wilgotne, brązowe oczy ukryte za idealnie okrągłymi szklami w rogowych oprawkach. Przypominał jej kogoś z dzieciństwa, ale nie mogła skojarzyć kogo.

- Daino Whitney, poznaj Schulyera Foultona, mojego prawnika – przed stawił go Rubens.

Foulton przełożył ręcznie szytą dyplomatkę z bydlęcej skóry z jednej ręki do drugiej i uściśnął podaną dłoń.

- Dobra, załatwmy to - przynaglił producent, strzelając palcami.

Foulton otworzył dyplomatkę, wyjął plik papierów i podał je Rubensowi. Ten zaczął je natychmiast uważnie przeglądać. Daina obserwowała prawnika. Na jego twarzy błyszczała cienka błonka potu. Pomyślała, że jego rysy są zbyt ładne, by określić je mianem przystojnych, i że okulary go odmładzają. Znowu zastanowiła się, kogo jej przypomina, a potem odkręciła się i stłumiła śmiech. Foulton wyglądał jak Clark Kent. Odwróciła się ku niemu.

- Drinka?
- Schulyer nie zostanie tak długo - wtrącił obcesowo Rubens, nie podnosząc głowy znad dokumentów. - Prawda?

- Nie... dziękuję. - Twarz Foultona powoli poczerwieniała.

Rubens wyciągnął rękę, pstryknął palcami. Prawnik sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął smukłe, eleganckie złote pióro. Producent wziął je, zakreślił dwa paragrafy na przeczytanej stronie. Dopiero wtedy podniósł głowę.

• Do diabła, co to jest? - rzucił plik dokumentów w powietrze. Foulton złapał je niezdarnie. Zerknął pobieżnie na kartkę. Wiedział, co zawiera.

- To orzeczenie rady zarządzającej, przysłane mi z Nowego Jorku...

• Rady? Chodzi ci o to, że to pomysł Ashleya? Powiedziałem mu wyraźnie, że krótszy niż pięcioletni kontrakt z klauzulami dotyczącymi renegotjacji kosztów i dwoma rocznymi opcjami nie wchodzi w rachubę.

• Ja, ech, rozmawiałem z nim dziś po południu. Mówi, że martwi się o zamknięcie kontraktu. Płynność...

• Pieprzyć to! - wykrzyknął Rubens. - Nasza przewaga polega na zamknięciu kontraktu z Colombine. Czyż muszę tłumaczyć to tym kretynom słowo po słowie?

- Ashley powiedział...

- Cholera, nie obchodzi mnie, co powiedział Ashley! - wybuchnął Rubens. -

Dla kogo pracujesz, Schulyer?

Prawnik milczał, wbijając oczy w dywan między butami.

- Wiesz co, cholera, dobrze, że żyjemy w dwudziestym wieku. Wiesz, co robiono z posłańcami przynoszącymi złe wieści? Obcinano im głowy.

Foulton chrząknął, popatrzył na niego.

- Chyba języki.

• Być może. - Producent zszedł na niższy poziom salonu, sięgnął do stolika do kawy. Wcisnął ukryty guzik i szuflada wysunęła się bezgłośnie. Wewnątrz był biały telefon. Wsunął w szczelinę cienką plastikową kartę.

- Sam przyjechałeś? - zapytał, gdy aparat automatycznie wybierał numer.

- Ja, ech...

- Bill cię przywiózł?

- Nie sędzę, aby to było...

• Śmiało, Schulyer, nie krępuj się. Daina nic nie powie. Dlaczego nie zaprosiłeś go do środka? Wiesz, że byłby tu mile widziany, a tam może czuć się samotnie. - Odwrócił się, a gdy zaczął mówić do telefonu, jego głos uległ natychmiastowej zmianie. Stał się delikatny jak pieszczota. - Halo, Marge? Tak. Jak się masz. A chłopcy? Dobrze. Przepraszam, że cię zbudziłem. Wiem. Po prostu go szturchnij. Obudzi się. - Odwrócił się, spojrzał na Foultona tak, jak mangusta może patrzeć na kobrę. Kiedy znów się odezwał, jego ton był twardy i zimny jak krzemień. - Ashley, ty skurwielu, co ty, do cholery, wyprawiasz? Tak, wiem, która godzina. Schulyer właśnie pokazał mi kontrakt Colombine. Wiesz, na co się nadaje, Ashley? Na papier toaletowy. - Słuchał przez chwilę, a gdy przemówił, głos rwał mu się ze złości. - Słuchaj, ty drobny sukinsynu, jeśli spieprzyłeś ten interes, posiekam cię na żarcie dla kotów. Wiesz, co oznaczają dla nas paragrafy siedemnasty i dziewiętnasty? Nie? Colombine ma opcję na wycofanie się po trzech latach i jeżeli tak zrobią, czeka nas cholerna łaźnia. Nie, ciebie nie. Ten kontrakt jest do dupy. Co ty ostatnio bierzesz, do diabła? Nie zaczynaj. Wiem, co Maureen robi dla ciebie, od czasu jak ją zatrudniłeś. Co? Jak myślisz, kto kręci całą sprawą? Tak. Po prostu nie powinieneś o tym zapominać, będąc trzy tysiące mil dalej.

- Zamilkł na chwilę. - Ashley, lepiej załatw to do czwartku, bo wtedy przylatujemy z Schulyerem z nowym kontraktem. Racja. Aha, i jeszcze jedno, Ashley - teraz pokieruję Colombine osobiście. W porządku. Zrób, co mówię.

- Trzasnął słuchawką. - Dupek.

Zwrócił się do prawnika.

• W porządku. Słyszałeś. Załatw to do jutra do dziesiątej rano. - Uśmiechnął się. - Nie zaprosisz Billa? - Machnął ręką. - Daina, poprosisz przyjaciela Schulyera na kieliszek?

• Nie - zaprotestował Foulton, zanim zdołała się ruszyć. Odwrócił się do niej. - Nie sędzę, aby on mówił poważnie.

• Do diabła, człowieku, jak najbardziej! - Ale ton Rubensa był z gruntu fałszywy. Dosłownie słyszała syczący tuż pod powierzchnią prąd gniewu. Tylko cienka warstewka zrodzona przez cywilizację stanowiła dlań zaporę. Co go tak wkurzyło? - zastanowiła się.

- Musisz zwalczyć swoją fobię, Schulyer, poważnie. Dainie nie przeszkadza, że jesteś gejem. Ma z nimi do czynienia na okrągło, nieprawdaż?

Nie odpowiedziała, nie chciała brać udziału w tych okrutnych żartach.

- Nie o to chodzi - rzekł Foulton. - Wiesz...

- Och, zatem chodzi o Billa. Do diabła, Schulyer. Daina go nie zna.

- Patrzył na nią przez chwilę. - Znasz Billa Denckleya, dermatologa? Billa z Beverly Hills? Schulyer żyje z nim. On siedzi teraz w samochodzie i czeka na niego. - Uśmiechnął się, pokazując zęby. - Hej, mam pomysł! A dlaczegoż nie miałbyś wykonać dla nas małego striptizu? Pokaż Dainie te małe czar no-niebieskie znaczki, które Bill...

- Rubens, przestań, proszę. - Prawnik przełożył dyplomatkę z jednej ręki do drugiej, wytarł wolną dłoń o spodnie.

- Och, nie ma powodu się wstydzić, stary. Po prostu pomyśl, że Daina jest facetem. To powinno wykrzesać z ciebie jakąś iskrę...

- Rubens, dość! - wtrąciła ostro Daina. - Przestań...

Miał zamiar dodać coś jeszcze, ale to, co zobaczył w jej oczach, odwiodło go od tego. Otrząsnął się, jakby zrzucając z siebie nadmiar słów, które cisnęły mu się na usta. Innym już tonem zapytał:

- Jak idzie *Ponad tęcza*l

Foulton chrząknął i, nim odparł, rzucił pełne wdzięczności spojrzenie na Dainę.

- Właśnie zakończyłem podsumowywanie trzeciego miesiąca i myślę, że trzeba będzie nieco dokładniej przyjrzeć się wydatkom.

- Na ile te sukinsyny przekroczyły budżet?

- Trzy miliony, jak na razie.

- Ile zainwestowaliśmy?

- W przybliżeniu sześć milionów.

- Są również spóźnieni.

- To przez tego szalonego scenografa, Rolanda Hilla. Buduje coraz większe i wspanialsze dekoracje. Właśnie czekają na nową sylwetkę Nowego Jorku, która kosztuje ponad ćwierć miliona, ponieważ Hill nie życzy sobie miniaturowych modeli.

Producent odwrócił się do Dainy.

• Te sukinsyny wiedzą, że trafili na hit i od razu idą na całość. - Odstawił szklankę. - Umów mnie na spotkanie, Schulyer. Gdzieś w przyszłym tygodniu.

• W biurze?

• Tutaj. Chcę, żeby ci egomaniacy byli na luzie. Pewne jak cholera, że nie będą tacy przy wychodzeniu. Teraz co do Colombine...

• Do dziesiątej będziesz miał kontrakty - zapewnił cicho prawnik.

- Przyślę je przez gońca.

• Nie trudź się. Zajrzę do biura z samego rana. Foulton skinął głową.

• Miło było panią poznać, panno Whitney. - Ujął jej dłoń w zimne ręce.

- Z przyjemnością oglądam pani filmy.

- Dziękuję - powiedziała z naciskiem. - Proszę nas wkrótce odwiedzić.

Usłyszeli jego kroki na płytkach w holu. Drzwi zamknęły się cicho. Zakaszłał silnik. Wysokie palmy wkrótce stłumiły warkot odjeżdżającego wozu.

Rubens popatrzył na nią. Odwrócił się i podszedł do baru. Przez pewien czas przestrzeń między nimi wypełniał jedynie grzechot kostek lodu o szkło.

• Dlaczego tak go potraktowałaś? - zapytała w końcu Daina.

• Nie chcę o tym rozmawiać - odparł ze złością.

• W porządku. Świetnie. - Podeszła do szafy w holu.

• Dokąd się wybierasz?

• Do Maggie. Ona...

• Nie rób tego. Spojrzała mu w twarz.

• Ona jest moją przyjaciółką, Rubensie. Zrobił krok w jej stronę.

• Ja jestem kimś więcej niż przyjacielem.

• Nie zostanę z tobą tej nocy. Nie po tym, jak dręczyłeś Schulyera.

• A kim on dla ciebie jest?

• Ważne, kim jest dla ciebie, Rubensie. Mój Boże, jest twoim przyjacielem.

• Robię to, ponieważ on to lubi. Potrząsnęła głową.

- Obserwowałam jego twarz. Zraniłeś go. I to paskudnie. Robiłeś to, bo sprawiało to przyjemność tobie.

Obrzucił ją szczególnym spojrzeniem.

• Widzę, że znowu cię nie doceniłem.

- Chryste, i tym się przejmujesz?

• Nie jestem pewien. - Wziął drinka, wyszedł z baru. Pokiwał głową. - W porządku. Powiem ci. Schulyer i ja chodziliśmy razem do szkoły. Ja samodzielnie doszedłem do tego, co mam, jego ustawił ojciec. - Machnął ręką w powietrze, jakby chciał wymazać te słowa. - Ale to nie ma znaczenia. Mieszkaliśmy w jednym pokoju, staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Robiliśmy wszystko, co robią razem przyjaciele: oglądaliśmy mecze, pomagaliśmy sobie ściągać na egzaminach, razem chodziliśmy na randki.

- Aha.

• Tak. Pewnego dnia oznajmił mi, że jest pedałem. - Wypił drinka z zachłannością, która świadczyła o jego wzburzeniu. - Wtedy nie przyjąłem tego dobrze i nadal podchodzę do tego z rezerwą. Sęk w tym, że wiem, jak przed laty radził sobie z panienkami. Nie sypialiśmy po nocach, gadając o Kim Novak i Ricie Hayworth, porównując je z naszymi dziewczynami. Dlatego byłem przekonany, że to chwilowa aberracja. - Odwrócił się. - Jego narzeczona nadal dzwoni do mnie od czasu do czasu i pyta, czy jest jakaś nadzieja. Nadal go kocha.

- Rubens - rzekła cicho - nie możesz kazać mu, by był tym, kim nie jest.

• Wiesz, jak to jest. Myślę, że on sam nie wie, kim jest. Czasami wściekam się na niego tak bardzo, że mógłbym go udusić. Nie chcę go poniżyć, naprawdę, jednak za każdym razem, gdy dzwoni Regina, płacze... - Jego dłoń zacisnęła się w pięść. - Zastanawiam się, dlaczego musi tak być. Dlaczego nie wybrał jej, tylko tego pedała dermatologa?

- Zachowujesz się tak, jakby decyzja należała do ciebie. A jest inaczej. - Położyła palce na jego ramieniu, zacisnęła je. - Ale z drugiej strony ja nie kocham go tak jak ty.

Parsknął.

• Nie kocham Schulyera. - Lecz w jego głosie brakowało przekonania i nie odsunął się od niej.

• Uważasz, że to nie męskie? - Prawdę mówiąc nie oczekiwała odpowiedzi; po prostu chciała wypowiedzieć pytanie, które powinien sam sobie zadać. - Co jest ważniejsze od przyjaźni?

Wyglądało na to, że odprężył się nieco.

- Naprawdę winien jestem temu skurwielowi przeprosiny. Potraktowałem go tak paskudnie, jak według mnie traktuje go Bill.

- Czy naprawdę robią to, o czym mówiłeś?

Uśmiechnął się.

• Nie. Oczywiście, że nie. Napomknienie o tych śladach po prostu doprowadza Schulyera do szału. Myślę, że Bill rzeczywiście go kocha. - Splótł palce z jej palcami. - Nie jest zły, naprawdę, jak na dermatologa. - Roześmiał się, odwrócił się do niej. - Wiesz, posiadasz wielce niepokojącą umiejętność.

• Jaką?

• Zmuszasz mnie, bym analizował to, co mnie otacza. - Zdała sobie sprawę z napięcia, z jakim się w nią wpatrywał. Kolana jej się ugięły na widok tego, co zobaczyła w jego oczach. Wydawały się paraliżować, hipnotyzować, jak gdyby jakiś tajemniczy proces przemienił ją w baśniowe stworzenie. Oddychał przez półotwarte usta, a kiedy wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka, jego skóra wprost parzyła.

• Nie odchodź, Daino. - Jego głos był bardzo niski. - Nie teraz. Nie tej nocy. - Jego dotyk był elektryzujący. Poczowała mrowienie gdzieś za oczyma. Wszystkie jej wspomnienia rozpuściły się i w chwili gdy do niego wróciła, była oczyszczona z ognia i lodu przeszłości. - Proszę.

Ale nie mogła dotrzymać tej nie wypowiedzianej obietnicy, mimo iż samolubnie pragnęła zostać z nim całą noc. Z ciemności dobiegał głośniejszy od tykania budzika i regularnego oddechu Rubensa, udręczony głos Maggie.

Pomyślała o wszystkich tych szarych dniach, które przeżyły wspólnie, stołując się w Taco Bell czy Hamburger Hamlet; o niezliczonych nocach, gdy płakały w swoich ramionach z frustracji i gniewu. Żadnych ról, żadnych filmów, żadnego życia. Już nie pamięta, ile zaproszeń do łóżka odrzuciły, ilu producentom musiały odmówić. W te ponure dni miały tylko siebie. Serce jej pękało, gdy myślała, jak bardzo musi cierpieć Maggie: widzi powodzenie przyjaciółki, a sama tkwi w takim bagnie. Daina usiadła, potrząsnęła gwałtownie głową i wstała. Rozstanie z ciepłym ciałem Rubensa było szokiem i na chwilę skierowało jej myśli na coś innego.

Po cichu, nie budząc go, ubrała się w dzinsy i bluzę z kapturem. Znalazła kluczyki do samochodu i była w połowie drogi na korytarz, gdy usłyszała, jak mężczyzna poruszył się i zapytał:

- Dokąd idziesz? - Miał rozespany głos.
- Muszę zobaczyć się z Maggie.
- Do diabła, a po co? Ona z przyjemnością wyprułaby ci flaki. Odwróciła się.

Jego twarz prawie cała skryta była w cieniu, tylko maleńki półksiężyc światła rysował się na policzku jak blizna.

- Raz powstrzymałeś mnie od pójścia. Nie rób tego znowu. Proszę.
- Ja tylko zwracam ci uwagę na coś, co powinno być dla ciebie oczywiste -

powiedział, podnosząc się na łokciu. - Jeśli chcesz marnować czas, to twoja sprawa.

- Ona jest moją przyjaciółką, Rubensie. - Zrobiła krok w jego stronę.

- Powinieneś to zrozumieć. Przyjaciele są ważni tam, skąd pochodzisz.

- Przerwała. - Prawda?

Milczał przez chwilę.

- Ona tylko czeka na okazję, by wbić ci nóż w plecy.

Pochyliła się.

• To tylko gra, prawda? Maggie wcale cię nie obchodzi, po prostu nie chcesz, żebym cię zostawiła.

• Nie - przyznał niewyraźnie - nie chcę. - Usiadł na łóżku, czuła, jak na nią patrzy.

• Teraz oboje złościmy się o nic. - Daina zbliżyła się, pochyliła, pocałowała go w usta. Czubkami palców pogładziła go po szczęce, na chwilę wymazując bliznę światła. - Nie zostawiam cię. Jadę tylko na spotkanie z Maggie. To różnica. Mylisz się co do niej. Wiele razy miałyśmy do siebie żal, jednak wszystko na drugi dzień traciło znaczenie - ale tylko wtedy, gdy jedna z nas robiła pierwszy krok, by zaleczyć ranę. Ona tego nie zrobi, nie tym razem. Jest zbyt sfrustrowana i zrozpaczona. - Odsunęła się od niego, lecz nadal trzymała go za rękę. - Nie złość się na mnie. Moi przyjaciele również są dla mnie ważni. Ona mnie potrzebuje.

• Ja też cię potrzebuję. Uśmiechnęła się do niego.

• Jesteś od niej silniejszy. Nie przemieniaj tego w walkę. - Żadnej walki - mruknął z ciemności. - Rób, co chcesz.

Światła były zapalone, gdy Daina podjechała srebrnym mercedesem pod plażowy domek Chrisa i Maggie. Pulsująca wewnątrz muzyka głużyła szum fal. Weszła na zapiaszczone schody i zapukała. Muzyka była tak głośna, że pukanie

pozostało bez echa, musiała więc poczekać na przerwę między utworami. Wtedy trzasnęła w drzwi pięścią.

- Wejdz, otwarte... Och, to ty - przywitała ja niezbyt przyjaźnie Maggie.

- Kto cię tu oczekuje?

- Co się tak na mnie uwzięłaś? - zapytała Daina, podchodząc do skulonej na sofie przyjaciółki. Na stoliku do kawy stała na wpół opróżniona butelka niemieckiego białego wina; w popielniczce jeżyły się niedopałki. Na drucianym kabłączku dopalał się skręt.

• Gdzie jest Chris? - zapytała ponuro Maggie. - Miałaś zbyt wielkiego cykora, by go ze sobą przyprowadzić?

• Maggie, nie mam pojęcia, skąd ci to wpadło do głowy...

• Chcę wiedzieć! - Maggie przekrzyzczała muzykę, co było niemałym wyczynem. ^^Co wy dwoje wyprawiacie za moimi plecami?

Daina przeszła przez pokój, wcisnęła guzik wzmacniacza. Zapadła cisza i w efekcie dał się słyszeć stłumiony szum morza. Wróciła do kanapy i usiadła obok przyjaciółki.

• Przykro mi, że nie miałam wcześniej okazji, by wspomnieć ci o rozmowie z Chrisem.

• Do mnie nie mógł przyjść po radę. - Jej oczy napełniły się łzami.

- Dlaczego poszedł do ciebie?

Daina wyciągnęła rękę i Maggie, jak gdyby ten kontakt zmusił ją do mówienia, powiedziała drżąc:

• O Boże, Daina, nie mogę tego wytrzymać! Ty masz wszystko, a ja nie mam nic... Nic. Teraz odbierasz mi Chrisa.

• Chris kocha tylko ciebie, Maggie. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi mogącymi porozmawiać o rzeczach, o których nie można pogadać z ukochanymi.

- Objęła Maggie. Łzy przyjaciółki spływały jej po szyi. Ciałem Maggie, niczym miniaturowe trzęsienia ziemi, wstrząsały spazmy.

• Szszsz... szsz. - Uciszała ją tak, jak pocieszałyby skrzywdzone dziecko, jak chciała, by jej własna matka zrobiła chociaż raz. Pogładziła Maggie po włosach. - Należymy do siebie. Zawsze tak będzie.

• Ale ty odchodzisz. - Głos przyjaciółki był teraz cichy i smutny; łzy spłukały

jej gniew. - Odchodzisz i ja zostanę sama.

- Nigdzie nie idę - uspokajała łagodnie Daina. - Nadal tu jestem.

- Teraz ona też płakała, ponieważ w końcu zobaczyła, co się z nimi dzieje, i wiedziała, że musi to powstrzymać, nim ich przyjaźń zostanie zniszczona. Ujęła głowę Maggie w dłonie, żeby mogły na siebie popatrzeć.

- Bez względu na to, co się stanie, zawsze będziemy przyjaciółkami. Zawsze będzie tak samo. Obiecuję, Maggie.

Ta spojrzała jej w oczy i podniosła palec, by zgarnąć z policzka Dainy łzę. Potem, wzdychając głęboko, położyła głowę na jej piersiach i zamknęła oczy. Razem ukołysały się do snu.

- Rita - powiedział El-Kalaam - rozwiąż kobiety.

Heather i Susan stały przed sofą, gdy Rita, zarzuciwszy MP40 na ramię, wyjęła z pochwy nóż o ząbkowanym ostrzu. Przecięła nim więzy i odsunęła się. Jej miejsce zajął El-Kalaam.

- Rozwiążecie sobie nogi, gdy skończę mówić, rozumiano?

Heather patrzyła na niego bez zmrużenia oka; Susan lekko odwróciła głowę. Wytarła łzy grzbietem dłoni.

- W czym rzecz, moja pani? - Terrorysta podszedł bardzo blisko niej.

- Mam brzydki zapach? - Nie odwróciła głowy. - A może mam za mało forsy, byś mogła spojrzeć mi prosto w oczy, co? - Złapał ją za rękę, zerknął na pierścionki z diamentami. - To oczy biedaka, moja pani. Oczy człowieka oddanego sprawie. Profesjonalisty. - Puścił jej dłoń. - To coś, czego nie potrafisz pojąć, bo wszyscy oddani sprawie ludzie brzydko pachną. - Sprężył mięśnie. Krew napłynęła mu do twarzy. Heather, obserwując go, zrobiła krok w stronę Susan, ale już było za późno.

- Odpowiadaj, gdy do ciebie mówię! - ryknął El-Kalaam i uderzył Susan w twarz. Ta zawirowała, a ponieważ miała spętane kostki, przewróciła się na podłogę. - Wstawaj!

- Zostaw ją w spokoju! - zawył Freddie Bock. - Nie bij jej!

Fessi, który wlepił oczy w kobiety i oblizując usta szacował ich figury, teraz zmarszczył brwi i błyskawicznie trzasnął kantem dłoni w szyję Bocka. Przemysłowiec krzyknął i zatoczył się do tyłu.

- Świnia! - syknął Fessi i plunął mężczyźnie na przód koszuli. Skierował

oczy z powrotem na Susan i usta wykrzywił mu nieznaczny uśmiezek.

- Wstawaj! - powtórzył ostrzej El-Kalaam. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na zajście z Bockiem. - Wstawaj, wstawaj! - Pochylił się, złapał drobną brunetkę za włosy i szarpnięciem postawił ją na nogi. Szlochała.

- Wy, kobiety, wszystkie jesteście bezużyteczne. Potraficie tylko płakać. Nie potraficie zadowolająco robić niczego innego.

- A co z nią? - zapytała Heather, wskazując na Ritę. - Właśnie zabiła...

- Kto ci pozwolił się odzywać? - Oczy terrorysty zwięzły się, a głowa poderwała na muskularnym karku.

- Tylko myślałam... auu!

Olbrzymia dłoń zacisnęła się na jej szczęce. Mężczyzna zadrzał z wysiłku.

- Nie - zaczął - ty nie możesz myśleć. Pamiętaj. - Zatrząśł się jeszcze bardziej. - Płacz, cholera! - Ale Heather nadal patrzyła mu w twarz bez zmrużenia powiek. Cofnął rękę. Na jej policzkach pozostały białe ślady, które zaraz zrobiły się czerwone. Uderzył ją mocno: raz, dwa, trzy, szybko, raz po razie. Łzy błysnęły w kącikach jej oczu, głowa zakołysała się z boku na bok.

- Widzisz? - Jego głos znów stał się łagodny. - Jesteś jak inne. O tym też nie zapominaj. - Popatrzył na obie kobiety.

- Służący odeszli - rzekł z ironią. - Spełnili swoje zadanie. Oddali życie, żeby to dla was stało się przestroga; żebyście choć trochę zmądrzeli. - Omiótł wzrokiem wszystkich zakładników. - Ci, którzy to rozumieją... - wzruszył ramionami - może przeżyją. - Jego głos stał się głośny i ostry. - Ci, którzy nie posłuchają ostrzeżenia, pójdą śladami tej dwójki. - Trącił nogą udo lokaja.

- Do dołu z wapnem.

Uśmiechnął się i jego cała postawa uległa zmianie. W ustach błysnęły złote koronki.

- Lecz dość tego ponurego gadania. Czas płynie i burczy mi w brzuchu. Wy dwie... - wskazał na Susan i Heather - będziecie nam gotować i zmywać.

- Chrząknął. - Przynajmniej do tego się nadajecie. Ale... - złapał Susan za nadgarstek - to nie jest ci potrzebne, prawda? - Zdjął złote bransolety. - Nie możesz wykonywać tak pospolitej pracy z takimi pieniędzmi na palcach.

- Zabrał się do pierścionków. Sapnęła, gdy je zdejmował.

El-Kalaam zwrócił jej dłoń ku górze i uśmiechnął się. - Nie przyzwyczajona do gołej ręki, co? Cóż, będziesz miała mnóstwo czasu, żeby poćwiczyć.

- A co zrobisz z tą biżuterią? - zapytał Ken Rudd. - Rozdzielisz wśród swoich ludzi?

- Na miłość boską! - wysapał czerwony Thomas. - Czy jeszcze niczego się nie nauczyłeś? Trzymaj gębę na kłódkę, a nic...

Rudd zacisnął zęby, odwrócił się do swojego szefa.

- Jeżeli nie przestaniesz skamlać, przysięgam na Boga, że złamię ci szczękę. Thomas zbladł, potem znów poczerwieniał. Rozejrzał się po pokoju. Wszyscy zakładnicy patrzyli na niego. Wyprostował ramiona.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić, Rudd! To ja cię zatrudniłem. Nie czujesz ani krzty wdzięczności? Dopilnuję, żebyś za taką niesubordynację wyleciał ze służby dyplomatycznej na zbity pysk.

- Zobaczymy, kto wyleci - odrzekł zimno Rudd. - O ile stąd wyjdziemy. Jesteś cholernym tchórzem. To coś, o czym prezydent powinien wiedzieć.

Zbliżył się do nich uśmiechnięty szeroko El-Kalaam.

- Jakże nisko upadł amerykański orzeł! - Roześmiał się. - Niemniej jednak ten młody człowiek zasługuje na odpowiedź. - Podrzucił w rękę zabrane Susan klejnoty. - Nie są przeznaczone dla kogoś konkretnego. Zostaną spieniężone i pomogą Palestyńczykom w walce z syjonistycznymi terrorystami.

- Oto słowa godne prawdziwego rewolucjonisty - powiedział Emouleur. El-Kalaam odwrócił się.

- I właśnie nim jestem. - Położył rękę na ramieniu młodego attache.

- Widzę, że to rozumiesz, Francuzie, co? Nie mylę się.

- Rozumiem pragnienie ludu Palestyny, który dąży do odzyskania swej ojczyzny. - Emouleur pokiwał głową. - Francja nie ma powodów, by kochać Izraelczyków.

- Nie. I dlaczego ty miałbyś mieć? - El-Kalaam z zadumą przyłożył palec do ust. Postukał nim w wargę i w charakterystyczny sposób poderwał głowę. Nagle w jego rękę błysnął nóż. Terrorysta przeciął młodemu dyplomacie więzy na kostkach.

- Chyba w ten sposób bardziej nam się przydasz. - Położył rękę na ramieniu Emouleura. - Pogadaj z tymi ludźmi, przyjacielu. Opowiedz im o rewolucji i

wolności. O Żydach. Żydzi...

- Tak, tak, tak, El-Kalaamie - przerwała mu Rachel. - Wszyscy wiemy, o co chodzi. Tylko to potrafisz: podsycać nienawiść, która drzemie we wszystkich. Każdy Żyd wie, jak to jest, gdy wszyscy zwracają się przeciw niemu. Tu jest tak samo. Nic nigdy się nie zmienia.

- Paranoja zawsze była żydowską cechą. Widzę, że nie jesteś wyjątkiem.

- Myślę, że mylisz paranoję z prześladowaniem - odparła Rachel. El-Kalaam machnął ręką na znak lekceważenia.

- Rita, zabierz kobiety do kuchni, żeby mogły przygotować nam coś do jedzenia. Fessi, weź tego, hm, tego młodego Amerykanina i Anglików. Niech wystawią drzwi od łazienki, a potem urządzimy pralnię.

Gdy Heather i Susan ruszyły do kuchni, Rachel wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Heather.

- Odwagi - powiedziała. Malaguez szarpnął ją do tyłu.

- To tylko słowa - skomentował El-Kalaam. Rita szturchnęła Heather pistoletem w plecy.

- Ruszaj - warknęła - bo inaczej wpakuję cię do pralni. A to by ci się nie spodobało.

Daina dryfowała przez noc, jakby unosząc się nad dachami miasta - jednego długiego, rozległego przedmieścia. Gdybym była w Nowym Jorku, pomyślała, mogłabym wjechać z prędkością dźwięku na szczyt World Trade Center i stamtąd spojrzeć na mrugające światła, dalekie prawie jak gwiazdy, na zachód ponad Hudsonem do New Jersey, na północ obok wysokościowców do kamienic Harlemu.

Nie mogła wrócić do swego pustego domu, który już nawet nie pachniał jak jej mieszkanie. Rubens wyjechał do Palm Springs w interesach i chociaż Maria by ją wpuściła, Daina nie chciała snuć się samotnie po opustoszałych pokojach.

Machinalnie jechała na zachód srebrnym mercedesem, wzdłuż jasnych świateł autostrad Foothill, a potem Ventura, do Los Feliz, Western, dopóki nie wyjechała na Sunset cztery przecznice od Huntington Hartford Theatre. Bezmyślnie skręciła w lewo, na La Cienega, i znalazła się przed Las Palmas Soundcorders, gdzie Chris i jego zespół nagrywali nowy album.

Zamrugła parę razy, jakby budząc się ze snu, i, kiedy zdała sobie sprawę,

gdzie jest, wysiadła. Oczywiście nie mogła wejść do środka. Sesje nagraniowe Heartbeatsów zawsze odbywały się w tajemnicy, chociaż mogłoby się wydawać, że nie ma to dużego znaczenia. Jednakże liczne przecieki usprawiedliwiały potrzebę przedsięwzięcia wszelkich środków ostrożności. Potężnie zbudowany Murzyn, który tarasował wejście, był tylko pierwszą z żywych barier wystawionych przez kapelę. Nie chciał jej wpuścić ani nawet przekazać wiadomości Chrisowi. Prawdę mówiąc twierdził, że zespołu tu wcale nie ma. Jego wygolona czaszka lśniła niebieskawo w blasku brzęczących jarzeniówek. Ubrany był w ogniście czerwoną koszulę i czekoladowobrązowy garnitur. Na jego byczym karku wisiała srebrna łyżeczka do koki i również srebrna brzytwa o podwójnym ostrzu. Wyciągnął w stronę Dainy szerokie różowe dłonie, łapy bestii, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej protesty.

Już miała się poddać, gdy za plecami cerbera ujrzała w przelocie przechodzącego Nigela.

- Hej, Nigel! - krzyknęła, podskakując, żeby mógł ją zobaczyć. - Nigel! To ja, Daina.

Czarny mężczyzna niewzruszenie wypychał ją za drzwi.

- Spływaj - mówił cicho, ale z pogroźką w głosie. - Nie słyszysz, co do ciebie mówię, lala? Zabieraj się, bo...

- Spokojnie, Gerry. - Ash przepchnął się obok bramkarza. - Ty spływaj - rozkazał. - Ona jest w porządku.

Czarnoskóry wzruszył ramionami i odsunął się. Nie przeprosił. Nigel złapał Dainę za rękę i sprowadził na dół krótkimi, wyłożonymi chodnikiem schodami. Oświetlenie natychmiast złagodniało i ściemniało, pastelowe ściany ginęły w cieniach.

Podszedł do automatu z napojami.

- Kupę czasu, Daina. - Wyjął drobne z kieszeni dzinsów, wrzucił w szczelinę parę ćwierćdolarówek. - Chcesz colę?

- Nie, dzięki.

- Przyszłaś zobaczyć się z Chrisem? - Odwrócił się lekko, patrząc na nią znad krawędzi woskowanego papierowego kubka. Parsknął, hałaśliwie pijąc napój.

Daina zauważyła na wpół ukrytą w cieniu sylwetkę. Był to ktoś o budowie buldoga, z niewiarygodnie szerokimi ramionami. Przesunął się lekko i w cytrynowej

łatce przyćmionego światła pojawiła się głowa. Była stosownie kanciasta, ale bez śladu brutalności. Spokojne szare oczy zdawały się mierzyć wszystko z tym samym wystudiowanym brakiem zainteresowania. Gdy spojrzał na nią po raz pierwszy, Daina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że te płaskie szare dyski są soczewkami i że gdyby nacisnęła mu brzuch czubkiem palca, ze szczeliny ust wysunęłyby się kolorowe polaroidowe zdjęcie.

Nigel drgnął, widząc jej zaciekawienie.

- To tylko Silka - powiedział miękko. - Chroni nas przed wszystkimi.

- Zatańczył w miejscu, jakby pozbywając się nadmiaru energii. Na szyi zadzwonił onyksowy fetysz w barwie czerni i kości słoniowej.

Daina spojrzała na niego.

- Od jakiegoś czasu nikogo nie widziałam - wiesz, wszyscy jesteśmy tacy zajęci.

Dźgnął ją kościstym palcem, jakby była manekinem.

- Stajesz się gwiazdą, kochanie.
- Wiedziałałam, że nagrywacie tu nowy album, więc...
- Pieprzyć to! - Zmiażdżył zębami bryłkę lodu. - Uch. - Przełknął.

- W tygodniu ruszamy w trasę. Tam powinnaś nas zobaczyć! – Rozstawił szeroko nogi jak legendarny rewolwerowiec, opuścił ręce do bioder po wymagowane colty. - Na scenie! Hej! Supertournee. Nie byliśmy w trasie od, hmm, prawie półtora roku. - Kołysał się w przód i w tył niczym kobra, zauroczona słyszaną tylko przez siebie melodią. - To jest jak wojna - tak, walka jak się patrzy. Człowiek jest wyszkolony do zabijania, przyzwyczajają się do paf! paf! paf! karabinów jak do samego powietrza, jakby to była, wiesz, jakaś nowa atmosfera. Wdycha smród palonego ciała i krwi i czuje broń w rękach, zawsze ciepłą i bliską. To staje się stylem życia. - Zgniół pusty kubek, rzucił go niedbale w kąt. Silka nie spuszczał z nich oczu. - I raptem odsyłają cię do domu. Wiesz, spocznij i wypocznij, cholera. I wiesz, co się dzieje? Jest, cholera, za cicho, żeby spać, ot co. Leżysz w skotłowanym łóżku, gapisz się w sufit i tylko czekasz na świst kul przelatujących obok twojej głowy, na przyzwoite dudnienie mózdzierzy, a dom pachnie zbyt czysto, zbyt słodko - zbyt subtelnie! I zaczynasz rozumieć... Ręce, cholera, cię świerzbią. Są puste - cholernie puste - i bez tego, co w nich ciążyło, zaczynają się pocić, i nie możesz nic na to

poradzić, wycierasz je o uda, o piersi, grzejesz je, chłodzisz, nic nie pomaga.

Daina zawsze uważała, że ta fascynacja wojną jest zdecydowanie chorobliwa, mimo iż Chris uprzedził ją o manii Asha przed ich pierwszym spotkaniem. Nigel, jak jej powiedział, posiadał jeden z największych w świecie zbiorów militariów z czasów drugiej wojny. Jego kolekcja broni była przeogromna. A od tamtej pory zaczął zbierać również śmiercionośne pamiątki z Wietnamu, ponieważ, jak jej wyjaśnił, są dużo bardziej wyrafinowane.

Głęboko osadzone oczy Nigela płonęły intensywnym, wewnętrznym ogniem, gdy kontynuował:

- Cóż, to samo się czuje, gdy nie jest się w trasie. Jak cholerne odwołanie z frontu. W domu człowiek babieje. Nie wiem, jak dla innych, ale dla mnie nagrywanie jest piekielnie nudne. Wiesz, zaczynam dusić się w czterech ścianach, cholera; im szybciej kończymy, w tym lepszym jestem humorze. Mam ochotę stąd uciec, wiesz? W noc, gdzie są światła i mikrofony, i wysoka scena. Gdzie jesteśmy tylko my i tłumy małolátów, które zdzierają sobie gardła, czekają, tupią, zrywają się przy ostatnim bisie, by choć dotknąć...

W środku kawałka wychodzę na sam przód sceny i widzę dwa pierwsze rzędy. Wszyscy stoją, wiesz - dosłownie wszyscy - wymachują rękoma, w których trzymają róże. Klękam, a oni wpadają w szal, i nawet przez rów dla fotografów czuję to: prochy i piwo, i jeszcze coś innego, czego nie potrafię opisać, coś, co nawet po tylu latach nadal na mnie działa. Zapach... młodości: tęsknota za tym, czym stajemy się na scenie, bo tam prześcigamy nasze człowieczeństwo, wiesz, już nie jesteśmy tymi, kogo znasz jako Nigela, Chrisa, Iana i Rolfe'ego, jesteśmy Heartbeatsami, to opary seksu do nas docierają, i są tak silne, że wiem, wiem, że gdybym tylko się dotknął, doznałbym orgazmu. Wszystkie te zmasowane wyziewy wieją na mnie jak wiatr z jakichś ciemnych drzwi.

Mogę spojrzeć w dół i zobaczyć twarze jarzące się w świetle odbitym od sceny. I wiesz, co to przypomina? - Rozpostarł szeroko ramiona. - Wielkie lustro odbijające na nas muzykę. Twarze świecą jak słońca nieziemskim blaskiem. Oni są przemienieni, wiesz, są w stanie łaski. I wtedy czuję, że gdybym wyciągnął ręce, mógłbym nadać im dowolny kształt, zależnie od swego kaprysu, jakby ich ciała i kości zmieniły się w kit.

I to jest ważne. Nie cholerny szmal - szmal jest dobry tylko do wydawania.

Ale to - cholera jasna - to napędza świat. I mój instrument jest jak cholerne M-16. Kiedy biorę przenośne klawisze w czasie *Brutalnej wymiany* i zaczynam krążyć po scenie, staję się żołnierzem w cholernej dżungli, który szuka wroga, by go rozwalić.

Daina obserwowała go. Pomyślała, że jego twarz jest z rodzaju tych, które wydają się dziwne u każdego, kto nie jest artystą. Rysy Asha przy bliższym wejrzeniu zdawały się trochę przeładowane, było zbyt wiele wszystkiego, jak gdyby pomyłkowo zostały nałożone na siebie dwa oblicza. Miał pobrużdżoną skórę, wysokie kości policzkowe i w dodatku nosił makijaż. Był on bardziej teatralny niż kosmetyczny, więc kredka na powiekach nadawała mu wyraz nie tyle kobiecy, ile złowieszczy, diaboliczny. I był to dokładnie ten image, który upodobał sobie na początku kariery i teraz starannie pielęgnował.

Jego teksty nigdy nie były wolne od demonologii, która czaiła się w nich, była stałym cieniem nieodłącznie towarzyszącym ciemnej stronie życia. Kobiety o czarnych sercach, narkotyczna euforia, fantasmagoryczne uliczne walki, świst ostrza tnącego powietrze, ostateczne śmiertelne pchnięcie i nieskrępowane wyzwolenie agresji nastolatków składały się na główną treść utworów, z których Heartbeatsi byli najbardziej znani. I początkowo właśnie ta mroczna tematyka nie pozwoliła im przeminąć w przemyśle słynnym z pojawiania się chwilowych meteorów. Nikt - nawet nawet najbardziej radykalni nowofalowcy przybywający z Anglii - nie myślał o zdyskredytowaniu kapeli, jak regularnie robiono z „nudnymi starymi pierdołami” - innymi supergrupami, które istniały od lat.

Nigel zawsze przypominał Dainie uwięzionego w klatce ptaka, niespokojnego, niecierpliwego i przygnębionego na przemian, skaczącego w górę i w dół jak jo-jo. Z pewnością jest maniakiem, pomyślała, w sposób, który jest całkowicie akceptowany u artysty.

- Hej trzymaj. - Zza pasa dzinsów wyciągnął zwiniętą foliową torebkę. - Mój kumpel właśnie to przywiózł, w sobie. Ten sukinsyn zawsze jest narąbany i w dodatku wredny jak pluskwa, jednak muszę przyznać, że ma najlepszy towar. - Włożył do woreczka dwa palce, wyjął szczyptę ciemno-brązowej jak czekolada i łuskowatej substancji. - Założę się, że nie masz pojęcia, co to jest, kochanie. Czysty kambodżański gras z pączkami. Mówię ci, ten facet to kawał świra. Ale co ja sobie będę nim głowę zawracał. Pojawia się i znika. Nikt nic nie wie, racja? Masz, spróbuj

trochę. Odjazdowa.

Zamiast upchnąć marihuanę w fajce, podniósł ją do ust. Daina odwróciła głowę, podniosła rękę.

- Nie, nie, Nigel. Nie tym razem.

Wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby, wsunął trawę do ust, zaczął ją przeżuwać.

- Zastanawiam się nad tobą czasami. - Lecz wydawało się, że myśli o czymś innym.

- Nie palisz? Parsknął rubasznie.
- Jezusie, nie, kochanie. To gówno jest na to za dobre. Je się je. Wyłącznie.

Poczekaj, a zobaczysz. Nie bujam. Cha, cha! - Wpuścił parę ćwiartek do szczeliny w automacie, wyjął kolejną colę, otworzył, wkładając w usta więcej pączków marihuany. - Umm, działa ekspresowo. Pomaga mi przejść przez to nudne gówno. - Przełknął, popił, schował torebkę. - Chris jest w środku, pieprzy się z komputerem. Zawsze wtedy wychodzę. Chryste, on podchodzi do nagrywania tak cholernie poważnie, wiesz. Odwalaliśmy porządną robotę w sześćdziesiątym szóstym, gdy mieliśmy zamiast sześćdziesięciu czterech tylko dwie pieprzone ścieżki. Cholera jasna! Co mamy robić z sześćdziesięcioma czterema pieprzonymi ścieżkami? Dać koncert w Filharmonii Berlińskiej? Jesteśmy kapelą rockandrollową, nie jakąś bandą zramolałych pedałów. Do diabła, przebrnęliśmy przez to całe gówno w sześćdziesiątym ósmym, i kogo to obchodzi? Zaczynaliśmy z *Sierżantem Pepperem* i tak dalej. Chris i Lennon byli w tamtych czasach wielkimi kumplami. Ale pieprzyć to - to było cholernie dawno, wiesz? To nie nasz styl muzyki, nie rock and roli. My gramy tak, żeby czacha dymiła. Na ulicach. Barykady najeżone gnatami. Powiem ci, że pochodzimy, cholera, z rynsztoka, nie z kampusu. Oczy szkliste od prochów, w uszach dudni, to rock and roli! Tak jest w porządku, no bo czym jest życie, jak nie ściekiem?

Przerwał mu odgłos otwieranych drzwi studia. Ogłuszył ich wybuch nagranej muzyki, która ucichła nagle, ustępując miejsca szmerowi przewijanej taśmy. Daina usłyszała głos Kerra: - Tutaj. - I utwór zaczął się dokładnie w tym samym miejscu, w którym został przerwany, a w chwilę później drzwi zamknęły się ze swoistą pneumatyczną nieodwołalnością.

- Cześć, Tie - powiedział z uśmiechem Ash.

Kobieta stała plecami do drzwi, patrząc na nich. Była średniego wzrostu, miała biodra prawie tak samo szczupłe jak Nigel. Przybrała nonszalancką pozę, która u wszystkich innych zostałaby uznana za wyzywającą, ale u Tie każdy koncentrował się na czymś innym, na cechującym ją głębokim i niezmiennym chłodziem. Miała zawiedziony wyraz twarzy, oblicze upadłego anioła: wyraziste, trójkątne rysy, szerokie europejskie usta, wysokie kości policzkowe, cienki jak sztylet nos. Pierwsze słowo, jakie nasuwało się na widok jej oczu, mogłoby brzmieć „wspaniałe”. Czarne jak węgiel, dominowały nad całością, przydawały jej twarzy zła, a może były po prostu troszeczkę za małe.

Nosiła gorset, który zmysłowo uwydatniał jej piersi, oraz czarną spódnicę z surowego jedwabiu, rozciętą po bokach do ud, co pozwalało zerknąć na satynowy pas do pończoch.

Wszyscy nazywali ją Tie, jednak naprawdę miała na imię Thais.

Podeszła do nich, jej zimne, kamienne oczy spoczywały na Dainie.

• Zastanawiałam się, gdzie się tak długo podziewasz. - Nie spojrzała na Nigela, chociaż słowa były skierowane do niego.

• Pamiętasz Dainę, prawda? - zapytał. - Przyjaciółkę Chrisa i Maggie.

• Jak mogłabym zapomnieć? - Jej silne usta wykrzywiły się w uśmiechu, który nie dotarł do oczu. - Po co ona tu przyszła? Wiesz, że nie pozwalamy...

• Hej, kochanie. - Objął ją, przyciskając grzbiet ręki do piersi. - Daina jest przyjacielem. Przebyła taki kawał drogi, no nie? - Mrugnął do Dainy.

- Przez cały czas urabia sobie ręce po łokcie, przyjechała, by się rozerwać. Hej, hej! - Zatańczył z Tie w ramionach.

- Idę do łazienki - oznajmiła kobieta. Jej pełne nienawiści i groźby spojrzenie przeniosło się z Dainy na muzyka. - Chcesz iść ze mną? - Głos miała niski i schrypnięty. Daina wiedziała o jej aktorskich początkach na europejskich ekranach, ale i bez tego poznałaby, że Tie ma za sobą jakiś kurs teatralny.

Ash uśmiechnął się do niej.

- Jasne. Tak. Zawsze gotowy. - Z wysiłkiem oderwał od niej oczy i zwrócił się do Dainy: - Wejdz, jeśli masz ochotę. Chris i pozostali ucieszą się na twój widok. Ha! Rollie nosi przy sobie twoją fotkę. To prawda, no nie, Tie? Cha, cha! - Ta pociągnęła

go za sobą i razem zniknęli za łagodnym zakrętem przypominającego tunel korytarza.

Studio było wyłożone ukośnymi płytami z jasnego drewna, polakierowanymi na wysoki połysk, między którymi umieszczono jasnoniebieskie trapezoidalne panele dźwiękochłonne.

Daina zatrzymała się na trzecim stopniu zejścia do reżyserki z ogromnym zespołem wskaźników, przełączników, tłumików - było ich sześćdziesiąt cztery, po jednym na każdą ścieżkę - i połączonych przewodami terminali; wszystko to było sterowane przez komputer. Za taflami podwójnego szkła zobaczyła właściwe studio, w którym znajdowały się masywne wzmacniacze o jarzących się rubinowo światełkach, różne instrumenty, zwoje grubych, wijących się kabli, mikrofony pogłosowe. W jednym rogu mieściła się mała, dźwiękoszczelna klatka z oknem do nagrywania wokalu. Pod tylną ścianą stał wielki koncertowy fortepian, przykryty pikowanym materiałem w kolorze khaki. Dwóch młodych i chudych techników nagraniowych robiło coś na kolanach przy wypuszczeniu kabla, przygotowując sprzęt do zarejestrowania ostatniego, podkładu instrumentalnego albumu.

Daina, nadal stojąc w cieniu wejścia, pomyślała o Nigelu.

- On przyprawia mnie o dreszcze - powiedziała do Maggie po ich pierwszym spotkaniu.

- Nie bądź głupia. - Maggie uśmiechnęła się krzepiąco. - To tylko poza, kochanie. Całkiem udana, przyznaję, ale nic więcej. On to uwielbia. Tak samo jak całe to pieprzenie o demonologii. Myślę, że wpadł na to dzięki Tie. Fasada sensacji. Jestem pewna, że stąd się biorą te jej wszystkie zatargi z innymi kobietami. Sprawiają interesujące wrażenie...

- Biust by wystarczył aż nadto - zakpiła Daina.

- Och, nie jemu. Nigel potrzebuje takich rzeczy dwadzieścia cztery godziny na dobę. I oczywiście Tie umiejętnie podsyca to pragnienie. - Wzruszyła ramionami. - Ale czy sam jest zły? Znają się z Chrisem przez całe życie.

- Hej, Daina, jak się masz? - Rollie, który kierował się do właściwego studia, uśmiechnął się do niej, wszedł na schody i objął ją jak niedźwiedź, mocno, lecz z uczuciem. Miał na sobie podarte dzinsy oraz błękitno-biały ocieplacz Dodgerów. Kiedy był w mieście, chodził na wszystkie ich mecze, zwykle obserwując je z boksu drużyny. Po chwili odszedł, by porozmawiać z Kerrem, który razem z Patem,

technikiem zespołu, przygotowywał program

komputerowy do zrobienia ostatecznego miksu. Potem wszedł do studia i klucząc w tym wężowym krajobrazie dotarł do swej perkusji. Zaczął przegląd, postukując na próbę w bębny i cymbały jedną pałeczką, wprowadzając poprawki tam, gdzie według niego było to konieczne.

Reżyserka była dwupoziomowa, niższa część przylegała do pulpitu operatora, przed którym stała wygodna kanapa i stolik. Daina zeszła na dół i usiadła. W zagłębieniach w dźwiękochłonnym ciemnobrązowym suficie płonęły przyćmione światła. Daina usłyszała ostry syk przewijanej taśmy, krótki wybuch puszczonej od tyłu słów, co zabrzmiało jak gaworzenie dziecka. Po chwili w pomieszczeniu zapadła absolutna cisza, którą przerwała muzyka tak głośna, że Daina aż podskoczyła. Potężne kolumny - takie same jak te u Chrisa w domu - były zamontowane po obu stronach nad jej głową. Usłyszała, jak Chris cicho mówi: - Okay. - Znow na moment zapanowała cisza, potem zaskrzypiało krzesło i Pat powiedział: - Muszę iść się odlać i rozprostować nogi. Zaraz wracam. - Prowadzące na korytarz drzwi z sykiem zamknęły się za jego plecami.

Daina odwróciła się, uklękła na kanapie. Wysunęła głowę nad konsolę.

- Hej, to ty?
- Maggie nie ma?

Kerr przecząco potrząsnął głową.

- Mówiła, że miała telefon. Może w związku z jakąś rolą.
- Świetnie. - Przez chwilę chciała wyjawic mu, o co Maggie ich oskarża, ale zmieniła zdanie. Niech ją diabli, pomyślała, za to, że tak myśli. Czasami tak bardzo brakuje jej pewności siebie.

Chris skinął głową.

- Może teraz zejdzie ze mnie. Ona doprowadza mnie do szału.
- Martwi się, to wszystko.
- Tak. - Wyjął papierosa, zapalił. - A kiedy tego nie robi? - Miał zawzięty wyraz twarzy, gdy pochylił się ku niej nad pulpitem. - Jeżeli człowiek w nic nie wierzy, Daino, to do niczego nie dojdzie. - Zacisnął pięści. - Trzeba w siebie wierzyć, bo wokół kupa ludzi tylko czeka, by wpakować ci nóż w plecy; tacy z przyjemnością wmówią ci, że jesteś nieudacznikiem. - Był bardzo blisko niej i jego oczy śmigły po

jej twarzy, jak gdyby czegoś szukały. Roześmiał się, nagle zmieniając nastrój. Opadł na krzesło. - To dlatego my, ty i ja, radzimy sobie tak dobrze, no nie?

Daina pokiwała głową.

- Mniej więcej.

• Ty nie patrzysz na mnie jak na wybryk natury; nie wyciągasz ręki po gwiazdkę z nieba. - Znów się roześmiał. - Do diabła, nie! Sama jesteś gwiazdą. - Spetował na wpół wypalonego papierosa, wyjął mały metalowy pojemniczek. - Chcesz trochę koki?

Przecząco potrząsnęła głową.

- Za drzwiami natknęłam się na Nigela. Próbował wcisnąć mi jakieś wariackie zielsko.

- Uch. Dzisiaj jest w cholernym nastroju. Kurwa, musi być pełnia.

- Wciągnął do nosa małą łyżeczkę koki. Daina, obserwując go, skomentowała:

- Szkoda, że nie wpadłeś w naprawdę zdrowy nałóg, taki jak picie.

- Ha! - Chris ścisnął nos palcami, roztarł resztę białego proszku po dziąsłach.

- Uhm, to czysto proletariacki nałóg. Raz-dwa wciągnął mego staruszka. Tankował okropnie, zanim nie uciekł na morze. To go wyleczyło, naprawdę.\

- Morze?

• Nie. Przebywanie z dala ode mnie i mamy. - Roześmiał się bez śladu wesołości. Popatrzył na nią. - Na pewno nie chcesz? Nie? Dobra dziewczynka.

Roześmiała się.

- Muszę myśleć o swoim image'ju.

- Tak jak i ja - powiedział, zażywając drugą łyżeczkę. - Dla image'u!

- Wciągnął powietrze i proszek zniknął. Schował pojemniczek, wytarł nos.

- Taa, cóż, lepiej nie próbuj zielska Nigela; już byś po nim odleciała.

- On nadal działa mi na nerwy.

• Kto, Nigel? Do diabła, jest tylko małym chłopcem, próbującym wyryć swój znak w świecie dorosłych.

- Też tak uważam. Jak on kocha swe pistolety!

- O, tak. No cóż, gdybyś znała go tak długo jak ja, rozumiałabyś to. Widzisz,

dla niego wszystko jest ulotne, niematerialne. Ale pistolet można złapać w rękę. Ma swoją wagę, ma siłę. Jest potężny. Nigel pociąga za spust i zabija zwierzę. Może je dotknąć, pomacać stygnące futro. Wie, co zrobił.

Zadrzała.

- To karygodne.
- Dlaczego? - Podniósł rękę, odwiódł kciuk, wycelował palcem i strzelił w wyimaginowany cel.

- Bang! Bang! On nie zabija ludzi.
- Czasami zachowuje się tak, jakby tego żałował.

- Och, to cały Nigel! Ten sukinsyn z nas wszystkich zawsze najbardziej dbał o swój image. Jasne. - Pokiwał głową. - Powiniem o tym pamiętać

- wychowaliśmy się razem na ulicach Manchesteru. - Zapalił drugiego papierosa, zaciągnął się i odłożył go. - Oto jakie są konsekwencje, gdy nie zna się swego ojca, nigdy nie ma dość pieniędzy na czynsz, gdy nigdy nie wiadomo, co się zastanie w domu.

Zaciągnął się jeszcze raz, wypuścił papierosa z pokrytych żółtymi odciskami palców.

- Pamiętam czasy, gdy mieszkaliśmy razem i musieliśmy odwalać jakieś nędzne chałtury, żeby przeżyć. Zajmowaliśmy suterенę, która śmierdziała starymi tekturami i szczykami tak bardzo, że aby zasnąć, musiałem zaciskać nos klamerką do bielizny.

Pewnego wieczora zadzwoniłem do mamy - nie mieliśmy telefonu; jaja nam odmarzały przy aparacie na rogu - a ona mówi mi: „Synu, wrócił twój tata. Przyjechał z wizytą. Chce cię zobaczyć. Przywiózł gwiazdkowy prezent”.

Biały na twarzy wróciłem do mieszkania; nawet nie słyszałem, jak Nigel pyta: „Co jest, stary?”; po czym poszedłem do mamy.

Czekałem na ulicy, póki wreszcie ten sukinsyn nie zszedł po schodach. Wtedy trzasnąłem go w twarz, złamałem mu nos. Krew spryskała chodnik, zęby fruwały w powietrzu. Dwa razy kopnąłem go w jaja, z całej siły. Nigel musiał mnie odciągać od tego drania.

Mój stary zostawił na chodniku niezły bajzel, rozumiesz, cała ta krew i zęby. Jęczał jak potępieniec. Nigel trzymał mnie, a ja dygotałem jak liść. W pewnym

momencie ten szalony sukinkot odrzucił mnie na bok, wyciągnął pistolet

- niemieckiego lugera, i wycelował w głowę mego starego. Złapałem go za rękę, w chwili gdy pociągał za spust. Bum!

Jakby bomba eksplodowała, kawałki makadamu sypnęły się nam w twarze. Pytam Nigela: „Czyś ty oszalał, stary? Mogłeś go zabić”. A on na to: „I co z tego? Popatrz, co zrobił tobie i twojej mamie”.

Ale, wiesz, to było lojalne zagranie. Chryste, był szalony, lecz rozumiałem, o co mu chodzi. - Popatrz na nią. - Wiesz, co mam na myśli? - Chrząknął.

- Miał dość powodów, jak sądzę. Jego stary też ich zostawił. Matka musiała harować przez całe życie.

- Co się stało z twoim ojcem? - zapytała.
- Wiesz, to zabawne. Oczywiście, spakował się i wyjechał; już nigdy go nie zobaczyłem. Parę tygodni później mama mi mówi: „Słyszałam, że jakiś czas temu była rozróżba przed domem. Biłeś się ze swoim tatą?” „On ci powiedział?” - zapytałem. Ale ona potrząsnęła głową. „Ani słowa, kochanie. To pani Faithfull z dołu wszystko widziała.” I pomyślałem: Jak to jest? Ten drań nie pisnął ani słowa. I wtedy poczułem jakby jakieś ciepło w środku.

A mama mówi: „Synu, pora, żebyśmy porozmawiali o twoim tacie”. Jest marynarzem, powiedziała mi. Musiał iść w morze. Co ona mogła na to poradzić? Zarabiać na jego utrzymanie? Mało prawdopodobne, mówię ci. Ale co miesiąc, przyznała, regularnie jak w zegarku, przychodziła od niego paczka pieniędzy. Oczywiście, że nie wspomniała o jego pijaństwie; musiałem dowiedzieć się tego na własną rękę.

Utonął niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei w siedemdziesiątym siódmym. Mama pokazała mi list od jego kapitana. Skoczył za burtę szalupy, w środku zabiegistego sztormu, by uratować dwóch członków załogi. Zmyło go w jednej chwili, Jakby morze go połknęło”, napisał kapitan. - Parsknął. - Cholerny bohater, jak widzisz. - Chris odchylił głowę i zamknął oczy. Oddychał głęboko i równomiernie, jak gdyby zasypiał, jednocześnie jego palce przesunęły przełącznik i z olbrzymich głośników nad ich głowami popłynęła ogłuszająca muzyka.

Daina zsunęła się na kanapę, tracąc go z oczu. Podłożyła ręce pod głowę, zamknęła oczy, pozwoliła, by dźwięki biły w powieki jak świetlne wzory.

Jak gdyby z daleka usłyszała otwierane drzwi. Ktoś wszedł do reżyserki i muzyka ścichła do miękkiego syku taśmy.

-A, Chris, tutaj jesteś.

Nie był to Pat, który mówił z przeciągłym akcentem południowca. Ten głos ścinał spółgłoski, samogłoski były całkowicie płaskie - było to typowe dla okolic L.A.

Jeśli można, co tu się dzieje? - ciągnął głos. - Codziennie między wami, leniwymi sukinsynami, dochodzi do kolejnej zadymy, a ja muszę to prostować. - Ktoś zapalił papierosa. - Chris, może to przesada, jednak pozwól, że powtórzę jeszcze raz. Jeżeli ten album nie zostanie ukończony w ciągu tygodnia, wyruszymy na tournée bez nowego materiału. Wiesz, co to znaczy? Nawet bez jednego cholernego singla...

- Och, odpieprz się, Benno. Na długi dystans to nie robi najmniejszej różnicy.

- I tu się mylisz, chłopcze. Dlaczego po prostu nie zajmiesz się muzyką i nie pozwolisz, bym ja zajął się biznesem?

- W tym problem, trenerze. Wszystko stało się cholernym biznesem.

- Och, łamiesz mi serce, wiesz? Bez biznesu ta grupa dawno by zbankrutowała. Wydajesz pieniądze, jeszcze zanim je zarobisz. I Bóg tylko wie, ile idzie do twojego nosa.

- Zamknij się! Nie wydaję tak dużo.

- Mówię ci jeszcze raz, Chris, skończ ten album.

- Ale wszystko się na mnie wali, nie rozumiesz? Nikt inny nie był przygotowany - a może nie zauważyłeś? To ja mam zebrać wszystko do kupy, tymczasem Nigel przychodzi i nic, tylko się opierdala, a Ian nawet nie chce wysłuchać mojego nowego kawałka.

- Posłuchaj.Chris...

- Nie, na Chrystusa, to ty posłuchaj, sukinsynu! Kurwa, mam dość dźwigania tej kapeli na własnych plecach. Robi mi się niedobrze od ponoszenia odpowiedzialności za wszystkich innych. No bo dlaczego oni mieliby się przejmować? Cholernie dobrze wiedzą, że bez nich nie da rady niczego zrobić.

- Co ty gadasz?

- Zrobił się burdel i chcę odejść.

- Aha.

- „Aha”? Do diabła, co to ma znaczyć?
 - Słyszę to po raz pierwszy. Co masz mi do powiedzenia?
 - Och, daj spokój. Mam dość...
 - Nie możesz odejść, Chris. Jesteś odpowiedzialny...
 - Nie mów mi o odpowiedzialności, stary!
 - Chodzi mi o tych wszystkich dzieciaków...
 - Naprawdę jesteś trudny przypadek, no nie, Benno? Tak, jasne. Rozkosz-
niaczek. Dzieciaki nic cię nie obchodzą, nie jest tak? Nie, nie. Chodzi ci tylko o forszę.
 - Chris, Heartbeatsi cieszą się powodzeniem od siedemnastu lat nie bez
powodu. Chyba nawet ty potrafisz to dostrzec.
 - Taa. Pewnie.
 - Dzięki muzyce. Dzieciaki podziwiają muzykę. Ty zaczynasz odchodzić od,
no cóż, tego, do czego wszyscy przywykli, a to oznacza nieszczęście. Dla nas
wszystkich. Na miłość boską, nie myślę o sobie. Teraz, cholera, jesteśmy przemysłem.
Los wielu ludzi zależy od tego, co się dzieje z albumu na album. A tu dowiaduję się o
twoich własnych próbach, o tym nowym materiale, który...
 - I tak doszliśmy wreszcie do cholernego jądra ciemności, co, stary?
 - Pat grał mi te próbki...
 - Moją muzykę...
 - Miałem prawo tego wysłuchać, wiesz. Do diabła, czyżbyś zapomniał, kim
jestem?
 - To niemożliwe, Benno.
 - Zatem w porządku.
 - Muzyka to nie twoja sprawa...
 - Ale zaczyna nią być, gdy myślę, jaki efekt może wyrzeć na...
 - A kto cię zrobił bogiem?
 - Czy wy, śmierdzące sukinsyny, myślicie, że macie monopol na boskość?
- Trzeba było podjąć pewne decyzje. Dlatego tu jestem.
- Tak, a muzyka to nie twój...
 - Decyzje dotyczące kariery, Chris...
 - Słuchaj, sukinsynu...

- Już posłuchałem.

W reżyserce zapadła cisza, gęsta i dławiąca.

Daina otworzyła oczy, gdy ogień zapłonął mocniej w jej piersiach. Niepokój trzepotał się w niej jak skrepowany ptak.

- Do diabła, do czego zmierzasz?
- Właśnie do tego, co powiedziałem. Kapela nie pozwoli ci zerwać

kontraktu.

- Kapela?

- Odbyło się głosowanie, rozumiesz.

- Beze mnie? Kto je zorganizował?
- Nigel - i ja. Trzeba było to zrobić. Wszystko musi być jasne...
- Wynoś się stąd do diabła, człowieku! Budzisz we mnie wstręt.
- To niczego nie rozwiąże.
- Wynocho, Benno! Za minutę będziesz się czołgał...
- Jak się uspokoisz, zobaczysz...
- Już nie dostaniesz ode mnie żadnej muzyki.
- Chris...
- Ani jednej cholernej nuty! Jestem wolny.
- Istnieją usankcjonowane prawnie środki, lecz nie chcę w nie teraz

wchodzić. Kiedy ty...

- Wiesz co, Benno? Nagle poczułem się niedobrze. Może to coś poważnego.

Coś jak zakaźna żółtaczka. To oznacza co najmniej sześć miesięcy urlopu.

- Mogę mieć lekarza, który...

• Ten album. Ten nowy singiel - to cholerne tournée, stary - wszystko pójdzie w diabły!

W ciszy głos menażera był przepelniony dziwnym spokojem.

• Ani przez chwilę nie myślałem, że mówisz poważnie o odejściu, Chris. Gdy tylko znajdziesz się w trasie, w przyszłym tygodniu w San Francisco, poczujesz się zupełnie inaczej.

- Przecież ty nie słuchasz. Skończyłem z wami.
- Popelniasz poważny błąd, Chris.

- Jezusie, zaczynasz mówić jak twoi cholerni prawnicy. Spływaj! Po prostu spływaj!

- Wobec tego porozmawiam z tobą za parę dni.

Daina usłyszała szmer otwieranych i zamykanych drzwi, potem westchnienie Kerra.

- Jezu Chryste, cholera jasna!

Jej głowa wyskoczyła nad pulpit niczym diabełek z pudełka.

- Jeszcze tu jesteś? - Wyszedł zza konsoly. - Taa. - Uśmiechnął się do niej. - Tylko ty. Nagle zrobiło się tu cholernie pusto. - Potarł czubek nosa. - Ten pierdolony menażer! - Naraz parsknął urywanym śmiechem, wzruszył ramionami. - Och, do diabła! Co za piekło. Dzisiaj nic mi nie idzie. Co byś powiedziała, gdybyśmy razem się stąd zmyli?

Zabrał ją do The Dancers, klubu tylko dla członków przy Rodeo Drive na rogu Georgio's. Wnętrze przywodziło na myśl pałac o lustrzanych pokojach. Główne pomieszczenie było okrągłe, opasane barem typu Lucite. Miało przezroczystą podłogę, pod którą rosły tropikalne rośliny. Patrzenie w dół wywoływało niemal natychmiastową dezorientację. Ściany były pomalowane czarną emalią, pokryte jakby elektronicznym mchem: pękami wzorzystego kolorowego światła poruszającego się w nieskończonych falach. Co godzinę, jak gdyby na znak upływającego czasu, tancerze na środku parkietu byli zmywani skrzącym się, srebrzystym „gwiazdowym pyłem” wysypywanym z jakiegoś ukrytego źródła.

Przepchnęli się przez tłum i w pocie, szaleństwie i stałej kakofonii muzyki zatracili się w orgii ruchu. Zdawali się nieświadomi spojrzeń opalonych i wymalowanych twarzy, podskakujących z rozszerzonymi oczyma obok nich niczym sampany przyciągnięte do burty cesarskiej dżonki.

Niewiele później pojawiły się błyskające flesze, a po paru ukradkowych telefonach od kierownictwa, szczególnie natrętna grupa ciekawskich. Zdawało się, że żyją wyłącznie w tym celu - by być blisko, ocierać się, nadawać na tej samej fali, zawsze z podziwem wytrzeszczać oczy, chłonąć tę samą aurę, emanację, elektryczność, jak współczesne wampiry żywiące się niematerialną krwią.

Chris okręcił Dainę dokoła, trzymając ją rękoma za biodra; pot spływał z ich twarzy kaskadami, podczas gdy poniżej zwinięte liście karłowatych palm kołysały się, jak gdyby one również nie mogły się oprzeć rytmicznemu pulsowaniu muzyki.

I tańczyli bez chwili przerwy, koszulka Chrisa pociemniała od potu, bluzka przylepiła się Dainie do skóry. Wokół nich żarówki podskakiwały jak spadające gwiazdy, muzyka huczała jak stałe dudnienie grzmotu. W pewnym nie zarejestrowanym przez nich momencie muzyka przestała być muzyką, stała się swoistym pulsującym rytmem, wibracjami, które odbierali przez podeszwy butów i które prowadziły ich jeszcze długo po tym, jak uszy poddały się z bezgłośnym krzykiem i przeciążone przestały słyszeć.

W pewnej chwili znaleźli się przy barze. Kerr zamówił dżin z tonikiem, który z przyjemnością wyleliby sobie na głowy, zamiast wypić. Zaśmiewali się i prychnali, pijąc chciwie drinki, których smaku nie czuli - ostry dym znieczulił im kubki smakowe. Chris odrzucił głowę w tył, a ona patrzyła z zaciekawieniem, jak podskakuje mu jabłko Adama. Wybrał strugany lód z dna szklanki i wrzucił jej za bluzkę.

Podskoczyła i wrzasnęła, jednak nikt w tym harmiderze nie słyszał jej krzyku; zawirowała, znów pociągnęła Chrisa na parkiet, gdzie już nie było miejsca, bo tłum naparł, by im się przyjrzeć, zafascynowany, przesuwał się cal po calu w muzyce, przed którą nie było ucieczki, wśród skręcających się bioder, drżących piersi, rozrzuconych i napiętych rąk.

I Daina zatraciła się w tańcu, porwana przez wszystko, co działo się wokół, jak gdyby każdy widok, każdy dźwięk był ją przenikającą strzałą czystej energii. Mur, który wzniosła wokół siebie, runął bez jej wiedzy pod naporem sił zbyt potężnych, by nad nimi zapanować. Została włączona w delikatny obwód, stała się jego częścią i drżała, czując jego energię.

Na jakiś czas zgubiła Chrisa w pomieszczeniach na tyłach klubu, które, jak przypuszczała, były pełne ściągniętych twarzy, śniegu, kokainy i quaalude. Ale to jej nie powstrzymało. Otaczała ją muzyka tak głośnie, wibrująca, że działała jak zastrzyk prosto w serce.

Jej umysł był tańcem, nie skrępowanym przez czas ani przestrzeń, i zaczęła osuwać się do pokoju bez światła trzy kondygnacje niżej, zatopionego w ziemi jak szambo, pilnowanego przez betonowe psy; do gruzów wielkomiejskiej ulicy pełnej drucianej siatki, powiązanych łańcuchem ogrodzeń strzegących hałd pokruszonej cegły, ogniu w koszach na śmieci i cieni łamiących się na pokrytych sadzą ścianach.

I pomyślała: Jestem, jestem, jestem!

Kerr wrócił, pocałował ją, przytulił, ciągnąc z powrotem na znikającą podłogę, a tam poniżej śmigających stóp tropikalny las kłaniał się ulegle. I muzyka brzęczała jej w głowie, utrzymywała ich przy życiu i w ruchu, nieprzerwana podróż nocnym pociągiem, jak gdyby oboje próbowali uciec z Los Angeles nie opuszczając go naprawdę.

Po prostu kolejna iluzja, która w łagodnym świetle świtu zdawała się nigdy nie istnieć.

O tak wczesnej porze na Old Malibu Road panował spokój. Było tak cicho, że słyszeli szum morza po lewej stronie. Daina zwolniła i zaparkowała wóz.

Chris spał, oparty o drzwi. Potrząsnęła nim delikatnie, a wtedy nieco uniósł powieki.

- Co?
- Jesteśmy w domu.
- W domu?

Wysiadła, otworzyła drzwi po jego stronie.

- Tak, w domu, u Maggie.
- Maggie. Aha. - Przetarł oczy palcami. - Chyba coś mi się śniło.
- Musiała wsunąć się do wozu, by pomóc mu wyjść. - Byłem w Sussex.
- Mówił jakby do siebie. - Nie byłem tam od dawna. - Wsparł się na niej

ciężko.-.

- Chris, muszę iść do pracy.

- Widziałem, jak Jon na mnie kiwał. Z kuchni. Podniósł rękę. Machał i machał, jakby mnie wołał. Dziwne.

Zaczęła prowadzić go powoli do drzwi.

- Co w tym dziwnego?

Odwrócił głowę i z trudnością zachował równowagę, gdy weszli na piasek. Jego wielkie oczy spojrzały na nią prawie ze złością.

- Jon nie żyje - wymamrotał.

Skinęła głową, prowadząc go po schodach do drzwi. Wymagało to wielkiej cierpliwości.

- Jon umarł dawno temu. - Powiedziała to jak matka do strapionego dziecka.

Kerr pokiwał głową, wyrwał się jej na tarasie, przywarł do drewnianej

poręczy. Zatoczył się, prawie że przewracając donicę z jakąś rośliną. Twarz mu pobladła, usta otworzyły się. Daina bała się tego, co może zrobić. Potem jakby odzyskał panowanie nad sobą. Odwrócił się do niej, wspierając plecami o poręcz.

- Dawno temu. - Było to obce, niesamowite echo jej wcześniejszych słów. - Ja tam byłem.

Wystarczy, pomyślała. Podeszła do niego i szarpnęła ku drzwiom.

- Wiem - rzekła współczująco.
- Nic nie wiesz.

Udało jej się sięgnąć lewą ręką do gałki. Przekręciła ją. Gałka nie chciała ustąpić i pomyślała, że drzwi są zamknięte na klucz. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przecież robi to lewą ręką. Spróbowała w drugą stronę. Drzwi stanęły otworem.

Wciągnęła go do holu.

- Maggie? - zawołała.

Lampy płonęły oślepiająco i Daina skrzywiła się. Wcześniej, zajęta doprowadzaniem Chrisa do domu, nie zwróciła uwagi na światła w oknach.

Potykaç się wpadli do salonu i Daina stanęła jak wryta. Chris, którego głowa opadła bezwładnie na jej ramię, wyprostował się, zamrugał ciemnymi oczyma. - Jezu! - wydyszała.

- Do diabła, co tu się działo?

W pokoju panował niesamowity bałagan. Długa, kryta skórą sofa leżała na boku, tapicerka była w strzępach. Rozcięcia były tak długie, jakby zrobiono je maczetą. Orientalny kobierzec wyglądał jak przeżuty przez wściekłe zwierzę. Książki zostały wyrzucone z półek, kartki bezsensownie powyrywane z tomów, śnieg literatury zaścierał dosłownie całą podłogę. Daina zobaczyła złamany grzbiet *Lorda Jima* Josepha Conrada, książkę do tarota bez okładek, i wiele, wiele innych.

Ogromny zestaw stereo został rozbity, metalowe i plastikowe osłony poszczególnych elementów powyginane i potłuczone. Wielkie kolumny były pustymi skorupami, z których sterczały tylko kłęby porwanych przewodów - przynajmniej odnosiło się to do tej bliższej. Druga stała odwrócona w stronę jadalni.

- Maggie! - Daina ruszyła w kierunku jadalni, mijając strzaskany i pokryty pajęczą siecią spleśniały blat z przydymionego szkła. Stanęła na kartkach z biografii

Cervantesa, przykrywających kawałki drewna i poskręcane metalu, i właśnie wtedy zobaczyła wnętrze drugiej kolumny.

Kiedyś to była myśląca, czująca ludzka istota. Musiała wciąż powtarzać to sobie, aby uwierzyć, ponieważ widok, jaki ukazał się teraz jej oczom, urągał wszystkiemu, co ludzkie.

Twarz, częściowo przysłonięta opadającymi włosami, była zmiażdżona równie metodycznie jak pobliski blat stolika. Łaty nagiej, czerwonej skóry widniały tam, gdzie wyrwano garście włosów. Jedna ręka musiała zostać złamana, gdy wpychano ciało do opróżnionego wnętrza kolumny, podobnie jak przypuszczalnie obie nogi. Różowe i białe kości sterczały z poszarpanego ciała. Krew była wszędzie, schnąc tam, gdzie nie zebrała się w kałuże.

Daina wrzasnęła i natychmiast przycisnęła zbielełe palce do ust. Zacisnęła na nich zęby, ale nie czuła bólu. Jej paznokcie wbijały się w dłonie.

- Dain, co tam jest? - Chris podszedł do niej i poczuła wyraźnie ciepło jego ciała, jakby przestrzeń bezpośrednio przed nią była lodowata niczym głębia kosmosu. Żołądek skurczył jej się niebezpiecznie, odkaszlnęła i czując kwas w ustach zaczęła się krztusić. O mój Boże, o mój Boże! Ta fraza dudniła jej w mózgu, który nagle stał się potwornie pusty, pozostał w nim tylko ten okropny widok. Przerazenie podpełzło bezgłośnie na kocich łapkach i miała wrażenie, że wycieka z niej życiodajna siła.

O mój Boże, o mój Boże! Słowa odbijały się jak piłka od ścian. Nie mogła przestać; nie potrafiła nawet ich zrozumieć. Było tak, jakby nagle zaczęła myśleć w jakimś obcym języku.

Kerr zacisnął rękę na jej ramieniu.

- Agghh! - wrzasnął. - Maggie!

Daina oczywiście wiedziała to, dlatego jej umysł miotał się jak szalony. Jednak dopóki Chris tego nie wypowiedział, nie dopuszczała tej wiedzy do świadomości. Teraz miała się od niej nie uwolnić. Jak jakiś budzący grozę nieproszony gość, jak jakiś potworny nosiciel zarazy wtaczający się, by zainfekować wszystkich wokół siebie, ten strzęp wiedzy, której desperacko nie chciała zaakceptować, pazurami ze stali i żelaznym dziobem rozdzierał jej ciało, by wystawić serce na kłujące powietrze.

Osunęła się na kolana przed groteskowo zapakowanym do pudła czymś i szlochała. Próbowwała odwrócić głowę, zamknąć oczy, ale nie mogła. Trwała jak

zahipnotyzowana, podczas gdy Chris, stojąc nieruchomo ponad nią, krzyczał w nowy poranek, który sprowadził na nich oboje przerażenie i wściekłość, i ból.

CZĘŚC DRUGA

GŁĘBIEJ NIŻ NOC

Płynie sobie rzeka przy płaczącej wierzbie, kiedy tu się znajdziesz pomyśl o mnie jeszcze...

Bryan Ferry, *My only love*

4

Baba. Znała go pod tym imieniem. Nigdy nie dowiedziała się, czy było prawdziwe i nigdy nie poznała jego nazwiska.

Baba zaczął ją w trzecią noc po jej odejściu z domu. Był potężnie zbudowanym mężczyzną z wielką wełnistą brodą i nosem tak szerokim, że zdawał się zajmować cały środek twarzy. Jego skóra miała barwę mahoniu, z wyjątkiem pomarszczonej blizny w kolorze *cafe au lait* tuż pod lewym okiem. Znał dobrze francuski, jak ona, jednak w przeciwieństwie do niej nie nauczył się go w Sredniej Szkole Muzyki i Sztuk Pięknych. Powiedział, że przed laty mieszkał w Paryżu, ale nie wiedziała, czy mu wierzyć. Bardziej prawdopodobne, że poznał język w Attica czy gdzieś indziej. Była wczesna jesień 1968 roku, szybko robiło się zimno nawet tu, w sercu Manhattanu - w jeden piątek temperatura wynosiła ponad 70 stopni Fahrenheita (22°C), a trzy dni później zaczęła się zima; trwająca przez weekend jesień przeszła jakoś niezauważalnie. Baba nosił grubą, wełnianą marynarską kurtkę z wielkimi plastikowymi guzikami z kotwiczkami i białe rozszerzane spodnie. Lecz nie był marynarzem.

Wszyscy, którzy handlowali na Czterdziestej Drugiej, od Broadwayu po Dziewiątą Aleję, mieli swoje stałe miejsca; miejsce Baby znajdowało się przed Selwyn Theatre po południowej stronie ulicy. Ta, jak Daina wkrótce się dowiedziała,

była dużo gorsza. Po spokojniejszej północnej stronie raz na jakiś czas można było zobaczyć gliniarzy - zawsze parami - spacerujących, palących. Ryzykowali oni przejście przez jezdnię tylko po to, by przerwać bijatykę przy jednym z pornograficznych kin i to tylko wtedy, gdy uczestnicy nie byli zbyt liczni. Przy Nova Burlesque House, sąsiadującym z podrzędnym teatrem Selwyn, nigdy nie było problemów. Jednak z drugiej strony Nova miała własną ochronę.

Staroświecki błękitno-zielony neon brzęczał bez przerwy, a w pełnych sady podmuchach znad Hudsonu trzepotały leniwie czarno-białe zdjęcia pań, które nigdy nie wystąpiły na maleńkiej scenie, które nigdy nawet nie były w Nowym Jorku. Baba, stojący przed Selwyn, handlował wszystkim, co mu tylko wpadło w ręce - a jak się okazało, asortyment miał zatrważający. Publicznie rozprowadzał jointy, amfetaminę, kwas łamany tanimi prochami. Ale prywatnie, jeżeli kogoś znał, był źródłem prawie wszystkiego. Daina nawet nie słyszała o jednej trzeciej sprzedawanego przez niego gówna.

Trudno powiedzieć, co dokładnie w niej zobaczył. Z pewnością była piękna, lecz mógł mieć - i miał - wszystkie kobiety, jakich zapragnął. A poza tym, jak odkryła później, miał wyraźny pociąg do Azjatek. Nie wiadomo więc, co sprawiło, że zagadnęła ją, gdy przechodziła obok po raz trzeci w prostym, brązowym sztruksowym zakiecie i wypłowiałych lewisach zatkniętych w wysokie do połowy łydek buty, których szpice były tak ostre, że uważała je za śmiercionośną broń.

- Jak ci się wydaje, mała, co ty robisz?

Zatrzymała się, spojrzała w jego niedźwiedzią twarz. Ręce trzymała głęboko w kieszeniach zakietu; było za wcześnie, by myśleć o rękawiczkach. Jego ruchliwe oczy mierzyły ją ciekawie. Ich źrenice i tęczęwki były tego samego koloru i zajmowały prawie całą dostępną przestrzeń, tak że widać było tylko skrawki żółtych białek.

- Nic - odparła.
- Nie możesz chodzić gdzieś indziej?
- Tutaj mi się podoba.

Mężczyzna roześmiał się gardłowo, jego oczy zwęziły się, prawie niknąc w ciemnej skórze twarzy.

• Pieprzysz! - Rysy mu stwardniały. Odwrócił głowę, odchrząknął i splunął. - Najwyraźniej szukasz guza, mała, skoro tutaj łazisz. - Zmarszczyła brwi. - Co ty tu

widzisz?

- Nikomu nie muszę się tłumaczyć.

Wysunął koniuszek języka, szokująco różowego w porównaniu z prawie czarnymi wargami.

- Aha. To prawda? - Jego oczy przewędrowały po jej ciele z tak intensywną zmysłowością, że się zarumieniła. - Taki pierwszorzędny kąsek białego mięska zostanie poderwany przez jednego z łażących tu sukinsynów. Oni przeżują cię, mała, i wyplują w takim stanie, że się nie poznasz.

Spojrzała bojaźliwie na przepływającą obok rzekę czarnych i Portorykańczyków. Tylko gdzieniegdzie przemykali biali. Na ulicy rozbrzmiewał śmiech, przekomarzania. Dwóch wysokich i chudych Murzynów pobiegło w kierunku Ósmej Alei, ignorując czerwone światła na rogu. Rozległ się pisk hamulców, krzyki i przekleństwa.

- Chodzi ci o to, że to twardy świat.

Potrząsnął głową.

• Też sobie wybrałaś miejsce, mała. Wałęsa się tu paru paskudnych facetów. Cholernie złych typków, jak mówię. Musisz uważać. Po co wciskasz swoją śliczną białą pupcię między nas, wyjętych spod prawa? Lepiej ci będzie w domu, gdzie zajmie się tobą twój biały chłopak.

- Mówiłam, że tu mi się podoba.

Twarz mu pociemniała i zmrużył jedno oko.

- Gówno, mała, chyba nie polujesz na jakieś czarne mięso?
- Co?

• Na czarnucha, mała. Rajcują cię czarnuchy? Bo jeśli nie, skończysz z twarzą zalaną krwią; jakiś przystojniaczek w groszkowym garniturku zbije cię, zwali z nóg, rozłoży je, oooch! Idź do domu.

• Nie poluję na nikogo - odparła obojętnie. - Jestem tu, bo... już nie mogę być tam, gdzie powinnam. l

- Mówiłem ci, mała, jasne jak cholera, że ty tu nie pasujesz.

Patrząc mu w twarz wbiła ręce, teraz zwinięte w pięści, głębiej w kieszenie. Przeszepowywała z nogi na nogę. Policzki miała zaróżowione z zimna. Kiedy rozmawiali, z ich ust wydobywały się obłoczki pary.

- Stoisz tak przez cały czas? - zapytała.

Parsknął.

- Kurwa, nie. W dzień mam miejsce na nowojorskiej giełdzie. To tylko boki, rozumiesz. - Stuknął się w głowę, czubek palca zniknął w wełnistych włosach. - To ta drańska płytka przewróciła mi we łbie, mała. Stał zamiast mózgu, to wszystko. Mózg wyciekł mi w czasie wojny. Co za wstyd.

Nawet ona poznała imitację Amos' n'Andy i zachichotała słuchając jego błaznowania.

- Założę się, że nie byłeś na wojnie. Nie jesteś taki star}’.
- Och, mylisz się, mała. Mogłem jechać do Wietnamu, tylko że tutaj mam wszystko, co trzeba. ArmTa nie chce wyjętych spod prawa. Zresztą i tak by mnie nie znaleźli, nawet gdyby chcieli. Gdyby tu przyszli, na pewno zobaczyliby strefę wojny, ha! - Klepnął potężną ręką o mięsiste udo.

Obok przystanęli dwaj Portorykańczycy, popatrzyli na Babę. Ich twarze były gładkie jak śmietana, długie, czarne, błyszczące włosy mieli związane w kucyki. Byli w mundurach ulicy: wystrzępione dzinsy, krótkie baseballowe kurtki. Jeden miał adidas - żeby szybko zwiewać - wyjaśnił później Baba, drugi starte czarne buty zbieracza małży. - Sekundę - powiedział mężczyzna i odszedł ubić interes.

Ulica wokół niej mrugała światłami sygnalizacyjnymi, ciąg wielobarwnych neonów wił się bez końca w noc, tłamsząc ciemność. Kłujący wiatr smagał rynsztok, wzbijając śmieci, które wirowały rozpaczliwie jak chusteczki omyłkowo wzniesione na pożegnanie. Daina wdychała smród przemysłowych odpadów z New Jersey, będący nieodłącznym składnikiem zachodnich wiatrów.

Baba wziął garść zielonych za parę ciasno zwiniętych foliowych torebek z czerwonymi i żółtymi*. W pobliżu pojawił się caddillac, błękitny jak niemowlęcy kocyk. Jechał tak wolno, jakby miał kłopoty z silnikiem. Miał długą na cztery stopy biczową antenę, nabite jaskrawymi kolcami dekle i więcej chromu, niż trzy inne wozy razem wzięte.

Daina zmrużyła oczy, próbując zajrzeć do wnętrza, lecz prawie uniemożliwiały to ciemnozielone szyby. Zdołała zobaczyć tylko ciemną pyzatą twarz i obok, po

stronie pasażera, głowę Meduzy najeżoną splecionymi w warkoczyki czarnymi

włosami.

Baba zakończył transakcję z Portorykańczykami i odwrócił się do samochodu. Pochylił się, gdy szyba bezszelestnie zjechała w dół. Żeby wetknąć głowę do środka, musiał prawie że zgiąć się we dwoje. Rozmawiał przez jakiś czas, ale nie słyszała ani słowa. Wyjął skądś mały, płaski pakiecik w szarym papierze. Jego ręka wsunęła się do wnętrza wozu i wyłoniła z plikiem banknotów. Rzucił jeszcze parę słów i wyprostował się. Caddy zaczął nabierać prędkości, szyba podjechała w górę jak suwak.

Kiedy Baba wrócił do niej, zapytała:

- Więc co masz zamiar robić, stać tu przez całą noc?
- Co ci do tego, mała? - Spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. - Wcale mnie nie znasz. Mogę przysporzyć ci poważnych kłopotów.

Uśmiechnęła się.

- Nie sądzę. - Podniosła rękę, dotknęła jego twarzy. - Co miałbyś mi zrobić? Ukraść mi pieniądze? Możesz je mieć. - Był tak zaskoczony, że nie potrafił zdobyć się na odpowiedź. - A co jest gorsze? Zgwałcisz mnie?

• Ha! Niejeden z facetów, którzy się tu pałętają, zrobiłby to piorunem. I nikt by ci nie pomógł. Co z tobą, kurwa? Nie masz za grosz rozumu? Gównno! Mama niczego cię nie nauczyła?

- Chyba nie jesteś jak ci, o których mówisz.
- Gównno, mała! Jestem taki sam jak reszta. Tylko większy, to wszystko.
- Chodźmy coś zjeść, okay?
- Słuchaj. Mógłbym złapać cię za rękę, zaprowadzić na tyły Burlesque House i sprawić, że zaczęłabyś żałować, że tu przyszłaś. - Jego twarz była teraz blisko niej i zdawało się, że żółte oczy jarzą się dzikim blaskiem jak ślepiec nocnego drapieżnika.

- Chodź - powiedziała. - Przetrzęciemy małe co nieco, dobrze?

Złapał ją silnie za rękę i zaczął ciągnąć w kierunku obscurnego wejścia do Novy. Nie stawiała najmniejszego oporu.

- Zerznę cię, mała - warknął ze złością. - Będzie ci potrzebny fotel na kółkach, żeby ruszać się po tym, jak z tobą skończę.
- Nie będzie gwałtu, jak będę tego chciała.

Zatrzymał się jak wryty. Odwrócił się do niej, spiorunował ją wzrokiem.

- O co ci chodzi, mała?
- Chcę tylko, abyś wiedział, że nie możesz mnie zgwałcić.
- Mała, pamiętaj, że ja za wszystko płacę z nawiązką. Podniosła głowę.
- Okay.

Przez długą chwilę patrzył z góry na jej poważną twarz. Potem odrzucił głowę w tył i zaniósł się śmiechem dłuższym i bardziej gromkim niż kiedykolwiek w ciągu wielu minionych lat.

Porucznik detektyw Robert Walker Bonesteel stąpał ostrożnie po połamanych szczątkach zaścielających podłogę w salonie. - Okay, rozdzielcie się - polecił dwóm mundurowym, nawet na nich nie patrząc.

Oni pierwsi przybyli do tego domu. Byli otrzaskanymi ulicznymi psami, których pokiereszowane twarze, nieco bardziej wnikliwemu obserwatorowi opowiedziałyby całe tomy, ale przybywając na wezwanie prawdopodobnie spodziewali się zwyczajnego przedawkowania, ponieważ ten łysiejący na widok ciała Maggie wydusił: - Jezu Chryste! - a drugi odwrócił się błyskawicznie, blady jak chusta.

Jednakże chwilę później przystąpili do pracy: wyjęli notatniki, przygotowali ołówki i zaczęli zadawać pytania dziwnymi, mechanicznymi głosami, jak gdyby ich prawdziwe „ja” skryło się pod metalizowaną powłoką.

Procedura była w toku, gdy w drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna. Miał brudnoblond włosy, bardzo szeroko rozstawione szaroniebieskie oczy i szczupłe biodra. Był elegancko ubrany i poruszał się z pewną powagą. Trzymał ręce w kieszeniach.

Łysiejący glina stęknął, zamknął z trzaskiem notatnik.

- Pakujemy się - mruknął z goryczą. - Przybyli chłopcy z zabójstw.
- I ani chwili za wcześnie - stwierdził porucznik Bonesteel. Skinął ręką w stronę otwartych drzwi. Weszło dwóch ludzi, a za nimi chudy, niechlujnie ubrany osobnik z obciętymi na jeża włosami i brudem w zmarszczkach na karku. Przeżuwał kanapkę z tuńczykiem.

Bonesteel przemierzał pobojowisko, niczego nie naruszając. Po dojściu do kolumny spojrzął prosto w dół. Przykucnął i przekrzywiając głowę obejrzał drewniane boki, potem dywan za niesamowitą trumną. Podniósł się.

- Doktor! - zawołał.

Chudy mężczyzna zbliżył się, popatrzył z góry na zalaną krwią kolumnę. Ugryzł kanapkę.

Porucznik wskazał na bok drewnianej obudowy.

- Zrób zdjęcie - powiedział. - Dobrze?

Chudzielec kiwnął głową, ruchem dłoni wzywając swoich ludzi, którzy wyjęli aparaty i lampy.'

Bonesteel podszedł do kanapy, gdzie siedziała Daina, trzymając Chrisa za rękę. Poruszał się bezszelestnie i gdy patrzyła na niego, wspomniała krzepkiego Meksykanina z polinezyjskiej restauracji w Malibu.

- Panna Whitney? - Mówił cicho, nieco zgrzytliwie, samogłoski brzmiały płynnie, ale nie zaciągał. - To pani dzwoniła? - Z bliska widziała zarost na jego szczęce, jasny jak nitki na kaczanie kukurydzy.

Nadal myślała o Babie i czuła cynamonowy zapach Nowego Jorku; szok wyzwolił natłok wspomnień, które huczały jej w głowie jak nocna kanonada, i nadal szamotała się między dwoma światami. Skoncentrowała się.

- Słucham?

- To pani telefonowała na policję? - Powtórzył powoli i wyraźnie, jakby miała wadę słuchu.

- Tak. - Przeciągnęła palcami wolnej ręki przez gęste włosy, odsuwając je od twarzy. Zobaczyła, że policjant patrzy na jej palce zaciśnięte na dłoni Chrisa. - Nic mi nie jest. Naprawdę.

- Dobra znajomość? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy. Zastanowiła się, czy ma na myśli Maggie, czy Chrisa.

- Przyjaciółka nas obojga.

- Chodźmy.

Detektyw odwrócił głowę w kierunku muskularnego mężczyzny w wymiętym garniturze, który właśnie wszedł do salonu.

- Na zewnątrz czysto.

Bonesteel skinął głową, podniósł kciuk.

- Ty zajmij się tą gwiazdą rocka.

Mężczyzna pochylił się, złapał Chrisa za łokieć, poprowadził na drugą stronę

pokoju, usadowił przy stole i otworzył notes.

- Panno Whitney, musi złożyć pani zeznanie.

Ludzie asystenta inspektora medycznego błyskali fleszami i Daina odwróciła się, bo światło raziło ją w oczy.

- Proszę - powiedział Bonesteel, podając jej styropianowy kubek pełen ciemnego płynu. - To niezupełnie kawa, ale gorąca.

Ujęła kubek w dłonie. Nim skończyła mówić, mężczyźni schowali aparaty i próbowali wyciągnąć zwłoki Maggie z kolumny. Pracowali tak delikatnie, jakby jeszcze żyła. W pewnej chwili asystent inspektora medycznego zawołał o piłkę do metalu. Wreszcie wyciągnęli ciało i wynieśli je w szarym plastikowym worku. Po raz pierwszy w czasie, który zdawał się wiecznością, Daina mogła odetchnąć bez bólu w piersiach.

- Chcę porozmawiać z Chrisem.

Porucznik pokiwał głową.

- Gdy tylko sierżant Maclargey z nim skończy. - Wyjął pusty kubek z jej palców. - Czy chce pani do kogoś zadzwonić?

Pomyślała o Rubensie - bardzo chciała do niego zadzwonić, ale on wyjechał z miasta i nie miała numeru, pod którym mogłaby go złapać. Nie miała pojęcia, gdzie zatrzymał się w San Diego, wiedziała tylko, że wróci samolotem o ósmej wieczorem. Spojrzała na Bonesteela.

- Jest pan bardzo formalny, poruczniku.
- Gwiazdy należy traktować jak gwiazdy, panno Whitney. Kapitan jest pod tym względem nieugięty. - Odwrócił się do chudzielca, który do nich podszedł.

- Masz coś, Andy?

- Uch, nie na tym etapie. - Asystent inspektora medycznego wciągnął powietrze przez zęby. - Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że ofiara zmarła około czwartej piętnaście.

- Czego użyłeś, czarnoksiężskiej różdżki? Chudzielec szczerknął z uznaniem.
 - Kiedyś za coś takiego oddałbym własną duszę. - Szybko spowaźniał.
- Jednakże jest coś dziwnego.
- Co?
 - Długo umierała.

Detektyw zerknął na Dainę, uczynił szybki ruch ręką i asystent skinął głową.

- Spływam - oznajmił. - Opstrykam ci wszystko piorunem, lecz zdjęcia będą nie wcześniej niż po południu. Jestem skonany. - Wbrew własnym słowom poruszał się zwawiej niż zaraz po przyjściu.

Bonesteel usiadł obok Dainy i pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Splótł dłonie. Posiadał nadzwyczajną zdolność pozostawania w bezruchu w trakcie mówienia.

• Panno Whitney, nim panią zwolnimy, chciałbym omówić pewną rzecz. Powiedziała mi pani, że z panem Kerrem byliście w lokalu The Dancers w przybliżeniu od dwunastej trzydzieści do parę minut po piątej, prawda?

• Mniej więcej. Powiedziałam: około północy.

• W porządku, północ. Plus minus parę minut. - Uśmiechnął się do niej. - Tak przy okazji, była pani z panem Kerrem przez cały czas?

• Przez większość czasu tak.

• Nie o to pytam. - Jego głos był taki sam, ale coś w jego oczach uległo zmianie.

• Oczywiście, że... czasami rozdzielaliśmy się. Porucznik popatrzył na splecione dłonie. Poruszył nimi.

• Może pani określić na jak długo? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... nie pamiętam.

• Dwadzieścia minut, może pół godziny?

• Możliwe. Spojrzał na nią.

• A może dłużej?

• Niech pan słucha - zaczęła ze złością. - Jeżeli myśli pan, że Chris ma coś wspólnego z tym... On kochał Maggie. Ja też.

• Jeszcze niczego nie myślę, panno Whitney - odparł rzeczowo. - Po prostu próbuję dojść do sedna sprawy.

- Sedno sprawy polega na tym, że Maggie nie żyje.

Miała wrażenie, że jego oczy wwiercają się w jej czaszkę.

• Skoro jest pani taka wściekła, z pewnością zrobi pani wszystko, by mi pomóc.

- Tak. Zrobię.

Zdawało się, że porucznik podejmuje decyzję.

- Zatem w porządku.
 - Chris, do diabła, co tu się stało? Oboje podnieśli głowy. Bonesteel wstał. Potężne cielsko Silki odcinało światło wpadające przez otwarte drzwi.
- Kim jesteś? - zapytał detektyw.

Silka spojrział dosłownie przez niego i ruszył w stronę muzyka. Bonesteel zastąpił mu drogę, wyciągnął rękę. Trzymał portfel otwarty na policyjnej odznace.

- Czego tu szukasz?
- Pracuję dla Chrisa Kerra i Nigela Asha - odparł ochroniarz. - Nie mam ci nic do powiedzenia. - Spojrział na Dainę. - Wszystko w porządku, panno Whitney?
- Tak, Silka. - Podniosła się. - Chrisowi też nic nie jest. To Maggie. Silka rozejrzał się.

- Gdzie ona jest?
- Właśnie jedzie do kostnicy - oznajmił bez ogródek porucznik.
- Wcale nie jesteś zabawny.

- On nie żartuje. - Daina położyła rękę na ramieniu mężczyzny. Miała wrażenie, że to stalowy dźwigar.

Silka zamrugnął, jakby oczyma fotografował scenę zabójstwa niczym ludzie asystenta inspektora medycznego.

- O Chryste! - zawołał i ruszył do Chrisa. Bonesteel wskazał go kciukiem.
- Kim jest ten czołg? Gorylem? Daina przytaknęła.

Detektyw pokręcił głową.

• Gdzie był dzisiejszej nocy? Powinien być tutaj. Daina dotknęła jego ramienia, tak jak wcześniej ręki Silki.

- Mówił pan coś o udzielaniu pomocy. Wie pan coś, czego pan nie zdradził?
- Na razie niewiele. Czekam na raport inspektora medycznego i zdjęcia.
- Oglądał pan bok kolumny. Co pan tam znalazł?
- Oglądałem wiele miejsc, panno Whitney - rzekł wymijająco.

- Ale tylko to kazał pan sfotografować. - Spojrzała na niego. - Pan nie chce wyjawiać, o co chodzi.

Podniósł rękę gestem tancerza.

- Niech pani sama zobaczy.

Pomyślała, że chyba nie wierzy, iż starczy jej odwagi na powrót do miejsca, w którym umarła Maggie.

Przeszła przez zaścielające podłogę szczątki na drugą stronę pokoju, uklękła przy kolumnie. Ludzie asystenta nadpiłowali jeden bok. Tutaj drewno było nietknięte, lecz widniała na nim plama. Daina nie potrafiła określić, czy przedstawia coś konkretnego.

- To miecz - wyjaśnił Bonesteel, stając nad nią. - Miecz w kręgu.

Przeniosła spojrzenie z jego twarzy z powrotem na poplamione drewno.

Teraz mogła rozpoznać coś jakby krzyż otoczony nierównym kołem.

- Jest namalowany krwią. Co oznacza? Pochylił się, pomógł jej wstać.

- Czas, żeby pani sobie poszła - powiedział niegrzecznie.

- Najpierw chcę porozmawiać z Chrisem. - Podeszła do stołu, przy którym stali Kerr i ochroniarz. Maclargey odszedł, by naradzić się z porucznikiem. - Co z nim? - zapytała Silkę.

- Niezbyt dobrze, panno Whitney. - Podtrzymał muzyka za łokieć. - Przyjął to bardzo ciężko.

- Chris. - Dotknęła jego twarzy czubkami palców. - Och, Chris. Zamrugał parę razy, popatrzył na nią.

- Nic mi nie jest, Dain. Okay.

Jednak ona widziała co innego i w jednej chwili podjęła decyzję. Otworzyła torebkę, wyjęła klucze.

- Masz - powiedziała, zaciskając na nich jego palce. - Silka zabierze cię do mojego domu. Możesz korzystać z niego, jak długo zechcesz.

- Zabiorę go do Nigela - wtrącił ochroniarz.

- Zabierz go do domu - powtórzyła Daina. - Do mojego domu. Silka zrobił niepewną minę.

- Tie będzie strasznie wściekła. Chciała...

- Rób, co mówię - nalegała Daina. - On nie potrzebuje teraz Nigela ani Tie.

Oczy Silki rozbliły. Nie odezwał się, lecz Daina wiedziała, że zrobi to, o co poprosiła. Otworzyła torebkę.

- Dam ci numer, pod którym będzie mógł mnie złapać, jeżeli będzie potrzebował...

- Już go znam - rzekł ochroniarz bez śladu podtekstu.

- Aha. - Spojrzała na niego uważnie. - W porządku. - Wyciągnęła szyję, pocałowała Kerra w policzek. - Zajmij się nim, Silka.

- Zawsze to robię, panno Whitney. - Wyszli i po chwili usłyszała warkot odjeżdżającej limuzyny.

Teraz, po jego odjeździe poczuła ogarniające ją odrętwienie. Rozprostowała i zacisnęła dłonie. Muszę się napić, pomyślała. Ale nie chciała robić tego w obecności porucznika. Widziała ludzi jego pokroju wcześniej, w Nowym Jorku.

Bonesteel odwrócił się od swego partnera.

- Dokąd panią odwieźć?

- Która godzina? - zapytała. Zerknął na zegarek.

- Tuż po jedenastej.

Pokręciła głową. Będzie miała czas na drinka i nieco snu przed wyjazdem po Rubensa na lotnisko.

- Nie trzeba - powiedziała. - Mam tu mercedesa. Myślę, że prowadzenie dobrze mi zrobi.

Detektyw skinął głową, poprowadził ją do drzwi. Maclargey został. Na zewnątrz było pochmurno, światło słońca przenikało jakby przez białą i kruchą niczym porcelana skorupę.

Usiadła za kierownicą i Bonesteel zatrzasnął drzwi wozu.

- Zadzwoń do pani za dzień lub dwa.

- Kiedy będzie pan coś miał.

- Tak. Popatrzyła na niego.

- Poruczniku...

- Niech pani jedzie.

- Uch, nie. - Uśmiechnęła się. - Nie mogę pana tak nazywać. Wygląda pan jak Bobby.

- Nikt nie nazywa mnie Bobby. - Skinął głową na pożegnanie, badając wnikliwie jej twarz. - Do widzenia, panno Whitney.

- Co ty tu widzisz? - zapytał Baba tego pierwszego wieczora.
- Nikomu nie muszę się tłumaczyć - odparła. Ale mimo to podejrzewała, że wiedział, dlaczego porzuciła dom na zielonej Gils Place w Kingsbridge, w zachodniej części Bronxu.

Miała trzynaście lat - wiek, kiedy nie tyle rytuał, ile okoliczności kładą kres dzieciństwu - jej ojciec już nie żył, milczący, lecz niezapomniany, pochowany w orzechowej trumnie sześć stóp pod ziemią na cmentarzu, na którym nie była ani razu od dnia pogrzebu.

Nie pamiętała dokładnej daty jego śmierci, jednak pora roku - najgorętsze sierpniowe dni, kiedy nawet na Cape, na skraju niesforenego, chłodnego Atlantyku, słońce prażyło z osłepiającą siłą - wryła się w jej serce na zawsze.

To musiał być sierpień, gdyż doskonale pamiętała panujący w wodzie tłok, a działo się tak tylko wówczas, gdy morze ogrzewało się na tyle, że większość ludzi decydowała się na dłuższą kąpiel.

Ona nigdy na to nie zważała, nie dbała o to, że usta jej sinieją, a skóra przy paznokciach staje się dziwnie opalizująca. Jej matka - którą zawsze nazywała Moniką - machała do niej, krzyczała, by wyszła z wody, osuszyła się i ogrzała w słońcu, lecz ona nigdy tego nie robiła; Monika musiała wchodzić po nią i wyciągać ją na plażę. Ale nim to następowało, Daina była już przemarznięta do szpiku. Wychodziła na brzeg ociekająca wodą i drżąca, a matka owijała ją w jeden z olbrzymich, jasnoczerwonych plażowych ręczników, nacierała jej ramiona, żeby pobudzić krążenie, zaś wielkie niebiesko-zielone gzy cięły ją boleśnie po pokrytych solą łydkach.

Była przekonana, że tak zaczęło się to ponure lato, lato nagłej, szokującej i - tak bezsensownej - śmierci ojca. Przez pewien czas nienawidziła go irracjonalnie za to, że jej to zrobił, właśnie wtedy, gdy zaczynała poznawać... I przez ten okres myślała, że rozumie zrzędlivość Moniki, jej nienawiść, świeżo okazaną.

Niemniej jednak to uczucie opuściło ją i zrozumiała, że to nie jego wina i że on ją kochał. Zostawił jej tyle siebie. W pełni uświadomiła sobie, jaka naprawdę była jej matka: zazdrosna o sukcesy zawodowe męża i przeświadczona, że to on nie pozwala jej wykorzystać posiadanego przez nią potencjału, jak teraz lubiała powtarzać.

Ale Daina wkrótce odkryła, że pęd Moniki do samorealizacji był nakierowany

wyłącznie na jeden cel - na syp*ialnię.

Dla Dainy początek 1965 roku był czasem jej pierwszej miesiączki i wypełniania się figury, której nikt - nawet Monika - nie mógł już uważać za dziecinną.

Był to czas energii i anarchii. Woń buntu przesyciała powietrze niczym aromat korzennych przypraw i ludzie zaczęli wrzeć; skostniałym społeczeństwem wstrząsały długie włosy, dzinsy, komuny, bluzy z frędzlami, narkotyki i rozkwitająca moc rock and rólla.

Nowe pokolenie przyswoiło sobie V, ekspresyjny znak Churchilla, nadając mu całkiem inne znaczenie. „Łasy riders” pędzili z rykiem po autostradach, podczas gdy dzieci klas średnich, przedstawiciele powojennego pokolenia, weszły w długotrwały, twardy okres wyłamywania się spod kontroli. I Daina, chociaż młodsza, czuła to samo niezadowolenie ze sztywnych szablonów, które tak długo były nieodłączną częścią młodości. Była przekonana, że ojciec potrafiłby zrozumieć nieuchronność tego procesu.

Światem Moniki, przeciwnie, rządziły prawa. Ciągle miała w sobie dużo Starego Świata i teraz, gdy została sama, było oczywiste - przynajmniej dla Dainy - że z każdym dniem wraca do pojęć, które wbito jej do głowy w dzieciństwie. Pochodziła z Győr w północno-zachodniej części Węgier - kraju Madziarów - i stale miała na ustach legendy o tych dzikich, niezależnych wojownikach.

- Masz oczy matki - stwierdził kiedyś ojciec. - Nie ma w nich ani krzty mnie. Widzisz ten kolor - płonący fiolet, lekko skośne kąciaki: to węgierskie oczy, Daino. - Leżała opatulona w łóżku, a on siedział na miękkiej kołdrze, na jego kolanach spoczywała kupiona przez Monikę książka w czerwonych płóciennych okładkach. Zaczął czytać bajkę - jak wiele razy wcześniej - o dwóch węgierskich chłopcach, którzy uwikłali się w wojnę między Madziarami i Hunami, i o tym, jak pościg Attyli za legendarnym Białym Jeleniem doprowadził do jej zakończenia.

W pewnym momencie ojciec podniósł oczy znad stronic książki i powiedział:

- Pamiętaj, kochanie, jeżeli nadejdą złe czasy, w tobie żyje Biały Jeleń, dumny, mityczny i niepokonany.

Kilka lat później, kiedy zapytała go, co naprawdę miał na myśli, tylko roześmiał się i przebiegł długimi palcami po jej złotych włosach.

Teraz było za późno, ale czuła się w obowiązku zrobić, co możliwe. Poszła do

biblioteki, przewertowała książki dotyczące historii Węgier, Austrii, a wreszcie Rosji, lecz w żadnej nie znalazła wzmianki o Białym Jeleniu. Wreszcie pogodziła się z faktem, że stworzenie to musiało być jednym z niezliczonych wymysłów ojca. Kiedy jako dziecko prosiła go o opowiadanie bajek, nie pochodziły one z książki, tylko niezmiennie z jego głowy. Doszła do wniosku, że podobnie było z Białym Jeleniem.

Był w jej życiu taki okres, gdy często śniła, jak to mityczne stworzenie przemierza nieznaną krainę biegnąc w takt *Pawany* Ravela - każda nuta opadała niczym kwiatowy płatek - i budziła się z oczyma pełnymi łez.

Monika nie rozumiała niczego i kiedy raz Daina spróbowała jej to wyjaśnić, pobałdała i uderzyła ją w twarz.

- To dziecinne wymysły! - krzyknęła. - Cała ta tajemnica i legenda. Opanuje cię tak jak ojca. Ale nie mnie, słyszysz? Jego już nie ma. Zapomnij o tym białym koniu...

- To jeleń, mamó, nie koń...
- Słuchaj - przerwała Monika, chwytając ją silnie za ramię. - Zrobisz, co każę, i nauczysz się to lubić.

I jej słowa pchnęły Dainę daleko, do krainy na skraju świata, gdzie panował wieczny zmrok, a bandyci kroczyli ulicami tak pewnie, jakby byli powołanymi do życia koszmarami.

Na Pacific Coast Highway panował tłok, ale to było nic w porównaniu z tym, co czekało ją na Ocean Avenue. Musiała zamknąć okna i włączyć klimatyzację - według niej był to środek ostateczny - lecz o tej porze dnia było to jedyne, co mogła zrobić, by nie narazić się na ryzyko uduszenia. Te magistrale nie były miejscem dla astmatyków.

Ugrzęzła na chwilę w korku i włączyła odtwarzacz, nie zmieniając kasy. Usłyszała środkowy fragment *Narsty*, utworu z ostatniego albumu Heartbeat-sów. Głos Chrisa był namiętny i natarczywy jak zawsze i oczywiście skierował jej myśli do strzępów różowego ciała oraz kałuż czerwieni tak ciemnej, że w przyćmionym świetle wyglądała prawie na czerni. Makabra przechodząca ludzkie pojęcie. Wyciągnęła palec, by wyłączyć magnetofon, jednak zatrzymała go w powietrzu nie dalej niż cal od klawisza, i pomyślała: Nie, nie, nie. Jeżeli teraz to wyłączę, już nigdy nie będę mogła słuchać ich muzyki bez wyobrażania sobie Maggie, poszarpanej jak porzucona lalka, a

tak nie mogę żyć. Nie mogę...

Oczywiście w tamtych czasach napotkała na swej drodze narkotyki - były dużo bardziej rozpowszechnione, niż sądzili dorośli.

Czasami paliła trawkę, ale od innych środków trzymała się z daleka, ponieważ widziała, co zrobiły z jej kolegą z klasy, który rzekomo nie brał. Znalaziono go pewnego ranka, sinego, z foliowym workiem na głowie, spowitego zapachem kleju, w rowie dla orkiestry w bezludnym Fillmore East, zimnego i sztywnego jak kawał mrożonego mięsa. Przepędzono handlarzy spod szkoły, lecz ona wiedziała, że gniew był skierowany w niewłaściwą stronę.

Droga do Mariny była gorąca i pełna kurzu, i po chwili Daina czuła się tak, jakby ciało odpadało jej od kości. Mimo czy nawet z powodu klimatyzacji zaczęła myśleć, że bardziej potrzebuje kąpeli niż drinka. Muzyka dudniła jej w czaszce, uparta i pełna furii, i zapatrzyła się przed siebie, zniżające się słońce brązowiło dachy i maski merców, mazd, porsche'ów, audi, transamów i datsunów zetek, i poczuła się częścią tej długiej, wijącej się potworności: metalu, szkła i niczego innego.

Baba mieszkał na rogu ulicy Czterdziestej Pierwszej i Dziesiątej Alei; miał kwaterę na czwartym piętrze zaszczurzonej kamienicy, na parterze której mieściła się portorykańska winiarnia. Karaluchy były tak liczne, że bez mała wydawały się prawowitymi najemcami. - Kiedyś z nimi walczyłem - powiedział jej poważnie Baba. - Teraz zawarliśmy swego rodzaju porozumienie: ja nie przeszkadzam im, one nie przeszkadzają mnie. - Ale nie tam ją zabrał, przynajmniej nie od razu.

Wsiedli do metra i wyszli po schodach w Harlemie. Ruszyli w górę Lenox, mijając Sto Trzydziestą Ósmą i Zanzi Bar, ciemny i hałaśliwy, przycupnięty na rogu czegoś, co równie dobrze mogłoby być brzegiem podziemnej rzeki Lete. Przynajmniej Daina zaczęła uważać ten surowy z zewnątrz, a rozbawiony w środku lokal za granicę między, by tak rzec, tu i tam, jakby przemierzyli cały kontynent i znaleźli się w innym, podziemnym świecie, gdzie wszystkie twarze były brązowe i gdzie miała wrażenie, że rzuca się w oczy jak płatek śniegu na obsydianowej plaży.

Żółte oczy na jej widok robiły się wielkie jak spodki, ponieważ to nie był jej teren, a nawet, ściśle mówiąc, nie Ameryka, kraj wolności, dom odwagi, lecz jakieś getto pełne nieudaczników i łajdaków - różowe cadillaki zaparkowane obok starych ludzi zacierających sękatę, szare dłonie nad płonącymi w koszach śmieciami. Mimo to nie padło ani jedno słowo i panowała kryształowa cisza. Z powodu Baby.

Jednakże Daina czuła się niepewnie, bo widziała w ich źrenicach rzeczy, które miały nawiedzać ją przez lata. Ci ludzie nie potrzebowali otwierać ust - wykrzykiwali swą nienawiść oczyma. Skóra jej ścierpła, a żołądek podjechał do gardła, i przez chwilę żałowała, że chciała się tu znaleźć. Że o to poprosiła. Była obcym przybyszem na odległej planecie, w miejscu, w którym mogła być ewentualnie tolerowana w towarzystwie tej ciemnej ruchomej góry, ale do którego nigdy nie mogła należeć. Potem zerknęła w twarz Baby, zobaczyła jego bez troskę, i odprężyła się nieco.

Tyle razy czytała o zbombardowanym Londynie, lecz nigdy nie potrafiła w pełni wyobrazić sobie ogromu zniszczeń. Do teraz. Idąc przez Harlem pomyślała, że wie, jak wygląda zbombardowane miasto. Zewsząd pięły się w niebo na wprost zrujnowane kamienice, piętrzyły się strzaskane cegły i walał rozrzucony gruz; pogięty drut i rozpięte na drewnianych słupach siatki bez potrzeby strzegły dziur po wyburzonych budynkach, które czerniły się w ziemi jak pieńki dawno spróchniałych zębów.

Psy włóczyły się stadami, wielkie, o gęstym futrze i długich wilczych pyskach. Ich skrzące się żółte ślepia opalizowały w ruchliwych snopach światła przejeżdżających samochodów. Szczekały pożądliwie, krążąc nerwowo wokół zużłowych ogni w koszach na śmieci. Daina zobaczyła długiego na palec karalucha, który przemykał rynsztokiem, nim rzucił się na niego pies. Dźwięk bębnow dobiegał od strony czarnego jak noc Central Parku. Płomienie oświetlały ulicę, nad którą brzęczały i syczały lampy. Pomyślała o Dantem i zadrżała u boku Baby, krzepkiego i wielkiego jak mur.

Zabrał ją do restauracji wciśniętej między pięciopiętrową kamienicę, która wyglądała tak, jakby lada chwila miała stanąć w płomieniach, i staromodny sklep spożywczy z wypłowiałą reklamą dostarczoną przez Coca-Colę. Na chodniku, w chłodnym świetle padającym z otwartych drzwi, tańczyła młoda para. Na pokrywie aluminiowego kosza na śmieci stało radio, z którego leciało *It's a man's world*.

Daina zatrzymała się przed wejściem. Po drugiej stronie alei tłusta stara kobieta - ciemna jak smoła - porzuciła zakamarki swego sklepiku mojo, by popatrzeć z uśmiechem na tańczącą posuwicie parę. Daina była zafascynowana tym upiornym tańcem. W tę magiczną, rozmigotaną noc tancerze zdawali się zbudowani nie z mięśni, ścięgien i kości, ale ze światła gwiazd i wiatru. Było tak, jakby zawsze wirowali na tej ulicy, stanowiąc część tego świata z pewnością bliższą istocie życia

niż Daina w każdy z dni w Kingsbridge spędzonych na pościgu za wszystkim, co teraz wydawało się fałszywe i pozbawione znaczenia. To dlatego, uświadomiła sobie niejasno, że tu nie ma cywilizacji, przynajmniej nie takiej, jak nauczyła się ją pojmować. Pomyślała, że w tym brudzie, nędzy i ignorancji jest elementarna czystość, która miała przysłonić, i tym samym zniszczyć, wszystko dotychczas jej znane. Były to może idealistyczne i dosyć głupie myśli - z tego powodu nigdy ich nikomu nie zdradziła - lecz mimo to wiedziała, że w tej chwili ma rację; że rzeczywiście jest świadkiem jakiegoś nadzwyczajnego aktu, który przeniósł ją w czasie do chwili, gdy cywilizacja dopiero się rodziła. I czuła uniesienie i smutek zarazem, bowiem rozumiała, że tancerze posiadają jakąś pierwotną cechę, której ona, być może, nigdy nie będzie miała i przez to musi ograniczyć się wyłącznie do roli obserwatora tajemnego obrzędu.

- W porządku - rzuciła cicho, gdy taniec dobiegł końca, i Baba zabrał ją do środka.

Restauracja była niska, ściany i podłoga były wyłożone włoskimi kafelkami, tu i tam wytartymi i nawet wykruszonymi, ale w większości lśniąco jak lustro. Nie wiadomo, czy właściciele kazali projektantowi trzymać się względów estetycznych, czy finansowych.

Chudy kelner o skórze jasnej jak mąka poprowadził ich do stolika w kącie. Baba uśmiechnął się szeroko i rzekł:

- Masz, co chciałaś, mała. Skosztujesz trochę prawdziwego żarcia czarnych.

- Wyjął kartę dań z jej rąk. - Daj, ja wybiorę.

Złożył zamówienie i kiedy podano pierwsze danie - smażone błyskawicznie chitlins tak chrupkie, że wprost strzelały w zębach - zapytał:

• Więc co z twoim chłopakiem w Bronxie? - Powiedział to w taki sposób, jakby dzielnica leżała nie tuż na północ, a po drugiej stronie świata.

• Mówiłam ci, że nie mam nikogo.

• Taka ładna dziewczyna? - Potrząsnął głową, zabrał się do jedzenia.

- No, do diabła, musisz mieć rodzinę, mała.

- Mój tata nie żyje. - Wbiła oczy w serwetę w czerwono-białą kratę.

- A co do mamy, naprawdę gównem ją obchodzi...

• Hej, hej! Nie wyrażaj się, mała.

- Dlaczego nie? Ty tak mówisz.

• Ja jestem wyjętym spod prawa; mała. Żyję na krawędzi. Nie podłapuj ode mnie takich powiedzonek. Ja muszę tak mówić, żeby mnie zrozumiano. - Mrugnął do niej. - W każdym razie jestem czarnuchem, który nie ma prawa umieć się wysławiać. Ty to co innego, mała. Jesteś wykształcona. Porządnie wychowana. Nie masz powodu, by używać tych wszystkich gówn i choler.

- Myślę, że to tylko słowa jak wszystkie inne. Słyszałaś o Lennym Brusie...

• Uhm. - Mężczyzna potrząsnął kędzierzawą głową. - Mała, musisz się wiele nauczyć. Nie ma znaczenia, co ty czy ja sobie myślimy, wiesz? Ważne jest to, co myślą oni. - Ruchem głowy wskazał na salę. - A oni nie lubią takiego pieprzenia. Kapujesz: oni lubią święty spokój. Śliczne, uładzone piórka. Palce lizać. Spraw im przyjemność, tak jakbyś była czarna, a uszczęśliwisz mnie.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Wnętrze restauracji było wąskie i zatłoczone. Ożywione rozmowy i niewymuszone żarty przerzucane między stolikami nadawały mu atmosferę prawie komuny. Daina czegoś takiego nigdy nie widziała w śródmiejskich lokalach.

Siedzieli z tyłu, gdzie okno z podwójnymi szybami wychodziło na porośniętą chwastami i pełną czarnego gruzu parcelę. Kleksy cytrynowego światła z okien na pierwszym i drugim piętrze rozjaśniały ceglane ściany pozornie dalekie, a w rzeczywistości leżące przecnicę dalej. Przyczyną iluzji były luki utworzone przez zawalone budynki.

Baba odwrócił głowę, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich mężczyzna o pociągłej, błyszczącej, czarnej jak sama północ twarzy. Ruszył ku nim okrężną drogą między stolikami. Był ubrany w płowy garnitur z klapami tak szerokimi, że dotykały ramion, ciemnobrązową koszulę, rozpiętą pod szyją, by pokazać sześć czy siedem złotych łańcuszków o grubych ogniwach. W kąciu ust trzymał długą kuchenną zapałkę i gdy podszedł bliżej, Daina zobaczyła, że z wielkim zapałem bez przerwy cmoka przez zęby. Zobaczyła również szramę w kąciu ust, tam, gdzie trzymał zapałkę, przez co niezależnie od nastroju zawsze był krzywo uśmiechnięty.

- Co powiesz, człowieku? - Jego głos brzmiał tak, jakby przeżuwał żwir.

Wyciągnął różową dłoń i Baba przybił.

- Cześć!

Mężczyzna zmierzył wzrokiem Dainę.

- Co ty tu masz, bracie? - Czubkiem wysokiego do kostki trzewika Thom McAn zahaczył o nogę krzesła, przyciągnął je i usiadł. - Wygląda mi to na kawałek pierwszorzędnego białego mięsa.

- Smiler, masz mi coś ważnego do powiedzenia? Jeżeli nie, to możesz spadać.

Przybysz błysnął złotymi zębami.

- Słuchaj, bracie, jak na czarnego zrobiłeś się trochę drażliwy.
- Co ty bredzisz, człowieku? - Baba przestał jeść. Przyglądając się swemu rozmówcy, starannie wytarł czubki palców. - Gadaj, o co chodzi.

Smiler w zadumie przeżuwał zapałkę, jej czerwono-biały czubek podskakiwał rytmicznie.

- Co jest grane, bracie, zapomniałeś, że białe mięso jest do podziału - zwłaszcza takie bombowe, jak ten kąsek? - Jego stwardniała dłoń opadła na rękę Dainy. Ta próbowała się uwolnić, ale grube palce nie puszczały.

- Nie rób tego, Smiler. Przybysz wyszczerzył zęby.
- A czemu nie?

Baba wyciągnął rękę z prędkością zdumiewającą jak na tak wielkiego mężczyznę, złapał palec wskazujący Smilera i błyskawicznie szarpnął go w górę. Rozległ się głośny trzask wyłamywanego stawu.

Smiler wrzasnął, spróbował zerwać się na nogi, lecz unieruchomiony przez Babę mógł tylko wić się jak piskorz. Łzy stanęły mu w oczach, twarz się skrzywiła. Ból nie mógł wymazać jego strasznego półuśmiechu. Klatka piersiowa mężczyzny wznosiła się ciężko, a po lewej skroni spłynął strumyczek potu, zakręcający na tętniącej żyłce.

Baba, nie rozluźniając uścisku, przechylił się nad stołem i niskim głosem powiedział:

- Mówiłem ci, żebyś dał se siana, człowieku, ale ty jesteś za wielki dupek, żeby posłuchać.
- Hej, bracie... - Oczy Smilera wywróciły się w głąb głowy, pot spływał ciurkiem, plamiąc kołnierzyk koszuli.
- Według mnie jedyny sposób, by do ciebie coś dotarło, to zrobić coś, co

potrafisz zrozumieć, kapujesz?

Smiler zgrzytnął zębami.

- Hej, bracie... Hej, hej, uspokój się. Krzywdzisz czarnego...
- Gówno mnie, kurwa, obchodzi, że ciebie boli, jasne? Jak ma się siano

zamiast mózgu, to trzeba płacić frycowe. - Przysunął się do złanej potem twarzy mężczyzny, oparł łokieć na serwecie i wygiął palec jeszcze bardziej. Smiler sapnął. Zapalka wypadła mu z ust.

- Chryste, bracie, zabijasz mnie, serio.
- Przepróż tę panią, człowieku.
- Uch... uch...

Baba pochylił się, zgrzytając zębami, i twarz przybysza nagle poszarzała.

- Prze... przepraszam...
- Przepraszam panią. To dla ciebie dama, skurwysynu. Coś, o czym nie możesz mieć zielonego pojęcia.

Smiler spojrzał rozpaczliwie na Dainę.

- Przepraszam panią. - I jego oczy zamknęły się z jak gdyby nieskończonym zmęczeniem.

- Baba - wyszeptwała Daina. - Przestań.

Mężczyzna cofnął rękę i twarz Smilera zalała ulga. Zabrał zranioną dłoń ze stołu, zacisnął na niej drugą rękę.

-Jak pękające skrzydełko kurczaka, co, Smiler? - zachichotał Baba.

- Okay. Z czym przychodzisz?

Zapytany spojrzał nań zaczerwienionymi oczyma. Kołysał się lekko, tuląc zranioną dłoń.

- Towar przychodzi o trzeciej nad ranem. Miejsce to samo.
- Sprawdziłeś?
- Tak. Porządne gówno. Baba skinął głową.

- To nie mniej niż dwa kawałki dla ciebie, stary. Kup sobie za ten szmal jakieś ciuchy. - Roześmiał się. - I uszczęśliw swoją cizię.

Ale Smiler nie roześmiał się. Troskliwie hołubił okaleczony palec, najwyraźniej bojąc się nim poruszyć. Patrzył na niego, poruszał ustami, lecz bezgłośnie. Pot wysychał na jego twarzy.

- Doktor załatwi ci to ekspresowo, zobaczysz. - Baba zabrał się do jedzenia. - I następnym razem bądź mądrzejszy, dobra, stary?

Smiler spojrział na niego.

- Taa. - Wstał nawet nie spojrzawszy w stronę Dainy. Zachowywał się tak, jakby przy stole siedział tylko Baba. - Następnym razem będę mądrzejszy.

Odstawił krzesło i wyszedł-z restauracji. Dainie wydało się, że dostrzega go po drugiej stronie ulicy.

- Nie musiałeś go tak krzywdzić, prawda? Baba przestał jeść, powiedział:

- Jak ci mówiłem, mała, musisz się wiele nauczyć o tych ludziach. Jediną rzeczą, jaką znają takie czarnuchy jak Smiler, jest ból. Smutne, ale prawdziwe. Czasami źle słyszą, więc trzeba coś zrobić. To nie jest łatwe.

- To znaczy, że musiałeś złamać mu palec?

- Uhm. - Mężczyzna rozsiadł się wygodniej, wytarł grube wargi.

- Opowiem ci coś, mała, na poparcie moich słów. Przed laty stary Smiler był wolnym strzelcem. Bóg tylko wie, jak robił szmal, bo jest za głupi nawet na to, by uczyć ptaka fruwania, ale jakoś sobie radził. Pewnego dnia natknął się na grubą rybę z Philly - portorykańca na dodatek. Ten facet, wredny sukinsyn, lecz niegłupi, pomyślał, że może wpasować Smilera w swoje plany.

Więc wysunął mu propozycję. Śliczną, nie można się skarżyć, o ile, jak mówię, ma się pod sufitem to co Smiler. Smiler kazał mu się odpierdolić i facet odpuścił. Jednak nie na długo, bo miał chętkę przenieść się na północ, do Nowego Jorku, i widział, że Smiler może być jego biletem. Napierał na starego Smilera, a ten nie ustępował ani o cal.

Portorykaniec wkurwił się i wysłał do niego swego goryla. Jedyne problem w tym, że Smiler tej nocy wyskoczył po towar, a głupi Latynos przez pomyłkę załatwił jego laskę.

Trzeba było czasu, żeby Smiler wszystko zajarzył, lecz gdy tak się stało, ruszył na poszukiwania. Znalazł faceta. Niezbyt to mądre. Jednak, jak mówiłem...

- Wzruszył ramionami.

- I powiem ci, jak było. Facet mówi do niego: „Wszystkie dupy są takie same. Weź sobie jedną z tych, które tu widzisz, okay?”

„Ty pierdolony brudny Latynosie”, Smiler na to. „Nogi z dupy ci

powyrywam.” Ale, oczywiście, ani drgnie, bo trzymają go dwaj goryle. Facet mówi: „Wiesz, problem z takimi sukinsynami jak ty polega na tym, że nie macie poczucia humoru. Wcale. Więc powiem ci, co zrobię. Wyświadczę ci wielką przysługę i naprawię to”. Wyjmuje nóż i przecina nerwy po prawej stronie twarzy Smilera. „Teraz”, mówi ten kutas, cofając się i wycierając ostrze w sportową marynarkę Smilera, „będziesz uśmiechał się na okrągło i nikt, nawet ja, nie zarzuci ci braku poczucia humoru”. Ha! - Baba zajął się jedzeniem.

Daina patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- I co dalej?
- Co dalej? - Mężczyzna wytarł zatłuszczone usta. - Teraz Smiler pracuje dla tego brudnego Latynosa. Ho, ho! Wziął też sobie jedną z jego lasek. Jest z nią teraz... hmm... trzy, cztery lata.

- Nie wierzę w to, co opowiedziałeś.
- Hej, mała, to prawda. *Emmis*, jak mówią w centrum. Tutaj tak wszystko działa. Smiler słucha tego faceta. Wreszcie. Ha! - Znowu się roześmiał, wgrzyzł w ostatni kawałek białego mięsa pokrytego chrupką skórką.

- Cóż, uważam, że to odrażające.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i nie musiał otwierać ust, wcale nie musiał mówić: „Przyszłaś tu sama, mała. Nikt cię nie prosił”, ponieważ wyrażały to jego oczy. Daina też zabrała się do resztek posiłku.

Wokół nich stopniowo narastał gwar. Znikąd pojawiły się butelki kukurydzianej whiskey, po jednej na środku każdego stolika. Szklanki przypominały Dainie tę, jakiej w domu używała przy myciu zębów.

Baba nalał sobie na cztery palce czystego alkoholu. Wyglądało na to, że nie ma lodu ani wody do rozcieńczenia, a kiedy zapytała go o to, odparł:

- Tego się nie robi, mała. Świętokradztwo. Zaczekała, aż odstawi butelkę, po czym zapytała:

- Nie należesz mi trochę? Patrzył na nią przez chwilę.
- Masz brzydkie ciągoty, mała, wiesz?

Mimo to nalał jej i obserwował z uśmiechem, jak krztusi się alkoholem. Gardło paliło ją żywym ogniem i mogłaby przysiąc, że droga płynu we wnętrznościach jest tak wyraźna, jak dobrze oświetlony pas startowy. Wytarła łyżę z

oczu i przesunęła szklanę, prosząc o dolewkę. Mężczyzna pokręcił głową, roześmiał się i nalał im obojgu.

- Założę się, że masz dużą rodzinę - powiedziała po chwili.

• Nie. - Ujął szklanę między wielkie jak łopaty dłonie i zaczął ją obracać. - Nie mam rodziny, przynajmniej nie teraz. Już nie. Mój tata przyjechał tu z Alabamy. Nienawidzę tych skurwysynów bardziej niż Latynosów, ale muszę przyznać im jedno - jak cię nienawidzą, to walą to prosto z mostu. - Wzruszył potężnymi ramionami. - Tutaj wielu udaje, kapujesz? Są twoimi

przyjaciółmi, ale to gównu znaczy, bo za plecami mówią to samo, co tamci. Czarnuch. - Popatrzył na nią. - Powiedz mi, mała, co jest gorsze.

- Nie wiem. Nie rozumiem tych spraw z kolorem skóry.

• I to, kurwa, nas różni, mała. - Popił bourbona. - Kiedyś miałem dwóch braci. Tyler był najstarszy. Załatwili go pewnej nocy pod Selmą. Trzej wielcy skurwysyni ze strzelbami, narąbani jak skunksy, w pewną sobotnią noc zobaczyli, jak Tyler zabawia się ze swoją dziewczyną, i rozwalili ich oboje. Gównu. - Dolał sobie alkoholu. Daina milczała, patrząc na niego.

• Potem Marvin - podjął Baba. - Najmłodszy. Porządny facet. Nie jak jego stary czy my dwaj. Skończył szkołę średnią, chciał iść na studia, lecz, cóż, nie mieliśmy forsy. Wtedy zaciągnął się do woja, bo to był jedyny sposób, żeby te skurwysyny opłaciły mu naukę. - Zapatrzył się w głębię brązowego płynu, wirując nim w szklance. - Głupie sukinsyny wysłały go do Wietnamu. Więc ostatecznie stał się po prostu jeszcze jednym ignoranckim czarnuchem, który próbował naprawić system, jednak bez skutku. Gównu.

Pisałem do niego co tydzień. Powtarzałem: „Słuchaj, Marvin, uważaj na siebie. To wojna białych ludzi, kapujesz? Nie daj sobie zrobić krzywdy”. Ale on odpisał: „Musisz zrozumieć, Baba. Ja jestem Amerykaninem, ty jesteś Amerykaninem. Tutaj nie ma czarnych i białych. Jesteśmy my i wróg. Dla niego nie ma znaczenia, jakiego jestem koloru”. Biedny skurwiel. Potem napisał mi, że jego pluton wpadł w zasadzkę w czasie nocnego patrolu. Przeżyli tylko on i jeszcze jeden gówniarz. Następnego ranka żołnierze znaleźli ich opartych o siebie plecami, a wokół leżał wianuszek wietnamców. Marvin, kurwa, został bohaterem, miał dostać Srebrną Gwiazdę.

I co się dzieje? W następnym tygodniu, idąc na czele swojego patrolu, włązi na minę i wylatuje w powietrze. Została tylko głowa i kawałek klatki piersiowej. Wrócił do domu w sosnowej jesionce przykrytej amerykańską flagą, z Gwiazdą przypiętą w rogu. I co ja miałem z tym, kurwa, zrobić? - W kąciakach jego oczu zalśniły maleńkie gwiazdki. Odepchnął od siebie szklankę. - Nie powinienem pić tego gówna, rozkłada mnie. Cholera!

Daina sięgnęła przez stół, ujęła jego rękę, zobaczyła, jak czerń jego dłoni pochłonęła biel jej palców, poczuła ciepło i potarła skórę na jego nadgarstkach.

On chrząknął, uwolnił rękę i zabrał je ze stołu.

- Dość tego, mała. To nic dobrego.
- No, no, no, Baba! Co za niespodzianka.

Oboje poderwali głowy i zobaczyli mężczyznę stojącego w przejściu między stolikami. Gdyby nie byli tak pochłonięci rozmową, z pewnością zauważyliby go, w chwili gdy pojawił się w drzwiach. Był ubrany w nieskazitelną szarość, z eleganckimi zamszowymi butami włącznie, i nosił szeroki jedwabny szalik zamiast krawata. Ale ubranie było najmniej znaczącym elementem. Był wysoki i chudy, i poruszał się z gracją dzikiego zwierzęcia. Miał długie dłonie, piegowate i porośnięte złocistymi włosami, i silne palce; wąską twarz i raczej wydłużone, przylegające do czaszki uszy oraz kręcone, rude, krótko ścięte włosy. Jego twarz także była piegowata, a błękit szeroko rozstawionych oczu o ciężkich powiekach tak blady, że w jasnym świetle wydawał się prawie bezbarwny. Gadzie usta i ostra, wystająca broda nadawały jego twarzy wyraz okrucieństwa. Usta Baby rozciągnęły się w powolnym uśmiechu. Podniósł rękę.

- Daina, poznaj Aurelia Ocasia. Ally, dlaczego nie siadasz?
- Nie miej nic przeciwko, jeśli to zrobię. Młoda damo... - Ujął rękę Dainy.

Poczuła chłód jego palców, zapach wody kolońskiej. Ocasio podniósł jej dłoń jak do pocałunku, lecz nie złożył go. Usiadł naprzeciw Baby i obok niej. Skinął ręką na dwóch ciemnowłosych Portorykańczyków, którzy ścisnęli się przy dwuosobowym stoliku pod ścianą w pobliżu drzwi.

- Baba, zaczynasz okradać kołyski? - zapytał z chrapliwym śmiechem. Nalał sobie bourbona, skrzywił nos. - Chryste, jak możesz pić to świństwo. Nie mają tu rumu?

- Trochę za daleko na zachód, jak na coś takiego, Ally - odparł uszczypliwie Baba.

- Cha, cha! Ostatnio tym też się zajmujemy. Interes kwitnie.
- Widzę.

Ocasio skierował na Dainę wąskie, lisie oczy.

- *Digame, amigo*, chyba nie myślisz o rozszerzeniu działalności.
- Chodzi ci o Dainę? - roześmiał się Baba. Pociągnął łyk alkoholu. - Nie śliń się, Ally. To tylko przyjaciółka rodziny.

- Nie masz rodziny, *amigo*.
- Teraz mam. Co o tym myślisz?

Ocasio z namysłem napił się bourbona, przyglądając się, jak alkohol spływa po szkle.

- Myślę, że to świetnie, póki się nie wychylisz. Nie chciałbym, żeby ktoś nastąpił mi na odcisk... a zwłaszcza ty, *amigo*, masz takie wielkie stopy, co? - Ale nie uśmiechnął się i nic w jego twarzy nie sugerowało dobrego humoru.

- Czy ja kiedykolwiek byłem zainteresowany czymś takim? W każdym razie ty nic o tym nie wiesz.

- Czas płynie, *amigo*. Wszystkich czasem nachodzi chętka, wiesz. Ambicja jest zgubą nas wszystkich.

Baba postawił szklanekę na stole.

- Do czego zmierzasz, Ally?
- Hmm... Smiler mówi, że masz zamiar podnieść ceny na tę dostawę...
- To prawda. Inflacja, człowieku. Nawet wyjęci spod prawa muszą jeść.
- Inflacja, co? Jesteś tego pewien? Baba zmierzył go wzrokiem.
- A może potrzebujesz forsy na rozwinięcie działalności, co? Baba roześmiał się.

się.

- Skąd wytrzasnąłeś taką bzdurę, Ally? Moje czasy się skończyły. Kiedyś miałeś najlepszych informatorów na ulicy. W czym rzecz, opuścili cię w ciężkich czasach?

Ocasio wzruszył ramionami tak, jak może to robić zawodnik wagi półciężkiej dla zmyłki przed wyprowadzeniem kontry.

- Znasz ich jak ja, *amigo. Los cochinitos!* Brakuje im honoru, lecz mają tak złe, jak i dobre dni.

- Ale cena to cena, człowieku - rzekł Baba, osuszając szklanę - a ja muszę nadażać za czasami.

Ocasio postawił szklanę obok szklanki Baby.

- Jak wszyscy - powiedział i podniósł się. - Cieszę się z tej pogawędki. *Adios.*

- Dał znak swoim ludziom i jeden otworzył przed nim drzwi. Żaden nie jadł ani nie pił od wejścia do lokalu; nikt nie zakłócił ich cichej rozmowy.

Baba wytarł usta, gdy drzwi się zamknęły, odwrócił się i popatrzył na Dainę.

- I on mówi o honorze; nazywa swoich ludzi świniami. To on jest pieprzona świnia, ten brudny Latynos.

- Nie lubisz Portorykańczyków, prawda?

- Nie, mała. Jasne jak cholera, że nie. Nadają temu miastu złą sławę. Zasmradzają je! - Uśmiechnął się. - Ale mają jedną zaletę: stoją niżej od nas, czarnuchów. - Potem odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem tak głośnym, że głowy obecnych odwróciły się w ich kierunku.

W Warehouse usiadła przy oknie, patrząc na zapadającą noc i podskakujące światła, które przypominały kleksy chlapniętej na płótno farby. Sączyła lodowate bacardi, po raz pierwszy nie myśląc o niczym. Słyszała stłumiony szmer rozmów toczonych w głównej sali za jej plecami i ciche szczekanie lodu o zęby, i obserwowała czterdziestostopowy szkuner obwieszony kolorowymi światłami, wychodzący z kei. Górny skraj kabiny i smukły kadłub połyskiwały bielą, dwa jasne bryzgi w mroku, tworzące niczego nie równający znak równości.

- Mogę usiąść?

Podniosła głowę i pomyślała: O Chryste, nie!

Dwa kroki od stołu stał George Altavos. Najwyraźniej przyszedł od strony zatłoczonego baru, gdyż w ręku trzymał drinka.

- Parę minut temu widziałem, jak wchodzisz. - Jego głos był tylko trochę zmieniony, chociaż mógł pić od paru godzin. - Z początku pomyślałem, że po prostu udam, że cię tu nie ma. - Ryknął śmiechem. - Zabawne. Ty i ja przy tym samym wodopoju nie odzywający się do siebie.

- Army Archerd z przyjemnością zachowałby ten tekst, założył się. -

Spróbowała się uśmiechnąć się, lecz bez powodzenia.

- Taa. A Rubens od razu wywaliłby mnie ze studia. - Starał się ukryć gorycz zawartą w tych słowach.

Popatrzyła na niego.

- Dlaczego nie wyjaśnisz tego stwierdzenia?

Otworzył usta, by coś odrzec, lecz zamiast tego poderwał drinka do ust. Kiedy odstawił szklankę, oznajmił:

- Nie sądzę, żebyś dostała się do tego filmu przez pójście do łóżka, jeżeli o to ci chodzi.

-Chodzi mi o to - powiedziała wyraźnie Daina - jak potraktowałeś mnie wtedy na planie.

Postawił pustą szklankę na stole.

- Dzisiaj nie zrobiliśmy wiele. - Przeciągnął palcem po krawędzi szklanki. Rozległ się pisk. - Wiesz, jakieś wibracje. Było bardzo dziwnie. Każdy był podjarany. - Spojrzał jej w oczy.

Były to przeprosiny, nieważne jak okrężną drogą następujące.

- Siadaj - zaprosiła.

Ucharakteryzowany czy nie, George był uderzająco przystojnym mężczyzną. Nie w nienaganny, zuniformizowany sposób nowoczesnego Hollywoodu; jego trochę grubo ciosane rysy przywodziły na myśl lata trzydzieste i czterdzieste, kiedy to gwiazdy zdawały się większe i bardziej zindywidualizowane. Jego owalna, szczerą twarz była zdominowana przez ciemne oczy o ciężkich powiekach, które sprawiały, że przez cały czas wyglądał sennie. Kiedy nie grał, nie nosił peruki.

Pozwoliła mu zamówić drinki, po czym powiedziała:

- Przykro mi słyszeć o tobie i Yasmin.

- Tak, no cóż, to już nieważne. Przelotna miłostka. Podano drinki, a on obserwował ją uważnie przez pewien czas.

- Jestem gejem - wyznał. Daina odstawiła bacardi.

- Nie wiedziałam.

- Tego nikt nie wie. Z wyjątkiem Yasmin. - Bawił się mieszadką, postukiwał nim w szklankę. - Tak. Zobaczyłem ją i pomyślałem: Do diabła, może ta dziewczyna mnie zmieni. - Wzruszył ramionami. - Nie zmieniła. Przypuszczam, że

nie można zmienić ludzkiej natury. - Przytrzymał mieszadełko palcem, pociągnął duży łyk, topiąc spojrzenie w whiskey. - Kiedyś piłem z sodą, ale zrezygnowałem. - Gwałtownie poderwał głowę. - Wiesz, dlaczego? Upijanie się zabierało mi zbyt dużo czasu. - Pociągnął kolejny duży łyk.

- Teraz idzie to szybciej. Dużo szybciej.

Daina wzruszyła ramionami.

- Jeżeli nie jesteś szczęśliwy... George pogroził jej palcem.

- Nie, nie. Mylisz złość z nieszczęściem. Pochodzę z licznej rodziny. Mam czterech braci i trzy siostry. Wszyscy są teraz zamężni czy żonaci... szczęśliwie, nieszczęśliwie, co za różnica? Rzecz w tym, że cokolwiek robią, żeniąc się czy rozwodząc, żyją, jak Pan Bóg przykazał. W każde Boże Narodzenie, gdy wracam do domu, kiedy wszyscy zbieramy się w wielkim domu w Animas w stanie Nowy Meksyk, czuję się tak, jakbym zaraz miał umrzeć. - Dopił drinka, skinął na kelnera, prosząc o następnego. - Ale wiesz co? Chcę wracać do domu, nadal staram się sprawić przyjemność swoim rodzicom. Nie wiedzą, że jestem gejem; to by ich zabiło. Mój ojciec ma siedemdziesiątkę, a wciąż jest z niego wielki macho. Chodzę po Animas pełen poczucia winy, jednakże wracam, zawsze, jak gdybym czegoś szukał.

- Czy kiedykolwiek zabrałeś z sobą Yasmin? Spojrzał na nią z grymasem.

- Miała jechać w tym roku. - Ruchem ręki odpędził te słowa. Kelner postawił pełną szklankę, zabrał pustą. Altavos podjął od razu po jego odejściu: - To nie ma znaczenia.

Jednakże Daina miała odmienne zdanie.

- George, jeżeli to prawda, zdarzy się to z kimś innym. Jego uśmiech był błady.

- O nie. Nie było nikogo poza nią. I nie sędzę, by była jeszcze jakaś kobieta.

- Wzruszył ramionami. - A, do diabła. Jestem, jaki jestem, prawda? I gdy jest się gejem, stosunki są dużo łatwiejsze. Tylko seks, bez zobowiązań. Bez histerycznych kobiet wydzwanających w środku nocy, zastanawiających się, dokąd zmierza dany związek. Człowiek jest wolny, sam decyduje o swoim życiu; nikomu nie musi się tłumaczyć ze wszystkich krótkich odskoków.

- George, brzmi to tak, jakby homoseksualizm był dla ciebie łatwiejszym sposobem na życie.

- A co jest złego w wybieraniu takiego sposobu na jakiś czas? Mam problemów powyżej uszu. - Wskazał na nią palcem. - Wiesz, dlaczego zostałem aktorem? Pomyślałem, że nauczę się zmieniać osobowość, zacznę... lubić dziewczęta. Och, tak. Głupie, prawda? - Jego ręce zatrzepotały w powietrzu. - Nie, nie, po prostu pomieszałem ego z osobowością. Cały ten rozpad osobowości, role grane przed kamerą, wszystko to tylko przyspieszyło proces... ten długi ślizg w nicość.

Zagrzechotał kostkami lodu o szkło, jak niezadowolona małpa potrząsająca prętami klatki.

- Powiem ci, co zrobiło dla mnie aktorstwo. Sprawilo, że chcę więcej. Że przestała mi wystarczać możliwość wyluzowania się przez kamerami. Musiałem robić to także w prawdziwym życiu.

Więc zacząłem polować na chłopców, bo odkryłem, że, jak w aktorstwie, na tym zaczyna się i kończy moja gra. Ponieważ jedno i drugie jest dla mnie takie samo. Jak życie na rozpiętej wysoko linie. Wiesz, że popełnienie błędu i upadek są tylko kwestią czasu. Każdy by myślał, że to przerażające. Ale nie. Ta świadomość pcha cię dalej i dalej, dzięki temu wychodzisz po raz kolejny, by stanąć w obliczu... tego czegoś, cokolwiek to jest, pełnego nieodpartego magnetyzmu.

I myślisz: Czy dziś wieczorem to się stanie? - gdy podrywasz muskularnego blondyna na plaży w Santa Monica i łamiesz mu serce. Okay, on cię wiąże, zapewnia ci chwilę nieszkodliwego lania, zanim przejdzie do rzeczy i zacznie cię pieprzyć. Jak na razie, w porządku.

Lecz załóżmy... tylko załóżmy, że ta niewinna powierzchowność kryje duszę psychopaty. Może cię wcale nie rozwiąże. Ruszy przez dom, zabierając twoje pieniądze, biżuterię, zacznie demolować mieszkanie, a potem wróci, by zacząć obrabiać ciebie...

- Przestań! - krzyknęła Daina, zasłaniając uszy rękoma. - Przestań!

- Głowy odwróciły się w ich kierunku, a Frank, szef sali, przybiegł sprawdzić, czy nic się nie stało.

George odprawił go ruchem ręki i kiedy znów zostali sami, kontynuował:

- Podejrzewam, że Yasmin tym we mnie gardziła. Przez większość czasu jestem takim bezmyślnym idiotą. - Na ułamek sekundy dotknął jej dłoni. - Co dzień popełniane są morderstwa. To, co przytrafiło się twojej przyjaciółce, nie jest

wyjątkiem. To konsekwencja...

- Nie obchodzą mnie inni - przerwała mu zapalczywie Daina. - Tylko Maggie!

- Konsekwencja nowoczesnego życia - dokończył uparcie. - Nikt z nas nie odróżnia już dobra od zła. Śmierć straciła całe znaczenie.

- Jak możesz tak mówić?!

- Ponieważ, Daino, to najprawdziwsza prawda. Ciemna strona naszej natury obnaża kły, kąsa i walczy o zdobycie przewagi, by przyspieszyć rozkład.

Obdarzył ją szerokim, trochę figlarnym uśmiechem.

- El-Kalaam by to zrozumiał, nie sądzisz?

- Dlaczego nie? - powiedziała. - El-Kalaam jest terrorystą. A ty mówisz jak terrorysta.

- I właśnie o to chodzi! - Mężczyzna przycisnął ręce do stołów El-Kalaam jest bardziej prawdziwy niż George Altavos. Przyznaję, że z początku odrzuciłem ten pomysł... propozycję zagrania tej roli... prawie nie czytając scenariusza. Ale Marion, nasz cholerny geniusz Marion, przyszedł, wyciągnął mnie z łóżka i zmusił do przeczytania. Nie chciał nikogo innego. Jednak jeszcze nie byłem przekonany. On dostrzegł sedno sprawy, podczas gdy ja ciągle szamotałem się ze swoim ego... co skrupiło się na tobie.

Potał krawędzią szklanki po ustach, zwilżając je alkoholem.

- El-Kalaam opanował w pełni to, co ja staram się zrozumieć. I teraz jesteśmy jednym, Daino, terrorysta i ja. Jednym.

Zostawiła go pijącego przy stoliku. Nie mogła siedzieć z nim dłużej, chociaż miała jeszcze nieco czasu przed wyjazdem na lotnisko. Zbliżając się raczej na niepewnych nogach do mercedesa doszła do wniosku, że częściowo była zafascynowana tą rozmową, że chciała zostać. Ale w głębi duszy była przerażona. George stracił panowanie nad sobą do tego stopnia, że zaczęła trząść się jak w gorączce.

Przez długi czas siedziała w samochodzie z opuszczonymi szybami. Wkrótce chłodna nocna bryza osuszyła pot na linii włosów, jednakże ta delikatna kąpiel nie mogła oczyścić jej myśli, które ukradkowo pełzły szeregiem, myśli, którym wołała nie stawiać czoła.

Konwulsyjnym ruchem wsunęła klucz do stacyjki, przekreśliła go. Głęboki warkot, znajoma woń spalin, która na chwilę stłumiła zapach morza, były krzepiące. Zapaliła światła, wyjechała na Admiralty Way. Włączyła radio, podkręciła głośniej, usłyszała środek piosenki: „Lubię szybkie towarzystwo/Lubię dźwięk niebezpieczeństwa w twoim głosie/Lubię czekać, aż ogień stanie się częścią mnie/I ty lubisz czekać, póki nie będziesz miała wyboru... Znów zapada noc. Obraca mnie twarzą do ciebie...” I roześmiała się głośno i twardo, wcisnęła akcelerator, uciekając od niego i zarazem pędząc ku temu samemu znakowi; sztandarowi nieznanego mistrza.

Jechali przez oszałamiająco roziskrzzone miasto, przez ciemność Central Parku rozświetloną gdzieś lukrem bożonarodzeniowych światełek jak magiczną pajęczyną z *Fantassii*, zdobiących jak koronki trzeszczące gałęzie czarnych drzew. Panorama wysokich budynków, milczących strażników górujących nad okrytymi sadzami drzewami, odcinała się od nieba wyraźną, czystą linią.. Baba ubrany był w ciemnoniebieski aksamitny garnitur, ściągnięty niewątpliwie z jakiejś ciężarówki Calvina Kleina w drodze na Siódmą Aleję. Miał dość rozsądku, by zanieść go Herchelowi, *Schneiderowi* ze starej szkoły, który prowadził podupadły zakład na Dziewiętej Alei. Krawiec dokonał niezbędnych poprawek i teraz ubranie leżało na ogromnym mężczyźnie doskonale.

Daina miała sukienkę z jedwabnej żorżety, cudo w śliwkowym kolorze, które ogromnym nakładem starań wycyganiła od matki. Suknia odsłaniała nogi i, ponieważ podtrzymywały ją tylko cienkie jak spaghetti ramiączka, duży dekolt. Daina uważała, że owa kreacja warta jest każdej chwili jej zabiegów.

Mając siedemnaście lat była w pełni fizycznie rozwinięta i już od piętnastego roku życia nie miała problemów z zamawianiem drinków. Nosiła długie włosy, zaczesane do tyłu, a jej uszy już dawno temu zostały przekłute u jubilera w Village, obok jednej z licznych odwiedzanych przez nią kawiarni.

Opuściła szybę w taksówce i pozwoliła, by chłodne nocne powietrze biło ją aksamitnymi pięściami po policzkach. Otworzyła usta i chwytła je, póki dźwięk jej nie zdrętwiał.

Byli w drodze na przyjęcie. Do centrum. A park otwierał przed nią swą uzbrojoną pięść, oblaną różowym żarem Manhattanu, światłami z wieżowców, które srebrzyły liście fałszywym szronem.

Wysiedli przy ogromnym przedwojennym budynku na Sto Szesnastej Ulicy, na samej granicy między wschodem i zachodem, przy Piątej Alei.

- Wolne terytorium - powiedział Baba, gdy Daina patrzyła na szlachetne tynki betonowej fasady, najeżonej gargulcami jak starożytna francuska katedra. Budynek, o architekturze niezawodnie europejskiej w zamyśle, stanowił charak terystyczną enklawę górnego Manhattanu jeszcze nie zrównaną przez nadrzędny plan urbanistyczny. Plan koncentrował się na budowie niezliczonych wysoko ściowców, co miało na celu zapewnienie mieszkań wzrastającej populacji imigrantów czy - jak niektórzy chcieli - mnożących się podopiecznych opieki społecznej. - Tutaj mogą przychodzić wszyscy.

Stali na chodniku przed zdobionym wejściem. Zaczął padać śnieg z deszczem i opony syczały cicho na mokrej nawierzchni. Po lewej stronie, na rogu, latarnię otaczała zimna aureola marznącego śniegu.

- Mówisz jak o wojnie. Potrząsnął kudłatą głową.

- Bo to jest wojna, cholera. Latynosi chcą zająć większe terytorium. Muszą przejść po naszych dupach. Nie tylko białych musimy się pilnować, mała. - Ujął ją pod rękę, poprowadził do drzwi.

- Baba - zapytała - dlaczego mieszkasz tam, gdzie mieszkasz? Wiem, że nie musisz.

Spojrzały na nią żółte oczy.

- Mam tam wszystko, co trzeba. I nikt mi nie zawraca dupy. Nie docierają do mnie żadne petycje. Tylko ja - wyjęty spod prawa na skraju miasta.

Hol wyłożony był marmurem i obwieszony lustrami w złoconych ramach, pociemniałymi tu i ówdzie, przez co odbicia były dziwacznie niekompletne.

Po lewej stało świąteczne drzewko, rzucające tęczę na bezpośrednie sąsiedztwo, po prawej wznosiły się w mrok marmurowe schody. Na wprost wejścia była winda o drewnianych drzwiach. Daina zajrzała przez okienko w kształcie rombu, gdy winda zjeżdżała na parter.

Przyjęcie odbywało się na szóstym piętrze i w chwili, gdy wyszli z windy, usłyszeli burzliwy wybuch gwaru.

Gospodarz powitał ich przy drzwiach. Był to niezmiernie wysoki mężczyzna, poruszający się z gracją wielkiego kota. Włosy miał ścięte tak krótko, że wyglądały

jak błyszcząca szczecina, nos ostry niczym dziób, szeroko rozstawione oczy, śmigające tu i tam, jak gdyby w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Uśmiechnął się szeroko, energicznie potrząsnął ręką Baby, pochylił się i pocałował Dainę w policzek.

- Czarująca - rzekł. - Czarująca.

Ruszyli do gorącego, hałaśliwego salonu. Jego ruchy były zwinne i oszczędne. Gdy odwrócił głowę, Daina zobaczyła złoty kolczyk w uchu. Nazywał się Stinson.

Wir gości, wir rozmów, niosły ich w zadymione oko cyklonu. Wokoło unosiły się ciemne twarze, wymalowane i wesołe; czerwone usta wygięte w łuk, otwarte szeroko oczy łani.

Baba zdobył drinki, przedstawiał ją wszystkim. Byli tam prawnicy i tancerze, lichwiarze i aktorzy, i zdawało się, że bez najmniejszych problemów jedni mogą zastąpić drugich; ostatecznie wszyscy należeli tutaj, przywiązani do tego czasu i przestrzeni jak do masztu. Ale gdy na nią patrzyli, w ich oczach dostrzegła tęsknotę. Próbowali ją ukryć, lecz rzadko im się udawało. Zazdrościli jej - jej wrodzonej bieli: jedynej rzeczy, której nie mogli mieć. Zazdrościli, ponieważ dawała ona wstęp wolny. Była kluczem do miasta.

- Cześć, Baba, hej! Co za widok! - Zbliżył się, utykając lekko, niski mężczyzna o jasnej karnacji. Miał zniekształconą twarz, skóra z jednej strony była błyszcząca i napięta: świadectwo dalekich od doskonałości zabiegów chirurga plastycznego. Była też dziwnie bezwłosa, więc lekki zarost po prawej stronie szczęki przez kontrast wyglądał jak pełna broda.

- Tak się składa, bracie. - Baba objął ramiona Dainy. - To Trip, Daina.

- Cześć!

- Cześć, cześć, cześć! Przyprowadziłeś małodatę, Baba, ty chytry lisie.

Daina roześmiała się.

- Mnie również miło cię poznać. Trip był uradowany.

- Człowieku! - zawołał. - Ona ma mózg!

- Przechytrzy nawet ciebie, ty kurduplu - odparł Baba. Napił się.

- Słuchaj, mała, muszę iść załatwić pewne sprawy. Zostaniesz ze starym Tripem. Zaopiekuje się tobą, póki nie wrócę, tak, bracie?

- Jasne.

- Znasz tu wszystkich? - zapytała Daina.

Trip uśmiechnął się, co, biorąc pod uwagę jego twarz, było raczej mało porywającym widokiem.

- Jasne. Każdego. Chcesz, żeby cię przedstawić? Nie winię cię. Ten Baba to wredny sukinsyn, no nie?

• Och, nie wiem. Jest... - ale zrozumiała, że mężczyzna żartuje i dokończyła ze śmiechem: - jest jak pluszowy niedźwiadek.

- O tak, skarbie. Potworny niedźwiędź. Cha, cha! Chcesz dolewkę?

- Jasne.

Poprowadził ją do baru, zaczął przyrządzać drinka.

- Nie jesteś przypadkiem na coś takiego ciut za młoda? Spojrzała na niego.

- A jeżeli tak, to co?

• Nic. Proszę. - Podał jej drinka. - Ciekawość, to wszystko. Baba zawsze był taki zrównoważony...

• Co masz na myśli? - A kiedy milczał, sama udzieliła odpowiedzi. - Co tu robi z kimś tak młodym?

- To nie mój interes, skarbie.

• Nie, nie twój. - Rozbrzmiała muzyka i w drodze pod ścianę, gdzie nie było takiego tłoku, musieli przepychać się między tańczącymi. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. - To samo powiem tobie, ale nie miałabym nic przeciwko...

- Tak?

- Gdybyś powiedział mi, czym się zajmujesz.

- Och, skarbie. Nie chcesz tego wiedzieć.

- Ależ chcę.

Dziwna głowa Tripa podskoczyła na karku jak lalka na sprężynie.

- Och, och, och, tak. Okay, skarbie. Tylko nie zdradź Babie, że ci powiedziałem. - Skinęła głową. - Skręcam karki.

Wokół panował taki hałas, że nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Co?

• Skręcam karki, skarbie. - Uśmiechnął się słodko. - Nie ma sprawy, nie wstydę się. To ucziwe zajęcie. Mój ojciec też się tym parał, dopóki pewnego dnia

nie spotkało go to samo - został zdmuchnięty. - Zabębnił palcami o ścianę. Miał długie, smukłe i silne palce. Wyglądały jak palce chirurga.

- Gdyby moja mama wiedziała, zabiłaby się. Lecz już nie żyje, więc nie ma to żadnego znaczenia dla nikogo. Z wyjątkiem mnie, oczywiście.

- Ale jesteś...

- Taki mały - dokończył za nią, wzruszając ramionami. - Wszyscy tak mówią na początku. Wzrost nie ma absolutnie żadnego znaczenia, skarbie. - Mrugnął do niej. - Większość ludzi stawia na masę, skarbie. To daje im poczucie bezpieczeństwa. - Potrząsnął głową. - Ale masa nic nie znaczy. Trzeba wiedzieć, jak wykorzystać to, co się ma, kapujesz. Trzeba nauczyć się robić to naprawdę dobrze. Trzeba umieć dbać o własną dupę, kapujesz.

- Mimo to nie rozumiem, dlaczego wybrałeś...

- Wybrałem?! - Oczy mu stwardniały i wyczula, jak nagle ogarnia go napięcie. - To nie miało nic wspólnego z wyborem, skarbie. Prawo wyboru należy do białych, którzy mają czas chodzić na studia. Ja niczego nie wybierałem. Jestem tu, gdzie jestem, bo muszę. Nie mam wyboru. Gównu!

Przyszedł jakiś skurwysyn, załatwił mi ojca i co miałem zrobić? Usiąść i płakać? Nie tędy droga, skarbie! Wyszedłem z magnum 357 staruszka w obu rękach i gdy ten skurwiel wsiadał do swego continentala, powiedziałem: „Przepraszam, ale ma pan coś na szybie” i pociągnąłem za spust. Wystrzał odrzucił mnie w tył o dziesięć stóp, pocisk wyrwał w szybie dziurę tak wielką, że zmieściłaby się ciężarówka. Zerknąłem do środka i zarzygałem cały aksamitny fotel tego sukinsyna. Nie miał już głowy, został tylko ciemny kikut, sikający krwią jak zapora Roosevelta.

Popatrzył na nią.

- Taki miałem wybór, skarbie, o ile można to tak nazwać.

- Co się stało później?

- Co się stało? Gównu. Przyszli po mnie. Ten skurwiel miał wielu przyjaciół.

- Uśmiechnął się, jakby naszło go miłe wspomnienie. - Lecz ja szybko się uczyłem. Na większość z nich były kontrakty i tak zarobiłem swoje pierwsze pieniądze, podczas gdy...

- Zabiłeś ich wszystkich? Żartujesz.

- Ni cholery, mała. Ale nie pytaj Baby. Kopnąłby mnie w dupsko, gdyby

wiedział, że tak kłapię pyskiem przy tobie.

- Mówiłam, że nic nie powiem. Tylko chcę wiedzieć... czy nie robisz mnie w konia.

- Czemu miałbym to robić, skarbie? Cholera, w tych sprawach nie żartuję, pytaj, kogo tylko chcesz. Hej, hej, zapytaj Stinsona. Śmiało - zachęcił i odszedł na chwilę.

- O, tak - potwierdził Stinson, wznosząc brwi. - Trip w tych sprawach jest jak najbardziej poważny. Trzeba przyznać, że dobrze jest mieć go po swojej stronie. Jest bardzo lojalny. - Uśmiechnął się, pogładził jej włosy. - Dobrze się bawisz?

- Nie mogłabym lepiej - odparła. - Jednak ciekawi mnie jedno.

- Co, kochaniutka?

- Jak tacy później żyją?

- Och, no cóż, mnóstwo razy zdarza się, że nie żyją albo żyją po swojemu, jeśli wiesz, o co chodzi. Ale oczywiście to dotyczy każdego.

- Lecz ich życie jest takie... ukradkowe.

Znów się uśmiechnął.

- Cóż, na tym polega jego urok. Są potrzebni, podziwiani, znani - a nawet, w pewnym sensie, kroczą ścieżkami bogów. Czegóż więcej im trzeba? To swoiste spełnienie wymazuje ból przeszłości, wczesne wyłamanie się z rodziny. Rodzina ma bardzo wielkie znaczenie, naprawdę, ponieważ tylko na nią mogli liczyć, gdy byli dziećmi.

- Mówisz tak, jakbyś był ponad wszystkimi - nie częścią...

W oczach Stinsona rozbłysnął szczególny wyraz i mężczyzna zamrugnął parę razy.

- Tak... Przypuszczam, że na tym polega mój własny sposób na... odkładanie wspomnień na bok. Nie zapominanie, nie. Nigdy. Tylko radzenie sobie z teraźniejszością bez pozwalania na to, by omotała cię przeszłość. - Spojrzał na nią jakby z wyżyn Olimpu. - Jestem tancerzem, Daino. Nikogo nie zastrzeliłem. Jednakże w twoim świecie jestem takim samym pariasem jak Trip.

- Patrzył na nią przez chwilę, jak gdyby w końcu go rozbawiła.

- Dziwne, że tu jesteś - rzekł powoli. - Że się nie boisz...

- Jestem z Babą.

Obrzucił ją osobliwym spojrzeniem.

- Tak. Całkiem właściwe podejście. Niemniej jednak jesteś tutaj. I domyślam się, że to ty przyszedłeś do Baby, nie odwrotnie.

- Tak, tak było.

- Zatem dobrze. Przyszedłeś. Ale nie jesteś zwyczajną dziewczyną na gigancie, przynajmniej nie taką, jakie tu widzimy. Tamte urywają się z domu, by zostać dziwkami czy dawać sobie w żyłę. - Delikatnie przyłożył palec do ust.

- W takim razie po co tu przyszedłeś?

- Chyba... nie jestem całkiem pewna.

- No cóż - znów pogładził jej włosy - tak naprawdę teraz to nie ma znaczenia. Jednak będzie miało - rzekł z zadumą. - Będzie...

- Więc - zaczął Trip, który zdążył już do nich wrócić - czego ten sukinsyn ci nagadał? Jakim to jestem popieprzonym skurwielem?

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczyła Daina. - Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie. Mężczyzna przeniósł spojrzenie z niej na Stinsona.

- Powaga? Wielce przyzwoicie z twojej strony, bracie!

- Przyzwoitość - stwierdził Stinson - nie ma z tym nic wspólnego.

- Co on powiedział? - zachichotał Trip. - Co ten sukinsyn powiedział? Skarbie, zaharowany, wychowany na ulicy czarnuch nie potrafi tego zrozumieć.

- Gównu, Trip. Przestań się wydurniać w obecności damy. Jak myślisz, kogo uda ci się nabrać?

- Co ty gadasz, stary?

- Patrz, Daino, to jest sposób. Trip wyobraża sobie, że im mniej poważnie człowiek go odbiera, tym łatwiej będzie go skasować pewnego dnia. I wiesz co? Ma absolutną rację. - Zwrócił się do Tripa: - Ale wiesz co, tu jest przyjęcie.

I nie kroi się dla ciebie żadna fucha. To neutralne terytorium. Nie miejsce na strzelaniny i tym podobne. - Stuknął palcem w pierś mężczyzny. - Więc wyluzuj się troszeczkę. Odpręż się i baw.

- Hej, stary, odprężysz się na chwilę i właśnie wtedy przyjdą, i trzeba będzie zdrapywać cię ze ściany. Słuchaj, człowieku. Wiem, co znaczy dla mnie przebywanie tutaj, kapujesz?

- Hej, stary - powiedział Stinson, doskonale parodiując głos Tripa - to wcale nie jest zabawne. - Uśmiechnął się szeroko i odszedł.

- Gdzie jest Baba? - zapytała Daina. Rozejrzała się i zobaczyła rude włosy i blade oczy Aurelia Ocasia. Właśnie pojawił się w drzwiach wejściowych. Był ubrany w garnitur kasztanowego koloru z czerwonym goździkiem w butonierce, a na ramiona miał zarzucony brązowy kaszmirowy płaszcz, jak gdyby świadomie naśladował przedsiębiorczą pozę Sola Huroka.

Trip podążył wzrokiem za spojrzeniem Dainy, i odciągnął ją w inną stronę.

- Nie zadawaj się z takimi jak on, skarbie. To wredny typ.
- Baba ma z nim jakieś interesy.
- Taa. No, ja w każdym razie nie chcę wiedzieć jakie; miejmy nadzieję, że stary Baba wie, co robi. Ten człowiek jest łasy na kobiety. Jak nie są Latynoskami czy czarnymi, pożera je i wypluwa tak szybko, że nie wiedzą, gdzie koniec, gdzie początek. Trzymaj się od niego z daleka, mówię ci.

Ale było za późno. Ocasio najwyraźniej zauważył ją w pokoju pełnym ciemnych twarzy i już kierował się w ich stronę.

- Ha - mruknął, szczerząc zęby jak pirania - czy to nie dziewczyna Baby? - Nie wiadomo, jak to zrobił, lecz w jego ustach słowo „dziewczyna” zabrzmiało jak „dziwka”. - Co ty tu robisz? Sprawdzasz, jak żyje druga połowa? Szukasz drogi do naszych serc - czy może powinienem powiedzieć: łóżek?

- Nie sądzę - odparowała - żebyś powinien mówić cokolwiek.
- Ho, ho! - Roześmiał się, jednak zdecydowanie nie był to przyjazny śmiech. - Słyszysz, Smiler? - Odwrócił się lekko i Daina zobaczyła szczupłą, ciemną twarz. Smiler wyszczerzył zęby, oblizał usta jak na ucucie. - Pyskata. Wiesz, że takie lubię. Jestem zmęczony tymi lalkami o pustych głowach, na które zwykle się natykam. A może wyjdziemy stąd razem i...

Usłyszała delikatny szcęk za plecami i wiedziała, że Trip wyjął nóż, ale nim miał okazję go użyć, na wyciągniętą rękę Latynosa opadła wielka czarna łapa. Złociste włosy zniknęły pod masą ciemnego ciała i Ocasio odwrócił głowę.

- Co jest?
- Czego chcesz, Ally? - zadudnił Baba.
- Cha, cha, niczego, człowieku. Po prostu uciąłem sobie pogawędkę z twoją

śliczną panią, to wszystko. - Popatrzył na rękę obejmującą nadgarstek, lecz Baba nie cofnął jej, tylko nieco rozluźnił palce.

- Wiesz, Ally, jestem tolerancyjnym czarnuchem. Żyj i daj żyć innym, to moja zasada. Ale wiesz, że za każdym razem, gdy jakiś typek wchodzi mi w drogę, natychmiast o niej zapominam. - Szarpnął nadgarstek tak silnie, że przez usta

Ocasia przebiegło drżenie. Jednak jego jasne, bardzo jasne oczy pozostały nieprzeniknione jak kamienie, nie okazywały absolutnie niczego.

- Nie lubię kłamców, Ally, a ty właśnie nim jesteś. Kłamcą. Słyszałem twoje wszystkie słowa i żadne nie przypadło mi do gustu. Wiesz, co myślę? Myślę, że wyniesiesz się stąd. Musisz trochę pomyśleć o zimnych zimowych nocach, więc ci to umożliwię.

Zjeżdżaj stąd, i to już.

Odtąd nie prowadzimy interesów. Jesteś u mnie skończony. Znajdź sobie inne kontakty, bo u mnie nie masz czego szukać. - Lekko przekręcił głowę. - A ty, Smiler, czemu włączysz w dupę temu brudnemu Latynosowi? Nie masz szacunku do samego siebie?

- Mam go wiele, bracie. Jasne.

- Zatem powiedz temu skurwysynowi do widzenia. Dalej, chcę to usłyszeć. Masz u mnie robotę, Smiler, o ile starczy ci jaj, by postawić się temu draniowi i być człowiekiem.

Do tej chwili większość par przerwała taniec i wszyscy stanęli w luźnym półkolu, by gapić się na to przedstawienie.

Smiler omiółł wzrokiem otaczające go twarze, zerknął szybko na Ocasia, który nie zaprzestawał pozornie zachłannej kontemplacji trzymającej go ręki Baby. Smiler, z wściekłością w oczach, rozejrzał się raz jeszcze, spojrzął na Babę.

- Okay, stary. Masz to. Taa. Teraz jestem niezależny jak ty.

- Słyszysz, Ally? - zapytał miękko Baba. - Teraz wynocha. Nie masz o czym rozmawiać z paniami, słyszysz? Idź i znajdź tę blond dziwkę, z którą sypiasz od miesięcy. Tak, stary. - Puścił rękę mężczyzny ze wstrętem, jakby była trędowata.

Wokół rozbrzmiał gwar. Daina usłyszała westchnienie za plecami i głos Tripa:

- Baba, człowieku, ty to masz jaja.

- Hej - powiedział Baba, odprowadzając ich na bok, z dala od epicentrum

zamieszania, jakie powstało w efekcie zajścia z Ocasiem - jaja nie mają nic do tego. Żaden kutas już nigdy nie będzie mi mówił, co jest co. Skończyłem z tym, zostawiłem za sobą, kapujesz? Pewnych rzeczy nie będę tolerował, to wszystko. Mogę babrać się w gównie, zwłaszcza gdy chodzi o interesy. Ale ten kutas pewnego dnia paskudnie skończy. - Spojrzał w dół, zobaczył otwarty nóż w ręku przyjaciela.

- Cholera. Ty to rozumiesz. Powinienem trzymać się z daleka; wypatroszyłyś go jak kurczaka! - Uśmiechnął się szeroko, objął Dainę, klepnął Tripa w plecy. - Cholera! - zawołał. - Bawmy się!

Daina była o dwie długości samochodu od wejścia do Pacific West Airways, gdy zobaczyła Rubensa za wyposażonymi w fotokomórkę drzwiami. Niósł w jednej ręce walizkę ze skóry słonia, a w drugiej dopasowaną do niej dyplomatkę. Znajomy widok jego sylwetki, jego chód, wywołały uśmiech na jej twarzy.

-Do diabła, co ci się stało? - zapytał, zaglądając przez otwarte okno po stronie pasażera. Padało i wóz miał podniesiony dach. Gdy Daina odwróciła się, by na niego spojrzeć, rzekł: - Przesuń się. Ja poprowadzę.

Zrobiła to bez protestu i czekała z głową opartą o framugę drzwi, on zaś rzucił torby na tylne siedzenie, obszedł wóz i usiadł za kierownicą. Przechylił się, położył rękę na jej karku, przyciągnął ją do siebie. Musnął jej usta, a ona odsunęła głowę, by powiedzieć: - Powinieneś być zostawić mi numer telefonu - po czym wtuliła twarz w jego ramię. Objęła go i przytuliła. Miał dość wyczucia, by w tej chwili zachować milczenie. Za nimi trąbiły klaksony i z szumem sunęły samochody. Zrobiło się bardzo zimno.

Wreszcie puściła go.

- Maggie nie żyje. - Jej głos brzmiał obco. - Została zamordowana. Wcześniej rano.

- Zamordowana? Jak? Przez kogo? Zrelacjonowała mu, co wiedziała.

- Miecz w krwawym kręgu - powtórzył, gdy opowiedziała mu o odkryciu Bonesteela. - Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- A co?
- W zeszłym roku miało miejsce kilka szczególnie makabrycznych morderstw w San Francisco i, tuż po Nowym Roku, dwa czy trzy dalsze w Orange

County. Wszystkie były „podpisane” takim znakiem, nakreślonym krwią albo na ciele ofiary, albo w pobliżu.

Daina zadrżała.

- Domyślałam się, że porucznik wie więcej, niż mówi.
- Jak dowiedziałaś się o wszystkim?
- Spędziłam tę noc z Chrisem. Był taki zalany, że musiałam odwieźć go do domu; sam nigdy by tego nie zrobił. Weszliśmy i... znalazłam ją wepchniętą w...

• O Chryste! - Głośno wypuścił powietrze. Wrzucił bieg i wyjechał z lotniska.

• Do diabła, a coś ty robiła przez całą noc z Chrisem Kerrem? - zapytał, gdy wjechali na Sepulveda.

- Wstąpiłam do studia nagrań i wyszliśmy potaćzyć. Co w tym złego?
- On ma niezły repertuar.
- Co?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Och, Daina. Ten człowiek nie potrafi utrzymać rąk z daleka od dziewczyn.
- Nie jestem jedną z dziewczyn.

Wcisnął twardo pedał gazu i mercedes z szumem skoczył do przodu.

• Nie, muszę przyznać, że jesteś trochę za stara jak na jego wyrafinowany gust.

• Jesteś prawdziwym sukinsynem, wiesz? - rzuciła zapalczywie. - Potrzebował pomocy; udzieliłam mu jej. Jest moim przyjacielem.

- Nie byle jakim przyjacielem.
- Nie masz powodu, by być zazdrosny. Pod pewnymi względami jesteście obaj bardzo podobni.

- Jezu, mam nadzieję, że żartujesz.
- Nie.

Skręcił na Wilshire, zwolnił.

- Naprawdę jesteś nieznośna.
- Rubens - dotknęła jego ramienia - nie powinniśmy walczyć. Nie teraz. Dziś rano widziałam coś, czego nikt nigdy nie powinien oglądać.

Pojechał przez Westwood Village, kierując się na Sunset. Przed Plaża stała długa kolejka na *Regina Red*.

- Patrz na tę twarz - powiedział, zerkając na plakat przed kinem. Jechał szybko bulwarem, redukując biegi na zakrętach zamiast używać hamulca. Zwolnił dopiero po ostrym zakręcie w Bel Air i rzekł: - Pojechałem tędy, żeby zobaczyć, jak stoją twoje akcje. Mogę dostać dane z Paramount, lecz lubię zobaczyć kolejki na własne oczy.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Tak jak i ja. - Zobaczyła, że Maria zapaliła lampy przed wejściem do domu, szpaler drzew wzdłuż drogi dojazdowej płonął w sztucznym świetle. - Szkoda, że nie zadzwoniłeś.

- Dzwoniłem. Nie było cię w domu. Spuściła oczy.
- Przepraszam. To było głupie.

- W porządku - rzucił, hamując. Wyłączył silnik. W nagłej ciszy słyszała grające świerszcze i delikatne pykanie stygnącego silnika. - Ale zadzwoniłem do Beryl. Chciałem puścić tę sprawę w ruch.

- Jaką sprawę? Musnął ręką jej włosy.
- Zaangażowałem ją.
- Do filmu?
- Dla ciebie.
- A co Monty o niej myśli?
- Daj sobie spokój z Montym. Odsunęła jego rękę.
- Uzgodniłeś to z Montym, prawda?
- Monty nie gra w tej samej lidze co Beryl. - Z natężeniem wpatrywał się w

jej twarz. - Jest daleko z tyłu.

- Rubens, chcę, żeby on wiedział o twoim kroku. Jeżeli go nie zaaprobuje...
- Słuchaj. Monty starzeje się. Jest zmęczony. Jego serce nie jest już takie, jak dawniej. Myślę - tylko posłuchaj - myślę, że nadszedł czas, byś rozejrzała się za nowym agentem.

Popatrzyła na niego drwiąco.

- Założę się, że masz już kogoś na oku.

Zdecydował się odpowiedzieć bez ogródek.

- Jedną czy dwie osoby.
- Nie mam zamiaru rezygnować z Monty'ego, Rubens, więc zapomnij o całej sprawie.
- On ściągnie cię na dno, Daino. Jest ciężarem, którego nie... Odwróciła się ku niemu.
- Mam go po prostu wyrzucić jak niepotrzebną szmacianą lalkę?
- W pewnym sensie tym właśnie się stajesz. Jesteś dorosła. On jest teraz częścią twojej przeszłości. Jest przestarzały: tam, dokąd zmierzasz, nie ma dla niego miejsca. Są inni, którzy mogą pomóc ci bardziej.
- Ale nie ma nikogo - odparła Daina - kto może pomóc jemu. Chcę to - robić i ani ty, ani nikt inny nie może mi tego zabronić.
- Chcę, żebyś poszedł ze mną na pogrzeb Maggie.
- O Chryste, Daina.
- Proszę, Rubensie. To znaczy dla mnie bardzo wiele.

Westchnął, splótł palce z jej palcami. Leżeli przy otwartych na oścież oknach, przez które wpadały zapachy nocy. Wcześniej nakarmił ją i wykąpał, położył do łóżka. Przez pewien czas dryfowała w ciepłym półmroku między jawą a snem. Wygodne łóżko, rozkoszny chłód prześcieradeł rozgrzewających się do temperatury krwi, delikatny szum wody w łazience, wiedza, że wkrótce ciało Rubensa przytuli się do jej ciała, wszystko to sprawiło, że zaczęła drzemać. Jednak nie chciała tego, ponieważ wspomnienia, które od tak wielu lat były pogrzebane w głębi świadomości, raptem zaczęły wyskakiwać na powierzchnię jak siarkowe bąble przebijające powłokę wilgotnego i zdradliwego bagniska.

- Powiedz mi - zaczęła teraz, ściskając jego dłoń - co się stało w San Diego.
- Było naprawdę do dupy. - Zapatrzył się w sufit. Coś w jego głosie uległo zmianie, przez co Daina poczuła się tak, jakby była w zerwanej windzie.

- Musiałem jechać do San Diego, aby dowiedzieć się, czy ten mały sukinsyn Ashley nie tworzy moim kosztem swego własnego imperium. Udałem się na spotkanie z Meyerem - ten facet wynajmuje na stałe pokoje w hotelu Del Coronado; ma rozedmnę płuc, więc musiał wyjechać z Nowego Jorku - i on mi powiedział, że Ashley zabiegał o wsparcie członków rady. Meyer jest przekonany, że spróbuje mnie wygryźć.

- Ale to głupie. Przecież to twoja firma, prawda?
- No cóż, tak... i nie. Kiedy dwa lata temu robiliśmy ten remake *Moby Dick*, nie obyło się bez kłopotów. Wydatki zaczęły rosnać. - Przekręcił się na bok, by być bliżej niej. - Ale obsada i obsługa techniczna już były w terenie. Mieliśmy parę paskudnych przerw: burze, strajk związkowy. Lecz to był ważny film, wierzyłem w niego. Na gwałt potrzebowaliśmy pieniędzy. Gdybyśmy zostali dofinansowani przez większe studio - jak w przypadku *Heather Duell* - nie byłoby problemu. Niestety, musieliśmy szukać forsy gdzieś indziej.

- Ale *Moby Dick* odniósł sukces.
- O, tak. Miałem rację, że go zrobiłem. Jednak to wszystko miało miejsce po fakcie. Wtedy byliśmy w dołku i mój przyjaciel Ashley oznajmił, że może zdobyć forszę w dwa tygodnie. Ja tego nie potrafiłem, więc, zamiast narażać się na zawieszenie zdjęć, wyraziłem zgodę.

- I jak to zrobił?

Oczy Rubensa oderwały się od sufitu, spoczęły na jej twarzy.

- Cóż, po prostu powiedział, że od tej pory, ilekroć pojawię się w Nowym Jorku, za każdym razem będę widział coraz więcej nowych twarzy wokół stołu rady. - Chrząknął. - Byłem zbyt zajęty czym innym, by wnikać w to głębiej. Dopiero teraz zobaczyłem, w jaki kanał wpakowałem swoją firmę. Była moją dumą. Lecz *Moby Dick* uświadomił mi, że dni naprawdę niezależnych producentów przeminęły. I tak zacząłem opracowywać dalekosiężny projekt układu z Twentieth, który miał zapewnić mi wystarczającą swobodę.

Chrząknął.

- Wtedy dostałem ten telefon od Meyera, który wraz z grupką potężnych ludzi nadal zasiada w dawnej radzie. Niestety, inni są jak rojące się kleszcze. Kiedy raz zależą człowiekowi za skórę... bardzo trudno się ich pozbyć.

- Lecz nie jest to niemożliwe.

- Och, nie. - Rubens roześmiał się i Daina poczuła drżenie jego ciała. - Nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba tylko mieć nerwy ze stali.

Oparła głowę na jego piersiach. Bicie jego serca wdzierało się do jej uszu jak fale przypływu.

- Co zamierzasz zrobić?

- Trochę już zrobiłem; odbyłem spotkanie z Meyerem.
- I co mówi Meyer? - Jej głos opadł do szeptu; zasypiała.
- Meyer. - Znów wybuchnął śmiechem. - Meyer to zabawny facet. Cieszę się, że jest moim przyjacielem. Lepiej nie mieć go za wroga.

- Co ci powiedział?
- Że mnie też nie.

Nova Burlesque House miał niesympatyczną, nawet lekko odstręczającą fasadę. Bez wątpienia było to celowym zamysłem, bowiem lokal nie był pułapką na turystów pełną podstarzałych i tłustych kobiet czy - jak w przypadku peep showów o przecnicę dalej po drugiej stronie ulicy - smutnych stworzeń o ciemnych, zapadniętych oczach ćpunów, z elipsoidalnymi czarno-niebieskimi znaczkami na biodrach, pośladkach i klatce piersiowej.

Tutaj potajemnie wystawiano specjalne przedstawienia dla wybranej widowni składającej się z wszelkiego rodzaju fetyszystów, a niektóre z tych przedstawień - w repertuarze zawsze było jedno czy dwa tego typu - były tak szokujące, że człowiekowi ciarki biegały po krzyżu. Przynajmniej tak mówiono. W gruncie rzeczy nikt nie wiedział tego na pewno ani też o to nie dbał. Personel był wesołą gromadką, która wykonywała swą pracę z opanowaniem zdyscyplinowanego linoskoczka.

Nie wystawiano tu żadnych smutnych kawałków, bo widzowie, nie wspominając o uważających się za profesjonalistów członkach personelu, nie tolerowaliby takiego chłamu. Jego amatorzy mogli iść do jednej z licznych burlesek na Broadwayu. Ale nie tutaj.

Na dole, na parterze, mieścił się raczej zaniedbany porno shop oferujący z wielkim rozmachem dziwny asortyment towarów perwersyjnych, od ziarnistych czarno-białych kopii zakazanych filmów spod lady, z dziećmi w rolach głównych - nie z włochatymi karłami, które wciskano niezbyt czujnym klientom gdzie indziej - do wysokiej klasy magazynów skoncentrowanych na prezentowaniu najgorszych form perwersji, wskrzeszających krwiożerczą atmosferę inkwizycji. Była tam, oczywiście, również zwyczajna golizna, lecz większość klientów traktowała ją lekceważąco.

Mimo że sklep prowadził ożywione interesy - nawet biznesmeni z Dayton w Ohio, gdy tylko pojawiali się w mieście, gnali bezpośrednio tutaj - prawdziwe zyski czerpał z transakcji zawieranych na zapleczu. I z tego kartelu ludzi do czarnej roboty

wywodziła się wielce zachwalana ochrona Novy.

Daina rozpoznawała ich od razu, ale nie było to niczym dziwnym, skoro uwielbiali chwalić się gnatami spoczywającymi w przytulnym ciepłe potu w irchowych kaburach pod pachami. Jednak wbrew tej raczej buńczucznej zarozumiałości ci ludzie należeli do najmiłszych, jakich w życiu spotkała. Wszyscy, co do jednego, byli obarczeni licznymi rodzinami i nigdy nie tracili okazji, by podrzucić jej plastikowe książeczki z kolorowymi zdjęciami, które rozkładały się jak harmonijki. Uwiecznione na nich postacie wyglądały jak nie kończący się szereg klaunów wysiadających z małego autka. Boleli nad faktem, że nie jest w domu ze swą matką. Matkowali jej, lecz ona wiedziała, że to Babę kochali.

Baba miał tutaj swego rodzaju biuro, nieoficjalne i zagracone, które dzielił z okularnikiem-księgowym Novy. Jak Daina odkryła pewnego zimowego popołudnia, księgowy mieszkał na spokojnej, obsadzonej drzewami ulicy w Bensonhurst, a jego żona, którą poślubił trzydzieści lat wcześniej, była członkinią klubu Ladies' Aid i lokalnego towarzystwa bibliotekarskiego.

To zrozumiałe, że kiedy do biura zachodził kierownik Novy, Baba musiał się wynosić. Nie miał nic przeciwko temu.

Prawdę mówiąc, był najbardziej ustępliwą osobą, jaką Daina kiedykolwiek spotkała. Zdawało się, że nic nie może go urazić i to sprawiało, że czuła się z nim bezpieczna. Był skalistym przylądkiem, na którym mogła stać i bezkarnie obserwować otaczające ją burzliwe, niebezpieczne morze.

Nie przeszkadzało mu chyba, że oglądała przedstawienia zza kulis, przypuszczalnie był przekonany, że zepsucie może rodzić się tylko wewnątrz. Daina ze swej strony była zafascynowana tą fantasmagoryczną paradą porwijących oko ciał. Nigdy nie przypuszczała, że ciało może poruszać się na tyle ciekawych sposobów. Jednakże, stopniowo, zaczęła rozumieć, że ta sztuka - gdyż czuła, że była to sztuka - jest tak częścią ciała, jak umysłu. Przedstawiane jej tutaj kobiety nie należały do świata, w którym kiedykolwiek była czy o którym choćby słyszała, i wykwapowane były w rentgenowskie oczy zdolne przeświecić duszę każdego przekraczającego próg teatru mężczyzny.

I tutaj, w Novej, zaczęła rozumieć cel gry. Na scenie można było robić, co się chciało; być, kim się chciało; ujawniać ciemniejszą stronę swej istoty bez zażenowania czy strachu przed konsekwencjami. Ostatecznie była to tylko gra,

choć widownia zawsze wierzyła, że jest inaczej. Jak cudowna jest możliwość przeżywania wielu różnych żywotów przy prawie jednoczesnym zatraceniu! Jak cudownie jest toczyć się swobodnie ku... ku czemu?

Do niczego, czego by pragnęła.

W chłodny zimowy wieczór, gdy ciemność zaciskała się nad miastem z taką siłą, że zdawało się, iż rozproszony blask latarni stoi na z góry przegranej pozycji, gdy zachodni wiatr szarpał wzdłuż Czterdziestej Drugiej ze zwierzęcym głodem, Baba wprowadził ją z ulicy po rozklekotanych drewnianych schodach do holu Novy.

Rooster siedział w swojej budce, drzemiąc nad zaplamionym pojemnikiem z zimną kawą, w której pływały jakieś groteskowe insekty, bez wątplenia ściągnięte w dół zapachem płynu.

Po obu stronach drzemiącego z głową wspartą na ręku Roostera stały dwie najsmutniejsze i najbardziej zakurzone plastikowe palmy, jakie Daina miała okazję w życiu oglądać. Wokół nie było nikogo innego. Słyszeli hałaśliwą muzykę towarzyszącą przedstawieniu, stłumioną przez ściany.

- Łapy do góry, skurwysynu! - warknął Baba śpiącemu do ucha.

Mężczyzna zerwał się z godną podziwu skwapliwością, szeroko otwierając zaspane oczy i ukradkowo wsuwając rękę pod blat w poszukiwaniu obrzyna, który zawsze leżał tam w pogotowiu.

Wreszcie zobaczył Babę i odprężył się.

- Chryste! - wydyszał. - Pewnego dnia, jak będziesz tak żartował, ktoś rozwali ci łeb!

Baba roześmiał się, poklepał go po chudym ramieniu.

- Nie powinienes spać na służbie. Jak nie będziesz ostrożniej szy, przyjdzie Ally ze swoimi ludźmi i wytrze tobą podłogę.

Rooster parsknął.

- Ten kutas, bracie, jest na to za mądry. Załatwilibyśmy go na cacy - powiedział, podnosząc strzelbę i klepiąc ją po lufie. - Jak myślisz, dlaczego nie poszerzyliśmy schodów, cwaniaku? - Skierował broń w stronę ciemnego i pustego szczytu klatki schodowej. - Bum! Wypierdolić tych zasrańców prosto do Puerto Rico!

Baba odsunął lufę na bok.

- Patrz, gdzie celujesz, sukinsynu. Obiecałem swojej małej, że nie umrę.

Portier parsknął, schował strzelbę.

- O to się nie martw, bracie! - Odwrócił się do Dainy. - Jak leci, panienko?
- Świetnie, Rooster.
- Posłuchaj czegoś naprawdę dobrego. Jak ta przerośnięta mała potraktuje cię nie tak, jak na to zasługujesz, przychodź tutaj, dobra? Wiesz, gdzie są twoi przyjaciele.

- Ha! - mruknął Baba. - Nie wierz mu, mała. On ma po prostu chętkę dobrać ci się do majtek.

- Baba, jesteś okrutnym skurwielem - rzekł Rooster ze smutnymi oczyma - wiesz o tym? Okrutnym.

- Ale nie kłamię. - Roześmiał się. - Moje biuro jest wolne?

- Tak. Jest tylko Marty. Zbliża się koniec miesiąca.

Ruszyli przez zalany nieprzyjemnym niebieskim światłem hol do pochylonego korytarza z boku teatru, a nim do zamkniętych drzwi ze wzmocnionej stałą blachy. Baba uderzał w nie dłonią, póki nie uchylły się ze skrzypnięciem.

- Cześć! - rzucił w mrok i drzwi otworzyły się szerzej.

O tej porze strażnikiem był Tony, osobnik o byczych ramionach i niskim czole oraz kręconych brązowych włosach. Oprócz tego miał schludny wąsik, który zaczynał siwieć na skrajach, małe oczka o nieokreślonym kolorze, trójkę dzieciaków, pucołowatą żonę, która, jak się zdawało, wiecznie była w ciąży, pałkowate nogi i towarzyszący mu niezależnie od kąpieli zapach. Tony szturchnął Babę w ramię, uściśnął Dainę, pytając ją lichy wie po raz który, czy nie chciałaby obejrzeć zdjęć jego rodziny.

Baba odciągnął ją, gdyż wiedział, że była narażona na wysłuchiwanie opowieści strażnika więcej razy, niż chciała pamiętać.

Daina zatrzymała się w drodze do biura na zapleczu, by zerknąć przez zakurzone kotary wąskich kulis na scenę. Denise, wysoka, wiotka brunetka pod trzydziestkę, wykonywała jakieś wstrząsające akrobacje dolną połową ciała. Daina знаła już większą część stałych numerów na pamięć, chociaż z tygodnia na tydzień ulegały one zmianie.

Denise właśnie umieściła w sobie jajko i, prosząc ochotnika, by podszedł i podsunął usta pod rozstawione nogi, zaczęła je miażdżyć mięśniami pochwy. Muzyka ucichła, widownia zamarła w absolutnej ciszy, nie rozległ się nawet najłżejszy szmer,

dopóki, z ostrym trzaskiem, surowe jajo nie pękło i jego zawartość nie trysnęła w rozwarte usta. Daina usłyszała dobiegające z półmroku zbiorowe westchnienie, a po chwili gromkie brawa.

Baba już odszedł do biura, ale ona została. Wiedziała, że Denise jeszcze nie zaczęła się rozgrzewać.

Obserwowała zafascynowana, jak naga kobieta wykonuje odwrotność striptizu. Powoli, naładowanym erotyzmem ruchem podniosła pończochy i włożyła je, pieszcząc w trakcie tej czynności długie nogi. Odwróciła się, zapięła pas, przypięła pończochy. Poruszała się nie patrząc na widownię i w taki sposób, że można było uwierzyć, iż jest u siebie w domu, sama i przygotowuje się do wyjścia.

Odwróciła się tyłem do widowni, podeszła do ustawionej specjalnie dla niej toaletki i zaczęła się starannie malować, używając kredki do oczu, tuszu, różu, szminki. Gdy w końcu wstała, była jeszcze piękniejsza niż wcześniej, makijaż podkreślał jej oczy i usta.

Podniosła grzebień i przystąpiła do czesania długich włosów. Z każdym ruchem jej piersi podskakiwały, opadały i znów sprężynowały w górę.

Wstała, przeciągnęła palcami w górę bioder, po brzuchu, sięgnęła do piersi, objęła je, ścisnęła, szczypała sutki, póki nie stwardniały. Oblizwała usta i jedną ręką musnęła wzgórek łonowy. Jej uda rozsunęły się na chwilę, a biodra szarpnęły do przodu. Potem podniosła stanik z toaletki i włożyła go. Pochyliła się lekko, pocierając materiałem sterczące brodawki. Przygięła się, zakładając czótenka na obcasach ostrych niczym sztylety.

Ubrała się w długą suknię o barwie lawendy, wygięła się w łuk, zapinając suwak na boku. Pomijając rozcięcie do uda, była ubrana skromnie.

Przyszła kolej na biżuterię: kolczyki, dwie bransoletki wysoko na ramieniu i diamentowy naszyjnik, który opadał w zagłębienie między piersiami.

Podeszła powoli na przód sceny i stanęła na skraju. Wyjęła parę atłasowych rękawiczek, w tym samym kolorze co sukienka. Miała wstążkę we włosach, co nadawało jej raczej dziewczęcy wygląd.

Ze swoistą zmysłową obojętnością włożyła długie rękawiczki, starannie naciągając je na każdy palec. Potem nagle, szokująco, wkroczyła na widownię i wciągnęła na scenę jakiegoś mężczyznę.

Bez wstępu rozpięła mu rozporek, wyciągnęła jego członka na światła

reflektorów. Pochyliła się lekko, ściągnęła usta, podmuchała na niego, potem, zamykając go w atłasowej pięści, zaczęła delikatnie wodzić dłonią w przód i w tył, w górę i w dół, i, cudownie, penis zaczął twardnieć, póki nie stał się sztywny jak strzała. Jęcząc, posuwistymi ruchami gorliwie masowała go, aż wreszcie, czując ostrzegawcze drżenie, podciągnęła sukienkę i musnęła drgającym czubkiem fallusa kępkę włosów łonowych, które po chwili spłynęły nasieniem.

Za kulisami Daina znalazła Erice, która siedziała na stołku ze skrzyżowanymi nagimi nogami i paliła cygaretkę z białym ustnikiem. Na ramionach miała wystrzępiony szlafrok, ale twardych piersi nic nie przysłaniało. Daina zauważyła, że Erica lubi swoją nagość.

- Jak ona to robi?

Kobieta podniosła głowę. Miała niebieskie jak bławatki oczy i krótkie blond włosy.

- Kogo masz na myśli, *liebchen*, Denise? Aha. - Wydmuchnęła dym, jej szerokie zmysłowe usta zacisnęły się z wysiłkiem. - To bardzo proste, naprawdę. Oaje im dokładnie to, czego chcą. My ich znamy. - Wzruszyła ramionami. - To ludzka natura, nie widzisz? Co może być bardziej oczywiste?

- Lecz zawsze jej się udaje.

- Och, Denise jest niezła. Myślę, że jest jak radar. - Erica odłożyła cygaretkę na zieloną metalową popielniczkę poczerniałą na środku. - Wie, kogo wybrać. Ale oczywiście faceci walczą, by siedzieć w pierwszym rzędzie. Ona tak naprawdę nie wychodzi na widownię. - Spojrzała na Dainę. - To oni przychodzą do niej. - Uśmiechnęła się lekko: zimny,

dziwny grymas, według Dainy niezgłębiony. - To prawdziwa lekcja życia, *liebchen*, co?

Daina ruszyła wzdłuż ściany, przeciągając palcem po zakurzonej powierzchni luster.

- Jesteś tu szczęśliwa? - zapytała po chwili milczenia.

Usłyszała syk powietrza, wiedziała, że Erica znów zaciąga się dymem.

- Szczęśliwa - powtórzyła kobieta. Jednak nie było to echo, raczej nowy sens nadany skądinąd ustalonej definicji, jak gdyby podjęła wyrafinowaną grę słów. W jej ustach to słowo nabrało całkowicie innego znaczenia. - Czy masz pojęcie, *liebchen*,

co to znaczy zerwać z przeszłością? I żebyś dobrze zrozumiała, nie chodzi mi o zwyczajne odejście, ale również o wyrzeczenie się jej, niepamiętanie, złożenie solennej przysięgi zapomnienia. - Wypuściła błękitny, kwaśny dym. - Potrafisz to zrozumieć?

Daina wpatrywała się w nią rozszerzonymi oczyma.

- Nie jestem pewna. Chyba tak.

Erica, znów obdarzając ją tym dziwnym lodowatym uśmiechem, powiedziała:

- Nie, *liebchen*, nie potrafisz. Nikt nie potrafi... póki nie zrobi tego sam.

- Ty tak zrobiłaś?

- O, tak. - Ten uśmiech nie chciał zniknąć i Daina poczuła ogarniające ją drżenie. - Tak to jest. Widzisz, ja jestem jedyna w swoim rodzaju. Całkiem... wyjątkowa. Uciekłam od tego wszystkiego - uciekłam na drugą stronę świata - i teraz, tak, jestem szczęśliwa, bo jestem tym, kim chcę.

Przez chwilę, która zdawała się trwać w nieskończoność, panowała cisza. Lecz Daina nie mogła powstrzymać się od zadania pytania.

- To znaczy kim?

Za kulisami wybuchnął aplauz. Erica wstała, założyła na szyję najeżoną kolcami obrozę. Jej chabrowe oczy, szerokie i niewinne, zatrzymały się na Dainie, koralowe usta rozchyliły.

- Zerem, *liebchen*. Po prostu zerem.

I wybiegła z pokoju, w chwili gdy w drzwiach pojawiła się Denise, spocona i rozczochrana.

- Mój Boże, co za tłum! - Ubrała się w szlafrok, usiadła, wyjęła papierosa. - Cześć, słoneczko. Oglądałaś mój występ?

- Prawie cały.

- Nigdy nie jesteś znudzona, prawda?

- Uhm.

Denise uśmiechnęła się, wytarła pot z czoła.

- To dobrze. To znaczy, że masz w sobie żyłkę. Co nie znaczy - podniosła rękę - że namawiam cię do robienia tego samego. Teraz, gdy nie ma Baby, powiem ci jedno: zrywaj się stąd jak najszybciej.

- Ty jakoś tego nie robisz.

- Nie, no, ale jest pewna różnica.
- Nie widzę jaka.
- Cóż, kochanie, ja to uwielbiam. Poza tym nie siedzę tu na okrągło, raz jestem tutaj, raz nie. Ta praca jest dobra, lecz zarazem konieczna, bo muszę zarobić na studia na NYU (New York University). Program doktorancki jest cholernie... - Spojrzała na Dainę. - Nie rozumiesz, prawda? Nie, no bo skąd?

- Chyba rozumiem. Myślę, że z tego samego powodu jestem tu i... z Babą. To dlatego, kiedy wracam, czuję się... inna.

Kobieta milczała przez chwilę, potem wyciągnęła rękę.

- Chodź tu, kochanie. - Pogładziła Dainę po plecach. - Masz rację, wiesz? Tak. Ale jednak... - Jej oczy spochmurniały. - Ale jednak... - pochyliła się, pocałowała Dainę w czoło - jesteś tu śniąc na jawie.

Uśmiechnęła się, klepnęła Dainę w tyłek.

- Zmykaj - szepnęła.
- Wrócę jutro. - Daina nie chciała odchodzić.
- Mogłabyś już iść? Muszę się przygotować.
- Ach - powiedział Marty, patrząc na Dainę przez szkła dwuogniskowych okularów. - Pomyślałem, że zajrzysz dzisiaj. Przyniosłem ci paczka. - Podniósł białą paczuszkę z zasłanego papierami biurka, potrząsnął nią.

- Dzięki, Marty. Pamiętałeś. - Wzięła torebkę, wyjęła paczka.
- Co to znaczy, pamiętałeś? Oczywiście, że pamiętałem. Za to mi płacą. - Popukał się w bok łysej głowy. - Za pamiętanie. Moja żona mawia: „Marty, musisz pamiętać nie tylko o cyfrach”. Tutaj mam istny rezerwuar. Tonę w rzeczach, o których chciałbym zapomnieć. Proszę - zdjął z rozpadającego się fotela stos papierów, umieścił go na szczycie starego sejfów - siadaj.

Usiadła i zaczęła jeść, a on zapytał: - Jak tam szkoła?

- Chyba w porządku.
- Starasz się, prawda? - Do jego głosu zakradła się podejrzliwość. Machnął ręką. - Nie... nie kręcisz, prawda? Wykształcenie jest ważną rzeczą, wiesz. Nawet Baba zgodzi się z tym, prawda, Baba? Widzisz? Chyba nie chcesz skończyć jak biedna Denise.

- Biedna Denise? A dlaczego? Przecież ona chodzi na wieczorowe studia

podyplomowe.

Księgowy pochylił się, wytarł okruszki z kącików jej ust.

- To nie jest odpowiednie miejsce dla dziewczyny, która ma trochę oleju w głowie. - Wskazał na nią krótkim palcem. - Odnosi się to również do ciebie.

- Au, daj spokój - warknął z kąta Baba. - Ona sama wie, czego chce.

- Bzdura! - Mężczyzna machnął ręką. - Jest na to za młoda.

- Myślę, że wiek nie ma tu nic do rzeczy - wtrąciła Daina.

- Teraz nie myślisz - odparł jej Marty. - Ale później zrozumiesz.

- Zrozumie tak, jak ja te cyfry. Ni cholery - stwierdził ponuro Baba - więc dajmy temu spokój.

Księgowy pochylił się nad papierami Baby.

- Daj mi zobaczyć.

- Zabieraj stąd swoje łapska, Jack. Nie twój interes.

- O co chodzi? Myślisz, że nie wiem, co oznaczają te liczby? Co to dla mnie? - Wyszarpnął poliniowany arkusz żółtego papieru z ręki Baby. - Śmiało. To zajmie mi minutę, a potem będziesz mógł zabrać Dainę na dobry obiad. W tym miesiącu możesz sobie na to pozwolić.

Marty właśnie zaczął przeglądać nabazgrane rachunki, mamrocząc: - Gdzieś ty się uczył pisać? - gdy drzwi biura stanęły otworem. Do środka wpadł mężczyzna w brązowym płaszczu, uzbrojony w police positive kalibru 38; śmiercionośna lufa przesuwiała się z jednej osoby na drugą. Na twarzy miał czerwono-biało-niebieską maskę narciarską, spod której było widać jedynie oczy i grube czerwone usta.

Zrobił dwa kroki i za jego plecami zobaczyli drugiego napastnika, podobnie ubranego, nieco wyższego. Z mroku dobiegł żaloszny głos Tony'ego:

- Skąd miałem wiedzieć? Siedzieli na widowni i naciągnęli maski, nim ktokolwiek się zorientował, co...

- Stul pysk! - rozkazał wyższy. Trzymał oburącz magnum 357, stał w lekkim rozkroku.

Wszyscy zastygli.

- W porządku - powiedział mężczyzna w czerwono-biało-niebieskiej masce.

- Zajmijmy się szmałem.

- Jakim szmałem? - zapytał Marty.

- Hej, dupku, nie żartuj. - Mężczyzna skierował lufę trzydziestki ósemki w stronę starego sejfu stojącego pod tylną ścianą, między księgowym a Dainą.

- Otwieraj! - rozkazał. - Ale już.

- Nikt z nas nie zna kombinacji - zaprotestował Marty. - I poza tym...

Daina podskoczyła, słysząc ryk wystrzału. Księgowy rzucił się na ścianę z rozpostartymi rękoma. Ołówek wypadł mu z dłoni i zagrzechotał na podłodze, krew trysnęła z dziury w jego piersi. Wstrząs zerwał mu okulary. - Nie widzę

- wyjącał. Krew spłynęła z kącika jego ust, klatka piersiowa wzniosła się ciężko dwa razy, jakby borykała się z ogromnym ciśnieniem, i sflaczała jak przedziurawiony gumowy materac.

- Marty - wyszeptała Daina, po czym trochę głośniej: - Marty! Mężczyzna przesunął trzydziestkę ósemkę.

- Ty - warknął - zamknij się!

- Co tam się dzieje? - zawołał Tony.

- Ostrzegam cię, palancie... - zaczął wyższy.

- Tony - odezwał Baba. - Wszystko w porządku. Nic nie rób.

- A co miałbym zrobić z magnum zaglądającym mi w oczy?

- Tak trzymaj, palancie.

- Dobra - powiedział mężczyzna w narciarskiej masce. - Miejmy to za sobą.

- Najpierw się uspokójmy - zaproponował ugodowo Baba. Nie poruszył się ani odrobinę i Daina pomyślała: Co on sobie wyobraża, że niby wszystko w porządku? Nic nie jest w porządku. Marty nie żyje.

- Hej, nie mów mi, co...

- To tylko dobry interes, stary. - Baba rozłożył ręce dłońmi w górę. - Rozwalanie ludzi nic ci nie da. Teraz ten biedny skurwiel nie otworzy ci żadnego sejfu, może nie?

- Coś ty zrobił? - zapytał wyższy z korytarza. - Rozwaliłeś jednego z nich?

- Trzeba było. Teraz wiedzą, że to poważna sprawa. Gdzieś w tej budzie musi być schowane pół bańki.

- Taa, stary - rzekł Baba, uśmiechając się kordialnie - a ja jestem jedynym facetem, który wie gdzie, kapujesz? Teraz pogadajmy jak równy z równym. Nie chcę

dalszej strzelaniny, to wszystko.

Mężczyzna w masce potrząsnął głową.

- Gadanie niczego nie załatwi, czarnuchu. Wyciągaj forszę, bo zacznę się zastanawiać, co można zrobić z tą małą.

- Jasne - powiedział Baba z uśmiechem nadal przyklepionym do ust. - Ty przestajesz strzelać, człowieku, a ja...

- Zgoda, czarnuchu. Zaczynamy.

- Najpierw muszę wstać, okay?

- Tak, tak - warknął z rozdrażnieniem mężczyzna. - Ruszaj.

Baba wstał. Położył dłonie płasko na blacie, jakimś sposobem wybił się, jego potężne ciało zawisło w powietrzu i w najbardziej nieprawdopodobnym momencie muskularne nogi wyprostowały się trafiając prosto w lufę trzydziestki ósemki.

Podeszwy butów wybiły pistolet z dłoni napastnika i w ułamek sekundy później Baba zderzył się z intruzem.

Mężczyzna upadł jak rażony gromem. Baba, siedząc na nim okrakiem, podniósł prawą rękę. Jego pięść zatoczyła błyskawiczny łuk i uderzyła w lewą stronę narciarskiej maski. Rozległ się ostry trzask i mężczyzna wrzasnął.

Daina zerwała się, gdy rozległ się ryk magnum 357. Spadła z fotela, zakryła uszy.

Baba już mijał próg. Daina usłyszała stęknienie, okropny zwierzęcy charkot, i nagle wyższy mężczyzna wtoczył się tyłem do biura. Baba, warcząc z wściekłości, wpadł zaraz za nim. Złapał go za kłapy płaszcza i wyprowadził krótki, zabójczy cios w środek klatki piersiowej. Zdawało się, że jedynym dźwiękiem na pograżonym w niesamowitej. ciszy świecie jest straszliwy chrzęst łamanych kości. Mężczyzna runął pod wpływem potężnego ciosu, odłamki zmiażdżonego przez Babę mostka rozerwały mu serce na strzępy.

Baba podniósł głowę. Nawet nie miał przyspieszonego oddechu.

- Nic ci nie jest, mała? Daina pokręciła głową.

- Ale co z Martym?

Baba wziął ją na ręce i, stąpając nad ciałami i krwią, przepchnął się przez gromadkę ciekawskich, którzy stłoczyli się za kulisami. Spojrzał z wściekłością na Tony'ego, szepnął Dainie do ucha:

- Zapomnij o nim, mała.

Daina zamknęła oczy i starała się opanować drżenie, lecz mogła myśleć wyłącznie o cichej, porośniętej drzewami ulicy w Bensonhurst, gdzie mieszkał księgowy. I co jego żona powie innym członkiniom Ladies' Aid? - zapytała się w myślach.

Zajrzenie przez wysoką żelazną bramę na teren Forest Lawn było rzeczą niemożliwą. Falanga reporterów i nachalnych wolnych strzelców blokowała wejście i przysłaniała, przynajmniej przez pewien czas, to, co leżało za tymi odstrasżającymi wierzejami.

- Jezu! - mruknął Rubens, odwracając głowę. - Beryl miała rację. Masz okazję opowiedzieć im o filmie.

- Nie odgrywaj takiego zimnego sukinsyna - powiedziała cicho Daina. Strzępy wspomnień ciągle wypływały na powierzchnię jej świadomości niby szczątki jakiegoś ogromnego wraku. - To dla Maggie.

- Pogrzeby nie są dla zmarłych - oznajmił tonem, który wskazywał, że mówi na podstawie doświadczenia. - Koją lęki żywych, to wszystko. - I po chwili, jakby dopiero co wpadło mu to do głowy, dodał: - Nie interesują mnie pogrzeby.

- Dlaczego? Bo ty się nie boisz?

- Tak.

Zadała to pytanie w formie żartu, ale odpowiedź Rubensa była jak najbardziej poważna. Obserwowała przez chwilę, jak wciąga dym papierosowy głęboko w płuca. Syk wypuszczanego powietrza zabrzmiał niczym westchnienie smoka. Cofnęła się na siedzeniu z tyłu limuzyny, gdy podjeżdżali do kotłującego się tłumu, ujęła w swoje ręce jego dłoń, silnie zacisnęła palce.

Był wczesny ranek i słońce jeszcze nie zaczęło wypalać sobie drogi przez gęstą mgłę, jednak flesze zastępowały jego blask, gdy przedzierali się przez tłum. Blade błyski wydawały się upiorne i niesamowite, jakby zostały zaprojektowane przez specja od efektów na potrzeby horroru.

Ochrona była liczna, lecz mimo to wścibskim fotoreporterom udało się przeniknąć na teren cmentarza. Według Dainy byli prawie nieludscy w swojej fanatycznej żądzy wysmażenia pieprzonych wypocin przeznaczonych do promowania image'u Hollywoodu rozpowszechnionego na wschód od Palm Springs. Leżeli na

brzuchach za ozdobnymi marmurowymi monumentami lub kucali za pniami drzew niczym bawiące się dzieci, wlepiając oczy w ogromne teleobiektywy i wypstrykując rolkę za rolką.

Daina, wysiadając z limuzyny Rubensa, przeżyła wstrząs. Znalazła się twarzą w twarz z kobietą tak podobną do Maggie, że przez chwilę czuła się jak przeniesiona w czasie. Po jednej stronie kobiety stał Bonesteel, a po drugiej raczej drobny mężczyzna w ciemnym, o numer za dużym garniturze. Porucznik przedstawił ich jako Joan i Dicka Ratherów. Joan była siostrą Maggie. Dick poinformował, że pochodzi z Salt Lake City, gdzie obecnie razem mieszkają. Sprzedaje odkurzacze. Daina nie zdawała sobie sprawy, że ktoś może jeszcze utrzymywać się ze sprzedaży odkurzaczy.

- To takie straszne. - Rather zaczął mówić tak, jak robią niektórzy, gdy czują się nieswojo i nie wiedzą, co począć - potrafili tylko zagłuszać ciszę słowami, jakby się bali, że milczenie wyzwoli atak żalu. - Często wspominałem o przyjeździe tutaj w odwiedziny, przecież mieszkamy tak blisko, i wie pani, nigdy do tego nie doszło, bo... - patrzył wprost przed siebie, bezpośrednio na Dainę, omijając wzrokiem milczącą żonę; wydawało się, że czyni to świadomie - Joan zawsze znajdowała taką czy inną wymówkę. Teraz to... i nagle jesteśmy tutaj... To wszystko wydaje się jakby nierealne. - Jego oczy zdawały się błagać, jakby mówiły: Powiedz mi, to tylko kiepski żart.

- Przykro mi - odezwała się Daina i zobaczyła, że mężczyzna się krzywi.

- Przykro? - powtórzyła Joan. - Co pani może o tym wiedzieć? - Były to jej pierwsze słowa i Dainę uderzyło to, jak bardzo jej głos różni się od głosu Maggie. Sprawilo jej to dużą ulgę.

- Byłam jej przyjaciółką, Joan.

- Pani Rather. - Zimne niebieskie oczy wpatrywały się w nią bez zmrużenia powiek. - Co wy, ludzie... - wyrzekła to słowo tak, jak ktoś inny mógłby powiedzieć „męty” - wiecie o przyjaźni... lub rodzinie, co? Nie widziałam Maggie od czasu jej wyjazdu z St. Marys. To było dawno. - W jej oczach płonął zimny ogień typowy dla pewnych protestantów, którzy nigdy nie są w stanie uzewnętrznić swoich uczuć. - Zbyt długo jak na siostry. O wiele za długo. - Zrobiła krok do przodu i Daina zobaczyła, że mąż złapał ją za łokieć, jakby podejrzewał, iż może przygotowywać się do skoku. - Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego przyjechała tutaj ani co mogła widzieć w tym mieście. Może, ponieważ nie była szczególnie szczęśliwą osobą,

pasowała do niego w pewien sposób. Nikt z was nie jest szczęśliwy. Wiem to. Uszczęśliwia was jedynie wzajemne pożeranie się żywcem...

- Joan...

Ale ona obrzuciła Dicka Rathera takim miażdżącym spojrzeniem, że mężczyzna natychmiast zamknął usta.

- Wyraziłam zgodę na pochowanie Maggie tutaj, ponieważ poinformowano mnie, że tego sobie życzyła. Postanowiła tu być na dobre czy na... - Nie mogła dokończyć zdania i przez chwilę Daina była przekonana, że dostrzegła w kącikach jej oczu jasne iskierki łez, które rozbłysły niczym krótkie fajerwerki. W następnej chwili nie pozostało po nich ani śladu. - Wszyscy ją znaleźcie. - Powiedziała „wszyscy”, ale było oczywiste, że ma na myśli Dainę. - Widzieliście, jaka jest bezbronna. Jednakże pozwoliliście jej... - zdawało się, że udusi się kolejnymi słowami - żyć z tym demonem. Z takiego czegoś nigdy nie wynika nic dobrego. Tylko zło. - Wycelowała w nią palec. - Ty ją zabiłeś! - wyszeptowała. - Ty zabiłeś Maggie! A ja... ja nie mogę nawet przypomnieć sobie dźwięku jej głosu. - W końcu głos jej się załamał, a ciało zaczęło dygotać. Mąż złapał ją za ramiona i odwrócił w inną stronę. Lecz Daina zdążyła zauważyć, że oczy kobiety były suche.

Wyciągnęła rękę.

- Joan - pani Rather. Rozumiem, co pani czuje. Nie ma potrzeby wszczynania awantury. Ja... Obie kochałyśmy Maggie.

- Niech pani nie śmie mnie pouczać! - warknęła kobieta, odsuwając się od Dainy. - Ty żalosna kreaturo. Ty i wszyscy inni tobie podobni. Nie potrzebuję twojego współczucia. Jestem przekonana, że jest równie prawdziwe jak wasza koncepcja przyjaźni.

- Pozwoli pani, że coś jej powiem - zaczęła Daina. - Wszyscy moi przyjaciele są dla mnie ważni, ale nie tak jak Maggie. Trzymałyśmy się razem i przez pięć ostatnich lat wypruwałyśmy dla siebie bebechy. Nie było niczego, czego byśmy nie dzieliły. - Joan zbladła i rzuciła się w tył. Jej mąż sapnął i wyciągnął rękę, by ją podtrzymać. Jednak - ta reakcja, mająca być wyrazem pogardy, tylko zdopingowała Dainę.

- Myśli pani, że nie obchodzi mnie, że ona nie żyje?
- Myślę, moja droga, że przejmujesz się tym na tyle, na ile możesz. A to

rzeczywiście niewiele.

- A gdzie pani była, gdy ona płakała jak noc długa? To nie pani tuliła ją w ramionach. To byłam ja.

Na nie upudrowanych policzkach Joan Rather pojawiły się, jak otwierane parasolki, dwie plamy czerwieni.

- Nie ma pani prawa tak mówić - odezwał się Rather. - Nie po tym, jak ona...
- Zamknij się! - szczeękła Joan i szczęka jej męża zamknęła się ze słyszalnym trzaskiem. Zwróciła się do Dainy: - Nie wyprowadzisz mnie w pole takim sentymentalnym gadaniem. Czy powinnam załamać się i wypłakać na twoim ramieniu, nazywając cię świętą? O, nie. Nie, nie. - Ściągną naprężyły się na jej szyi. - Jeżeli jesteś wszystkim, co moja siostra mogła nazwać przyjacielem, to pozostaje mi jej współczuć.

- Joan, proszę... - Daina uznała, że dotarcie do tej kobiety jest dla niej bardzo ważne. Łatwo było powiedzieć, że miłość do Maggie pozwoli wszystko wytrzymać. Ale to była jedyna siostra Maggie - jej rodzina. Tak gwałtowne, tak absolutne odtrącenie ze strony tej kobiety przepełniło Dainę lękiem, którego nie mogła ani znieść, ani sprecyzować. - Nie chcę się z panią sprzeczać. Obie kochałyśmy Maggie. Z pewnością to powinno wystarczyć, by związać nas...

- Związać nas? - W głosie Joan Rather zabrzmiała dziwnie wysoka, prawie histeryczna nuta. - Nie mamy nic wspólnego. Absolutnie. - Gwałtownym ruchem odwróciła głowę w stronę męża. - Chodź. - Nie zwróciła się do niego po imieniu. - Możemy stanąć w innym miejscu.

Daina obserwowała ich z żalem w sercu i myślała: Tak mi przykro, Maggie.

Odwróciła głowę, zobaczyła stojącego parę kroków dalej Chrisa i innych członków jego grupy. Wyglądał na chorego. Między nim a Nigelem stała Tie, lecz jej palce splatały się z palcami Kerra. Gdy Daina patrzyła na nich, Tie odwróciła się i poszeptowała mu coś na ucho.

- Chcę podejść i porozmawiać z Chrisem' - rzekła Daina.

Rubens spojrział na nią.

- Idź - powiedział. Jego głos miał metaliczne brzmienie.
- Nie pójdziesz ze mną? - zapytała dotykając jego ramienia.
- Idź - powtórzył z lekkim rozdrażnieniem.

- Nie rób tego, Rubens - wyszeptała. - Nie tutaj, nie teraz. Proszę.
- Przyszedłem tu z tobą - powiedział wcale uprzejmie. - Teraz masz wolną

rękę. Nie chcę mieć z nimi do czynienia.

Dziwnie zawiesił głos i Daina przynagliła:

- Mów dalej, kochanie. Dlaczego nie dokończysz?
- Nie jestem zazdrosny, jeśli to sobie myślisz.
- Dokładnie tak myślę - odparła, posyłając mu smutny uśmiech. Odwróciła

się, ruszyła ostrożnie przez świeżo skoszoną trawę. Zapach przypominał jej stare, rozwalające się domy na Cape, budzące ją ze snu klekotanie kosiarki o świcie, gorące sierpniowe dni, niesiony wiatrem wstrętny odór spiętrzonych na mieliznach małży, i twarz taty obok niej, jego ciepło, zapach słońca i soli przenikający jej istotę. Zamknęła oczy, przygryzła wargi, poczuła krew tętniącą pod powiekami. Gdzieś w niej płakał głos, żałosny i beznadziejny, i nagle poczuła w ustach smak gumy tak silny, że o mało się nie zakrztusiła.

- Tak - zaczęła Tie w swym dziwnie akcentowanym angielskim - widzę, że nasza gwiazda nie trzyma się dziś zbyt dobrze.

Daina otworzyła oczy. Tie była jedyną osobą na pogrzebie nie ubraną w czerń. Przeciwnie, jakby specjalnie wybrała brzoskwiniową garsonkę z surowego jedwabiu, ze spódnicą rozciętą na jednym udzie, rajstopy z szewkiem i czerwone buty na bardzo wysokich obcasach. Miała rubinowy naszyjnik i dobrane do niego kolczyki. Wyglądała tak, jakby wybierała się na próbną sesję zdjęciową.

Daina, nie zwracając na nią uwagi, zapytała:

- Chris, jak się masz?
- Po prostu świetnie - wcięła się Tie, nim ten zdążył otworzyć usta. - Teraz,

gdy trzyma się z nami.

- Myślałam, że powinien być sam - wyjaśniła Daina, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego tłumaczy się ze swych poczynań. - Z pewnością potrzebował wypoczynku.

- Och, tak. Wypoczynku. W twoim domu. Ale z ciebie altruistka.- Tie uśmiechnęła się sztucznie i stojący obok niej Nigel powtórzył wymuszony grymas. Wysunęła brodę. - O co chodzi? Producent ci nie wystarcza?

- O czym ty mówisz?

- O tobie i o Chrisie - odparła dziko kobieta. - Wszyscy wiemy, na co się zanosilo... dlaczego Maggie była taka nieszczęśliwa.

- Zwariowałaś! - W tym momencie Daina przypomniała sobie ostatnią rozmowę telefoniczną z Maggie. Skąd Maggie wytrzasnęła taki pomysł?

- Maggie była outsiderem - syknęła Tie. - I ty też nim jesteś. Próbowala wcisnąć się tam, gdzie nie należała. - Uniosła rękę wnętrzem dłoni w górę, jakby trzymana na niej nicość była swego rodzaju ofertą. - I teraz leży tam.

- Tie wyglądała tak, jakby miała zamiar wybuchnąć śmiechem. - Umarła za swoje grzechy.

- Grzechy? Jakie grzechy? - Daina poszukała wzrokiem oczu Chrisa.

- O czym ona mówi?

- O magii - odpowiedziała kobieta. - O czarnej magii. Ona próbowała rozerwać nasz wewnętrzny krąg.

Za nimi wybuchła bójka. Nad ramieniem Tie Daina zobaczyła, jak Silka szamoce się z jakimś fotoreporterem. Mężczyzna wyprowadził niemrawy cios, lecz Silka podniósł go jedną ręką, a drugą zabrał mu aparat, którym następnie rzucił w pień drzewa. Aparat roztrzaskał się, a zniszczony film potoczył po trawie. Nigel odwrócił się w kierunku zamieszania, ale Tie nie. Kerr pilnie badał wzrokiem czubki butów.

Silka po odstawieniu mężczyzny, ochroniarzom popatrzył Dainie prosto w oczy, jak gdyby chciał rzec: Mówiłem ci, jaka jest Tie.

- Po wszystkim? - zapytała Tie, a kiedy Nigel skinął głową, powiedziała:

- Chris lubi cię, podobnie jak Nigel. Nie popełnij takiego samego błędu jak twoja przyjaciółka. Nic, co nas dotyczy, nie powinno cię interesować. Daj sobie spokój.

- Daj spokój? - powtórzyła z niedowierzaniem Daina. - Ona była moją przyjaciółką. Jakże mogę dać sobie spokój?

Tie otworzyła usta, jednak nim zdołała cokolwiek odrzec, Bonesteel ujął Dainę pod ramię i oznajmił:

- Już czas. Zabieram panią.

Zawisła nad nimi nienaturalna cisza, jak gdyby wszyscy znieruchomieli, zwarci w jakiejś pierwotnej walce. Daina miała wrażenie, że wszyscy uczestniczą w jakiejś potwornej grze, która stanowi podnietę będącą wszystkim, co utrzymuje ich

przy życiu. Przez jej głowę przepłynęły słowa Joan: „Uszczęśliwia was jedynie wzajemne pożeranie się żywcem”. Nie, pomyślała, to nieprawda. Nie jesteście tacy. Ja taka nie jestem. Kiedyś mogłabym być taka jak moja matka. Ale nauczyłam się.

Znów spojrzała nad ramieniem Tie, zobaczyła, że patrzy na nią Silka. Mężczyzna przyłożył palec do ust i przyciskał go dopóty, dopóki nie pozwoliła porucznikowi poprowadzić się w kierunku Rubensa.

- Chcę z panem porozmawiać - szepnęła do policjanta.
- Nie tutaj. Nie teraz. - Echo jej własnych słów wywołało u niej mrowienie w okolicy kręgosłupa. - Jeszcze nie mam pani nic do powiedzenia.
- Owszem, ma pan... - Ale on już zostawił ją u boku Rubensa, stanął obok Ratherów. Przypuszczała, że to on ich zawiadomił.

Pastor zaczął obrządek. Była to długa ceremonia, bezpłciowa i bezdusza. Pastor nie znał Maggie, a jednak mówił o niej tak, jakby jako dziecko uczęszczała do jego kościoła. Może wcześniej zaprowadzono do niego Joan, która podała mu podstawowe fakty z życia Maggie.

W połowie obrządku Daina uświadomiła sobie, że Rubens miał rację. Pogrzeby nie są dla zmarłych, lecz dla żywych - nie było tu śladu kobiety, którą była Maggie. Tylko krąg owalnych twarzy, w różnym stopniu obleczonych w maski smutku.

Wreszcie dwóch krzepkich mężczyzn opuściło trumnę na grubych linach. Daina, z oczyma pełnymi łez i pękającym sercem, miała wrażenie, że pogrzebano tu więcej niż jedną osobę.

Joan odłączyła się od męża, podeszła sztywno na skraj grobu. Pastor zaintonował: - Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... - ona zaś pochyliła się, podniosła garść sypkiej ziemi. Wydawała się całkowicie, przerażająco samotna. Przez chwilę stała wyprostowana i nieruchoma. Tie odwróciła głowę, powiedziała coś do Nigela. Joan konwulsyjnie wyciągnęła rękę, ziemia niczym czarna deszcz posypała się na lśniące wieko trumny.

5

- Nie wiem, co im każe to robić - powiedział Marion pewnego ranka na planie.

- Co i komu? - zapytała Daina.

Rozłożył numer *Manchester Guardian*, gazety przysyłanej mu codziennie, pocztą lotniczą. Ciarękę był człowiekiem, który nie ścierpiałby odcięcia od wieści z kraju rodzinnego. - Jankeskie gazety - marudził czasami - nie potrafią przekazywać wieści ze świata. - Ale w rzeczywistości był spragniony nowin z Wielkiej Brytanii.

Patrzył na nią znad porcelanowej filiżanki napełnionej w trzech czwartych świeżo parzoną herbatą, mieszanką English Breakfast i Darjeeling, sprowadzaną ze sklepu w Belgravii.

- Anglikom i Irlandczykom - odrzeł poważnie. - Wyznawcom Kościoła anglikańskiego i katolikom. - Napił się herbaty. - Weź na przykład to.

- Wskazał palcem na złożoną gazetę. - Jakies trzy tygodnie temu zorganizowano wielką obławę w Belfaście. Piszą, że została ona zorganizowana przez Seana Toomeya, patriarchalnego przywódcę irlandzkich protestantów na północy. - Na jego twarzy malowała się odraza. - Jak zwykle Anglicy odwalili brudną robotę, jadąc do Andytown i wyciągając podejrzanych chłopców z IRA.

- Potrząsnął głową. - To była prawdziwa krwawa łaźnia.

- Lecz ten zatarg trwa od tak dawna.

- Właśnie! - Z trzaskiem odstawił swą cenną filiżankę. - I dokąd to nas prowadzi, pytam się ciebie! Krew i jeszcze raz krew. Coraz więcej krwi. Zdziękowane rodziny. Smutek i rozpacz. - Odsunął filiżankę. - Teraz rozumiesz, dlaczego naprawdę robię ten film - żeby pokazać ludziom bezbrzeżną głupotę czegoś takiego. - Machnął ręką, zrzucając *Guardiana* ze stolika; stronicę poszybowały nad podłogą jak ptaki z połamanymi skrzydłami. - Ach! Nie wiem, po co zawracam sobie głowę czytaniem tego cholernego gówna!

Jednak następnego dnia rano znów siedział przy herbacie, z zainteresowaniem czytając gazetę, jak gdyby w ogóle nic się nie stało.

El-Kalaam z Malaguezem u boku kucał obok Jamesa. Między nimi leżały rozpostarte plany willi i jej bezpośredniego otoczenia. Studiowali je fragment po fragmencie.

- Zapewne niedługo przyślą tu swoich ludzi - powiedział El-Kalaam.

- Musimy upewnić się, że nie ma najmniejszej luki w naszej obronie. Minęło już tyle czasu, że to nie byłoby niczym dziwnym, no nie? - Jego palec nakreślił na

planie prostokąt. - Moustaffa jest teraz tutaj. Idź i sprawdź, czy wszystko w porządku.
- Malaguez skinął głową i wyszedł bez słowa. W drodze do wyjścia minął Ruddy i Anglików wracających korytarzem. Nieśli drzwi od łazienki. Fessi kazał im postawić je pod ścianą. Później pozwolił im odpocząć.

El-Kalaam zerknął na Duella.

- Nie wyglądasz za dobrze, przyjacielu. Rita! Wody. Zatrzymaj w kuchni żonę tego człowieka.

Po chwili pojawiła się Susan ze szklanką. Jej makijaż zniknął, a niegdyś starannie uczesane włosy opadały na uszy. Terrorysta rozkazał jej uklęknąć przed nim; posłuchała go.

- Widzisz, jakie to łatwe - zwrócił się do Jamesa. - Urodziły się do wykonywania rozkazów. - Ponaglił ją ruchem głowy i kobieta napiła rannego.

W kuchni Rita nadzorowała przygotowujące jedzenie zakładowiczki. Sama nie tknęła rondla czy patelni.

- Jak to jest - zagadnęła ją Heather, zajęta mieszaniem zupy - że on pozwala ci być w kadrze? Najwyraźniej nienawidzi kobiet.

- Nie nienawidzi - odparła Rita trochę defensywnie. - Nie żywi dla nich szacunku. Mężczyźni i kobiety różnią się wyłącznie tym, że spełniają różne funkcje w życiu.

- Nie widzę żadnej różnicy...

- Nawet rozmowa z tobą jest głupia. Milcz i zajmuj się zupą.

Heather odwróciła głowę.

- To tylko dlatego, że nie rozumiem. Zadanie rewolucjonisty polega chyba również na uświadamianiu.

Terrorystka przez chwilę wpatrywała się w tył głowy Heather.

- Kiedy mój mąż został zabity w oblężeniu Izraelczyków, nie mogłam już funkcjonować jak... jak kobieta. Może wraz z nim zginęła jakaś część mnie.

- Heather odwróciła się w jej stronę. - Mogłam myśleć tylko o jednym. Zabrałam pistolet maszynowy swego brata i przeszłam przez granicę do Izraela.

- Sama?

- Nie pamiętam. Jakiś czas później czyjeś ręce odciągnęły mnie od ciał - trzech, powiedziano mi później - których, przysięgam, nigdy wcześniej nie widziałam.

Powoli odwróciła głowę.

- To El-Kalaam mnie odciągnął. Nadal ogarnięta byłam żądzą zabijania i on zabrał mnie na pustynię, gdzie mogłam opróżnić swój pistolet. Kiedy skończyłam, zapytał, czy nie chciałabym się przyłączyć.

Nie jestem jak inne - dodała cicho. Wzięła z kuchennej lady kawałek chleba, zjadła. - Jestem na wpół martwa. - Jej głos zabrzmiał jak smagnięcie biczem.

- Mylisz się co do kobiet - rzekł James, nadal leżący pod regałem.
- Nie myślę się w niczym, co mówię. - El-Kalaam zapalił cygaro.
- Mylisz się - upierał się Duell. - Nie znasz Heather. El-Kalaam chrząknął.

Wyjął cygaro z ust.

- Nie muszę. Jest taka sama jak ta ciemnowłosa. - Zerknął na Susan.

- Zabieraj się stąd. Nie widzisz, że nie jesteś już potrzebna? - Susan wróciła do kuchni. - Wszystkie zachodnie kobiety są takie same. Nie trzeba się ich bać. Nie mają pojęcia o niczym. Nie myślą, jedynie gadają. - Pstryknął palcami.

- A może się założymy? - Błękitne oczy Jamesa były bardzo jasne.
- Nie zakładam się - oświadczył terrorysta. - Nawet z równymi sobie.

- Wydmuchnął dym, popatrzył na rannego. Po chwili zapytał: - Na czym twoja żona miałyby się znać?

- Na strzelaniu z pistoletu.

Szeroki uśmiech przeciął twarz El-Kalaama i mężczyzna odrzucił w tył głowę.

Roześmiał się.

- Och, masz szczęście. Masz szczęście, że nie przyjmuję tego zakładu.
- Wobec tego jesteś tchórzem.

Uśmiech zniknął z twarzy El-Kalaama i terrorysta groźnie ściągnął brwi. Jego ciało spięło się, ręce zwinęły w pięści. Po chwili emocje zniknęły. Szeroki uśmiech powrócił.

- Próbujesz mnie obrazić, ale to ci się nie uda. Nie dam się podpuścić.

Pojawiła się Rita.

- Jedzenie gotowe. El-Kalaam podniósł głowę.
- Niech ta brunetka nakarmi Fessiego i innych. Jego żona - spojrzał znacząco na Jamesa - obsłuży mnie, a potem ciebie.
- A co z Malaguezem?

- Zje, gdy tylko wróci. Nie chcę, żeby w tej chwili ktoś wychodził z willi.

- Z kuchni wyszła Heather z talerzem parujących jarzyn. El-Kalaam skinieniem ręki przywołał ją do siebie. - Uklęknij - rozkazał.

Zrobiła to po chwili wahania. Mężczyzna bardzo powoli zaczął skubać jedzenie. Używał tylko prawej ręki.

- Spuść oczy, kiedy jem - powiedział do niej.
- Co z moim mężem? - zapytała.
- A co ma być?
- Musi coś zjeść.

El-Kalaam delikatnie ujął w palce kawałek jarzyny. Z rozmysłem wsunął go w usta Duella. Ten próbował gryźć, lecz jedzenie wypadło mu na kolana.

- Widzisz? - Terrorysta wzruszył ramionami. - Niedobre. Wcale.

• Potrzebuje czegoś płynnego. Przyniosę mu trochę zupy. El-Kalaam zignorował ją i zwrócił się do Jamesa.

• Bardzo przepraszam - zaczął z ironią. - Okazuje się, że jednak masz rację. Ona jest w czymś dobra. - Kiedy ranny nie zareagował, odwrócił się do Heather. - Twój mąż mówi mi, że umiesz strzelać z pistoletu.

- Tak - odparła. - Umiem.

El-Kalaam parsknął.

- I do czego strzelasz? Do papierowych tarczy? Do kaczek w sadzawce? A może jesteś zabójcą królików? O, tak, widzę to w twoich oczach – zawołał triumfalnie. - Potrafisz doskonale radzić sobie z bronią. - Z pogardą odepchnął talerz. - Idź, daj jeść Ricie. Jak skończysz, możesz nakarmić męża. - Wstał. - O ile nie zwymiotuje.

Podszedł do telefonu, wybrał numer.

- Z premierem - rzucił do słuchawki. - Zbliża się trzecia nad ranem, Piracie. Czym może pan się pochwalić? - Słuchał przez chwilę. Twarz mu pociemniała. - Co mnie obchodzą wasze problemy. Dla mnie bez różnicy, czy to łatwe, czy trudne zadanie. Nasi palestyńscy bracia muszą być wolni do szóstej wieczorem.

A jeśli nie? Pamięta pan swego starego przyjaciela Bocka, nieprawdaż? Oczywiście, że tak. Gdyby było inaczej, czemu miałby pan przysyłać tu swoją córkę. Znać się z Bockiem od bardzo, bardzo dawna. Nie powierzyłby pan jej nikomu

innemu, prawda? - Jego głos był chrapliwy ze złości. - No cóż, jestem przekonany, że ma pan fotografię swego starego przyjaciela Bocka, Piracie. Niech pan jej się dobrze przyjrzy. Jeżeli nasi bracia nie zostaną zwolnieni do szóstej, będzie panu potrzebna, by go poznać. - Trzasnął słuchawką, odwrócił się do Malagueza.

- On myśli, że nic z niego nie wyciśniemy, ale grubo się myli. - Walnął pięścią w otwartą dłoń. - Ci przekłęci Izraelczycy są nieludscy. - Wciągnął głęboki oddech. - No cóż. Trzeba dać im nauczkę. Malaguez, przyprowadź Bocka. Fessi, wiesz, co trzeba zrobić. - Zatrzymał się, przyciągnął do siebie Heather. - Chodź.

- Dokąd?

El-Kalaam nie odpowiedział. Poprowadził ją przez korytarz, obok łazienki bez drzwi, do pokoju po drugiej stronie willi. Niegdyś było to mieszkanie Bocka, lecz teraz kadra przemieniła je w coś zupełnie innego.

Okno zostało zabite deskami, pod nim stało przewrócone na bok ogromne łóżko. Najmniejszy promień słońca nie dostawał się do wnętrza rozjaśnianego przez jedną lampę. Zdjęto z niej klosz i Heather zmrużyła oczy. Przywódca terrorystów usunął ją z drogi, gdy wprowadzano Bocka.

Malaguez poprowadził go na środek pokoju. Przemysłowiec stanął, dotykając łydkami drewnianego krzesła. Wszyscy czekali w milczeniu, póki nie przyszedł Fessi. Zamknął za sobą drzwi. Niósł na ramieniu coś, co wyglądało na zwoje ogrodniczego węża. Na jednym końcu zwisała mosiężna dysza, na drugim nakrętka z tego samego metalu.

- Jak rozumiem - zwrócił się El-Kalaam do zakładnika - jesteś niezłym mówcą. To niezwykle jak na przemysłowca. Kapitaliści są często zbyt zajęci wydawaniem rozkazów czy opychaniem się drogim żarciem, co? - Przekrzywił głowę na bok. - Ale przecież człowiek, który utrzymuje się z wyzysku biedoty, powinien wiedzieć, jak do niej przemawiać.

- Sam kiedyś byłem biedny - odrzekł Bock. - Wiem, co to znaczy.

- Cha, cha! Tak, faktycznie. - El-Kalaam rozpostarł ramiona, wyszczerzył zęby. - Wszystko dla biednych. Och, mogę w to uwierzyć. - Jego głos uległ zmianie, oczy zwęziły się w szczeliny. - Cóż, Bock, teraz będziesz musiał coś powiedzieć. Przekonasz swego starego przyjaciela, premiera, o jego głupocie. On mi mówi, że napotyka przeszkody, że w Jerozolimie jest wiele frakcji politycznych, które trzeba

uspokoić.

- Ma rację.
- Uważasz mnie za durnia? Myślisz, że nie wiem, kto rządzi-Jerozolimą?

Gdyby Pirat rozkazał uwolnić naszych braci, zostaliby zwolnieni. Ten jego upór to czyste szaleństwo. On ceni twoje życie; ceni życie swojej córki, prawda?

- Bardziej ceni sobie dobro swego kraju.
- Mówisz jak prawdziwy syjonista! - zawołał El-Kalaam. - Lecz to

prawdziwy świat, mój drogi wprowadzony w błąd Bocku, nie, Allachowi niech będą dzięki, jakaś żydowska mrzonka, przy istnieniu której się upieracie. W ciągu następnych osiemnastu godzin zostanie podjęta decyzja o życiu i śmierci, Częściowa odpowiedzialność za to, co się stanie, spada na twoje ramiona.

- My, Żydzi, mamy za sobą sześć tysięcy lat decyzji o życiu i śmierci - odparł mężczyzna. - Wiem, co robię. Nie mamy już o czym mówić. Musisz po prostu radzić sobie beze mnie.

- Cwany Żyd - zadrwił terrorysta. - Bardzo sprytny. - Dźgnął palcem pierś Bocka. - Jesteś bardzo głupi. Przekonasz się. I zapamiętaj tę rozmowę. Będziesz mnie błagał, żebym odwołał swój rozkaz. - Przysunął twarz do twarzy zakładnika. - Tak, zobaczysz. - Odwrócił się do Fessiego. - Zamocuj wąż.

Mężczyzna zniknął w łazience. Z otwartych drzwi dobiegły ciche odgłosy. Potem Fessi wrócił, skinął niedbale.

- Malaguez - rozkazał El-Kalaam.

Barczysty mężczyzna związał kostki Bocka giętkim izolowanym przewodem.

- Posadź go.

Malaguez trzasnął kolbą MP40 w ramię Bocka. Przemysłowiec jęknął, osunął się na krzesło.

- Tak jest lepiej.

Terrorysta związał mu ręce za oparciem krzesła.

- Gotowe.

Fessi złapał końcówkę węża. Przysunął ją do twarzy zakładnika.

- Jesteś pełen syjonistycznych idei - zaczął zimno El-Kalaam. - Teraz poczujesz, co to znaczy być przepełnionym czymś innym. - Oczy Bocka przesuwały się z wylotu węża na twarz terrorysty.

- Widziałeś kiedy topielca, Bock? Jestem pewien, że tak. W czasie pobytu w Europie. Ciało nadęte jak padlina. Smród. Człowiek patrzy w twarz najlepszego przyjaciela i nie może jej poznać. - Spojrzał na spoconą twarz przywiązanego.

- Tak. Widziałeś, jak toną i znikają. I myślałeś: Lepiej oni niż ja, co, Bock?

No, to teraz zobaczysz, co czuje ktoś, kto się topi. I w końcu zrobisz, co sobie życzę.

Bock zgrzytnął zębami. Pot spływał mu po brodzie.

- Nigdy.

El-Kalaam zacisnął mu nos. Mężczyzna potrząsnął głową, lecz terrorysta nie puścił. Po chwili musiał otworzyć usta, by zaczerpnąć powietrza, a wtedy Fessi wepchnął mu między zęby końcówkę węża.

- Nigdy nie mów nigdy - powiedział El-Kalaam, nadal zaciskając mu nos.

Oczy Bocka zogniały. Gdy Fessi wepchnął wąż głębiej, przemysłowiec zaczął się dławić. Wyprostował się. Oczy zaszyły mu łzami. Jęczał okropnie.

- Trudne, co, Bock? - zapytał El-Kalaam. - Taka bezradność. - Oczy zakładnika obróciły się dziko, potem przemysłowiec zaczął dygotać, najpierw nogi, następnie uda i, na końcu, tułów. Heather widziała drżące mięśnie na szyi.

- Jaka z ciebie nędzna kreatura, Bock. Ale to typowe dla twojej rasy.

- Co chcesz z nim zrobić? - zapytała Heather. - Udusisz go.

El-Kalaam, nie patrząc na nią, polecił:

- Napompuj go, Fessi. Tylko nie za szybko. Chcemy, żeby efekt był trwały. Ten sposób jest bardziej... przekonywający.

- To tortura.

Przywódca terrorystów wzruszył ramionami.

- To tylko słowo. Kobiety są w tym dobre. Mężczyźni realizują się w czynach. Liczą się rezultaty. Zawsze trzeba coś poświęcić, żeby dostać, co się chce. W tym przypadku...

- Ty poświęcasz swoje człowieczeństwo - podsumowała Heather. Odwrócił się tak szybko, że ruch zatarł się w powietrzu. Podniósł rękę i strzelił ją w twarz.

- Kim ty jesteś, żeby mówić mi o człowieczeństwie? - zagrzmiał.

- Strzelcem. Myśliwym polującym na bezbronne zwierzęta. Zabijasz bez celu, dla zabawy. Ja zabijam dla swego ludu, żebyśmy mogli wrócić do swego domu. To,

co ja robię, jest usprawiedliwione, ale ty... - Plunął jej pod nogi. - Nic nie usprawiedliwia tego, co robisz. - Poderwał głowę. - Malaguez. Zabierz ją. Niech czeka z brunetką.

Straszliwa cisza panująca w salonie nie odgradzała ich od przerywanych krzyków płynących z drugiego końca korytarza.

Wreszcie wrócił Malaguez. Na kilka minut wszystko ucichło. Heather objęła Susan i zagryzając wargi czekała na wynik.

Terrorysta zatrzymał się, skinął ręką na kobiety.

- Obie pójdziecie ze mną.

Czekał na nią w porze przerwy na lunch. Ruszyła, wyczerpana, do swej przyczepy i otworzywszy drzwi przyłapała go na buszowaniu w małej lodówce w kącie obok toaletki.

- Szuka pan tropów? - zapytała, gdy się wyprostował.

Bonesteel odwrócił się ku niej z małą butelką wody Perrier w rękę. Uśmiechnął się. - Szukałem tylko limona.

- Spóźnił się pan - oznajmiła, zamykając za sobą drzwi. – Skończyły mi się.

Odkręcił korek, pociągnął łyk.

- Nie wolały pan pić ze szklanki? - zapytała kwaśno. Była rozdrażniona jego wcześniejszym stwierdzeniem, iż nie ma potrzeby z nią rozmawiać.

Potrząsnął butelką.

- Nie trzeba. Jestem przyzwyczajony do pożywiania się w biegu. - Był ubrany w lekki bladobordowy garnitur, który na pewno nie pochodził ze sklepu z gotowymi ubraniami. Daina zastanawiała się, jak zdołał zapłacić za niego z pensji.

- Dobrze się pan ubiera, jak na glinę. - Usiadła na pluszowym fotelu, zsunęła buty.

Uśmiechnął się szeroko.

- Oto jakie są zalety bycia utrzymankiem. - Może miał to być żart, ale jego oczy nie chciały się uśmiechnąć. Oparł się o lodówkę. - Chciała pani ze mną porozmawiać. O czym?

- Powiedział pan, że przyda się moja pomoc.

- Och tak, cóż, nie sądziłem... chyba nie...

- Zmienił pan zdanie.

Odstawił butelkę, podszedł do małego okna i odsuwając zgiętym kciukiem skraj zasłonki wyjrzał na rojny plac.

- Nie chcę, żeby pani się w to mieszała.

- Dlaczego?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Panno Whitney, jak na tak bystrą damę to okropnie głupie pytanie.

- Chcę pomóc.

- Doceniam to. - Jego oczy mówiły coś innego. - Lecz nie może pani nic zrobić.

Zmieniła taktykę.

- Nie był pan ze mną zbyt szczery.

- Tak? - Nie wydawał się zaskoczony. - W związku z czym?

- Z tym krwawym emblematem, który znalazł pan na boku... kolumny. -

Przełknęła ślinę, pragnąc zapomnieć o tym, co znajdowało się w środku.

- To sprawa policji, panno Whitney.

- Moja również.

Pochyliła się lekko, a on westchnął, przez chwilę masując zamknięte powieki. Kiedy się odezwał, mówił monotonicznie jak wykładowca, który jest albo niekompetentny, albo bardzo znudzony prezentowanym materiałem.

- Nieco ponad dwa lata temu, trzynastego listopada, w północno-zachodniej części parku Złote Wrota w San Francisco znaleziono ciało dwudziestotrzyletniej studentki. Przed śmiercią została brutalnie pobita i okaleczona. Obok ciała była skała, na której wyrysowano coś, co później zostało zidentyfikowane jako miecz otoczony kręgiem. Stwierdzono również, że ten emblemat... - świadomie powtórzył użyte przez nią słowo - został nakreślony krwią ofiary. Nie zatrzymano żadnego podejrzanego.

Wrócił do lodówki, pociągnął następny duży łyk perriera.

- Trzy miesiące później, znów trzynastego, pod jednym z pirsów wzdłuż Embarcadero, odkryto okaleczone zwłoki dwudziestopięcioletniej kobiety. Ponow nie znaleziono ten osobliwy znak, tym razem nakreślony niezdarnie po wewnętrznej stronie uda.

Nie czekając na trzecią ofiarę - dwudziestosiedmioletnią modelkę, jak się okazało - policja z San Francisco sprowadziła paru psychiatrów specjalizujących się w

psychopatologii kryminalnej. - Bonesteel chrząknął. - Mole książkowe. Potrafili tylko powiedzieć, że zabójca prawdopodobnie znów uderzy, trzynastego, w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Że to wariat.

Usta porucznika skrzywiły się w parodii uśmiechu.

- Ten skurwiel wykiwał ich wszystkich. Uderzył w maju, znów po trzymiesięcznej przerwie, ale tym razem jedenastego. - Rzucił pustą butelkę do stojącego przy lodówce kosza. - To doprowadziło gliniarzy z San Francisco do szału. Zwłaszcza że trup modelki został znaleziony przez ochronę żony pułkownika w obrębie Presidio.

Potem jakiś bystry pismak z *Chronicie*, opierając się na emblemacie, zaczął nazywać zabójcę Modredem, który był, jak wiadomo, czarnym rycerzem na dworze króla Artura. Czytelnicy są łąsi na takie rzeczy. Ksywka chwyciła.

Daina wstała.

- Czego pani chce? - zapytał detektyw.
- Tylko club sodę.
- Podam pani. - Ukląkł przed lodówką.
- Lubię bardzo zimną. Lód jest obok.

Wrzucił lód, dolał wody sodowej, podał Dainie szklanę.

- To wszystko? - Chciała sprawdzić, czy nie przemilczy dalszych morderstw.
 - Czwarta ofiara Modreda została znaleziona w La Habra.
- Orange County. To dość daleko stąd. Czy to nie poza pańską jurysdykcją?

Bonesteel potrząsnął głową.

• W pewien sposób jestem taki sam, jak ci psychiatrzy. Tego typu rzeczy to dla mnie chleb powszedni. Tylko że ja codziennie włożę w gówno, oni zaś rozpierają się na swych skórzanych kanapach i nabijają fajki. - Splótł ręce na piersi. - Ofiarę z La Habra znaleziono na początku zeszłego roku. Szóstą na początku tego w Anaheim. Pani przyjaciółka, panna McDonell, była siódma. - Podniósł się. - Teraz rozumie pani, dlaczego tak naprawdę nie może nam pani pomóc.

- Czy jest pan choć trochę bliżej złapania... go?
- Modreda? - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Sam chciałbym wiedzieć. Im więcej mamy danych, tym oczywiście większe szanse. Ale... - wzruszył ramionami - nikt nie wie, co nim rządzi, ani psychiatrzy, ani chłopcy z okręgu, ani ja. Tylko

Modred wie. Psychiatrzy mówią, że on próbuje się z nami porozumieć, na swój wypaczony sposób. My po prostu nie mamy pojęcia, co to za język. To trudne.

Daina odchyliła głowę.

- A tymczasem kobiety, jak Maggie, umierają jedna po drugiej. – Oczy jej rozbłysły. - Do diabła, dlaczego pan czegoś nie zrobi?!

Nie było nic do powiedzenia. Porucznik, obserwując ją, pozwolił, by gorzkie słowa przebrzmiały bez echa. Odgłosy z zewnątrz - stłumiony śmiech, klaskanie, zgrzyt metalu o metal, zapuszczany silnik - wśliznęły się ukradkiem do przyczepy i zajęły ich miejsce.

- Przepraszam - rzekła Daina, odstawiając szklankę. - Jestem zmęczona i zła i chyba nie wiem, co począć w związku z tą sprawą.

- Nic - stwierdził - po prostu zostawić ją mnie.

Jakaś twarda i gardłowa nuta w jego głosie sprawiła, że Daina szybko podniosła głowę, akurat na czas, by zobaczyć dziki, żółty płomień gorejący głęboko w szarym błękitcie jego oczu. Miała wrażenie, że patrzy na transparent, z którym już była zaznajomiona. Spojrzała na niego jeszcze raz, jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

- Znajdzie pan Modreda?

- Tak, panno Whitney, znajdę go. - Nagle wydał się zmęczony. Nie może mieć więcej jak trzydzieści osiem czy dziewięć lat, pomyślała, jednak teraz wygląda na ponad pięćdziesiąt. - Znajdę ich wszystkich. Tak zrobię.

Jego słowa niosły w sobie coś więcej. Nie wiedziała, co, ale przyprawiło ją to o drżenie.

- Dlaczego nie miałbyś mówić mi po imieniu, Bobby?

Wcześniej mówił, że nikt go tak nie nazywa. Być może to imię trzymało go w ryzach.

- W porządku - rzekł miękko - Daino. Wyciągnęła rękę.

- Dasz mi znać?

Detektyw sięgnął po jej szklankę. Wzniósł toast.

- *La Morte de Modred*. - Lód zatańczył w szklance, gdy ją wychylał.

Przyszli i zabrali ciało Marty'ego - oraz dwa pozostałe - lecz Baba nie chciał jej powiedzieć, gdzie zostanie pochowany ani w którym domu w Benson-hurst odbędzie się ceremonia pogrzebowa.

- Co ty myślisz, mała - zapytał - że możemy pokazać się tam tak po prostu?
Ha! Rób, co mówię, zapomnij o tym, słyszysz?

Próbowała, ale to było niemożliwe. W wyobraźni wciąż widziała twarz Marty'ego, zszokowaną i jakby urażoną, gdy uderzał o ścianę biura, bryzgi krwi jaskrawej jak upierzenie tropikalnego ptaka, ciche stękanie przypominające odgłosy parzących się zwierząt.

Nie mogła zapomnieć drobnych uprzejmości, jakich jej nie szczędził. - Nic na to nie poradzę - mawiał bez cienia usprawiedliwienia. - Mam trzech synów. Zawsze chciałem mieć córkę. - Jej pragnienie pożegnania się z nim po raz ostatni było naprawdę silne i dopiero słowa Baby uświadomiły jej stopień ich odizolowania od głównego nurtu społeczeństwa. Życie poza jego nawiasem miało tak dobre, jak i złe strony.

By zająć się czym innym, zapytała Babę, jak mu się udało załatwić tych dwóch bandziorów, jednak on tylko roześmiał się gromko i opowiedział jej o bijatyce z trójką białych marines. - Człowiek uczy się być bezczelny, mała - rzekł - i nie daje sobą pomiatać. Udzieliłem tym marines twardej lekcji.

I tak dni i noce całkowitego spokoju przeminęły, dobiegł końca czas niczym niezmaconej fantazji, kiedy była w stanie odciąć się od ciemności powszedniego smutku świata, w który wniknęła. Wilk czyhał u drzwi i przez pewien czas udawało jej się barykadować przed nim skutecznie, lecz gdy zielone liście lata pokryły się rdzą i złotem, zapowiadając nadejście zimy, znów usłyszała wycie, uparte drapanie silnych pazurów i, wreszcie, trzask pękającego drewna.

Lecz dzisiaj rozległo się tylko pukanie do drzwi biura Baby. Wszedł sierżant Martinez. Był człowiekiem tak barczystym, że wydawał się prawie kwadratowy, ale nikt nie posądziłby go o otyłość. Nie miał szyi i to sprawiało, że wyglądał tak, jakby bez przerwy dusił się w swoim policyjnym mundurze. Jego twarz składała się z szeregu szerokich płaszczyzn, które nie zatrzymywały cieni. Szeroki nos i okrągłe policzki były usiane niezliczonymi piegami, oczy miał bladobłękitne, jakby wyprane z koloru przez oślepiające słońce swego rodzinnego Puerto Rico.

Zatrzasnął za sobą drzwi, zrobił parę kroków w stronę Baby.

- Powinienem od razu dać kopa w twoją czarną dupę i zapędzić cię na komisariat.

Baba oderwał się od pracy, popatrzył lodowato na glinę.

- Cześć! - przywitał się łagodnie. - Co ty tu robisz? To nie twój dzień w tym miesiącu.

- Nie strzép sobie języka, *chico*. Od dzisiaj wszystko ulega zmianie.

- Sierżant przekręcił się lekko w biodrach, by pokazać wielką skórzaną kaburę rewolweru. - Ta cholerna strzelanina narobiła kupę smrodu w okręgu.

- Opanuj się - radził Baba. Położył dłonie płasko na biurku. Po jego lewej stronie ściana nadal była ciemna od zaschniętej krwi Marty'ego, zostawionej samej sobie niczym fresk artysty, który wypadł z łask.

- Opanuj się, cholera! - Martinez wojowniczo wysunął szczękę. Baba kiedyś powiedział Dainie, że według niego gliniarz podłapał ten nawyk ze starych gangsterskich filmów. Z pewnością uważał, że dzięki temu wygląda na twardziela. - Kapitan mówi, że sam się tym zajmie. - Pochylił się w biodrach, głowa i masywne ramiona zawisły nad stołem. - Wiesz, co to znaczy? *Mądre de Dios!*

- Taa. To będzie koniec twojej małej lewizny.

Krew napłynęła do twarzy policjanta, piegi jakby zbladły.

- Tylko dzięki temu - zaczął powoli - twoja czarna dupa siedzi jeszcze w biznesie.

- Wiem - stwierdził Baba dokładnie takim samym tonem, jakiego użył w rozmowie z dwoma bandziorami, zanim ich zabił. - Przypominanie tego nigdy cię nie męczy.

- Bo tobie trzeba przypominać, cza...

Urwał, lecz Baba dokończył słowo, które tamten zaczął wypowiadać:

- Czarnuchu.

- Masz tę białą *guapa* - powiedział ochryple glina, wskazując w kierunku Dainy - i uważasz się za coś specjalnego. - Po raz pierwszy okazał, że dostrzega jej istnienie. Pokręcił głową z boku na bok. - Ale jesteś tylko kawałkiem gówna, które od czasu do czasu muszę zdrapywać z obcasów. To wszystko musisz pamiętać. - Wyprostował się. - O, tak, i zapamiętaj sobie jeszcze jedno: teraz płacisz mi dwa razy w miesiącu. - Wyciągnął rękę, wielką i jasną jak świńska noga. - Dzisiaj jest dzień zapłaty, *hijo malo*. Dzień Sądu.

Baba zastygł w bezruchu i milczał przez długą chwilę. Daina widziała, jak sierżant oddycha coraz szybciej. Gruby strumyczek potu spływał wolno w dół

bokobrodów po piegowatej twarzy.

- Wiem, na czym polega twój problem, Martinez - odezwał się wreszcie Baba. - Od tak dawna uważasz się za białego, że zaczynasz podłapywać wredne cechy białych.

- Widzisz te oczy, *hijo malo?* - Pokazał. - Są niebieskie, no nie? Niebieskie. Widzisz włosy? Nie są kręcone. Ja nie jestem czarnuchem.

- Nie - potwierdził cicho Baba i dodał: - Jesteś gorszy od czarnucha. Nie tak mówią ci białasy w komisariacie? - Zobaczył, jak policjant sztywnieje. - O, tak, biali pod wpływem nacisków pchają paru Latynosów w górę, ale wiesz, że tak naprawdę mają was w dupie. Dość jasne.

Oczy gliniarza zrobiły się małe i twarde.

- Lepiej trzymaj język za zębami, czarnuchu.

Baba zignorował go.

- Podłapałeś chciwość białych, Martinez, i jak nie będziesz na siebie uważał, wdepniesz w gówno. Wszyscy biorą, więc dlaczego nie ty? Jednak jest pewna różnica, mały. Białasy mają siłę na poparcie swych występków. Ty nie masz nic. Jesteś tylko brudnym Latynosem, człowiekiem stojącym niziutko na społecznej drabinie.

- *El dinero* - warknął sierżant. Jego ciężka ręka zawisła w powietrzu, otwierając się i zamykając jakby niezależnie od jego woli. Włosy pod czapką były wilgotne i błyszcząły od potu. - *Ahora!*

Baba wstał powoli, potrząsnął głową.

- Wrócisz pod koniec miesiąca, jak zawsze, i dostaniesz swoją forszę. I ani centa więcej niż dotychczas.

- Zobaczymy, jak się będziesz czuł, gdy cię przyskrzynię.

- Tak, tak, tak. Zobaczymy. - Baba skinął głową. - Och, zapowiada się naprawdę świetnie. Portorykański glina-łapownik. - Oblizał usta, jakby nie mógł się doczekać punktu kulminacyjnego historii. - Przygotuj się dobrze. Kapitan tylko czeka na coś takiego, żeby wykopać cię na bruk.

Dłonie Martineza zwinęły się w pięści. Twarz pociemniała mu od napływu krwi i trząsł się lekko.

- Nie, stary - rzekł ze smutkiem Baba. - Siedzimy w tym razem... Ty z jednego końca, ja z drugiego. Chyba nie chcesz zamiany, co?

Wydawało się, że policjant chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili przygryzł wargi, walnął potężną pięścią w blat biurka i wymaszerował za drzwi.

Baba westchnął głęboko, odchylił się na krześle, splótł ręce za głową. Odwrócił się, by spojrzeć na Dainę, wzruszył szerokimi ramionami.

- Przypuszczam, że to nie jego wina. Białasy traktują go jak zużyty worek na śmieci. Nigdy na to nie pozwól, mała. - Odwrócił głowę, wyjrzał przez osłonięte drucianą siatką okno na brudne fasady budynków po drugiej stronie Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Tuż przed południem wywrócił się lekki dźwig, nieomal zabijając trzech członków załogi. Aktorzy zostali zwolnieni na resztę dnia.

Daina i Yasmin zostawiły wściekłego Marion na planie. Uzyskanie właściwego oświetlenia zabrało mu pięć godzin.

- Wynocha stąd, wszyscy! - zawołał, ale nie nieprzyjaźnie. Miał zamiar dać łupnia obsłudze technicznej i czuł, że nikt inny nie powinien być przy tym obecny. Ludzie pracowali dla niego ciężko, a on w zamian starał się być w stosunku do nich lojalny.

Dzień był duszny, powietrze gęste i wilgotne, z rodzaju tych, gdy każdy się dziwi, skąd bierze się w nim tyle brudu. Daina uznała, że musi znaleźć się blisko morza; miasto, nawet z całą swą buńczuczną przestrzennością, przyprawiało ją o klaustrofobię. Na szczęście niebo nad plażą w Malibu było doskonale czyste. Pomyślała, że to typowe dla pogody L.A. Kiedy tu było wstrętne, w Beverly Hills świeciło słońce, i vice versa. Zaparkowała na poboczu przy nie zabudowanej parceli. Rozebrały się z Yasmin do bielizny, popłynęły na łódź Rubensa.

- Zazdrozczę ci - powiedziała aktorka, wycierając ręcznikiem włosy. Pokład kołysał się lekko pod ich bosymi stopami. - Naprawdę. - Wyrzuciła w górę ramiona o oliwkowej skórze. - Mam na myśli to wszystko - i Rubensa. Mam nadzieję, że to sprawia ci przyjemność. - Jej ogromne ciemne oczy były pełne cieni. Daina aż nazbyt dobrze była świadoma twardych, dużych piersi pod bardotką w cielistym kolorze. Ten widok przypominał jej kampus przy Carnegie-Mellon, a nagle gorąco u szczytu ud kazało jej pomyśleć o Lucy: aureola płomiennie rudych włosów, doskonałe piersi, i one dwie same w jednym pokoju. Przestań! - rozkazała sobie, odwracając się. Policzki paliły ją ze wstydu, którego nie potrafiła ani wyjaśnić, ani nawet zrozumieć.

- Wierz mi - mówiła Yasmin. - Powinam wiedzieć. Sława jest ulotna. - Roześmiała się: był to dźwięk może bardziej melodyjny, niż miał być.

Daina milczała, błędząc myślami daleko, zajęta osuszaniem skóry. Wiał silny wiatr. Obserwując światło załamujące się jak pasma złotej nici na szczytach fal, żałowała, że nie może pojechać na ich grzbiecie w głębinę. Poczula ciepłą dłoń na ramieniu i aż podskoczyła. Przeszyło ją elektryzujące drżenie.

- Daina, dobrze się czujesz?

Owionął ją lekki korzenny zapach kobiety i na chwilę zamknęła oczy, rozděła nozdrza. Kiedy się odwróciła, jej twarz była całkowicie opanowana. Uśmiechnęła się.

- Jasne - skłamała. - Myślałam tylko, czy patrząc z tej strony można zobaczyć dom Chrisa i Maggie.

Ręka pozostała na jej ramieniu, tworząc między nimi most ciepła.

- Nie wolno ci o tym myśleć - rzekła Yasmin. - Przechowywanie takich smutnych myśli nie jest dobre. - Wyciągnęła drugą rękę, obróciła Dainę w swoją stronę, tyłem do brzegu. A ona pomyślała, że w tej chwili twarz aktorki jest rozkosznie delikatna, żywa, pełna współczucia, jakiego prawdopodobnie nie potrafi skopiować żaden mężczyzna! - Musisz być silna. Nie znajdziesz pociechy w słabości. My trwamy. My żyjemy. Tylko to ma znaczenie.

Daina poczuła, jak jakaś szczególna słabość ogarnia jej kolana. Znała to wrażenie, z college'u, z parnej nocy pod koniec maja w środku tygodnia egzaminów końcowych. Wtedy spotykała się z bratem Lucy, Jasonem, złotowłosym, muskularnym chłopcem pełnym energii. W czasie tego gorączkowego tygodnia próbowali trzymać się od siebie z daleka, ale nawet zdenerwowanie z powodu egzaminów nie było w stanie stłumić ich pożądania.

Pewnej nocy, gdy Lucy miała uczyć się u przyjaciela, przyszedł Jason. Jeszcze nigdy nie był tak podniecający, a Daina nigdy do tego stopnia nie zatraciła się we własnej namiętności. A potem, gdy był w niej głęboko, usłyszała szmer otwieranych drzwi sypialni i miękkie kłapanie bosych stóp. Poczula w łóżku ciężar kogoś trzeciego.

Później powtarzała sobie na okrągło, że przecież nie była świadoma otaczającej ją rzeczywistości, że większa część jej istoty była pochłonięta sybarytycznym pościgiem za rozkoszą. Poczula delikatne ręce pieścące jej plecy w sposób, który poruszał ją najbardziej, spiralami w dół do pośladków. Ręce objęły

pośladki, rozchyliły je powoli, długie palce wniknęły w wilgotną szczelinę i zaczęły poruszać się w górę i w dół, w górę i w dół, zgodnie z coraz bardziej pożądliwymi pchnięciami Jasona.

Jęknęła, wychodząc z siebie z rozkoszy, i wtedy poczuła na kręgosłupie dotyk piersi, twarde sutki muskały jej skórę, a kępka gęstych włosów wśliznęła się między rozwarłe pośladki.

Oderwała się od warg Jasona, odwróciła głowę, zobaczyła lśniąca, rozjaśnioną pożądaniami twarz Lucy tak blisko, że dziewczyna musiała pochylić się ledwie odrobinę, by nakryć jej usta własnymi. Śliski, ruchliwy język Lucy i jej gorący oddech okazały się jakby granicą intymności. Daina zadygotała i wraz z tą cielesną reakcją nadeszło zażenowanie. Mój Boże, pomyślała, co ja robię?

Z cichym krzykiem oderwała się od ust Lucy, od jej parzących sutfów. Owinęła palcami podstawę penisa Jasona, wyrwała go z siebie. On jęknął gardłowo i poczuła, że zaczyna szamotać się w jej rękach.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, nie nie! - I zerwała się ze zmiętych prześcieradeł, wybiegła z pokoju, mając dłonie gorące i lepkie od jego nasienia.

Wspominając raz jeszcze to zdarzenie, Daina płonęła ze wstydu. Nie tyle dlatego, że tak się stało, lecz na myśl, że owej nocy wiedziała, kto wsmyknął się do łóżka - wiedziała i chciała tego od początku.

Ze złością wyrwała się Yasmin.

- I o to chodzi! - zawołała aktorka, opacznie interpretując jej ruch.

- Gniew jest dużo lepszy od łez.

- Wyrosłam już z płakania - powiedziała Daina. Głos brzmiał dziwnie chrapliwie w jej własnych uszach. - Za każdym.

Yasmin podeszła i stanęła obok niej. Razem patrzyły na bezmiar Pacyfiku.

- Zresztą co nam zostało, za czym można by płakać? - zapytała cicho.

• Nam obu. - Targnęła końce zarzuconego na szyję ręcznika. - Wszystko przeminęło... całe to zgniłe gówno. A przeszłość jest zapomniana. - Westchnęła.

• Pamięta się ją tylko pod ścianą.

Daina odwróciła głowę, obrzuciła kobietę pytającym spojrzeniem.

- Och, wiesz - wyjaśniła Yasmin - pod Ścianą Płaczu. Nie patrz z takim zdziwieniem. Jestem na pół Żydówką... Sefardijką, stąd moja ciemna skóra; moja

matka jest Francuzką, ma jasną karnację i jasne włosy. W Jerozolimie, pod ścianą, jest wspominana... i czczona długa, pełna udręki historia Żydów.

- Oparła łokcie na poręcz z polerowanego drewna. W tej pozycji jej piersi opadły zmysłowo, pośladki napięły czysty jedwab majtek. Daina poczuła lekkie oszołomienie.

- Bardzo wcześnie wiedziałam - wyznała aktorka - czego chcę i nauczyłam się to zdobywać... za wszelką cenę. My, Izraelczycy, jesteśmy bardzo twardzi.

- Zatem dlaczego miałabyś odczuwać jakieś wyrzuty sumienia w związku z George'em? - zapytała ostro Daina. - Masz to, czego chciałaś. - Wiedziała, że w gruncie rzeczy jest wściekła na siebie, nie na nią.

Jeżeli Yasmin poczuła się urażona, nie okazała tego.

- Ostatecznie jestem tylko człowiekiem. - Uśmiechnęła się. - Mój ojciec też jest bardzo ludzki. Powiedział mi, że dzięki temu, że w czasie wojny był zmuszony zabijać wrogów.

- Jak myślisz, czy mógłby robić to znowu? - zapytała Daina. - To znaczy, zabijać.

- Tak - odparła bez wahania aktorka. - W obronie naszej ojczyzny. A co więcej, w chwili takiej konfrontacji nie ma miejsca na pytania dotyczące człowieczeństwa. Istnieje tylko kwestia przeżycia.

Daina pomyślała o Jean-Carlosie i jego słowach, gdy zapytała, jak wyrwał się z Morro Castle.

- Uduśliem strażnika - rzekł bez śladu dumy. - Nadarzyła się okazja. Zauważ, był to tylko ułamek sekundy. Nie było czasu na filozofowanie czy racjonalizację. I w owej chwili nauczyłem się właśnie tego: organizm posiada wolę przeżycia. Jest ona głębsza od wszystkiego innego. Nie mówię teraz o obowiązku czy bohaterstwie. To zupełnie inne sprawy.

Opisuję chwilę tuż przed śmiercią. Twoją śmiercią. Organizm posiada wolę, która wyzwala dodatkowy zapas energii.

Byłem bity i gdybym pozwolił, by trwało to dalej, z pewnością umarłbym tego dnia. Odrzucenie takiej okazji byłoby czystą głupotą. Moje poczynania nie były kwestią człowieczeństwa. Absolutnie. Przekazałem kontrolę nad swoim ciałem zwierzęciu. Pozwoliłem mu o siebie walczyć i ono to zrobiło. Ty, Daino, musisz

nauczyć się tego samego. Musisz nauczyć się nie bać się tej strony swego ja.

- Nie wiem, czy zdołam - odparła, myśląc o okresie bezwolności sprzed lat.
- Zobaczymy - powiedział Jean-Carlos, przyciskając pokryty bliznami palec

do nosa. - Zobaczymy.

- Yasmin...

Kobieta odwróciła głowę; długie” rozwiane granatowoczarne włosy musnęły policzek Dainy.

- Tak?

Daina już, już miała zadać pytanie - to samo, które, jak teraz była pewna, chciała zadać Lucy - lecz tak jak nie mogła wtedy, nie mogła i obecnie. Sparaliżował ją ten sam strach. Nie potrafiła zaakceptować tej części siebie; w grę wchodziło zbyt wiele. Kim bym się stała, pomyślała, co by się ze mną stało, gdybym zapytała Yasmin: Pójdiesz ze mną do łóżka?

Wytarła czoło rogiem ręcznika i zaproponowała:

- Może zjemy lunch? W kambuzie są zapasy.

Ale pod pokładem wszystko stało się jeszcze trudniejsze z powodu ograniczonej przestrzeni. Daina aż do bólu była świadoma smagłych ramion aktorki, jej gibkiej talii, zarysu lekko zaokrąglonego brzucha i gorąca, które zdawało się emanować spomiędzy jej ud. Ciemne wybrzuszenie wzgórka łonowego było zbyt wyraźne, niezależnie od tego, czy chodziła, siedziała czy stała.

- Powiem ci coś dziwnego - zaczęła Daina, by przestać myśleć o seksie. - Pamiętasz ten dzień, gdy Chris zabrał mnie z wytwórni?

Yasmin, smarując musztardą grubą kromkę pszennego chleba, skinęła głową. Wyjęła sałatę, pokroiła pomidora.

- I słuchaj, w czasie lunchu natknęliśmy się na kogoś, kogo Chris znał przed laty. Pomyślałam, że może to będzie miłe spotkanie, jednak tak nie było.

Aktorka pochyliła się, otworzyła lodówkę, wyjęła po puszcze piwa Lite dla obu. Ugryzła kanapkę.

- I?

• I wtedy poczułam zmieszanie. Ten facet był nachalny, lecz już wcześniej odniosłam wrażenie, że Chris nie chce mieć z nim do czynienia.

Yasmin otworzyła piwo.

- Może nigdy go nie lubił.
- Nie, nie, to coś innego. Myślę, że zaczynam to rozumieć. Chodzi o to, że ludzie z przeszłości przypominają nam, kim było się kiedyś i w pewien sposób pomniejszają to, kim jesteśmy obecnie. Ludzie są jak kotwice: można za nie łąpać w czas kłopotów, ale wtedy ciągną cię one w dół.

- Och, upodobania ulegają zmianie, człowiek zaczyna obracać się w innych kręgach.

- To nie wszystko. - Daina zaczynała dostrzegać, jak bardzo różne były Maggie i Yasmin. Wspomnienia o Maggie były pełne uzalania się, słabości, braku poczucia bezpieczeństwa. Były niczym zimne tchnienie zza grobu.

Aktorka przestała jeść i przyglądała się Dainie uważnie.

- Wiem - powiedziała. Nie spuszczać z niej oka, zanurzyła długie palce w słoiku z zielonymi oliwkami. Paznokcie zastukały, gdy wyjmowała z oliwki ziarnko ziela angielskiego. Jadła powoli, drobnymi kąskami, jakby delektowała się największym przysmakiem.

- Tak się dzieje, gdy człowiek staje się gwiazdą, prawda? Ty też to czujesz. Przydarza się to nam obu.

Yasmin wzięła oliwkę w palce, wyciągnęła rękę nad stołem.

- Masz - odezwała się cicho. - Otwórz buzię. - Gdy Daina gryzła oliwkę, ona powróciła do kanapki. - Nie nam obu, kochanie. Tobie. To dla ciebie pracuje Beryl. O tobie jest ten film. Nie myśl, że w studio tego nie czuć. Ludzie mogą być czasami głupi, lecz nie są idiotami.

Myślę, że tak naprawdę pierwszy zrozumiał to George. Nawet przed Marionem czy Rubensem. *Heather Duell* stała się lokomotywą. Wytwarza tak potężną siłę, że rozpędza się poza kontrolę. To dlatego Beryl ma takie urwanie głowy. To ona wpadła na pomysł, by zrobić tę dwunastostronicową kolorową wkładkę do ostatniego numeru *Yariety*. Bez słów... tylko fotosy: ty, ja, George, nawet Marion. Jednak ty byłaś z przodu i z tyłu. Projekt jest marzeniem wydawcy.

Daina, chociaż pracowała z tą kobietą od miesięcy, zaczęła w końcu postrzegać ją jako osobę, a nie tylko osobowość.

- Musisz być oburzona.
- O, nie. - Aktorka potrząsnęła głową, jej włosy przysłoniły jedno oko. -

Jestem zbyt wielką pragmatyczką. Wiem, że z taką budową... - podłożyła ręce pod ciężkie piersi i podrzuciła je, a Daina poczuła, jak ją ścisną w dołku; odwróciła głowę - nigdy nie dostanę roli głównej. Ostatnią aktorką, której się to udawało, była Sophia Loren, ale czasy wtedy były inne. - Wzruszyła ramionami, opuściła ręce, podniosła resztki kanapki. - Może, gdy skończymy, wyląduję w szpitalu - powiedziała z kęsem w ustach - i dam sobie zmniejszyć piersi. - Przeknęła, zmarszczyła brwi. - Co o tym sądzisz? - Czekala, aż Daina odwróci głowę i spojrzy jej w oczy. - Może tylko trochę, by zmniejszyć rozmiar miseczki z D na C.

Daina miała sucho w ustach.

- Chyba nie powinnaś niczego zmieniać. Twoje ciało jest twoją własnością. Dlaczego miałabyś oddawać je widzom?

• Dlaczego ty chcesz być gwiazdą? - zapytała poważnie Yasmin. Daina spuściła oczy i po chwili odrzekła:

- Zatem w porządku. Myślę, że to pomoże.
- Oczywiście!

Głos Dainy stał się ochryply z gniewu.

- Dopasowywanie się do wymagań mężczyzn budzi we mnie wstręt!
- Nie mężczyzn. Hollywoodu. To piekielna różnica.
- Sposób, w jaki na to patrzysz, jest obsceniczny!

Aktorka nakryła dłonią rękę Dainy. Pochyliła się lekko nad stołem i skierowała na nią swe czyste, szczere oczy. Była kobietą tak jak Daina; ich płęć łączyła je uświęconym węzłem, wcale nie seksualnym, raczej socjologicznym, może nawet antropologicznym.

- Co jesteś gotowa zrobić dla gwiazdorstwa, Daino? Jak mocno płonie w tobie ten ogień? - Jej palce zacieśniły się, wyciskając krew z ciała Dainy. Jej głos przeszedł w szept. - Jak bardzo tego pragniesz?

Daina patrzyła jej prosto w oczy. Zdawały się lustrami odbijającymi dwie maleńkie repliki jej samej i pomyślała, że odbicia poruszają się jakby z własnej woli.

• Bardzo. - Ona to powiedziała czy może odbite postacie? Yasmin siedziała absolutnie nieruchomo.

- A gdybyś musiała przespać się z Rubensem?
- Kocham Rubensa.

- A gdybyś musiała zachowywać się tak, jakbyś go kochała, żeby...
- Przestań! - Daina próbowała wyszarpnąć rękę. - Przerażasz mnie.

- Lecz jak mocno próbowała się uwolnić? Częściowo była zafascynowana. Słyszała echo słów Baby: „Nie pozwól traktować się w ten sposób, mała”. O, tak. Baba wiedział, na czym stoi, w porządku.

- Nie wierzę, że jesteś przerażona, wcale - oświadczyła z wiarą aktorka.

- Myślę, że chcesz się przekonać, że nie jesteś. - Znów zacisnęła rękę, jednak Daina nie poczuła bólu, jedynie jakby uderzenie prądem - tak różne od tego, które czuła z Rubensem, że wydawało się obce. - Myślę, że wiesz, o co mi chodzi.

- Tak - wyszeptała Daina. - W porządku, wiem. Sypiam z nim. Ale udawać miłość... nie wiem.

- Tak, wiesz. Jesteśmy jak dwie krople wody, Daino. O tym także wiesz. Poderwała głowę.

- Nie, nie wiem. Yasmin potrząsnęła nią.

- Popatrz na siebie - powiedziała z wymówką. - Jesteś taka roztrzęsiona. Czego się boisz?

Daina poczuła niepokojący skurcz w żołądku.

- Nie wiem, czego się boję.

- Och, wiesz. - Aktorka stała teraz bardzo blisko, jej zapach był bardzo silny.

- Wreszcie wiesz, czego chcesz. - Ujęła rękę Dainy tak, że dłoń leżała otwarta, wyczekująca. Daina poczuła siłę drugiej kobiety, gdy ta trzymała jej palce.

- Teraz musisz tylko wyciągnąć rękę i łapać. - Zacisnęła palce Dainy w pięść.

- Rubens chce, żebym wylała Monty'ego.

- I powinnaś - poradziła Yasmin. - To sprytne posunięcie; jedyne posunięcie.

- Jest coś...

- Zrób to, Daino.

- Jest lojalność...

- Lojalność nigdy nie pomogła nikomu zrobić kariery. Tobie też nie przyniesie nic dobrego.

Daina, nie otwierając ust, milcząco krzyknęła: Widzisz, jak to jest, Monty. Dla nich jesteś trupem. Ale dla mnie jesteś czymś więcej. Odwróciła się, kryjąc twarz przed wzrokiem Yasmin, i pomyślała: Co ja mam zrobić?

Malaguez wprowadził Heather i Susan do pralni. Susan sapnęła głośno na widok tego, co zrobili z Bockiem. Wyrwała się z rąk terrorysty, rzuciła przez pokój. Upadła na kolana, przycisnęła głowę przemysłowca do piersi.

- Malaguez - odezwał się El-Kalaam. - Miej oko na ludzi na zewnątrz. Wiesz, co robić. Przyślij Ritę. - Mężczyzna skinął głową i wyszedł. Chwilę później pojawiła się Rita z MP40 zarzuconym na plecy. Jej wielkie ciemne oczy skakały z Bocka na Susan i z powrotem.

- Zrobi, co chcemy?

- Niedługo - zapewnił ją El-Kalaam. Skierował uwagę z powrotem na przywiązanego. - Zjeżdżaj od niego - powiedział do Susan, a kiedy nie posłuchała, skinął ręką na Fessiego. Mężczyzna o oczach gryzonia szarpnął kobietę brutalnie za włosy, odchylił jej głowę w tył. Złapał ją drugą ręką i poderwał, chlapiącą, na nogi. Zabrał ją ze środka pokoju. Jego ręka błędziła po jej ciele.

El-Kalaam zbliżył się, pochylił nad Bockiem. Złapał brodę przemysłowca, podniósł mu głowę. Spojrzały na niego załzawione, nabiegłe krwią, niewidzące oczy.

- Jesteś przytomny, syjonisto? - Terrorysta zaczął uderzać go po twarzy, póki policzki nie pokryły się rumieńcami. - Tak, widzę, że już nie śpisz. - Zerknął na chwilę w górę, na Susan. - Jest tu pani przyjaciel. Pomyślałem, że dobrze będzie, jak w takiej chwili będziecie razem.

- W jakiej chwili? - zapytała kobieta. Toczyła dziko oczyma. - Co jeszcze chcesz z nim zrobić? - Zaczęła płakać.

El-Kalaam uszczypnął zakładnika tak mocno, że oczy przemysłowca oprzytomniały.

- Jest już dla ciebie za późno, Bock. Twój upór przekroczył wszelkie granice. Teraz ty jesteś odpowiedzialny za przebieg wypadków. My jesteśmy bez winy.

- Na twoich rękach jest już tyle krwi - wymamrotał mężczyzna. - Zbyt wiele krwi.

- Dość gadania. Patrz, to wystarczy.

Bock powoli odwrócił głowę. Jego oczy rozszerzyły się.

- Susan - wydyszał. - Co ona tu robi? - Wyglądał na ogromnie poruszonego.

- Ona pomoże nam wystawić małe przedstawienie.

- Nie. - Głowa przemysłowca przekręciła się z boku na bok. - Nie Susan, nie.
- Ależ, Bock, nie drocz się. To przedstawienie odbędzie się właśnie dla ciebie.

- Nie - powtórzył przywiązany, potrząsając głową. - Nie, nie nie.

- Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

Palce Fessiego zostawiły czerwone pręgi w miejscach, gdzie szturchały i naciskały ciało Susan. Terrorysta położył ręce na jej ramionach, zmusił ją do położenia się na podłodze. Zdjął pistolet, wycelował w jej głowę. Bock zaczął bełkotać.

- Na miłość boską! - wydyszała Heather.

- Zamknij się - rzucił ostrzegawczo El-Kalaam. Fessi wpatrywał się w czubek głowy Susan.

- Widzisz, co się stanie, Bock - powiedział El-Kalaam. - Widzisz, co twój upór sprowadzi na tę kobietę. - Zadzwoił telefon. Przywódca terrorystów skinął ręką na Ritę, która podeszła do aparatu stojącego na przewróconym łóżku. Susan skamlała. Fessi złapał ją tak mocno, że krzyknęła. W tle brzmiał cichy głos kobiety mówiącej do telefonu. - Będzie tak, jak wcześniej z tobą. Jej organizm się podda i ona zemdleje. A kiedy odzyska przytomność, wszystko zacznie się od nowa. - Fessi zacisnął kciuk i palec wskazujący na gardle Susan.

- El-Kalaam. - To był głos Rity. Zmroził ich wszystkich. - Premier na linii. - Jednakże mężczyzna nie poruszył się ani nawet nie odwrócił głowy, wpatrzony w groteskową scenę. - Jest szósta - rzekła cicho, ale wyraźnie.

- Czas zwolnienia naszych braci minął.

- Czego chce Pirat? - Twarz mu stwardniała.

- Chce przedłużenia terminu - odparła Rita. - Są problemy. Chce z tobą rozmawiać. Zapewnia nas, że...

- Przekaż mu - rzekł z udanym spokojem El-Kalaam - żeby wyciągnął swoją starą fotografię.

- Nie chcesz... - Wyciągnęła ku niemu słuchawkę.

- Powiedz mu to i rozłącz się.

Terrorystka zrobiła, co rozkazał.

Bock, który przez cały czas patrzył na Susan i El-Kalaama, jęknął i znów

zaczął popadać w omdlenie.

Przez twarz przywódcy terrorystów przemknął wyraz pogardy i odrazy, gdy patrzył na wijącego się przed nim przemysłowca.

- Nic nam po nim - stwierdził. - Nic. Może z wyjątkiem lekcji, jakiej musi nauczyć się Pirat.

Sięgnął do kabury na prawym biodrze po ciężki wojskowy pistolet automatyczny kalibru 45. Wyjął go, przełożył do lewej ręki. Złapał Heather, podprowadził do skulonego Bocka.

- Rita - szczerknął - wyceluj w głowę kobiety.

Rita przyłożyła lufę automatu do prawej skroni Heather. Ta otworzyła usta i zaczęła dygotać.

- Teraz, morderczyni królików - zwrócił się do niej El-Kalaam – zobaczymy, z jakiej jesteś gliny. - Ostrożnie włożył jej w rękę własną czterdziestkę piątkę. Po kolei zacisnął jej palce na rękojeści. - Twój mąż chciał się ze mną założyć. Powiedział, że umiesz strzelać. Jesteś myśliwym, prawda? W porządku. Musisz jedynie pociągnąć za spust. - Podeszedł bliżej. - Popatrz tylko! Nawet nie musisz celować.

Heather wlepiła oczy w olbrzymi pistolet.

- Połóż palec na spuście - nakazał prawie uprzejmie El-Kalaam. - Twój mąż powiedział, że wiesz, jak się strzela. Czy chcesz zrobić z niego łgarza?

- James nie kłamie. - Przyłożyła palec do spustu.

El-Kalaam położył rękę na lufie pistoletu. Podniósł ją lekko, celując między oczy przemysłowca. Heather spojrzała wzdłuż lufy na zlaną potem, zwróconą w górę twarz Bocka. Jego oczy wyskakiwały z orbit, a z piersi dobywał się dziwny charkot.

- Pociągnij za spust, Heather. - Terrorysta po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Kobieta wzdrygnęła się. - Pomyśl, że to tylko przerażony królik. Zabiłaś wiele królików.

Powoli zamknęła oczy. Łzy zaskrzyły się w ostrym świetle. Spłynęły po policzkach, opadły, lewa-prawa, na podłogę u jej stóp.

- Ile królików zabiłaś, Heather? - Głos El-Kalaama znów się zmienił, złagodniał jeszcze bardziej. Terrorysta był teraz mądrym starym wujaszkiem, którego rad słucha się bez pytania.

- Wiele. - Szepnęła. Jej oczy nadal były szczelnie zamknięte. Głowa trzęsła

się lekko.

- Wiele. - El-Kalaam skinął głową. - Iw tych wszystkich przypadkach, gdy miałaś na muszce łebki królików, czy kiedykolwiek zastanowiłaś się nad ich życiem? - Nie odpowiedziała. Wyciągnął rękę. - No cóż, mamy tu po prostu jeszcze jednego królika. Wyobraź sobie te okrągłe bezmyślne ślepka, to jasne futerko. Tak dobrze smakuje w czymś rondlu, co?

Otworzyła oczy i spojrzała na Bocka. Zaczęła drżeć, głowa kiwała jej się na boki.

- Nie mogę. Nie mogę.
- Możesz i zrobisz to - oświadczył El-Kalaam. - Bo inaczej... - Rozległ się ostry szczęk, gdy Rita odwiodła zamek pistoletu. Heather drgnęła. - Rita będzie zmuszona cię zabić.

Kobieta zacisnęła palce lewej; ręki na prawym nadgarstku, wyprostowała rękę. - Popatrz - odezwała się terrorystka. - Może to zrobić.

Heather zobaczyła cel. Wpatrywały się w nią oczy Bocka. Jej palec przywarł do spustu, ale w chwili gdy go nacisnęła, przesunęła ręce. Huk automatycznej broni był ogłuszający. Tynk posypał się z sufitu.

- W porządku - powiedział El-Kalaam. Heather zaczęła dygotać.

Wyjął czterdziestkę piątkę z jej ręki, przyłożył ją do głowy zakładnika. Pociągnął za spust. Kula weszła przez lewe oko. Przemysłowiec poderwał ręce. Trysnęła krew, obryzgując stojących. Bock wpatrywał się w Heather ocalałym okiem. Przechylił się na bok i upadł.

- Na tym polega różnica - powiedział przywódca terrorystów - między tobą a mną. Ja wiem, kiedy zabić; ty nie.

Naturalne światło zniknęło z nieba, zastąpione przez odległy neonowy blask chandlerowskiej nocy w L.A. Gdzieś daleko, daleko, palmy i jacarandy szumiały w gorącym powietrzu, a kojoty warczały na okazałych wzgórzach. Ale nie tutaj.

Z bliska huk symulowanych wystrzałów brzmiał jak trzask fajerwerków. Potężne reflektory płonęły na strzelnicy, gdzie ćwiczyli statyści, spychający przy okazji gęstniejącą ciemność do jednej izolowanej kieszeni.

Daina z dziwnym dystansem widziała siebie siedzącą w półcieniu, głównym aktorze zapadającego zmierzchu. Łagodny koniec dnia spowijał ją niczym futro z

soboli.

Pomyślała o dniu kręcenia i zadrzała lekko. Wokół niej piął się czarny szkielet skomplikowanych konstrukcji oświetleniowych, który wydał się jej fizycznym ucieleśnieniem filmu. Szkielet samego filmu już stał i codziennie przybywało mu ciała: ścięgien, mięśni, skóry, i teraz budził się do życia, jak jakaś groźna mityczna bestia, którą zdołali wyczarować dzięki swej wyjątkowej mocy. Widzieli zdjęcia próbne - Marion, wychodząc z siebie z radości, upierał się przy nich - i byli oszołomieni. Nawet załoga. Zwłaszcza załoga: sterana banda, która widziała to wszystko. *Heather Duell* rodziła się naprawdę i jej moc była straszliwa, niezaprzeczalna.

U jej stóp piętrzyły się dowody: tygodniki *Variety*, *Hollywood Reporter* i *Daily Variety*. Wszystkie zawierały artykuły na temat filmu i niej samej. Artykuł w *New York Timesie* był bardziej pochlebny, niż mogła się spodziewać. Pozornie dotyczył *Heather Duell*, jednak naprawdę koncentrował się na niej. „Szybująca na skrzydłach swej najnowszej roli głównej w »Heather Duell«, Daina Whitney pretenduje do tytułu najśłynniejszej damy Hollywood. Według znanej publicystki Beryl Martin i kilku znaczących dyrektorów Twentieth Century Fox...”

Teraz było bardzo cicho. Nawet statyści, nauczycywszy się, jak symulować zabijanie, odeszli.

Absolutna ciemność zapadła nagle jak na pustyni: niespodziewany rozbłysk ciemności. Daina odwróciła głowę, jakby coś usłyszała.

Wreszcie wstała, zostawiając czasopisma. Czuła tę silną satysfakcję, której doświadczają wyłącznie artyści - malarze, pisarze, aktorzy: rodzenie się i umieranie w ciągu jednego życia, powtarzające się z każdym nowym pomysłem.

Wyciągnęła ręce w górę, do nieba. To dlatego zostałam aktorką, pomyślała. Aby poznać to uczucie. Lecz rozumiała, że chodzi o coś więcej. O kontrolę nad własnym życiem. To była spuścizna, jaką wyniosła z *Nova Bourlesque House*.

Zaczęła się zastanawiać po raz dziesięcioty sieczny, co było ważniejsze dla Denise: jej zmysłowe życie na wyświechtanych deskach sceny *Nova* czy wytężona praca, jaką wkładała w robienie doktoratu.

Szybko ruszyła po metalowych stopniach do swej przyczepy, jej obcasy dźwięczały jak młotki na kowadle; szła przez zalany światłem tarmakadam w kierunku rzeczywistości - czy odsuwała się od niej? Naprawdę nie była pewna.

Ogień płonął w ogromnym kominku. Już to samo w sobie było dziwne. Na stoliku z mosiądzu i drewna w dwóch schludnych stosach leżało osiem ośmiokątnych kaset ze szpulami 35-milimetrowego filmu.

- Maria! - zawołała Daina. Nie było odpowiedzi, choć gospoia powinna dziś zostać do późna. Daina postawiła walizki w korytarzu, z daleka od el Greca. W drodze ze studia wstąpiła do swego domu, by zabrać wszystkie potrzebne ubrania. Już zdecydowała, że resztę dokupi.

Przecięła wielki salon. Żywe kolory ognia kontrastowały z zimnym błękitem i zielenią syreny o tłustym zadku; oblewały jej twarz nienaturalnym żarem, przez co wydawało się, że syrena krzywi się z odrazą na szczycie swej skały. Daina podeszła do stołu. Metalowe pojemniki nie wyróżniały się niczym szczególnym. Podniosła jeden, zobaczyła wymalowany czarnymi literami tytuł *Ponad tęczę* i, tuż pod nim, ręcznie dopisane płynnym pismem: „Reżyser: Michael Crawford. Scenarzysta: Benjamin Podell”. Zanim odłożyła kasetę, odwróciła ją pokrywą w dół. Ta i najwyższa w drugim stosie były odwrócone. Zostawiła taśmy tak, jak je zastała.

- Obawiam się, że w ten piątek muszę wyjechać do Nowego Jorku. Ale po stronie plusów - właśnie dzwoniła Beryl...

Odwróciła się i zobaczyła Rubensa wychodzącego z ich sypialni. Dziwne, że pomyślała o niej w ten sposób. W milczeniu wskazała walizki. Rubens zatrzymał się, zapinając zegarek, spojrzał na jej bagaże.

- Więc to się stało naprawdę. - Wyglądał na dość zaskoczonego.
- Podjęłam decyzję rankiem, w dzień śmierci Maggie. Popatrzył na nią pytająco.

- Nie rozumiem.

- Śmierć sprawia, że inaczej patrzysz na życie. Maggie była, a potem zniknęła. Wszystko ma swój kres, pełny ostrych krawędzi, które rozedrą ci brzuch, jeżeli zabrniesz za daleko. - Oblizła wargi, czując suchość w ustach. - Chcę ciebie.

Podszedł do niej powoli. Obserwowała jego ruchy - od pasa w dół poruszał się jak tancerz.

- A co z Chrisem? - zapytał.
- A co ma być?^ Był już blisko. Czują jego ciepło.
- Jak mi się wydaje - odparł spokojnie - jego także chcesz.

- Chris jest moim przyjacielem. Ty jesteś moim kochankiem. Nie rozumiem cię.

- Nie jestem pewien, czy kobieta i mężczyzna mogą być tylko przyjaciółmi, Daino. Szczególnie gdy tym mężczyzną jest Chris Kerr.

- Najpierw Maggie, teraz ty.

- O co chodzi? - zapytał ostro.

- Maggie oskarżała mnie o to samo. - Spojrzała na niego. - Pamiętasz, w tę noc, gdy błagałeś, bym została z tobą.

- Z pewnością nie błagałem.

- Nie odchodź, Daino. - Doskonale naśladowała jego głos, wkładając w niego właściwy ładunek emocji. Imitacja była tak wierna, że nawet ona sama była zaskoczona. - Nie teraz. Nie tej nocy. Proszę.

Na chwilę twarz mu poczerwieniała aż po szyję i Daina zobaczyła coś twardego w jego oczach. Potem wszystko zniknęło i mężczyzna roześmiał się. Nadal nie pozwalała mu się dotknąć.

- Chcę to ustalić - oświadczyła. - Życie seksualne Chrisa to jego sprawa. Nie ma nic wspólnego ze mną.

- Chcesz powiedzieć, że jest inny od wszystkich?

- To ja nie jestem jak inne - poprawiła go cicho, lecz dobitnie.

- Wiem - wyszeptał. Jego usta znalazły się w jej włosach. Poczula, jak rozchylone wargi muskają konchę jej ucha i zamknęła oczy.

- Zapomnij o tym - rzekła, obejmując jego szerokie ramiona, rozkoszując się twardością jego mięśni. - Wszystko, co słyszysz, to kłamstwa.

- Przykro mi, ale pochodzą z więcej niż jednego źródła. Odsunęła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Och, z jakiego?

Podał jej parę nazwisk, a ona zaczęła się śmiać, kiwając do siebie głową.

- Co w tym zabawnego? - zapytał z rozdrażnieniem.

- Och, tylko to, że ich wszystkich łączy jedna rzecz.

- Co?

- Wszyscy są przyjaciółmi Tie.

- Nie rozumiem. Przytuliła go do siebie.
- Myślę, że Tie bardziej boi się mnie niż Maggie. - Zamierzała powtórzyć mu rozmowę odbytą na pogrzebie, ale to nie wydawało się zabawne. - Podejrzewam, że zależy jej na Chrisie.

- Czy nie żyje z tym drugim... Nigelem Ashem?
- Tak, jednak coś takiego nigdy wcześniej jej nie przeszkadzało. Myślę, że Chris jest jedynym z grupy, z którym nie spała. Widzisz więc... - pocałowała go - ta kampania została rozpoczęta na twoją korzyść.

- Och, zobaczymy.

Wyczuła przenikającą go iskrę gniewu. - Nie, Rubensie. Dajmy temu spokój.

- Nikt nie będzie robił ze mnie idioty.

- Nikt nie będzie robił z ciebie idioty. - Złapała go pod brodę, zajrzała mu w oczy. Są takie piękne, pomyślała. - Poza tym, chcę, żebyś pozwolił mi tym pokierować.

- Nie... - Przerwał, może zobaczywszy coś w jej oczach; coś, czego nie dostrzegł wcześniej. Skinął głową.

- Teraz, gdy to uzgodniliśmy, zdradź mi, co ma do powiedzenia Beryl.

Obdarzył ją smutnym uśmiechem.

- To właśnie mnie poruszyło, poważnie. Oznajmiła, że ten romans z Chrisem - niezależnie od tego, czy to prawda - gwarantuje ci potężne artykuły na łamach takich magazynów jak *Rolling Stone* i *People*. Najwyraźniej w *The Dancers*, gdy byliście tam z Chrisem, było też wielu fotografów. Beryl ma mnóstwo zdjęć.

- Zatem będę musiała podziękować Tie, prawda? - Uśmiechnęła się.

- O, tak. Wyobrażam sobie, że to zrobisz. - Złapał ją za rękę. - Chodź. Wnieśmy walizki.

Gdy wrócili do salonu, zapytała go o kominek.

- Czy nie jest trochę za ciepło?

- Nie rozpałem go dla ciepła - odparł. Zadzźwięczał dzwonek i Rubens zerknął na zegarek. Nie poruszył się. Interesy - rzucił. - Mikę Crawford i Ben Podell. - Wspomniała kasety z filmami na stole obok kominka. - Pamiętasz ich.

- Nie znam ich zbyt dobrze.

- Och, poznasz, nim wyjdą - zapewnił ją w drodze do drzwi.

Crawford był chudym Australijczykiem o rumianej cerze. On i krzepki Podell o włosach barwy piasku byli twórcami telewizyjnego serialu komediowego, który w czasie pierwszego sezonu znalazł się na szczycie listy rankingowej. Robili go przez dwa lata, renegocjując swój kontrakt i wysuwając podniebne żądania, a potem odeszli do filmu. *Ponad tęczę* był ich pierwszą kinową produkcją. Obaj mieli pod trzydziestkę i, jak Daina zauważyła, obaj byli arogancy i nadmiernie pewni siebie, co bez wątplenia wynikało z powodzenia w telewizji. Jednakże Rubens wyczuł, że są obdarzeni talentem na tyle oryginalnym i silnym, że postanowił zaryzykować.

Był promienny i tryskał dobrym humorem, gdy prowadził ich długim korytarzem do salonu.

- Znacie Dainę - powiedział, machając w jej stronę.

- Jasne - odparł Crawford. Podell skinął głową na powitanie. Był spięty, jego krótkie palce spletały się i rozpletały. Crawford usiadł na kanapie, naprzeciwko kominka, opierając kostkę jednej nogi na kolanie drugiej. Był ubrany w oliwkowy płócienny garnitur, pod którym miał rozpiętą do piersi koszulę w żółte i szare pasy. W rudych włosach na torsie spoczywał złoty medalion.

Podell miał na sobie spłowiałe dzinsy i podniszczone sportowe buty firmy Nike. Nie nosił skarpetek. Na żółtej koszulce widniał błękitny napis k[^], „Coors Beer”. Jasne kolory sprawiały, że wyglądał na cięższego, niż był w rzeczywistości.

- Drinka? - zapytał gospodarz zza baru.

- Hej, świetnie! - zawołał z entuzjazmem scenarzysta. - Daj mi piwo.

- Kiedy mówił, jego twarz przekształcała się w gumową maskę.

- Mikę?

Reżyser podrzucał nogę na kościstym kolanie.

- Och, szkocka wystarczy. Czystą, proszę.

Gdy wszyscy dostali drinki, Rubens wyszedł zza baru. Podell, pijąc piwo z butelki, zapytał:

- No, o co chodzi? Powinniśmy kręcić, nie byczyć się tutaj jak członkowie jakiegoś cholernego klubu. Mamy robotę!

Crawford podniósł szkocką do ust, nachmurzył się.

- Nie, Benny - powiedział, nie patrząc wcale na Podella - ktoś musi okazać trochę tolerancji. Ostatecznie można sobie wyobrazić, że pan Rubens miał

dostatecznie dobre powody, by zwołać to zebranie.

- Nigdy nie ma dostatecznie dobrych powodów - stwierdził scenarzysta.

Dopił piwo i beknął głośno. - Masz jeszcze jedno?

Gospodarz machnął w stronę baru.

- Weź sobie.
- Ale, wiesz - zaczął reżyser powoli, jakby po głębokim namyśle
- Benny ma trochę racji. Została nam góra roboty z tym filmem.

Daina doszła do wniosku, że obserwuje przedstawienie wędrownych minstrelów. I obaj byli w tym niezli. Odgrywali swoje role tak dobrze, że człowiek nie zdawał sobie sprawy, ile pracy w to wkładają. Rubens wstał jakby na dany sygnał.

- Tak, no cóż. - Udawało mu się patrzeć na obu na raz. - Obawiam się, że trzeba będzie obciąć budżet.

Przez chwilę jego słowa wisały w powietrzu niczym obdarzone życiem sople lodu. Potem ciszę przerwał śmiech Crawforda. Był to najdziwniejszy dźwięk, jaki Daina kiedykolwiek słyszała, cienki i ostry jak szpikulec.

Australijczyk, kołyszając się, bił rękoma po udach.

- Dobry Boże, Benny, nie znasz się na żartach?

Podell jednakże wyglądał tak, jakby miał zamiar przylać komuś butelką piwa.

• To nie żarty, Michael - oświadczył Rubens. - Schulyer mówi, że wszystko wymknęło się spod kontroli.

- A co ten fiut, do diabła, może wiedzieć! - zawołał scenarzysta.

- Tworzymy arcydzieło. Wszystko musi być dobrze.

• Nie - przerwał Rubens. - Wszystko musi mieścić się w budżecie. Crawford chrząknął głośno, by uprzedzić Podella.

- Myślę, że to, o co nas prosisz, jest bardzo trudne - rzekł lodowato.

- Zaczęliśmy ten film z pewną wizją. Podpisaliśmy kontrakt z tobą, bo byliśmy pewni, że zaopatrzysz nas w... hmm... środki do jej zrealizowania.

• Przekroczyłeś budżet o prawie cztery miliony, Mike. Podell w pogardliwym geście poderwał ręce.

- Chryste, to tylko forsa!

• Myślę - zaczął reżyser, wstając; najwyraźniej miał dość tego, że

producent patrzy na nich z góry. - Myślę, że Benny ma niezłe wyczucie chwili.

Nie weszliśmy w ten film po to, by dyktowano nam warunki.

- Chyba się nie rozumiemy, Michael - stwierdził Rubens. - Gdybyście zachowywali się rozsądnie, zamiast pozwalać scenografowi na zamawianie neonowej dekoracji wartej ćwierć miliona dolarów...

- Widziałeś to ujęcie? - wyskrzeczwał scenarzysta. - Jest cholernie dobre, człowieku!

- ...gdybyście zachowywali się odpowiedzialnie - kontynuował Rubens tak, jakby nikt nic nie wtrącił - nikt nie dyktowałby wam niczego.

- Widziałeś scenę, o której mowa? - Crawford miał niejakie kłopoty z utrzymaniem nerwów na wodzy.

Rubens skinął głową.

- Nie jest warta pół miliona dolarów, które wydałeś.

- Chryste, a ile jest warta? - chciał wiedzieć Podell.

- Nigdy nie powinna być kręcona.

- Myślę, że pan Rubens przesadza, żeby osiągnąć cel, Benny. - Australijczyk wszedł po schodkach na główny poziom salonu. - I teraz, gdy przykłądnie nas ukarał, jestem pewien, że spokojnie możemy wrócić do roboty.

- Mikę - rzekł zimno producent - chyba nie rozumiesz. Nie ruszymy przed ponownym zrewidowaniem budżetu. Wszystko musi zostać uproszczone.

- Zwariowałaś! - wrzasnął scenarzysta. - Co ty sobie wyobrażasz?!

- Chwileczkę - wtrącił Crawford, kładąc rękę na ramieniu partnera.

- Pozwól mi to wyjaśnić. Dajesz nam ultimatum?

- Mówię tylko, co trzeba zrobić, chłopcy - oznajmił dyplomatycznie Rubens. -

To nie więcej, niż robi każdy szanujący się producent.

- Chryste, słuchaj tych bredni! - zawołał Podell. - Nie idę na to! Rubens nie skomentował, a po chwili reżyser powiedział:

- Myślę, że Benny ma rację, Rubens. - Uśmiechnął się nieznacznie.

- Jeżeli odejdziemy z tego filmu, będziesz do tyłu na dziesięć milionów.

- Przekrzywił głowę na bok. - Myślę, że to lekka przesada. - Machnął czerwoną ręką. - Poza tym właśnie przechodzimy do Warners. Rwali się, byśmy robili u nich.

- Tak - potwierdził producent, kiwając głową. - Rwali się. Daina zastanowiła się, dzięki czemu te słowa zabrzmiały tak lodowato. Crawford jakby otrząsnął się z nich.

- Wszystko sprowadza się do pieniędzy.

- Może - przyznał Rubens. - Ale nie pracujecie dla Warners. Ani dla Twentieth, Columbii, Paramount, Filmways, U A i czego tam jeszcze.

Scenarzysta odwrócił się do partnera, przecesał palcami długie, zmierzwiłone włosy.

- O czym ten sukinkot mówi?

Reżyser nie poruszył się. Stał, patrząc Rubensowi prosto w oczy.

- Nie myśl o tym...

- Co jest? - zawołał Podell.

- Benny, on blefuje.

Rubens wskazał kciukiem za siebie.

- Spływać, chłopcy.

Crawford zaklaskał językiem.

- Spoko, spoko, Rubens. Jesteś dobry. Dość dobry, prawdę mówiąc. W ABC próbowano zrobić z nami to samo po naszym pierwszym sezonie, kiedy zażądaliśmy więcej forszy. Ostatecznie mieliśmy prawo. Robili na nas majątek. Chyba zgodzisz się, że byliśmy uprawnieni do proporcjonalnego wynagrodzenia. - Znowu przekrzywił głowę. - Nie? Cóż, nieważne. W końcu poddali się. Oczywiście. Nie mieli wyboru. Mieli wszystko do stracenia. - Uśmiechnął się złośliwie. - Tak jak ty. Wszystkiego dziesięć milionów dolarów.

- Zapytam po raz ostatni. - Producent mówił tak, jakby Australijczyk nie wyrzekł ani słowa. - Usiądziecie ze mną i zmienicie budżet *Ponad tęczę!*

- Rubens, popełniasz olbrzymrząd. - Crawford mówił lodowatym tonem. Miał ponury wyraz twarzy i Daina zauważyła, że drży lekko. - Zamierzamy odejść. Ale kiedy znów będziesz chciał z nami rozmawiać - a obaj wiemy, że do tego dojdzie - będziemy negocjować całkiem nowy interes. Więcej forszy, więcej warunków. Nie wiem ile. Musimy pogadać z naszym prawnikiem. Zapłacisz za to, że tak nas potraktowałeś.

Przestał mówić, gdy Rubens podszedł do stołu obok kominka. Przyglądał się,

jak producent podnosi kasetę z bliższego sobie stosu.

- Wiecie, co to jest? - zapytał Rubens. Podell prychnął.
- Puszka gówna, człowieku. Film, film, film. Widzimy je codziennie.

Rubens przekręcił kasetę na bok.

- Hej! - zawołał scenarzysta. - Kurwa, tam jest nasz film! Dawaj go, skurwielu!

Lecz reżyser przytrzymał go.

- Co masz zamiar z nim zrobić, Rubens? - W jego głosie zabrzmiała pogarda.

Producent zdjął wieko, wyjął szpulę. Była nawinięta po brzegi. Wzruszył ramionami.

- A co innego mogę zrobić? Pójdzie do ognia.
- Och, śmiało, Rubens - rzucił drwiąco Australijczyk. - Chyba nie spodziewasz się, że uwierzemy, iż naprawdę niszczysz film. To tylko naświetlony negatyw...

Jednak Podell, cierpiąc katusze niepewności, już skoczył. Jego palce gmerały przy zewnętrznym skraju szpuli. Rozwinął kawałek filmu, spojrzął. Chrapliwy krzyk wystrzelił z niego jak kula z pistoletu.

- Jezus, Maria, Józefie święty! To prawdziwy materiał! Crawford rzucił się na rolkę.

- Daj mi zobaczyć! - Półśmiech zniknął i skóra na jego twarzy poszarzała. Spojrzął w górę, jakby w przestrzeń. - Mój Boże, to nasze dziecko!

Rubens wyjął mu film z ręki.

- Nie rób tego! - krzyknął reżyser.

Ale było za późno. Szpula wirując wylądowała dokładnie na szczycie porządnie spiętrzonych kłód. Liznęły ją płomienie.

- Matko boska! - Crawford zakrył twarz rękoma, lecz scenarzysta, rozwścieczony, rzucił się na kolana przed paleniskiem. Płomienie zabarwiły na pomarańczowo jego spoconą twarz, gdy wsuwał drżące palce po płonący film. Wrzasnął raz, krzywiąc się, gdy ogień ukąsił czubki palców, nie zrezygnował, krzyknął drugi raz, nim Daina odciągnęła go na bok. Z paleniska bił żar i ostry, duszący dym kłębił się czarno w czeluści komina. Podell szlochał.

- Rubens! - krzyknął udręczony Australijczyk. - Zrób coś, na miłość...

Producent zrobił dwa kroki w stronę kominka, sięgnął szybko w płomienie i wyciągnął szpulę. Spojrzał na nią prawie niefrasobliwie, lecz tylko Daina to zauważyła.

- Nie wiem, czy da się uratować, Michael, naprawdę nie wiem.

- Musi być jakiś sposób.

- To będzie wymagało mnóstwa ciężkiej pracy, mnóstwa cięć, mnóstwa zwolnień. Ten scenograf będzie musiał odejść.

Crawford podniósł głowę, rozumiejąc wreszcie, o czym mówi Rubens.

- Sukinsyn - wyszeptał. Stać go było tylko na to. Incydent wyprał jego głos z emocji. - Sukinsyn.

- To tylko wasze ego wchodzi wam w drogę - wskazał uprzejmie Rubens. - Skądinąd tworzycie parę bardzo utalentowanych chłopców, poważnie.

Później, w nocy, po ich wyjściu, kiedy leżeli razem w łóżku i Daina czuła się rozkosznie śpiąca, przewróciła się na bok i zapytała:

- Spaliłbyś negatywy, Rubensie?

- Oczywiście. Jestem słowny. - Potem zaczął się śmiać. Śmiech brzmiał jak słaby strumyk, który stopniowo rozrasta się w wartki potok wpadający do morza. - Ale, rozumiesz, to nie miałyby znaczenia. Tylko pierwsze dwieście stóp było warte zachodu. Reszta była dokładnie tym, co powiedział Crawford: naświetlonym negatywem. Śmieciem.

Słyszała jego powolny oddech. Zdawał się on obejmować jej wszechświat.

El-Kalaam kazał sprowadzić Davidsona i MacKinnona. Obaj stanęli jak wryci, widząc przed sobą skulonego na podłodze Bocka, Susan klęczącą z pochyloną głową. Przemysłowiec był zlany krwią, krew była wszędzie.

- To karygodne - powiedział MacKinnon, potrząsając srebrną głową.

- Morderstwo bez skrpułów.

- Polityczny oportunizm - poprawił El-Kalaam, powoli zapalając cygaro.

- Wy dwaj rozumiecie to bardzo dobrze.

- Rozumiem, że nie jesteś lepszy od pospolitego bandyty - odezwał się Davidson. - I pomyśleć, że sympatyzowałem z Palestyńczykami. - Zadrżał.

- Teraz nie jestem pewien. Może przekonaliście Emouleura. Ale on jest młody i naiwny.

- Toczmy wojnę - rzekł ze złością El-Kalaam. - Jesteśmy do tego zmuszeni. Stawką jest nasze życie.

- To nie jest powód...
- Zabijanie niewinnych ludzi... - zaczął MacKinnon.
- W czasie wojny nie ma niewinnych... wszyscy są mięsem armatnim. - Przywódca terrorystów wskazał na ciało Bocka. - Wynieście go. Połóżcie przy frontowych drzwiach. Malaguez wami pokieruje. Podrzucimy go Izraelczykom. Może, wbrew sobie, pomoże nam nieco.

Malaguez, który towarzyszył im w pralni, podniósł pistolet maszynowy, a oni schylili się, złapali martwego przemysłowca między siebie i wyciągnęli go za drzwi.

Heather, puszczonej przez El-Kalaama, podeszła do Susan. Pochyliła się, delikatnie ujęła w ręce jej głowę. Podniosła twarz brunetki, gwałtownie wciągnęła powietrze. W jej oczach nie było śladu rozsądku. Były puste, nierozumiejące.

- Susan - wyszeptała. A potem bardziej nagłaco: - Susan! - Kobieta milczała, jej oczy nadal były pozbawione wyrazu, zapatrzone w przestrzeń.

- Mój Boże! - krzyknęła Heather. - Popatrz, coś jej zrobił. Złamałeś ją! Fessi płynnym ruchem złapał ją za nadgarstek.

- Niech ona cię nie obchodzi. Heather poderwała głowę.

- Bydlę. Potwór. Zabieraj łapy! - Wściekłość oblała rumieńcem jej policzki i szyję.

Mężczyzna zachichotał, położył rękę na jej piersi, ścisnął.

- W każdym razie będziesz lepsza od niej.
- Zostaw ją, Fessi - polecił El-Kalaam. Odciągnął kobietę od terrorysty. Chrząknął, odwracając ją plecami do Susan. - Daj sobie z nią spokój. Ona jest niczym.

- Tak - powiedziała, patrząc mu w twarz. - Teraz rozumiem. Spełniła swoje zadanie. Nie jest tak? Teraz znaczy dla ciebie tyle, co kawałek mięsa.

- Była nim, w chwili gdy weszła do tego pokoju - oświadczył El-Kalaam. Wyjął cygaro z ust, przysunął twarz do jej twarzy. - Ale mięso nadal może spełniać swoją rolę, co? Może zostać zjedzone.

- Ona jest człowiekiem. - Heather płakała. - Zasługuje, by...

- Idź zajmij się mężem - rzekł łagodnie. - Na pewno umiera z głodu.

Puścił jej rękę, skinął na Ritę. Heather odwróciła się i, z Ritą za plecami, wyszła z pokoju.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała, gdy znalazły się w korytarzu.

Terrorystka skinęła głową na zgodę.

Nie było drzwi, nie było cienia prywatności. Heather odwróciła się zaskoczona, gdy Rita weszła za nią.

- Nie mogłabyś zaczekać na zewnątrz?

Rita zmierzyła ją wzrokiem.

- Nie, nie mogłabym - oznajmiła zimno. Poderwała brodę. - Lepiej się pospiesz. Masz dwie minuty, nim cię wyciągnę.

Przez chwilę Heather stała niezdecydowanie. Potem podeszła do sedesu. Rita nie spuszczała jej z oka i powoli twarz kobiety pokryła się rumieńcem.

Po powrocie do salonu zobaczyła Rachel zgarbioną nad zwłokami Bocka. Jej ramiona wznosiły się ciężko. Heather zbliżyła się do niej, objęła jej plecy. - Był dla mnie jak wujek - wyszlochała dziewczyna. Próbowała wytrzeć łzy. - Był dla mnie taki dobry. - Odwróciła się, by spojrzeć na Heather. - Co oni mu robili?

- Musisz o nim zapomnieć, Rachel. On odszedł.
- Powiedz mi! - krzyknęła przeszywająco. - Muszę wiedzieć!
- Nie, nie musisz. - Heather podniosła Rachel, odeszła z nią od ciała Bocka.
- Pamiętaj go żywego - rzekła. - Nie martwego. Dziewczynka oparła głowę na jej ramieniu.

- Nie będę płakać. Nie przy nich.

Pojawił się Malaguez, podszedł do nich. Złapał Rachel za rękę.

- Masz iść do El-Kalaama - oznajmił. - Dzwoni twój ojciec. - Popchnął Rachel przed sobą. Zniknęli w korytarzu.

Heather podeszła do męża. Nie poruszał się. Krew przestała płynąć z ran, lecz był bardzo blady i kobieta zobaczyła, że ma trudności z oddychaniem.

- Och, Jamie - wyszeptała, klękając przy nim - gdybym tylko mogła coś zrobić. Czuję się taka bezradna.

Otworzył oczy, uśmiechnął się do niej.

- Możesz coś zrobić.
- Co? - Na jej twarzy malowało się zmartwienie i niepokój. - Cokolwiek.

- Obiecuj mi, że nie poddasz się... nawet po mojej śmierci.

Pogładziła go po policzku.

- Co to znaczy? - Jej śmiech zakończył się stłumionym szlochem. - Nie umrzesz.

- Nie ma czasu na takie głupstwa. - Intensywnie wpatrywał się w jej oczy. - Obiecuj mi, Heather. Musisz.

Zaczęła płakać.

Podniósł rękę, złapał ją za ramię.

- Obiecuj mi, cholera!

Otworzyła oczy; łzy skapnęły na jego kolana.

- Obiecuję.

Długie syczące westchnienie wyrwało się z jego na wpół otwartych ust. Oparł się o etażerkę. Na chwilę opuścił powieki.

- Dobrze - wyszeptał. - Bardzo dobrze. - Jego palce wbiły się w jej skórę. - Teraz musisz mnie wysłuchać...

- Pozwól, dam ci coś zjeść. Przyniosę zupę. Musisz...

- Teraz to nieważne! - Jego oczy płonęły, a głos, aczkolwiek cichy, był dość ostry, by ją powstrzymać.

Rozejrzała się. MacKinnon i Davidson stali za sofą. Mieli związane nadgarstki. Renę Louch siedział przy kominku, wpatrując się kamiennym wzrokiem w swego attaché, który z ożywieniem rozmawiał z Ruddem. Próbował wciągnąć w rozmowę sekretarza stanu, ale Thomas kulił się w fotelu, wspierając czoło o kolana.

- Musisz zrozumieć pewne rzeczy, Heather - podjął James. - Nie wolno ci lekceważyć tych sukinsynów i nie wolno ci wierzyć w ani jedno ich słowo. Jeżeli El-Kalaam mówi ci, że na dworzu jest dzień, to wiedz, że jest noc. Jeżeli mówi ci, że wszystko będzie w porządku, przygotuj się na kulę w głowę. On powie ci wszystko, jeżeli tylko będzie to służyło jego celom. Ludzie tacy jak on wiedzą tylko jedno: jak zabijać albo zostać zabitym. - Po drugiej stronie pokoju Emouleur wstał, podszedł pogadać z angielskimi członkami parlamentu. Duell patrzył na nią. - Będziesz musiała go zabić, żeby się uratować.

- Ale, Jamie...

- Nie ma innego wyjścia, Heather! - Jego twarz była bardzo blisko. Widziała

ły błyszczące w kącikach jego oczu. - Nie rozumiesz? El-Kalaam myli się. Jesteś odważna. Musisz zrobić to, co w głębi duszy i tak uważasz za konieczne.

- Jamie, nie wiem, jak...
- Jego przewaga polega na posiadaniu absolutnej kontroli nad otoczeniem.

Kiedy ta kontrola zostanie zaburzona, jego siła zmaleje.

Do salonu weszli El-Kalaam i Fessi. Fessi podszedł do frontowych drzwi, otworzył je. Zagwizdał cicho. Po chwili pojawił się jeden z wystawionych na zewnątrz ludzi. Mężczyzna porozmawiał z nim szeptem i wrócił do dowódcy.

- Wszystko gotowe. Wie, gdzie położyć.

El-Kalaam skinął głową, cisnął niedopałek cygara w zimne palenisko. Dwaj jego ludzie weszli i podnieśli ciało Bocka. Fessi uchylił drzwi, by ich wypuścić.

- Hassam pokaże wam drogę - poinformował.

Malaguez przyprowadził Rachelę. Była blada, miała ściągnięte usta. Nie chciała spojrzeć na El-Kalaama, który, wskazując na miejsce obok klęczącej Heather, powiedział do Malagueza:

- Daj ją tam. Robi mi się niedobrze na jej widok. Niech kobiety same się sobą zajmą.

Terrorysta pchnął ją i dziewczyna potknęła się. Próbowwała odzyskać równowagę, bez powodzenia. Upadła z rozpostartymi ramionami. Uderzyła bokiem głowy o podłogę.

- Och! - jęknęła.
- Rachel! - krzyknęła Heather. I wtedy usłyszała krótki zduszony dźwięk za plecami. Odwróciła się do męża. Jego twarz stała się szara, usta posiniały. Rozchylił wargi i usłyszała dobywający się z jego gardła charkot.

• Och, Jamie! - zawołała. Objęła go, zaczęła kołysać. - Jamie, trzymaj się! - Odwróciła się do El-Kalaama. - Zrób coś! - wrzasnęła. - Nie widzisz, że on umiera!

Przywódca terrorystów nawet nie mrugnął. W milczeniu obserwował Duella, który drgnął konwulsyjnie, westchnął i znieruchomiał.

- Wyrazy współczucia - powiedział w ciszy. - Był żołnierzem, zawodowcem. Rozumieliśmy się.

Heather patrzyła na niego, trzymając Jamesa w ramionach. Potem zamknęła oczy, przytuliła głowę męża do piersi, pocałowała jego policzki, powieki, usta.

6

- Potrzebuję twojej pomocy.
- No cóż, niezła odmiana - powiedziała Daina.

Bonesteel obserwował kolibra krążącego nad jednym z błękitnych dzwonków jacarandy, która rosła pod pustym ceglany murem. Porucznik dzisiaj wydawał się jakby inny. Daina zauważyła to, w chwili gdy pojawił się na planie pod koniec dnia zdjęciowego. Była zaskoczona jego widokiem, ale natychmiast poczuła promieniujące z niego napięcie i to ją zaintrygowało. Siedział dość spokojnie, jak prawie zawsze, gdy mówił; ten szczególny brak ruchu nadawał jego słowom niezwykłą siłę wyrazu. - Sytuacja - teraz - od czasu naszej ostatniej rozmowy uległa znaczącej zmianie. „Znaczącej” wypowiedział w taki sposób, że była pewna, iż bardzo chciał użyć innego słowa, jednak coś go powstrzymało. Obserwując go uważnie zobaczyła dodatkowe zmarszczki w kącikach zaciśniętych ust, pod szarymi jak łupek oczyma. Pomyślała, że z pewnością ma ochotę postukiwać czubkami palców po blacie stołu.

Jego ostra twarz i prawe ramię były skąpane w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, przefiltrowanych przez rozłożyste gałęzie rosnącej na środku dziedzińca akacji. Kiedy zabrał ją swym ciemnozielonym fordem LTD, zaproponował, że pojedą do restauracji na Lindbrook w Westwood. Był to przyjemny, przestronny lokal, a o tej porze, gdy bryza trzepotała liśćmi akacji, pełen roztańczonych plamek. Ponad nimi było czyste niebo, zalane purpurowym i złotym światem. Nieomal można było wyobrazić sobie, że należy do innego miasta.

Daina była przekonana, że słowa detektywa sygnalizują coś złowieszczonego. Dopiła wino. On natychmiast zamówił drugą kolejkę, jak gdyby jej pusty kieliszek był wyrazem milczącej zgody.

- Co się stało? - zapytała.

Zdawał się spięty jak sprężyna i, widząc go takim, znalazła się na krawędzi paniki. Wyciągnęła rękę, dotknęła jego nadgarstka tuż nad złotym rolexem. Odwrócił głowę, przypatrywał się jej przez chwilę tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Co jest, Bobby? Czy ta zmiana może być taka straszna?
- Tak - odparł prawie jak somnambulik, bezbarwnie i ze smutkiem. - To

straszne. - Odczekał chwilę, aż odejdzie kelner, który przyniósł im drinki. Potem pochylił się ku niej i dodał: - Wszystko uległo zmianie. Wiemy, że Mordred nie jest odpowiedzialny za śmierć Maggie.

Dainę ogarnęło zimno; miała wrażenie, że ktoś chlusnął jej lodowatą wodą w twarz.

- Czy to znaczy, że wiecie, kto ją zabił?

Nie odpowiadał przez bardzo długą chwilę. Patrzył na krople słonecznego światła padające na jego rękę. Cętki przesuwały się nieznacznie i płwiały, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi. Potem zniknęły. Daina wyobraziła sobie, jak opasła tarcza zanurza się w chłodzie Pacyfiku.

Wreszcie Bonesteel znów spojrzał na nią. Zastanowiła się, co też on myśli; szare oczy niczego nie zdradzały.

• Pewien wypadek, jaki miał miejsce ubiegłej nocy, zmusił nas do dokonania ponownej oceny toku naszego rozumowania. W Highland Park znaleźliśmy ciało młodej kobiety.

• Modred zostawił swój znak?

• Tak.

• Niewiele czasu minęło od... śmierci Maggie.

• Zbyt mało. - Napił się. - Psychiatrzy mówią, że Modred nie może być odpowiedzialny za obydwa morderstwa. Biorąc pod uwagę jego portret psychologiczny, to niemożliwe. Minęło za mało czasu.

- Myślałam, że nie przywiązujesz zbyt wielkiej wagi do ich słów. Wzruszył ramionami.

- Nie robię tego, gdy nie mają wiele do powiedzenia i mówią tylko po to, by posłuchać dźwięku własnego głosu. Teraz to co innego. Mają od cholery informacji.

Daina czekała na dalsze słowa, a kiedy nie padły, zapytała:

• Powiesz mi resztę? Spojrzał jej prosto w oczy.

• Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? Może ci się nie spodobać.

• Nie musi. Chcę wiedzieć.

- Taa - westchnął. - Wiem, że chcesz. - Usłyszała coś jakby ślad chropawego szacunku w jego tonie. - To, co mi przedstawili, pchnęło mnie do porównania emblematów. Ten znaleziony obok Maggie nie pasuje do tego z ciała kobiety z

Highland Park. - Przeciągnął palcem po nóżce swojego kieliszka.

- Różni się od wszystkich pozostałych.

Widziała, że obserwuje ją uważnie, jakby to, co zobaczy, miało mu powiedzieć, czy ma mówić dalej, czy nie.

- Wyjaśnienie jest proste - podjął. - Z perspektywy. Jakiś cwaniak zabił Maggie dla własnych powodów i urządził wszystko tak, żeby wyglądało na robotę Modreda. - Złapał kieliszek za podstawkę i odepchnął go od siebie.

- I naprawdę paskudną rzeczą jest to, że gdyby prawdziwy Modred znów nie wkroczył do akcji, nigdy byśmy tego nie zauważyli.

Serce Dainy biło bardzo szybko. Instynktownie wyczuwała, że Bonesteel ma zamiar zdradzić jej coś, co bardzo chciała wiedzieć. Pochyliła się i, zamiast zadać oczywiste pytanie, rzekła:

- Mówiłeś, że potrzebna ci moja pomoc.
- Daino... - nakrył ręką jej dłoń - mój kapitan wykopie mnie na bruk, jeśli

kiedykolwiek dowie się, że w ten sposób rozmawiam z cywilem, ale... jestem przekonany, że skoro mam złapać mordercę Maggie, twoja pomoc jest niezbędna. - Jego słowa trąciły w niej jakąś drażliwą strunę. Przestała dociekać, o co może chodzić, i skoncentrowała się na tym, co powie dalej.

Spłynął na niego jakiś dziwny spokój i wreszcie rozluźnił się nieco.

- Istnieje niewiele wątpliwości - oświadczył - że ten, kto zabił twoją przyjaciółkę, jest częścią grupy.

Z początku była pewna, że źle zrozumiała.

- Grupy? Jakiej grupy?
- Heartbeats.

Puls jej przyspieszył dziko i zakręciło się jej w głowie od nadmiaru adrenaliny. Czuła, że nie może już dłużej siedzieć tak spokojnie i słuchać.

- Wyjdźmy stąd - rzuciła chrapliwie, podnosząc się.

Porucznik bez słowa sięgnął do kieszeni, rzucił drobne na stół. Nie czekał na rachunek.

Pacyfik był mroczny, długie fale o barwie pistoletowej stali garbiły się, zdeformowane i leniwe. Gdzie odbywały się wyścigi grzywaczy w kierunku skalistego brzegu, gdzie tryskały wysokie białe pióropusze, gdzie grzmiał odbijający

się echem ryk? Trzy tysiące mil dalej, pomyślała Daina, w łonie Atlantyku. Żałowała, że nie mogła jechać z Rubensem do Nowego Jorku. Jednak był to wyjazd w interesach i rozumiała, dlaczego nie chciał jej zabrać. Aż do przyszłego tygodnia miała wolne; istniały inne miejsca, do których można było się udać.

Kiedy Bonesteel znów się odezwał, nie wspomniał o zamordowaniu Maggie. Parę razy próbowała wrócić do tego tematu, lecz bez skutku.

- Urodziłem się w San Francisco - rzekł, gdy szli wzdłuż Pacific Palisades. - Z tego powodu nigdy nie zapomnę morza. - Zeszli na plażę w Santa Monica, do miejsca, gdzie szaleli miłośnicy wrotek i deskorolek na maleńkich mieniących się kółkach.

- Myślę, że przenosząc się tutaj, zostałem czarną owcą w rodzinie. Mają klapki na oczach, gdy chodzi o takie rzeczy. Uznali moje posunięcie za zdradę.

- Dlaczego się przeprowadziłeś?

- Za kobietą. - Szli przez ciemniejący piasek w kierunku ruchomej linii przyływu, o tej porze dnia czarnej jak smoła. - Poznałem ją na przyjęciu w Presidio i zakochałem się od pierwszego wejrzenia. - Wsunął ręce w kieszenie i Daina przypomniała sobie pozę, jaką przybrał, gdy spotkała go po raz pierwszy. - Oczywiście, nie była zainteresowana. Pochodziła stąd i gdy wróciła do L.A., ja podążyłem za nią.

- Co się stało?

- Nachodziłem ją, póki w końcu nie uległa i nie wyszła za mnie.

- Daleko na horyzoncie pojawił się ciemny kształt. Daina, mrużąc w ciemności oczy, nie potrafiła powiedzieć, czy to tankowiec, czy przewalający się na powierzchni morza wieloryb. - Teraz - mówił detektyw - nie mogę doczekać się rozwodu. Jest właścicielką Numans of Beverly Hills - dodał, jakby dzięki temu Daina mogła łatwiej zrozumieć jego potrzebę rozstania się z żoną.

- Roześmiał się ochryple.

- Wiesz już, że nie żartowałem, mówiąc, iż jestem utrzymankiem. Dostrzegła nagle nowy aspekt jego osobowości, który kilka dni wcześniej uznałaby za nieprawdopodobny. Był podatny na zranienie niczym mały chłopiec, jak gdyby jego gorące pragnienie odseparowania się od żony było tylko przykrywką dla zakazanej miłości do niej. Nie widziała w tym słabości, raczej coś, co sprzyjało ich

porozumieniu. Jednak nie chciała zachęcać go do dalszych zwierzeń, bo musiała dowiedzieć się jak najwięcej o zabójstwie. Ale czy był w nie wmieszany ktoś z Heartbeatsów? Z pewnością co do tego nie miał racji.

- To nie ma znaczenia - powiedziała i natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd.

Odwrócił się twarzą do niej.

- Nie ma znaczenia? - powtórzył. - Oczywiście, że ma. Właśnie dlatego bierzemy rozwód. - Morze ospale podbiegło do ich stóp i cofnęło się z ledwie słyszalnym szumem. Spojrzał na samolot lecący nad horyzontem. Błękitne światło na końcu skrzydła zapalało się i gasło, jakby dawało im sygnały.

- Kiedyś myślałem, że miałem dobre powody, by ją poślubić. Może przypominała mi kogoś czy coś, „czego nigdy nie mogłem mieć. Jednak... – urwał i odwrócił się do niej plecami - była i inna przyczyna. Nie wiem dlaczego, lecz mam wrażenie, że jeśli ci ją pokażę, zrozumiesz.

Peryferie tego, co uchodziło za miasto, wiły się obok nich w warkoczu pastelowych wstążek. Histeryczny ryk samochodowych odbiorników radiowych, muzyka eksplodująca jak płomień, rytm ciężki i pełen gniewu, zagłuszały od czasu do czasu szept palm.

Towarzyszyły im jedynie bogato zdobione fasady banków i procesja komisów samochodowych z kolorowymi proporczykami wybielonymi w świetle brzęczących łukowych lamp. Ulice były dziwnie wyludnione i kiedy skręcili na Sunset, arteria wydawała się spokojna i opuszczona, biegnąc prosto jak strzała między ogromnymi tablicami ogłoszeniowymi reklamującymi nowy film Roberta Red-forda i najnowszy album Donny Summer. Była planem filmowym czekającym na pojawienie się aktorów. L.A. nigdy nie wydawało się bardziej dwuwymiarowe.

Wjechali na wzgórze i parli do przodu, póki rozległa plama świateł Hollywood nie przemieniła się w niską, fosforyzującą smugę, milczącą i nieruchomą za ich plecami jak stara fotografia z jakiejś dalekiej przeszłości.

Bonesteel skręcił w prawo na Benedict Canyon Drive i nawet te światła zniknęły za ścianą ciemnych drzew, pozostawiając ich sam na sam z przysłoniętym całunem mgły niebem. Byli sami w nocy.

W głębi kanionu zwolnił, podjechał do wielkiego, przysadzistego domu. Stał on na zachodnim zboczu i w efektowny sposób otoczony był bujnym listowiem

gęstym i ciemnym jak las. Daina pomyślała, że Rubens gardziłby takim miejscem.

- Dom Karin - objaśnił porucznik. - Budynek. - Zgasił silnik i nagle podkradły się do nich odgłosy wsi. - Jak ja go nienawidzę.

- Uważam, że jest całkiem ładny - rzekła, patrząc na obfitość kamelii i bzu, górskiego wawrzynu i orlika, rosnących gęsto po obu stronach schodów.

- Ten dom jest niczym - oświadczył. - Niczego nie oznacza, niczego nie reprezentuje.

- Ktoś najwyraźniej zadał sobie wiele trudu, by zagospodarować teren.

- Karin zapewne wynajęła fachowca - powiedział tak, jakby naprawdę nie miał pojęcia, co tu się dzieje. - Chodź. - Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Daina obeszła samochód. Powietrze było gęste od woni kwiatów. Słyszała jakieś zwierzątko buszujące w poszyciu.

Bonesteel wprowadził ją do wnętrza. W korytarzu rzucał się w oczy czarny boczny stolik, bez wątpienia angielski antyk, wypolerowany na wysoki połysk. Na nieskazitelnie białej płóciennej serwetce stał wazon ze żłobkowanego szkła o barwie brzoskwini, pełen długich gałązek hawajskiego czerwonego hibiscusa. Ponad tym doskonałym świadectwem umiejętności dekoratora wisiało owalne ściennie lustro. Na podłodze leżał wąski indiański kilim utrzymany w tonacji ciemnoczerwonej i złotej.

Korytarz przechodził w salon, który wznosił się szokująco do wysokości drugiego piętra. Katedralne sklepienie było zmyślnie podświetlone, co dodatkowo potęgowało wrażenie odległości. Szerokie okna, umieszczone ze wszystkich stron i sięgające prawie po sufit, sprawiały, że mieszkańcy żyli dosłownie w sercu gęstej roślinności kani©nu.

Jedną trzecią część pomieszczenia zajmowała antresola, na której, jak poinformował detektyw, mieściła się sypialnia pana domu. Po lewej była kuchnia i jadalnia.

Daina zaczęła wędrować po salonie. Ściany były jasnoblękitne, meble stały na puszystym dywanie o odcieniu najbledszej lawendy. Długa segmentowa kanapa i dobrane fotele zdawały się kruche i delikatne. Wszędzie krzewiły się wysokie rośliny, a obok ekranu z paproci i im podobnych, w kącie pod antresolą, stał koncertowy dziecinny fortepian marki Steinway. Zobaczyła nuty: koncert skrzypcowy Vivaldiego, w transkrypcji na fortepian.

Odwróciła się do Bonesteela.

- Kto gra?
- Ona. - Porucznik wyciągnął rękę.

Po prawej stronie na fortepianie stała kolorowa fotografia w ozdobnej, meksykańskiej, srebrnej ramce. Na Dainę spojrziała dziewczyna już przemieniająca się w kobietę. Miała ciemne, szczere oczy, cień uśmiechu na pełnych ustach. Daina spostrzegła, że to usta Bonesteela. Jej włosy również były ciemne, ściągnięte surowo w tył przez parę diamentowych spinek. Miała wysokie kości policzkowe, które po wydoroszeniu dziecinnych policzków z pewnością staną się

niezwykle pociągające, i dziwny, lekko garbaty nos, który ratował jej twarz przed zimną doskonałością.

- Kiedyś sam grałem, dawno temu - powiedział detektyw, podchodząc do Dainy. Patrzył na zdjęcie w jej rękach. - Grałem nieźle jako dziecko, ale zbyt szybko przestałem. Byłem w buntowniczym wieku. Teraz żałuję, że to zrobiłem, lecz jest o wiele za późno. Umiem czytać nuty, jednak co z tego, skoro palce mam zbyt sztywne. - Poglądził gładką klapę fortepianu.

- Kupiliśmy go dla Sarah i córka wcześniej zaczęła grać. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Chyba chciałem dać jej szansę, którą sam odrzuciłem tak bezmyślnie.

- Czy Sarah mieszka tu teraz?

- O, nie. - Uśmiechnął się, delikatnie odstawił zdjęcie na miejsce. - Jest w Paryżu. W konserwatorium, studiuje. Jest niezła. W wieku siedemnastu lat gra, no cóż... - Zostawił ją, przeszedł na drugą stronę pokoju, wsunął kasetę do magnetofonu. - Od czasu do czasu przysyła nam nagrania ze swoich występów. - Wcisnął guzik i prawie od razu rozbrzmiała muzyka. Był to Mozart, spadający na nich niczym kaskada srebrnego pyłu.

Obserwowała go, słuchając znakomitego wykonania - Sarah miała nie tylko doskonałą technikę, ale i pasję. Delikatny półuśmiech, który igrał na ustach Bonesteela, był odbiciem ekspresji córki na fotografii. Daina pomyślała o Henrym i Jane Fondzie. Różnili się płcią i wiekiem, a jednak, w pewnych chwilach i pod pewnymi kątami, ich twarze były takie same.

W tym uśmiechu był ból, jakby wyznanie. Po pewnym czasie natężenie bólu

stało się dla niej zbyt wielkie i Daina odwróciła się, nim muzyka przebrzmiała.

Wróciły do niej jego słowa: „Jak ja go nienawidzę”. Oczywiście, nie cierpiał tego domu. Nie było tu nic z niego, poza zdjęciem Sarah i może fortepianem, na którym stało. Był to budynek zimny, prawie ponury, jakby urządzony przez zespół chirurgów. Daina pomyślała, że jeśli wewnątrz wiernie odzwierciedla osobowość żony, to co, u licha, on w niej widział? Coś nieosiągalnego, powiedział. Czy nie to, co widzą wszyscy mężczyźni zakochujący się w swoich kobietach, tajemnicę ciała i umysłu?

Zmęczyło ją milczenie.

- Gra pięknie, Bobby. - Zobaczyła, że mężczyzna płacze i jego smutek przejął ją do głębi. Podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu. Czuła twarde mięśnie. - Przykro mi - wyszeptła. - Przepraszam. - Wiedziała, że są to tylko słowa bez znaczenia, zwyczajne dźwięki kojące rozszalałe serce.

- Głupota - rzekł, odsuwając się od niej. - Po prostu czysta głupota. Nie powinienem był zaczynać. - Miał na myśli muzykę.

- Cieszę się, że to zrobiłeś. Taka gra jest przeznaczona do słuchania.

- Karin nie rozumie jej - wyszeptał tak cicho, że musiała przechylić się w jego stronę, by dosłyszeć. - Uważa, że Sarah powinna'jeździć na nartach czy na łyżwach. Robić coś, co ją zahartuje.

- Każda dyscyplina hartuje człowieka umysłowo - stwierdziła Daina.

Popatrzył na nią, jego szare jak łupek oczy zamrugały, i znów odniosła wrażenie, że spogląda na nią jakby po raz pierwszy.

- Wiesz, nie jesteś wcale taka, jak myślałem.

- Nie jestem zdemoralizowana. Uśmiechnęła się, a on się roześmiał.

- Tak, racja. Wcale. - Odwrócił się, jak gdyby przypomniało mu się coś ważnego. - Mam ci pokazać przyczynę - kolejną przyczynę - dla której poślubiłem Karin.

Podszedł do biurka, skromnego, wygodnego i lśniącego, które stało w kącie ocienionym przez wysoką difenbachię. Z najniższej szuflady po lewej stronie wyjął gruby plik białego papieru. Na długo przedtem, nim wziął go w ręce, Daina wiedziała, co to jest.

Gdy czytała, on wyszedł pośpiesznie do kuchni, przyrządził szybko sałatkę z

linguina carbonara i *arrugula* z plasterkami bermudzkiej cebuli i dojrzałych pomidorów. Poprosił ją do stołu i otworzył butelkę białego wina. Jedzenie nałożył tylko jej, ale wino pili razem.

- Rękopis jest bardzo dobry, Bobby - powiedziała. - Jest w nim gniew i energia. Jest... - naprawdę była pod wrażeniem - bardzo podobny do gry Sarah. Pełen pasji.

- I Karin była moim biletem. Kochałem ją, a ona miała pieniądze. Jaka doskonała kombinacja, pomyślałem. Będę miał czas na pisanie. Lecz pisanie nie idzie w parze z ośmiogodzinnym dniem pracy. - Dolał wina im obojgu.

- Każdy, kto nie jest pisarzem, po prostu tego nie rozumie, a tym bardziej Karin, która nie rozumie niczego, co jej nie dotyczy. Chciała wiedzieć, dlaczego nie potrafię zsynchronizować mojego czasu pracy z jej. I weekendy! Musiały być wolne, by wypełniać jej towarzyskie zobowiązania.

Daina odsunęła talerz.

- Innymi słowy, żyłeś w złotej klatce. Jednak zostałeś gliną. Jak do tego doszło? Wzruszył ramionami.

- Rodzinna tradycja wojskowa. Taki krok wydawał się naturalny. - Coś zapaliło się w jego oczach. - I odkryłem, że ta praca sprawia mi zadowolenie.

- Rozwiązywanie spraw morderstw?

- Przestrzeganie prawa. Walka o sprawiedliwość. - Uderzył w stół otwartą dłonią. - Prawo musi być przestrzegane. Ci, którzy je pogwałcają, muszą zostać ukarani. Ludzie chodzący po tym mieście - po każdym z miast - popełniają przestępstwa, jakby byli bezkarni w oczach prawa. Nie mają żadnych względów - żadnego szacunku - dla ludzkiego życia. Są nieczuli i ich obojętność wobec własnych zbrodni jest najgorszym rodzajem zła.

Daina była zaskoczona. Głos Bonesteela nie był już senny, stał się donośny i dźwięczny, jakby Bobby wygłaszał płomienne kazanie z ambony.

Przez pewien czas panowała cisza. Porucznik odwrócił się od niej, jakby speszony własnym wybuchem. W końcu chrząknął i oznajmił:

- W domu Chrisa znaleźliśmy mnóstwo prochów: kokę, psychotropy, quaalude, herę. - Zobaczył wyraz jej oczu. - Nic wielkiego. Człowiek spodziewa się czegoś takiego po tych muzykach. Niektórzy... - wzruszył ramionami - wprost żyją

tym świństwem. - Dopił wino. - Byłabyś zaskoczona, ile może znieść ludzkie ciało, nim wreszcie się podda.

- To niepodobne do Maggie - stwierdziła Daina. - Jasne, raz na jakiś czas zażywała trochę koki. - W tej chwili było to tylko niewinne kłamstewko. - Ale heroina... - Potrząsnęła głową. - Nie wiedziałam.

Patrzył z zadumą, postukując nie używanym widelcem w pusty kieliszek.

- Mówisz, że nie brała heroiny.
- Nie. - Obserwowała szczególny wyraz w jego oczach. - O czym myślisz?
- O raporcie inspektora medycznego. Maggie miała niełatwą śmierć.

Najpierw została naszprycowana heroiną.

• Została? - powtórzyła z naciskiem jego słowa. - To znaczy, że nie wierzysz, by sama zrobiła sobie zastrzyk?

• Nie, nie wierzę.

• Co za ulga. Lecz powiedziałaś, że znaleźliście heroinę w domu. Skinął głową.

• Dałem ją do laboratorium. Pierwszorzędny towar. Jego słowa znów coś w niej poruszyły.

- Co wykazał raport? Bonesteel westchnął.
- Działka hery podana Maggie McDonall była łamana strychniną.
- Gorący strzał - rzuciła bez zastanowienia.
- Tak, tak, tak. - Przekrzywił głowę. - Co ty czytujesz?

Poczuła lekką ulgę, gdy uznał, że źródłem jej wiedzy jest tylko literatura. Mówił dalej.

• Normalnie miałabyś rację. Jednak to, co ona dostała, było dużo gorsze. Widzisz, dodano zbyt mało strychniny, by załatwić ją od razu. Trwało to jakiś czas... i nie mogło być przyjemne. - Złapał ją za rękę. - Przykro mi. - Te słowa znaczyły nie więcej niż jej wcześniejsze przeprosiny.

• Chryste wszechmogący! - westchnęła. - Nie rozumiem.

• Ktoś dał jej zastrzyk. Potem została wykorzystana seksualnie i bezlitośnie pobita.

• Wykorzystana seksualnie? - Miała wrażenie, że jej krew przemienia się w

lód. Zadrżała. - Co jej zrobiono?

- No, nie sądzę, by było konieczne...
- Ale ja tak! - zawołała porywczo. Przepalała go wzrokiem. - Teraz muszę

wiedzieć wszystko.

Obserwował ją przez chwilę, potem z rezygnacją pokiwał głową.

• Mówiąc jak najbardziej zwięźle, inspektor medyczny znalazł ślady krwi i nasienia w jej pochwie i odbytnicy.

- O mój Boże! - Zaczęła dygotać.

Trzymał ją mocno, jakby pragnąc przelać w nią swoją siłę. Milczał. Bogato zdobiony, antyczny francuski zegar na stoliku z różanego drzewa zaczął dzwonić pod kopułką ze złota i szkła. Kiedy ucichł, porucznik rzekł cicho:

- Jest coś więcej. Miała szkliste oczy.
- Więcej? Więcej? - powtórzyła chrapliwie. - Czy to w ogóle możliwe?

- Statystycznie rzecz ujmując, ponad dziewięćdziesiąt procent rozwiązanych morderstw popełniają ludzie blisko związani z ofiarami: członkowie rodziny, bliscy przyjaciele lub sąsiedzi. Ludzie z silnym osobistym motywem.

- Lecz nie wyobrażam sobie, dlaczego ktoś chciałby zabić Maggie. Detektyw na chwilę zamknął oczy. Zacisnął rękę na jej dłoni i kiedy podniósł powieki, Daina była pewna, że jego twarz straciła wszelką barwę.

- Mówiłem, że było coś jeszcze - wyszeptał. - Czy wiesz, że twoja przyjaciółka od dwóch i pół miesiąca była w ciąży?

Przez długi czas wpatrywała się w jego oczy, lecz zamiast nich widziała bezkształtny stos ciała i kości, i podartej skóry, pod którym spoczywało... Wreszcie poruszyła ustami i z trudem wykrztusiła:

- Mój Boże, Maggie, w coś ty się wdała?
- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Jego oczy były skryte w cieniu i Daina pomyślała, że nie widząc ich nie potrafi powiedzieć, co czuje Bonesteel. Potem wspomniała, jak doskonale potrafi maskować swoje emocje. Mimo to płakał, słuchając koncertu Sarah nagranych dziewięć tysięcy mil stąd.

Patrzyła na porucznika w półmroku. Kiedy po raz pierwszy wyjaśnił, czego od niej oczekuje, nie była przekonana, czy się na to zgodzi. Ale wtedy była w szoku.

Teraz była pewna, że tego chce.

- Chcę znaleźć zabójcę Maggie równie silnie, jak ty. - Jej głos brzmiał twardo nawet w jej własnych uszach. Nie przestawała myśleć o dziecku, takim kruchym i... niewinnym. Znała też Maggie. Nigdy nie zdecydowałaby się na aborcję. Było to kwestią częściowo wychowania, a częściowo tego, jak przyjaciółka podchodziła do życia. Nigdy świadomie nie mogłaby pozbawić go nikogo. Nie, dziecko by żyło, gdyby Maggie nie została... Łzy napłynęły jej do oczu i odwróciła się od detektywa, zaciskając powieki z ponurą determinacją. Czyż nie ona sama mówiła, że wyrosła już z płaczu? Jednak nie narodzone dziecko krążyło w jej myślach jakby spętane błyszczącą siecią. Mój Boże, jak bardzo chciała zobaczyć, że sprawiedliwości staje się zadość. Pomyślała, że teraz rozumie trochę Bonesteela. Jak on to wyłożył? „Obojętność wobec własnych zbrodni.” Kompletnie lekceważenie ludzkiego życia przyprawiało ją o mdłości i wiedziała, że dopóki ta sprawa nie zostanie załatwiona, nigdy nie będzie w pełni szczęśliwa. Rozumiała również, dlaczego upierał się, by opowiedzieć jej historię swego życia. Dzięki temu nie był już po prostu jakimś tam kolejnym gliną.

- Wiesz, co musisz zrobić. - Nie było to pytanie.
- Rozumiem wszystko.
- Dzięki Bogu, jesteś aktorką.

Wiedziała, że Bonesteel ma ochotę się roześmiać i uśmiechnęła się, aby zrozumiał, że wszystko w porządku. Po pewnym czasie powiedział:

- Chcę, abyś była pewna, że rozumiesz niebezpieczeństwo, na jakie się nara...

- Bobby - przerwała mu cicho - już wszystko omówiliśmy. Nie potrafiłabym żyć z wiedzą, że mogłam coś zrobić, a tego nie zrobiłam. Chcę tego.

- Kerr jest twoim przyjacielem. - Było to delikatne przypomnienie.
- Chris okaże się w porządku.
- Myślę, że naprawdę w to wierzysz.
- Tak. - Czowała jego bliskość. W domu panowała taka cisza, że słyszała ich oddechy. - Chris nie mógłby zabić Maggie. Kochał ją.

- Miłość ma wiele definicji... wiele różnych granic... w zależności od osoby.

- Znowu przeczuwała, że w tym stwierdzeniu jest coś więcej.

- Myślę, że cieszyłby się z dziecka.
- Jednak nie możesz tego wiedzieć.
- Nikt nie może poza Chrisem i Maggie. - Oczekała chwilę. - A czy ty

myślisz, że to Chris ją zamordował?

Milczał przez długi czas. Wreszcie położył rękę na jej ramieniu.

- Naprawdę nie ma o czym mówić, dopóki nie ma dowodów, zgodzisz się? Daina kręciła głową to w tę, to w drugą stronę, lecz jego oczy pozostawały w cieniu, nieprzeniknione.

Heartbeatsi znów byli razem. To było pierwsze, co powiedział jej porucznik. Oczywiście nie chciała mu uwierzyć. Przecież była w Las Palmas i słyszała rozmowę Chrisa i Benna. Rozłam zdawał się wtedy nieunikniony. Zatelefonowała z domu Bonesteela do Vanetty w biurze Heartbeatsów i sekretarka potwierdziła, że grupa dzień i noc siedzi w studiu, kończąc nowy singiel i resztę albumu.

- Ale już nie ma ich w Las Palmas. - Mówiła z osobliwym akcentem, częściowo murzyńskim, częściowo cockneyem. - Przed chwilą tam dzwoniłam. Myślę, że wszyscy wrócili do Nigela.

Daina zjechała z San Diego Freeway zjazdem Mulholland. Detektyw podrzucił ją do studia w Burbank. Chciał, by do Asha pojechała własnym samochodem.

Nigel i Tie mieszkali w Mandeville Canyon, który leżał po przeciwnej - zachodniej - stronie Bel Air niż Benedict Canyon i tym samym był bardziej odosobniony i, w pewien sposób, bardziej ekskluzywny.

Mandeville Canyon był gęsto zalesiony, pełen rozległych domów bardziej w typie Wschodniego Wybrzeża niż okolic L.A. Tutaj mieszkali jeźdźcy ze swymi końmi, bryczesami i krótkimi czerwonymi kurtkami, jeżdżący wzdłuż wszechobecnych białych ogrodzeń z palików. Daina pomyślała, że przebywanie wśród ludzi, dla których muzyka rockowa ogranicza się do stonowanych i niegroźnych kawałków Lindy Ronstadt czy Jamesa Taylora, musi nieskończenie bawić Asha.

W ich środowisku był uważany za swego rodzaju fascynującego pariasa, co doskonale mu odpowiadało. On i Tie cenili sobie prywatność, gdy byli w domu.

Od frontu dom nie różnił się niczym szczególnym od sąsiednich. Daina skręciła na wysypany kruszonym marmurem szeroki podjazd i po drodze miała czas

przyjrzeć się budynkowi. Był biały, piętrowy, w stylu kolonialnym, z kolumnami - znając Hollywood - bezwstydnie skopiowanymi z Tary. Wykończenia były ciemnozielone, schody ceglane. Ale Daina wiedziała, że fasada nie ma nic wspólnego z wnętrzem. Nigel całkowicie je przebudował. Było to zabawne miejsce. Dosłownie. Na przykład dobrze pamiętała bibliotekę na dole, urządzoną dokładnie jak londyński klub starszych panów z przełomu wieku: skórzane fotele z wysokimi oparciami, antyczne marmurowe kominki i mosiężne stojące popielniczki. Dookoła pokoju biegły drewniane półki, które zawierały zamiast książek schludne stopy kaset audio i wideo. A gdyby przyjrzeć się z bliska, w palenisku kominka nikt nie zobaczyłby ognia, lecz ogromny telewizor połączony z magnetowidem.

W domu były i inne cuda, takie jak łazienka wielkości normalnej bawialni, wyposażona między innymi w sprzęt komputerowy, lodówkę, monitor wideo i podwójne łożo. Na tyłach domu znajdowało się dźwiękoszczelne studio i olbrzymi basen z wodospadem spływającym do całkowicie odizolowanej sztucznej sadzawki.

Gdy podjechała pod frontowe drzwi i wysiadła, na jej spotkanie wyszedł Silka. Słyszała szczekanie dobermanów, uciszonych rozkazem ochroniarza.

- Panna Whitney. - Przywitał ją prawie z uśmiechem, co było jak na niego dość niezwykle. - Co za cudowna niespodzianka! - Zszedł po ceglanych schodkach. - Nikt nie przedził mnie o pani przyjeździe.

- Obawiam się, że nikt nie wiedział - powiedziała ze smutkiem Daina. - Mam nadzieję, że im nie przeszkodzi. Wiem, że w sobotę wyruszają na tournée.

- Tak. - Silka pokiwał wielką głową. - Najpierw San Francisco, potem Phoenix w poniedziałek, Denver we wtorek, Dallas od środy do niedzieli i tak dalej przez sześć tygodni. Są bardzo podnieceni wyjazdem w trasę. - Wiedziała, że przede wszystkim ma na myśli Asha.

- Jak się im układa?

Domyślił się, o co jej chodzi.

- Wszystko skończyło się dobrze. Benno jest geniuszem w takich sprawach. Jest z nimi od dawna. Od ich pierwszego tournée po Stanach, które odbyło się... zaraz, zaraz, w 1965? Tak, to był sześćdziesiąty piąty, bo wtedy wzięli mnie na pokład.

- Jak go poznałeś?

- Benna? Och, spotkaliśmy się na kolacji w Amerykańskim Stowarzyszeniu

Wytwórci Nagraniowych w sześćdziesiątym czwartym. Obaj wtedy ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Ja słyszałem o Heartbeatsach, nawet widziałem ich parę razy, gdy byłem w Wielkiej Brytanii. Ale po fatalnym pierwszym tournee po Stanach żaden promotor nie chciał mieć z nimi do czynienia. Ich angielski menażer po prostu nie rozumiał Ameryki ani nie miał pojęcia o sprzedawaniu

towaru. Byli wielcy w Anglii, więc tym samym założył, że przelecą przez Stany jak burza. Przy kolacji wspomniałem Cutlerowi o tej grupie. Pomyślałem, wie pani, że to tylko taka gadka-szmatka. Zwykle po przyjęciu nikt nie pamięta, co się mówiło. Jednak Benno pamiętał. Polecił na spotkanie z nimi. Namówił ich do podpisania kontraktu i, no cóż, sama pani widzi. - Rozłożył potężne ramiona, wskazując na dom i otoczenie.

- Wobec tego znałeś Jona - zauważyła Daina.

- Jasne. - Lecz coś jakby zamknęło się za jego oczami. - Wszyscy znaliśmy Jona; wszyscy kochaliśmy go. - Popatrzył na nią. - Słyszała już pani nowy singiel?

- Nie, wysłucham go z przyjemnością.

- Zatem zabiorę panią do środka. Teraz nad nim pracują.

Tuż przed drzwiami Daina zatrzymała go.

- Silka, co z Chrisem? Naprawdę.

Wznosił się nad nią niczym góra, jego głowa była tak wysoko, że wyglądała jakby tonęła w chmurach.

- W porządku - zadudnił. - Naprawdę. - Zamknął za nimi drzwi. W korytarzu panował mrok i cisza. - To tournee wyjdzie mu na dobre. Zobaczy pani. - Zdawało się, że mówi jej coś więcej.

- Nie przyszedłem po to, by odradzać mu wyjazd, jeśli o to ci chodzi.

- Nie. - Ale widać było, że mu ulżyło. Odwrócił się i ruszył korytarzem.

- Nigdy jej takiej nie widziałem - powiedział. - Naprawdę się pani boi. Daina wiedziała, że mówi o Tie.

- Nie rozumiem dlaczego. - Lecz oczywiście wiedziała. Chciała tylko przekonać się, czy on jej powie to samo.

- Wie, co Chris do pani czuje. Nie potrafi pojąć tego stosunku. To ją martwi, myślę, ponieważ zazwyczaj jest w tym dobra. - Zerknął na nią kątem oka. - Nie potrafi przyszpilić pani w żaden sposób, a przeraża ją to, nad czym nie może

zapanować.

- No, to jesteśmy równe - stwierdziła Daina. - Ja też jej nie rozumiem.

- Pomyślała: Jesteśmy jak dwa nastroszone koty. Może chodzi tylko o terytorium.

- Nie - zaprzeczył ochroniarz, zatrzymując się przed ciężkimi dębowymi drzwiami. - Myślę, że najbardziej przeraża ją coś innego. Pani zna jej problem.

Wyciągnął rękę i drzwi rozsunęły się. Dźwięk uderzył w nią z prawie fizyczną siłą, muzyka pozbawiła ją energii. Uszy ją rozboleły, zęby ścierpły.

Poczuła w talii palce Silki popychające ją do przodu i weszła do środka. Drzwi zasunęły się za jej plecami.

Stali w nierównym półkolu przed dwoma olbrzymimi kolumnami, identycznymi jak te z domu Chrisa i Maggie. Wszyscy mieli wniebowzięte miny, jak bałwochwalcy przed rzeźbionymi figurkami swego boga.

„Pamiętasz czasy/Na tyle forda”, grzmiał głos Kerra, „Rozżarzone światła deski/Czy znaliśmy wynik?”

Tie zobaczyła Dainę pierwsza i skoczyła w jej stronę. Nikt inny nie poruszył się ani na nią nie spojrział.

„Tego dnia dorośliśmy/Znajdując gwiazdy...”

- Kto cię tu wpuścił? - wycodziła. Żrenice jej oczu były nienormalnie rozszerzone, tworzyły z hebanowymi tęczęwkami jednolitą całość, błyszczącą, niezgłębioną i całkowicie obcą. - Nie rozumiesz, że już nie jesteś tu mile widziana?

„W noc taką jak ta”, śpiewał Chris, „Znów będziemy razem...”

- Gdyby to ode mnie zależało, kazałabym Silce wyrzucić cię w diabły.

Daina wyczuwała zapach haszyszu w jej oddechu, słodki i piżmowy, który uznała za ohydny.

- Ale obie wiemy, że to nie zależy od ciebie. - Daina wysunęła rękę, żeby odsunąć kobietę na bok.

„Anioł i diabeł”, śpiewał dalej Chris, „spotykają się w połowie drogi/W krainie, której nikt nie może nazwać swoją...”

W chwili gdy dotknęła Tie, coś przyciągnęło jej uwagę. Może skurcz mięśnia czy zwężone na chwilę źrenice. Potem wyminęła ją i Kerr ją zobaczył. Otworzyła usta i w tej samej chwili poczuła smukłe, zimne palce, które zacisnęły się na jej nadgarstku i odwróciły ją w tył.

- A ty dokąd? - Tie patrzyła na nią z wściekłością. Miała kłopoty z oddychaniem. - Wszystko sprowadza się do Chrisa i Nigela. - W jej głosie zabrzmiała pogrożka. - Tylko i wyłącznie. Zawsze tak było.

- Nawet kiedy żył Jon?

Tie ściągnęła brwi, jakby naprawdę zaniepokojona.

- Co, wiesz o Jonie? Czy Maggie coś ci powiedziała?
- Cokolwiek mi powiedziano, zrobiono to w zaufaniu.

Zakrzywione palce Tie przesuwają się nieznacznie w górę i w dół jej nadgarstka.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co słyszysz.

- Hej, Dain! - Chris podszedł z uśmiechem. Wszedł między nie i Daina wyrwała się kobiecie. - Cześć, jak się masz!

„Porzuciłem wiersze/Poza którymi żyliśmy”, kontynuował namiętnie jego nagrany głos. „Limuzyny, przyjęcia/Dziewczyny, które dają/Wszystko, co mogą/To nic.”

Odciągnęła go od Tie.

- Chris - zapytała - do diabła, co się stało?

- Hej - wyszczerzył zęby - o co ci chodzi? - Patrzyła mu w oczy, pragnąc, by jej odpowiedział. - To nie jest odpowiednia chwila, Dain. Teraz nie mogę odejść. Zbyt wiele osób zależy od tego, co robimy, zbyt wielka forsa wchodzi w grę; zbyt wiele lat Nigel i ja byliśmy kumplami. - Zamilkł na chwilę i zobaczyła, że jego twarz jakby traci energię. - Chyba nie jesteś na mnie wściekła ani nic podobnego? Hej, śmiało!

Przyłożyła dłoń do jego gorącego policzka.

- Nie, Chris. Po prostu chciałam zrozumieć, to wszystko.

Nakrył jej dłoń swoją. Najwyraźniej odczuł ulgę, tak jak wcześniej Silka.

- Cieszę się - rzekł. - Tie - cóż, znasz Tie - myślała, że próbujesz powstrzymać mnie od wyjazdu z kapelą.

Wpatrywała się badawczo w jego twarz.

- Dlaczego miałabym to robić?

- Nie wiem. - Wyczuła, że ten temat go denerwuje. - Chyba sam też tak pomyślałem, gdy cię tu zobaczyłem.

Uśmiechnęła się do niego.

- Przyszłam z zupełnie innego powodu. - I nieśmiało podjęła: - Kiedy Vanetta poinformowała mnie, że w ten weekend zaczynacie w San Fransisco, pomyślałam, że skoro nie kręcimy i mam trochę wolnego...

- Nie! - zawołał uradowany Kerr. - Poważnie chcesz jechać? Jejku, tak dawno nie widziałaś nas na scenie! - Okręcił ją wokoło. - To ci dobrze zrobi. Nie ma to, jak wyrwać się na parę dni z tej dziury i nic nie robić!

Bonesteel by nie uwierzył; Chris kupował jej pomysł. „Jedź z nimi - zachęcał porucznik - będziesz mogła dowiedzieć się dużo więcej niż ja.” - Miała ochotę odrzucić w tył głowę i wybuchnąć śmiechem. Pomyślała: Co, do diabła! - i zrobiła to.

Daina i Baba sami w mieszkaniu, z dala od brudnych ulic pełnych przygarbionych alfonsów i trzynastoletnich uciekinierek na gigancie, oddających się na dziesięć minut za dziesięć dolarów napalonemu biznesmenom i przerażonym małolatom w brudnych korytarzach. Na zewnątrz było równie podle, jak zimno.

Za oknem: konglomerat zimnego fioletu i opalizującej czerwieni, znaki firmowe śródmieścia Manhattanu. W zimie nie wydawały się tak bardzo bez gustu.

Widok za oknem był jedną z najcudowniejszych rzeczy. Iskry mogły uchodzić za sople lodu, linie białej farby udawały szron. Gdyby pojawiła się tu matka Dainy, niewątpliwie byłaby zatrwożona, z pewnością nie weszłaby po schodach z próchniejącego drewna i rdzewiejącego żelaza, na których siedziały widmowe koty, chude niczym szczapy i nieruchome, z oczyma jak szmaragdy, wielkimi i świecącymi w niestałym świetle. Czekały tu w cieple na nocną aktywność gryzoni.

Były strażnikami budynku i Daina podkarmiała je, ilekroć miała okazję. Naturalnie Baba przestrzegał ją przed takim rozpieszczaniem: - One muszą być głodne, mała, to przemienia je w bestie. Twoje podkarmianie rozpuści je i mieszkańcy nigdy ci tego nie wybaczą.

Na zewnątrz w rynsztokach piętrzyły się hałdy czegoś, co niegdyś było śniegiem, ale teraz zostało przekształcone w ziarniste, cylindryczne garby, zlodowaciałe i twarde jak granit.

Siedzieli razem na wyświechtanym dywanie, nad nimi górowała stara rozklekotana kanapa, ciemna i ciepła. Parę zapalonych lamp odpierało mrok, ich kolorowe abażury łagodziły ostre światło. Jedli pizzę kupioną w cudownym lokalu, jaki Daina odkryła na Dziesiątej Alei. Między nimi leżał pojemnik z sześcioma

puszkami budweisera.

- Baba - zapytała w pewnej chwili - jak to się stało, że nigdy nie wzięłaś mnie do łóżka? Nie jestem seksowna?

Popatrzył na nią wielkimi ciemnymi oczyma.

• Jesteś, jak cholera, mała. Lecz znasz mnie. Nie wystarczy mi jedna. Muszę mieć wszystkie. - Wytarł usta i dodał poważniej: - Gdybym to zrobił, byłibyśmy tacy sami jak wszyscy. - Odwrócił wzrok. - Między nami jest coś innego.

• Jednak już wiesz, że ja nie jestem jak inne: jak żadna z tych, które ściągają tu o każdej porze... - zawiesiła głos, patrząc, jak na nią spogląda. Światło załamywało się miękko na jego twarzy, tonęło w bruzdach, twardych zmarszczkach zmęczenia - razach świata, który nadał nie w pełni rozumiała.

- Czy kiedykolwiek zastanowiłaś się, czego ja mogę chcieć?

Chrząknął.

• Jak powiedział Marty, mała, jesteś za młoda, by to wiedzieć.

• Wiesz, że to nieprawda.

• Kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że - przyznaję - nie wiem, co myśleć.

Czemu nadal tu jesteś, mała? W tej krainie wyjętych spod prawa?

- Ponieważ - odrzekła - jestem wyjęta spod prawa tak samo jak wy. Ale mężczyzna pokręcił głową.

• Masz same głupie pomysły. Nie widzisz, że to tylko twoje rojenia? Tutaj nie dzieje się nic, co mogłoby cię interesować.

• Ty tu jesteś. Interesujesz mnie.

• Ha! Ty po prostu lubisz chodzić w miasto. - Roześmiał się i znów spojrzął gdzieś indziej. - Może lepiej odejdz, mała.

Powoli pokręciła głową.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. - Wstała, usiadła obok niego. - Co w ciebie wstąpiło? Myślałam, że obgadaliśmy to wszystko wieki temu.

Skrzyżował ręce na masywnej klatce piersiowej.

- Prawda jest taka, że przez ciebie gryzie mnie sumienie, mała, a czegoś takiego nie czułem od dawna. Jesteś tu, widzisz te draństwa...

- Potrząsnął głową. - To nie w porządku. Ty tu nie należysz. Należysz do Kingsbridge. Tutaj jest za dużo łajdaków, żeby mogło ci się podobać. I to mnie

wnerwią.

Wsunęła palce pod jego łokieć, złapała go za rękę.

- Lecz ty nie jesteś taki. Wiem.

- Nie - rzekł niewesoło. - Jestem cholernym księciem z bajki. Zmieniła pozycję, ujęła jego brodatą twarz w dłonie i, zanim zdążył

zaprotestować, pocałowała go mocno w usta. Pocałunek trwał długo, bardzo długo. W pewnej chwili wsunęła wilgotny język między jego wargi, a on na to pozwolił.

Potem poczuła, że jego ręce wędrują po jej plecach, zamykają ją w uścisku tak czułym, że zaczęła szlochać.

- I co - wyszeptwała, odsuwając lekko głowę - po co tyle gadać?

- Ty płaczesz - powiedział zdumiony.

- Och, Baba, ja cię kocham. - Pogładziła go po twarzy. - Nie martw się o nic.

Proszę. Po prostu cieszymy się sobą i nie przejmujemy się...

Pocałował ją z delikatnością, o którą cały czas go podejrzewała. Zaczęła go rozbierać; nade wszystko pragnęła przytulić się do jego nagiego ciała.

Miał gładką, bezwłosą skórę i przyłapała się na tym, że nie może powstrzymać się od wodzenia rękoma po równinach i dolinach jego ciemnego ciała. Nie mogła również opanować ogarniającego ją drżenia. Czowała, jak jej ciało gorączkowo domaga się swoich praw. Jednakże, choć umysł wrzeszczał w ekstazie, próbowała się jeszcze bronić. Rozkosz ogłuszała ją, przenikała niczym przerywany grzmot, ale palce nadal jej drżały, jakby była starą kobietą.

Może Baba zobaczył albo, co bardziej prawdopodobne, wyczuł ten pojedynek rozdzierających ją sił. W każdym razie ostrożnie zaniósł ją do łóżka i rozebrał powoli, ani na chwilę nie odrywając ust od jej ciała, okrywając pocałunkami odsłaniane partie skóry. Otulił wargami jej sutki, pieścił je językiem, skurczone i drżące, a kiedy przesunął usta w zakątki pod piersiami i palcami delikatnie ścisnął brodawki, Daina wyprężyła się i krzyknęła.

Gdy była naga, zsunął się na podłogę i klęknął u stóp łóżka. Uniósł jej nogi, zarzucił je sobie na ramiona, i wsunął głowę między jej uda.

Już była tak mokra, że aż się zdumiał. Jęknął, rozchylając płatki jej sromu, odsłaniając wrażliwy środek.

- Co ty... robisz? - zdążyła wydyszeć, nim jego usta znów nie opadły, a język nie zaczął skomplikowanej wędrówki. Ogarnęła ją intensywna, całkowicie niespodziewana rozkosz, uda szarpnęły się mimowolnie do przodu i w górę. Pojękując zaczęła zataczać kręgi biodrami, poddała się tej szaleńczej inwazji na sekretne miejsce swego ciała.

Uczucie przyjemności było teraz niezmiennie; wszystkie myśli uleciały jej z głowy, jak stado gołębi uniesione silnym wiatrem. Pragnęła, by taki stan trwał w nieskończoność. Ściągną po wewnętrznej stronie jej ud uwydatniły się, a mięśnie zaczęły kurczyć zgodnie z rytmem jej walącego serca. Kiedyś zastanawiała się, co się czuje, wirując w przestworzach, będąc częścią muzyki, i wreszcie poznała to uczucie, ponieważ była muzyką - swą własną muzyką, którą tylko ona mogła słyszeć, czuć, smakować, delectować się.

Poznała, że dochodzi po smaku w ustach i drganiach rozprzestrzeniających się jak fale szokowe z epicentrum, a kiedy poczuła czubki jego palców na obolałych sutkach, zaczęła, zaczęła...

Krzyknęła i prawie zgięła się we dwoje, nieświadoma ruchu rozdygotanych bioder, jedynie jego języka i ust żłobiących płonąca ścieżkę w jej rozognionym ciele.

Zmyta potem, z nogami ugiętymi w kolanach, wyszeptwała: - Baba, chodź tutaj - i poczuła na sobie jego rozgrzane ciało, i, mimo wszystko, skurcz strachu przed jego ogromem.

Wtedy została wyrzucona w powietrze i znalazła się na nim, jak gdyby był ogierem, którego miała ujeździć.

Pochyliła się, całując jego piersi, jej ręce pieściły jego tors, on zaś podniósł ją bez wysiłku i w końcu poczuła jego twardą męskość u progu swego wilgotnego łona. Sapnęła, pewna, że jest zbyt wielki, lecz on wniknął w nią z taką łatwością, że zdążyła tylko zamknąć oczy i westchnąć głęboko.

Przez ponad godzinę leniwie, powoli ocierali się o siebie, dysząc i pojękując, przerywając na chwilę przed tym, nim miało ogarnąć ich szaleństwo, zwlekali tak długo ze spełnieniem, jak gdyby nie mogli się sobą nasycić.

Ale nadszedł czas, gdy podniecenie stało się zbyt potężne, by dało się opanować i za milczącą zgodą pozwolili mu wybuchnąć z pełną siłą.

Daina przesunęła ręce po spoconych plecach mężczyzny do zaciśniętych pośladków, które były twarde jak skała, poczuła, jak nabrzmięwa wewnątrz niej i to w

połączeniu z tarciem wystarczyło, by zatraciła się w sobie.

Jednakże nie była w pełni zadowolona. Chciała zbadać ustami każdą część jego ciała i zrobiła to. Nie mogła się nim nasycić i nie odrywała warg nawet wtedy, gdy on zaczął dochodzić. Seria gorących, ostrych wybuchów wprawiała jej biodra w nieprzerwane drżenie, dopóki ona także nie osiągnęła szczytu.

Później nie chciała go puścić, pieściła językiem, aż w końcu Baba odsunął ją delikatnie i szepnął: - Dość. Na razie wystarczy. - Potem leżała w jego ramionach, czując bicie jego serca, wdychając jego i swój zapach, przyjemne wonie seksu.

- Tak czy owak - rzekł cicho - niedługo musisz iść. Mam odebrać dostawę. Otworzyła Aista i zamknęła je prawie natychmiast. Chciała z nim spędzić całą noc, tak jak dotychczas, lecz z doświadczenia wiedziała, że nie pozwoli, jej zostać, gdy spodziewa się dostawy. - Zbyt niebezpieczne - mawiał i kiedy raz zapytała dlaczego, tylko na nią spojrzał.

- Ten skurwiel Smiler przyszedł tu wczoraj, gdy ty byłaś w Kingsbridge - dodał Baba, gładząc jej ramiona. - Zabroniłem mu to robić. Robota to robota, a moje prywatne życie nie ma nic do tego. Tłumaczył się, że nigdy nie widział tego mieszkania i że to tylko raz, więc nie ma co się wkurwiać.

Wiele razy zastanawiała się, czy nie poprosić Baby o zrezygnowanie z interesów, jednak wiedziała, że to nic nie da. W taki sposób zarabiał na życie. Sam wybrał taką pracę i należała ona do niego - może jako jedyna rzecz w świecie. Planowanie pozbawienia Baby tego zajęcia było równie absurdalne, jak myśl o porzuceniu go.

- Powiedz mi coś, mała... Przytuliła się do jego ciepłego ciała.
- Co? - wyszeptała sennie.
- Naprawdę to ci nie robi różnicy?
- Co?
- Że jestem czarny.

Położyła rękę na jego piersi, rozpostarła palce na kształt rozgwiazdy. Pod nimi czuła bicie serca, równomierny oddech. Wydawał się ogromny i odporny na wszystko.

- Tutaj - wyszeptała - jesteś tym, czym chcę. Człowiekiem. - Pocałowała nagą skórę w miejscu nad sercem.

Nie wyrzekł nic, patrząc w zniekształcone łatki bladego światła wpadającego

przez szczeliny w żaluzjach. Światło pulsowało na suficie wraz z każdym przejeżdżającym autem czy ciężarówką.

Z ulicy dochodziły ciche odgłosy: ostre trąbienie, miękki szum jadących aleją pojazdów, szczekanie psa, śmiech, potem hiszpańskie słowa. Zamiauczał kot.

Daina spojrzała ukradkowo na jego ciemny profil, zobaczyła błysk łzy w kąci oka. Przycisnęła usta do jego szyi i nigdy nie przyznała się mu, co widziała.

Przebudziła się w środku nocy z okropnym bólem głowy. Natychmiast wyciągnęła rękę, szukając Rubensa, ale była sama. Dlaczego nie ma go w domu? Czy Maria mówiła jej, że dziś wróci później? Nie mogła sobie przypomnieć.

Miała w ustach smak gumy. Próbując go przełknąć pomyślała: Wraca. Wszystko wraca.

Zaczęła się pocić i nagle poczuła się tak, jakby przelatywała przez łóżko, przez podłogę, przez samą ziemię. Do jądra.

Wlepiała oczy w sufit. Wydawał się odległy o miliony mil. I wirował, wirował tak szybko, że zakręciło się jej w głowie. Szczelnie zacisnęła powieki, ale to tylko pogorszyło samopoczucie. Otworzyła oczy. Co ją przebudziło? Czowała bicie własnego serca, młot szalejący w stalowni klatki piersiowej, usłyszała szmer niespokojnego oddechu. Dźwięk, niesamowity i dziwnie rezonujący w ciszy, przyspieszył jej oddech, aż zaczęła sapać.

Zastanowiła się, czy mógł ją przebudzić hałas własnego oddechu. Jednak w głębi duszy wiedziała, że był to jakiś czynnik zewnętrzny.

Strach nabrzmiał w niej niczym balon, przesunął się z brzucha do gardła, zaległ tam jak kamień. Zwalczyła go i w tej samej chwili usłyszała podejrzany dźwięk po raz drugi. Zesztywniała, wytężyła słuch, żeby go zidentyfikować. Hałas powtórzył się, spróbowała uspokoić oddech. Cienki, drażniący strumyczek potu płynął jej po skroni. Źródło dźwięku znajdowało się wewnątrz domu.

Odgłosy rozlegały się coraz bliżej, ukradkowe i ciche, i w końcu uświadomiła sobie, że nie jest sama.

Zacisnęła kurczowo ręce na prześcieradłach i nie mogła się ruszyć. Smak gumy w ustach był coraz silniejszy. Zaczynała się dławić. I pomyślała, że słyszy cichą rozmowę w obcym języku. Po hiszpańsku. Jej umysł wirował, nie mogąc się uwolnić od snu o Babie i Nowym Jorku. Jakaś jego część nadal była trzy tysiące mil stąd.

Znów była dziewczynką, bezradną i przestraszoną, sparaliżowaną, w świecie

pełnym mrocznych cieni i złych zamiarów. Ktoś zbliżał się z każdym jej oddechem. Miała wrażenie, że leży rozpostarta na łóżku jak rozgwiazda. Spróbowała poruszyć głowę, choćby oczyma, żeby zobaczyć, kto czy co wejdzie przez otwarte drzwi do sypialni.

Ostry szczęk nieomal pozbawił ją tchu. Drżąca, skąpana we własnym pocie, pomyślała o otwierającym się nożu, o błysku srebrzącym się na długim, śmiercionośnym ostrzu. I teraz strach załomotał w niej niczym mosiężny gong, wibracje tego historycznego alarmu rozchodziły się na zewnątrz niczym kręgi na wodzie.

Śmierć wisiała w powietrzu, namacalna jak zasłona z paciorków trzepocąca tuż nad jej głową, opadająca z sadystyczną powolnością, pragnąca ją udusić. Klatka piersiowa wznosiła się z mozołem i Daina musiała walczyć o każdy oddech. Cień padł na łóżko, na jej ciało, czarny, ogromny i złowieszczy, i krzyknęła, chociaż najcichszy dźwięk nie dobył się z jej ust. W jej głowie szalał cyklon obrazów: śmierć i destrukcja; przesłanie wyryte w jej ciele; ohydne zniewolenie seksualne; bijące ją wielkie, najeżone kolcami pałki; kości przebijające skórę. Krew tryskająca obscenicznymi fontannami, nerwy wyjące z bólu, a ona całkowicie bezradna. Sapnęła.

I, wyginając się w łuk, wrzasnęła:

- Co, u diabła...!

Krzycząca, niezdolna złapać tchu, zaczęła się dusić.

Poczuła, jak krępują ją potężne ramiona, jak przyciska się do niej gorące obce ciało. Męski zapach, jakby znajomy. Otworzyła oczy i szarpnęła się, chcąc uniknąć kontaktu. Nie puszczał. To tylko zwiększyło jej przerażenie. Jej twarz przylegała do podstawy jego szyi. Szarpnęła głowę w tył, ściągnęła wargi i obnażyła zęby, gdy cofała się, wirując, o długie stulecia. Jej szczęki zatrzasnęły się i otworzyły, kompletnie nie zdawała sobie sprawy, że w jej gardle rodzi się głęboki warkot. Szalała, by wydrzeć się z objęć śmierci, lecz jego siła była nieprzemierzona.

Opuściła głowę, zaczęła zwierać zęby, przygotowując się do ugryzienia, i w tej samej chwili usłyszała:

- Daina? Daina, wszystko w porządku.

Ugryzła mimo wszystko, jej umysł nadal wirował, nawet teraz była przekonana, że przecież nie spała. Słyszała trzask materiału, smakowała słoną wilgoć, słyszała jego zdumiony, pełen bólu krzyk. Jednak było to niczym w porównaniu z

bólem, który przepełnił ją teraz.

- Daina... Daina... Daina...

Rozpoznała czułość w jego dotyku; wiedziała, że to nie śmierć po nią przyszła. To tylko jej umysł zadziałał jak stalowa pułapka, tworząc tę okropną, przerażającą niespodziankę, zjawę o północy.

- Rubens - wyszeptała chrapliwie. - Rubens, pomóż mi. - I osunęła się na jego kolana, drżąc i szlochając z bólu i ulgi.

Nocny żar L.A. stężał. Słyszała głos Baby: „Mała, jest się albo w, albo poza, a to oznacza koniec”. Teraz, współpracując z Bonesteemem, w końcu znalazła się „w”. Miała ogromną ochotę porozmawiać z Rubensem, ale wiedziała, że zepsułaby wszystko w sposób, który nie w pełni rozumiała. Nie mogła też ani jemu, ani nikomu innemu powiedzieć o Babie, bo to również spowodowałyby nieodwracalne zniszczenia.

- Zaażowałem ci spotkanie - oznajmił.

- Z kim?
- Z Dorym Spenglerem. To dobry przyjaciel Beryl. - Przekręcił się na plecy. -

Jest agentem.

- Rubens, powtarzam po raz ostatni, nie zamierzam wyrzucać Monty’ego.
- Czy ja coś mówię? Chcę tylko, żebyś spotkała się z Dorym. Nie bez

powodu.

- Założę się.
- Zrobisz to?
- Zgoda.
- Może powinienem przełożyć wyjazd do Nowego Jorku.
- Ta sprawa z Ashleyem jest zbyt ważna.
- Może poczekać tydzień.
- Chcę, żebyś jechał, Rubensie. -; Położyła dłoń na jego nagim boku. - Nic

mi nie jest. - Uśmiechnęła się w ciemności. - W każdym razie Chris zaprosił mnie na weekend do San Francisco, na koncert zespołu.

- To dobrze. Wyrwiesz się stąd na parę dni. Pochyliła się nad jego twarzą.
- Właśnie tak powiedział Chris. Nie wierzę ci.

- Beryl stawia wysoko na coś, co was łączy. Wspominałem ci. Kiedy jej powiem o wyjeździe, wpadnie w ekstazę. To rzecz na wagę złota dla reklamy, a z Dorym możesz się spotkać po powrocie.

- Zawsze trzeźwo myślący, prawda?

- Spij - wyszeptał. Jego oddech spowolniał, gdy zaczął zapadać w sen.

Ale ona nie mogła zasnąć. Świt był tuż, tuż; wczoraj było tylko nieprzyjemnym smakiem w ustach. Odwróciła się od okna i delikatnie poruszającej się zasłony. Uklękła na łóżku i ściągnęła okrycie, odsłaniając nagie ciało Rubensa. Patrzyła na niego przez długi czas. Opanowała ją nieprzeparta ochota dotknięcia go, przytulenia, poczucia jego ciężaru napierającego na jej piersi, otaczających ją muskularnych ramion. Potrzebowała go. Wyciągnęła ręce do niego.

Wreszcie usiadła i z długim westchnieniem przerzuciła nogi przez krawędź łóżka, zostawiając Babę. Zebrała ubrania i torbę, podreptała cichutko na drugi koniec mieszkania do ciemnej łazienki. Armatura brzęczała bez przerwy, a drzwi - spaczone drewno okryte Bóg wie iloma warstwami taniej białej farby - nie zamykały się do końca.

Wewnątrz znieruchomiła z ręką w połowie drogi do włącznika, zmieniła zdanie. Położyła ubrania na krawędzi wanny, uklękła na desce klozetowej, podniosła okno z półprzezroczystego szkła i wpuściła do środka blask Manhattanu. Niebo było białe, światło rozproszone, jak gdyby żyli wewnątrz jednego z wielkanocnych jajek.

Obserwowała miasto, mrużąc oczy i dygocąc z zimna. Słyszała, jak Baba porusza się cicho po pokoju, przygotowując się do wyjścia.

Odwróciła głowę, gdy rozległ się ostry dźwięk. Ktoś był przy drzwiach.

Potem usłyszała głos Baby i metaliczny zgrzyt policyjnej zasuwki. Przyjaciele często wpadali bez uprzedzenia. Baba nie miał telefonu, wolał przeprowadzać rozmowy z ulicznych budek w sąsiedztwie. - Interesy - mawiał - należą do ulicy. - Jednakże tej jednej nocy, choć zbliżała się ona do końca, Daina nie chciała, żeby ktoś im przeszkadzał. Nadal czuła gdzieś w środku mrowienie, delikatne jak szelest traw, a jej ciało w wielu miejscach było obolałe, usta posiniaczone, lekko obrzmiałe: rozkoszne.

Odwróciła się od scenerii rozciągającej się za oknem, ruszyła po cichu do nie domkniętych drzwi.

W chwili gdy do nich dotarła, usłyszała dwa głośne wystrzały i podskoczyła, serce waliło jej tak mocno, że bała się, iż może pęknąć. Usłyszała buty wybijające rytm staccato na gołej podłodze, potem zapadła cisza, następnie ktoś wszedł na cienki dywan między kanapą a fotelami. Głos, niski i groźny, powiedział: - Zostań na swoim miejscu. Odwalisz nocną robotę. - Po czym znów zaległa cisza, która zdawała się trwać całą wieczność.

Stała zupełnie nieruchomo, zaciskając zbieleńnięte palce na skraju drzwi. Przerazenie ścisnęło jej serce, a krew krzepła w sople lodu, z każdym oddechem przeszywał ją ból. Odrętwiała. Próbowwała myśleć logicznie, nie mogła, czuła tylko, jak poruszające się usta formują słowa: To niemożliwe.

Nagle usłyszała sapanie, tak ostre i wyraźne, że mogłoby być kolejnym strzałem. Starła się przesyć wzrokiem mrok, zobaczyć, kim jest intruz. Pochyliła się i usłyszała wypowiedziane szeptem słowo: - *Callate!* – Potem znów cisza.

Wyskoczyła na oślep z łazienki, przemknęła przez długi pokój. Z otwartych drzwi wejściowych padał na podłogę ukośny prostokąt bladego światła. Podbiegła do nich, zatrzasnęła je ze wszystkich sił, zasunęła policyjny rygiel.

Odwróciła się, niemal potknęła o niego. Leżał rozpostarty na podłodze, z głową i ramionami opartymi o wywrócony stolik do kawy. Krew, ciemna i połyskująca jak deszcz diamentów, pokrywała jego piersi, sączyła się z otwartych ust. Wszystkie lampy były wygaszone.

Uklękła obok niego, zobaczyła wypływającą z ran krew, wspinała i życiodajną, życie i tylko życie, prawdziwe i namacalne dla niej po raz pierwszy.

- Baba! - krzyknęła. - O Boże, Baba! - Jej ręce powędrowały do jego ciężko wznoszącej się piersi, jak gdyby mogła uleczyć go samym dotykiem i wiarą.

Minęło nieco czasu, nim zdała sobie sprawę, że mężczyzna chce coś jej rzec; z jego ust wypływało tyle krwi, że się nią dusił.

Podniosła jego głowę z twardej krawędzi stołu, przytuliła ten wielki ciężar do nagich piersi. Krew spływała jej na brzuch, ciemna, ciepła rzeka, zbierając się w kałużę w kształcie litery V między udami. Ostry smród prochu mieszał się z innym zapachem, słodkim, gęstym i lepkiem, którego nie potrafiła zidentyfikować. Ciało Baby było chłodne. Otoczyła go ramionami. Strzępy skóry sterczały między jej palcami jak strzaskany cukierek.

Baba zakaszłał, powiedział coś. Pochyliła głowę.

- Co? - zapytała gorączkowo. - Co? - Ale myślała: Co mam zrobić? Zostać czy zostawić go i iść zadzwonić po ambulans? Nie zwróciła uwagi, co mówił. - Baba, nie słyszę cię.

- Ałly. Ally, ten portorykański kutas. - Jego głos był chrapliwy, niewyraźny. Wytarła koronkę krwi z jego ust. - Pracowałem nad tym układem od pięciu lat, a teraz on chce zgarnąć wszystko. - Zamknął na chwilę oczy i Daina przeraziła się, że się jej wymyka.

- Baba? - wyszeptała ze strachem. Otworzył oczy i zobaczyła w nich iskrę.

- Gównu, mała. Wiesz, co ten pierdolony Latynos powiedział mi, gdy strzelił... „Wiesz, co jest nie tak z tym miastem? Za dużo cholernych czarnuchów.”

- Cicho. Cicho. Kogo to teraz obchodzi?

Zaczął drżeć. Pot spływał po nim jak krople deszczu. Czującym ruchem wytarła mu twarz i zobaczyła, że na nią patrzy. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Och, Baba - wyszeptała. - Nie umieraj. Nie umieraj. – Przycisnęła silniej dłonie do jego piersi. Pod błonką krwi czuła potrzaskane żebra, zmęczone trzepotanie serca. Nadal wpatrywał się w jej oczy. Z wysiłkiem otworzył usta, jego zęby były różowe od płynącej nieskończonym strumieniem krwi.

- Mała... Przytuliła go.

- Baba, nie pozwolę ci umrzeć. Nie pozwolę! - Jednak czuła, jak ciepło zeń ucieka, jak życie wypływa niczym toczący się do morza strumień, zatracający swą siłę w jego niezmiernie głębokim. Otworzyłaby dla niego żyły, zrobiłaby wszystko, by dać mu życie, lecz nie była boginią, a on nie był mitycznym herosem.

- Baba, kocham cię. - Ale nie mogła nic zrobić, ani teraz, ani wcześniej, kiedy stała cicha i nieruchoma w bezpiecznych cieniach łazienki, gdy słyszała śmiertelne pociski w stalowych koszulkach. Bez przerwy odtwarzała tę chwilę w pamięci. Dlaczego się nie ruszyłam? Dlaczego tylko stałam? Teraz jestem bezradna. Zupełnie bezradna.

I w pewnej chwili jej oczy znów zaczęły koncentrować się na zewnętrznym świecie. Stwierdziła, że trzyma teraz jedynie stygnącą i zalaną krwią formę. Nie było w niej śladu życia.

Na zewnątrz, poza pasiastą ochroną cieni, zawodziła karetka pędząca do jakiegoś wypadku. Tutaj nie musiała przyjeżdżać. Z ulicy dobiegała rozmowa,

przypominająca szczebiot małą w koronach drzew, rozpoznawalny, lecz niezrozumiały. Uliczny hiszpański. Potem rozmawiający odeszli spod okna.

Jego oczy były już szkliste, jednak nie mogła go zostawić. Ręce jej ścierpły, a ciało pokryło się gęsią skórą, lecz ból jedynie zsyłał na nią zbawienne otępienie. Zbojętniała na to, czemu kiedyś będzie musiała stawić czoło.

Powinam była, powinam była... och, powinam...

Uciekła z ubraniami i z nienawiścią - paciorkiem ukrytym w medalionie wiszącym na szyi. Przez długi czas myślała, że już nigdy się nie uśmiechnie, ale oczywiście była to tylko głupia fantazja młodziutkiej dziewczyny.

CZĘŚC TRZECIA

LAS ŚWIATŁA

Hast Du was, Bist Du was - Jeżeli coś masz, jesteś kimś.

przysłowie wiedeńskie

7

L'Auberge Eclairé stał przy stromej jak rollercoaster California Street w San Francisco. Limuzyny zjeżdżały na trzypasmową drogę dojazdową, hamując z pomrukiem przed francuskim w zamyśle frontonem z ciemnoczerwonej cegły i dekoracyjnego tynku.

Ale w rzeczywistości hotel prezentował przybywającym dwie odrębne fasady. Ponad porośniętą bluszczem pięciopiętrową częścią w stylu Starego Świata wznosiła się wysoka na trzydzieści dwa piętra wieża z pokrytego brązem aluminium i przydymionego szkła, dominantą tej części nieba. Auberge, w trzy lata po otwarciu, stał się najpopularniejszą budowlą w San Francisco, przyćmiewającą Hyatt Regency Hotel w Embarcadero Center i piramidę Transamerica.

Silka wysiadł z samochodu i drzwi zamknęły się za jego plecami. Przez pewien czas razem z Bennym Cutlerem naradzał się z kierownictwem hotelu. Boye w liberach otworzyli kufry wozów, zatargali bagaże Dainy i członków zespołu do

środka.

Ochroniarz zapukał do drzwi limuzyny i kierowca otworzył je. Wsunął głowę do wnętrza, popatrzył na Chrisa.

- Mamy dodatkową ochronę.
- Ci sami ludzie, co wcześniej? Mężczyzna skinął głową.
- Prawie. Musieli ściągnąć jednego faceta z urlopu. Łowił ryby w Tahoe. -

Roześmiał się. - Sukinsyn naprawdę tęskni do łamania karków.

- Skorzystaj z ich usług - polecił Chris. - Nie chcę, żebyś przez cały czas był związany tym gównem. - Kerr mówił takim tonem, jakby odbywał właśnie naradę wojenną.

- Wszystko ustalone. Na razie, gdy tylko znajdziemy się na górze, muszę zaopatrzyć pannę Whitney w plakietki, bo inaczej będzie zatrzymywana na wszystkich punktach kontrolnych. - Wyjrzał na zewnątrz. - Okay. Jak jesteś gotowy, wychodź.

W ogromnym holu, chłodnym i mrocznym, do polerowanego i złoczonego sklepienia ozdobionego kupidynekami i serafinami wznosiły się gipsowe doryckie kolumny.

Po lewej stronie widniał kręty korytarz, nad którym wisały ręcznie wypisane znaki wskazujące drogę do baru, do otwieranej o szóstej wieczorem restauracji z francuską kuchnią w stylu *nouvelle cuisine* i kabaretu zapowiadającego występy Shirley Bassey.

Blżej wejścia stały w luźnej grupie bladozielone, złoczone sofy i dobrane do nich klubowe fotele, a między nimi wysokie paprocie; ich szerokie liście tworzyły naturalne, cieniste parawany. Na środku posadzki z pstrego marmuru leżał olbrzymi orientalny kobierzec.

Heartbeatsi zarezerwowali całe czwarte piętro w starej sekcji hotelu, które w rzeczywistości obejmowało czwarte i piąte, gdyż wszystkie apartamenty były dwupoziomowe. Turystów oczywiście kierowano do nowoczesnego splendoru wieży ze stali i szkła, z salą gimnastyczną uginającą się pod ciężarem sprzętu rekreacyjnego i krytym basenem o olimpijskich rozmiarach, umieszczonym wysoko ponad miastem.

Daina odkryła, że apartamenty mają własne sauny i baseny z biczami wodnymi. Brakowało tylko szwedzkiego masażu, a i ten mogła zamówić przez

wciśnięcie guzika. Nic dziwnego, że miejsca w Auberge rezerwowano z osiemnastomiesięcznym wyprzedzeniem.

Chris i Daina zajmowali narożny apartament na końcu korytarza pełnego opalizujących czarno-białych sztychów San Francisco i ludzi w ciemnych garniturach, o równie ciemnych twarzach.

Był to apartament wspaniały pod każdym względem. Daina z pewnością nie widziała pokoju hotelowego, który by mu dorównywał. Po lewej stronie mieściła się kuchnia pełna miedzi i chromu, a obok jadalnia z dębowym stołem, dość wielkim, by swobodnie zmieściło się przy nim dwanaście osób.

Za ogromnymi podwójnymi drzwiami znajdowała się część mieszkalna - nieco, ale niewiele, mniejsza od boiska futbolowego. Przeciwległa ściana składała się z szeregu okien, za którymi jaśniało w promieniach słońca białe jak alabaster miasto.

Na prawo spiralne, obwieszane maleńkimi lampkami schody wiodły do dwóch sypialni. Każda miała własną łazienkę. Wspólna była sauna i basen.

Zdawało się, że jest tam dość marmuru na zbudowanie przyzwoitych rozmiarów pałacu. Daina wybrała łazienkę w tonacji dojrzałej zieleni - ta druga miała motywy granatowe.

Zastłony były odciągnięte. Słoneczne światło zalewało pomieszczenie. Słyszała, jak za jej plecami Silka dyryguje boyem znoszącym jej bagaże. Usłyszała, jak mówi: Tak, to naprawdę jej.

Podeszła do okna. Powietrze wydawało się czyste jak kryształ, przynajmniej w porównaniu z prawie stałym smogiem L.A. Prześledziła wzrokiem rzędy budynków schodzących stromo nad ciemnoniebieską zatokę. Mewy krążyły nisko wśród nabrzeży. Kątem oka zobaczyła jasnoczerwony i złoty błysk tramwaju linowego, który niknął za grzbietem Russian Hill, by zjechać na poziom morza. Daleko, na rogu, rozpoznała jaskrawy strój ulicznego grajka. Widok ten sprawił, że zatęskniła za spacerem po tych ulicach.

Odwróciła się i zobaczyła, że ochroniarz na nią patrzy. Stał po drugiej stronie pokoju, gdzie słońce padało tylko na czubki jego błyszczących czarnych butów. Reszta postaci znajdowała się w cieniu. Daina wspomniała znanego sobie niegdyś futbolistę i to, jak zdumiewała ją jego ogromna sylwetka, nawet bez ochraniaczy; jakby urodził się do przewracania ludzi barkiem. Teraz pomyślała to samo o Silce.

- Chcę stąd wyjść - powiedziała - na chwilę. Skinął głową.

- Chris zamówił pani wóz. Czeka na dole, do pani dyspozycji. – Przeciął pokój w dwóch pozerających odległość krokach. - Jednak najpierw musimy wyposażyć panią na wieczór.

Zajął się przygotowywaniem polaroidu i innych urządzeń, by zrobić jej zdjęcie i umieścić je na laminowanej plakietce z widocznymi tylko w podczerwieni znakami. Daina miała ją nosić przez cały czas pobytu z zespołem. Zapytała:

- Jak doszło do spotkania Tie z kapelą?

Mężczyzna chrząknął.

• Zaczepiła ich pewnego lata w Cap d'Antibes. Podeszła do Jona ubrana jedynie w kostium topless i położyła się obok niego. Takimtu czemuś nie potrafił się oprzeć.

• Ale potem Jon umarł i...

• Prosię się nie ruszać. - Błysnął flesz i mechanizm zajęczał, wywołując zdjęcie. Silka odłożył aparat. - Och, tak, po śmierci Jona przeniosła się do Nigela, lecz nie tego chciała. - Spoglądał na nią w trakcie pracy. - Od chwili spotkania z nimi, chciała robić to z Jonem i Chrisem jednocześnie. - Potrząsnął głową. - Jednak oni wyznaczyli wyraźną granicę. Byli sobie zbyt bliscy, żeby dzielić się kobietą... W głębi duszy byli braćmi i wszystko to...

• A Nigel? Co z nim? Przyjechali do Londynu wszyscy razem. Czy nie tworzyli jednej wielkiej rodziny?

• Cóż, tak i nie. Oczywiście, wszyscy byli sobie bliscy, lecz Nigel bronił się przed tym szczególnym muzycznym stosunkiem, jaki łączył Chrisa i Jona. Razem tworzyli magiczną muzykę. Czy można to wyjaśnić? Nie. Ale Nigel musiał spróbować. Przyszedł do mnie i powiedział: „Oni spiskują za moimi plecami, Silka, wiem. Chcą się mnie pozbyć z kapeli”. Na początku próbowałem mu tłumaczyć, że to nieprawda, lecz on tylko słuchał samego siebie albo kogoś, kto miał takie samo zdanie.

Ochroniarz znowu potrząsnął głową.

- Nigel w owych czasach był szalonym chłopakiem. Dwa, trzy razy na tydzień musiałem wyciągać go z aresztu, po tym, jak został przyłapany przez męża czy przyjaciela na gorącym uczynku. - Roześmiał się. - Ten sukinsyn po prostu się nie przejmował. Był nienasycony, gdy chodziło o kobiety. To znaczy, och, wszyscy byli

tacy na własny sposób, jednak z Nigelem było nieco inaczej, głębiej i... - wzruszył masywnymi ramionami - może „patologicznie” to właściwe słowo. W każdym razie nie pozwalał mi się nudzić. - Oczy mu spochmurniały. - Potem umarł Jon. - Westchnął, podał jej pokryty laminatem identyfikator. - Proszę. - Fotografia była względna. Daina przypięła plakietkę.

- I wtedy kapela zmieniła się - podsumowała. - O ile wiem, musiało do tego dojść, prawda? To Jon stał za wszystkimi tymi skandalicznymi akcjami reklamowymi, które na początku zrobiły kapeli taką prasę.

Silka zaczął zbierać sprzęt.

- Wszyscy wiedzieli to, co chcieliśmy, żeby wiedzieli. Przez połowę czasu Jon był zbyt naćpany, by myśleć o czymkolwiek. To Tie mu wszystko podpowiadała. Ja nie... chyba nikt naprawdę nie wie, ile pomysłów było jego, a ile Tie. Przypuszczam, że nawet ona sama nie potrafiłaby określić tego na pewno, ponieważ z czasem proces ten stał się zamazany. Zawsze tak jest z pochodzeniem pomysłów, nie sądzi pani? Chodzi mi o to, że nawet kiedy jakiegoś ranka człowiek budzi się i myśli: Co za wspaniały pomysł! – tak naprawdę jest on syntezą tego, co się słyszy, widzi, czuje, przyjmuje do wiadomości.

Daina zaczęła się zastanawiać, dlaczego człowiek, który mówi, czuje i myśli w taki sposób, pracuje jako ochroniarz najznakomitszej w świecie kapeli rockowej.

- To właśnie odróżnia nas od innych stworzeń na tej planecie, prawda, Silka? Posiadamy władzę, która pozwala nam działać.

Wyszła, gdy kapela udzielała wywiadu ludziom z *Rolling Stone*.

Kazała szoferowi jechać na Hyde, przez Russian Hill, do tej części miasta, którą widziała z okna. Z grzechotem minął ich tramwaj linowy. Usłyszała stłumiony dźwięk ostrzegawczego dzwonka, jakby z oddali, ale nim pomyślała o wciśnięciu guzika i spuszczeniu szyby, tramwaj zniknął na podniebnych wyżynach, w drodze do Ghirardelli Square, gdzie, jak wiedziała, miał wyrzucić swych pasażerów po to tylko, by zawrócić i zacząć podróż w górę stromego stoku do Union Square.

Obok przemknęły Vallejo i Green i Daina znalazła się na szczycie wzgórza. Widziany wcześniej uliczny artysta niestety zniknął, lecz pełne ludzi ulice były tak przyjazne, jak pamiętała. - Skręć tutaj - powiedziała, gdy podjechali do Union Street, i limuzyna skręciła na zachód.

Na przestrzeni trzech przecznicy po obu stronach ulicy ciągnęły się maleńkie,

ekscentryczne butiki, galerie sztuki i restauracje, które tak uwielbiała.

Kazała kierowcy zatrzymać się przed Elaine Chen's. Wewnątrz powstało nadzwyczajne zamieszanie; podano jej ziołową herbatkę, a personel paradował przed nią w sukniach, spódnicach, bluzkach i sweterkach.

Klienci przestali interesować się towarami, skupili się wokół niej, pytając o Chrisa, o film, podsuwając jej świstki papieru z prośbą o autografy. Wytwarzali gorąco, pożerali tlen, przeciskali się, by bodaj ją dotknąć, jakby była jakimś przybyszem z obcej planety. Przez to poczuła się tak, jakby miała dziesięć stóp wzrostu, jakby posiadała moc wystarczającą do oświetlenia całego świata.

W pewnej chwili z głębi sklepu wyłoniła się sama Elaine Chen. Przegnała wszystkich na zewnątrz i zamknęła za nimi drzwi, żeby Daina miała szansę zrobić zakupy. Nie musiała przejmować się klientami, wiedziała, że wróca.

Na ulicy, objuczona pakunkami - kupiła dwie jedwabne sukienki, satynową bluzkę i interesujący zakiet z jedwabiu i lnu w kolorze winogron - wpadła prosto na szczupłego mężczyznę o raczej kobiecym wyglądzie, w ciemnych okularach, czapce z daszkiem i jasnoszarym mundurze.

- Mogę je zabrać?

Daina zobaczyła, że to jednak kobieta, obdarzona wysokim i melodyjnym głosem. Uśmiechnęła się czarująco.

• Proszę. - Kobieta wyciągnęła rękę po paczki, wskazując na srebrnego lincołna-limuzynę mrużąc przy krawężniku. To nie nim Daina tu przyjechała.

• Gdzie mój wóz? - zapytała.

• Proszę - powiedziała kobieta w liberii. Zaczęła prowadzić Dainę w stronę srebrnej limuzyny. - Pani twarz jest zbyt znana, by tak długo przebywać na ulicach.

I Daina spostrzegła, że nieznajoma ma rację. Przechodnie i gapie oglądający wystawy teraz skupili uwagę na niej. Z drzeniem zdała sobie sprawę, że zaćmiewa nawet widoki oferowane przez San Francisco. Kobieta przynagliła ją ruchem dłoni. Przebywanie na ulicy istotnie mogło okazać się niebezpieczne.

Daina skinęła głową.

- W porządku. - Podała jej pakunki i tylnymi drzwiami weszła do ciemnego, chłodnego wnętrza samochodu.

Równie dobrze mogła znaleźć się w salonie. Nie było tu konwencjonalnych

siedzeń, a trzy miękkie jak masło obrotowe fotele ze skóry i palisandru. Między nimi był barek, telewizor, w rogu aparat do masażu stóp, półka pełna książek w twardych oprawach: *Piotruś Pan*, *Bracia Karamazow*, *Lolita*, *Candy*, *The Story of O*, *Mechaniczna pomarańcza* i dzieła zebrane Garcii Lorki. Dziwny zbiór, pomyślała. Ale nawet nie w połowie tak dziwny, jak człowiek, który siedział na fotelu najbliższym aparatowi do masażu.

Miał długą, wąską czaszkę, łysą na czubku, lecz z gęstymi srebrnymi włosami po bokach. Były one zaczesane prosto do tyłu, nie do góry, jak czynią niektórzy próżni mężczyźni próbujący w ten śmieszny sposób ukryć łysinę.

Jego szerokie, pomarszczone czoło i brązowa, gruba skóra skojarzyły się Dainie z widzianym niegdyś pięknym, czarno-białym zdjęciem Picassa. Jednak na tym kończyło się podobieństwo, gdyż nieznajomy nie miał głębokich bruzd na twarzy, chociaż dobiegał, jak osądziła, siedemdziesiątki. Przyjemne płaszczyzny jego oblicza pocięte były zmarszczkami tak drobnymi, że obserwator odnosił wrażenie, iż patrzy przez rybacką sieć. Jego oczy zdawały się ostrymi bitumicznymi okruchami i emanowały siłą dużo młodszego człowieka.

- Witamy, panno Whitney - rzekł. - Proszę siadać. - Miał głos Alexandra Scourby'ego, głęboki i bogaty, i wyszkolony tak, by być słyszany przez wielu.

Ubrany był w węglistoszare spodnie z głębokimi plisami, białą lnianą koszulę z krótkimi rękawami, najwyraźniej szytą na zamówienie, i czarne meksykańskie sandały, pod którymi dostrzegła gołą skórę. Jedna noga spoczywała na kolanie drugiej. Ręce miał złożone na brzuchu. Dostrzegła, że dłonie ma wielkie, z sękatymi kłykciami i pokrzywionymi palcami, jakby cierpiał na artretyzm.

- Jestem Meyer - przedstawił się. - Karl Meyer. Zna mnie pani. - To nie było pytanie.

Skinęła głową.

- Rubens wspominał o panu. Myślałam, że jest pan w San Diego. Spojrzał na nią z zaciekawieniem, poruszając tylko wielkimi, dziwnymi oczyma. Klimatyzacja syczała cichutko. Lustrzane okna odbijały ich sylwetki. Zewnętrzny świat nie istniał.

• Pani się mnie boi. - Pokiwał wielką głową. - To dobrze. - To świadczy, że znam się na ludziach. - Uśmiechnął się nagle i zobaczyła złoto błyskające jak wschodzące słońce na powierzchni morza.

- Więc to jest Daina Whitney.

Było to stwierdzenie tak nieoczekiwane, że wybuchnęła śmiechem.

- Proszę mi wybaczyć - sumitował się. - Czy powiedziałem coś zabawnego?
- Raczej tak. Wszyscy znają moją twarz.

• Aha - mruknął na znak zrozumienia. - Oczywiście. - Pochylił się i wyciągnął sękatą dłoń. - Ale ilu panią dotykało? - Czubek palca popukał ją w grzbiet ręki. - Teraz jest pani symbolem... albo wkrótce będzie. Proszę mi powiedzieć, jakie to uczucie?

Daina milczała. Gdy pochylił się ku niej, jej oczy powędrowały ku wewnętrznej stronie jego przedramienia. Błękitne cyfry zatarły się z wiekiem, lecz nie można było pomylić ich z niczym innym.

Meyer, zauważywszy jej zainteresowanie, objaśnił:

• Uważali, że nie powinniśmy mieć nazwisk. Nazwiska były dla ludzi. Nam dawali tylko cyfry.

- Przykro mi - wyszeptała.

• Nie ma potrzeby. - Nie przesunął zaciśniętych rąk. - To nie był pani świat. Pani świat musi stawiać czoło innym okropieństwom. - Otworzył szeroko oczy i Daina pomyślała, że dostrzega w nich inny świat. Podniósł ręce. - Kiedy byłem młody, malowałem. Marzyłem, że zostanę kolejnym Cezanne'em czy Matisse'em. Byłem bardzo dobry - wyszeptał. - Bardzo zręczny. Miałem iskrę. - Jego oczy płonęły. - Jednak zbyt długo pozostałem w Europie. Zbyt długo. Nie mogłem uwierzyć w to, co tam się działo. Kiedy naziści zabrali mnie i dowiedzieli się, czym się zajmuję, zrobili mi to. - Podniósł dłonie, rozpostarł palce, krzywe i sękaty jak drzewa na wrzosowisku. - Dla zabawy. Połamali mi palce, po jednym na raz.

Wpatrywał się w nią twardo przez długą minutę. Potem wrzucił ramionami.

- No cóż. Przynajmniej żyję, prawda? - Poklepał ją przyjaźnie po kolanie. - Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Daina musiała się zastanowić, by je sobie przypomnieć.

- Uwielbiam to, co robię; tworzę i cieszę się, gdy zdobywam uznanie. Czegóż więcej mogę pragnąć?

Rozważnie pokiwał głową.

- Faktycznie, czegóż więcej? - Uśmiechnął się. - Życie jest dla pani łagodne,

Daino, nieprawdaż?

- Lecz nie pozbawione niebezpieczeństw.

• O, nie! - Roześmiał się, klepiąc się po kolanie. - Czym byłoby życie bez niebezpieczeństw? Mój Boże, okropną nudą! Wolałbym podciąć sobie żyły. - Skrzywił się i zaczął rozwiązywać skórzane paski sandałów.

• Pan pozwoli. - Daina pochyliła się i, ostrożnie wsuwając własne palce w miejsce tych poskręcanych, rozwiązała rzemyki.

Mężczyzna włożył bose stopy do wody, wcisnął chromowany przycisk. Woda zaczęła wibrować. Nieznaczny uśmiech zniknął z jego ust.

- Ach, tak jest lepiej. - Pochylił się, otworzył barek. - Drinka?

- Toma Collinsa.

• Już podaję. - Jego ręce zwinnie radziły sobie ze szklankami, lodem i alkoholem. Daina zastanowiła się nad historią, jaką jej opowiedział, a dokładniej, na ile niesprawne były te zniszczone dłonie. Była pewna, że nie pozwoliłby jej zobaczyć tej luki w swej obronie, gdyby nie doszedł do wniosku, że może jej bezwarunkowo zaufać.

Kiedy przyrządził drinki i oboje skosztowali alkoholu, powiedział:

- Wiek, moja droga Daino, jest bardzo poważną sprawą. Oczywiście, w optymalnym świecie nikt nie powinien zwracać na niego uwagi. Jednak żyjemy w świecie dalekim od optymalnego. Jestem pewien” że pani się z tym zgodzi. W młodości byłem bardzo cierpliwy. Nauczyło mnie tego malowanie farbami olejnymi. Arcydzieł nie tworzy się w pośpiechu.

Westchnął, odstawił drinka.

• Ale, obawiam się, wiek niszczy cierpliwość. Jeden mój syn zginął w Korei, drugi w Wietnamie. - Jego spojrzenie skierowało się jakby do wewnątrz. - Już nie ma arcydzieł. Nigdy nie będzie. Mój czas się kończy. - Znów spojrział na nią. - Z wiekiem człowiek coraz więcej zaczyna fantazjować. - Jego usta znów uchyliły się w chytrym, złotym uśmiechu.

• Obecnie zależy mi tylko na stworzeniu własnego świata - poznała pani Margo; jest wielu innych. iJecz tylko ona ze mną podróżuje. Rozumie drogę, ten wóz, mnie. Stanowimy jedność.

Teraz mogę wyczarowywać sny na jawie, z których modeluję własną

rzeczywistość. Wyobrażam sobie, że coś pokrewnego musiał czuć Bóg. O ile w ogóle jest jakiś Bóg, w co poważnie wątpię. - Zamrugnął jak sowa. - Bóg nie zabrałby mi obu synów. Nie ma w tym żadnego sensu; niewytłumaczalne, z paplania, z którego słyną teolodzy, jest nonsensem. Nie. Świat jest wstrętnym miejscem i kiedy zagraża tym, których się kocha, potrzebni są strażnicy... nie sądzi pani? - Pytanie dodał po dłuższej chwili, jednak wyglądał na szczerze zainteresowanego odpowiedzią.

- Nie wiem, jacy oni musieliby być - odparła, myśląc o Babie i Maggie.

Meyer wzniósł palec.

• Och, ale są. Są. - W zadumie popijał swego Toma Collinsa. - Niech mi pani powie - rzeki wreszcie - o Rubensie. Chcę wiedzieć, co pani do niego czuje.

• Kocham go.

• Ciekaw jestem - dumął - czy to wystarczy w dzisiejszych czasach. Nigdy nie wystarczało. Kochałem swoich synów, lecz moja miłość ich nie ochroniła.

• Nie rozumiem. Mężczyzna zerknął na nią koso.

• Musi pani chronić Rubensa. Poczwała się zaalarmowana.

• Przed kim?

- Przed nim samym. - Poklepał ją po kolanie. - Pozwoli pani, że wyjaśnię. Po tym, jak mój młodszy syn wrócił do domu w trumnie z przyznanym pośmiertnie medalem, straciłem wszystkie uczucia. Myślałem, że ten cios przekracza moją wytrzymałość. Że moje obwody się wypaliły.

Więc rzuciłem się w wir interesów. Pieniądze zdawały się marną namiastką tego, co straciłem, ale tylko do tego byłem zdolny. Spotkanie Rubensa, poznanie go, sprawiło, że w tych starych obwodach znów popłynęło życie. Lecz tylko na pewien czas. Jednakże było to coś, czego się nie zapomina.

Teraz coraz bardziej staje się dla mnie jasne, że on uczy się zbyt szybko, robi się za bardzo podobny do mnie. Nie chcę tego. Nikt nie powinien żyć tak jak ja.

- Zatem jest pan nieszczęśliwy?

Odchylił się na oparcie, wyjął stopy z aparatu i osuszył je ręcznikiem.

• Nie, nie jestem nieszczęśliwy. W tym problem. Jestem już do tego niezdolny.

• Nie wierzę panu. Ale gdybym uwierzyła, czy coś takiego nie byłoby błogosławieństwem?

- Och! - zawołał. - A wszystkie emocje, które nie są już moje? - Spojrzał jej w oczy. - Czy pani chce, żeby on podążył tą samą drogą? Czy nadal będzie go pani kochała?

- Będę go kochała bez względu na wszystko.

- Mam nadzieję - powiedział poważnie Meyer - że starczy pani sił, by trzymać się tego zawsze.

- Zaproponuję pani interes - oznajmił na chwilę przed tym, nim limuzyna zatrzymała się przed hotelem. - Pani zatroszczy się o Rubensa, a ja pomogę pani dowiedzieć się, kto zabił jej przyjaciółkę.

Daina westchnęła głęboko.

- Nie ma potrzeby ubijać interesu.

- Chcę, żeby Rubens był bezpieczny, Daino - rzekł poważnie Meyer. - Nie sądzę, aby istniał poza panią ktoś, komu ufałby do tego stopnia, albo ktoś, kto ma dość odwagi.

- Nie robię interesów, Meyer.

- Byłaby pani głupia, nie wyrażając zgody.

Wybuchnęła śmiechem, lecz gdy się uspokoiła, on mierzył ją tym samym chłodnym spojrzeniem.

- Pan mówi poważnie.

Nie musiał odpowiadać i z niejakim zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nie spodziewała się odpowiedzi. Położyła rękę na klamce.

- Nic mu się nie stanie, Meyer. - Potem, impulsywnie, pochyliła się i pocałowała starszego pana w policzek. Jego skóra była ciepła i sucha. Pachniał lekko bogatym, męskim zapachem. Spojrzała na niego po raz ostatni. - Powiem Margo, żeby przysłała i zawiązała panu sandały.

Jego śmiech pozostał z nią długo po tym, jak olbrzymi srebrny lincoln stopił się z innymi pojazdami na California Street.

Kiedy wróciła do apartamentu, nadal byli tam ludzie ze *Stone*. Chris zobaczywszy ją, kiwnął na nią. - Cześć, Dain, dobrze, że przysłałaś. Zrobimy parę fotek, co? - Objął ją, gdy weszła w otaczający go krąg ludzi. Reporterzy wpadali na siebie, by z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co tu robi, jak idzie film. Było to magiczne słowo i rozmawiała z nimi przez pewien czas. Kątem oka

zobaczyła, jak Chris przekracza wyciągnięte nogi Rollie'ego i podchodzi do wysokiego czarnego mężczyzny, który siedząc zgarbiony w kącie patrzył w ekran telewizora.\

Miał bujną, lśniącą fryzurę afro, długą czekoladową twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi, oczy w kształcie migdałów i nieskazitelnie wykrojone usta. Był ubrany w ciemnozielone skórzane spodnie, ciasno opięte w kroczu, i kremową jedwabną koszulę z szerokimi rękawami w stylu Regencji. Na szyi miał kilka sznurów nefrytowych paciorków, a na krótkim platynowym łańcuszku rzeźbionego w kamieniu Buddę. W prawym uchu błyszczały trzy diamentowe kolczyki.

- Cześć, Nile - przywitał się Kerr, klepiąc go w kolano. - Chodź, zrobimy parę zdjęć.

Nie trzeba było go przedstawiać. Daina wiedziała, że to Nile Valentine, amerykański gitarzysta, który w połowie lat sześćdziesiątych wyemigrował do Anglii. Jego pierwszy singiel, *Białe Słońce*, dosłownie w ciągu jednej nocy stał się przebojem, a sam wykonawca sensacją. Jego błyskotliwa gra na gitarze - unikatowe połączenie bluesa i stylu psychodelic - zrewolucjonizowała rock. Jego drugi singiel, *Zamknięci pod ziemią*, który wyszedł osiem miesięcy później, dostał się na pierwsze miejsce światowej listy przebojów i pozycja Nile'a została ugruntowana.

Podczas gdy Chris prowadził gitarzystę przez pokój, fotograf Stone zaczął ustawiać członków zespołu. Oczywiście Thais zajęła miejsce obok Nigela. Miała na sobie zapinaną z przodu spódnicę z płowego zamszu. Większość guzików była rozpięta i gdy Tie siadała, Daina zobaczyła jej nogi. Po wewnętrznej stronie prawego uda widniał tatuaż. Zdawało się, że to podwójny krzyż, ale kobieta tak szybko zmieniła pozycję, że Daina nie mogła być pewna.

Chris usadził Valentine'a na sofie i wcisnął się między gitarzystę i Dainę, obejmując ich oboje. Po drugiej stronie siedział Rollie, jak zwykle błaznując. Przez może dziesięć następnych minut fotograf robił zdjęcia.

W pewnej chwili Thais pochyliła się nad Ashem w stronę Dainy i zapytała szeptem:

- Powiedz mi, Daina, jaki on jest w łóżku?

Ta zerknęła na Kerr'a, który, jak się zdawało, całą uwagę poświęcał obiektywowi aparatu.

Nawet się nie zastanawiała, czy powiedzieć prawdę. Co by to dało? Tie i tak

wierzyła tylko w to, co chciała.

- Miewałam lepszych. - Roześmiała się. - Ale z pewnością jest seksowny.
- Czy przyprowadził kiedyś jedną z tych młodych dziewczyn? - Zdawało się,

że hebanowe oczy Thais nie mają powiek niczym ślepią gada.

Przez chwilę Daina była wytrąconą z równowagi i nieomal mogła słyszeć milczący śmiech drugiej kobiety. Co za młode dziewczyny? - pomyślała. Czy Tie mówi prawdę i, jeżeli tak, czego jeszcze nie wiem o Chrisie?

- Raz mnie zapytał, czy może to zrobić - odrzekła bez śladu niepewności; ostatecznie grała tylko kolejną rolę - lecz nie zgodziłam się. „A jak zostaniemy przyłapani?” - zapytałam. - Obie wybuchnęły śmiechem.

- Powinnaś go zobaczyć, jak wyskakuje na jedną ze swych balang - powiedziała cicho Thais. - Nigel musi po niego chodzić, bo tylko on potrafi go wyciągnąć.

Balangi. Balangi? - myślała Daina. O czym ona mówi?

- Byłam u nich parę razy, gdy właśnie wrócił, i Maggie...

- Och, Maggie o niczym nie wiedziała. Gdyby było inaczej, prawdopodobnie nie byłaby z nim tak długo. Nie znając jej...

- W porządku - zakomunikował fotograf - teraz mała zmiana, jeżeli nie macie nic przeciwko...

Daina usiadła obok Tie. Głupotą byłoby zaprzepaścić taką okazję.

- Ale z ludźmi nigdy nic nie wiadomo - rzuciła. - Byłam najlepszą przyjaciółką Maggie, lecz nie jestem pewna, czy ją naprawdę znałam.

- O co ci chodzi?

- No cóż, o wielu rzeczach nie miałam pojęcia - improwizowała Daina.

- Tak, tak. - Jej rozmówczyni pokiwała głową. - No, oczywiście to Chris namówił ją na śnieg... jednak wszyscy wchodzą w to prędzej czy później, więc myślę, że gdyby nie on, to znalazłby się ktoś inny.

Daina nagle poczuła zawrót głowy, jakby świat przechylił się na jedną stronę. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Starła się opanować; wiedziała, że jest dostatecznie dobrą aktorką, by nie okazać prawdziwych uczuć. Śnieg. To słowo na ulicach i w slangu tego świata miało tylko jedno znaczenie. Chryste, pomyślała. Czy Tie mówi prawdę? Wzbraniała się przed przyjęciem tego do wiadomości. Co z

Chrisem?

Nagle pomyślała o Bonesteelu i świat zaczął wracać do normy. Znalazła sposób, by sprawdzić wiarygodność tego, co jej mówiła Thais. Bobby miał wyniki autopsji Maggie. Z pewnością wykazały jakies...

- Ale oczywiście wiedziałaś o tym - ciągnęła Tie, wpatrując się w oczy Dainy.

- Wiedziałaś to, o czym postanowiła mi powiedzieć - odparła enigmatycznie Daina. Niech się nad tym pozastanawia, pomyślała.

Pstryk! Pstryk! Pstryk!

I sesja dobiegła końca. Grupa zaczęła się rozchodzić. Thais uśmiechnęła się do Dainy. Wygładziła zamszową spódnicę, odsłaniając udo.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy... nie przeprowadzałaś dochodzenia na własną rękę? Nie byłaś zaciekawiona...

Daina podniosła się i stanęła obok niej.

- Jeżeli nawet - rzekła cicho - śledztwo nie dotyczyło Maggie.

- Jak bardzo musisz go nienawidzić za to, co zrobił twojej przyjaciółce.

Daina zrozumiała, że od samego początku była prowadzona właśnie do tego miejsca: nie subtelnie, ale jakby uderzeniami kowalskiego młota. Była wściekła na Tie, lecz postanowiła, że ona tego nie zobaczy. Panowanie nad emocjami weszło jej w nawyk i wykorzystwała tę umiejętność, mówiąc:

- Kocham Chrisa. On jest jak rodzina. I twoje słowa nie zmienią naszych stosunków. - W jej głosie niechęć zabrzmiała ostrym tonem, taki, jakiego używała w *Heather Duell*. Zdała sobie z tego sprawę dopiero po fakcie, gdy zobaczyła, jaki efekt jej słowa wywarły na Thais - jakby ktoś uprzednio nie widziany pojawił się przed nią i złapał ją za przód spódnicy. Wyglądała tak, jakby nie wiedziała, co zrobić.

Daina uśmiechnęła się powoli, poklepała ją po ramieniu.

- Wszystko w porządku - oświadczyła. - Wszystko skończone i zapomniane. - Odwróciła się.

Nile wrócił na swoje miejsce i znów garbił się przed odbiornikiem TV. Ciężkie powieki i grube, głodne usta miał na wpół rozchylone, co nadawało mu ponury, niespokojny wyraz, jak gdyby znajdował się w innym świecie nawiedzonym przez zjawy. Emanowało z niego duchowe ciepło, jakby trawiła go gorączka nie do

opanowania. Trwał nieruchomo, jedynie długie, suche palce skręcały się i wędrowały po niewidzialnych strunach gitary.

- Komponuje - zauważył Kerr, gdy pokój zaczął się wyludniać. – Robi tak czasami. To jest jak medytacja.

Daina prychnęła.

- Medytacja? Jest naćpany jak Mad Hatter.
- No i co z tego? - Chris wyszczerzył zęby. - Wszyscy tak robimy, więc kogo to obchodzi, co”}

- Hej, Chris - zawołał Nigel od drzwi - limuzyna zabierze nas za piętnaście minut.

- Na próbę dźwięku - wyjaśnił muzyk. - Musimy się rozstać. Jednak czekaj na mnie z kolacją. - Przerwał i w jego oczach pojawiło się zaciekawienie małego chłopca. - O ile nie masz innych planów...

Daina roześmiała się.

- Nie żartuj. Przyjechałam tu, by być z tobą. - Co wcale nie było prawdą, przynajmniej nie na początku. Wyjechała z L.A. z nadzieją, że to jej pomoże.

Teraz czuła, że ta decyzja była całkowicie przypadkowa, ale z zupełnie odmiennego powodu. Zaczynała podejrzewać, że wyłamała sekretne drzwi i znalazła się w środku chińskiej układanki rozchodzącej się od niej jak kręgi na wodzie. Fale uderzeniowe zaczęły promieniować z jednego punktu, ujawniając światy prawdziwe i fałszywe, dotychczas nie znane.

Weszła na spiralne schody, pozostawiając Valentine’a jego autystycznemu komponowaniu. W jej głowie zaczął się krystalizować pewien pomysł. Silka powiedział, że Ash może być patologicznym przypadkiem - a co z Thais? Czy istniało inne wyjaśnienie jej zachowania? Jak bardzo nienawidziła Maggie. I teraz mnie. - Zerknęła na zegarek. Było dość wcześnie, by zastać Bonesteela w biurze.

Lecz nie było go. - Chwileczkę, panno Whitney - usłyszała agresywny kobiecy głos. - Spróbuję złapać go w samochodzie. - Trwało to pewien czas, ale udało się.

- Cóż - odezwał się porucznik - nie spodziewałem się, że usłyszę cię tak szybko. Coś złego?

- Nie. Tylko... Bobby, chciałabym uzyskać pewne informacje.

- Jeżeli to możliwe, udzielę ci ich. Strzelaj.

- Co ujawniła autopsja?
- Mówiłem ci...
- Czegoś mi nie powiedziałaś.
- Co się stało?

Była wstrząśnięta szybką zmianą jego tonu.

• Bobby... - wypowiadała poszczególne słowa jakby niezależnie od swej woli
- muszę wiedzieć. O Maggie.

- Co?

Miała tego dość. Wybuchnęła:

- Cholera, Bobby, przestań! Wiesz dobrze, o czym mówię, prawda?
- Nie miałem pojęcia, że nie wiedziałaś.
- Zatem to prawda. Była w ciągu.
- Jeżeli to jakaś pociecha, inspektor medyczny mówi, że nie od dawna.
- Cholera, to żadna pociecha!
- Daina, bądź rozsądna. Wiesz, z kim żyła.
- Jezusie! O Jezu! - Próbowała uporządkować myśli. - Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Przykro mi. Naprawdę. Ale co by to dało?
- Ty sukinsynu! - krzyknęła i trzasnęła słuchawką.

Na dole znów rozbrzmiała muzyka, tym razem jednak składała się z czystych, zimnych tonów syntezatorów. - Lubię pracować z syntezatorami - wyznał jej kiedyś Chris. - Trzeba cholernie uważać, żeby nie ujawnić więcej, niż się chce.

Pochyliła się, obejmując głowę rękoma, szarpiąc włosy. - Cholera jasna! - Uderzyła pięścią w udo, łzy bólu napłynęły jej do oczu. Ale nadal czuła się całkowicie bezradna.

Nova Bourlesque House było pierwszym miejscem, o którym pomyślała. Ostatecznie było tam wielu, którzy kochali Babę i którzy mogli go pomścić, gdy tylko powie im, co widziała.

Popędziła ponurą ulicą, w biegu zapinając zielony płaszcz, nie zwracając uwagi na życiowych rozbitków, którzy garbili się, oddychając płytko, zatraceni w sobie, albo spali bez butów w wysłanych papierami bramach.

W połowie kwartału zaczęła zauważać rosnący tłum, blask kogutów policyjnych wozów. Zwolniła kroku, krew tętniła jej w uszach. Obeszła grupę ludzi, zobaczyła szeregi noszy i, po wschodniej stronie falangi policyjnych wozów, ambulanse z Roosevelt Hospital.

Chryste, pomyślała. Nie. I zaczęła przeciskać się przez tłum. Pojawienie się tyłu glin zawsze wywoływało wzrost napięcia. Jednak dzisiaj było coś więcej.

- Ale jatka! - ktoś zawołał.
- Cholera, nigdy nie widziałem tyle krwi! - dobiegło z innej strony.

Przeciskała się, póki nie znalazła się z przodu. Wejście Novy było poczerńiałe od środka.

Pomyślała, że podobnie musiała wyglądać wieś Wietkongu po rajdzie amerykańskiego batalionu. Jednego wieczora mówiły o tym wszystkie trzy sieci w wiadomościach o szóstej. Nie było czuć dymu, lecz w powietrzu unosił się ten sam ostry, gryzący zapach, który wykryła w mieszkaniu Baby po jego zastrzeleniu.

Nosze pojawiały się i znikaly. Gliniarze łazili po całej okolicy. Byli w swoim żywiole, gestykulując z ożywieniem jak komentatorzy w\;hwilę po wielkiej katastrofie.,

Potem zobaczyła Roostera. Leżał na noszach, obrócony twarzą w jej stronę. Oczy miał zamknięte. Krew przesiąkała przez materiał, jakim go okryto. Pomyślała o Tonym, zastanawiając się, czyjego dzieci i wnuki jeszcze go zobaczą.

Gdy Rooster znalazł się niedaleko niej, mimowolnie wypowiedziała jego imię. Jeden z policjantów odwrócił się i zobaczyła świńską twarz sierżanta Martineza. Jego oczy rozszerzyły się na jej widok.

- Hej! - zawołał. - Chcę z tobą pogadać!

Zawirowała. Wiedziała, o czym. Nie miało to nic wspólnego z morderstwem. Była jedynym świadkiem brania łapówek.

- Hej! Chodź tu! Wracaj. *Putita!* Dorwę cię.

Jego głos ścigał ją, jakby był radarem zdolnym zlokalizować ją, by otoczyć, ściągnąć w tył.

Kluczyła w tłumie, rozpychała gapiów na wszystkie strony. Ludzie kręcili się i to działało na jej korzyść. Ale nadal czuła, że policjant jest blisko, słyszała tupot jego wielkich buciorów o grubych podeszwach na twardym chodniku.

Miejscami tłum był tak gęsty, że miała trudności z manewrowaniem. Zaczęła dyszeć, czuła pot laskający ją pod pachami, spływający w dół kręgosłupa w szczelinę między pośladkami.

Ktoś - Martinez albo jakiś zniecierpliwiony przechodzień - złapał ją za rękaw i Daina rzuciła się w bok, potknęła o własną kostkę i prawie że straciła równowagę. Biegła chwiejnie parę kroków. Lewa kostka zaczęła ją boleć, gdy pędziła dalej, skręcając w Ósmą Aleję.

Śmignęła w wąską uliczkę, oparła się plecami o ścianę i znieruchomiała; jedynie jej piersi wznosiły się w ciężkim oddechu. Pot spływał z niej strumieniami i było jej tak gorąco, jakby miała podwyższoną temperaturę.

Odczekała pięć minut, a potem jak najspokojniej ruszyła do Blarney Stone o przecnicę od Czterdziestej Pierwszej Ulicy, gdzie pachniało piwo i gdzie mogła zamówić kanapkę z konserwową wołowiną za dziewięćdziesiąt pięć centów. Usiadła przy lepkiem stoliku przy barze i przyglądała się, jak Knicks tracą punkty.

Muzyka na dole ucichła, co niezwykle jej odpowiadało. To dantejskie brzmienie tylko pogłębiało jej przygnębienie.

Czuła się tak samo bezradna, jak wówczas. I tak samo przerażona, jak gdyby gorący oddech Martineza parzył jej kark.

Wstała. Jedynym rozwiązaniem była siła. Prawdziwa siła. Taka, jaką dysponowali Rubens i Meyer. Tak, oni mogli oddać wiele, ale zawsze liczyli na zysk! A ja, pomyślała Daina, wiem, w co się pakuję. Owszem, były pułapki, lecz skoro przez cały czas jestem czujna, jak mogą zrobić mi krzywdę?

A *Heather Duell* mogła, wiedziała to. Mogła. Gdyby wszystko poszło właściwie.

W łazience odkręciła wodę, wsypała paczuszkę płatków kąpielowych o zapachu fiołków, zaczęła, aż woń przesycała pomieszczenie.

Zrzuciła ubranie i z rozkoszą zanurzyła się w gorącej wodzie. Oparła głowę o kafelki. Westchnęła.

Nile stał w drzwiach, patrząc na nią spod na wpół przymkniętych powiek z całkowitą obojętnością gryzącego trawę wołu.

- Do diabła, co ty sobie myślisz? - warknęła.
- Wszyscy wyszli - odrzekł ze smutkiem. - I mam dość muzyki.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jestem naga? Wzruszył ramionami.
- To mi nie robi różnicy.
- A co ze mną? Nie mam prawa głosu?
- Drzwi były otwarte. - Podeszedł do sedesu, usiadł na klapie. - Chris nas przedstawił?

- Tak.
- Hmm. Hmm. Wiedziałem, że wyglądasz znajomo. - Pokiwał wielką głową.

- Ty jesteś tą gwiazdą filmową.

- Można i tak powiedzieć. Wciągnął powietrze.
- Ładnie pachniesz.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego bacznie, zobaczyła, że jest absolutnie poważny i wybuchnęła śmiechem. Był zdecydowanie zbyt słodki, żeby go wyrzucać. Pomyślała, że przypomina zagubionego chłopca, który szuka swojej matki, jakiegoś dziwnego Piotrusia Pana, który nawet nie rozumie natury swych poszukiwań - ani swej tęsknoty.

- Idziesz dzisiaj na koncert? - zapytała.
- Tak. I później na przyjęcie. - Potarł mięsisty policzek. - Potrafisz dochować tajemnicy?

- Jasne.

Uśmiechnął się szeroko, jego długie białe zęby rozbłysły w ciemnej twarzy niczym słońce.

- Będziemy improwizować. Chris i ja. Damy takiego czadu, że popękają bębny w uszach. Cha, cha! Tak! - przyłożył palec do ust, zniżył głos do chrapliwego szeptu. - To wielka tajemnica. Nikt nie wie, z wyjątkiem Chrisa i mnie. I teraz ciebie. Aha! Nie mów nikomu. Chcemy zrobić niespodziankę. Uhm. Ludzie potrzebują niespodzianek, wiesz, żeby nie pozasypiać. Inaczej życie staje się bardzo, bardzo nudne, nic, tylko spać na okrągło.

- Biorąc pod uwagę to, jak grasz, dziwię się, że coś cię nudzi. Obdarzył ją smutnym uśmiechem, tak pełnym emocji, że drgnęła.

- Och, nie. Źle to odbierasz. Jedyna rzecz, która nie jest nudna, to moja muzyka. - Jego silne palce wygięły się, zaczęły uderzać w wyimaginowane struny. Zobaczyła blade, żółtawe zgrubienia na opuszkach - wynik długich lat szarpania za

stalowe struny.

- Grasz cudownie, Nile. Nie ma drugiego takiego. Jesteś geniuszem.
- Tak. Moi przyjaciele powtarzali mi to od początku. Moi przyjaciele. -

Potrząsnął głową. - Teraz mówią: „Hej, Nile, po co ci te wszystkie fidrygały na scenie, człowieku? Wszystkie te efekty, lasery, wszystkie te bzdety. Jesteś najlepszy, człowieku, i masz się tak zachowywać. Po prostu wyjdź i graj...”

Popadł w milczenie, opierając głowę na rękach, i jego poza poruszyła w niej wrażliwą strunę.

- To nie ja - powiedział wreszcie - tam stoję. Potrząsnął głową. - Po prostu nie ja.

- Zatem dlaczego to robisz? - Woda zachlupotała, gdy Daina usiadła w wannie.

Valentine podniósł głowę jak proszące o coś zwierzę. Wzruszył ramionami.

- Trzeba iść z duchem czasu. Mam reputację, o którą muszę dbać. Przez tak wiele długich, gorzkich lat nikt nie chciał słuchać mojej muzyki; straciłem tyle czasu, próbując zbudować tę reputację - dałem wszystko, by ją mieć i teraz... - roześmiał się; był to zimny, gorzki dźwięk - teraz odkryłem, że reputacja jest ważniejsza od mojej muzyki. - Odwrócił się do niej. - Rozumiesz, muzyka stała się jakby dodatkiem do reputacji, którą trzeba podtrzymywać. Zbudowałem ją dzięki muzyce, a teraz są to jakby dwa odrębne istnienia żyjące we własnych światach.

Potrząsnął głową.

- Oczywiście nie dałbym rady bez przyjaciół. Chrisa i Nigela, Jona...
- Znałeś Jona.

- Tak. Ale niezbyt długo. Wtedy było problemów od cholery. Psychodeliki gasły, rozumiesz. Beatlesi już wystartowali z *Sierżantem Pepperem*, oblicze muzyki zmieniło się w ciągu jednej nocy. I Jon dowodził, że kapela musi wyprodukować własny majstersztyk, żeby dorównać Beatlesom i Sto nesom. Album *Salon figur woskowych* odpowiadał mu, lecz z drugiej strony był ewangelią według świętego Jona, rozumiesz. Wszystko było głównie jego.

Naturalnie Nigel od początku był przeciwny. Nie chciał odrywać się od bluesowych korzeni zespołu. On je stworzył i był przerażony jak cholera nowym

brzmieniem. Jon oczywiście go przekrzyczał. Jednak gdy ja przybyłem do Anglii, to było już zamierzchłą historią i nim ich dobrze poznałem, wszystko uległo drastycznej zmianie. Chris też nie był zbyt uszczęśliwiony tym albumem. Przypuszczam, że podchwycił sposób myślenia Nigela. W każdym razie zawsze włączył się z Nigelem - nikt poza nimi naprawdę nie wie, gdzie - zostawiając Jona samemu sobie. Iana i Rollie'ego nigdy to nie obchodziło, rozumiesz, bo oni zawsze mieli własne dziewczynki, własne życie poza kapelą. Ale nie ci trzej. Ich życie to kapela, rozumiesz?

Więc Jon zaczął świrować. Od początku nie był zbyt zrównoważony. Każdy psychiatra na jego widok wpadłby w zachwyty. Zachowywał się jak maniak, jak paranoik - jak chcesz, tak zwij. Rzeczywistość nigdy nie miała dla niego / wielkiego znaczenia.

Daina wiedziała, jak było z tym albumem.

- I Jon od tej pory zaczął się staczać, prawda?
- Uhm. Następny album, *Błękitne cienie*, tak naprawdę był dzieckiem Chrisa i Nigela. Oczywiście ja też trochę robiłem, gdy Jon się nie pokazywał albo odlatywał z twarzą w kiblu. Chryste, Tie miała tego powyżej uszu.
- Więc wszystkie plotki o twojej grze na tych sesjach były prawdą.
- Tak. Moja firma nie chciała wyrazić oficjalnej zgody i robiłem to jako kumpel, wiesz. Jon był w kłopotach, podałem zespołowi pomocną dłoń. Każdy kumpel tak by zrobił. Lecz nikt nie chciał tego rozgłaszać. Umm. - Rozejrzył się. - Masz coś do zaćpania?
- Nie. Skinął głową.
- Tak. Cóż. - Wstał. - Pójdę już. Skończ to, co zaczęłaś. Masz colę?
- Jasne. Na dole w lodówce.
- Racja. - Uśmiechnął się i zniknął za drzwiami.

Nim wyszła z łazienki otulona w gruby płaszcz kąpielowy, muzyka znów brzmiała, przepełniając niższy poziom apartamentu smutnym, przejmującym brzmieniem.

W limuzynie był całkiem inny świat. Czowała się jak ryba w akwarium. Trudno było wyjrzeć na zewnątrz. Barwione szkło przepuszczało tylko najjaśniejsze światło. Czarny, lekko widmowy świat przemykał w ciszy, jakby wszyscy byli

Nile'em gapiącym się w niemy telewizor. Tylko że Daina miała wrażenie, iż to oni są na ekranie.

Wnętrze wozu było pełne słodkiego dymu. Migły świetliki rozżarzonego popiołu, gdy zaciągali się, wzdychali i wydychali dym z szumem automatycznych drzwi.

Nigel pochylił się, otworzył małą lodówkę wbudowaną w tył przedniego siedzenia. Wyjął butelkę piwa Kirin, otworzył ją i odchylił głowę do tyłu. Wypił trzy czwarte zawartości na raz.

Obok niego Thais paliła jointa ostentacyjnie zanurzonego w czarnej paście sporządzonej z THC*. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, prawą kostkę zahaczywszy o lewą, perłowa lama jej sukni spływała - z jędrnego ciała. Miała trzy złote bransoletki na lewym nadgarstku, każdą w kształcie węża z ogonem w pysku. Starożytny egipski talizman, którego nigdy nie zdejmowała, wisiał na szyi.

Chris, który siedział obok Dainy, wspierał głowę na pluszowym oparciu. Wyglądał tak, jakby drzemał. Nile jechał w drugiej limuzynie z Ianem i Rollie'em.

Thais podała skręta Dainie, która przekazała go Ashowi. Zaciągnął się. Tie spojrzała na aktorkę.

Silka, na przednim siedzeniu z szoferem, obserwował drogę i ich w tym samym czasie. Jego ręka leżała na oparciu siedzenia jak kłoda.

• Hej! - Był to głos Nigela. Był cichy, ale atmosfera we wnętrzu samochodu była tak napięta, tak gęsta od ich wystudiowanej obojętności - próżnia, która z konieczności pojawia się tuż przed występem - że Daina aż podskoczyła.

- Hej, Chris!
- Co jest? - Kerr nadal siedział nieruchomo, nawet nie otworzył oczu.
- Nie wiem, czy ci faceci są gotowi, by zagrać dziś wieczorem *Jaszczura*.
- Oczywiście, że są. Zrobili to do nagrania, mogą zrobić to dzisiaj.
- Nie wiem...
- Daj sobie spokój.
- Wiesz, że nie lubię zmian, które wyskakują w ostatniej chwili. Zbyt wiele rzeczy może pójść źle. Nie chcę w środku gry odkryć, że mam rękę w nocniku.

Thais zachichotała i Ash spiorunował ją wzrokiem.

- Rzeczy tylko wtedy idą źle, gdy myślisz, że tak będzie, stary. - Chris

machnął ręką koło nosa, jakby niepokoili go natrętna mucha. - W każdym razie, kurwa, to nie byłoby po raz pierwszy. Pamiętasz, w Hamburgu, z tymi gliniarzami w całej sali? Albo w Sydney, gdy...

- Chris, nie pora na wspomnienia!
- A czemu nie? - zapytał spokojnie Kerr.
- Powiedziałem facetom, że ten numer usuwamy.

Chris otworzył oczy. Ruchem szybkim jak błyskawica chwycił Nigela za koszulę.

- Ty cholerny idioto!
- Odwal się, stary! - krzyknął Nigel. Złapał za potężne nadgarstki Chrisa i szarpał je, by się uwolnić.

- Hej! - odezwała się siedząca między nimi Daina. - Chris. Przestań.

Thais siedziała bez ruchu, patrząc wprost przed siebie. Jej ciemne oczy były nieprzeniknione. Trzymała skręta z dala od siebie. Dym wydobywał się z jej uchylonych ust tak niezauważalnie, jakby była tablicą reklamową.

- Tie - zawołała Daina, nadal uwięziona między muzykami - nie zamierzasz ich powstrzymać?

- A po co? - wyszeptwała. - Trochę adrenaliny dobrze im zrobi.

Silka stęknął na przednim siedzeniu i odwrócił się. Jakoś udało mu się wcisnąć obie ręce w lukę w lustrzanym przepierzeniu. Pozornie bez najmniejszego wysiłku rozdzielił mężczyzn i trzymał, póki nie przestali sapać.

Kerr i Ash patrzyli na siebie z wściekłością. Daina wyczuwała niepokój, animozję, która narosła między nimi, tak wyraźnie, jakby była to krew świeżo zabitego zwierzęcia.

Po chwili Thais rzekła cicho:

- Została tylko godzina do wyjścia na scenę. - Słowa zdawały się być skierowane do nich obu, czy bardziej dokładnie, w przestrzeń niezgody między nimi.

Nigel przekręcił głowę, jakby złapał go skurcz w szyi, naciągnął koszulę na brzuch.

- Spokój - rzucił Silka. Jego głos brzmiał jak chrzęst żwiru pod bieżnikiem opony.

Na zewnątrz noc nagle ożyła. Tłumy małolatów tłoczyły się w alei przed salą

jak lemingi przepychające się w swoim pędzie ku morzu. Mimo doskonałego wyciszenia limuzyny Daina nie tyle słyszała, ile czuła głęboki pomruk. Wytłumienie niektórych dźwięków było niemożliwe.

Rzeka dzieciaków cofnęła się i nabrzmiała, gdy czujki na obrzeżach zauważyły ogromnego continentala. Tłum ryknął jak przypyływ i kierowca skręcił w lewo. Masy rozstały się, małodaty pędem rzuciły się w kierunku limuzyny. Włosy powiewały, torby zataczały niebezpieczne, krótkie łuki. Jakaś blondynka w butach na wysokich obcasach potknęła się. Przez chwilę zdawało się, że odzyska równowagę, bo ktoś popchnął ją w tył, ale nim miała szansę się wyprostować, ktoś inny znów ją potracił i upadła. Tłum rzucił się na nich, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, po prostu pędząc w przód jak piorun. Jakby wyposażony w radar, skoncentrował się na continentalu i, dopóki limuzyna jechała z przodu, nic nie mogło go powstrzymać.

Ktoś - w półmroku masa zaczęła zlewać się w jedną rozszalałą całość - potknął się o leżącą na ziemi dziewczynę. Ta próbowała wstać, lecz inni biegli, nie zwracając na nią uwagi. Była tratowana; ktoś próbował ją przeskoczyć, jednak chybił i upadł na asfalt. Daina zobaczyła twarz dziewczyny, usta otwarte w krzyku, którego nikt nie słyszał.

Sięgnęła do drzwi, poczuła rękę Chrisa na nadgarstku.

- Do diabła, co ty robisz?
- Tam jest dziewczyna - wydyszała. - Ranna. Musimy jej pomóc. Każ kierowcy zatrzymać wóz.
- Zwariowałaś? Jak zatrzymamy się na minutę, będzie po nas. Tłum nas udusi.
- Ale trują ją!
- Nic to jej nie da, jeżeli my również zostaniemy stratowani, prawda? Powiem o tym pierwszemu napotkanemu gliniarce, okay? - Odwrócił się. - Popatrz, już wstała. Tam. - Wyciągnął rękę.

Limuzyna skręciła za rogiem. Przed nimi stał kordon policji. Łukowe lampy kreśliły oszalałe wzory na hełmach. Pałki były w pogotowiu. Daina zobaczyła dwie policyjne furgonetki zaparkowane na chodniku. Wyglądały jak metalowi strażnicy. Chris otworzył okno po swojej stronie, porozmawiał z dwoma funkcjonariuszami. Potem nad nimi zarysował się ciemny kontur sali.

Czoło tłumu wyłoniło się zza rogu, fala przyływu obdarzona własnym umysłem. Ogromne wrota z falistej stalowej blachy osadzone w betonowym murze sali podjechały w górę i znalazły się w środku, sunąc w górę łagodnie nachylonej rampy. Limuzyna zatrzymała się i chwilę później obok podjechała jej bliźniaczka. Ciężkie drzwi otworzyły się ze szczękiem. Wysiedli w pustkę.

- Wszyscy mają plakietki? - zapytał Silka. Sprawdził ich jedno po drugim i kiwając głową do siebie odprowadził ich grupą od limuzyn.

Ponad nimi na wysokość co najmniej czterech kondygnacji wznosił się pomalowany na szarawą zieleń beton. Wnętrze było dość wielkie, by pomieścić kilka samolotów. Wysoko ponad ich głowami w równych rzędach wisiały brzęczące fluorescencyjne lampy. W ich świetle wszyscy wyglądali na białych i chorych.

Wszędzie byli umundurowani strażnicy. Dwaj obok szerokich drzwi windy sprawdzili ich identyfikatory, starannie porównując kolorowe fotografie z prawdziwymi twarzami. Winda była wielka jak studio. Wznosiła się tak wolno, że absolutnie żadne wrażenie nie świadczyło o ruchu.

Na poziomie kulis, jedenaście pięter wyżej, zostali powitani przez czterech kolejnych strażników w mundurach, którzy znów sprawdzili ich po kolei. Gdy przeszli przez tę zmilitaryzowaną falangę, Daina dostrzegła panujący dalej specyficzny, kontrolowany chaos. Organizatorzy zaganiali zgraję reporterów i fotografów do wyznaczonego rogu. Wśród nich dostrzegła ludzi ze *Stone*, którzy wcześniej byli w hotelu. W dodatku rozpoznała parę znanych sobie osób z *Time* 'a i *Newsweeka*. Zauważyła, że ich identyfikatory są innego koloru niż jej i członków grupy. Reporterom wolno było wchodzić za kulisy, ale nie mieli wstępu do przebieralni. Błyskały flesze, gdy Silka prowadził ich przez otwartą betonową przestrzeń. Daleko od nich, po prawej stronie, gdzie skupili się reporterzy, Daina zobaczyła grube kurtyny z czerwonego aksamitu, za którymi musiała znajdować się scena.

Silka powiódł ich w lewo, przez pozbawiony drzwi otwór strzeżony przez następną parę ochroniarzy, którzy sprawdzili kolor ich plakietek. Zaprowadzili ich do długiego, wąskiego korytarza z betonowych bloków, pokrytych szarą emalią jak okręty wojenne.

Grupie przydzielono dwa pokoje po przeciwnych stronach korytarza. Silka zabrał ich do tego po lewej. Benno już czekał. Wewnątrz pod dwoma ścianami stały

ławki, a po lewo mieściła się łazienka, bez drzwi, z kabinowymi prysznicami i licznymi pisuarami oddzielonymi od zamkniętych toalet.

Na środku stał długi refektarzowy stół. Był zastawiony paterami z owocami i jarzynami oraz wiaderkami z szampanem. W rogu stał stary czerwono-biały kontener coca-coli pełen puszek z wodą.sodową w hałdach tłuczonego lodu. Butelki Kirina miały temperaturę pokojową.

Jan i Rollie, obejrzawszy swój pokój po drugiej stronie korytarza, przyszli do tego. Za każdym z nich maszerowała dziewczyna. Ta Rollie'ego była hożą blondynką; druga była ruda i miała długie nogi tancerki. Była ubrana w obcisłe czarne dzinsy i białą koszulkę z czerwono-biało-niebieską tarczą strzelecką i słowem „JAG” na piersiach.

Jan skierował się prosto do łazienki. Usłyszeli szum prysznic, a moment później ostry krzyk. Rozległa się salwa śmiechu i gitarzysta wyłonił się z rudą za sobą. Dziewczyna była mokra, włosy przylegały do policzków, makijaż spływał brudnymi smugami, piersi i sztywne sutki wyraźnie rysowały się pod oblepiającą je bawełną. Mocował się z nią przez chwilę, po czym puścił i odwrócił do Nile'a.

- Hej stary, jak myślisz? Chcesz tę laleczkę? - Wyszczrzył zęby. - Ma naprawdę utalentowane usta. - Ale Ash grał sobie własnymi utalentowanymi palcami, nawet nie trując się, by choć potrząsnąć głową.

- Nie? - Jan wyprostował się. - No to ty, co, chłopcze? - zwrócił się do Rollie'ego. - Okay, uczciwa wymiana. Co powiesz? - Złapał rudą, okręcił ją i tanecznym krokiem ruszył przez pokój do perkusisty, który błaznując pchnął blondynkę w jego ramiona.

Mało brakowało, a dziewczyny wpadłyby na siebie, lecz w ostatniej chwili minęły się z gracją gwiazdeczek z musicalu Busby'ego Berkleya. Rollie objął rudowłosą, zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

- Uczciwa wymiana, mówisz? Nie da rady. Popatrz na majtki tej blondynki! Tej...

- Ach! - przerwał mu gitarzysta. - Spodziewałem się po tobie takiego zdegenerowanego fetyszyzmu, stary. Rude są stosunkowo rzadko porównywane z blondynkami. Pomyślałem, że ten rodzaj niweluje wszelkie... uch... tak zwane niedostatki.

Rollie roześmiał się, przeciągnął palcami po mokrej koszulce rudej.

- Chodź, kochanie - powiedział, prowadząc ją do drzwi. – Znajdziemy ci coś suchego do ubrania.

Łan i blondynka wyszli za nimi do drugiej garderoby. Chris i Nigel zaczęli się przebierać. Ich sceniczne stroje wisiały w plastikowych workach na ścianie.

- Hej, Nile - odezwał się cicho Ash. - Nie śpisz?
- Mam otwarte oczy, człowieku.
- O czym myślisz?
- O muzyce, człowieku. To wszystko. Tylko o swojej muzyce. Humm. - Jego palce zawirowały w powietrzu, wykonując rozpoznawalne tylko dla niego pasaże.
- Co jest, nie chcesz żadnej cipki? Coś z tobą nie tak, stary.
- Przyjdź do studia w przyszłym tygodniu - powiedział uprzejmie Valentine.

- Gdy ty będziesz w trasie zabawiał się z babkami, ja zrobię najlepszy, cholera, album, jaki w życiu słyszałeś. Humm. Hummm. O, tak. To wszystko jest już we mnie... - palce nadal się wyginały - jak strumień. Moje ciało jest melodią, która trwa i trwa. Droga bez końca - tylko zachód... noc... kolejny wschód.

Nigel odwrócił się do Chrisa.

- Ten sukinsyn znów bełkoce, człowieku. Chryste, ma odlot.
- Słuchaj, co mówię, człowieku - kontynuował Nile. - Nie rozumiesz.

Wewnątrz mogę zrobić wszystko, co tylko chcę. Nie mam przyjaciół, którzy by mi mówili: „Nile, zrób to” czy „Nile, lepiej zrób tamto”. Muszę słuchać tylko siebie.

- Hm, hm - chrząknął Ash. - Bzdury. W studiu człowiek jest po prostu kolejnym kablem, który technik podłącza do tablicy. W trasie masz pełne sale, ludzie skaczą, krzyczą, podrzucają ubrania i kiedy stoi się w świetle reflektorów, kiedy każe się im coś zrobić - cholera, oni to robią. Powiedz im, żeby pomaszerowali w morze, a oni, cholera, pójdą. Pójdą!

- Uhm humm. Ty masz swoje pojęcie, mały, ja mam swoje. - Valentine podniósł głowę i uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Ale powinieneś włożyć rybackie buty, mały. Tak!

Nigel zeszywniał.

- Co ty gadasz, ty cholerny czarnuchu?

Nile odwrócił się do Dainy.

- Przyzwyczailem się, że w starych czasach było inaczej. W latach sześćdziesiątych. Z tego powodu pojechałem do Londynu. - W jego oczach widniał smutek. - Teraz wszędzie jest tak samo, rozumiesz, nieważne, gdzie się pojedzie. Już nigdzie nie jest daleko.

- Słuchaj, ty sukinsynu...! - Ash skoczył, złapał czarnego mężczyznę za koszulę, ten zaś jak gdyby ten atak był sygnałem, przesunął się w bok i wsunął ręce pod ramiona Nigela. Bez wysiłku rozerwał uchwyt, zrobił krok w przód i kopnął. Ash upadł na podłogę.

Valentine spojrział na niego z góry.

- Następnym razem - ostrzegł tym samym sennym tonem – zachowaj swoje zdanie dla siebie, słyszysz?

Nigel podniósł się z zaciśniętymi pięściami, ale Chris stanął między nimi.

-Wystarczy - powiedział. - Przestań go drażnić, stary. Prawie czas wychodzić. Spokój.

Ash spojrział wściekle znad ramienia Kerra.

- Niech się wynosi.
- On też jest moim kumplem. Hej! - Potrząsnął Nigelem. - Hej, człowieku, mówię do ciebie! Opanuj się!

Nile spojrział nań niewzruszenie.

- Nie ma sprawy - mruknął.

Chris puścił Nigela i obaj zaczęli się przebierać. Chris włożył satynowe spodnie mieniące się niczym macica perłowa, zdjął z wieszaka satynową szkarłatną koszulę. Ash już zapinał rozporek czarnych, obcisłych spodni. Miał czarną koszulę, na którą zarzucił czarną marynarkę.

Drzwi do sali otworzyły się. Weszli Rollie i Ian ze swoimi dziewczynami. Perkusista był w białej bawełnianej koszulce z logo kapeli na piersiach i w białych dżinsach; gitarzysta miał ciemny garnitur z białym jedwabnym krawatem.

Zza zamkniętych drzwi dobiegały głosy i szuranie butów o betonową podłogę: niesamowite echa z innego świata. Tutaj było bardzo cicho. Nikt nie patrzył na nikogo. Daina fantazjowała, że dobiegające ją oddechy są jak szum drzew na wietrze. Mimo klimatyzacji napięcie sprawiło, że powietrze było ciepłe i lepkie, działając otepiająco na nich wszystkich - z wyjątkiem Thais. Skończyła jednego skręta, odpaliła

od niedopałka następnego. Rytm jej wdechów i wydechów był tak wyraźny, jakby z każdym machem recytowała mantrę.

Jedynym dźwiękiem był ostry szcęk lodu, który powoli topił się pod ciężarem puszek. Potem Rollie jęknął: - Au, cholera! - i popędził do łazienki. Rudowłosa pomknęła za nim. Nikt nie wyrzekł ani słowa, gdy w pół świadomie słuchali zwierzęcych odgłosów wymiotującego mężczyzny. W pokoju unosiły się słodkie opary skręta Tie. Jej noga kołysała się jak metronom.

- Zawsze tak jest pierwszego wieczora - rzucił Kerr nie zwracając się do nikogo w szczególności. Owinął jedwabny szalik na prawym nadgarstku. - Można by myśleć, że po tych wszystkich latach powinien się przyzwyczać.

Czekali cierpliwie na perkusistę, jak oddział komandosów na wyzdrowienie odważnego, rannego towarzysza.

Valentine, stojący teraz obok Dainy, z dala od reszty, zaczął rytmicznie strzelać palcami. Włosy świeciły mu od potu, wielka głowa kołysała się na długiej łabędziej szyi zgodnie z wewnętrznym rytmem.

W przeładowanej napięciem chwili przed rozpoczęciem koncertu stali i obserwowali cienie na ścianie albo patrzyli w przestrzeń. Poruszały się tylko nieożywione przedmioty: rozpuszczający się lód, oliwka ściekająca z mrożonej łydgi selera, powoli kołyszący się wieszak.

Usłyszeli szum spuszczonej wody, a potem stłumiony kobiecy głos, kojący, matczyzny.

Drzwi do sali stały otworem i Silka wetknął głowę i masywne ramiona do pokoju. - Czas - oznajmił cicho; słowo zabrzmiało jak uderzenie zegara. Nikt nie drgnął. Jego oczy po kolei zatrzymywały się na każdym, potem skierowały

na łazienkę, z której wyłonił się Rollie. Ruda wycierała mu włosy. Ochroniarz cofnął się, przytrzymując otwarte drzwi.

Chris ujął Dainę za rękę, gdy szli długim betonowym korytarzem - teraz wyludnionym - w kierunku powoli wybrzuszających się kurtyn. Za nimi panował stłumiony hałas. Szli ramię w ramię z Nigelem i Thais.

- Chcesz być z nami na scenie? - zapytał.
- Z przyjemnością.
- Dobra. Załatwię to.

Silka zatrzymał ich tuż przed kurtyną. Byli z nimi teraz tylko strażnicy, ustawieni na każdej z możliwych pozycji. Chris przez parę minut rozmawiał z Silką. Oczy ochroniarza na chwilę skierowały się na Dainę, jakby była bezcenną wazą z epoki Ming, i dwuznaczność tego spojrzenia - zażyłość skombinowana z jego absolutną obiektywnością - wytrąciła ją z równowagi.

Mężczyzna skinął na nią. Poprowadził ją i Nile'a przez szparę w kurtynie. Unosząca się w powietrzu mgiełka była tak ciężka jak smog.

Światła w sali były jeszcze zapalone. Ludzie tłoczyli się w przejściach. Dudniła muzyka z ostatniego albumu kapeli. Powietrze było siwe od dymu. Podskakiwały w nim wielkie balony z logo grupy, odbijane od osoby do osoby, czemu towarzyszyły wybuchy radości.

Powiewały chorągwie. Z drugiej strony piętrowej sali ze stropu zwieszała się olbrzymia flaga Wielkiej Brytanii. Jej kolory były niewyraźne z powodu odległości i dymu, co nadawało jej specyficzny, senny charakter.

Scena, na którą zostali wprowadzeni, była zapchana wyolbrzymionymi sylwetkami wzmacniaczy, które wyrastały jak czarne zęby tytana z hebanowego działka proscenium. Na środku, na podium, stała olbrzymia perkusja Rollie'ego. Tę miniscenę otaczały kolorowe światła, teraz przygaszone. Poniżej, na właściwym poziomie, wiły się przewody, przymocowane srebrzystą taśmą, żeby nikt nie wplątał się w nie w czasie koncertu.

Po prawej stronie sceny znajdował się półkolisty zestaw instrumentów klawiszowych Asha, w skład którego wchodził koncertowy fortepian, elektryczne pianino Farfisa, organy i kilka robionych na zamówienie syntezatorów. Po lewej wznosiło się stalowe rusztowanie, na którym spoczywały liczne gitary Chrisa i Iana.

Nad głową, na wygiętej w łuk kratownicy, roboczej tęczy, wisiały niezliczone kolorowe lampy - brzydkie, gdy nie były włączone.

Światła w rozległej sali powoli zaczęły przygasać i hałas wzmógł się prawie nie do wytrzymania. Panował taki harmider, że rozmowa była niemożliwa. Silka położył silną rękę na ramionach Dainy i zaprowadził ją na lewą stronę sceny, blisko zestawu ustawionych wysoko wzmacniaczy. Zniknął. Odwróciła się, ale nie mogła zobaczyć, dokąd poszedł Nile. Zastanawiała się, gdzie stoi Thais. Domyślała się, że zapewne po drugiej stronie sceny, w pobliżu Nigela.

Zachód sztucznych słońc przemienił się w noc. Tylko bateria żarzących się

rubinowo światełek - lampek kontrolnych wzmacniaczy - jaśniała ostro i wyraźnie jak gwiazdy. Daina słyszała szum, nie kończący się szmer, jak gdyby tuż poza zasięgiem wzroku wiły się hordy węży.

Tłum zawył, podniosła głowę. Spod stropu opuszczono ekran i po drugiej stronie hali włączono ukryty projektor. Aplauz przybrał na sile. Daina, przekręcając szyję, z ledwością mogła rozpoznać film kapeli. Odwróciła się. Tuż za skrajem sceny ujrzała tłum fotografów w kanale, który skądinąd mógłby pełnić funkcję kanału dla orkiestry. Kłębili się niczym wygłodniałe kocice, czekając na pojawienie się zespołu z takim samym niepokojem jak reszta widowni.

Daina niemal mogła smakować podniecenie. Czuła się jak na haju. Miała gęsią skórkę i mięśnie jej drżały. Jak długo będą przeciągać? - zastanawiała się.

W tej chwili wyczuła gdzieś w pobliżu ruch; było to jak muśnięcie suchej trawy. Technicy zakończyli ostatnie sprawdzanie sprzętu i zniknęli - przykucnęli na swoich wyznaczonych pozycjach. Reżyser dźwięku siedział ze słuchawkami na uszach. Mówił do małego kwadratowego mikrofonu przymocowanego do cienkiego kabłąka nad głową. Jego ręce śmigały po oświetlonej konsoli.

Sylwetki, poruszające się jak widma na tle czerwonych światełek, doprowadziły widownię do szału jeszcze przed zakończeniem krótkiego filmu. Ekran podjechał w górę. Hałas nabrzmiał jak balon tuż przed wybuchem, wibrował w powietrzu - zdawało się, że cała sala trzęsie się w posadach. Dainie serce tłukło się w piersiach jak oszalałe, coś ścisnęło ją za gardło. Energia, pomyślała. Energia jest tutaj. Czuła mrowienie w czubkach palców, jakby dotykała przewodu pod napięciem.

Małolaty zaczęły robić zdjęcia. Oślepiające błyski fleszów sprawiły, że scena i część sali eksplodowały w dziwacznej iluminacji, a idąca przez scenę kapela była omywana jaskrawym światłem. Cienie nabrzmiewały błyskawicznie, ogromniały, potem niknęły i zlewały się z ciemnością.

Chris zaczął grać i Daina pomyślała: Ależ to siła, czysta siła. Może ostatecznie Nigel ma rację. Tłum zawył na znak aprobaty. Kolorowe reflektory skoncentrowały się na Rollie'em i Ianie; białe, punktowe na Chrisie i Nigelu.

Kerr wzniosł gitarę jak wielki miecz starożytnego wojownika. Jego szkarłatna koszula stanęła w płomieniach świateł.

Potem pierwsze takty *Ucznia demona* zagłuszyły obłąkańczy ryk tłumu. Były potężne i surowe, rejestrowane nie tylko słuchem, ale, zdawałoby się, dotykiem.

Chris, grający jak szaleniec, wznosił w triumfalnym geście rękę. Plastikowa kostka wypadła mu z palców i w pierwszych rzędach zapanowało zamieszanie, gdy wszyscy rzucili się na poszukiwanie.

Ryk tłumu i muzyka zespołu połączyły się, stopiły w jedną całość, stały się czymś więcej niż sumą odrębnych części i, jak huk wybuchającego wulkanu, graniczyły z bólem. Lecz ten ból sięgał w dół i masował serce; był to ból, który mógł wysać, czy, co bardziej prawdopodobne, wyzwolić energię skupioną w każdym słuchaczu. Daina poczuła, że od jego siły oczy zaczynają jej łzawić, a tylne zęby dzwonić tak samo, jak przed kamerami, kiedy przemieniała się w Heather i ta moc przypominała namacalną kulę światła, którą mogła otoczyć rękoma, gdy śmigła jak ważka przed jej oczyma, wyrwać z rozedrganego powietrza, połknąć, w efekcie czego wnętrze jej ciała rozżarzało się i parowało.

Utwór zakończył się i Ash wyskoczył zza swych instrumentów, złapał stojący mikrofon i wrzasnął: - Hello, San Francisco! Wróciliśmy! - Skierowane w górę twarze czcicieli jakby rozpękły się we wrzasku aprobaty.

Każdy był teraz kimś innym - kompletnie poza sobą - przeszczepione istnienia wychodzące z trumny, w której były więzione przez długie miesiące poza trasą. Czy, może dokładniej, byli przedłużeniami, dodatkami do samych siebie, cały czas noszonymi jako zbędne bagaże czy bezkształtne garby. Ponieważ z pewnością te osobowości były tak perwersyjne, jak zniekształcone. Pozbawieni wszelkich ludzkich emocji, kroczyli po scenie jak giganci zaszczycający ziemię swą krótką obecnością. Mogli być cieniami nordyckich bogów, dzikimi, zmysłowymi i złośliwymi. I byli, przemienieni przez pot i miłość, i bolesny rytm swej kreacji. Jednak Daina wiedziała, że to nie wszystko.

Ta magiczna transformacja nie mogłaby zajść bez energii emanującej falami z rozpościerającego się przed nimi rozległego, kipiącego życiem czarnego dołu. Bez tych młodych ludzi, oszołomionych narkotykami i tęskniących za czymś, czego nawet nie mogli zrozumieć.

Te dwie siły łączyły się, powołując do życia trzecie istnienie - jakieś mityczne stworzenie ich własnych unikatowych wyobrażeń - które porywało ich wszystkich w spiralny lot, coraz wyżej i wyżej, w którym wirowali jak liście w czasie burzy.

Chris, wyolbrzymiony ponad miarę przez gorące światła reflektorów, wykonywał skomplikowaną solówkę. Stał na ugiętych kolanach, z plecami wygiętymi

w łuk, siejąc kroplami potu jak pistolet maszynowy kulami. Stojący po prawej stronie łan poganiał go, udzielając basowego wsparcia, podczas gdy Rollie okładał perkusję. Mały syntezator Nigela przepęłnił powietrze wirem gorzkich nut.

Byli już rozgrzani i muzyka poderwała się jak trąba powietrzna, zdublowana, supergorąca i potężnie zmysłowa: otwarte palenisko pieca. Daina pomyślała, że przypomina to obserwowanie lamparta skradającego się w klatce w zoo, zahipnotyzowanego ruchem, zbyt późno uświadamiającego sobie, że boczne drzwi klatki były otwarte i że był sam na sam z dozorcą bez dzielących ich krat.

Co się stanie, gdy kraty opadną, wszystkie prawa pójdą w zapomnienie i chaos wtargnie w uporządkowaną procesję życia? Wtedy, pomyślała Daina, może nastąpić tylko chwila prawdziwej kreacji, będąca mieszaniną podniecenia i przerażenia.

Ta myśl uniosła ją na rozpostartych skrzydłach, pozbawioną tchu i bezbronną, z błyszczącymi oczyma, w których odbijał się, będący przesłaniem tej muzyki, doskonały amalgamat intelektu i seksu.

Kapela bez chwili przerwy zaczęła *Gwiazdki w mojej kieszeni* i lasery wybuchły jak armaty, trzy oślepiające, kolorowe wiązki tak intensywne, że zdawały się materialne. Walczyły z sobą jak uczestnicy pojedynku, krążąc

w powietrzu nad kanałem dla orkiestry. Brawa przetoczyły się przez halę jak letnia błyskawica nad polem pszenicy.

Naraz perkusja umilkła. Gitara Chrisa i syntetyczne struny Nigela zaczęły się przeplatać, pieszcząc się jak wstydlivi kochankowie i, niewiarygodne, w środku laserowego widowiska pojawił się hologram: młoda dziewczyna z długimi blond włosami spływającymi w dół pleców, z oczyma zamkniętymi jak gdyby w ekstazie. Przy trzecim pasażu jej oczy spojrzały na widownię, gdy powoli obracała się ponad głowami.

Dzieciaki zerwały się z wrzaskiem na nogi. Kerr zaczął solówkę. Gorące, białe światło punktowca przeszło w zielone, potem błękitne i wreszcie w lawendowe, gdy melodia zabrzmiała sennie, legato.

Chris powoli ukląkł na scenie, z głową odrzuconą w tył, przystojną twarzą przemienioną przez muzykę i nagle, ku swemu zaskoczeniu, Daina usłyszała pierwsze takty *Pawany na śmierć Infantki* Ravela. Wytrzeszczyła oczy, oddech uwiązał jej w gardle, słuchała tak uszami, jak oczyma, on zaś wydobywał znajome nuty z taką miłością i bólem, że zaczęła płakać.

Spojrzała poprzez czarną scenę, omijając milczące postaci członków zespołu, na grającego na klęczkach gitarzystę. Czuła, że jest jej bliższy niż kiedykolwiek. Bolesne tony żałobnej, majestatycznej melodii wyrażały nieszczęście dzielone przez nich w chwili śmierci Maggie. To jak most światła, pomyślała, wiążący go z nią tak pewnie, jak gdyby nadal trzymał ją za rękę. Czuła go z każdą nutą, odległość została wyrwana z korzeniami; dwuwymiarowy znak równości wyrysowany kredą na czarnej tablicy, nigdy naprawdę nie istniejący.

Nie było nikogo w tym rozległym ciemnym miejscu, w tym powoli wznoszącym się i opadającym morzu. Tylko ona i on jak dwa małe stateczki zmierzające ku sobie we mgle. Przywarli do siebie w gorącym środku muzyki, każda roziskrzona nuta była pieśczętą delikatniejszą od dotknięcia czubkami palców. Daina zadrżała i zamknęła oczy, jej umysł przepelniony był kolorem i światłem.

Pawana zakończyła się na nucie, którą Chris przeciągał przez czas prawie nie do zniesienia - elektronika instrumentu pozwoliła mu na subtelny zmianę brzmienia, przejście w wysokie rozśpiewane vibrato, dopóki, w końcu, nie zmodulował go i nie rozpoczął *Jaszczura*.

Raz jeszcze grał sam i serce Dainy zatrzymało się na chwilę, gdy wspomniała groźbę Asha. Miała wrażenie, że patrzy na aktora, który na scenie zgubił najważniejszą kwestię - Kerr zdawał się tak samo bezradny.

Grał, przekształcając takty otwarcia w zaimprovizowane solo, gdy tłum sapnął i zaczął bić brawo. Hologram i laserowe wiązki znikły. Ten utwór był zbyt nowy, by miał zaprojektowaną odpowiednią oprawę wizualną. Gitarzysta odwrócił się od widowni, stanął twarzą do zespołu i wtedy Daina zobaczyła dziką biel jego twarzy.

Jego palce, zakrzywione niczym szpony jakiegoś drapieżnika, rozmazywały się w powietrzu, gdy szarpał stalowe struny, i melodia *Jaszczura* znów przepełniła halę. Podszedł do Rollie'ego i przesywając go wzrokiem wrzasnął: - Graj,

sukinsynu! Wal w te cholerne skóry, bo inaczej z miejsca skuję ci pysk! - Rozpędził się i wskoczył na podium. Rollie drgnął konwulsyjnie, zaczął wybijać rytm na perkusji. Oczy Chrisa płonęły jak węgle, gdy spojrzał na niego z góry. Potem zeskoczył na scenę, ruszył do lana.

W oczach Dainy wyglądał jak lampart, dzikie zwierzę na wolności, śmiertelnie niebezpieczne i niepohamowane.

- W porządku, teraz twoja kolej! - fuknął na lana i basista, przerażony, zaczął

grać.

Pracowali razem, tworząc aranżację chwili, trio nieograniczonej siły; pokazali im rutynę, której istnienia z pewnością obaj nie podejrzewali. Zaczęli improwizować, znajdując oparcie w czystej sile woli Chrisa. Patrzyli na niego w trakcie gry, zahipnotyzowani: marionetki w tej budzącej grozę grze mistrza.

Żar, roziskrzony i żywy, przetaczał się jak dziesięcotonowa ciężarówka ze sceny na widownię. Kerr zawirował i pobiegł do Nigela stojącego za ochronnym wałem swych instrumentów. Wydawało się, że mężczyzna ucieknie, ale Chris znalazł się przy nim na czas i Ash znieruchomiał niczym jeleń złapany w światła reflektorów.

Chris, nie przerywając rozszalałej gry, podskakiwał przed nim jak wariat. Jego usta poruszały się jak pacynka brzuchomówcy i Daina wiedziała, że krzyczy, ale panujący hałas uniemożliwiał usłyszenie słów.

Przez chwilę widziała znajomą sylwetkę Thais oświetloną zielonym reflektorem, ostro zarysowany nos, jedno oko płonące dziko, lecz zniknęła ona tak nagle, że pomyślała, iż wcale jej nie było.

Nigel zaczął grać. On także wpatrywał się w Kerr'a, nawet kiedy ten cofnął się na środek sceny i, uruchomiwszy wszystkie elementy muzyczne, zaczął śpiewać: - Głęboko w nocy/Rozświetlonej przez deszcz i twarze/Powiem żegnaj swej ukochanej, swej ukochanej/Zostawione na palmowych wzgórzach/Ogniste skandale/Płonące z obu końców...

Ludzie stali, wyjąc jak psy, tupiąc i klaszcząc w takt muzyki. Daina wyjrzała za skraj sceny, zobaczyła iskierki syczące w ciemności.

- Jak strzał z pistoletu o rękojeści z masy perłowej, odszedłem – śpiewał Chris. - W czerwony świt/ Czerwony, czerwony świt/Jak jaszczur ze skraju czasu/Jaszczur skradający się/Znajdę to, co moje/I będę czekał.

Rozbłyły światła i Daina zobaczyła dzieciaki w pierwszych rzędach. Ich twarze były zwrócone w górę, otoczone mglistymi zorzami kolorowych reflektorów, przemienione jakby przez alchemię. Widma tęczy, wznosili ramiona, obejmując bez mała materialną fontannę dźwięku wytryskującą z wielkich spiętrzonych wzmacniaczy.

- Jak jaszczur ze skraju czasu/Jaszczur skradający się/Znajdę to, co moje/I będę czekał.

Muzyka stała się dzika, okrutna i ostra jak krzemień; nie było już cywilizacji,

a tylko pierwotna furia, która żyła i tańczyła w nich wszystkich. Muzyka oczarowała ich jak mistrzowski zaklinacz węży, wywołała całą ukrytą magię, straszną i przerażającą w niewypowiedzianej surowości.

W ten sposób zrzucili z siebie swoje skóry: konwencjonalne jedwabie i satyny, i, jak nowogwinejskie plemię, które nigdy wcześniej nie widziało białego człowieka, które nie miało pojęcia o wieku atomu, połączyli się razem w szaleńczym ruchu i pocie, zmysłowości i dźwięku, które doprowadzały ich do gorączki, przerzucały nad przepaścią.

Teraz uderzyły w nich pierwsze takty *Podniebnych tancerzy* i lasery raz jeszcze otworzyły swoje pyski, wylewając żywe światło pod sam strop. Na eterycznej autostradzie iluminacji pojawił się hologram pary zakochanych, która zaczęła poruszać się i, dzięki magii technologii, tańczyć w rytm muzyki, by zniknąć wreszcie z ostatnim organowym glissando Asha. Widownia wrzeszczała, tupała i hala dygotała jak w czasie trzęsienia ziemi. Chris uniósł gitarę nad głowę i wymachiwał nią jak sztandarem. Nigel wyszedł z przenośnym syntezatorem i stanął obok Kerra, i razem, przy zapalonych wszystkich reflektorach, zaczęli *Światła miasta*.

Utwór zakończył się o wiele za szybko i wszyscy zeszli ze sceny. Światła na sali przygasły. Brawa narastały ogłuszającymi falami. Dzieciaki opuściły swoje miejsca i nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty strażników i policji wbiegały w już zatłoczone przejścia między rzędami.

Daina rozejrzała się. Na widowni podrygiwały światełka: ludzie zapalali zapalniczki i unosili je wysoko, aż sala zaczęła absurdalnie przypominać wnętrze katedry.

Zespół pojawił się wśród historycznych powitalnych wrzasków, by zagrać pierwszy bis. Wzdłuż krawędzi wyższego poziomu sceny rozbłysły neonowe światła, zapalające się i gasnące jak staroświecka reklama nad kinem. Powróciły lasery, przeszukujące wyższe partie hali cytrynowym światłem. Na tyłach było już pusto, gdyż dzieciaki przemieszczały się pod scenę. Przybyło więcej ochroniarzy, by powstrzymać ten przyływ, lecz w tej chwili pożogi ich zadanie było skazane na niepowodzenie.

Pierwsza fala uderzyła w bariery oddzielające pierwsze rzędy na poziomej podłodze od kanału dla fotografów. Fotoreporterzy, wznosząc wysoko aparaty, rozproszyli się, umykając przed tym atakiem.

Ash, daleki od uspokojenia widowni, wyszedł na skraj sceny. Grał jedną ręką,

a drugą przywoływał tłum. - Hej, Hej! - wrzeszczał w wicherze muzyki. - Hej! - Przykucnął, kiwał na nich, śmiejąc się i parszkając z gorąca. Jego rozszerzone, rozgorączkowane oczy orały twarze wiernych, akolitów jego muzyki.

Małolaty wpadały do kanału dla fotografów, tratując strażników i siebie nawzajem, byle tylko dostać się bliżej. Wyciągali ręce, zadzierali głowy, wrzeszczeli. Jakiś chłopak posadził swoją dziewczynę na ramionach, a ona wyciągnęła ręce, zaciskając wygłodzone palce na nocnym powietrzu. Wszystkie bariery zostały obalone i Daina miała wrażenie, że role uległy odwróceniu. Teraz ci, którzy znajdowali się na scenie, byli obserwatorami w ciemności, a ten oszalały tłum nieokiełznaną bestią. Na scenę skoczyła dziewczyna o pszenicznych włosach, opadła na jedno kolano. Ktoś z tyłu pchnął ją potężnie i rozciągnęła się jak długa u stóp Nigeła. Ten cofnął się. Dziewczyna wstała i ruszyła za nim.

Uderzył ją syntezatorem w piersi i dziewczyna zachwiała się, wyrzucając ramiona w powietrze, i stoczyła ze sceny w wyjący tłum. Jeden z ochroniarzy wyskoczył zza kulis, odciągnął Asha od krawędzi, gdzie wyprostowane ramiona wyczęły się, by ściągnąć go w dół, w swe mroczne objęcia. Nigel ze złością odepchnął mężczyznę i kontynuował grasowanie na skraju sceny.

Ktoś rzucił na scenę bukiet białych róż. Ash z szerokim uśmiechem złapał go i cisnął wysoko w kolorowe powietrze.

Daina obserwowała twarze, złane potem i nieludzkie, ciała podskakujące w takt upartego rytmu, oczy toczące dziko jak ślepiec bydła w ogarniętej pożarem stodole, usta ściągnięte w ekstazie. Kapela i widownia karmiły się sobą wzajemnie, popychając się coraz dalej i dalej.

Chris i Nigel stanęli na środku sceny. Kerr śpiewał; palce Asha tańczyły po klawiaturze; muzyka uderzała we wszystkich falą dźwięku i furią wojny.

Nagle po lewej stronie sceny coś błysnęło oślepiając i tak blisko, że Daina przestała widzieć na jedno oko. Później nastąpił ogłuszający ryk i fala uderzeniowa pchnęła ją niczym potężna pięść.

Zatoczyła się do tyłu. Wciągnęła w płuca gryzący dym, który wyssał cały tlen z powietrza. Zaczęła się dusić, łzy zalewały jej oczy. Była oślepiąca i prawie głucha. Poczowała palący żar i instynktownie odskoczyła. To było wszystko, co mogła zrobić. Płuca ją paliły, serce tłukło się w piersiach jak oszalałe. Zachwiała się i upadła, i albo w wyobraźni, albo naprawdę ujrzała walącą się na nią górę. W głowie jej zawirowało.

Góra? Wzmacniacze! Staczały się na nią i rosły w oczach, aż w końcu stały się jej jedynym światem. Próbowwała wrzasnąć, ale nie mogła.

Potem znalazła się w czyichś ramionach. Świat przemykał obok niej, lecz to nie ona biegła. Zdawało jej się, że została uniesiona w powietrze. Odwróciła głowę, zobaczyła spokojną twarz Silki tak blisko własnej twarzy, że widziała ją niewyraźnie. Zamrugła i łzy znów napłynęły jej do oczu. Otworzyła usta, zakaszła, wspierając głowę na jego piersi.

Słyszała, jak przez sen, krzyki i brzęki. Minęli ją ludzie z obsługi. Przepchnęli się policjanci ze skomplikowanym sprzętem. Potem dotarł do niej niesamowity harmider nakładający się na monotony szum w wewnętrznym uchu.

Przez te hałasy, gdy Silka znosił ją ze sceny, wyraźnie słyszała krzyki i czyjś płacz.

- M-80. Święty Jezu!

Leżała na ławce, z głową i ramionami na kolanach Chrisa.

- Cholera, poszaleli. M-80 rzucony prosto na scenę. Czy ktoś widział, kto to zrobił?

Było to oczywiste pytanie, ale, oczywiście, bezcelowe. W takim tłumie?

- Cholerne sukinsyny! - zaklął Chris. - Co się z nimi dzieje? – Był nagi do pasa, zlany potem. Na szyi miał gruby ręcznik.

W pokoju kręcili się pozostali muzycy. Teraz poznawała ich, jednego po drugim: Rollie, Ian, Nigel... hoża blondynka i...

- Jak się czujesz?

Zawisła nad nią czekoladowa, lśniąca twarz Nile'a. Oczy miał szeroko otwarte, przestraszone, hebanowe źrenice niezmiernie powiększone.

- Nic jej nie będzie - odparł Kerr. - Dajcie jej tylko powietrza.

- Podniósł rękę. - Hej, Benno! Gdzie jest ten lekarz?

- Z tamtą dziewczyną. Przyjechał ambulans. Przyjdzie, gdy tylko ją zapakuje.

- Co się stało? - zapytała Daina. Chris spojrział na nią.
- Ktoś rzucił M-80 na twoją stronę sceny.
- M-80?
- Osiem lasek dynamitu. Dobre na Czwartego Lipca, ale w sali - Chryste!
- Ktoś został ranny?

- Ty, moja pani. Chciałbym dostać tego sukinsyna w swoje ręce...
- Mnie nic nie jest. Mówiłeś coś o dziewczynie...
- Tak. Na widowni. Biedna cipa, skrupiło się na niej. Ciebie przed najgorszym uchronił mur wzmacniaczy.

- Wyjdzie z tego?
- Nie wiem, kochanie. - Podniósł głowę. - Aha, idzie lekarz.
- Przez trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin będzie miała pani zaburzenia słuchu po lewej stronie - oświadczył lekarz po zakończeniu badania.

- Nie straciła pani przytomności. Nie ma oznak wstrząsu. - Uśmiechnął się.
- Miała pani dużo szczęścia, panno Whitney. - Wyjął bloczek z receptami.
- Nie chcę niczego - oświadczyła.
- Co? - Roześmiał się, potem zarumienił. - Och, nie. Chciałem tylko... hm... prosić o autograf.

Roześmiała się, złapała za głowę.

- Boli? Potwierdziła.
- Jak najbardziej normalne. - Wyjął z plastikowej butelki dwie tabletki. - Tylenol 500. Proszę brać dwie co cztery godziny.

Wzięła od niego pióro, podpisała się na bloczku.

- Dzięki.
- Doktorze, co z tą dziewczyną?
- Ach, jest za wcześnie, by coś stwierdzić. Trzeba przeprowadzić mnóstwo badań...

- Była przytomna?
- Nie.
- Chryste! - zawołał Chris.
- Ile ma lat? - zapytała Daina.
- Jej dokumenty mówią, że siedemnaście - odparł lekarz, zbierając się do wyjścia.

- Pamiętam, kiedy byłem taki młody - zażartował Nigel. Ale nikt się nie roześmiał.

- Niech pani nie zapomni o tylenolu, panno Whitney. Proszę od razu zażyć

tabletki. - Skłonił się obecnym i wyszedł z zatłoczonego pokoju.

• Zrobię to - powiedziała Daina, patrząc na białe tabletki na otwartej dłoni. Kerr podał jej kieliszek szampana do popicia. - Na szczęście był tam Silka - rzekła, oddając mu pusty kieliszek.

• Szczęście nie ma tu nic do rzeczy - oznajmił Chris. - Kazałem mu mieć na ciebie oko. Myślisz, że zostawiłbym cię bez ochrony?

• Chris... - zaczął Benno.

Kerr patrzył na Dainę przez dłuższą chwilę.

• Chrysler czeka na zewnątrz z ekipą grubych ryb. Musimy zrobić te zdjęcia.
• Jezu, Benno, czy jesteś pozbawiony uczuć? Ta dziewczyna...
• Albo to, albo będą krążyli wokół nas przez całą noc. Naradz się z Nigelem, dobrze?

Chris westchnął głęboko, zamknął oczy.

• Idziemy, człowieku - zdecydował Ash.
• Muszę wyjść na minutkę - poinformował Chris. - Silka zostanie z tobą...
• Chcą, żeby ona też była, Chris. - Głos Cutlera był uprzejmy, delikatny.
• Ni cholery nie obchodzi mnie, czego oni chcą! - Odwrócił się do menażera.
- Wiesz, co możesz powiedzieć tym pijawkom, ty zimnokrwisty sukinsynu! Zależy im tylko na jednym: chcą zobaczyć swoje pyski obok naszych. Powiedz im: nie!

• Chris...

- W każdym razie to zależy od pani...

Daina uśmiechnęła się.

- Przedstawienie musi trwać dalej, prawda? - Zobaczyła zdumienie na twarzy Kerra. - W porządku. - Przyłożyła rękę do jego policzka. - Nic mi nie jest.

- Gotowi się zwijać - oznajmił Silka. - Prawie. - Odwrócił się do nich ze swego miejsca obok szofera. - Gotowi?

Mógłby to być poranek D-Day, przesycony smrodem napięcia i błyskami naolejonej stali.

Chris siedział bardzo blisko i Dainy, trzymając ją za rękę. Oboje wzięli prysznic, Chris przebrał się, a ona poprawiła makijaż.

Olbrzymia brama zaczęła wznosić się przed nimi i ochroniarz omiół wzrokiem wszystkie elektronicznie zamknięte drzwi samochodu. - Jedziemy -

powiedział, prostując się na siedzeniu. Limuzyna ruszyła.

Zjechali po rampie, minęli bramę i wydostali się w czarną jak sadza noc. Dostrzegli drewniane barykady i policję patrolującą wąski pas wolnej przestrzeni. Po chwili morze dzieciaków, kołyszących się i podrygujących, przepychających się i tratujących, wdarło się na chodnik nienormalnie wysoką falą przyływu.

Po minięciu szarych barier momentalnie zostali pochłonięci przez wirującą masę ciał. Dziewczyny wskakiwały na długą maskę limuzyny, podczas gdy policjanci daremnie próbowali je spychać. Kto mógł, tłukł pięściami w szyby, ze wszystkich stron widniały stłoczone głowy. Dziewczyna z mocno wymalowanymi oczyma i upierzonymi paciorkami w warkoczach otworzyła usta i lubieżnie lizała szybę jak ciało kochanka; przerwała dopiero wtedy, gdy niewidzialne ręce odciągnęły ją od okna poznaczonego śliną.

Hałas przenikał przez dźwiękoszczelne obicia Continental a jak wycie odległego wichru. Jakaś dziewczyna wpełzła na maskę, rozpostarła nogi i przycisnęła opięte ciasnymi džinsami krocze do przedniej szyby. Jej palce o pomalowanych paznokciach gmerały przy rozporoku, gdy próbowała zsunąć spodnie z bioder.

Nigel pochylił się do przodu, złapał skraj ramy szklanego przepierzenia.

- Dalej, mała - pokrzykiwał. - Ooch, ściągnij je!
- Właśnie to zamierza zrobić - wtrącił kierowca.
- Zachęć ją, człowieku.

Wszyscy wytrzeszczali oczy. Dżinsy powoli zsuwały się z bioder, coraz niżej wśród wirującego kłębowiska samców. Wóz podskakiwał na silnych resorach, chwiało się jak pijak, gdy grad pięści wybijał starożytny rytm na dachu i bokach.

- Jezusie! - wysapał szofer.
- Patrzcie, patrzcie. - Ash wyszczerzył zęby jak kot. - Nie ma majtek. Dżinsy zjechały tak daleko, że widzieli już włosy łonowe. Palce powędrowały do zwieńczenia ud i dziewczyna zaczęła się gładzić.

- Hej, hej! - Nigel pchnął Silkę w ramię. - Dawaj ją tutaj, stary! Cha, cha!
Thais milczała, patrząc na inną część otaczającego ich oceanu.

Kierowca zatrąbił.

- Hej, co ty robisz? - Ash podskakiwał na siedzeniu. - Nie przeszkadzaj jej.
Rajcuje się.

- Jej nic nie przeszkodzi - odburknął kierowca, nie przestając trąbić.

Napór tłumu nie ustępował, jakby tej nocy wszyscy chcieli pozbyć się zapasów energii. Członkowie zespołu byli jak gdyby osadzeni w łonie jakiegoś kolosalnego stworzenia, bezpieczni w stalowej konstrukcji, a zarazem zagrożeni, gdyż nikt nie wiedział, jaką wielkość może osiągnąć ta wyzwalająca się energia.

Zagrzechotało szkło; nie tyle usłyszeli, ile zobaczyli wrzaski tłumu, które nadawały mu niesamowity charakter powołanego do życia koszmaru.

Dziewczyna z szyby zniknęła, zastąpiona przez cztery inne. Czas jednostek przeminął. Teraz do głosu doszła wspólnota i Daina pomyślała o Woodstock, o innym czasie, gdzie nikt z całego pokolenia nie myślał o wojnie.

Wymachujące nogi i ramiona, wytrzeszczone oczy, wirujące ubrania, napór ciał pochłaniających ich w zbiorowym uścisku. A oni mogli tylko siedzieć i przyglądać się temu, co rozgrywa się na ich oczach: byli niesamowicie zafascynowani tym, że nie robią nic, a przesiakają tym wszystkim.

- Wiecie co? - Nigel odwrócił się i popatrzył na nich. - Wiecie co?

- Wzniósł ręce, wyciągnął je, aż rozcapierzone palce, dłonie mokre od potu, przywarły do napiętego, wibrującego dachu limuzyny. - To nasze dzieło.

- Miał rozszerzone źrenice. - Tak! Tak, tak, tak!

I zaczął podskakiwać w tej ograniczonej przestrzeni. W górę i w dół. W górę i w dół, a potem wyciągnął palec i wdusił przycisk. Szyba po jego stronie zsunęła się i Ash gwałtownie wychylił się z budzącym grozę w tłumie wyrazem twarzy. Wrzasnął jak szaleniec i wszyscy cofnęli się, rozproszyli i zaczęli uciekać.

Chwilę później policyjne syreny podniosły swój elektroniczny wrzask.

Restauracyjny balkon LoveIsALiquid był odgradzony kordonem aksamitnych sznurów w śliwkowym kolorze, rozwieszonych na mosiężnych stojakach. Ogromny bar z jasnego drewna wychodził na niższy poziom, a za przeszkloną ścianą po drugiej stronie roztaczał się widok na miasto z dwudziestego piątego piętra. Były tam Coit Tower, piramida Transamerica i daleko po lewej, zalane światłem Golden Gate, różowo-pomarańczowe jak wschód słońca.

Wzdłuż dolnych i górnych krawędzi ścian biegły błękitne i zielone neony. Wysokie paprocie szumiały i kołysały się jak dawni kowboje. Powietrze przesycił ostry zapach jałowca.

- Takie imprezy zawsze zaczynają się trywialnie - szepnął jej do ucha Chris, gdy błysnęły flesze. Wszyscy na nich patrzyli, nawet ci zazwyczaj nonszalancy, uważający, że są ponad tym. - Oczywiście z najlepszymi intencjami. - Przeprowadził ją przez zatłoczoną salę. - Ekskluzywność nadal jest w dobrym stylu i nie lubimy być niepokojeni. - Roześmiał się lekko. - To nasza wymówka.

- Chris Kerr! Hej, z drogi!

Usłyszeli go przez pulsowanie muzyki, gwar wypełniający otoczenie. Daina lekko odwracając głowę dostrzegła ciemną sylwetkę wyłaniającą się z gęstego tłumu po drugiej stronie restauracji.

- Hej, Chris!

Tłum rozstał się jak stado owiec i Daina zobaczyła szeroką, płaską twarz, długie, kudłate, połyskujące matowo włosy, błysk białej skóry i czarnej brody.

- Cześć, Chris! - Mężczyzna uśmiechnął się. Rozpostarł ramiona, odganiając ostatnich dzielących go od nich ludzi jak muchy z końskiej derki. Miał klatkę piersiową tragarza.

- Znasz tego faceta? - zapytał po cichu Silka. Kerr przecząco potrząsnął głową i Silka coś do niego powiedział.

Chris cofnął się o krok, pociągając za sobą Dainę; ochroniarz zajął pozycję między nimi a młodym człowiekiem.

Nieznajomy, wymachując rękoma, zderzył się z masywnym ciałem Silki. Ten, pozornie nie czyniąc żadnego ruchu, podniósł prawą rękę i odbił pięść mężczyzny na bok. Teraz zobaczyli, że był w niej pistolet.

- Puść mnie do niego - odezwał się brodac. Wydawał się całkiem opanowany.
- Chcę go zabić. - I spróbował podnieść rękę.

Ochroniarz przesunął się i przyjął atak na prawą stronę. Niezwykle płynnym ruchem wyciągnął ręce, które jak ostre krawędzie miecza weszły między pięści nieznajomego i odbiły je na zewnątrz, pozbawiając siły. Silka podniósł pistolet z podłogi.

- Chodź - rzekł miękko. - Idziemy, świrze. Nie masz tu czego szukać.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - rzucił brodac. - Jesteś tylko facetem do wynajęcia. - Jego usta skrzywiły się w dziwnym uśmiechu. - Najemnikiem, to wszystko. Po prostu wykonujesz rozkazy. - Uśmiech poszerzył się, gdy mężczyzna

skoczył do przodu, usiłując wyminąć ochroniarza i mimo wszystko dotrzeć do Chrisa i Dainy.

Zamachnął się od biodra obiema pięściami, trzymając łokcie przy sobie i kłykcie wysoko, jak najlepszy i najsprytniejszy uliczny zabijaka.

Spodziewał się, że Silka przyjmie tradycyjną postawę obronną, ale potężny ochroniarz nie spełnił jego oczekiwań. Zamiast ugiąć kolana w boksinie przysiadzie, wyprostował lewą nogę, przesuwając ją w tył po ograniczonej przestrzeni zatłoczonej podłogi.

Daina widziała pęczniejące mięśnie Silki, gdy zbierał przepływającą przez nie siłę. Prawie niezauważalnie prawy but oderwał się od podłogi i trzasnął z zatrważającą siłą w kostkę i podbicie wysuniętej stopy brodacza.

Mężczyzna krzyknął z bólu i szoku i, chcąc się wyprostować, tylko stracił równowagę. Prawa ręka ochroniarza uniosła się na wysokość jego piersi; dłoń z palcami sztywnymi niczym deski trzasnęła krawędzią w mostek nieznanego tak silnie, że powietrze uciekło mu z płuc jak z przekłutego balonu.

Silka podniósł bezwładne ciało i zniknął w tłumie. Cały manewr trwał nie więcej jak parę sekund.

Kerr odwrócił się bez zwłoki. Złapał Dainę, jego skóra była zimna i lepka.

- Chryste - syknął. - Jeszcze raz powtarza się przypadek Lennona! - Dygotał i Daina objęła jego ramiona. - Czego oni od nas chcą? - rzucił pytanie w przestrzeń. - Dlaczego chcą nas załatwić?

Zaprowadziła go do krętych schodów wykończonych w tonacji bladego różu, delikatnych jak pasmo anielskich włosów. Stopnie wibrowały od muzyki, wprawiając w drżenie ich nogi.

- Zbyt wielu ludzi - wyszeptał. - Zawsze tak się kończy.

Usiedli w kącie przy oknach, z Nile'em, Tie i Nigelem, na czerwonej jak szminka skórzanej kanapie. Popijali Dom Perignon rocznik 1973.

Po lokalu wałęsały się czerechy fotografów jak zachłanne trzymonawy u boku smukłego rekina. Tropili Biance Jagger i Davida Bowie, Normana Mailera, zbierającego materiały na Zachodnim Wybrzeżu do następnej książki, Billa Grahama, niegdyś największego promotora rockowego. Jednak niezmiennie wracali do Dainy. Chris roześmiał się i szepnął jej na ucho:

- Tie cię znienawidzi. Ona i Bianca, wiesz - bardzo poważnie. Ale ty... Ach!

Na prawo od niej Valentine wlepił oczy w talerz pełen makaronu obłożonego gotowanymi na parze ostrygami w skorupkach, jakby był to jakiś obcy artefakt.

- Nile - zagadnęła go Daina - dobrze się czujesz?

- Uhm. - Oparł głowę o zimną skórę kanapy, zamknął olbrzymie oczy.

Po raz pierwszy zwróciła uwagę, jakie ma długie rzęsy.

• Nie czuję niczego w środku. Zbyt wiele podobnych do siebie dni i nocy przepływa jak strumień do morza, uhm hum.

• Dlaczego to sobie robisz?

• Co?

• Wszystkie te prochy pakowane do nosa; ta... hera...

• Och, malutka. Gdybyś tylko wiedziała. - Otworzył oczy, spojrzał na nią. - Lecz dobrze, że nie wiesz. Hummm. Tylko to trzyma mnie jeszcze na chodzie. Trzeba podsycać ten ogień, czym się da, bo inaczej kłapa. Narkotyki w moich żyłach są jak krew. - Wzruszył ramionami, uśmiechnął się. - I co z tego? Kogo to jeszcze obchodzi?

Wysunął ręce i dwa długie palce, palce chirurga, zaczęły obracać kopiasty talerz, jak gdyby był on rzeźbą, której nie potrafił przypisać do żadnej epoki.

- Cha, cha! Niebezpieczne są tylko wtedy, gdy wychodzą spod kontroli i noc wrzeszczy, i rozdziera cię na części. Hummm. Ale wcześniej są jak ciepłutki koc, który pozwala przejść przez to wszystko. Dalej i dalej...

- Ćpanie jest poza kontrolą, Nile - powiedziała cicho. - Zawsze, nie wiesz? Otworzył usta i jego wielkie białe zęby trzasnęły ostrzegawczo.

• Nie próbuj mnie osądzać. Sam wybrałem takie życie. Wszystko wybrałem. Muzykę... życie. Wszystko. Wszystko, co kiedykolwiek było dla mnie.

• Jednakże teraz, gdy masz wszystko, co chcesz...

• Ach! To wszystko gównu. Ty tego nie wiesz? Ha. Prawda. Życie staje się nieszczęśliwe. I to czyni moją muzykę... tym, czym jest. - Odwrócił głowę, patrząc nad ściśniętymi postaciami wymalowanymi jak aktorzy kabuki, na bezgwiazdne niebo nad miastem. - Jak to niebo... niewidoczne. Nigdy nie wie się pewnych rzeczy. Nigdy. Dlatego muzyka jest na pierwszym miejscu... jedyny powód do istnienia...

Chciała coś rzec, ale Chris złapał ją za rękę. Odciągnął ją, mówiąc:

- Jest Fonda. Czas mnie przedstawić.

Daina piła sporo i prawie nic nie jadła. Mówiła dużo i jak się wydawało, im więcej mówiła, tym większe miała pragnienie. Zawsze jakieś usłużne ręce dolewały jej szampana - wyłącznie Dom Perignon.

Thais ruszyła w jej stronę, rozsuwając kurtynę hałasu, muzyki, nieświadoma sieci konwersacji i monologów za tychże uchodzących.

- Kochanie - zapytała swym schrypniętym, groźnym głosem – dobrze się bawisz? - jakby była gospodynią przyjęcia. Objęła Dainę zimną, szczupłą ręką, poprowadziła ją w kierunku okien. - Jon nienawidził takich przyjęć. Całymi godzinami musiałam go namawiać, by się pokazał. Musiałam go golić, ubierać, czesać, malować. - Jej oczy w neonowym świetle były nieprzejrzyste, powieki jakby podwójne. Okna, które nie mrugały. - I wiesz co następowało po tym wszystkim? - Daina czuła się jak zahipnotyzowana przez to nieruchome spojrzenie. - Wchodził do takiego zatłoczonego pokoju i odlatywał. Jego ciało nie czuło niczego, drętwiało, jednak umysł chłonał wszystko. Patrzyłam mu w oczy i widziałam eksplozję, płonącą ciemność, dziwny ogień, który gasł dopiero godziny później, gdy nawet tacy zapamiętali bywalcy przyjęć jak Chris i Ian odchodzili i tylko nas dwoje pozostawało przytomnych.

Zacisnęła długie palce na nadgarstku Dainy, podkreślając siłę swej fizycznej obecności. Przez chwilę Daina czuła lekkie drżenie strachu pełznące wzdłuż kręgosłupa. Potem wrażenie minęło.

- Lecz ty wiesz już to wszystko, prawda? Daina potrząsnęła głową.
- Nie.

Twarz Tie była bardzo blisko. Daina czuła jej oddech, słodki i lekko piżmowy, jej perfumy zmieszane z potem, ostrym, ale nie nieprzyjemnym. Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie - jak zapach zwierzęcia. Zamknęła oczy, z drżeniem wypuściła powietrze.

- Nie kłam, kochanie - wyszeptała Thais. - Wiem, że wiesz.

Daina uniosła powieki i zobaczyła oczy kobiety tak blisko, że drgnęła mimowolnie.

- Co wiem?
- O Jonie. Nie bądź taka nieśmiała, kochanie. - Pogroziła jej palcem.

- To nie grzech, wiedzieć. Tylko błąd. Ktoś popełnił błąd, to wszystko.

- O czym ty mówisz...

- Gdybyś była członkiem wewnętrznego kręgu, to co innego. - Tie kontynuowała tak, jakby Daina wcale się nie odezwała. - Jednak jesteś outsiderem. Nie masz tu władzy. I nie będziesz miała, rozumiesz?

- Nie rozumiem ani...

- Widzisz, wszystko zaczęło się od Maggie. - Lodowaty uśmiech zamarzył jej na wargach, a palce zacisnęły się z taką siłą, że Daina poczuła ból.

- Próbowwała zdobyć władzę; próbowała się włamać... robić więcej niż... oczekiwano. Miała własne pomysły, nie chciała słuchać ostrzeżeń. – Głos zmieniał się subtelnie od dłuższej chwili, dopóki nie przepelnił się jadem. – Ale była outsiderem, tak samo jak ty. Złamała zasady i została unicestwiona.

- Mój Boże! - Daina wyrwała się jej. - Co ty mówisz? - Oczy miała rozszerzone, a strach mroził jej żyły jak lodowata woda. Drżała.

- Nie chcesz nic o tym wiedzieć. To nie twoja sprawa.

- To jest moja sprawa! - krzyknęła. - Ona była moją najlepszą przyjaciółką! - Nie zwracała uwagi na zaciekawione twarze, wybuchającą z nową siłą przepychankę wokół nich. W rosnącym zamieszaniu i gwarze błysnęły flesze.

Policzki Thais zaróżowiły się. Nieznaczny tajemniczy uśmiezek rozchylił jej szerokie wargi, neonowe światło sprawiło, że zęby błysnęły oślepiająco. Nagle odwróciła się i wtopiła w tłum.

Przez chwilę Daina stała jak skamieniała. Potem, prawie konwulsyjnie, skoczyła za Tie, rozpychając kłębiący się tłum, mijając Mailera, Jerry'ego Browna i Toma Haydena. Lecz ludzie uniemożliwili jej pościg. W głowie jej zawirowało i sala jakby przechyliła się, gdy uderzyła w mur ciał. Zachwiała się, jednak nikt niczego nie zauważył. Hałas podązał za nią, tracąc formę i sens, przyprawiając ją o ból uszu. Szybkie bicie serca dopasowało się do uporczywego rytmu basów. Przedzierała się przez zatłoczoną salę do toalety, która zdawała się oddalona o mile, była o wiele za daleko, lecz nagle znalazła się tam, jej drżące palce przekreśliły gałkę, drzwi otworzyły się. Zamknęła je za sobą, weszła do kabiny, osunęła się na sedes. Głowa opadła jej na ręce i poczuła na czole błonkę potu. \ Może na chwilę straciła przytomność albo, co bardziej prawdopodobne, zawisła nad przepaścią, gdzieś

pośrodku, w półcieniu. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, kiedy w końcu otworzyła oczy i podniosła głowę. Zdawała się ważyć tyle, co całe ciało. Zamrugła kilka razy, patrząc nierozumiejącym wzrokiem na palce, sztywne i białe od ^ciskania klamki kabiny. Skoncentrowała się na głębokim oddychaniu i po pewnym czasie poczuła się lepiej.

Załatwiła się i wyszła z kabiny. Przy umywalce spryskała twarz zimną wodą, czując, jak wreszcie wraca jej energia. Złożyła dłonie i ostrożnie nabrała wody do ust. Gardło ją paliło, ale powstrzymała się od przełknięcia.

Gdy otworzyła drzwi, dźwięki i zapachy uderzyły w nią jak pięść w żołądek. Widziała ludzi za wielkimi oknami, na tarasie, poruszających się jak tekturowe sylwetki na strzelnicy. Pomyślała, że tam mogłaby pójść, by uciec od gorąca i hałasu, jednakże Kerr dorwał ją, gdy była w połowie drogi.

• Hej, gdzie byłeś? Wszędzie cię szukałem. Zaczynała dwa razy, nim w końcu wydusiła:

- W toalecie. - Miała zdrętwiałe usta.
- Słyszałem, że posprzeczałaś się z Tie.

- Co... co ona mi powiedziała... - Miała wrażenie, że jest dzieckiem, które dopiero uczy się mówić.

Uśmiechnął się szeroko.

• Mówiłem ci, że jest zazdrosna. Nie lubi takiej rywalizacji. Ona jest królową nocy... albo lubi tak myśleć.

• To nie to... Ona...

• Chodź. Szukałem cię, bo jesteśmy z Nile'em gotowi do improwizacji. Zagramy tutaj, razem. Nawet Nigel o tym nie wie. Zwłaszcza Nigel. To go trochę wkurzy. - Szli przez tłum w kierunku ich stolika.

• Hej, Nile! - Chris pochylił się nad stołem, odpychając puste butelki perriera i wódki Tsingtao, talerze kruchego włoskiego chleba, spodki złotego masła. - Jesteś gotowy? Trzeba ogłosić - i zaczynamy.

Valentine skinął głową, uśmiechnął się błogo i gdy Chris się odwrócił, szepnął jej na ucho:

- Okay, idziemy.

Patrzyła na niego, gdy wyciągnął ku niej rękę. Ujęła ją, chłodną jak bryza. On

spojrzał jej w oczy, otworzył usta, by coś powiedzieć. Zakaszłał, upadł na stół, jego czekoladowa twarz z cichym, prawie obscenicznym odgłosem pogrzyła się w talerzu makaronu. Pomidorowy sos bryznął na biały obrus, na rękę Dainy, na jej policzek.

Gitarzysta leżał kompletnie nieruchomo.

- O mój Boże! Chris! Chris! - szarpnęła go i mężczyzna zakręcił się w koło.
- Chryste!

Przyjęcie nadal wirowało wokół nich, niepomne, kamiennie obojętne, pchane własnym potężnym pędem, toczące się poza czyjąkolwiek kontrolą, pełne elektrycznych drzeń i ukradkowych obmacywań.

Wysoka blondynka, która siedziała obok Nile'a, daremnie próbowała przyciągnąć jego uwagę. Chichocąc przeciągnęła srebrnymi paznokciami przez jego lśniące włosy.

- Hej, człowieku! - zawołał Kerr. - Hej, Nile! - Skoczył przez Dainę, rymnął na stół. Muzyka ogłuszała i śmiech przetaczał się przez mgłę dymu. Ktoś spetował papierosa w miękkim maśle. Blondynka pochyliła się, pocałowała Valentine'a w ucho, gruchając rozkosznie.

Daina wsunęła dłoń w rozcięcie koszuli i przyłożyła do lepkiej skóry na jego piersiach.

- Hej, człowieku! - Chris ukląkł na stole, ściągając serwetę i zastawę. - Zostaw go! - wrzasnął na blondynkę i odepchnął jej głowę. Wbił palce w afro Nile'a, szarpnął w górę.

Daina sapnęła; blondynka zachichotała histerycznie, z jedną ręką przy ustach. Skóra gitarzysty była blada jak kawa z mlekiem. Wstrząśnięty Chris mimowolnie pchnął go i głowa mężczyzny bezwładnie uderzyła w oparcie czerwonej kanapy. Blondynka odwróciła się i z wymiotowała.

Otwarte oczy Valentine'a, już szkliste i niewidzące, wpatrywały się w niebo.

8

Niebo wzdłuż czystego, niczym nie zamaconego horyzontu miało barwę morza. Przywodziło jej na myśl melancholię późnego lata, gdy borówki były tak ogromne, że, jak myślała, mogłyby wybuchnąć po dotknięciu palcem, i gdy czuła ich

zapach z odległości stu jardów od poletka.

Na niebie wisiał pyzaty księżyc, srebrny jak latarnie w starodawnych, spłowiały eh książkach z obrazkami, i wiedziała, że nadchodzi czas wyjazdu jej wakacyjnego chłopaka składającego obietnice miłości i codziennego pisania listów, które nigdy nie miały zostać dotrzymane. Ponieważ lato często było takie: jak jeden wielki rejs po morzu, nie posiadający żadnego bezpośredniego związku z resztą życia.

Był to czas powrotu do nadal dusznego miasta, do otwartych hydrantów przeciwpożarowych, lepkiego babiego lata września i szkoły; czas ponownego spotkania ze starymi przyjaciółmi, porównywania ocen i długiego, powolnego ześlizgu w szarą zimę.

Obok niej płakał Chris.

Mewy wzbiły się z dalekiej mierzei i krążyły nad ciemnoszarą wodą. Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły szczyty pomarańczowych filarów Golden Gate, zaczęły wydawać zgłodniałe okrzyki. Daina objęła mężczyznę rękoma, przytuliła do siebie.

Zamknęła oczy przed blaskiem świtu w Sausalito; nie zwracała uwagi na wilgotny grunt pod pośladkami. Jej własne wspomnienia znów trysnęły z pełną siłą i zalała się gorzkimi łzami.

- Jezu Chryste! - wyszeptał Chris. W de było słychać szum morza, żałosne krzyki wirujących mew. Oparł policzek na jej ramieniu. Miała rozpięty suwak bluzy - bluzy z nadrukiem *Heather Duell* - czuła więc lzy toczące się z jego oczu. Czuła każdą z nich, oddzielnie i wyraźnie, jak pociski wystrzelone z procy. - Taki cholerny geniusz. Nigdy nie będzie takiego drugiego.

Za nimi, na skraju drogi, stała limuzyna. Kierowca zgarbił się na fotelu, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie, z rękoma splecionymi na piersi, i spał, chrapiąc donośnie.

Za wyludnioną drogą na wzgórzach, wśród drzew i bujnych krzewów, wznosiły się parterowe sklepy i domy, składające się na przygnębiające przedmieście. Tutaj była prawdziwa wieś, chociaż tak blisko za mostem. Nie jak w Nowym Jorku, pomyślała, gdzie dostanie się do Queens zajmując człowiekowi pół godziny.

- Wszyscy odchodzą, Daina. - Jego głos był ciężki jak ołów, niewyraźny od narkotyków i żalu. - Wkrótce nie zostanie nikt wartościowy. Nie będzie nikogo poza młodymi punkami, którzy uważają, że wiedzą wszystko, ale tak naprawdę nie mają

pojęcia, o co chodzi. Muzycy - prawdziwi muzycy

- wymierają. Zabija ich jakaś choroba, na którą nie ma lekarstwa.

- To tylko tempo, Chris.

Zdecydowanie pokręcił głową.

• Nie, mylisz się. To nicość w środku zabija. Ta próżnia jest tak wielka, że kiedy muzyk jest skończony, nie śmiemy - żaden z nas - trzymać się w pobliżu zbyt długo, bo ona po prostu może pożreć nas żywcem. Połknie nas w całości. - Zadrżał i Daina przycisnęła usta do jego ramienia, by go uspokoić.

• Co to jest? - zapytała. - Ta próżnia. -__

Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Jego oczy były ponure i pełne łez.

• To my, Dain. My. Sądzę, że musimy płacić za... za to, co robimy. Nie możemy... nie potrafimy dojść z sobą do ładu. Tak to jest, wiesz. Na tym polega sekret. Wszystkiego. Więc kopujemy w dopalacze, zapalamy światła i zasuwany, kurwa, tak szybko, że nie widzimy ciemności. Lecz ona pełźnie za nami przez cały czas. Na okrągło.

• Jak powiedziałam, tempo.

• Ja tak nie uważam. Ani Nigel, ani Jon... Wszyscy pochodzimy z miejsca i czasu, w którym nie było do czego dążyć - prócz muzyki. Żaden z nas nie mógłby pracować w miejscowym warzywniaku i nigdy nie chcieliśmy wstąpić na uniwersytet. A co innego może biedny chłopak w Anglii? Rock'n'roll jest siłą napędową naszego życia. Podtrzymywał nas, gdyśmy go słuchali; nie pozwolił nam głodować, gdy zaczęliśmy go grać.

Bez niego bylibyśmy niczym i nie byłoby nas tutaj... żaden z nas nie zniósłby powrotu. Tak samo z Nile'em. Jediną rzeczą, jaką w życiu kochał, była muzyka... i to go zabiło.

• A nie hera?

• To to samo, nie rozumiesz? Jedno idzie w parze z drugim, przecież ci mówiłem. Nie słuchałaś? Poza muzyką po prostu nie możemy... Chryste wszechmogący!... nie możemy stawić czoła niczemu. - Powoli zamknął oczy. Zerwał się zachodni wiatr i Kerr przytulił się mocniej. Pogładziła go po włosach, odgarniając gęste loki z twarzy.

• Kiedy byłam dużo młodsza, moja babcia jeszcze żyła; matka mojej matki,

jedyna z dziadków, jaką znałam. Już była bardzo stara - pod osiemdziesiątkę - i moja matka dała się w końcu przekonać lekarzom i umieściła ją w domu starców. Raz mi się przyznała, że uczyniła to niechętnie, lecz ja nigdy jej nie uwierzyłam. Moja matka nigdy nie narzekała na nadwrażliwość sumienia.

Ale później zrywała się, ilekroć telefon zadzwonił późno w nocy czy bardzo wcześnie rano, myśląc, że to wezwanie do domu starców.. I oczywiście pewnego ranka tak było. Zdawało się, że słucha przez całą wieczność, a potem bez słowa odłożyła słuchawkę. „Babcia umarła”, oznajmiła. „Przy śniadaniu. Pstryk!” - strzeliła palcami - „dokładnie tak. Upadła twarzą w owsiankę i nie wiadomo, co jej się stało”.

Pogładziła go po policzku.

- I tak było z Nile'em, Chris. Wykorkował w wieku trzydziestu trzech lat. Oto, co rozumiem przez tempo.

- Ale, Chryste, on robił taką muzykę! - Daina potrząsnęła głową. - Stary Nile był cudowny. Raz widziałem, jak zerwał strunę w środku solówki. Nie przestał grać. Po prostu wziął nową, którą mu podano, założył ją, nastroił, nie tracąc przy tym ani jednej nuty. Gdyby człowiek tego nie widział, nigdy by nie uwierzył...

- Czy słyszałeś chociaż słowo z tego, co mówiłam?

Podniósł głowę z jej ramienia.

- Słyszałem każde cholerne słowo. Co chcesz mi powiedzieć? Znam implikacje, lecz to moje życie.

- Zeszłej nocy Nile rzekł mi dokładnie to samo.

- Tak, założę się. - Odwrócił głowę, spojrzął na wschodzące słońce. Światło wylewało się jak krew z rozdartej padliny. Mewy krzyczały.

- Czy kiedykolwiek myślałaś - zaczął po chwili - że gdybyś przestała robić to, co robisz - kompletnie - wszystko byłoby skończone, to coś strasznego wzięłoby górę... rozpuściłabyś się w nicości. - Ujął jej rękę.

- Chodzi mi o to, że ja nigdy nie potrafiłbym wrócić do tego, kim byłem kiedyś... - Wstrząsnął nim dreszcz.

Bładoróżowe światło świtu muskało spiralne grzbiety ospałych fal. Poniżej, na płycznach, morze nadal było ciemne jak pistoletowa stal. Daina pomyślała o Rubensie, o terrorystach.

- Rozpad to moja specjalność - wyszeptała. - To właśnie robię; to czyni mnie

szczęśliwą. Jak muzyka ciebie, tak to trzyma mnie na chodzie, jest moją podstawą, jedną długą nicią, która nadaje ciągłość memu życiu.

Przez moment słycać było tylko cichy krzyk mew, szarpiący strunę smutku.

- To, co mnie przeraża, dzieje się między muzyką, Dain - wyznał Chris.

- W samolocie, na lotniskach, w limuzynach, restauracjach. Wszystko, co widzę przed oczyma, to te maleńkie cholerne sekundy nicości i zatracam się w pustce. Nie wiem już, gdzie jestem ani dokąd idę, myślę tylko, skąd pochodzę: z żalostnej, śmierdzącej sutereny w Soho. - Odwrócił wzrok, nie chciał spojrzeć jej w oczy. - Co by się stało, gdybym odszedł z kapeli i wszystko to by zniknęło? Znow byłbym niczym. Niczym.

Mewy znalazły coś, może ławicę płynącą blisko powierzchni, gdyż stały się bardzo podniecone, śmigały nisko nad falami w zwartych, spiralnych kręgach. Widziała ich otwierające i zamykające się dzioby, węzowe ruchy szyj, gdy wyciągały ryby z wody.

• Nie sędzę - zaczęła ostrożnie - że to wystarczający powód, by pieprzyć sobie teraz życie. - Mewy utworzyły trzepocący koc, wznoszący się i opadający w nieświadomej imitacji morza. Za nimi na wietrze halsował kecz o białym żaglu. - Widzę - czuję, jaki jesteś nieszczęśliwy. Tie też to widzi. Jak myślisz, dlaczego próbowała zachowywać się w stosunku do mnie przyjaźnie?

• Daj sobie z nią spokój. To tylko jedna z jej gier.

• Jest zazdrosna o mnie tak samo, jak była o Maggie. Nie podobają się jej nasze stosunki. Nie ufa im.

• Jasne. Nie ufa temu, czego nie rozumie. A kto ufa?

• Co to ma znaczyć? Popatrzyl na nią.

• Po prostu zostaw Tie mnie.

- Myślisz, że jesteś taki sprytny - rzuciła ze złością - ale nie sędzę, żebyś wiedział, kto kogo kontroluje.

Spojrzał na nią wściekle.

• Kiedy chodzi o cholerne baby, wiem, co jest-co.

• Poważnie?

Był pełen chłopięcej buńczuczności, która jedynie ją zdenerwowała. Dlaczego nie potrafi dostrzec czegoś, co ma przed nosem?

- Chryste, czasami sprawiasz, że czuję się jak głupek - powiedział.

- Twoja siła woli onieśmiela mnie, hipnotyzuje. - Przeciągnął dłońmi po udach. - Kiedy myślę o kobietach, z którymi byłem... i o innych, którymi nawet się nie przejmowałem. To nieskończony szereg, jak dla mnie.

- Chris...

- Walczyliśmy o ciebie, Maggie i ja. My... Chyba dlatego, że odbieraliśmy cię inaczej. - Jego oczy spoglądały jakby przez nią, zapatrzone w przeszłość.

- Ona widziała, co się dzieje, nawet gdy ty tego nie zauważałaś. Nie, nie przerywaj. Mam za mało odwagi, by zaczynać jeszcze raz. - Odetchnął głęboko, drżąc. - Wiedziałem, że nie masz pojęcia, a ja zacząłem sobie uświadamiać, że poniekąd to mnie pociąga.

Coraz bardziej chciałem przebywać w twoim towarzystwie. Taki był początek, naprawdę, i to mnie cholernie wkurzało. Rzecz w tym, że ty nie reagowałaś jak reszta. - Machnął ręką. - Jak wszystkie kobiety. One pożądamy władzy - jak twardego fiuta, wielkiego, jak to tylko możliwe. Potem porównują go ze wszystkimi innymi: mój jest większy niż twój. Ha!

Jednak przy tobie po raz pierwszy poczułem... po prostu chciałem z tobą być. To mnie przeraża... ponieważ tego nie rozumiem. To znaczy, nie chodzi mi wyłącznie o łóżko. Tylko... wiesz... bycie. - Skoncentrował spojrzenie na pustce między nimi. - Moglibyśmy zrobić to nawet teraz... wiesz... na dole, nad wodą, gdzie nikt...

- Chris, nie... - Położyła rękę na jego ramieniu. - Ja...

- Myślisz, że to, co się przytrafiło Nile'owi, stanie się ze mną, prawda? Widzę to w twoich oczach. Jasne. Ale nie masz racji. Wszystko się kończy, wszyscy odchodzą... jak Joplin, Jon, Hendrix, Jim Morrison. Lecz są inni, jak

Muddy Waters i Chuck Berry, i ci, którzy nadał prąd do przodu i nigdy nie słyszeli o emeryturze czy śmierci; którzy nie wypalają się w wieku trzydziestu trzech lat. xNo cóż, ja jestem jednym z nich. Nie zamierzam umrzeć... Wiem, co się dzieje... Nie jestem potworem...

- Nie. - Przechyliła się, pocałowała go w policzek, przytrzymała jego głowę, pogładziła ją smukłymi palcami, świadomie przedłużając pieszczotę. - Nie - wydyszała. - Nie jesteś potworem. Wiem o tym, Chris. - I nie mogła mówić dalej, jakoś nie mogła mu wyznać: boję się o ciebie, boję się, że Thais - co? Wiedziała, że

on nie był w tym mocny. Mógł oprzeć się zakusom Tie w przeszłości z powodu Jona i obecnie - czy dokładniej, w niedawnej przeszłości - z powodu Maggie. Ale teraz... teraz nikt nie stał między nimi, nawet Nigel, którym, jak się wydawało, zaczynała się nudzić.

Zauważyła, że on patrzy na pasmo jej włosów, które rozwiały się jak żagiel na wietrze i jaśniały w zalewającym niebo świetle słońca.

- Jestem tym, który wychodzi cało - kontynuował. - Przeszedłem przez wszystko... przez wszystkie te cholerne wojny na ulicach w Anglii. Niejeden raz dostawałem po łbie, a i tak następnego dnia wracałem. Rozumiesz, o czym mówię?

Kecz, cienki i prosty jak ostrze świeżo wykutego miecza, mknął na spotkanie horyzontu, gdzie morze nadal było ciemne i otulone resztkami nocy. Daina pomyślała, że wygląda jak mocne i samotne stworzenie sunące skrajem świata.

- Co do łóżka... - zaczęła. - Jesteśmy przyjaciółmi, Chris...
- Przyjaciele mogą z sobą sypiać.
- Nie tam, skąd pochodzę. - Złapała go za brodę, obróciła twarzą ku sobie. - Spójrz na mnie. Łączy nas coś innego... coś odmiennego. A ty... próbujesz zdefiniować to w sposób dla siebie zrozumiały. - Popatrzyła mu w oczy. - Nie tędy droga. Wiesz o tym; czujesz to. Nie musisz mi mówić.

- Nie. Taki sposób jest po prostu mniej przerażający. - Uśmiechnął się do niej. Był to jeden z opatentowanych uśmiechów Chrisa Kerra; uśmiech, od którego topniały serca i wilgotniały krocza na całym świecie. - A ja myślałem, że nauka dobiegła końca. - Lecz natychmiast spoważniał. - O co chodzi?

- Czegoś się dowiedziałam. Do teraz nie było czasu, by o tym porozmawiać i... cóż, powiedzieć prawdę. Nie jestem pewna, co w związku z tym czuję. W jednej chwili miałabym ochotę cię udusić, a w następnej...

- Czy przejdziesz wreszcie do rzeczy?
- Maggie brała heroinę, Chris. Jak do tego doszło?
- Ktokolwiek to był, wszedł i zabił ją, prawda?
- Przestań pieprzyć. Ja wiem.
- Co wiesz?
- Nie okłamuj mnie!

Zobaczyła, że usta mu zadrżały. Zdawało się, że mężczyzna ledwo oddycha.

- Więc mnie obwiniasz, prawda? Tak, to wygodne. Ja jestem tutaj, a ona...
- Nie mów dalej! - ostrzegła.
- Do diabła, czemu nagle stałaś się taką cnotliwą, taką niewinną księżniczką?

Nigdy nie zrobiłaś czegoś, czego byś później żałowała?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - stwierdziła niewzruszenie.
- Nie, kurwa, nie odpowiedziałem!
- W porządku. Darujmy to sobie. - Odwróciła się.

Wiatr gwizdał w zaroślach po drugiej stronie szerokiej betonowej ściany. Na zachodzie niebo było czyste jak nietknięte płótno.

- Nie chcesz wiedzieć - rzekł po pewnym czasie, tak cicho, że musiała prosić go o powtórzenie.

- Nie, jeżeli to ma być kolejne kłamstwo. Jaki jest cel naszego bycia razem, jeżeli mamy się okłamywać? - Zerknęła na niego. - Czy *Pawana* też była kłamstwem? Wiedziała, że go zraniła, i była z tego zadowolona.

- Nie, Dain.

- Zatem nie okłamuj mnie teraz.

Skinął głową.

- W porządku. - Podniósł z sitowia twardą, suchą witkę i postukiwał nią w ziemię między nogami. - Jedną z jej charakterystycznych cech była niewinność... Nie tępa pustota, typowa dla tych wszystkich dziewczyn, które uganiają się za gwiazdami... nic w tym stylu. Lecz... Ja przeszedłem przez to wszystko, a ona nie. Myślałem, że zdołam ochronić ją przed tym całym gównem, wiesz? - Jego oczy miały błagalny wyraz. - Ona... Na tyle, na ile było to możliwe, nie dopuszczałem, by wiedziała cokolwiek o tym, co sam brałem. Nie chciałem jej wodzić na pokuszenie. - Roześmiał się - nagły, chrapliwy dźwięk, na swój sposób nieskończenie, smutny.

- Pewnego dnia przychodzę do domu i znajduję sprzęt na kuchennej ladzie... Uświadomiła ją jedna z jej przyjaciółek... nawet jej nie znam.

- Cisnął witkę, lecz wiatr, który zerwał się nad wodą, odrzucił mu ją w twarz. Złapał ją, rzucił do tyłu. - I w tym było tyle cholernej ironii. Jakaś mała kurewka... - Westchnął. - Wiesz, co pomogło. W jej karierze panował zastój, ja nie miałem czasu... - Przyłożył białe jak śnieg pięści do twarzy. - Ale, och, ona była słaba, Dain... taka słaba. Nie mogła poradzić sobie sama... Potrzebowała mnie i ciebie, i

wielu innych, których, jak sądzę, oboje nie znamy. Nie mogła... nigdy nie chciała tego zrobić. Nie mogła wytrzymać sama...

- Dlaczego jej nie powstrzymałeś, Chris? - zapytała bardzo łagodnie, jednakże oskarżenie zapiekło go dotkliwie.

- Oczywiście, myślałem o tym. Jednak z drugiej strony, popatrz, co ja sam robię. Jak mógłbym? Czułbym się jak ostatni dupek, każąc jej przestać, gdy sam brałem...

- Mogłeś po prostu pozwolić jej odejść, ty samolubny sukinsynu.

- Jak myślisz, co miałem zrobić? - zapytał żałośnie. - Kiedyś ją uderzyłem. Tak, to prawda. Byłem tak cholernie wściekły, widziałem wszystko przez czerwoną mgłę. Zrobiłem to, zanim zdałem sobie sprawę... Chryste! Czułem się tak samo zgnojony jak ona. Ale wiedziałem, że ona będzie brała bez względu na to, co ja powiem... zwłaszcza gdybym jej zakazał, bo wtedy miałaby mi co wytykać, mogłaby napawać się własnym nieszczęściem i nienawidzić siebie tuż po przebudzeniu.

- Jak to się stało, że ja o niczym nie wiedziałam?

- Ponieważ kochała cię zbyt mocno. Zdawała sobie sprawę, że jeśli się dowiesz, będziesz chciała ją powstrzymać, a... Dain, ona nie chciała być powstrzymana.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Ponieważ - odparł, przysuwając do niej twarz - wiem.

Lot powrotny do L.A. - był przepełniony suchym, nieświeżym powietrzem, a towarzyszyło mu uczucie zalegania mikroskopijnych drobin piasku pod powiekami, wrażenie, jakiego człowiek nabywa tylko w samolocie.

Standard pierwszej klasy daleko odbiegał od standardu longhorna 50 Heartbeatsów, którym przyleciała do San Francisco. Obserwując drżące w mgiełce pod srebrzystym skrzydłem międzynarodowe lotnisko Los Angeles, kolory palm nieostre i połyskujące, pomyślała o opasłym odrzutowcu z gitarą - logo zespołu - na błyszczących burtach i na środku pionowego steru na ogonie.

Oczywiście utrzymanie takiego samolotu było potwornie drogie, ale był on przeznaczony nie tylko do skracania zmęczenia i nudy w czasie długich, głównie całonocnych przelotów. Dzięki longhornowi grupa mogła na przykład pracować w Nowym Jorku, zarazem koncertując na północnym wschodzie, w Atlancie na

południu i południowym wschodzie, i San Francisco na zachodzie, ponieważ wszystkim, łącznie z Kerrem, zależało na wyniesieniu się z L.A. na czas tournée.

Daina oparła głowę o fotel i zamknęła oczy. Pomyślała o długiej, wyczerpującej rozmowie z policją. Wydawało jej się to dziwne, że śmierć Nile'a przyćmiła incydent w LoveIsALiquid. Coś takiego nie jest niczym ważnym, o ile nikt nie zostaje zraniony czy zabity; potem znów ruszyły tłumnie żądne sensacji szakale - jak na pogrzebie Maggie. Zadrzała, oczyma wyobraźni zobaczyła uśmiechniętego mężczyznę. Silka oddał go w ręce policji i na tym się skończyło.

A Chris? Chociaż był wstrząśnięty, wkrótce zapomniał o całym zdarzeniu.

- To było do przewidzenia - powiedział jej tamtego ranka w Sausalito.

Otworzyła oczy, wyrzała przez okno. Nie lubiła patrzeć na L.A. z takiej wysokości, gdy samolot jakby ślizgał się po dachach; rzędy płaskich domów przypominały jej ogromne Levittown rozprzestrzeniające się jak choroba, wymazujące zieleń drzew, brązowy kurz dróg. Nie lubiła także startów i lądowań... Poczuła ucisk w uszach i nagle silniki zawyły metalicznie, a potem zaczęły sunąć po płycie lotniska.

Wyczuła, że ktoś nad nią stoi i odwróciła się z wdzięcznością. Uśmiechnęła się do niej elegancka młoda stewardesa o lśniących brązowych włosach i błyszczących różowych ustach.

- Proszę przygotować się do wyjścia, panno Whitney, podkołujemy do terminalu pomocniczego, gdzie pani ludzie zorganizowali konferencję prasową.

Bagaż zostanie dostarczony bezpośrednio do samochodu. - Uśmiechnęła się ponownie. - Dziękuję, że zdecydowała się pani skorzystać z usług naszych linii.

Gdy samolot znieruchomiał, Daina była jedyną wysiadającą osobą. Wiedziała, że maszyna za chwilę zawróci do głównego terminala.

Beryl, imponująca w zielonej szyfonowej sukni o rozmiarze, jaki tylko ona mogła nosić z wdziękiem, złapała Dainę za rękę.

- Tak się cieszymy, że wyraziłaś zgodę na spotkanie z prasą - powiedziała wylewnie. - Szczerze, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, gdy do ciebie dzwoniłam. - Pociągnęła Dainę betonowym korytarzem, w którym tłoczył się personel lotniska i umundurowani policjanci. - Jak się domyślasz, pierwsze doniesienia były bardzo ogólnikowe. - Spojrzała aktorce w twarz. - To musiało być straszne.

Tak, pomyślała Daina. To było straszne, zgoda, pod wieloma względami,

których nie możesz się domyślać.

- To może wydać się nieco upiorne - kontynuowała Beryl - ale kiedy o tym pomyśleć, tragedie zdarzają się wokół nas na co dzień. I jeżeli zastanowić się głębiej, w taki czy inny sposób wszyscy na nich żerujemy. Dlaczego nie? To naturalna ludzka cecha. Ostatecznie nie jesteśmy aniołami. - Ukazał się koniec tunelu, a za nim oślepiające światła. - No i jesteśmy. - Agentka poprowadziła Dainę do pokoju prasowego, gdzie natychmiast zaczęły trzaskać aparaty, uwieczniając ją co ułamek sekundy, i zaszumiały kamery telewizyjne, a sprawozdawcy, przybierając strokane miny, wygłaszali ściszone komentarze.

- Myślałam o napisaniu gotowego tekstu - wyszeptała Beryl. - Lecz Rubens sprzeciwił się, twierdził, że będziesz wiedziała, co powiedzieć.

Prawdę mówiąc, Daina nie miała zielonego pojęcia, co powiedzieć, i wchodząc po prowizorycznych stopniach na podium miała pustkę w głowie.

Jednak gdy tylko hałas ucichł nieco, od razu wiedziała, że wszystko będzie w porządku. Zobaczyła Lornę Dieter z KNXT, w oczach komentatorki widniało coś, czego nigdy wcześniej nie zauważyła. A kiedy przenosiła spojrzenie z jednego sprawozdawcy na drugiego, dostrzegała to samo, powtórzone, odbite, narastające, póki nie poczuła, jak ogarnia ją dziwne wrażenie. Dobięła ją słyszalna tylko dla niej melodia. I tekst. I poczuła przenikającą ją moc, gdy umysł wyśpiewywał: „Wszystkie oczy, które zahipnotyzowałaś /Tańczą/W rytm amerykańskiego serca”. Wiedziała, co powinna rzec i dlaczego musi to zrobić. Pomyślała o Babie leżącym w kałuży własnej krwi, gdy obojętne koty trzymały straż w korytarzu za drzwiami; pomyślała o Meyerze z twarzą przyciśniętą do kolczastego drutu w obozie śmierci, marzącym o dniu, gdy będzie wolny; i pomyślała o lochu, zatopionym w cuchnących wnętrznościach ziemi, głębiej, niż kiedykolwiek chciała zejść. Zaczęła mówić.

- Kiedy byłam młoda, nauczyłam się cenić ludzkie życie. Nie mogę twierdzić, że znałam Nile'a Valentine'a dobrze czy od dawna. Prawdę mówiąc, Chris Kerr przedstawił mi go w ten weekend. Ale wszyscy wiedzą, do jakiego stopnia można poznać kogoś w czasie całonocnego lotu z jednego miejsca

przeznaczenia do drugiego. Nile Valentine powiedział mi rzeczy, których być może nie zdradził nikomu innemu.

Wszyscy znaliście go jako muzyka obdarzonego niezwykłym talentem i

nienasyconym apetytem na życie, który w końcu go zniszczył.

Lecz ja poznałam go od innej strony, którą, jak sądzę, próbował ukryć przed wszystkimi. To bardzo ludzka strona i jej brakuje mi najbardziej.

- Panno Whitney - zawołał ktoś z zebranych - czy nie jest prawdą, że Nile Valentine umarł z przedawkowania?

- Myślę - zaczęła z rozwąga Daina - że poznacie odpowiedź, gdy zostanie opublikowany raport inspektora medycznego San Francisco.

- Jednak czy nie jest prawdą - upierał się ten sam głos - że członkowie grupy Heartbeats są poważnie uzależnieni?

- Wszyscy czytamy te same gazety - rzuciła niedbale aktorka. Uśmiechnęła się. - Z wyjątkiem tych, którzy są uzależnieni od TV. - Rozległ się gromki śmiech.

- A jak jest w pani przypadku? Jakie narkotyki pani bierze?

Daina pochyliła się z szerokim uśmiechem.

- Penicylinę, gdy lekarz mi zaleci, poza tym witaminy i żelazo. - Kolejny wybuch śmiechu.

- Panno Whitney, skoro w studiu panuje zmowa milczenia, może zechce pani skomentować postępy pracy nad *Hether Duell* - To był już inny głos.

- Film jest marzeniem aktorki. Praca z Marionem Clarkiem jest jak pobyt w niebie. - Dalszy śmiech. - Ale poważnie; dostajecie niewiele wiadomości na temat codziennych postępów wyłącznie dlatego, iż praca nad filmem przebiega w sposób tak idealny, że nikt nie chce tego zapeszyć. - Zamilkła na chwilę. - Wszyscy wiecie, w jakim stopniu kierownictwo studia polega na tabliczkach Ouija... - śmiech - albo na lalkach voodoo. - Uśmiechnęła się, gdy wszyscy zareagowali jeszcze większym wybuchem wesołości.

W czasie gdy była w San Francisco, naprzeciwko tablicy reklamującej nowy film Redforda pojawiła się inna. Beryl jechała Sunset tak wolno, jakby chciała dać Dainie jak najwięcej czasu na jej obejrzenie.,

Nie była to typowa reklama. Przedstawiała dwie kolosalne głowy. Po lewej widniała piękna kobieta z długimi włosami barwy miodu i szeroko otwartymi fiołkowymi oczyma. Jej różowe usta były lekko rozchylone, jak gdyby miała zamiar szepnąć kochankowi jakieś czułe słówko. Z jej twarzy promieniowała niewinność.

Zarys jej szyi stapał się z twarzą po prawej. Ta kobieta miała zaciśnięte usta i

ponure oblicze. Jej oczy zdawały się przeszywać hollywoodzką mgiełkę, jak gdyby mogła widzieć dalej i lepiej niż ktokolwiek inny. Emanowała z niej determinacja i silna wola.

Obie kobiety były Dainą. Czy, dokładniej, Heather Duell.

- Mój Boże! - zawołała aktorka. - Czyj to pomysł?

Beryl ściągnęła brwi, trąbiąc na młodą blondynkę w błyszczących szortach, jadącą na wrotkach przez Sunset.

- Co to ma do rzeczy? Nie podoba ci się?
- Jest boskie! - Daina wystawiła głowę przez okno. - Nie przypuszczałam, że

ktos w studiu ma tyle wyobraźni.

• Bo nie ma. Rubens zaangażował do tego Sama Emsweilera. Jest niezależnym gościem... projektuje warte milion dolarów reklamy dla prasy.

- Dodała gazu, przejeżdżając przez skrzyżowanie na ułamek sekundy przed zapaleniem się czerwonego światła. - Jest geniuszem, który wydobył Rubensa z kłopotów przez spektakularne wylansowanie *Moby Dicka*.

- Pamiętam doskonale. To było niewiarygodne.

Agentka pokiwała głową.

• Ale niekonwencjonalne. Rubens musiał przyprzeć do muru Beillmanna, żeby ten upoważnił studio do podniesienia udziału. Stają się bardzo nerwowi, gdy wszystko nie idzie jak po maśle.

- Co zrobił?

Beryl nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Powiedział Beillmannowi, że chyba pomylił dwie pierwsze szpule filmu. Oczywiście Beillmann nie uwierzył mu, więc zadzwonił do Mariona, a Marion, który naprawdę ma go dość, potwierdził, że to najprawdziwsza prawda.

Beillmann zbiegał jak płótno, ponieważ według kontraktu Rubensa ze studiem to oni są odpowiedzialni za odkręcanie tego typu rzeczy. - Daina zastanowiła się, kto - Rubens czy Schulyer - wymyślił taką klauzulę. - W każdym razie tego popołudnia wszystko się wyklarowało. Nie chcieliśmy ci mówić, bo to by zepsuło niespodziankę.

Beryl skręciła do Bel Air i zwolniła.

- Rubens miał rację. Na konferencji odwaliłaś piekielnie dobrą robotę.

- W jej głosie brzmiał taki szacunek, że aktorka odwróciła się, by na nią

popatrzeć. Agentka nigdy nie wygrałaby żadnego konkursu piękności, lecz miała inne zalety, dużo cenniejsze od doskonałej twarzy. Przynajmniej dla mnie, pomyślała Daina.

Roześmiała się.

- Nie wierzyłaś we mnie, Beryl?
- W tym mieście nie ma miejsca na wiarę.

Daina z podziwem zwróciła uwagę, jak zręcznie Beryl wymknęła się z pułapki. Gdyby odpowiedziała twierdząco, opatrzyłaby się etykietką kłamczyni; przeczenie zabrzmiałoby ofensywnie.

- Jednak znam Rubensa - kontynuowała - i ufam jego osądom.
- Czy nigdy się nie pomylił?
- Tylko w przypadku swojej żony - odparła agentka krótko, skręcając na długi podjazd.

Maria otworzyła drzwi i aktorka dała jej kluczyki do bagażnika.

- Wypierz wszystkie ubrania, Mario, albo oddaj je do czyszczenia.
- Rubens mówił ci o Dorym Spenglerze? - zapytała Beryl, gdy szły przez hol w stronę salonu. Daina skinęła głową i Beryl westchnęła. - Wiesz, nam wszystkim byłoby dużo łatwiej, gdybyś pozwoliła Monty'emu odejść. Wtedy moglibyśmy...

- Omówiłam to z Rubensem. - Głos Dainy był ostry jak nóż. - I nie mam zamiaru powtarzać tego z tobą.

Beryl cofnęła się nieco.

- Chodzi mi tylko o to, że stawiasz nas w raczej niezręcznym położeniu, wprowadzając Dory'ego, a jednocześnie płacąc Monty'emu.

• Jak zrozumiałam, radzenie sobie z takimi sprawami jest jedną z rzeczy, za które ci płacą - odparowała aktorka. Czekwała na reakcję agentki. Gdy Beryl nie odcięła się, dodała: - Inne rozwiązanie nie jest możliwe.

- Mogłabym go odprawić, skoro ty nie... Daina machnęła ręką.

- Dlaczego? Daj mi parę minut na przebranie, potem przyprowadź Spenglera na basen. Umieram z tęsknoty za wodą, a tam też możemy porozmawiać. I, Beryl, kiedy Maria wróci do domu, poproś ją, by przyrządziła nam lunch. Coś zimnego i lekkiego, okay?

Dory Spengler był młodszy, niż się spodziewała. Był opalony na ciemny brąz;

głęboka opalenizna za sześć czy siedem lat miała spowodować, że jego twarz pokryje się siecią zmarszczek. Już miał drobne kurze łapki przy zewnętrznych kącikach jasnobrązowych oczu. Wypracował sobie szczególny sposób patrzenia na każdego, zimny i zrównoważony, który nieomal sprawiał, że człowiek zapominał o pracy, jaką wkładał w jego osiągnięcie. W mieście cieszył się reputacją doskonałego człowieka interesów; dopóki było się na topie, każdy był jego przyjacielem, ale kiedy wypadało się z obiegu, nagle okazywało się, że Spengler ma zastraszająco krótką pamięć.

Był ubrany w jasny płócienny garnitur i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Nosił cieniutki złoty łańcuszek, na wół ukryty we włosach na piersiach.

- Daino Whitney - przedstawiła agentka - to Dory Spengler. Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Whitney. - Trzymał ręce za plecami. - Jestem pani wielbicielem. Nie mogę pojąć, dlaczego nie poznaliśmy się wcześniej. Niestety, nie było mnie w mieście, gdy Beryl wydawała przyjęcie.

Daina milczała, myśląc o Montym.

Oczy Beryl śmigały z jednej twarzy na drugą. Chrząknęła, czując się nieswojo w takiej ciszy.

- Przepraszam, Dory...

Mężczyzna ruchem ręki nakazał jej milczenie. Otwarcie wpatrywał się w Dainę.

- Rozumiem, że sytuacja jest nieco, hmm, wyjątkowa. Zaakceptowanie i poznanie mnie być może zajmie pannie Whitney trochę czasu. - Jego ręka wzniosła się, opadła, znów skryła za plecami. - To jak najbardziej naturalne. - Podeszedł do brzegu basenu. - Możemy porozmawiać, gdy pani będzie pływać. Czy tak będzie dobrze?

Aktorka obrzuciła go szacującym spojrzeniem, a potem dwoma krokami pokonała dzielącą ją od basenu odległość i skoczyła do wody. Spengler odezwał się dopiero po jej szóstym skoku.

Daina podniosła głowę, potrząsnęła nią z boku na bok, aby pozbyć się wody z uszu.

- Co pan powiedział?

Agent przykucnął na brzegu basenu.

- Powiedziałem, że właśnie wróciłem z południowego Pacyfiku. Byłem na

spotkaniu z Brando.

Daina oparła łokcie na skraju basenu.

• Z Brando? - Odgarnęła włosy z twarzy. Krople wody stoczyły się po jej złotych ramionach. - Myślałam, że on nie ma agenta.

• Bo nie ma. W każdym razie nie oficjalnie. Widzi pani, nie ma ku temu prawdziwej potrzeby. Jeżdżę tam tylko wtedy, gdy jest do omówienia coś specjalnego.

Beryl nie mogła się powstrzymać.

• Dory pokazał mu to, co na razie mamy z *Heather Duell*.

• Co? Nawet ja tego nie widziałam.

• Wiem. - Agentka uśmiechnęła się. - I gdyby w studio się dowiedzieli, rozdarliby nas na strzępy. Oni też tego nie widzieli.

- Zabrałem również kopię *Regina Red* - dodał Spengler.

Daina poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

• Po co? Nie, niech pan zaczeka. - Wydzwignęła się z wody i usiadła obok mężczyzny. - Okay, teraz chcę wszystko wiedzieć. Co o tym myśli?

• *Regina* nie przypadła mu do gustu. Ale... uważa, że była pani wspaniała.

- Oparł ręce na kolanach, by łatwiej zachować równowagę. - Nawiasem mówiąc, muszę przyznać, że według mnie *Heather Duell* to sensacja – sądząc z tego, co widzieliśmy.

• Tak powiedział Brando?

• No cóż, on jest trochę bardziej... ekscentryczny. Film mu się spodobał.

• Wspaniale, lecz co z tego?

Beryl przysunęła fotel i opadła w jego ramiona.

• Dory przygotowuje dla Rubensa pewien projekt. Jeśli tylko dojdzie do skutku, na pewno okaże się bombą. Mam rację, Dory?

• Tak. - Oczy agenta pojaśniały. - Mamy scenariusz od Roberta Towne'a, na punkcie którego Coppola dostał fioła. Prawdę mówiąc, tak wielkiego, że zgodził się reżyserować i zrobić film w koprodukcji z Rubensem. Jednak był pewien problem.

Wie pani, jaki jest Francis. Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik, nim zacznie coś robić. Postawił dwa warunki. Brando w głównej roli męskiej.

Znam się z Brando od lat, zawiozłem mu więc scenariusz. Spodobał mu się, bardzo... Chciał co prawda pewnych zmian... - filozoficznie wzruszył ramionami - ale

on już taki jest. To będzie jego pierwsza prawdziwa rola główna od czasu *Ojca chrzestnego*. Jest na ekranie przez dziewięć dziesiątych filmu.

Daina kątem oka zobaczyła Marię wychodzącą z domu z olbrzymią tacą kanapek i szklaneczkami pina colada. Zmrużyła oczy w słońcu.

- Powiedział pan, że Coppola postawił warunki. Jeden to Brando...
- A drugi - rzekła Beryl - ty.

- Ty! Emouleur! - zawołał Fessi. - Przestań gadać i zabierz stąd tego faceta.

Zaczyna zasmradzać pokój.

Heather nadal trzymała Jamesa w ramionach. Emouleur przeszedł przez salon, poklepał ją po ramieniu.

- Przykro mi, madam. Mam rozkazy.

Kobieta nie poruszyła się.

- Madam - zaczął z większym naciskiem attache - pani mąż nie żyje. To bezcelowe. Musi pani pozwolić go zabrać. - Jego palce przesunęły się po jej ręce.

• Zabierz go stąd w diabły! - krzyknął Fessi. Emouleur zaczął podważać jej rękę.

- Wynoś się! - warknęła Heather.
- Madam, proszę...
- Powiedziałam, wynocha! - Przytuliła Jamesa do siebie.

Na twarzy Emouleura odmalowało się przerażenie. Szarpnął Heather, odrywając ją od ciała męża. Podniosła się pozornie bez sprzeciwu.

- Już dobrze...

Zawirowała, trzasnęła attache w twarz. Ten podniósł rękę, zatoczył się w tył.

- Dość! - wrzasnął Fessi. - Myślałem, że jesteś na tyle mężczyzną, by sobie z tym poradzić. Teraz sam muszę się tym zająć. - Kąciki jego grubych ust skrzywiły się w uśmiešku. - Czekałem na coś takiego. - Zwrócił się do Heather. - Dosłownie czekałem, żebyś zrobiła coś takiego...

Ta uderzyła na oślep, trafiając pięścią w bok jego szyi. Terrorysta zachwiał się, zaskoczony, upadł na kolana. Zamrugał, przełknął ślinę. Głowa kołysała mu się z boku na bok. Wytarł oczy,

- On nie jest kawałkiem mięsa - powiedziała, patrząc na niego z góry - by zostać pożartym przez takich jak ty.

Fessi, nie podnosząc głowy, poderwał pistolet maszynowy. Heather zobaczyła wycelowaną w siebie lufę. Nie poruszyła się.

El-Kalaam znalazł się między nimi jednym skokiem. Czubek jego buta uderzył w AKM, kule nieszkodliwie trafiły w ścianę. Zajęczały kawałki tynku i pył zawisł w powietrzu.

- Nie zrobisz jej tego, co zrobiłeś tamtemu - rzekł zimno. - Wybij to sobie z głowy. Jej nie dostaniesz. Mamy tu interes do załatwienia. To wszystko, o czym masz myśleć. - Zmierzyli się wzrokiem. El-Kalaam kopnął Fessiego w zębra. - Teraz wstawaj i sprawdź, czy Haddam wykonał swoją robotę. Powiedz mi, jak Izraelczycy zabiorą trupa Bocka.

Mężczyzna wstał. Nie patrzył na dowódcę, lecz na Heather.

- Powinieneś ją zabić - warknął. - Wszyscy poczulibyśmy się lepiej. - Ruszył do drzwi, zamknął je za sobą.

Przywódca terrorystów zbliżył się do Heather, zajrzał jej w oczy.

- Może Fessi ma rację. Jesteś amatorką, ale niebezpieczną amatorką. Może faktycznie powinienem cię zabić.

- Śmiało - odparła kobieta. - Zastrzel mnie. To raz i na zawsze pokaże wszystkim, czym jesteś. - Splunęła mu pod nogi.

- Fessi zastrzelił jej mężczyznę - wtrąciła Rita. - Czego innego się po niej spodziewasz?

El-Kalaam zdjął dłoń z rękojeści automatycznej czterdziestki piątki. - Ja wiem, czym ty jesteś - powiedział. - Lecz ty nie wiesz o mnie niczego.

- Wiem dość. Oboje mamy podobne doświadczenia. Oboje jesteśmy myśliwymi, czyż nie? Ty co prawda poszedłeś swoją drogą, a ja swoją, jednak nadal jesteś ciekaw, co nas łączy.^x

- Nas nic nie łączy - zaprzeczył z niejakim żarem El-Kalaam.

Heather spojrzała na niego z nikłym uśmiechem.

- Miałeś rację co do mojego męża. Obaj byliście zawodowcami. Dwie strony tego samego medalu. Ciemność i światło; różni tak, jak tylko mogą różnić się dwaj mężczyźni. Ale on ciebie znał, El-Kalaamie. Wiedział, czym jesteś. Wiedział, że trzeba cię powstrzymać.

- No cóż, teraz nie ma na to szansy, prawda? Odrzucił ją, gdy ustawił się

przed pistoletem maszynowym Fessiego. Jakakolwiek by ona była, już jej nie ma. On odszedł, a ty jesteś tutaj.

- Tak - rzekła Heather. - Jestem tutaj.

• Nie chcę cię martwić, Daino - powiedziała lekarka. Była potężną kobietą zbudowaną jak Brigit.Nilsson i prawdopodobnie obdarzoną równie dobrym głosem. - Pracujesz zbyt wiele, zbyt szybko. - Spojrzała na aktorkę znad krawędzi okularów o połówkach szkiele. Na sweter z angory i tweedową spódnicę miała narzucony obszerny kitel. Imigrantka z Nowego Jorku, nadal buntowała się przeciwko swemu otoczeniu, mimo że mieszkała tu ponad sześć lat. Musi tracić litry potu, przechodząc z klimatyzowanego gabinetu do klimatyzowanego merca, pomyślała Daina. Nie była w nastroju do wysłuchiwania kazań, a bez wątpienia Marjorie miała zamiar takowe wygłosić.

• Wiesz - podjęła powoli lekarka - byłoby najlepiej, gdybyś spędziła parę tygodni na Karaibach. Od zaraz. - Bawiła się złotym piórem firmy Mark Cross, obracając je w palcach jak tamburmajor batutę. - Widywałam takie przypadki wcześniej.

Daina jęknęła.

- Wiem to wszystko.
- Więc w czym problem?
- Sama dam sobie radę.

Marjorie pokiwała głową, przeciągnęła ręką po starannie ufarbowanych kasztanowych włosach.

• Wszyscy tak myślą. Żaden problem. Tymczasem ktoś skrada się z młotkiem za ich plecami, i gdy patrzą w inną stronę, trach!

• Problem w tym - powiedziała aktorka, pochylając się na krześle - że mam film do skończenia, a potem czeka mnie kolejny. Pora jest nieodpowiednia.

Marjorie uśmiechnęła się rozbrajająco.

• Czy wtedy, gdy zemdlejesz na planie i będę musiała umieścić cię w Cedars of Lebanon, też powiesz „Pora jest nieodpowiednia”?

- Prawdopodobnie wtedy nic nie powiem.

Lekarka zaczęła postukiwać piórem o bibularz stojący na środku krytego zielonym rypsem biurka. - Słuchaj, całe te przemyślne przekomarzania są bardzo

ładne, ale fakt...

- O Chryste!
- Fakt... - pochyliła się, wymawiając słowa z naciskiem - że się zaniedbujesz.

Wiesz, że ludzkie ciało jest cudownym mechanizmem, posiada prawie nieograniczone możliwości adaptacji - i może znieść od cholery ciągów. Jednak nie bez następstw. Niektóre objawiają się po latach, inne - w zależności od stopnia przeforsowania organizmu - stają się chroniczne. - Pióro przestało hałasować. Marjorie zdjęła okulary i ułożyła je starannie obok złotego pióra. Cyfrowy zegar za jej plecami, tuż poniżej małego, sygnowanego obrazu Daliego, odmierzał sekundy i minuty. - Czy rozumiesz implikacje tego, co mówię?

- Nagle jej głos złagodniał. - Po prostu nie angażuj się tak, daj sobie trochę spokoju, to wszystko. Spróbuj więcej odpoczywać. Stężenie mikroelementów w twoim organizmie jest dalekie od doskonałości i jesteś na progu anemii.

- Biorę dużo żelaza - wtrąciła Daina, wspominając konferencję prasową.
- Uzupełnienia są potrzebne i dobre. Lecz to wszystko, czym są.

Uzupełnieniami. Potrzebujesz paru tygodni na słońcu i nad wodą, i co najmniej ośmiu godzin snu na dobę przez sześć miesięcy.

Daina podniosła się z krzesła.

- Gdy tylko skończymy film...
- Ja bym nie czekała tak długo. Poważnie. - Zaczęła gryzmolić coś na

recepcie.

- Co to?
- Tylko nieco wodzianu chlorałowego. To łagodny środek uspokajający...
- Wiem, co to jest, i nie chcę tego! - rzuciła zapalczywie Daina.
- Coś musi ci pomóc przejść przez...
- Ja pomogę sobie przeżyć następnych sześć tygodni, pani doktor! Wielkie

dzięki.

W poczekalni, wśród barwnego szeregu nerek z Beverly Hills zarzuconych na szczupłe, opalone ramiona, stał osamotniony Monty.

- Daina! - zawołał z ożywieniem. - Nic ci nie jest? Próbowałem skontaktować się z tobą, gdy tylko dowiedziałem się o tej konferencji prasowej.

- Napięcie poryło mu zniszczoną twarz i spod opalenizny wyzierała bladość.

- Dlaczego mnie o niej nie poinformowano? Wiem, jak prasa na ciebie naciska, i że byłaś roztrzęsiona - przecież ten człowiek praktycznie umarł ci na kolanach. - Ruszył za nią do drzwi. - Ale powinnaś mi powiedzieć, dokąd jedziesz, wiesz. Sprzeciwiłbym się temu. Nigdy nie lubiłem tych ludzi związanych z muzyką...

- Monty...
- W porządku! Wiem, że nie cierpisz, gdy tak mówię. Zatem okay.

- Podniósł ręce. - Czasami o tym zapominam. W każdym razie... – wzruszył ramionami - nie widziałem cię tak dawno, że prawie zapomniałem, co lubisz, a czego nie. - Nagle odwrócił się w jej stronę. - Nie podoba mi się to, co się dzieje w studiu. Najpierw Beillmann jest zbyt zajęty, żeby odpowiadać na moje telefony. Potem, tego ranka, gdy próbowałem zobaczyć się z tobą, powiadomiono mnie, że moje nazwisko zostało skreślone z listy. Daina, co się dzieje?

Ujęła go pod ramię, wyprowadziła za drzwi. Spojrzała w podkrążone oczy.

- Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłam, Monty... \
- Ach, daj sobie spokój! - Podniósł rękę, opuścił powoli. - Kto o to dba między przyjaciółmi. Powiedz mi lepiej, co stwierdziła lekarka?

Zatrzymali się na chodniku. Po drugiej stronie spieczonego słońcem Beverly Drive promienie odbijały się od szklanej fasady The Breadwinner, w którego wnętrzu smukłe ślicznotki w norkach ustawiały się w kolejce z tacami, by otrzymać kopiaiste porcje egzotycznej sałatki i porozmawiać o porannych zakupach u Neiman-Marcusa.

Aktorka uśmiechnęła się do jego pomarszczonej twarzy.

- Czuję się doskonale, Monty, naprawdę. Marion wyciska z nas siódme poty, to wszystko.

- A Beryl? Ona też cię goni?
- Wystarczająco.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Ktoś powinien mnie o tym powiadomić.
- Mówiłam Rubensowi, że...
- Do diabła z Rubensem! Ty powinnaś mi powiedzieć.

Odwróciła się w inną stronę, ale on przesunął się tak, by nadal widzieć jej twarz. Podniósł jej brodę.

- Co się z tobą stało, Daino?

Milczała.

Podniosła wzrok, ujrzała jakiś dziwny rodzaj wyzwania w jego oczach, który nie całkiem potrafiła rozszyfrować. Jednakże przepełnił jej serce lodem, a umysł pogardą do samej siebie. Dlaczego?

- Chcę usłyszeć to z twoich ust - rzekł agent. Jego zarumieniona twarz zdawała się promieniować energią i Daina pomyślała: Rubens się myli; wszyscy się mylą. On nie jest stary; nie jest zmęczony. Jest taki sam jak wtedy, gdy zaczepił mnie na chodniku pięć lat temu. - Chcę usłyszeć, jak ty mówisz to, co wszyscy inni od tygodnia szepcą mi do ucha.

- Co? - Lecz już czuła skurcz w żołądku i głos jej stracił na sile.

- Że zostałem wykluczony, a na moim miejscu znalazł się Dory Spengler.

I teraz zrozumiała wymowę jego spojrzenia. Zobaczyła zdradę w jego oczach. Jej zdradę. O Boże, pomyślała. Nie. Właśnie przeciw temu walczyłam.

- Monty, to wcale nie tak.

- A zatem on mnie zastąpił! - W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta {riumfu, chociaż nie taka, jaką aktorka pragnęłaby usłyszeć.

- „Zrobiła krok w jego stronę, wyciągnęła rękę, by złapać go pod ramię.

- Nie pozwoliłabym, by ktokolwiek wszedł między...

Jednak twarz Monty'ego już pokryła się krwistymi plamami. Próbował krzyknąć na nią i jednocześnie złapał się za piersi.

- Daina, ty...! Ty...!

Nigdy nie dowiedziała się, co chciał powiedzieć.

W ambulansie, jadącym przez Little Santa Monica w kierunku Beverly Bouleyard i centrum medycznego Cedars-Sinai, Marjorie dotknęła szarej skóry na piersiach Monty'ego. Słuchała przez stetoskop. Podniosła rękę, skinęła do jadącego z nimi pomocnika. Ten zdjął plastikową maskę tlenową z nieruchomej twarzy Monty'ego.

- Serce przestało pracować - powiedziała do Dainy. Zaszczekał niepotrzebny stetoskop. - Już nic nie możemy dla niego zrobić.

Przez pewien czas nie robiła absolutnie nic. Straciła wszelki uczuciowy kontakt ze światem. Taki stan mógł trwać przez parę dni albo przez czas nieskończenie dłuższy. Nie wiedziała tego na pewno, była tylko świadoma, że nie chodzi do szkoły, a do kina Dale, dzień po dniu na ten sam film. Oglądanie powtórek uznała za krzepiące, stały się one jedyną pewną rzeczą w jej życiu.

Po śmierci Baby wróciła do Novy, by skontaktować się z ochroną - Roosterem i wielkim Tonym, tym, który miał mnóstwo zdjęć swoich krewnych (ich imiona szybko wylatywały jej z głowy, jak gdyby byli wymyślonymi uczestnikami zabawy, których już nie potrzebowała), żeby zemścili się na Aurelio Ocasio.

Jednakże teraz, chociaż może nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, nienawidziła ich tak bardzo, jak samego Ocasia, za to, że ich nie było, kiedy ona - i Baba - potrzebowali ich najbardziej. Gdyby kochali Babę i dzięki niemu ją, to zamiast niego oni leżeliby w kostnicy.

Tylko ja cię kochałam, Baba, pomyślała. I przestała widzieć aktorów na ekranie. Łzy spłynęły jej po policzkach, zaczęła szlochać niepoohamowanie.

W końcu zmiana repertuaru zmusiła ją do zrezygnowania z codziennych seansów. Nie mogła znieść myśli, że jakaś inna sekwencja zostanie nałożona na namiastkę porządku, jaki ona, w swej desperacji i gniewie, ustanowiła w maleńkim, mrocznym wszechświecie sali kinowej.

Na zewnątrz, na hałaśliwej ulicy, stała nieruchoma i niezdecydowana, dopóki nie minęła jej kobieta o czekoladowej skórze. Nagle i irracjonalnie poczuła się tak, jakby walnęła kopertówką w czarną twarz. To wtedy ją olśniło, dokąd musi pójść.

Naprzeciwko restauracji w Harlemie, do której Baba zabrał ją w tamtą pierwszą noc, w tym samym ponurym kwartale, w którym oglądali taniec duchów, mieścił się sklep mojo prowadzony przez kobietę czarną jak smoła, z szerokimi biodrami i olbrzymimi piersiami, o pyzaty, lśniących policzkach i oczach, które zdawały się sypać iskrami, ilekroć schwytały światło.

Kiedy Daina pojawiła się na miejscu, sklep był jeszcze zamknięty i musiała czekać na chodniku. Patrzyła w zakurzone, przysłonięte okno wystawowe obwieszane pierzastymi fetyszami i lalkami voodoo o zawziętych obliczach. Wszystkie miały etykietyki „Madé in Haiti”, co miało potwierdzać ich autentyczność.

Podskoczyła lekko, gdy na czarnym materiale wyściełającym okienną gablotę zbudził się do życia jakiś cień. Spojrzała na nią para żółtozielonych oczu i, gdy padła

w nie słońce, Daina rozpoznała wąskie kocie źrenice. Kot otarł się łebkiem o szybę i po chwili zniknął w zakurzonej wnętrze sklepu. Cześć kotku, szepnęła bezgłośnie.

- Czekasz na mnie, dziecko?

Daina drgnęła. Odwróciła się, zobaczyła tłustą właścicielkę sklepu. Jej ciemna skóra lśniła podobnymi diamentom kropelkami potu. Miała melodyjny, ciepły głos, który teraz Daina kojarzyła z czarnymi z wysp. Akcent był obcy, a jednak znajomy.

Grubaska zabręczczała, dosłownie: szerokie i wąskie bransolety na jej potężnej ręce zderzyły się i zagęęgały jak gęsi, gdy szukała czegoś w torebce. Wyjęła klucze na srebrnym kółku, wsunęła dwa, jeden za drugim, w zamki frontowych drzwi sklepu.

- Wejdz, dziecko - zaprosiła. - Taka ulica to nie miejsce dla ciebie.

Daina weszła ostrożnie do sklepu, natychmiast krzywiąc nos, gdy zaatakowały go złożone zapachy. Coś musnęło jej nogi. Spojrzała w dół. Kot wił się między jej stopami.

- Przychodziłaś tutaj z wielkim mężczyzną, prawda, dziecko?

- Z Babą. - Imię z ledwością przeszło jej przez gardło.

- Aha, Baba. Nigdy nie wiedziałam, jak się nazywa. - Kobieta postawiła torbę na ladzie, zdjęła obszerny płaszcz. - Nie widuję go ostatnio. - Wiesząc płaszcz odwróciła głowę i popatrzyła na Dainę. - Przyszłaś po napor miłosny, dziecko? Pokłóciliście się albo...

- On nie żyje.

- Nie żyje? - Oczy tłustej kobiety zrobiły się okrągłe. - Panie święty, dziecko, jest mi okropnie przykro. - Gdy weszła za ladę, pochyliła się nieco, zaglądając Dainie w twarz. - No cóż, powiedz Lise-Marie, co można dla ciebie zrobić.

- Chcę coś potężnego - wyszeptwała Daina. - Bardzo potężnego. Czar... czy coś takiego.

Lise-Marie pokiwała głową. Oparła ręce na ladzie.

- Mamy potężne czary, jak najbardziej, dziecko. Wszelkie rodzaje. Daina popatrzyła na nią.

- Chcę taki, który zabija.

Przez chwilę w sklepie panowała cisza. Czarny kot przysiadł między Dainą a Lise-Marie, liżąc pracowicie przednią łapkę.

- Panie, dziecko, jesteś za młoda na takie czarne myśli. - Kobieta wyszła z za

lady. Złapała Dainę za rękę. Odwróciła je wnętrzem dłoni w górę. Różowymi czubkami palców prześledziła linie, jakby była niewidomą czytającą brajlem.

Palce Lise-Marie, jakby znalazły coś, czego szukały, przerwały swoje badania. Kobieta uważnie spojrzała na Dainę. Oczy miała wytrzeszczone, a na czarnej skórze błyszczała cienka błonka potu.

- Masz niezwykle silną aurę, dziecko. Drzemie w tobie wielka moc mojo.

- Cofnęła się o krok, jakby zatrwożona.

- Dasz mi to, czego chcę? - zapytała Daina. Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, odwróciła się do wyjścia. - Nie wierzę w żadną moc. Nie mam mocy. Teraz nie mam niczego. - Mimo wszelkich starań łzy potoczyły się po jej policzkach. Ze złością wytarła oczy. - Wszystkie prawa należą do ciebie rzekła. - Ty masz moc, by pomóc mi zniszczyć człowieka, który zabił Babę.

• Jego imię sprawiło, że znów coś złapało ją za gardło i już nic nie mogło powstrzymać łez. - Och, Baba! - krzyknęła. Ramiona jej zadrżały. Łzy moczyły jej twarz, ale teraz nie starała się ich powstrzymać.

Lise-Marie objęła ją. Daina poczuła jej ciepło, jej słodki korzenny zapach, usłyszała cichy głos.

- Tak jest dobrze, dziecko. Płacz. Płacz za swoim mężczyzną. \

Po chwili puściła Dainę i wyszła. Wróciła z tekturowym pudełkiem z chińskiej restauracji serwującej dania na wynos.

- Masz - powiedziała, wsuwając pakunek w rękę Dainy. - Wszystko jest w środku. Większość rzeczy, jakich będziesz potrzebowała. Nie... - przytrzymała jej rękę - nie teraz. Otwórz w domu. I posłuchaj, dziecko, co musisz zrobić...

Rubens wrócił z Nowego Jorku ze wspaniałym pierścieniem kupionym dla niej u Harry'ego Winstona.

Dał jej go, gdy tylko znalazł się w limuzynie, którą przyjechała po niego na lotnisko.

- Martwiłem się o ciebie, póki nie obejrzałem tej konferencji prasowej - rzekł. - Chryste, zabiłaś im klina. Poczuliśmy fale uderzeniowe w Nowym Jorku. Poświęcono ci w gazetach więcej miejsca niż prezydentowi.

Patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiając się, czy powinna mu wspomnieć o spotkaniu z Meyerem. Pomyślała, że chyba nie byłoby to właściwe. Była pewna, że Rubens nie życzyłby sobie, aby ktoś się wtrącał w jego sprawy, z Meyerem włącznie.

Pierścionek - kwadratowy szmaragd osadzony w platynie - promieniował zimną siłą i kiedy wyłuskał go z jej palców, by go jej włożyć, Daina rozplakała się. O Boże, pomyślała, jak bardzo za nim tęskniłam. Lecz zamiast to wyznać, wyciągnęła rękę i przyciągnęła go do siebie. Chciała trzymać go tak na wieki.

- Słyszałeś o Montym? - zapytała po pewnym czasie.
- Jezus, tak. Zaledwie w zeszłym tygodniu mówiłem mu, że pracuje za ciężko.

- Najwyraźniej powiedziałeś mu nie wszystko.
- Dla jego dobra.
- Zraniłeś go. Uważał cię za przyjaciela.
- Nasze stosunki nie miały nic wspólnego z przyjaźnią. To był interes. Nie miał powodów, by wciskać-ci jakąś łzawą historyjkę. Do diabła, za kogo on się uważał? Był dorosły. Powinien wiedzieć, jak o siebie zadbać... - przerwał, odwrócił od niej głowę.

- Rubens...
- Nie. Cholera jasna, nie! - Odsunął jej rękę. Głos miał stłumiony i ramiona mu dygotały, jakby płakał. - Sukinsyn nie miał prawa umierać.

- Mówił tak cicho, że musiała wyteżyc słuch. - Chryste - wyszeptał ze smutkiem - wszystko miało związek z przyjaźnią. Wszystko. - Odwrócił się i Daina zobaczyła zaczerwienione oczy; wytarł ślady łez. - No, czemu tego nie powiesz, żeby już było z głowy?

- Czego?
- „A nie mówiłam?” Nie powinienem był pozwolić mu myśleć, że go zdradziłem.

- Zrobiłeś co uważałeś za najlepsze. Popatrz na nią spokojnie.
- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. I w pewnym sensie miałaś rację; on już sobie nie radził. Jednak były inne sposoby rozwiązania tego problemu. Spieprzyliśmy, i ty, i ja. - Przez chwilę spoglądała za okno. - Pogrzeb jest pojutrze. Już zamówiłam kwiaty.

Nie skomentował i za obopólną milczącą zgodą porzucili ten temat.

- Jaki był Nowy Jork? - zapytała Daina. - Brakuje mi go Rubens westchnął.

- Nie mogę ci powiedzieć. Byłem zbyt zajęty przekopywaniem się przez akta

korporacji. Schulyer potwierdził wszystko, o czym poinformował mnie Meyer. - Położył rękę na jej udzie, zajrzał badawczo w oczy. - U ciebie w porządku?

Obdarzyła go nikłym uśmiechem, czując wsączające się w nią ciepło.

- Doskonale. Czego się dowiedziałeś?
- Dość, by powiesić tego sukinsyna Ashleya - odparł zjadliwym tonem.
- Nie miał niczego, gdy do mnie przyszedł. Ja go ustawiłem. Później dałem mu wolną rękę i sprawdził się. I wtedy, jak ostatni głupiec, spuściłem go ze smyczy.

• Oczy mu błyszczały, gdy pochylił się, by zapalić papierosa. Zaciągnął się, spetował. - Wiesz, masz co do nich rację. Nie mają smaku. - Zatrzasnął wieczko metalowej popielniczki wpuszczonej w plusz drzwi.

• Oczy mu błyszczały, gdy pochylił się, by zapalić papierosa. Zaciągnął się, spetował. - Wiesz, masz co do nich rację. Nie mają smaku. - Zatrzasnął wieczko metalowej popielniczki wpuszczonej w plusz drzwi.

Odchylił się do tyłu i westchnął.

- Kiedyś, dawno temu, Meyer powiedział mi, że w interesach trzeba trzymać na smyczy każdego. „Nieważne, co myślisz w danej chwili”, rzekł, „najlepszy chłopak dzisiaj, jutro zdradzi cię i odgryzie ci głowę, jeżeli dasz mu cień szansy. Taka jest ludzka natura. Nie możesz z nią walczyć, a jedynie się przed nią chronić”. - Mężczyzna uśmiechnął się na to wspomnienie. - W swoim czasie uważałem, że Meyer jest najbardziej cynicznym sukinsynem, jakiego w życiu spotkałem. Myślałem również, że ja mógłbym go przewyższyć. Oto, co próbowałem zrobić z Ashleyem - dać mu jego głowę i pozwolić mu uciec.

I czy Meyer nie miał racji? Co Ashley robi prócz systematycznego nabijania mnie w butelkę? Teraz jestem mądrzejszy. Meyer nie jest cynikiem, tylko... realistą.

- Rozmawiałeś z Ashleyem?
- O, nie. Jeszcze nie. Opracowałem planik wejścia w serce korporacji, który on przyjmie z otwartymi ramionami. Ha, ja trzymałbym się z daleka. Ale nie Ashley. Jest na to zbyt chciwy, co znaczy, że dojrzał do tego, żeby wyciąć mu numer. On chce zostać zrobiony na szaro. Wszyscy tacy są, durnie. Wrodzona chciwość ściąga ich na dno.

Mam tu dość dokumentów... - poklepał dyplomatkę ze skóry słonia - żeby wykończyć go od razu. Lecz takie rozwiązanie jest zimne i bezduszne. Nie jestem człowiekiem organizacji. W przyszłym tygodniu z powrotem wysyłam Schulyera do Nowego Jorku. Jutro albo najpóźniej w środę Ashley odkryje sposób doprowadzenia zysków korporacji przez przelanie kapitału akcyjnego do firmy podrzędnej. Wszystko

będzie wydawało się ładne, czyste i idiotoodporne. I tak będzie. Tylko że ta druga firma nie istnieje, przynajmniej nie w rzeczywistości. Jest wymysłem mej pokrętej wyobraźni, spreparowanym na papierze przez Schulyera tak, żeby wyglądało, iż działa od 1975 roku.

- Na jakiej podstawie przypuszczasz, że on na to pójdzie? - zapytała Daina.
- Ponieważ zacząłem wywierać nacisk na radę, podobnie jak Meyer - bez wiedzy Ashleya - aby odrzucono ofertę wykombinowanej przez Ashleya i jego przyjaciół fuzji. On zaprzecza, jednak gdy tylko dojdzie do tej fuzji, znajdę się poza, podobnie jak Meyer i cała nasza grupa.

Ashley uważał, że posiada dostateczne poparcie rady. Ja to zmieniłem. Obmyślony przeze mnie plan ma umożliwić mu uzyskanie tak silnej pozycji, że pozwoli mu ona zmieść z drogi zawadzające głosy - i przeforsować fuzję.

- Uśmiechnął się. - Przynajmniej tak to będzie wyglądało w jego oczach.

- Chcesz przyłapać go na gorącym uczynku? Rubens zamknął oczy.
- Mniej więcej. - Splótł palce z jej palcami, ścisnął.

W domu usiedli przy basenie. On zapytał ją, jak minął weekend. Ona powiedziała, jak bardzo spodobały się jej reklamy, potem zmieniła temat.

- Nie jestem pewna, co się stało. Chris był gotów odejść z zespołu... Wiedziałam, że chce to zrobić. A potem ktoś mu to wyperswadował. Mówi, że Nigel.

- Ale ty mu nie wierzysz.
- Nie - odparła powoli, jak gdyby jego komentarz ugruntował w niej jakieś podejrzenie. - Nie, Rubensie. Myślę, że to Tie.
- Lecz ona żyje z Nigelem.

Daina pogładziła palcami miękkie włosy.

- Moce twórcze Asha są na wyczerpaniu. Teraz tak naprawdę podporą Hertbeatsów jest Chris. Bez niego kapela prawdopodobnie byłaby skończona.

- Zbliżyła się do niego. - Silka powiedział mi, że Tie pragnęła Kerra od samego początku, ale Jon i Chris byli sobie zbyt bliscy, by pójść na taki układ. Chyba z Chrisem i Nigelem jest inaczej, chociaż obaj mówią co innego.

-Może Kerr nie jest nią zainteresowany. Spojrzała na niego.

- Nie znasz Tie. W każdym razie podejrzewam, że jemu też zależało na niej od początku, jednak dał sobie spokój z powodu Jona. Myślę, że w taki sposób zmusiła

go do pozostania. Nie mam pojęcia, co ona by bez nich zrobiła.

- Sądziłem, że jest twarda jak krzemień.
- Tak się wydaje - na zewnątrz. Lecz wewnątrz jest słaba. Bała się, że

Maggie może nakłonić Chrisa do odejścia z zespołu, a teraz jest przerażona moim z nim związkiem. Nie może uwierzyć, że z sobą nie sypiamy.

- A kto może? Objęła go.

- Oczywiście, ty. - Pochyliła się na krześle i dotknęła go. Skłoniła głowę, delikatnie przygryzła skórę na jego piersiach. - Tęskniłam za tobą - wyszeptała. - Tęskniłam. Tęskniłam.

Roześmiał się.

- W środku tego całego zamieszania?
- W środku wszystkiego.
- To niebezpieczne.
- Lubię niebezpieczeństwo.
- Skoro o tym mowa - zaczął, przesuwając dłonie w dół jej ciała - nie podoba

mi się, jak mdlejesz na planie.

Potrząsnęła głową.

- To nic takiego. Byłam u lekarza.
- I?
- Jestem w doskonałej formie.
- Chryste, mam nadzieję, ponieważ mam dla ciebie parę dalszych

niespodzianek.

- No, powiesz mi teraz czy będziesz mnie dręczył?

- Beryl tym razem naprawdę się spisała. Magazyn *Time*. Parsknęła.

• Bredzisz. Oboje macie halucynacje. Beryl nie mogła wcisnąć mnie do *Time'a*. Jeszcze nie jestem dość wielka.

• Nie? - zapytał przeciągle Rubens. - Najwyraźniej ludzie z *Time'a* są innego zdania. Kiedy numer przewidziany na pierwszy pokaz *Heather Duell* w Nowym Jorku w okolicach gwiazdki znajdzie się w sprzedaży, i ludzie zobaczą na okładce twoją twarz...

Odwrociła się do niego, szeroko otworzyła oczy.

- Wiesz, jesteście stuknięci. I macie to w papierach. Niemożliwe...
- Chcesz się założyć?

To ją powstrzymało. Rubens nigdy nie mówił: „Chcesz się założyć”, gdy nie był pewien wygranej.

Siedziała nieruchomo, z dłońmi na kolanach. Serce w piersiach waliło jej jak kowalski młot.

- Chryste! Kim ty jesteś?

Wzruszył ramionami.

• Chodź tutaj - powiedziała, a gdy to zrobił, ujęła jego głowę, przegarnęła włosy palcami.

- Czego szukasz?
- Rogów.
- Rogów?
- Jak u diabła.
- Aha, takich rogów. Przykro mi. Kazałem je obciąć tysiąc lat temu.

- Wyszczrzył zęby, złapał ją za ręce. Były zimne i pomasaował je dla rozgrzewki. - Śmiało, Daino. To ty. Ty, ty, ty.

Pochyliła się, przytuliła twarz do jego piersi. Czowała jego zapach, mieszaninę potu, mydła i wody kolońskiej Ralph Lauren. Przycisnęła ucho do piersi tuż nad lewym sutkiem, zamknęła oczy, słuchała-krzepiącego bicia jego serca.

Rubens pieszczotliwie przeciągnął ręką po jej plecach, wzdłuż kręgosłupa. Nie odsuwając jej pochylił się, sięgnął drugą ręką do bambusowego stolika o szklanym blacie. Z szuflady wyjął wojskowy nóż szwajcarski, ciemnoczerwony, ze złotym logo w kształcie krzyża. Paznokciem otworzył proste ostrze.

- Może chciałabyś mnie skaleczyć?
- Co?
- Żeby sprawdzić, czy krwawię. - Roześmiał się, wsunął nóż w jej dłoń.

- Śmiało.

Wzdrygnęła się jak oparzona.

- Zwariowałaś. Nie.

Ale on nalegał, zamykając jej palce na nożu.

- Tylko małeńkie nacięcie - mówił cicho. - Nawet nie będzie bolało. Szybki

ruch...

- Nie!
- W porządku. - Wyjął nóż z jej bezwolnej dłoni. - Sam to zrobię.

- I nim mogła go powstrzymać, przeciął opuszkę palca wskazującego lewej ręki. Na brzegach ranki natychmiast pojawiła się ciemnoczerwona krew, zbierająca się w kropelkach na skórze jak plastyczna rzeźba. - Widzisz? – zapytał pogodnie, wyciągając palec w promienie słońca; krew zalśniła jak dymny rubin. Potem szybko odwrócił palec, przyłożył go do jej czoła, narysował linię sięgającą do nosa. - Żebyś wiedziała, że jest prawdziwa.

Ona wpatrywała się w niego uważnie. Teraz już nie wyglądał na lubiącego grę w tenis opalonego producenta, za jakiego zawsze go uważała. Chociaż pozornie jego powierzchowność nie zmieniła się, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że na jej oczach uległ metamorfozie.

Jak to się stało? - zapytała się w myślach. Dzięki jakim czarom? A potem zrozumiała. Zawsze - i może dlatego przez tak długi czas trzymała go od siebie na odległość wyciągniętych ramion - nieco bała się posiadanej przez niego siły. Ta moc nie zniknęła; ona jedynie do niej przywykła. I nie tylko do jego mocy. To, co powiedział wcześniej, było prawdą: „ty, ty, ty”. Uznała, że to jej moc, kombinacja artyzmu i biznesu - obecnie nadawała kształt ich dniom i nocom.

- Tak - wyszeptała. Ujęła jego krwawiący palec, przyłożyła różowy koniuszek do ust. - Ja, ja, ja.

Rubens przyglądał się jej z dziką, władczą dumą. Przez chwilę przypominał Mariona, który tak ciężko pracował na planie i teraz z przyjemnością patrzył, jak jego gwiazda rozwija się, przerasta wszelkie oczekiwania, wchodzi do królestwa legendy.

Potem wszystko to, co kryło w sobie jego intensywne spojrzenie, uleciało jak gałązka purpurowego wrzosu zmieciona do wzburzonego morza i jego oczy znów stały się pogodne jak nieruchome wody stawu.

Weszli do basenu.

- Postanowiliśmy, Marion, ja-i Simeoni z Twentieth, zabrać film na tydzień do Nowego Jorku - oznajmił. - Wynajęliśmy teatr Ziegfelda na pierwszy tydzień grudnia. Miejsca wyłącznie rezerwowane, do tego dziesięciodniowa kampania w radiu i prasie - telewizja dopiero w dzień po premierze. Wytypowaliśmy pięciu tutejszych

najważniejszych krytyków, z którymi polecimy na pierwszy wieczorny pokaz i późniejsze przyjęcie... To pomysł Beryl.

Przyciągnął zielony gumowy materac. Usiedli.

- Wszyscy pojedziemy do Nowego Jorku, zrobimy jak największą reklamę, tydzień później odbędzie się premiera w L.A. Dzięki temu będziemy mieli zdjęcia do nominacji do Oscara, tak samo jak do Nagrody Nowojorskich Krytyków Filmowych i Złotego Globu. Ty, ja i Marion; oczywiście Beryl, parę grubych ryb z Twentieth. Będzie mnóstwo wywiadów i mnóstwo miejsca w prasie.

Odchyliła głowę; szyja wygięła się w łuk, długie włosy unosiły się na wodzie jak wodorosty. Jego wargi opadły na jej nos, zamknięte powieki, uchylone usta. Podniosła ręce nad głowę, złapała go za ramiona, zsunęła się z materaca. Zimna woda omyła jej uda. Patrzyli sobie w oczy, mrużąc je w słońcu. Wystarczało im dotykание się.

Długi czas później dotarł do nich dźwięk dzwoniącego uparcie gongu.

Rubens niechętnie stoczył się z materaca, popłynął do brzegu. Przyglądała się z leniwym zafascynowaniem, jak idzie przez ogród i znika we wnętrzu domu.

Położyła się na plecach, zapatrzyła w niebo. Woda pluskała sennie wokół niej. Wsunęła w nią jedną rękę. Nie myślała o niczym, dryfując na krawędzi snu.

- Daina! - zawołał Rubens. - Chodź do środka i ubierz się. Przyszedł Dory i chcę, żebyś posłuchała, co ma do powiedzenia.

Zsunęła się do wody.

• To Beillmann - rzucił Spengler bez wstępu, gdy Daina weszła do salonu. Stał obok obrazu. Zdawało się, że przytłusta syrena naśmiewa się z niego.

• Opanuj się, Dory - mitygował go Rubens, ujmując gościa za łokieć i prowadząc do baru. - Napijmy się najpierw. To ci uspokoi nerwy.

• Co z Beillmannem? - zapytała Daina, ruszając za nimi przez pokój.

• Powiem pani, co... - Spengler wyrwał się Rubensowi. Oczy miał twarde i dzikie. Spojrzał na aktorkę, po czym odwrócił się do producenta. - Powiedziałaś, że w Twentieth wszystko załatwione. Gładko jak po maśle; żadnych przeszkód...

• Nie ma przeszkód - zapewnił go Rubens.

• Tak? - prychnął agent. - Wczoraj Beillmann mógł być uległy, ale dzisiaj

jest inaczej.

Rubens, nie wychodząc zza baru, spokojnie zdjął nakrętkę stolicznej. Wyjął lód, wsypał go do szerokiej, niskiej szklanki, dolał wódki. Zawirował nią parę razy, aby ochłodzić alkohol, pociągnął duży łyk.

- Domyślam się, że coś się stało w studiu.
- I słusznie - burknął Spengler. - Mamy bardzo wielki problem.
- Wiesz, Dory - zaczął producent bez podnoszenia głosu - naprawdę jestem przekonany, że drink dobrze ci zrobi. Wytrawne martini, prawda? - Podał Spenglerowi szklaneczkę. - Wypij, śmiało. Chcę, żebyś był wyluzowany, gdy będziesz mi mówił, co to za problem.

Agent napił się martini.

- Ten drań Reynolds - agent George'a Altavosa - spotkał się dziś rano z Beillmannem. Poinformował, że George grozi wycofaniem się z projektu, jeżeli reklamy nie zostaną zmienione.

- Jak? - Rubens bardzo ostrożnie odstawił szklankę.
- Chce, żeby jego nazwisko znalazło się nad nazwiskiem Dainy. Nie obok, zauważ. Ponad.

- I co na to Beillmann?
- A jak myślisz? Poddał się.
- Co? - zapytała z niedowierzaniem Daina. - Zgodził się? Spengler skinął głową i odwrócił się do Rubensa.

- Co myślisz o tym sukinsynu?

Producent wyszedł zza baru. Miał szczególny wyraz w oczach. Kiedy przemówił, jego głos był gładki jak jedwab.

- Ciekaw jestem, Dory, dlaczego nic nie zrobiłeś? Hm? Byłeś tam. Jesteś w naszej drużynie czy nie? Dlaczego nie poradziłeś sobie z Beillmannem?

Martini Spenglera było w połowie drogi do ust. Teraz opuścił szklankę.

- Wiesz, Dory, kiedy polecałem cię Dainie, myślałem, że wyświadczam jej przysługę. Sądziłem, że jesteś bystry, ustosunkowany i utalentowany. Teraz nie jestem tego pewien.

- Ja tylko pomyślałem, że będziesz chciał sam to załatwić - bronił się agent.

- Został pan zaangażowany między innymi po to - wtrąciła Daina - by zagwarantować, że nic takiego się nie zdarzy. Czy sądzi pan, że chcę, aby nazwisko George'a znalazło się nad moim?

- Nie na tym nam zależało, Dory - dodał Rubens. - Nie jesteś tu długo, ale nawet dureń by to skapował.

- Nie apróbuję nazywania mnie durniem - wysapał Spengler przez zaciśnięte zęby.

- A mnie nie obchodzi zdanie ludzi, którzy nie radzą sobie w sytuacji krytycznej. Mam zamiar sam posprzątać ten burdel.

Spengler milczał. Dwaj mężczyźni przez dłuższą chwilę wściekle mierzyli się wzrokiem.

- Jest inne wyjście - oznajmiła Daina, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego. - Chyba ja powinnam się tym zająć. Ten problem nie należy do producenta. George nie odejdzie; za bardzo zależy mu na tym filmie. Beillmann blefował. Chodź, Rubens, zobaczymy się z Buzzem.

Buzz Beillmann miał biuro po tej samej stronie budynku, co prezes Twentieth Century Fox. Było ono, jak na wiceprezesa przystało, wielkie jak apartament - pięciogwiazdkowego hotelu.

Wielkie biurko z palisandru i nierdzewnej stali stało naprzeciwko drzwi, wobec tego każdy, kto chciał do niego dotrzeć, musiał pokonać rozległą, pustą przestrzeń gołębioszarego dywanu. Była to jakby pielgrzymka do Ziemi Świętej. I, oczywiście, w wielu przypadkach tak było naprawdę.

Stosownie do tej rozkosznej iluzji Buzz Beillmann generalnie przyjmował gości tak, jakby byli pątnikami do niebieskiego tronu. Najpierw fundował im oczekiwanie w recepcji na dole, a później, po dotarciu na drugie piętro, każdy był zobowiązany odsiedzieć swoje pół godziny w sekretariacie przed biurem, gdyż według słów osobistej sekretarki pan Beillmann zawsze „był zajęty”. Jeżeli petent był prawdziwym wybrańcem, Sandra Oberst, słodko uśmiechnięta kobieta po trzydziestce, w milczeniu przynosiła filiżankę kawy. Była asystentką Beillmanna i jako taka w imieniu swego szefa kierowała bezbłędnym odstrzałem. Ostatecznie każdy wiceprezes potrzebował kogoś, kto by odsiewał ziarno od plew. Ludzie na dole z pewnością nie byli w tym tacy dobrzy.

Daina, wchodząc do recepcji Beillmanna, była zdecydowana rozprawić się ze smokiem strzegącym jaskini olbrzyma. Sekretarka była zaskoczona, gdy aktorka zapytała o pannę Oberst, ale wezwała wysoką kobietę z chwalebłą skwapliwością.

Sandra Oberst wypadła z biura z porcelanowymi filiżankami - w dominium Buzza Beillmanna styropianowe kubki byłyby nie do pomyślenia! - pełnymi parującej czarnej kawy w obu rękach. Musiała zostać zawiadomiona o ich przybyciu, gdy byli w drodze na drugie piętro.

- Panno Whitney, panie Rubens. Jak miło państwa widzieć. – Cechował ją szczególnie formalny styl zwracania się do każdego. Dla niej imiona nie istniały i Daina zastanawiała się, jak nazywa swoich kochanków.

Oboje wzięli zaproponowaną kawę. Asystentka stała na lekko rozstawionych nogach przed korytarzem wiodącym do biura szefa, jak gdyby obawiała się, że mogą biegiem rzucić się do drzwi.

- Co za niespodzianka! - Poderwała głowę, zaklaskała językiem o podniebienie. - Wiecie, jak panu Beillmannowi zależy na uprzedzaniu o wizytach. Dziś ma szczególnie ciężki dzień. - Wzruszyła ramionami bez śladu przeprosin, poprawiła wielkie okulary na ostrym nosie. Obserwowała ich niewzruszenie zza przyciemnionych szkielec. - Cały tydzień był taki. W czym mogę państwu pomóc?

Daina przybrała znudzony wyraz twarzy, a Rubens obojętnie spojrział w inną stronę.

- Zamierzaliśmy przekazać to Buzzowi osobiście, lecz... cóż, wiem, jak jesteście sobie bliscy. Powiedzenie pani to prawie to samo, co powiedzenie jemu, prawda, Rubensie?

- Och, tak. - Producent z zainteresowaniem wpatrywał się w jakiś fascynujący wzór cieni na dywanie.

Sandra Oberst przez chwilę była zbита z pantałyku.

- To znaczy, że nie chcecie... Tak, jestem pewna, że mogę państwu pomóc.

- Wypielęgowanymi palcami dotknęła koka z tyłu głowy, który wydawał się twardy jak piłka baseballowa. Była ubrana w szytą na miarę granatową garsonkę. Surowy fason spódnicy jedynie podkreślał jej kobiece kształty. Białą satynową bluzkę miała zapiętą pod szyję; wielka srebrna szpilka zdawała się gwarantować, że żaden z guzików nie zostanie rozpięty.

- Mamy niewiele czasu, naprawdę - zaczęła Daina. - Jesteśmy umówieni z Toddem Burkę'em z Columbii za... - zerknęła na zegarek - niecałe dwadzieścia minut. - Asystentka zamrugła na dźwięk nazwiska, jednak nie odezwała się. - Dowiedział się o projekcie filmu z Brando i zaprosił nas na rozmowę. Początkowo kazałam Rubensowi odmówić - wiem, że mamy moralne zobowiązania w stosunku do Buzza. - Przerwała, obserwując reakcję Sandry. Ta skrzyżowała ręce na piersiach.

- Ale, naturalnie - kontynuowała aktorka beznamiętnie - kiedy Dory poinformował nas, że Beillmann zmienia moją reklamę, zmieniłam zdanie.

- Machnęła dłonią, tnąc kantem powietrze. - Lecz to dość ważna decyzja...

- teraz w jej głosie brzmiał sarkazm - niech więc pani będzie tak dobra i zawiadomi Buzza. My tymczasem ruszymy na spotkanie z Burkę'em. Zarezerwował dla nas całe popołudnie. - Przerwała, patrząc Sandrze Oberst prosto w oczy.

Asystentka pobladła pod opalenizną i makijażem.

- Co to znaczy, czy to jakiś żart? - zapytała z nadzieją.

- Nie - zapewniła ją Daina. - Mam po prostu powyżej uszu tego, jak traktuje się mnie w tym studio.

Sandra rozłożyła ręce.

- Nie wiem, czego pani po mnie oczekuje.

- Och, niczego. - Daina znów zerknęła na zegarek. - Pani jest tylko posłańcem, to wszystko.

- Panie Rubensie, zawsze byliśmy w dobrych stosunkach.

Ten wzruszył ramionami i spojrzał na nią obojętnie, jakby mówiąc: Zna pani te obdarzone silną wolą gwiazdy.

Okulary zaczęły zsuwać się z nosa asystentki i Daina zobaczyła, że kobieta poci się mimo klimatyzacji. Jej szkliste oczy wędrowały od jednej twarzy do drugiej.

- Po prostu... nie wiem, co powiedzieć. - Jej głos zadrżał leciutko.

- Oczywiście, że nie. - Aktorka odwróciła głowę. - Widzisz, Rubensie. Mówiłam ci. Przychodzenie tutaj nie miało najmniejszego sensu.

- Och, Sandra ma rację. Twentieth i ja zawsze byliśmy w dobrych stosunkach. - Uśmiechnął się do niej. - Nieprawdaż?

- Tak, panie Rubensie - przyznała spieszenie asystentka. Wyglądała tak, jakby

właśnie ujrzała promyczek słońca po wyjątkowo niszczycielskiej nawałnicy.

- Ale, jak pani widzi - wtrąciła Daina - to należy już do przeszłości. Powinniśmy od razu iść do Burkę'a i darować sobie uprzejme zachowanie w stosunku do tych ludzi. Są niewychowani.

- Niechętnie - zaczął producent, obrzucając Sandrę Oberst zasmuconym spojrzeniem - lecz jestem zmuszony przyznać ci rację. Proszę przekazać Buzzowi wyrazy szacunku. - Oboje skierowali się do wyjścia.

- Chwileczkę!

Odwrócili się. Asystentka wyrwała telefon sekretarce i z determinacją przycisnęła słuchawkę do ucha. Po chwili wypuściła ją z ręki; zwiła u jej boku jak niepotrzebny dodatek.

- Pan Beillmann chciałby z państwem porozmawiać.

- Och, nie - zaprotestował Rubens. - Nie chcielibyśmy mu przeszkadzać. Prawdopodobnie ma jakieś ważne zebranie...

- Proszę - rzekła Sandra Oberst. - Naprawdę zależy mi, by zamienić słówko...

- Słówko? - Rubens otworzył szeroko oczy, rozkoszując się tym stwierdzeniem. - No, w takich okolicznościach...

Daina potrząsnęła głową.

- Przykro mi, panno Oberst, przez panią spóźnimy się na spotkanie. Proszę powiedzieć Buzzowi, że zadzwonimy do niego później.

Asystentka wyszła zza biurka sekretarki.

- Mój Boże, nie możecie teraz odejść. On mnie zabije.

- Może powinna była pani pomyśleć o tym wcześniej - zauważył producent. - Teraz jest za późno.

Sandra uśmiechnęła się szeroko, desperacko. Złapała ich pod rękę.

- Wiecie, to nieporozumienie jest całkowicie moją winą, naprawdę. Mieliśmy taki podły tydzień, jestem dziś trochę rozkojarzona. Powinnam była od razu zaprowadzić was do pana Beillmanna. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłam. - Daina wiedziała dlaczego: szef dał jej takie instrukcje. - To jeden z tych dni. - Znacząco ścisnęła rękę aktorki: jedna kobieta szukająca zrozumienia u drugiej. - Wie pani, jak to jest, panno Whitney.

- Jezusie, Daina - mruknął Rubens. - Daj dziewczynie szansę.

Buzz Beillmann był brązowym jak żuk osobnikiem w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Miał krótkie włosy, szare niczym żelazo, i grubą skórę barwy mahoni. Był dobrym graczem w golfa i jeszcze lepszym filmowcem, gdy nie został złapany w krzyżowy ogień. Doskonale radził sobie z pojęciami i liczbami, ale ludzie z reguły go odrzucali. Sam nie miał wielkiego doświadczenia w byciu człowiekiem.

Jego ciężka postać czekała na nich za biurkiem. Długie widokowe okno za jego plecami wychodziło na zachód - na jego życzenie, żeby popołudniowi petenci (rankiem widywał tylko ludzi z Twentieth) czerpali w pełni z błogosławieństwa świecącego im w oczy słońca.

- Daina, Rubens! - zawołał serdecznie. - Co was zatrzymało? W chwili gdy dowiedziałem się, że przyszliście, kazałem Sandrze przysłać was prosto do mnie.

- Zmrużył oczy, kiedy podeszli bliżej, i na jego twarzy odmalował się ból, jakby zmagał się ze szczególnie drażliwym problemem. - Mówię wam, nie mam pojęcia, co z nią zrobić. - Potrząsnął głową. - Naprawdę powinna być mądrzejsza.

Wyszedł zza biurka.

- Co o niej myślisz? - zapytał Rubensa.

• Według mnie jest w porządku - odparł producent, patrząc na Dainę. Ale Beillmann nadal wyglądał na stroskanego.

• Nie wiem. Nie jest kobietą, którą była kiedyś. Powiedz mi, Rubensie... Lecz ten odsunął się i spoglądał na palmy i jadące jeden za drugim lśniące mercedesy. Podniósł rękę.

- Porozmawiaj z Dainą, Buzz. Zapytaj ją o zdanie. Ona zna kobiety lepiej niż ja.

• Co myślisz, Daino? - spytał Beillmann, podchodząc do baru. - Napijecie się?

• Chyba będzie lepiej - zaczęła aktorka - jak powiesz George'owi, że jego nazwisko znów jest poniżej mojego. - Wiceprezes zatrzymał się z karafką szkockiej w ręku. - I od teraz niech panna Oberst zajmie się Dickiem Reynoldsem, żebyśmy nie mieli dalszych nieporozumień.

Beillmann odstawił karafkę, odwrócił się.

- Daino, nie bądźmy nierozsądni. To znaczy, wiem, jak wy, artyści, zmieniacie się z dnia na dzień, jednak są pewne granice... - Podeszedł do niej.

- Chodzi mi o to... - rozpostarł ręce - pieniądze to pieniądze i biznes to biznes. Nie mam racji, Rubensie? - Producent milczał, nawet nie odwrócił głowy, by na niego popatrzeć. Beillmann, próbując zignorować jego zachowanie, kontynuował:

- Uważam, że należy mieć dobre zdanie o sobie. Aktorzy nie mogą bez niego żyć. - Wskazał tępym kciukiem na własną pierś. - Chryste, ja to wiem. Myślisz, że jestem niewrażliwy? Wszystko poświęcam dla filmu. Tworzymy jedną wielką rodzinę. Ktoś przychodzi z usprawiedliwionym zażaleniem...

- Ono nie jest usprawiedliwione - skorygowała Daina.

- Muszę zachowywać się w sposób, jaki uważam za najlepszy dla nas wszystkich. Jestem w środku. To istna zonglerka, Daino. Ale, do diabła, nie uskarżam się. Za to mi płacą. Próbuję tylko wyjaśnić swoje stanowisko. Muszę myśleć o wszystkich, nie o jednostkach.

Z wami zawsze są problemy. Lecz jesteśmy przygotowani na pokierowanie każdym nieprzewidzianym wypadkiem. Pojedziesz do Nowego Jorku i wszystko będzie świetnie. Wierz mi. - Znów rozłożył ręce i w jego głosie zabrzmiała pojednawcza nuta. - Wiem, jak to jest przed zakończeniem produkcji i współczuję ci. Jesteś zdenerwowana i jest to jak najbardziej zrozumiałe. Ale przechodziliśmy przez to setki razy. Wiem, o czym mówię.

- Co się stało z pierwotną reklamą? Mam gwarancje w kontrakcie. Uśmiech mężczyzny poszerzył się odrobinę, jakby wiceprezes czuł, że beton zaczyna kruszyć się w miejscu zadania ciosu.

- Może lepiej wróć i przeczytaj dokładnie tę klauzulę. Zagwarantowana jest w niej wielkość druku, jednakże umiejscowienie nazwiska leży w gestii studia. Przemyśleliśmy tę koncepcję i jestem całkowicie przekonany, że podjęliśmy słuszną decyzję. Ma sens dla...

- Daruj sobie - warknęła aktorka. - Reynolds przyszedł tu, nadepnął ci na paluch i zawył: Auu. Oto, co się stało.

Beillmann wysunął szczękę. Twarz mu poczerwieniała. Zdrapał strupek z czoła i ranka zaczęła krwawić.

- O czym ona mówi, Rubens? Ten przerwał kontemplację ulicy.

- Ja nie jestem jej rzecznikiem, Buzz. Beillmann z powrotem odwrócił się do Dainy.

- Myślisz, że jestem frajerem czy co? Do czego zmierzasz?

- Do tego, że miałam zamiar ci powiedzieć, że nie podoba mi się kolor mojej przyczepy. Nie cierpię go. Pomaluj ją na brzoskwiniowo... na bardzo jasny kolor brzoskwiniowy. Wróć, jak to zrobisz.

Wiceprezes wytwórni chwycił się biurka.

- Co? - Był zdezorientowany. - Co to znaczy, wróć?

- Obawiam się, że jestem zbyt rozkojarzona, gdy muszę wracać do takiego wstrętnego pomieszczenia.

- Co, farba ci się nie podoba? - Zerknął na nią podejrzliwie, potem z rezygnacją wzruszył ramionami, jak gdyby idąc na wielkie ustępstwo. - W porządku. Zgoda. Masz to u mnie. - Uśmiechnął się. - Czym jest dla nas kolor farby? Przecież wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - Przeniósł spojrzenie z niej na Rubensa.

Producent skinął głową.

- Racja, Buzz. Jesteś na tropie.

Beillmann jakby odzyskał pewność siebie. Wrócił za biurko, sięgnął do telefonu.

- Muszę tylko...

- I oświetlenie jest złe - dodała Daina.

Beillmann znieruchomiał ze słuchawką w połowie drogi do ucha.

- Oświetlenie - wychrypiał. - Jakie oświetlenie? Gdzie?

- W mojej przyczepie - odparła zimno aktorka. Zrobiła krok w jego stronę. -

Myślę, że takie jak w charakteryzatorni byłoby dużo lepsze.

Mężczyzna odłożył słuchawkę, wytrzeszczył na nią oczy.

- A po co to, jeśli można? - Z ledwością tłumił nutę hysterii.

- Dla charakteryzatorów, oczywiście. Od teraz będą mi robić makijaż w przyczepie.

- Zaczekaj minutkę. Czy wiesz, jaką to wywoła burzę, gdy inni...

- I wszyscy ci ludzie - te głupki ze studia, których przysyłałeś na przeszpigi - wynocha z planu.

• Zwariowałaś! - Beillmann trzymał się biurka, jakby było ono ostatnim strzępem jego autorytetu. Nerwowo drapał krostę na czole. - To istny obłąd, Rubens! - zawołał. - Musisz ją powstrzymać!

• To nie ma nic wspólnego z Rubensem - przerwała mu porywczo Daina.

- Ta sprawa dotyczy wyłącznie ciebie i mnie.

Beillmann jednak nadal jej nie wierzył.

• Rubens, do diabła, co tu się dzieje?

• Ona jest gwiazdą. - Producent wzruszył ramionami. - Nic mi do tego.

• Ale ona jest twoja! - zawył wiceprezes.

• Nie. Ona jest twoją gwiazdą, cholera, i nadszedł czas, byś pogodził się z konsekwencjami. Ma ci przynieść sto milionów dolarów albo i więcej.

- Czekaj tatka łatka.

Rubens odszedł od okna.

• Skoro nawet tego nie potrafisz dostrzec, współczuję ci. Za rok przypiszesz sobie wszystkie zasługi. Podeszedł do Dainy i Beillmanna. - Chodź, Daino. Od samego początku miałaś rację. Nie mamy o czym rozmawiać.

• Rubens, czekaj! Dokąd idziesz? - Drzwi zamknęły się za plecami producenta. - Cholera! - Beillmann zacisnął dłonie w potężne pięści. Spojrzał z wściekłością na aktorkę. - Za kogo ty się, do diabła, uważasz, przychodzisz tu i...

• Wiem, kim jestem, Buzz - powiedziała lodowato Daina. - To ty nie masz zielonego pojęcia, do czego zobowiązuje cię twoje stanowisko. Co zrobisz, jeśli też wyjdę?

• Jesteś tylko głupią babą. - Wiceprezes dygotał, ciężkie podbródki drżały jak galareta. - Nie negocjuję z babami.

• Coś ci powiem, Buzz. - Daina pochyliła się lekko. - Nie lubię cię tak od strony zawodowej, jak i od osobistej. Jestem kobietą, lepiej też byłoby, gdyby dotarło do twojego dinozaurowego mózdzka, że jesteśmy tutaj sami. - Jej fioletowe oczy wwiercały się w jego twarz. - Tylko ty i ja, i albo od razu dojdziemy do porozumienia, albo już nigdy nie będziesz musiał ze mną negocjować.

Przez chwilę myślała, że wybuchnie. Powstrzymał się jednak.

- Okay. Okay - mruknął. - Masz oświetlenie i komplet klozetowy.

• Przeciągnął palcami przez włosy i usiadł z głośnym westchnieniem. -

Jezusie! - sapnął. Chyba myślał, że już po wszystkim.

- Dobrze - odezwała się słodko Daina. - Dlaczego nie łapiesz za telefon i nie dzwonisz do Reynoldsa, by powiadomić go, że zmieniłeś zdanie? – Podeszła do barku i otworzyła go. - Inaczej film z Brando przejdzie na Columbię.

- Nalała dwie szkockie z lodem, odwróciła się w jego stronę. Mężczyzna wlepił w nią przerażone oczy. - Jestem pewna, że przewodniczący zarządu będzie zachwycony tym, że pozwoliłeś, by taki projekt wysliznął ci się z rąk.

- Postawiła drinka na biurku. Beillmann patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

- Jezu Chryste! - Przekręcił fotel i przez długi czas siedział plecami do niej. Kiedy w końcu odwrócił się, był uśmiechnięty. Sięgnął po szeroką, oszronioną szklanekę. Lód zagrzecotał, gdy drżącą ręką podnosił szkocką do ust.

- Oczywiście - rzekł bez śladu napięcia - Reynolds nie ma prawa głosu. - Podniósł słuchawkę. - Wcale. - Potrząsnął palcem. - Ostrzegałem tych facetów z reklamy, że opieranie tego projektu na nazwisku Altavosa jest ryzykowne. - Rzucił do telefonu: - Dottie, daj mi Dicka Reynoldsa. Jak nie ma go w biurze, spróbuj złapać go w domu. Nie, nie, nie chce z nią teraz rozmawiać. I niech teraz nikt mi nie przeszkadza. - Odłożył słuchawkę, patrząc na guziki u podstawy telefonu. Łyknął szkockiej. Jeden z guzików zapalił się i zaczął mrugać. Zabrzęczał interkom. Buzz podniósł głowę i spojrzał aktorce prosto w oczy. - Ale z drugiej strony Reynolds musiał się z tym liczyć od początku, prawda?

Noc. Lampy w willi zostały wygaszone. Jedynymi źródłami światła były latarki terrorystów.

Heather spała na gołej podłodze. Obok kuliła się Rachel z głową na jej ramieniu. Od przeciwległej ściany oderwał się cień, bezszelestnie przeszedł przez pokój, przestępując leżące na podłodze postacie. Kiedy dotarł do Heather, stanął nad nią w rozkroku. Wyciągnął latarkę, schylił się, szarpnął śpiącą, zaświecił jej prosto w oczy.

Kobieta krzyknęła, zmrużyła powieki. Podniosła rękę, by osłonić oczy. Ręka została brutalnie odepchnięta. Głowa Heather zakołysała się z boku na bok.

- Już rano? - zapytała niewyraźnie. - Wydaje mi się, że zasnęłam parę minut temu.

- Trzydzieści. - Był to głos Rity.

- Czego chcesz? - Heather odwróciła głowę w obronie przed ostrym światłem.

- Nie wolno ci spać dłużej niż trzydzieści minut na raz.

- Ale dlaczego?

- Spij - poleciła Rita. Zgasiła latarkę. - Tracisz cenne minuty.

Kobieta zasnęła, lecz terrorystka wracała co pół godziny, więc stopniowo robiła się coraz bardziej niespokojna. Już zasypiała, gdy znów była brutalnie budzona, jaskrawe światło raziło ją w oczy i w końcu sen już nie chciał nadejść.

- Dlaczego oni to robią? - zapytała szeptem Rachel w czasie jednej z ciemnych przerw.

- Nie wiem.

- Za każdym razem, gdy zamykam oczy, myślę, że ona zaraz wróci i mnie obudzi. - Rachel przysunęła się bliżej. - To dużo gorsze od czuwania.

- Tak. - Heather odwróciła głowę, spojrzała na dziewczynkę. - Tak, masz rację. Oczekiwanie sprawia, że nie można zasnąć.

- Heather?

- Tak.

- Boję się. Kobieta objęła ją.

- Wiem, Rachel. Nic w tym złego. Zdrowo jest bać się trochę.

- Ale ja boję się dużo bardziej niż trochę.

- Rachel, posłuchaj mnie. James przed śmiercią powiedział mi, że muszę walczyć z tymi ludźmi. Oni kompletnie opanowali swoje otoczenie, rzekł. Na tym polega ich prawdziwa siła. Kiedy ta kontrola zacznie się walić, staną się bezbronni.

- Nie rozumiem - szepnęła dziewczynka.

- To znaczy, że nie możemy pozwolić, by zaczęli nad nami górować. Widzisz, oni teraz próbują. Pomogłaś mi to zrozumieć. Popatrz, co robią: pozbawianie prywatności, krótkie cykle snu. To część programu, który ma nas złamać. Nie możemy do tego dopuścić.

Przez chwilę panowało milczenie. Rachel podniosła głowę.

- Bardzo kochałaś Jamesa, prawda?.

Heather zamknęła oczy, ale łzy i tak przecisnęły się między powiekami.

- Tak, Rachel. Bardzo.
- Freddie Bock był dla mnie jak wujek. Więcej niż wujek. W Tel Awiwie mam takiego, którego nie cierpię. - Jej oczy wędrowały po twarzy kobiety. Podniosła jej dłoń do własnego policzka. Był mokry od łez. - Co mamy zrobić?
 - Przespać się.
 Oślepiający blask poraził ich oczy.
 - Co to za szepty? - zapytał El-Kalaam.
 - Dziewczęce pogaduchy - odparła Heather. Dostała w twarz.
- Głupia suka! - To był Fessi. On ją uderzył. Ledwo widziała go za oślepiającym kręgiem światła. Stał przed El-Kalaamem.
 - O czym rozmawialiście? - zapytał przywódca terrorystów.
 - Pocieszałam ją. Jest przerażona.
 - Ma ku temu wszelkie powody. Znalazła się w nieciekawej sytuacji. Jeszcze nie usłyszeliśmy ani słowa od jej ojca. O ósmej rano mija ostateczny termin.
 - El-Kalaamie - zaczęła Heather - nie możesz jej skrzywdzić. Przecież nawet ty...
 - Jest wojna. Nie zapominaj. Na wojnie dzieci są traktowane tak samo, jak dorośli..Nie ma między wami najmniejszej różnicy. - Jego głos wzniósł się gorączkowo. - Nasza wojna jest święta; tak samo nasza sprawa. Allach mówi nam, że nie ma niewinnych.
 - Niech tego twojego Allacha diabli wezmą! - zawołała zapalczywie Heather.
 - Ta dziewczynka nic wam nie zrobiła.
 - Błóżniesz! - krzyknął Fessi. Znów podniósł rękę, lecz El-Kalaam powstrzymał go.
 - Nic dla mnie nie znaczą jako ludzie - oświadczył. - Jesteście cywilami, którzy znaleźli się na linii frontu. Ale chętnie przyjmę wszystko, co możecie mi dać. Ona jest symbolem, tak jak w pewien sposób i ty. Na tym polega twoja rola.
 - Nigdy nie dostaniesz tego, czego chcesz - powiedziała Rachel. Heather czuła jej drżącą rękę.
 - Twój ojciec nie pozwoli ci umrzeć. Da nam to, czego chcemy, to, co jest nasze.

- Nie sprzeda własnego kraju! - krzyknęła Rachel. - Nie! Terrorysta przysunął się do niej. Promień latarki dziwnie oświetlił mu rysy.

Dzioby na policzkach odznaczały się wyraźnie w rażącym świetle. Złoto błyskało za każdym razem, gdy otwierał usta.

- Lepiej módl się do swego Boga, żeby to zrobił. Bo inaczej... - Z ciemności wystrzeliła lufa pistoletu maszynowego.

Wzruszył ramionami, gdy dziewczynka wzdrygnęła się u boku Heather.

- Dla mnie nie ma różnicy. W końcu wyjdzie na to samo. Jeżeli umrzesz, świat okrzyknie rząd twojego ojca winnym śmierci małej dziewczynki. - Wyszczrzył zęby jak wilk. - Jediną różnicę sprawi to tobie, Rachel. Chcesz zobaczyć jutrzejsze popołudnie czy nie?

Rachel odwróciła głowę.

- Ale z ciebie dzielny żołnierz - zadrwiła Heather. - Prawdziwy wojak. Terroryzujący dzieci.

- Słuchaj, gównu mnie obchodzi, co o mnie myślisz, rozumiesz? Nie istniejesz, a jedynie służysz naszym celom.

Kobieta spojrzała mu w oczy.

- Nigdy nie zmusisz mnie, bym cokolwiek dla was zrobiła.
- Och, tak, to samo mówił twój przyjaciel Bock. Pamiętasz. I pamiętasz, co mu zrobiliśmy?

- Pamiętam.

- I co się stało z Susan?

- Nie boję się tego.

- Może nie. - Przyjrzał się jej uważnie. - Jednak wiem, że czegoś się boisz.

- Czego?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Znaleźliśmy to u Bocka i znaleźliśmy u Susan. - Potrząsnął głową. - Nie, nie dopuszczę do ciebie Fessiego. Ty jesteś jego słabością i wydaje mi się, że w końcu mogłabyś go pokonać. Bądź pewna, że nie umożliwię ci ucieczki.

Jego ręka śmignęła w powietrzu. Złapał Rachel za gardło. Wyrwał dziewczynkę z ramion Heather. Rachel próbowała krzyżeć, ale z uchylonych ust wydobył się tylko słaby charkot. Heather rzuciła się na niego. Fessi złapał ją, lecz ona

nadal walczyła.

- Tak, rzeczywiście - mruknął z zadumą El-Kalaam. Potrząsnął Rachel z taką siłą, że zęby jej zadzwoniły. - Mam wrażenie, że znaleźliśmy twój słaby punkt.

Bonesteel oczywiście zaczął wydzwaniać zaraz po jej powrocie z San Francisco. Daina wiedziała, czego chciał, i była przekonana, że ma mu wiele do powiedzenia, ale rozzłościł ją tak, że narósł w niej solidny mur niechęci i nie chciała odpowiadać na jego telefony. Później uświadomiła sobie, że w ten sposób pragnęła wymusić na nim przyjscie do jej domu.

Nie zrobił tego.

Pewnego ranka na drodze do doliny Daina przystanęła na Sunset. Podjechała do krawężnika, obserwując we wstecznym lusterku jadący za nią wóz policyjny. Nie przekroczyła szybkości ani nie przejechała skrzyżowania na czerwonym świetle. Nie było powodu, by ją zatrzymywać.

Z policyjnego wozu nikt nie wysiadł. Widziała tylko dwie pary przeciwsłonecznych okularów za pocętkowaną słońcem przednią szybą. Samochód podjechał powoli i zatrzymał się obok niej.

• Panna Whitney? - zapytał jeden z młodych mundurowych, chociaż bardzo dobrze wiedział, że to ona.

• Tak?

• Zastanawiam się, czy miałaby pani coś przeciwko temu, by udać się z nami do komisariatu.

• Obawiam się, że w tej chwili to niemożliwe.

• Proszę pani - rzekł ze smutkiem młody policjant - gdyby pani raczyła to zrobić, uznałbym jej decyzję za osobisty zaszczyt. Mój szef skopie mi tyłek, jeżeli pani nie przyprowadzę.

• O co chodzi?

• Sprawa oficjalna.

• A dokładnie co to znaczy?

• Obawiam się, że będzie pani musiała zapytać porucznika Bonesteela, panno Whitney. - Na jego twarzy odmalowało się przygnębienie. - Naprawdę mi przykro.

• Nie ma potrzeby. Jest pan bardzo grzeczny. Czy to pomysł porucznika?

• Nie, proszę pani. - Na jego twarzy błysnął oszałamiający uśmiech typowy

dla L.A. - Mój.

Roześmiała się.

- W porządku. - Wrzuciła bieg. - Niech pan prowadzi, sierżancie.
- Panno Whitney?
- Tak.

Podsunał jej otwarty bloczek mandatowy.

- Ciekaw jestem, czy mógłbym prosić panią o autograf?

Komisariat Bonesteela stał w sercu śródmieścia L.A. Był to brzydki blok w brzydkiej części miasta. Wyglądał jak bunkier czekający na początek wojny.

Biuro detektywa mieściło się na piątym piętrze. Wielka winda cuchnęła starym potem i świeżym strachem. Policjant odprowadził ją na górę, pod drzwi z matowego szkła.

- Oto ona, poruczniku.

Bonesteel podniósł głowę znad stosu papierów. Siedział za biurkiem zasłanym teczkami i cienkimi kolorowymi arkuszami.

- Okay, Andrews.
- Poruczniku... - policjant skierował w górę kciuk - ona jest bardzo miłą damą.
- Daruj sobie te komentarze, Andrews, i spływaj.

Przez pewien czas po wyjściu policjanta patrzyli na siebie bez słowa. Ostre fluorescencyjne światło wylewało się ze szczelin w dźwiękochłonnym suficie. W kącie, gdzie znajdował się metalowy wentylator, płyty sufitu były przyczemione jakby przez pożar.

Przed biurkiem stało wielkie krzesło z szarego metalu i winylu. Bonesteel wskazał je dłonią.

- Chcesz kawy?
- Chcę stąd wyjść - powiedziała zimno Daina.
- Jak tylko pogadamy. Mamy układ, pamiętasz?
- W naszym układzie nie ma słowa o tym, że wolno ci zachowywać się jak ostatni sukinsyn.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Wstał, obszedł biurko i zamknął drzwi. Nie wrócił na fotel, ale przysiadł na krawędzi zarzuconego papierami biurka.

Wyciągnął rękę.

• Widzisz to wszystko? Comiesięczne raporty. Nienawidzę sporządzania raportów. Już jestem dwa miesiące do tyłu, idzie na trzeci, i kapitan dobiera mi się do dupy. - Złożył ręce, splótł palce. - Wszyscy mamy problemy.

• Jeżeli to żart - rzekła zimno Daina - to wcale nie śmieszny.

• Nie żartuję.

• Ciekawa jestem - zaczęła, pochylając się ku niemu - czy naprawdę masz serce pod tymi garniturami od Calvina Kleina.

Jego szare jak łupek oczy zamigotały.

• Lubię się dobrze ubierać.

• Co się stanie po rozwodzie? - wypaliła. - Żona wyposaży cię tak, aby starczyło ci na garderobę?

Wstał i zacisnął szczęki.

• To nie jest zabawne.

• Nie żartuję. - Sprowokowała go celowo. Chciała, by ją uderzył. Właśnie tego potrzebowała. Wtedy mogłaby wyjść i już nigdy go nie oglądać. Potem pomyślała o Maggie. Czy mogła wierzyć, że Meyer jej pomoże? Już mnie to nie obchodzi, wrzasnęła w myślach. Jednak wiedziała, że to kłamstwo.

Bonesteel uśmiechnął się.

• Aha, teraz wiem, co czułaś po naszej rozmowie telefonicznej. Przepraszam.

• Przepraszasz.

• Tak, naprawdę. To był interes. Musiałem sprawdzić, czy naprawdę nie wiedziałaś.

• To znaczy, że za mało było ci tego, czego dowiedziałeś się wcześniej?

• Jesteś aktorką, pamiętasz? Ty i Chris Kerr jesteście podobni jak dwie krople wody. A gdybyś tak specjalnie przemilczała uzależnienie Maggie, bo sama w tym siedzisz?

Wyciągnęła rękę.

- Chcesz poszukać śladów?

Przez chwilę obserwował ją w milczeniu, nie czyniąc żadnego ruchu.

• Wiem, gdzie byłaś. - Powiedział to tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch.

- Wiesz?
- Tak. Musiałem kopać naprawdę głęboko.
- Nie znasz całej historii. Wzruszył ramionami.
- To bez różnicy. W takich miejscach mogą robić z człowiekiem zabawne rzeczy. Niektórzy wychodzą z głodem, rozumiesz, o co mi chodzi.

- Głodem morfiny lub heroiny?

- Tak.

- Jestem czysta, glino.

Roześmiał się.

- Chryste, przykro mi, że miałaś przeze mnie złe chwile. - Wrócił za biurko, zamknął wszystkie teczki. - Andrews miał co do ciebie rację - dodał, nie podnosząc głowy.

- Dzięki.

- Wiesz, to wszawie miejsce na przesłuchiwanie. Masz dzisiaj wolne?

- Kręcimy tylko po południu. Rano robią jakieś wstawki.

- Do diabła, to też wiem. - Podeszedł do drzwi, ujął ją pod ramię. - Chodź, skoczmy na chwilę do domu.

- Patologiczny?

- Tak.

- Jesteś pewna, że tak się wyraził?

- Oczywiście.

- Co taki tępy goryl może wiedzieć o patologii?

Ale Bonesteel teraz mówił tylko do siebie i kiedy Daina stwierdziła: - On według mnie wcale nie jest tępy - nie była pewna, czy w ogóle cokolwiek usłyszał.

Podniósł się z niskiego fotela, podeszedł do fortepianu. Usiadł, patrząc na otwarte nuty koncertu Vivaldiego. Zaczął grać. Nie miał techniki ani talentu swojej córki, lecz grał pewnie i nie fałszował.

Daina opowiedziała mu o przyjęciu, o śmierci Nile'a - zastanawiał się, czy może istnieć jakiś związek z morderstwem Maggie - o przesłuchaniu przez policję, o swoim zeznaniu, pytaniach koronera następnego dnia. Wysłuchał wszystkiego z niezwykłą uwagą; oczy mu płonęły, gdy chłonał jej słowa.

Powtórzyła mu wypowiedziane na przyjęciu słowa Thais: „Ona była outsiderem, tak jak ty. Złamała reguły i została unicestwiona” - jednak on był skoncentrowany na czymś innym. Poprosił ją o powtórzenie tego, co Silka powiedział o Nigelu. - „W owych czasach był szalony” - zacytowała. - „Ale wtedy oni’wszyscy tacy byli: Chris, Nigel i zwłaszcza Jon”.

- Szaleni, tak, tak powiedział. Ale co, jeśli jeden z nich był patologiczny?

Już wiemy, jakie narkotyki zrobiły z Jona psychotyka, wzmacniając jego neurozę ponad wszelką miarę.

Detektyw przestał grać. Siedział z palcami na klawiszach, które wcisnął, by zagrać ostatni akord koncertu. Patrzył na zdjęcie córki.

- To jej ulubiony utwór? - zapytała Daina.
- Co? A, nie. - Uśmiechnął się lekko. - Mój. Bogiem Sarah jest Mozart.
- Bobby - zapytała, opierając się na łokciach na skraju fortepianu - powiesz mi, dlaczego nie zainteresowałeś się tym, co Tie powiedziała o śmierci Maggie?

- A według ciebie powinienem uwierzyć, że Tie rzuciła na nią urok? - parsknął.

- Nie o to mi chodzi.
- Nie wierzę w magię. Zostawiam to fanom Stephena Kinga.
- A jeżeli to Tie zabiła Maggie? Popatrzył na nią.
- Nie jest do tego zdolna.
- Jej umysł jest wystarczająco zły.
- Mówiłem o jej ciele. Fizycznie nie jest dość silna, by zrobić to, co zrobiono Maggie. Do tego potrzeba mężczyzny. - Przebiegł palcami po klawiaturze, jakby ścierał wyimaginowany kurz z jej powierzchni. - Poza tym, nie zainteresowało mnie prawie nic z tego, co ona ci naopowiadała.

- Dlaczego?
- Ponieważ - zaczął powoli - Tie jest w tobie zakochana. Daina roześmiała się.

- Och, nie wygłupiaj się. Nienawidzi mnie. - Ale poczuła skurcz w żołądku.

- Pomyśl nad tym - rzekł Bonesteel, patrząc jej w twarz. - Jak myślisz, co najbardziej mogłoby przerazić taką kobietę?

Lecz Daina już wiedziała.

- Brak kontroli nad emocjami.
- Zobaczyłem to w jej oczach, Daino - oznajmił. - Kiedy wymieniałem twoje

nazwisko, coś w nich jakby zamarzło.

- Z nienawiści. Jest zazdrosna o moje stosunki z Chrisem. Porucznik potrząsnął głową.

- Nienawiść kobiety rozpala, nie mrozi. Tym żyją. Jak myślisz, czy ona kiedykolwiek kogoś kochała? Nie sądzę. Przynajmniej nie mężczyznę. Jej wszyscy mężczyźni byli słabi - potężni, nadziani, ale słabi. To ona dostarczała siły. Jednak tę siłę musi skądś czerpać. I dlatego kobiety są dla niej czymś zupełnie innym. Myślę, że w nich widzi odbicie własnej tajemnicy.

I wtedy Daina oczyma wyobraźni zobaczyła pewien obraz: ona i jej ojciec w spokojny, gorący letni dzień na środku Long Pond na Cape. W łodzi, której płaskie dno śmierdziało solą i rozgrzanymi rybimi wnętrznościami, z wędkami błyszczącymi w powietrzu jak włókna wielkiej pajęczej sieci.

- Spójrz na wodę, kochanie - powiedział ścisłym głosem ojciec. - Patrz tam - przez oślepiające słońce na ciemną przynętę na haczyku.

Oboje, spoceni, znieruchomieli jak posągi. Blisko zielonej powierzchni jeziora rozpadła się chmura komarów, robiąc miejsce dla przemykającego zwinnie topika.

- Czekaj - wyszeptał głosem pełnym tłumionego podniecenia. - Czekaj i patrz na żyłkę.

Słońce łało się z bezchmurnego nieba na jej nagie ramiona, czerwone i obolałe pod koniec dnia. Gęś zakrzyczyła żałośnie, zrywając się z płycizny przy drugim brzegu.

- Teraz - wyszeptał chrapliwie ojciec. - Teraz!

I wówczas zobaczyła. Ciemna żyłka zanurzyła się prawie pionowo, wirując tak, że słońce zabłysło na niej jak na skraju miecza i zapłonęło niczym pochodnia na ułamek sekundy przed tym, nim ryba wzięła.

Niewysłowiona tajemnica absolutnej władzy ojca nad tą chwilą wróciła do niej z taką siłą, że przez moment była oszołomiona. Z drgnieniem zdała sobie sprawę, że przez całe życie próbowała odtworzyć tę chwilę, kiedy cały świat należał do niego i

ojciec był panem nie tylko jej, ale, jak się wydawało, wszystkich stworzeń. Duch tej idei tańczył gdzieś na peryferiach jej świadomości. Istniał pewien sposób na uratowanie Chrisa przed Tie - tylko jeden sposób - lecz Daina zastanawiała się, czy jest gotowa do złożenia ofiary. Mimo to pomysł ów, który mógł przetestować jej rodzącą się moc, rozpałał jej wyobraźnię, prowokował.

- Myślę, że twój wyjazd z kapelą opłacił się - stwierdził Bonesteel, przerywając tok jej myśli. - Jak na razie mam garść bzdur, wszyscy mają niepodważalne alibi. Z wyjątkiem Chrisa, który zniknął ci na pewien czas z oczu w The Dancers, pozostali członkowie zespołu i asysta mogą udowodnić, gdzie byli. - Wskazał palcem. - A trop tej facetki, która była łącznikiem Maggie, może prowadzić donikąd. Popatrzył na nią. - Jesteś pewna, że on nie wie, kim ona była?

- Tak powiedział.

- Wierzysz mu?

- Dlaczego miałby kłamać? Chrząknął.

- A dlaczego ludzie kłamią? Bo mają coś do ukrycia. Jeżeli ta dama dostarczała mu prochów, nie chciałby jej wkopać, prawda? Uhu, hu! Myślę, że nasz chłopczyk coś przed tobą ukrywa.

- Chyba nie zamierzasz sprowadzić go i przesłuchać! - zapytała nieco zaalarmowana.

- Nie jestem taki głupi. - Wstał od fortepianu. - Ty możesz to dla mnie zrobić.

- O, nie. - Podniosła rękę. - Chris jest moim przyjacielem. Nie chcę go okłamywać.

- Wiesz - zaczął z namysłem porucznik - jeżeli ja z nim o tym pogadam, może mi się wypsnąć, skąd wiem o tej panience.

- Nie sądzę, by ci uwierzył.

- Ja też tak nie sądzę. Ale może to posiać w nim ziarno zwątpienia, którego nie było wcześniej.

- Wobec tego pójdę do niego pierwsza...

- I co mu powiesz? - Widziała, że nie napawa się tym zwycięstwem ani nawet nie jest zadowolony. Wyciągnął rękę, dotknął jej ramienia. - Słuchaj, Daino, nie chcę robić niczego w tym stylu. Nie chcę na ciebie naciskać. Jednak chcę złapać tego,

kto zabił Maggie. I niech mnie diabli, zrobię wszystko, by tak się stało. - Twarz mu poczerwieniała. - Nie muszę ci mówić, że nie jest to kolejne uliczne zabójstwo, gdzie jakiś młodociany świr nie umie obchodzić się z pistoletem, albo zakłucie po bójce w barze. Nie, mamy do czynienia z postępkim jakiegoś umyślowo chorego, a nie podoba mi się myśl, że on i jemu podobni chodzą wolni po mieście i może rozmyślają o powtórzeniu tego wyczynu. - Potrząsnął głową. - Ktoś musi ich powstrzymać.

- Jak to się stało, że to masz być ty?
- Mam odwagę. To proste.
- Wiesz, chyba naprawdę tak uważasz.

• A dlaczego nie? Myślisz, że pozuję na macho? - Parsknął. - Kiedy wyciągasz splotkę i kładziesz palec na spuście, lepiej upewnij się, że nie jest to poza, bo inaczej znajdą twój mózg rozbryźnięty na czubkach butów. Nie możesz sobie pozwolić na wahanie. Musisz wiedzieć, głęboko w sobie, co masz zrobić. I robisz to.

- Zabiłeś człowieka? - zapytała cicho.

• Tak, raz. Czarny przełaził przez mur w środku nocy. Byłem wtedy mundurowym. Zareagowaliśmy na pisk. Człowiek miał splotkę kalibru strzelby. Magnum 357. Czymś takim można rozłożyć słonia. Zdmuchnął mojemu partnerowi głowę, gdy ten stał obok mnie z bronią jeszcze w kaburze. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że w człowieku jest tyle krwi. Ten chłopak miał dziewiętnaście lat i był dopiero co po ślubie. Byłem drużbą na jego weselu. Mój cudowny porucznik, ten tchórz, powiedział: „W porządku, Bonesteel, wszyscy wokół uważają cię za bohatera. Teraz chcę, żebyś zrobił coś naprawdę trudnego. Idź i zawiadom wdowę”.

Podszedł do okna, za którym kłęby mgły skrywały czubki drzew i zaciemniały niebo.

• I jak to jest? - zapytała Daina, odwracając się ku niemu. - Chcę wiedzieć, co człowiek czuje, gdy kogoś zabije.

• To uczucie nie przypomina żadnego innego - odparł detektyw, zapatrzonej w przestrzeń. - Człowiek sam to w ten sposób załatwia. Nienawiść i... strach, że samemu zostanie się zabitym, tłumi wszystko inne. Absolutnie nie było mi przykro, że zastrzeliłem tego sukinsyna. Czułem więcej, gdy musiałem powiadomić Glorię, że jej poślubiony dwa tygodnie wcześniej mąż już nie wróci do domu. Ale po zabiciu nie ma w ogóle żadnego prawdziwego uczucia. Tylko pusty czarny dół, który trzeba

przekroczyć, żeby znów można było żyć.

Podeszła za nim do okna.

- Jean-Carlos mówi, że człowiek, w chwili gdy pociąga za spust, nie pozwala sobie na myślenie.

Odwrócił się od mgły.

- Kto to jest Jean-Carlos?

- On uczy nas posługiwać się bronią. Jest uchodźcą z Kuby, który wyrwał się z Morro Castle.

Bonesteel przysiadł na skraju białej sofy, wsparł ręce na kolanach. Wydawał się ogromnie zmęczony.

- Wiesz, od kiedy zamieszkałem w L.A., ciągle jestem zdumiony, jak żarłocznie to miasto przemienia rzeczywistość w fantazję. - Potrząsnął głową.

- Uczy posługiwania się bronią - powtórzył.

- To prawda. Pistoletami i nożami...

- Posłuchaj, co mówisz, na miłość boską! - wybuchnął, zrywając się na nogi.

- Zaraz mi powiesz, że naprawdę wiesz, co robisz.

- Używamy prawdziwych pistoletów.

- Och, pewnie. Oczywiście. - Sięgnął między nogi, wysunął szufladę hebanowego stołu. Szybkim, wypraktykowanym ruchem wyciągnął służbowy rewolwer kalibru 38 z kabury ze sztywnej skóry. Rzucił go jej bez ostrzeżenia.

Krzyknęła, jednak szkolenie Jean-Carlosa wzięło górę i zgrabnie złapała pistolet. Położyła palec na spuście.

- Zwariowałaś! - wyszeptła gorączkowo. - Jest naładowany!

- Ale nie odbezpieczony. - Wyrzekł to z kamiennym wyrazem twarzy, lecz Daina wiedziała, że go zaskoczyła. Spodziewał się, że upuści broń albo odskoczy bojaźliwie.

- Ćwiczyliśmy z tym rodzajem. Wiem, jak się z nim obchodzić.

- Okay. - Wstał, złapał ją za rękę, przeprowadził przez dom do tylnych drzwi. Na zewnątrz było ciepło i duszno. Nie było wiatru. Bonesteel wyciągnął rękę.

- Widzisz tę brzozę? - zapytał. Daina przełknęła ślinę, skinęła głową.

- Powiedziałbym, że rośnie jakieś dwadzieścia jardów stąd. Zobaczymy, czy trafisz w tamto rozwidlenie na wysokości oczu. - Odciągnął bezpiecznik.

- Śmiało - przynaglił. - Przekonajmy się, jak strzelasz.

Daina stanęła przodem do brzozy i, jak ją nauczył Jean-Carlos, lekko rozstawiła nogi. Usztywniła kolana, złapała trzydziestkę ósemkę oburącz i wyciągnęła ją przed siebie. - Mierzając do celu wielkiego jak człowiek

- wbijał jej do głowy Jean-Carlos - nie musisz używać celownika, tylko patrzeć wzdłuż lufy.

Nacisnęła na spust i rewolwer wypalił. Szarpnął się w górę w jej dłoniach, ale ona nie poddała się.

Detektyw przekrzywił głowę.

- Pudło. Nie ma śladu na drzewie. Dalej, dalej. Spróbuj jeszcze raz.

Zniżyła pistolet i patrząc wzdłuż lufy przygotowała się na kopnięcie.

Wycelowwała jeszcze raz, starannie.

- Strzelaj! - warknął Bonesteel. - Jeżeli ktoś do ciebie mierzy, nie masz czasu!

Strzeliła i prawie natychmiast usłyszała jęk rykoszetu. Razem podeszli do brzozy i porucznik przyłożył kciuk do białego miejsca po zdartej korze. Ślad był półtora cala na prawo od rozwidlenia.

• Nieźle - pochwalił. Zabrał jej trzydziestkę ósemkę i wrócił tam, skąd strzelała. Kiedy stanęła u jego boku, zawirował i wystrzelił cztery pozostałe naboje pozornie bez celowania. Nie musiała podchodzić do brzozy, by zobaczyć uszkodzenia uczynione tuż u podstawy rozwidlenia.

- Aleś się popisał.

• Nie - zaprzeczył, otwierając pustą komorę i ładując rewolwer. - Tylko pokazałem ci różnicę. - Zatrzasnął bębenek, zabezpieczył broń. - Jednak muszę przyznać, że bierzesz to poważniej, niż myślałem. Tylko nie dopuść do tego, by rzeczywistość poplątała ci się z fantazją. To, czego się uczysz, jest częścią filmu. Ja zostałem wyszkolony na ulice.

• I masz oko gliny, skoro potrafisz wejrzeć w kogoś takiego jak Tie. Lecz Bonesteel potrząsnął głową i poprowadził ją do samochodu.

- To nie trening; urodziłem się z tym. To oko pisarza.

Wieczorem, po odebraniu wiadomości od Rubensa, że wróci później, Daina zignorowała wszystko i wszystkich i od razu po powrocie ze zdjęć położyła się do łóżka.

Przebudził ją błękitnobiały błysk błyskawicy. Zmrużyła oślepienie oczy. Grzmot przetoczył się z lewej strony na prawą jak słowa na kartce. Zdawał się brzmieć w nieskończoność, ale wreszcie ucichł i wtedy usłyszała dzwonek.

Włożyła szlafrok i zeszła do pogrążonego w nienaturalnej ciszy holu. Znów zagrzmiało, gdy wchodziła do salonu. Śniła o Rubensie, o jego ciele przytulonym do jej ciała, o jego wpeł otwartych ustach dyszących u jej szyi. Znalazła jego twardość i gładziła ją, a wreszcie wsunęła koniuszek między swe wilgotne uda i wtedy oboje krzyknęli.

Zadrżała na to wspomnienie, silne jak zapach piżma. Czuła wilgoć między nogami, sutki miała boleśnie skurczone, materiał szlafroka muskał wrażliwe brodawki z każdym jej krokiem. Potrząsnęła głową, by nieco oprzytomnieć, przeciągnęła palcami przez gęste włosy, odgarniając je z twarzy. Otworzyła drzwi.

Poszarpana błyskawica rozdarła niebo i Daina musiała ocienić oczy. Usłyszała wypowiedziane w ciemności swoje imię.

- Yasmin? - zapytała. - Co ty tu robisz...?

Znowu zajaśniała błyskawica i wtedy zobaczyła stojącą kobietę. Była ubrana w ciemny prochowiec, który kurczowo zaciskała pod szyją. Z jej twarzą coś było nie tak.

- Yasmin? - Daina wyciągnęła rękę, musnęła czubkami palców lewy policzek przyjaciółki. Usłyszała jęk bólu. - Mój Boże, co ci się stało? - Nie czekając na odpowiedź wciągnęła ją do środka, zamknęła drzwi. Zaczęło padać. Usłyszała deszcz bębniący o dach i szyby okien od zachodniej strony.

Objęła aktorkę i poprowadziła do salonu. Tam zapaliła stojącą obok kanapy lampę. Ujęła Yasmin pod brodę i obracała jej twarz w jedną i w drugą stronę. Lewy policzek był zaczerwieniony i opuchnięty. Wiedziała, że jutro, jeżeli natychmiast nie przyłoży się do niego okładu z lodu, stanie się czarny jak żużel.

- Chodź - powiedziała, prowadząc Yasmin do baru. Kazała jej usiąść, po czym naląła szkockiej z lodem. Yasmin nie ruszyła alkoholu. Drżała. Łzy spływały jej po twarzy.

Daina sięgnęła do wiaderka z lodem, owinęła garść kostek w gruby ręcznik. Wróciła do aktorki, ostrożnie przyłożyła okład do długiego siniaka. Kobieta skrzywiła się, ale nic nie rzekła.

Daina zmusiła ją do wypicia paru łyków szkockiej, a później poprosiła:

- No, to powiedz mi, co się stało.
- Przepraszam, że zawracam ci głowę - wyszeptała Yasmin. - To nie ina nic wspólnego z tobą.

- Nie bądź głupia, Yasmin. Od czego są przyjaciele? Masz - napij się jeszcze.

Yasmin zakaszłała, pociągając łyk szkockiej, i z zażawionymi oczyma odsunęła resztę drinka.

- Wieczorem wróciłam do domu George'a po resztę rzeczy. Wiesz, miałam tam jeszcze parę ubrań i... osobiste drobiazgi. - Znow płakała, odwracając głowę. Daina musiała przesunąć rękę, by utrzymać okład z lodem przy napuchniętym policzku. - Był bardzo pijany... bardzo zły. Nigdy... nigdy nie widziałam go w takim stanie. Naprawdę... myślałam, że stracił rozum. Wrzeszczał na mnie, kłął, syczał. „Nie chcę, żebyś odeszła, Yasmin”, ryczał. „Nie pozwolę ci odejść.” Lecz wiedziałam, że wcale nie mówi tego poważnie.

Nie... nie powiedziałam ci całej prawdy o tym, dlaczego go opuściłam. Chciałam zostać, naprawdę, jednak byłam dla niego zbyt silna. George jest bardzo staroświecki i chyba... przytłaczała go moja swoboda seksualna. Był przerażony... moją agresywnością w łóżku.

- Uderzył cię.
- Wziął mnie... siłą. - Aktorka zadrżała i Daina objęła ją, przytuliła, przekazując jej swoje ciepło. - Zgwałcił mnie. - Yasmin potrząsnęła głową.

- Mówi się, że kobieta nie może zostać zgwałcona, o ile tego nie chce, ale to nieprawda. Jestem silna, Daino. Wiesz, że tak jest. - Teraz mówiła jak mała dziewczynka. Dainie pękało serce. Pocałowała ją w wilgotne czoło. - Lecz George był silniejszy. Posiadał... nie wiem... demoniczną siłę. Większą od ludzkiej. Im bardziej... się broniłam, tym stawał się silniejszy. Wiedziałam... jakaś część mnie myślała: No cóż, jeżeli będę leżała spokojnie, nie reagując, może to go zniechęci i przestanie. Jednak to oznaczałoby... - znowu zadrżała rezygnację ze wszystkiego: z samej siebie, z mojej kobiecości, mojego człowieczeństwa. Nie mogłam... po prostu nie mogłam się do tego zmusić. Więc walczyłam coraz mocniej. To było straszne, w ogóle nie jak seks, ale jak wojna... jak śmierć. Myślałam, że umieram i, przez chwilę, chciałam umrzeć. - Szlochała, przytulając policzek do piersi Dainy, nie przestając się kołysać. -

Oto, co mi zrobił - mnie, która nade wszystko kocham życie! Sprawił, że chciałam umrzeć. Chryste, Daino! Jezu Chryste!

Po pewnym czasie Daina podniosła ją, powoli wyprowadziła z salonu do sypialni. Posadziła na skłębionej pościeli, po czym wyszła do łazienki i napuściła wody do wanny. Dołała fiołkowego płynu.

Kiedy wróciła do pokoju, Yasmin siedziała w tym samym miejscu, z rękoma bezwładnie spoczywającymi na kolanach. Daina uklękła obok niej i powiedziała:

- Yasmin, chcę, żebyś się wykąpała. Dobrze? Chodź. - Zaczęła rozpinąć jej prochowiec. - Chodź. - Aktorka gwałtownie odwróciła głowę. Oczy miała na wpół przytomne. - Yasmin, to tylko ja. Chodź. - Rozpięła pierwszy guzik. - To ci dobrze zrobi.

Jeden po drugim rozpięła pozostałe guziki i powoli zdjęła jej płaszcz. Gwałtownie wciągnęła powietrze, całkowicie nie przygotowana na to, jakie wrażenie wywrze na niej widok nagiego ciała kobiety. Może był to opóźniony efekt erotycznego snu albo przytłaczającego uczucia czułości i opiekuńczości w stosunku do przyjaciółki. Niezależnie od przyczyn była ogromnie, zawstydzająco podniecona.

Z przyspieszonym pulsem zaprowadziła Yasmin do łazienki, pomogła jej wejść do wanny. Ta położyła się, zamknęła oczy. Oddychała głęboko, obrzmiałe czubki jej piersi wystawały lekko ponad fiołkową pianę.

Daina uklękła obok wanny, przyłożyła lód do jej policzka.

- Daino...
- Tak, kochanie.
- Czy mogłabyś mnie namydlić?

Dainie serce załomotało w gardle, żołądek skurczył się w ciasny węzeł. O Boże, pomyślała. Ale Yasmin potrzebowała jej i w jej prośbie nie było nic prowokującego...

Wzięła mydło, zaczęła wodzić dłońmi po smukłych kończynach kobiety. Namydliła jej ramiona, ręce, nogi, stopy, boki, brzuch. Ścisnęła własne uda, jakby to mogło powstrzymać przenikające ją uczucie. Czuła nabrzmiewające piersi, kropelki potu pojawiły się na linii jej włosów.

Co się ze mną dzieje? - pomyślała, gdy jej ręce poruszały się jakby same. Stawała się coraz bardziej podniecona. Zadowolona była, że klęczy w tej pokornej

pozie, w jej głowie kołatała wciąż myśl, że Yasmin przyszła do niej, że tylko ona może ją pocieszyć...

Znieruchomiła. Palce aktorki miękko, delikatnie nakryły jej dłoń, przesunęły ją w górę, na brzuch, wyżej, przez biodra, do rozgrzanych piersi.

Po raz pierwszy Daina dotknęła sutków Yasmin. Były twarde i jednocześnie miękkie, lekko gumowe i długie, przypominały jej wzwiedziony męski penis. Mimowolnie gładziła piersi, od szerokiej podstawy do czubków stożków, szarpała za sutki coraz mocniej i mocniej, używając tylko kciuka i palca wskazującego.

Coś ścisnęło ją za gardło, jakaś nieprzemierzona emocja; walczyła ze wszystkich sił, by powstrzymać zniechęcony smak gumy z dala od ust; czarne obrazy łopotały jak żagle na skrajach jej świadomości.

Wiedziała, co się stanie, wiedziała, że pragnie Yasmin, że ona przyszła tutaj w tym celu. I wiedza, że została uwiedziona, dodatkowo wzmagająca jej podniecenie.

Podniosła powieki i zobaczyła wpatrzony w siebie migdałowe oczy kobiety; ich brąz był miękki jak skóra jelenia.

- Pomóż mi, Yasmin - wyszeptała. W głowie jej wirowało.
- Tak. - Szerokie, zmysłowe usta aktorki rozchyliły się w czułym uśmiechu. - Moja słodka Daino. Wiem, czego chcesz. - Pochyliła się, jej wargi przywarły do szyi Dainy niczym otwarty kwiat. - Zdejmij szlafrok... o tak. Tak. Aach!

- Są piękne, Daino - westchnęła Yasmin. - Czy kiedyś ci mówiłam, jak piękne są twoje piersi?

- Nie. - Jej głos, ostry i zduszony-, wydobywał się jakby z gardła kogoś innego.

- Hm, no cóż, powinnam. - Przekręciła się na bok. Twoje całe ciało... - jej głos był pieszczotliwie przeszywający jak jedwabna strzała - jest piękne.

Oczywiście nieprzytomnymi z pożądania obserwowała ręce Yasmin sunące po żebrach w kierunku dolnych partii piersi. Chłodne, blade pręgi światła padały na ogromne łożo z koralową satynową kołdrą. Leżały obok siebie, nagie.

Daina sapnęła, gdy poczuła, jak ciepłe ręce Yasmin podnoszą jej piersi, obejmują je. Potem czubki palców zaczęły wędrować wokół wrażliwych sutków, krążąc coraz to bliżej. Zrodzone w piersiach iskry rozkoszy przebiegły przez ciało Dainy, zebrały się między udami. Nogi zaczęły jej drżeć i podniosły się mimowolnie,

ale Yasmin spokojnie ułożyła je z powrotem na prześcieradle. Daina oddychała chrapliwie.

Wreszcie palce dotarły do brodawek i zaczęły pieścić je delikatnymi muśnięciami. Daina jęknęła. Sutki miała tak sztywne, że każde dotknięcie sprawiało ból. Poczwała usta aktorki przy uchu.

- Dobrze? Skinęła głową.
- Zatem powiedz mi, kochanie. Powiedz mi.

Głowa Yasmin opadła w cień, jej otwarte usta otoczyły sutki Dainy. Ta krzyknęła i mimowolnie rozsunęła uda, poderwała biodra z pościeli.

- O Boże...
- Powiedz mi. Powiedz. - Usta szarpały, ssały, skręcały sutki.
- To... oooch! jak w niebie.
- Tak... tak! - Był to zwierzęcy krzyk.

Daina przesunęła ręce w dół, do źródła wilgoci, marzyła o tym, by je pocierać, lecz palce Yasmin zamknęły się na jej nadgarstkach. - Nie, kochanie. Ja to zrobię. - Podniosła się i Daina zobaczyła kołyszące się piersi. Ujęła je w dłonie, gorące i pełne. Towarzyszące temu uczucie nie przypominało żadnego innego. Jej kciuki badały twarde sutki tak długo, póki Yasmin z jękiem nie opadła w dół.

Natychmiast łono Dainy zostało ogarnięte wilgotnym żarem. Poczwała ręce kobiety na pośladkach, czubki palców w szczelinie, jeden długi paznokieć wnikający...

W tej samej chwili język Yasmin wsunął się prosto w jej wnętrze. Daina wygięła się w łuk. Miała wrażenie, że w pokoju znajduje się pracujący na pełnych obrotach silnik. Wplotła palce we włosy aktorki, przycisnęła jej twarz do siebie. Prężąc się, krzyczała aż do ochrypnięcia.

Po pewnym czasie otworzyła oczy i wciągnęła zmysłowe ciało Yasmin na siebie.

- Powiedz mi - wyszeptała chrapliwie - co robić. - Nie zdawała sobie sprawy, że już zaczęła, że źródło, teraz otwarte, czyni ją tak nienasyconą, iż dwie godziny później Yasmin błagała ją, by przestała.

Ciszę nocy przerwał dzwonek telefonu. El-Kalaam, jedzący z płaskiego talerza palcami prawej ręki, nie odbierał przez długi czas. Wreszcie podszedł do aparatu,

podniósł słuchawkę.

- Tak. - Głos miał zimny, pewny. Oczy, przysłonięte ciężkimi powiekami, były rozjaśnione przez pasy światła wsączającego się przez luki w zasłonach na oknach od frontu.

- Więc otrzymał pan mój mały prezent. - Grube usta skrzywiły się w parodii uśmiechu. - Nie, Piracie. Jego śmierć spada na pańską głowę. Nie spełnił pan naszych żądań w ustalonym czasie. Ponosi pan konsekwencje swoich poczynań. - Głos mu stwardniał. - Niech pan mi tego nie mówi i nie spodziewa się, że w to uwierzę! Prawda? Nie poznałby pan prawdy, gdyby nawet miał ją pan przed czubkiem nosa... Lepiej niech pan zrobi to, co, jak pan wie, może pan zrobić, Piracie. Zabijanie jest dla mnie niczym; śmierć jest jak wiatr. Ale... z drugiej strony... ja nie mam kraju. Ukradliście mój kraj, lecz ja go odzyskam! Oddajcie mi go, Piracie! Ty i amerykański prezydent. Możesz i zrobisz to. Zostało tylko sześć godzin. Wykorzystaj je rozsądnie. Później naprawdę będziesz bezradny. - Odłożył słuchawkę. - Emouleur.

Młody francuski attache przeszedł przez pokój, klucząc między leżącymi na podłodze zakładnikami. El-Kalaam objął go.

- Zrobiłeś, o co prosiłem? Mężczyzna skinął głową.

- Tak. Porozmawiałem z innymi o słuszności palestyńskiej sprawy. O złodziejstwie Izraelczyków.

- I co odpowiedzieli?

- Trudno osądzić.

El-Kalaam przysunął twarz do jego twarzy.

- Nie zbywaj mnie, Francuzie.
- Nie mogą... nie mogą darować panu tego, co pan im zrobił.
- Im? - krzyknął terrorysta. - Co ja im zrobiłem? A co nam zrobiono? Nam, Palestyńczykom? Czy oni są ślepi, czy głupi, że nie widzą, że to syjoniści zmusili nas do zastosowania ekstremalnych środków? - W jego głosie pobrzmiwał strach i nienawiść. - Nie znajdziemy przyjaciół na Zachodzie. Zostali przekupieni przez syjonistów. Odwrócili się od prawdy.

- Rozumiem pańskie stanowisko - powiedział Emouleur. - Cała Francja rozumie.

- No, zobaczymy. Chcę mieć podpisane oświadczenia pana i ambasadora

oraz angielskich dyplomatów, popierające nasz punkt widzenia. Nie kłopotz się o sformułowanie. Dam ci wzór.

- Ja nie...
- Chcę mieć oświadczenia natychmiast. - El-Kalaam złapał Emouleura tak mocno, że młody człowiek krzyknął. - Jesteś odpowiedzialny za ich popisanie. - Potrząsnął Francuzem. - Daję ci szansę udowodnienia swojej wartości przed ludem Palestyny. Drugiej nie będziesz miał. - Jego oczy były przeszywające. - Nie zawieźdź mnie.
- Nie sądzę, że przystaną na to łatwo, o ile w ogóle.
- Nie mów mi o trudnościach - syknął El-Kalaam. - Rewolucje nigdy nie przebiegają bez problemów. Wymagają osobistych ofiar, bólu i wyparcia się samego siebie. Nie polegają na czytaniu książek. Nie! Jesteś prawdziwym rewolucjonistą czy nie? - Wpatrywał się w twarz Emouleura, póki ten nie przytaknął.
- Nie zawiodę pana - zapewnił Francuz.

Po drugiej stronie pokoju Heather i Rachel leżały obok siebie.

- Co miał na myśli El-Kalaam, kiedy powiedział, że znalazł twoje słabe miejsce? - zapytała Rachel.
- Że może złamać mnie przez ciebie.
- Przeze mnie? Jak?
- Gdy zrobi ci krzywdę.
- To prawda?

Heather skierowała oczy na Emouleura, który wstawał z podłogi.

- Nie chcesz mi odpowiedzieć - kontynuowała dziewczynka. - Jednak musisz. Kłamstwo teraz mi nie pomoże... nie pomoże żadnej z nas. Co się z nami stanie, jeżeli przestaniemy sobie ufać? Zabiorą nam całą resztę. Nic nam nie zostanie.

Kobieta obdarzyła ją nikłym uśmiechem i uścisnęła. Westchnęła.

- Coś ci powiem. Nie sądziłam, że zrobię to kiedykolwiek. Kiedy James uratował ci życie i stracił własne, nie rozumiałam tego. Byłam zła. Co my mamy z nią wspólnego? - myślałam. Obchodził mnie tylko James; chciałam, żeby żył, ze mną.

A kiedy powiedział, że każdy musi dokonać w życiu wyboru, nie wiedziałam, o czym mówi. Teraz chyba rozumiem. - Podniosła związane ręce i odgarnęła włosy z oczu.

- Tak - rzekła cicho. - Wierzę, że on może złamać mnie przez ciebie.
- Nie pozwól mu - rzuciła spieszenie Rachel. - Bez względu na to, co się stanie, nie wolno mu złamać ciebie czy mnie. Czyż nie mówiłaś mi, że musimy wytrwać, że musimy walczyć?

- Tak, ale...

- Żadnych ale - ucięła ostro Rachel. - Poważnie. Mój ojciec nie przychylił się do żądań żadnego ugrupowania terrorystycznego. Czy myślisz, że chciałby czy mógłby zniszczyć cały Izrael, by uratować życie swojej córki?

- Potrząsnęła głową.

- A zatem co się stanie? Dziewczynka spojrzała na nią.
- Być może umrzemy, jeżeli El-Kalaam jest w stanie spełnić swoje groźby.
- Myślę, że jest. - Heather popatrzyła na czerń sufitu. - Och, Boże - wyszeptała - po raz pierwszy rozmyślałam o własnej śmierci. - Spojrzała na Rachel. - Musimy się stąd wydostać. Lecz nie mam pojęcia, jak możemy zrobić to same.

- Może nie będziemy musiały. Mój ojciec nam pomoże.

- Ale jak? Mówiłaś, że nie zrobi niczego...

- Co by narażało na niebezpieczeństwo państwo. Nie twierdziłam, że nie będzie próbował nas uratować. - Pokiwała głową. - Będzie próbował.

- Wiesz kiedy?

- Na pewno tuż przed upłynięciem terminu. Żadna inna pora nie wchodzi w rachubę. Może to będzie dywersja. Musimy się przygotować.

- Ale jak?

Rachel odchyliła do tyłu głowę, zamknęła oczy.

- Tego nie wiem.

Lise-Marie dostarczyła wszystko, z wyjątkiem jednego składnika, w małym białym kartonie.

- Wszystkie rodzaje tej magii - moja - oparte są na seksie - powiedziała, pochylając się nad ladą. Manus spoglądał obojętnie żółtymi ślepiami. - Musisz zdobyć cał kwadratowy jedwabnej pończochy. Nie nylonowej, zapamiętaj, tylko jedwabnej.

- To łatwe - rzekła Daina z mordem w sercu. - Niedaleko miejsca, gdzie mieszkam, jest sklep.

- Nie, nie, dziecko. - Lise-Marie ruchem ręki odpędziła jej słowa. - Z nowych pończoch żaden pożytek. Musi być w nich życie, rozumiesz? Muszą być używane. Muszą mieć w sobie kobiece olejki - ale nie twoje.

Daina pomyślała o Denise i Erice, jednak nie miała pojęcia, gdzie one mieszkają i jak naprawdę się nazywają. Wiedziała, że w Novej występują pod przybranymi imionami. Wreszcie zaczęła pojmować w pełni naturę dualizmu życia, jakie wiodła.

I tak została zmuszona do powrotu do domu. Jej matka była jedyną znaną jej osobą, która nosiła jedwabne pończochy; z pewnością nikt, kogo znała w szkole, takich nie miał.

Przybyła wczesnym popołudniem, mając nadzieję, że to najlepsza pora, że Monika będzie na zakupach. Z drżeniem wsunęła klucz w zamek i pchnęła drzwi, pragnąc jedynie wsmyknąć się po wyłożonych chodnikiem schodach do pokoju matki, włamać się do jej toaletki i ostrożnie zabrać...

- Więc wróciłaś.

Daina podskoczyła. Monika, jakby wiedzioną nieomylną matczyną intuicją, siedząc w salonie czekała na przybycie córki.

- Czy wiesz, ile bezsennych nocy mnie kosztowałaś? - Daina nie sądziła, by przypawiła matkę choć o godzinę bezsenności. - Bardzo się o ciebie martwiłam, Daino. - Ale, dziwne, Monika wyglądała na spokojniejszą niż zwykle.

- Gdzie byłaś? - Matka wstała, podeszła do Dainy. Była wysoką kobietą, wyższą niż Gabors, jej figura była tak samo bujna. Zrobiła coś z włosami. Były długie i spryskane lakierem, otaczały jej piękną twarz o wysokich kościach policzkowych jak aureola polerowanego srebra. - Nie oczekuję, że mi powiesz. Naprawdę, nie musisz. Ostatecznie mamy prawo do zachowania własnych sekretów. - Daina stała nieruchomo jak. głaz. W chwili gdy Monika zaczęła mówić, spodziewała się kolejnej zjadliwej i pełnej wrzasków sceny, co było normą od czasu śmierci ojca. - Po prostu martwiłam się o ciebie. - Jej oczy prześliznęły się po figurze córki od góry do dołu. - Widzę, że straciłaś na wadze. - Zawahała się. - Długo zostaniesz?

- Nie.

- No cóż, możesz zostać. - Monika mówiła cichym głosem. - Bez zadawania pytań. - Rozłożyła ramiona. - Skłamałabym mówiąc, że nie chcę, byś została.

- Nie chciałam tu przychodzić. Nic tu po mnie.

Matka wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Podniosła upierścienioną rękę do skroni, jak gdyby Daina z każdym słowem głębiej wbijała w nią nóż. Jej usta ułożyły się w uśmiech, który nie dotarł do oczu.

- W porządku, kochanie. Chyba potrafię zrozumieć, co czujesz. Idź... - Szlochała, ramiona jej drżały.

- Mamo... - Daina nie wiedziała, co czuje. Jej serce zalał potok emocji.

- Och, cholera - skarciła się Monika. - Obiecałam sobie, że nie załamie się przy tobie. - Podniosła głowę. Łzy zmyły makijaż na jej policzkach, nadając jej nietypowo kruchy i bezbronny wygląd. - W porządku, jeżeli musisz iść, ale... Nie wyświadcysz mi jednej przysługi? Będzie mi łatwiej, gdy zgodzisz się na badanie. Chciałabym wiedzieć, czy nic ci nie jest.

Daina wyraziła zgodę. Badanie lekarskie wydawało się niewielką ceną za milczenie matki i gładkie przejście przez okres, który Daina uważała za ich ostatni spędzony wspólnie.

Był środek zimy i Monika powiedziała, że Melville, stary lekarz rodziny, jest na urlopie. - W każdym razie - rzuciła lekko - znalazłam kogoś dużo lepszego.

Założę się, pomyślała z przekąsem Daina. Niemniej jednak udała się pod wskazany adres na White Plains. Doktor Geist był rumianym osobnikiem z nieskazitelnie przyciętymi białymi wąsami, których cienkie i sztywne jak drut końce sterczały po obu stronach ust. Nosił okulary dwuogniskowe, za którymi czaiły się wodniste, niebieskie oczy. Miał nawyk wydmuchiwania powietrza przez ściągnięte usta, kiedy był pogrążony w myślach albo gdy wyjaśniał pacjentowi szczególnie zawiłą procedurę. W konsekwencji jego policzki zawsze wyglądały na okrągłe i pyzate - i tak samo czerwone jak policzki Św. Mikołaja.

Przebadał Dainę i zapytał, czy nie miałyby nic przeciwko paru dalszym, bardziej szczegółowym testom diagnostycznym. Kiedy zgodziła się, lekarz wysłał ją do poczekalni, ubraną w ten dziwny niewygodny kitel, który zawsze dostaje się w gabinetach medycznych, zawiązywany na plecach i sprawiający więcej kłopotów, niż to warte.

Daina coraz bardziej niecierpliwie wertowała numery *Better Homes & Gardem* i *Timesa* sprzed pół roku, nie czytając ani słowa. Po czterdziestu pięciu

minutach została wezwana do sanktuarium doktora Geista. Mężczyzna uśmiechnął się dobrotliwie i wstał na jej widok.

- Ciekaw jestem, panno Whitney, czy zgodzi się pani towarzyszyć mi do instytutu medycznego po drugiej stronie Parkway?

- Po co? - zapytała Daina. - Coś złego?

- No cóż - mruknął lekarz, wychodząc zza masywnego dębowego biurka - korzystać z ich usług, gdy tylko muszę przeprowadzić dodatkowe testy. Zapewniam panią, że nie potrwa to długo.

- Ale co jest ze mną nie tak? Czuję się świetnie.

Doktor, nadal uśmiechając się, objął ją i poprowadził do drzwi.

- Proszę ze mną, panno Whitney. Nie ma powodu do obaw. Jest pani w dobrych rękach.

Jak wszyscy lekarze, nie zamierza wyznać mi prawdy, pomyślała Daina, dopóki nie będzie gotowy.

Instytut Medyczny Cedars był białym czteropiętrowym budynkiem, z rzędem jasnych kamiennych filarów i szczytów wzdłuż najwyższego piętra, który usilnie starał się nie wyglądać na szpital. Stał za niewiarygodnie wielkim pocętkowanym śniegiem trawnikiem z porzrzuconymi gdzieniegdzie wielkimi, poskręcanyimi wiązami.

Wszystko wydawało się całkowicie w porządku, póki lekarz nie przeprowadził jej przez zabezpieczone siatką drzwi na końcu długiego, prostego korytarza. Daina usłyszała wtedy głośny szcęk zamka.

- Po co to? - zapytała, odwracając się.

- To tylko względy bezpieczeństwa - wyjaśnił doktor Geist. - Mają tutaj mnóstwo narkotyków. - Uśmiechnął się. - Nie chcielibyśmy, żeby dostały się w niewłaściwe ręce, prawda?

Dainę zaniepokoiło to, że zwracał się do niej jak do dziecka, zbyt małego, by mogło mieć własne zdanie, lecz milczała i pozwoliła mu się prowadzić.

- Chodźmy - powiedział - to potrwa tylko chwilę. Wszystko zostało przygotowane.

Jednak teraz, gdy rozejrzała się wokół, ogarnęło ją przyprawiające o mdłości wrażenie, że coś pominęła. Było jasne, że znajdują się w części szpitala nie

widywanej przez większość pacjentów, bez względu na to, co mówił doktor. Zobaczyła, że drzwi wszystkich sal są zamknięte od zewnątrz.

Nagle zatrzymała się i spróbowała zawrócić.

- Do diabła, dokąd pan mnie zabiera?

Mężczyzna nie wyrzekł ani słowa, tylko bezgłośnie ruchem wolnej ręki wezwał krzepką pielęgniarkę, która złapała Dainę pod drugie ramię.

- Chodź, kochanie - rzekła. - To dla twojego dobra. Zobaczysz. Zaufaj doktorowi.

Daina wlepiła oczy w jej płaską twarz, zwracając uwagę na ciemne włosy nad górną wargą.

W miarę posuwania się w głąb szpitala coraz wyraźniej słyszała stłumione dudnienie, rytmiczne i na swój sposób przerażające. Dobiegało ono zza zamkniętych drzwi, jak gdyby uwięzione były za nimi olbrzymie serca.

Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami takimi samymi jak wszystkie inne. Pielęgniarka wyjęła klucz z kieszeni fartucha, wsunęła go w zamek. Weszli do małej klitki z łóżkiem, komodą i maleńkim oknem osłoniętym metalową siatką, umieszczonym tak wysoko, że widać było przez nie jedynie pośepnie szare zimowe niebo.

- Co ze mną zrobicie? - W głosie Dainy było tyleż gniewu, co strachu.

Doktor Geist spojrział na nią zza szkieł dwuogniskowych okularów. Jego dystyngowany wygląd wzbudzał zaufanie.

- Panno Whitney - zaczął swym najbardziej stentorowym głosem – jest pani poważnie chora.

Czuła kurczący się niebezpiecznie żołądek, ale zapytała spokojnie:

- Co pan ma na myśli? Od trzech lat nie byłam nawet przeziębiona. Cienkie wargi mężczyzny uniosły się w górę. Daina pomyślała, że tak wygląda uśmiech boga.

- Nie mówimy o pani ciele, panno Whitney, lecz o pani umyśle. Umysł jest dziwnym, skomplikowanym systemem i częstokroć subiektywna wiedza jest źródłem fałszywych sygnałów. Jedynie przez czysto obiektywną obserwację można postawić właściwą diagnozę. - Złapał palec ręką i szarpnął tak, że strzeliła kostka. - Pani osobowość jest nieco niezrównoważona. Mówiąc jak najprościej, ma pani początki psychozy. - Pochylił się nad nią, nagle wielki jak niedźwiedź, chociaż wcześniej wcale nie myślała, że jest duży. - Te stałe ucieczki z domu są próbą wyparcia się

rzeczywistości.

Daina pomyślała, że doktor Geist zwariował. Spróbowała wyminąć go i dopaść drzwi.

Złapał ją z łatwością i jego ręce o grubych palcach zacisnęły się na jej ramionach z taką siłą, że zapiszczała mimo woli.

- Strasznie mi przykro... - w jego głosie brzmiały szczere przeprosiny - jednakże nie oczekujemy, iż pani zgodzi się z taką diagnozą. Ostatecznie brakuje pani właściwej, ach, bezstronności, by dokonać trafnego osądu. - Potrząsnął nią lekko, jak gdyby to mogło naprowadzić ją na właściwe tory.

- Cierpi pani na głęboko zakorzenioną chorobę, panno Whitney. Musi pani nauczyć się nam ufać. Wiemy, co jest dla pani najlepsze. - Ta myśl wydała się tak zabawna, że zachichotał; dźwięk był gęsty jak melasa i miał ją prześladować długo po wyjściu ze szpitala.

Przytulił ją, jednak w tym geście nie było śladu ciepła, cienia zażyłości, i Daina zastanowiła się po raz pierwszy, jakież to specjalny trening muszą przechodzić lekarze w celu odcięcia się od reszty ludzkości. Zastanawiała się, czy w życiu prywatnym są równie zimni. Czy swoje żony traktują w łóżku z tym samym gruboskórnym lekceważeniem? Czy poklepują swych synów i córki z równie wypraktykowaną obojętnością? Czy jakaś osobista tragedia wywołuje u nich łyzy żalu? Podejrzewała, że nie. Ale nie czuła współczucia dla doktora Geista czy jego rodziny. Nie, odczuwała tylko gniew płonący w sercu jak zimny płomień i narastający mur niechęci, mocniejszy niż najtwardszy diament. Nie poddam się, przysięgła. Bez względu na wszystko, nie poddam mu się.

- Nie ma o co się martwić - mówił lekarz lekkim tonem. - Ma pani wielkie szczęście, że znalazła się w dobrych rękach. Znamy najszybsze metody leczenia. W jednej chwili postawimy panią na nogi, zgoda?

- Ale ja już czuję się doskonale - zaprotestowała, lecz doktor Geist podniósł palec i potrząsnął nim znacząco przed jej twarzą.

- Wkrótce pani zrozumie. Daina zebrała się w sobie.

- Chcę wiedzieć, co zamierzacie ze mną zrobić.

- Czy kiedykolwiek słyszała pani o insulinowej terapii szokowej? – zapytał doktor. Jego twarz błyszczała w ostrym górnym świetle. - Nie, widzę po pani minie.

Nieważne. Tak jest lepiej. Widzi pani, proces jest całkiem prosty. Duże dawki insuliny wstrzyknięte pacjentowi powodują swoistą śpiączkę szokową. Nie ma się czego obawiać. To oznacza jedynie, że na chwilę pokonujemy pani świadomy umysł. I podczas tego, ech, snu, możemy wydobyć na powierzchnię pani podświadomość, gdyż to tam mieści/się źródło pani problemów. - Tam mieści się twój problem, pomyślała Daina. - Pani, ech, powie nam, na czym polegają jej problemy, a terapia grupowa między zabiegami pomoże je rozwiązać.

Jutro sam zabiorę panią do gabinetu zabiegowego, aby, ach, zaznajomiła się pani z otoczeniem. Pewne, uch, elementy początkowo mogą wydawać się trochę przerażające.

- Czy moja matka wie o tym wszystkim?
- Panno Whitney - rzekł z wolna lekarz, jakby wyjaśniał coś niezwykle prostego opóźnionemu w rozwoju dziecku - to pani matka przyszła do mnie po radę odnośnie, ech, pani zdrowia.

- Zdrowia? - krzyknęła Daina. - Jestem zdrowa.
- Oczywiście. - Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.
- Jest pan głupi jak but. - A kiedy to nie zadziało, zażądała: - Chcę się z nią widzieć.

Uśmiech trwał, szeroki, wyuczony.

- Przykro mi, panno Whitney, ale regulamin instytutu zakazuje odwiedzin przez okres osiemnastu dni. Niestety, również rozmów telefonicznych. - Zatarł ręce, zadowolony z siebie. - No, skoro to ustaliliśmy, niech resztą zajmie się personel szpitala. Zobaczymy się rano.

Dotrzymał słowa. Obudzili ją o czwartej nad ranem i ubrali w świeżą szpitalną koszulę. Geist czekał na nią raczej niecierpliwie, jakby spóźniała się na ich pierwszą randkę. Lecz jego uśmiech był taki sam, gdy pojawiła się w korytarzu przed drzwiami. Towarzyszyła jej ta sama krzepka pielęgniarka, która przyprowadziła ją dzień wcześniej. W korytarzu nie było okien i przez dwadzieścia cztery godziny paliły się światła. Wywierało to niepokojący efekt.

Twarz doktora była świeżo ogolona i tak czerwona, jakby całą noc spędził na saniach, rozwożąc prezenty i wrzucając je do kominów. Pachniał silnie tanią męską wodą kolońską, znajomą Dainie do tego stopnia, że uznała ją za kompletnie

anonimową. Znów jego palce zacisnęły się na jej ramieniu jak stalowe opaski.

- Dziękuję, panno MacMichaels - rzucił krótko, gdy Daina pozwoliła mu poprowadzić się korytarzem. Przy pierwszym rozgałęzieniu skręcił w prawo, potem w lewo, w korytarz identyczny jak pierwszy. O tej porze w szpitalu panowała niesamowita cisza; słychać było nawet ciche popiskiwanie gumowych podeszew na jasnozielonym linoleum.

Geist zatrzymał się w połowie korytarza. Wbił rękę w kieszeń tweedowych spodni i wyjął klucz. Za drzwiami ukazały się prowadzące w dół ciemnozielone metalowe schody. Klatka schodowa była wilgotna, zimna i odstraszała. Ściany i sufit były z surowego betonu, niczym nie ożywione i okropnie monotonne.

Nim dotarli do drugiego podestu, do uszu Dainy zaczęły docierać ciche odgłosy. Wybuchały i drżały w powietrzu; wtedy przekręcała głowę na bok w próbie ich zrozumienia.

Doktor sprowadził ją na trzeci poziom i gdy wyszli z klatki schodowej, dźwięki rozbrzmiały z nową siłą, gwałtownie, szokująco: to wrzeszczeli ludzie. Hałas nie był stłumiony, lecz doskonale wyraźny.

Daina zadrżała i spróbowała zawrócić, ale mężczyzna zacieśnił uchwyt na jej ramieniu, na wpół wlokąc ją u swego boku.

- Dlaczego oni to robią? - zapytała cichutko.
- Staraj się nie zwracać na to uwagi - rzucił beztrąsko Geist. - To tylko efekt uboczny kuracji.
- Ma pan na myśli insulinową terapię szokową? - A kiedy nie odpowiedział, żołądek skurczył się jej ze strachu. - Nie chcę tak wrzeszczeć.
- W ten sposób, moja droga panno Whitney, będzie pani do nas mówić - rzekł beznamiętnie i ona znenawidziła go tym bardziej. - Wykrzyczy nam pani swoje wszystkie psychozy i skoro tylko znajdą się one, ach, w świetle dziennym, rozpuścimy je jak śnieg na ulicy.

Wolała nie wnikać w jego obrazowe porównanie.

Wprowadził ją do podobnego do celi pomieszczenia, pozbawionego okien i ciemnego, i nagle zrozumiała, dlaczego „gabinety zabiegowe” były umieszczone tak głęboko poniżej normalnych poziomów reszty szpitala. Z tego samego powodu terapię ordynowano o tej dziwnej porze: żeby krzyki nie niepokoiły innych pacjentów.

Daina rozejrzała się po celi. Był tam tylko stół o cynkowym blacie, do którego były przymocowane szerokie może na trzy cale skórzane pasy.

- Nie ma się czego bać - powiedział Geist, przesuwając pasy w palcach. - Trzeba panią przywiązać dla ochrony przed panią samą.

- Dla ochrony? - zapytała słabym głosem. Czuła się tak, jakby wszystka krew wyciekła z niej przez podeszwy stóp.

- Tak. - Lekarz odwrócił się. - Szok insulinowy wywołuje serie raczej gwałtownych, ach, konwulsji. Mogłaby pani zranić się nieodwracalnie, gdyby nie była pani przywiązana...

Daina odwróciła się i zwymiotowała w kącie maleńkiej klitki. Zastygła na wpół schylona, targały nią suche paroksyzmy, którym towarzyszyły, przynajmniej w jej umyśle, najbardziej odrażające dźwięki, co jedynie przedłużało mdłości.

- Krzyki są tylko znakiem, że ciało odrzuca choroby, które dręczą je od środka - poinformował doktor, nie spuszczać z niej oka. Zignorował jej zachowanie. - W każdym razie dobrym znakiem, gdyż przez zmuszanie pani świadomości do zrezygnowania z kontroli zyskamy klucz do pani kuracji. I dzień po dniu będziemy to egzekwować.

Daina, wycierając wargi i oddychając ustami z powodu smrodu wymiocin, popatrzyła na niego. Maleńkie żarówki odbijały się w jego okularach; szkła stały się nieprzezroczyste, przez co nie wyglądał już jak święty Mikołaj, ale jak doktor Cyklop.

- Jak... - zająknęła się. - Jak długo potrwa kuracja?
- Dwa i pół miesiąca.

O mój Boże! - pomyślała. Nie przeżyję. A potem, gdy odprowadził ją na górę do jej pokoju, zapytała w myślach: Baba, gdzie jesteś? Zabierz mnie stąd!

Zaczęli następnego dnia rano o czwartej. Geist czekał na nią jak wcześniej, tylko że tym razem wydawał się spokojniejszy. Razem pokonali tę samą drogę, w dół, w dół, w dół, do trzewi szpitala, gdzie nikt nie mógł słyszeć jej wrzasków, i na każdym podejściu Daina czuła, jak opuszczają ją siły.

W nocy spała niespokojnie, fantazując, co zrobi, kiedy nadejdzie ta chwila: jak będzie walczyć, jak zaatakuje pięściami krzepką pielęgniarkę, jak ugryzie doktora Geista w udo. Jednak teraz, gdy ta chwila nadeszła, czuła się tak osłabiona, że potulnie pozwoliła przywiązać się twarzą w dół na stole.

Delikatnie, zawsze jak najbardziej delikatnie, doktor podniósł rąbek jej koszuli. Pod spodem nie miała nic. Patrzył na nią tak, jakby była jego rodzoną córką. Jasny blask lamp rozbryzgiwał się w jego szklach i odbity przemykał po szorstkich betonowych ścianach jak światła samochodu. Daina spojrzała na kamienną posadzkę i wtedy w jej myślach, jak bomba, eksplodowało słowo „loch”.

Oszołomiona odwróciła głowę. Zobaczyła prawą rękę Geista. Trzymał strzykawkę, igła była najdłuższa, jaką w życiu widziała.

- Będzie bolało? - zapytała głosem przerażonego dziecka. A przez cały czas łzy wściekłości stały w kącikach jej oczu, a ręce zaciskały się w białe pięści. Gdybym tylko, myślała, nie była przywiązana. Jak bardzo chciała zamordować doktora Geista, ze wszystkimi jego frazesami o dobroci nauki medycznej i z odrętwiającą siłą jego lodowatego uśmiechu.

- Ani trochę - usłyszała, jak powiedział tysiąc mil dalej, ale nie wierzyła mu ani przez chwilę. Nie z kubłami krwi, które niewątpliwie rozlewał w imię rozwoju nauki. I ani jedna łza nie spłynęła z jego pogodnego oka.

Poczuła chłodny podmuch na nagich pośladkach, a wraz z nim najbardziej intensywny atak nienawiści, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Rzuciła się na zimnym blacie stołu jak ryba wyjęta z wody. Niejasno zdała sobie sprawę, że lekarz woła pannę MacMichaels na pomoc, lecz to jej nie powstrzymało. Teraz nic nie mogło jej powstrzymać. I nikt. Nienawiść wybuchła w niej jak gejzer i wyobraziła sobie, jak zaciska uwolnione ręce na kłocowatym gardle. Czuła, jak coś przeszywa jej ciało, wnika w nią coraz głębiej, a ona schodzi coraz niżej do tego lochu, i krzyknęła nie z bólu czy szoku, tylko z poniżenia.

Jej wściekłość nie malała, ale teraz twarz, którą widziała tak blisko własnej, stała się niewyraźna, i musiała zmrużyć oczy, żeby ją rozpoznać. Wtedy doktor zniknął, jego twarz przemieniła się w twarz jej matki. Jednakże jej ręce nadal były owinięte wokół eleganckiej szyi, i ścisnęły, ścisnęły... Dyszała, oddech wyrывał się z niej jak wytrysk zimnej wody, dopóki nie zaczęła ześlizgiwać się, spadać, z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku.

Na jakiś czas nienawiść zmusiła ją do zamknięcia oczu. Matko, myślała, jak mogłaś mi to zrobić? Zazdrość. Zawsze byłaś o mnie zazdrosna. Gdy byłam dzieckiem, które mogłaś przewijać, karmić i kąpać, było w porządku. Lecz gdy tylko

podrosłam, stałam się twoją rywalką. Chciałaś, bym na zawsze została dzieckiem.

Otworzyła oczy, ponieważ chciała zobaczyć twarz matki, groteskowo zniekształconą, bliską śmierci z powodu uduszenia. Jednak ujrzała przed sobą nie twarz matki, ale inną, pogrążoną w cieniu i jakoś przerażającą. Krzyknęła i wrzeszczała, aż brakło jej tchu. Potem przez pewien czas unosiła się w nicości, nieczuła.

Kiedy się obudziła, nakarmili ją gęstym lemonowym syropem, który smakował tak, jakby został zrobiony z czystego cukru. Jednakże cała ta słodycz nie mogła zatrzeć silnego smaku gumy w jej ustach. Następnego dnia, gdy leżała w swoim pokoju i wpatrywała się w sufit, przypomniała sobie pałeczkę z czarnej gumy, która leżała na podłodze, gdy wyprowadzali ją z „lochu”. Ślady jej zębów znaczyły boki tak głęboko, że pomyślała, iż przegryzie ją w czasie pierwszego etapu kuracji.

Na górze, w pokoju, kiedy doszła do siebie, przyniesiono jej śniadanie. Nigdy w życiu nie była tak wygłodniała, ale kiedy zobaczyła wielkość talerzy i ich liczbę, pomyślała: Nikt nie zdoła zjeść tyle na raz. Zjadła wszystko.

I tak to trwało, dzień po dniu: kuracja, a po niej dawka glukozy i obfity posiłek. Doktor Geist przychodził codziennie. Mówił do niej bez końca. Nie słuchała go. Miała wrażenie, że mózg nabrzmiał jej jak balon, przepełniony dziwną mieszanką myśli i idei, jakby była jakimś stworzeniem adaptującym się do całkowicie nowej atmosfery w jakimś dalekim obcym świecie. W takich momentach lekarz wydawał się nierealny jak wyprawa na drugą stronę Słońca. Zaczęła myśleć o nim jako o jakiejś groteskowej jednodniowej lilii, która rozkwita z każdym wschodem słońca, by zwiędnąć i umrzeć z nadejściem ciemności. I traktowała go z taką obojętnością, z jaką podchodziłaby do rośliny czy może do telewizora nastawionego po cichu wyłącznie dla towarzystwa.

W nocy leżała bezsennie, z nienawiścią do Moniki i Aurelia Ocasia szalejącą w jej piersiach jak pożar lasu, i to tej nienawiści, ponurej i pustoszącej, trzymała się kurczowo. Bała się, że zostanie uwięziona w White Cedars i bała się codziennych wizyt w lochu, tymczasem nienawiść odsuwała przerażenie, które groziło, że ją pokona. Geist wydobyl z niej wspomnienia dotyczące matki; były one głównym tematem codziennych rozmów. Daina bała się, że pozna jej sekret życia z Babą i sekret jej nienawiści do Aurelia Ocasia. Na szczęście w miarę upływu dni, gdy doktor nie wspominał o żadnym z nich, strach stał się bezpodstawny. Te uczucia należały

wyłącznie do niej: miłość do Baby, nienawiść do jego mordercy. Miała rację. Nikt - nic - nie mogło jej od nich oddzielić. I później, kiedy już była w stanie wrócić myślami do tego okresu, doszła do wniosku, że jej tajemnice były wszystkim, co stało między nią a szaleństwem. Szaleństwem w prawdziwej, czystej formie, szaleństwem, którego, była pewna, doktor Geist nigdy sam nie zdołałby rozpoznać, nie mówiąc o leczeniu.

Po pewnym czasie rozpoczęła zajęcia grupowe, które stały się częścią codziennej rutyny. Innymi członkami byli pacjenci poddawani tej samej kuracji.

Na którejś z sesji jeden z pacjentów, otyły mężczyzna, który był tutaj o wiele dłużej od niej, udzielił jej szeptem pospiesznej rady: - Jedz wszystko, co ci dają.

Nie rozumiała, o co mu chodzi, do pewnego wieczora może po trzech tygodniach jej pobytu w szpitalu. Zauważyła, że przybiera na wadze. Kiedy pielęgniarz przyniósł jej tacę z obiadem, stwierdziła, że nie ma apetytu. Miewała wizje, w czasie których widziała siebie straszliwie tłustą, wtaczającą się do pokoju, w którym wszyscy przerywają swoje zajęcia i wytrzeszczają na nią oczy. Gdy pielęgniarz nalegał, żeby jadła, ona uparcie odmawiała.

Pielęgniarz wyszedł i chwilę później wrócił z drugim i lekarzem, którego nigdy nie widziała. Lekarz był wysoki i chudy, z włosami koloru piasku i szpeciniastą brodą. Jego górna warga była dziwnie bezwłosa.

Pielęgniarze wtoczyli wózek z nierdzewnej stali pełen medycznych przyborów. Na polecenie doktora przywiązali ją do łóżka. Z wózka odczepili długi, groźnie wyglądający gumowy wąż.

Przerażona, zaczęła wrzeszczeć, gdy próbowali wprowadzić rurkę w dziurkę jej nosa. Szamotała się, aż jeden z pielęgniarzy złapał ją za brodę tak potężnie, że łzy napłynęły jej do oczu. Miała wrażenie, że wywichnął jej szczękę. Drugi natychmiast wprowadził rurkę. Kaszłała i dławiła się, gdy to okropieństwo przesunęło się w dół jej gardła. Pielęgniarz, który ją trzymał, pochylił się. Widziała pryszcz na jego policzku, czerwony i zaogniony. - Jak się nie uspokoisz - wysyczał - nigdy nie będziesz w stanie tego znieść. - Uśmiechnął się, wcale przyjaźnie. - I tak zrobimy to, co chcemy, więc wybór należy do ciebie. - Znieruchomiła, drżąc z napięcia i strachu, słony pot toczył się po jej czole, wsącał się do ust. Nakarmili ją przez rurkę. Później już nigdy nie odmówiła zjedzenia niczego, co jej dawali.

Jednakże odmówiła widzenia się z Moniką. Osiemnaście dni po rozpoczęciu

insulinowej terapii szokowej doktor Geist powiadomił ją, że matka otrzymała pozwolenie na wizytę. - Ale tylko wtedy, jeżeli nie masz nic przeciwko - powiedział. Miała, i nie zgodziła się na odwiedzin.

Nie codziennie, lecz często doświadczała wizji, jaką miała w pierwszych chwilach pierwszej kuracji. Zawsze widziała te same twarze, poczynając od doktora Geista jako jej przeciwnika (- To całkiem naturalne - oświadczył, kiwając głową, kiedy mu o tym opowiedziała), potem Moniki, przemieniającą się w niewyraźne oblicze, które wydawało się tak znajome, a jednocześnie tak przerażające. - Czujesz, jak rozluźniają się cumy twej świadomości - mówił doktor. - A przed całkowitym ustąpieniem siły więzów, nim tracisz przytomność, widzisz to, co leży w głębi.

Pewnego ranka, po tym, jak śniła o Geiście tańczącym giga w poświęcie okropnego, nabrzmiałego księżycy - końce świetlanego, białego kitla powiewały wokół bioder lekarza - stanęła twarzą w twarz z tożsamością swego ostatniego - i „podstawowego”, według doktora - antagonisty. Był to jej ojciec. Jej martwy ojciec, do którego czuła jedynie miłość. A tutaj dusiła go i wrzeszczała bez końca: - Nie zostawiaj mnie, proszę, nie zostawiaj mnie - a potem:

- Nienawidzę cię za to, że mnie zostawiasz!

Dwa i pół miesiąca po przybyciu do White Cedars doktor Geist wszedł do jej pokoju z naręczem ubrań.

- Czas odejść, Daino. Jesteś wyleczona.

Z czego? - pomyślała. Położyła rękę na ubraniach.

- To nie moje.
- Teraz tak. Kupiliśmy je dla ciebie - rzekł łagodnie doktor. - Stare by nie pasowały.

I rzeczywiście, gdy ubrała się i przejrzała w lustrze, nie poznała ani twarzy, ani ciała. Wydawało się, że w czasie gdy była nieprzytomna, ożyła w niej jakaś tłusta kobieta. Zrobiło się jej niedobrze na ten widok.

Geist zatrzymał ją na progu White Cedars. Lekko położył rękę na jej ramieniu.

- Nie chcesz wiedzieć, czemu twoja matka nie przyszła cię odebrać?
- Nie - odparła Daina. - Nie chcę. Nie interesujemy się sobą.
- Troszczyła się o ciebie wystarczająco, by cię tu przyprowadzić - podkreślił

doktor.

Daina nieomal roześmiała mu się w twarz.

- Chciała mnie przerobić. Na własne podobieństwo.
- To grzech - stwierdził Geist z dalekim wyrazem w oczach - wielu rodziców.

Spojrzała na niego z wściekłością. Za plecami słyszała szmer jadących samochodów; szczekanie psa, śmiech dzieci. Te dźwięki przemawiały teraz do niej.

- Nie wszyscy posuwają się tak daleko.
- Ona tylko chciała dla ciebie tego, co najlepsze. - Jego głos w zimnym powietrzu nagle wydał się ciężki.

Przybyła tutaj w środku zimy. Teraz była prawie wiosna i drzewa zaczynały pączkować, pierwsze ptaki zaczynały wic gniazda.

- Chciała?
- Daino, twoja matka jest w szpitalu. Choruje od jakichś sześciu tygodni. Odwróciła się od niego, od White Cedars w kierunku czerwonej fasady poczty po drugiej stronie Parkway. Przez chwilę patrzyła na kobiety z podmiejskich osiedli, zajeżdżające chevroletami, buickami czy furgonetkami Olds, z lokówkami we włosach pod wielobarwnymi chustkami. Zastanawiała się, jak one żyją. Czy są tak nieskomplikowane, jak jej się wydaje? Czy są szczęśliwe, gdy ich mężowie wracają do domów? Gdy ich dzieci się śmieją? Czy są sfrustrowane, gdy zawodzi wywóz śmieci; nieszczęśliwe, gdy nie udaje im się zostać wiceprzewodniczącymi Stowarzyszenia Nauczycieli i Rodziców? Czy może jest w - nich coś więcej... gdzieś w głębi, ukrytego, niewidocznego i nieujawnianego?

- Umrze?
- Tak - rzekł cicho doktor Geist. - Niedługo.

Beryl dała jej numer *Playboya* w studiu, pod koniec dnia, gdy tylko skończyli pracę, i Daina ruszyła prosto do domu, aby pokazać go Rubensowi.

W środku działu *Nadchodzące Atrakcje* poświęconego filmowi widniał następujący paragraf: „I OSCARA OTRZYMUJE... Niektórzy z was mogą myśleć, że jest nieco za wcześnie, by bawić się w przepowiednie odnośnie do Nagrody Akademii. Tymczasem jednak słyszeliśmy parę godnych uwagi rzeczy o tytułowej roli Dainy Whitney w mającej wejść niedługo na ekrany *Heather Duell*. Nie jest tajemnicą, że większość z nas czeka na kolejną kobiecą rolę, która mogłaby

konkurować z tymi zagranymi przez Sally Field w filmie *Norma Rae* i Jane Fondę w *Kłute* i *Powrocie do domu*. Według wszelkich doniesień - a jesteśmy skłonni wierzyć tym dobrze poinformowanym źródłom - dzięki roli Heather Duell Whitney będzie mogła ubiegać się o nagrodę dla najlepszej aktorki. Film mówi o próbie ognia, jaką przechodzi żona zamożnego przemysłowca w domu opanowanym przez terrorystów. Whitney, o czym niewątpliwie wiecie, zyskuje międzynarodowy rozgłos dzięki efektownemu filmowi science fiction Jeffrey Lessera, *Regina Red*. Jeżeli nie widzieliście jej w tym obrazie, nie wiecie, coście stracili”.

Przeczytała Rubensowi ten ustęp na głos, z niemałą dozą przyjemności.

- Patrz - powiedziała, odwracając magazyn w jego stronę. - Mają nawet fotos z filmu. Jak ci się udało to załatwić?

- Beryl zadzwoniła do Buzza Beillmanna - odparł ze śmiechem. - Mówiłem ci, ona jest genialna. - Podeszedł do niej. - Telefon w biurze urywał się przez cały dzień i wiem, że tutaj będzie to samo. Może wyskoczmy na łódź?

Niebo miało barwę śliwki i indygo, gdy wspięli się na pokład. Sznur świateł wzdłuż zamaszystej krzywizny Malibu jaśniał odbity w sennej wodzie. Daina pomyślała o Yasmin i spędzonym tutaj z nią popołudniu, i zadrżała lekko. Wewnętrzna strona jej ust wydawała się obrzmiała od pizmowego smaku kobiety. Projekt, który dryfował po ciemnych wodach jej umysłu, od czasu gdy pozwoliła Yasmin się uwieść, zaczął wypływać na powierzchnię. Gdyby tylko mogła go sprecyzować. Pomyślała o Chrisie, biednym, nieszczęśliwym Chrisie. Dzwonił do niej - skąd? Z Denver? Z Dallas? Nie mogła teraz sobie przypomnieć. To naprawdę nie ma znaczenia, pomyślała. Małolaty wszędzie są takie same - sale, światła, narastający aplauz, gdy fani wlewają się w już zakorkowane przejścia ze wzniesionymi rękoma, palcami wycelowanymi w czerń nocy: Numer Jeden, Numer Jeden, Numer Jeden.

Mój Boże, ale Kerr w czasie tej rozmowy sprawiał okropne wrażenie. Jakby był napięty do granic wytrzymałości. Te wyczerpujące noce nie sprawiały mu takiej frajdy jak Nigelowi. On żył nagraniami w studio, nie koncertami. Między¹ muzykami a ich fanami istniały jakieś dziwne, pokrętne... tak, wampiryczne stosunki. Kiedyś czytała jakiś wywiad, nie pamiętała gdzie, i jakiś bystry facet, muzyk rockowy, powiedział: „Okay, nazwijmy rzecz po imieniu. Te stosunki są wampiryczne”. Wówczas pomyślała, że chodziło mu wyłącznie o zrobienie dobrej prasy. Ci faceci

przecież słyną z nabierania dziennikarzy, którzy traktują wszystko tak poważnie. Daina czytała w *Rolling Stone* wywiad przeprowadzony z kapelą w San Francisco. We wkładce zamieszczono fotografię grupy z nią i Nile'em, a towarzyszące podpisy dotyczyły głównie jej. Ten numer był już zamknięty, więc wzmianka pośmiertna o Nile'u pojawiła się w następnym.

W każdym razie Chris był bardzo powściągliwy, podczas gdy Nigel gadał i gadał. Jak on to znosi? Cała odpowiedzialność za twórczą wydajność zespołu spoczywała na barkach Chrisa, chociaż, przynajmniej publicznie, on i Ash nadal współpracowali nad każdym utworem. Daina podejrzewała, że nawet dla Kerra musi istnieć jakiś punkt przełomowy. Tylko przyjaźń może wybaczyć takie wykorzystywanie. No cóż, za parę tygodni znów będą w L.A. Postanowiła, że porozmawia z Chrisem znowu, bez ogródek.

Poczuła wędrujące ręce, żar ciała Rubensa za plecami. Twardniejący penis wpasował się między jej pośladki. Dłonie przesunęły się do piersi. Czowała narastające w sobie ciepło, tylko częściowo wywołane podnieceniem, bowiem obejmowało wiele więcej.

- O czym myślisz?
- O tym, jak bardzo jestem szczęśliwa.

Nie było to kłamstwem, tłumaczyła sobie, ale z drugiej strony nie całkowitą prawdą. Myślała o Meyerze, o tym, co jej rzekł - o pakcie, jaki zawiązali. Bardzo chciała chronić Rubensa, chociaż nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić przed czym. Stary człowiek wiele się martwi, pomyślała. Widziałam to w jego oczach. Cóż, kto mógłby go winić? Tyle przeszedł. I przeżył. To jest ważne. Czyż nie to samo Marion powiedział jej o Hollywood? Że naprawdę najważniejszą rzeczą jest przeżycie? Ponieważ tak wiele osób przybywa tutaj i ginie.

Wszystko bierze się stąd, myślała Daina, patrząc na dalekie światła Santa Monica, rozmyte we mgle i podskakujące na krawędzi nieba, że Meyer starzeje się i martwi. Rubensowi nic nie grozi. Wiem to. Czuję. Nie ma problemu.

- Pamiętasz, co ci mówiłem w domu o Beryl? - wyszeptał jej do ucha, trzymając ją mocno.

- Ze jest genialna? - Uwielbiała czuć jego ręce na piersiach. Ich dotyk sprawiał, że chciała zamknąć oczy i odpłynąć, bezpieczna i spokojna.

• Ty też jesteś genialna - stwierdził. - Muszę przyznać, że Dory potrafi oceniać charakter - dodał ze śmiechem.

• Mój charakter?

• Tak, twój. - Obrócił ją w ramionach twarzą do siebie. Jego policzki były oświetlone dziwnie przez czerwone i zielone światła nawigacyjne łodzi. Jedna strona była ciemniejsza od drugiej, przez co wyglądał jak dwie różne osoby.

- Daino, nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie.

Jej oczy rozszerzyły się w półmroku, w gardle narodził się cichutki odgłos, coś między jękiem a westchnieniem. Pieszcząc palcami jego kark, uszy, zdecydowanym ruchem przyciągnęła jego głowę ku sobie.

Usta spotkały się z taką rozkoszną nagłością, że jej ciało przeszły dreszcz. Czowała się tak, jakby nastąpiła na przewód pod napięciem.

- Aleś załatwiła Buzza - rzucił niskim głosem, odrywając wargi od jej ust.

- Nigdy nie widziałem, by tak reagował, zwłaszcza w przypadku kobiety. Nie ma szacunku dla nikogo.

• Wiesz - wyszeptała, obserwując własne odbicie podskakujące w jego oczach - naprawdę sprawiło mi to przyjemność. Zachował się jak świnia. Całe życie spędzamy we władzy takich ludzi.

• Nie robisz z tego żadnej polityki, prawda?

• Polityki? Nie. Nie było żadnej polityki w tym, co zaszło między Buzzem i mną. To był seks.

• Coś takiego - powiedział, pocierając dłonią jej sutek.

• Coś takiego - powiedziała, wodząc po jego karku otwartymi ustami i językiem.

• Coś takiego - powiedział, zadzierając rąbek jej sukienki i przesuwał palcami po długim, gładkim udzie.

• Coś takiego - powiedziała, obejmując ręką jego jądra, ściskając je i przyciskając do siebie, póki nie poczuła drżenia ogarniającego jego uda.

• Chodźmy na dół - mruknął niewyraźnie - i włożmy kostiumy.

• Po co? - zapytała ze śmiechem. - A kto nas tu zobaczy? Żartobliwie klepnął ją w pośladek.

- Może chociaż raz zrobisz to, co ci się każe?

Pocałowała czubek wskazującego palca, przycisnęła go do jego ust w udawanej srogości. Zeszli na dół. Jej śliwkowy kostium czekał na nią, złożony na koi. Obok leżał gruby ręcznik. Podniosła kostium i wtedy coś długiego i lśniącego zsunęło się na pokład.

- Mój Boże! - wysapala, padając na kolana. Podniosła przedmiot, przysunęła go do oczu. Przebiegał przez końce jej palców jak rzeka światła. Była to diamentowa bransoletka. Podniosła głowę. - Mój Boże, Rubens!

Ukląkł obok niej. Kiedy indziej, normalnie, stroiłby sobie żarty. Trudno mu było wyrażać głębokie uczucie. Ale tym razem był poważny. Delikatnie wyjął bransoletkę z jej rąk.

- Znalazłem ten drobiazg u Harry'ego Winstona - rzekł. - Zobaczyłem go i wiedziałem, że jest stworzony dla ciebie. - Zajrzał w jej fiołkowe oczy.

- Na którą rękę?

- Lewą - odparła i zamknęła oczy, całując go. Zadrżała, gdy poczuła ciężar bransoletki. Szczęk zapinki wydawał się tak głośny jak huk gromu w skądinąd spokojną noc. Objęła go i polizowała po twarzy.

- Chodźmy do wody - wyszeptwała. Lecz nogi miała jak z waty i musiał wziąć ją na ręce. Z taką łatwością, z jaką ona podniosła bransoletkę, zaniósł ją na górę.

Na pokładzie zrzucił ubranie, a potem postawił ją na szczycie mocnicy burtowej i zaczął rozbierać powoli i ostrożnie, nie spiesząc się, składając każdą zdjętą część odzieży. Jej ciało połyskiwało w ruchliwym blasku świateł nawigacyjnych i tych płonących słabo na brzegu. Z morza podnosiła się mgła i Daina miała wrażenie, że znajduje się w jakimś dziewiczym środowisku.

Razem skoczyli w fale, które były tak chłodne, że przyprawiły ich o gęsią skórkę. Wkrótce zaaklimatyzowali się i tylko na twarzach wystających z wody czuli chłód.

Płynęli bez wysiłku, patrząc wyłącznie na siebie. Daina kącikiem lewego oka od czasu do czasu widziała oślepiające błyski diamentowej bransoletki. Pływali przez długi czas, dotykając się, gładząc i całując, a kiedy w nią wszedł, uczynił to tak delikatnie, że tylko jego ciepło powiedziało jej, że to on, a nie kolejna macka Pacyfiku przenika jej ciało.

Chłód od zewnątrz, narastający żar od wewnątrz, stanowiły rozkoszny kontrast - jak gdyby była w tym samym czasie pobudzana i uspokajana.

Dziko przywarł ustami do jej piersi, jego ssanie targnęło jej nerwami po czubki palców i złapała go za pośladki, wciągając w siebie do końca.

Desperacko pragnęła, by trwało to w nieskończoność. Emocje pokonały ją i straciła kontrolę do tego stopnia, że trzymała się go, jakby był samą łodzią, gryząc jego ramię i czując - oooch! - że w chwili szczytowania wspanialszego od wszystkich orgazmów nie wystarczy sam krzyk. Cisnęły się jej na usta słowa, chciała mu powiedzieć o Meyerze, o Aurelio Ocasio i, tak, to też, o Babie. Pragnęła w swej ekstazie odsłonić przed nim te mroczne, najbardziej uświęcone zakątki siebie, które przed laty pogrzebała w głębi serca. Nigdy nie myślała, że otworzy je przed kimkolwiek, ale teraz chciała wyznać wszystko. Jemu!

Jednak nie zrobiła tego, tylko krzyknęła głośno i długo, oddając się całkowicie przenikającej ją rozkoszy. Jego usta muskały jej ramiona, obojczyk, w końcu wtulił policzek w jej szyję i słuchał bicia serca nadającego nie kończącą się wiadomość.

- To było takie miłe - wyszeptał i przerwał, by pozbyć się wody z ust.

- Z tobą ubraną jedynie w diamenty, jakbyś była częścią nieba opasaną gwiazdami.

Poezja jego słów zaskoczyła ją - gdyby tylko Beillmann albo Michael Crawford mogli go teraz widzieć; czy rozpoznaliby w nim tego samego człowieka? Pomyślała, że nie - i pogładziła go po głowie, żałując, że nie ma paznokci, by zadrasnąć go lekko. Lecz paznokcie miała tak krótkie i tak doskonale zaokrąglone, że nadawały się tylko do pociągania za spust i do trzymania topornej rękojeści noża. Pomyślała o artykule z *Playboya* i o próbie ognia Heather Duell. O swojej próbie ognia. Tak, swojej. I może, również, o Nagrodzie Akademii.

Niechętnie wyszli z wody, popędzili po ręczniki i osuszyli sobie wzajemnie drżące ciała. Naciągnęli dzinsy i bawełniane koszulki, które zawsze trzymali na łodzi. Rubens, kierując się kaprysem, wyciągnął kotwicę. Zapуścił silnik i obejmując ją w talii wyprowadził łódź na morze tak daleko, że mgła spowiła ich kompletnie.

Po pewnym czasie wyłączył silnik i dryfowali w ciszy. Nie było wiatru ani gwiazd i tylko morze pozwalało im się zorientować, że są w obrębie realnego świata.

Rubens zszedł na dół i gdy podążyła w jego ślady, już przemienił stół w podwójne łóżko. Spojrzała na pościel w kiście bzu. Rozebrała się i wskoczyła w nią.

- Obejrzymy film - zaproponował cicho, obejmując ją za szyję.
- Spać. - Przytuliła do niego policzek.
- Jeden z twoich ulubionych. - Wyciągnął wolną rękę, pstryknął pilotem i na ekranie telewizora rozkwitło elektroniczne życie. - Nie chcesz wiedzieć jaki?
- Uhm. - Pocałowała go w piersi, zaniknęła oczy. - Jaki?
- *Ostawioną.*

Oglądała film z przerwami. Drzemała przez chwilę, budziła się, znów zasypiała, ale dialogi były jej tak znajome, że to nie miało znaczenia. Śniła fragmenty, które opuściła.

Tuż po tym, jak mosiężny zegar okrętowy cicho wydzwonił północ, Cary Grant zaczął znosić Ingrid Bergman po długich schodach w dużym, pozbawiającym tchu zbliżeniu, pod ostrzałem wrogich i pełnych nienawiści, ale bezsilnych spojrzeń Claude'a Rainsa i Leopoldine Konstantin, aktorki, która tak brawurowo zagrała rolę matki Rainsa.

Zabrzączał telefon. Rubens ściszył telewizor, podniósł słuchawkę po drugim sygnale. Podczas gdy na ekranie pojawiały się milczące twarze Granta, Bergman, Rainsa i wścieklej Konstantin, mężczyzna mówił do telefonu. Ci ludzie są symbolami, pomyślała Daina, ich twarze są tak nieśmiertelne jak te wykute w Mount Rushmore.

- Tak - rzekł Rubens. - Rozumiem.

Telefon, pomyślała na wpół śpiąca, część fantazji snującej się na dziewiętnastocalowym ekranie. Myślałam, że Rubens wybrał łódź, by uciec przed telefonami. Czyż nie powiedział tak wcześniej? Czy przede wszystkim nie dlatego przyплыnęli na łódź? Nie mogła być pewna. Oczywiście, miał tu dla niej prezent. Jej palce prześliznęły się po chłodnej powierzchni fasetek. Dotykanie diamentów było jedyne w swoim rodzaju.

- Nie, nie - mówił Rubens. - Dobrze zrobiłeś, dzwoniąc do mnie. Daina i ja jeszcze nie śpimy. Ale, Chryste, dla ciebie to środek nocy. Prześpij się teraz, Schulyer. Dzięki, że dałeś mi znać. - Rozłączył się.

Film dobiegł końca. Ekran był pusty. Rubens wyłączył odtwarzacz. Wygasił wszystkie światła. Kołysali się w ciemności.

- Nawet nie wiedziałam, że na łodzi jest telefon - odezwała się Daina.
- Tylko do nagłych wypadków, naprawdę. Podniosła się na łokciu.

- Czy z Foultonem wszystko w porządku?
- Och, tak. Nie martw się o niego. - Trudno było go zobaczyć. Kołysanie łodzi na kotwicy sprawiało, że łatki bladego światła wpadały przez iluminator i pływały na jego policzku. Nie rozjaśniały ciemności jego oczu. - Znasz Schulyera. Łatwo nim wstrząsnąć.

- Rubens - zaczęła powoli, ogarnięta niepokojącym przeczuciem - co nim miało wstrząsnąć? - Położyła rękę na jego piersi.

- Zadzwoniono do niego z policji, by zidentyfikował ciało - odparł mężczyzna bez śladu emocji. Przybierał maskę, jaką prezentował zewnętrznemu światu.

- Czyje?

- Znalaziono go w bagażniku jego własnego cadillaca - kontynuował, ignorując jej pytanie. - Jakiś dzieciak zauważył samochód w krzakach... po drugiej stronie rzeki w New Jersey, w dole, gdzie zrzucają całe to gówno, żeby budować więcej domów, które teraz chodzą po osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt tysięcy.

- Rubens, kogo znaleźli?

- Dzieciak niczego by się nie domyślił, gdyby nie to, że jego pies nie chciał odejść, szczekał i drapał przy końcu wozu. - Zdawało się, że mówienie sprawia mu ulgę i Daina wiedziała, że powie jej, kogo znalaziono, dopiero wtedy, gdy będzie gotowy. - Dzieciak poszedł za psem i zobaczył, że bagażnik nie jest domknięty. Wiesz, że dzieciaki są ciekawskie jak kobiety - nie mógł się powstrzymać. Zajrzał i obrzygał całe adidas.

Daina zadrżała mimo ogarniającej ją złości.

- Rubens, na miłość boską, kto tam był!? - Przycisnęła twardo grzbiet ręki do jego żeber, jakby ten pokaz fizycznej siły mógł zmusić go do udzielenia odpowiedzi.

- Ashley - odrzekł wolno mężczyzna. - Ashley, zwinięty w kłębek, z dziurą po kuli z tyłu głowy. Prawie nie było krwi. Gliniarze poinformowali Schulyera, że zrobił to profesjonalista.

Wiedziała, o co mu chodzi. W ciemności otworzyła usta, by coś powiedzieć, i zamknęła je natychmiast. Nagle zobaczyła pomarszczoną twarz Meyera i znów usłyszała jego słowa, jakby był z nią w kabinie kołyszącej się łodzi: „Musi pani chronić Rubensa przed nim samym. On uczy się zbyt szybko”. Zobaczyła jego

poważne oczy i przypomniała sobie jego złoty uśmiech. Był to uśmiech człowieka, który dostaje to, czego chce. Teraz, gdy patrzyła na wpół ukrytą

w cieniach postać Rubensa, dostrzegła ten sam uśmiech, chociaż złoty był tylko w jej wyobraźni.

• Nie mówiłeś mi, że Ashley nawiązał mnóstwo nowych znajomości? - zapytała powoli, przesuwając czubek nosa na jedną stronę w uniwersalnym, milczącym znaku oznaczającym mafię.

• Tak.

Nie spuszczała oczu z jego twarzy.

• Ale oni go nie zabili, prawda? - Patrzyli na siebie. Daina przypomniała sobie coś innego ze spotkania z Meyerem. „Będę go kochała bez względu na wszystko”, powiedziała. A Meyer, obserwując ją tak, jak teraz Rubens, rzekł: „Mam nadzieję, że starczy pani sił, by trzymać się tego zawsze”. Oczywiście błagała, by nie kłamał. Wiedziała, że jeśli to zrobi, już nigdy mu nie zaufa.

• Nie - odparł po dłuższej chwili. - Oni go nie zabili.

• Dowiedział się, że zamierzasz go przyłapać.

• Był chciwym małym sukinsynem - rzucił zimno Rubens.

• Był również twoim przyjacielem... od dawna.

• Przyjaciele mają szczególny dar znikania, gdy człowiek ma dużo forsy. Już niedługo zobaczysz, co to znaczy.

• Czy Schulyer wie, co zrobiłeś?

• Pomógł mi zastawić pułapkę.

- Lecz wysłałeś jego do Nowego Jorku.

Rubens ściągnął wargi.

• Gliny myślą, że Ashley został załatwiony przez mafię. Tak samo Schulyer. I wszyscy inni. - Wpatrywał się w nią intensywnie. - I ty.

• Nie czujesz niczego... w ogóle niczego do Ashleya?

• Czuję, że dostał to, na co zasłużył. Dałem mu szansę na ciche wycofanie się bez robienia bałaganu, jednak on po prostu nie chciał słuchać. Był zbyt chciwy i myślał, że może mnie pokonać.

• Nikt nie może cię pokonać, Rubensie.

- Nikt nie może mnie pokonać - wyszeptał. Wyciągnął ku niej ramiona, przyciągnął ją do siebie, ciało do ciała. - A teraz nikt nie może pokonać również ciebie. - Poczwała narastający żar, któremu nie mogła się oprzeć.

CZEŚĆ CZWARTA

IKONA

- *Tam - powiedział kot, wykonując
kolisty ruch prawą łapą -
mieszka Kapelusznik; a tam -
ruch lewą łapą - mieszka Marcowy Zajac.
Złóż wizytę jednemu lub drugiemu, jeśli zechcesz;
obaj są obłąkani.*

Lewis Carroll, *Przygody Alicji w krainie czarów,*

tłum. Maciej Słomczyński

10

Daina wróciła do pracy nad filmem dopiero wtedy, gdy zakończono przeróbki w jej przyczepie. Wcale nie była z tego powodu szczęśliwa i, oczywiście, Marion rwał włosy z głowy z powodu trzydniowego opóźnienia. Cała robota mogłaby zostać zakończona w ciągu jednego dnia, gdyby elektrycy nie poplątali instrukcji i nie zainstalowali neonówki w jaskraworóżowe i kanar-kowożółte paski. W konsekwencji trzeba było wyrwać ją z sufitu przyczepy i zacząć wszystko od nowa.

Większość czasu spędzała na zakupach. Pierwszy dzień okazał się istnym nieszczęściem. W Maxfield Bleu na Santa Monica i Doheny została dosłownie zaatakowana przez tłum, co zmusiło ją do szukania ucieczki we względnie spokojnym wnętrzu mercedesa. Wtedy posłuchała rady Rubensa i zatrudniła ochroniarza - ponurego mężczyznę o słowiańskich kościach policzkowych, krótkich szpakowatych włosach, cienkich ustach i absolutnie bez krzty poczucia humoru. Ale ochroniarz był nad wyraz szeroki w ramionach i posiadał wyjątkowy refleks. Cechy te okazały się wielce przydatne, gdy musiał wyrzucić z Giorgio's kręcącego się podejrzenie blisko

młodego, dobrze ubranego człowieka.

Daina weszła do przymierzalni, z bladozieloną sukienką z kwiatem wydrukowanym przy rąbku, gdy nagle drzwi stanęły otworem.

- Och, przepraszam bardzo - powiedział mężczyzna. - Myślałem, że jest tu moja przyjaciółka.

Tuż przed zatrzaśnięciem drzwi aktorka usłyszała dźwięk kilka razy wyzwalanej migawki. Wychyliła głowę i zawołała - Alex! - Wskazała mężczyznę biegnącego przez sklep i, nakładając ubranie, rzuciła się za nim.

Nim dobiegła, Alex już trzymał go za kark.

- Co ty wyprawiasz! Żądam wyjaśnień! To pogwałcenie moich praw obywatelskich!

Daina sięgnęła pod sportową marynarkę i wyszarpnęła aparat marki Nikon.

- A to jak nazwiesz? - zapytała ze złością. - Pogwałceniem moich praw obywatelskich! Czy nie mogę w spokoju przymierzyć sukienki? - Otworzyła tył aparatu.

• Hej! - krzyknął mężczyzna i wyciągnął rękę, ale ochroniarz powstrzymał go, warcząc gardłowo:

• Zachowuj się.

Daina naświetliła film, po czym oddała go natrętowi wraz z aparatem.

• Następnym razem - zagroziła - Alex rozdepcze ci nikona.

• Chryste - wysapał mężczyzna, wycofując się - ja tylko próbowałem wykonać robotę.

Od Giorgio's - gdzie kupiła bladozieloną sukienkę i parę innych - kazała Alexowi zabrać się do Theodore's na Rodeo, Alan Austin's na Brighton Way i, z powodu ośmiu par butów, które musiała kupić, do Right Bank na Camden Drive.

Po lunchu udała się do Numan's of Beverly Hills, gdzie kupiła szeroki skórzany pasek w kolorze dojrzałej śliwki i gdzie pilnie wypatrywała żony Bonesteela. Dopiero po wyjściu przypomniała sobie, że prawdopodobnie jest ona nadal w Europie.

W magazynie Neiman-Marcus wpadła na George'a, który kupował prezent na rocznicę ślubu swych rodziców. Był bardziej rozgorączkowany niż w noc spotkania w Warehouse, lecz wydawał się zmieniony tak bardzo, że odniosła wrażenie, iż widzi go

pierwszy raz w życiu.

- No, no, no! Panna Whitney... i eskorta. Pismaki z brukowców są daleko z tyłu? - Afektowanym ruchem poprawił włosy, przeglądając się w lustrze ustawionym na jednym z kontuarów. - Bycie gwiazdą musi być cudowne. - Jednak brzmienie jego głosu, pełnego zazdrości i pogardy, powiedziało jej, że jest innego zdania. Skłonił się.

- Rozumiem, że to tobie należą się podziękowania za to krótkie wytchnienie od codziennej harówki.

- Przestań pieprzyć, George - rzuciła. - Kiedy wreszcie zamierzasz dorosnąć?

- Myślę - zaczął z zadumą - że zrobiłem to w czasie realizowania tego filmu. - Teraz wydawał się całkowicie poważny. - Albo może wreszcie odzyskałem rozsądek.

- Rozsądek? - warknęła. - Kiedy zbiłeś Yasmin, wykreśliłam cię ze swojej listy. - Przysunęła się do niego i było w niej tyle gniewu, że zaalarmowany Alex ruszył w ich stronę, bojąc się może, iż będzie potrzebowała ochrony albo przed Altavosem, albo przed samą sobą. - Twój postępek był karygodny. Jesteś jak dziecko, które potrzebuje opieki niańki. Chcesz, żeby ktoś wziął cię za rączkę, karmił, wybierał ci ubrania, zabierał na spacer, wieczorem kładł do łóżka i mówił, że wszystko w porządku. Dlatego przez cały czas wracasz do domu. Czyż nie tak powiedziałaś? Kręcisz się, czegoś szukasz. Cóż, właśnie tego szukasz, George. - Jej oczy błysnęły. Ochroniarz był już bardzo blisko, powstrzymując napierających ciekawskich.

- Otóż mam dla ciebie przykrą wiadomość. Nic nie jest w porządku i jeżeli kiedykolwiek oderwiesz swój rybi pysk od chivas regal, może zrozumiesz, że tylko ty sam możesz sobie pomóc. - Stali prawie nos w nos i Daina próbowała

wyłapać woń szkockiej w jego oddechu; nie udało się. - Chryste, jesteś słabym człowiekiem, George. Gdyby było inaczej, nigdy nie uderzyłbyś Yasmin.

- Sprowokowała mnie, cholera! Nigdy nie powinna...

- Do uderzenia? Sprowokowała cię, byś ją uderzył? - zapytała z niedowierzaniem. - Jezusie, George, naucz się wciskać kit wiarygodnie.

- Niczego nie muszę ci wyjaśniać! - wybuchnął. - Nie po tym, co mi zrobiłaś. Moje nazwisko powinno być ponad twoim. Wiesz o tym! - krzyczał z rozdrażnieniem.

- To film o Heather. Ty jedynie bierzesz udział w grze sił. Stawiasz i przegrywasz. Dlaczego nie pogodzisz się z tym jak mężczyzna?

- To moje prawo - odrzekł wyzywająco. - Ja też jestem gwiazdą tego filmu.

Ale aktorka potrząsnęła głową.

• Na to prawo trzeba zarobić, George. Cholera, jesteś za bardzo zamotany w to, kim jesteś; ci twoi jasnowłosi rycerze na swych rumakach i iluzje dotyczące terroryzmu. Ja na twoim miejscu uważałabym na siebie.

• Ty uważaj - ostrzegł z pociemniałą twarzą. - Ja wiem, co robię. Nie masz pojęcia, jaki mogę być niebezpieczny. Mam nowych przyjaciół, daję pieniądze... - przerwał nagle, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział zbyt wiele.

- Komu?

• Nikomu. Zapomnij o tym.

• O, tak, jasne. - Włożyła w te słowa stosowną miarkę szyderstwa. - Kolejna z twoich mrzonek. - Teraz znalazła do niego klucz.

Altavos roześmiał się, pewny, że znów panuje nad sytuacją. Wiedziała, że teraz wykorzysta swoją rzekomą przewagę.

- Widać, jak niewiele wiesz, Daina. Och, tak. Mam jeszcze w zanadru niejedną niespodziankę. - Jego oczy zwięzły się, a wyraz wesołości zniknął z twarzy. - Zdaję sobie sprawę, że uważasz mnie za kolejnego durnego aktora zwariowanego na punkcie własnej twarzy i pracy, i kiedyś to było prawdą. Lecz nie teraz.

Widziała, że jest jak najbardziej poważny. Niezależnie od tego, czy jego słowa były prawdą, on wierzył w to, co mówił.

- Film jest twoim światem. Jesteś hermetycznie zamknięta i nigdy nie wyjdiesz poza, dopóki nie pojawi się ktoś młodszy, ładniejszy, bardziej utalentowany i obdarzony większą siłą przebiccia, która odrzuci cię na bok. Wtedy przebudzisz się i zobaczysz wokół siebie prawdziwy świat. Jednak będzie już za późno. Wszystko przeminie obok ciebie i będziesz tylko reliktem, workiem kości wyrzuconym na obcy brzeg. Lecz ja... - postukał w piersi czubkiem palca - ja już wiem, że istnieje coś poza tobą, Marionem i *Heather Duell*. I to właściwa droga, rozumiesz. Wymaga tylko odmiennego punktu widzenia. W istocie to El-Kalaam jest bohaterem tego filmu. Czy też, dokładniej, powinien być. Nie jest. Ale... - wzruszył ramionami - kogo to obchodzi? To tylko film. - Wzniósł palec w powietrze. - Lecz w prawdziwym życiu... jest inaczej. I tam ja pracuję.

Zdawało się, że kołysze się na huśtawce niebezpiecznych nastrojów i Daina

poczuła przenikający ją do szpiku chłód.

- Co masz na myśli, George?

Uśmiechnął się do niej, jakby przez cały czas zastawiał na nią pułapkę i teraz był gotów ją zatrzasnąć.

- Zacząłem dawać pieniądze OWP.
- Zwariowałaś?

• Przeciwnie. - Jego uśmiech poszerzył się. - Odzyskałem rozsądek, jak mówiłem. Oto perspektywa, jaką dał mi ten film. Miałem rację, gdy powiedziałem ci, że El-Kalaam i ja to jedno. - Zaciśnął podniesioną rękę w pięść. - Teraz to czuję. Mam cel, mam dokąd iść.

• George, chyba mieszasz fantazję z rzeczywistością. Twoja rola nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem.

• Och, nie. I tu się mylisz... tak samo jak Marion, gdy kazał mi wlać tę całą żarliwość w film. Film był ważny tylko na początku, gdyż otworzył mi oczy na prawdę. Gra jest dla alfonsów i kurew. - Obdarzył ją krzywym uśmiechem i wtedy zobaczyła, że nie zdjął złotych nakładek, które były częścią charakterystyki El-Kalaama. Znowu poczuła przenikające ją zimno. - Dla ciebie walka o wolność jest jedynie abstrakcyjnym pojęciem, o jakim czytałaś w książce. Mieszasz kawę, podnosisz gazetę, zaglądasz do działu mody. Czym jest dla ciebie krew i pistolety?

• Tym samym, czym dla ciebie, George.

• O, nie. Mylisz się. Tak samo, jak mylisz się odnośnie do tego wszystkiego. - Rozpostarł ręce tak szeroko, że klienci cofnęli się, chowając głowy w ramionach. - Wiem, że krew i pistolety są naprawdę. Są rzeczywistością; nie to całe gówno.

Daina wpatrywała się w niego, czując ciarki przebiegające po krzyżu. Po chwili uświadomiła sobie, że na jej ramieniu spoczywa dłoń Alexa.

- Chyba będzie lepiej, jak stąd wyjdziemy, proszę pani - szepnął jej do ucha ochroniarz.

Ale to nie George ją przestraszył. To Rubens. Albo raczej jej miłość do niego. Jak mogła kochać człowieka, który z zimną krwią rozkazał zabić innego? Rubens dowodziłby, że Ashley sam zmusił go do tego. A Meyer? Co on by powiedział?

Patrząc przez ciemne szyby limuzyny na przemykające obok L.A., Daina była pewna, że wie. Kiedyś, dawno temu, zgodziłby się ze zdaniem Rubensa, może nawet

w ten sam sposób usprawiedliwiałby własne poczynania. Jednak teraz, wiedziała, znalazłby inny sposób rozwiązania problemu.

Może, myślała, Meyer wiedział o planie zamordowania Ashleya. Może dlatego wybrał tę chwilę, by z nią porozmawiać. Krew zamarzła jej w żyłach na samą myśl. Czy dał jej szansę odradzenia tego Rubensowi? Czy była tak zajęta sobą, że nie zwróciła uwagi na sugestię? Desperacko wróciła myślami w przeszłość, lecz nie potrafiła znaleźć rozstrzygającej odpowiedzi. Po prostu nie wiedziała i to może było jeszcze gorsze.

Tylko ty możesz go uratować. Czy nie tak powiedział jej Meyer? Tylko ty. Nie mogła pozwolić, by to się powtórzyło.

Rubens zrobił to, co zrobił, a jednak nadal go kochała. Czy to źle? Wiedziała, że musi stopić jego serce i w konsekwencji sprawdzić, czy jej własne nie przemieniło się w czarne szkło.

Zamiast wracać do siebie, kazała szoferowi zawieźć się do domu Chrisa. Kapela wróciła z wojny, jak nazwał to Chris: sześć długich, męczących tygodni w trasie. Tournée było olbrzymim sukcesem: owacje na stojąco, gdziekolwiek koncertowali, zadymy, mnóstwo wywiadów i w Nowym Jorku, gdzie grali tydzień w Madison Square Garden, dodatkowe trzy wieczory.

Daina zatelefonowała z limuzyny do biura Heartbeatsów. Vanetta, czarna angielska koordynatorka, poinformowała ją, że Kerr jest w domu.

- To znaczy w domu w Malibu? - zapytała Daina, czując ulgę, że nie jest z Nigelem i Tie.

- No cóż - bąknęła Vanetta - w każdym razie w jakimś domu w Malibu. Kazał mi skontaktować się z tamtejszym agentem nieruchomości. Dom stoi jakieś półtora mili od dawnego. - Podała aktorce adres. - Mieliśmy dość czasu, by załatwić wszystko pod nieobecność zespołu. Na tyłach jest studio i wszystko, co potrzeba.

Był to plażowy dom ani większy, ani mniejszy od tego, w jakim mieszkali z Maggie. Miał drewniany taras, który wychodził daleko na plażę. Był pomalowany na szaro i pachniał nową farbą i smołą.

Czekała długi czas po naciśnięciu dzwonka. Chciała już odejść, gdyż doszła do wniosku, że Vanetta musiała się pomylić albo że Chris jest nieobecny, lecz wtedy zobaczyła jego rollsa po drugiej stronie domu i znów nacisnęła dzwonek. Gdzieś na

plaży śpiewała omdlewająco Linda Ronstadt, słyszalna mimo chrapliwego szumu i syku przyboju.

Drzwi otworzyły się i zobaczyła go na tle ciemnego wejścia, nieruchomego i chudego. Był ubrany w koszulkę z obciętymi rękawami i parę czarnych dżinsów. Włosy miał dłuższe i bardziej splątane niż w San Francisco, a pod oczyma widniały ciemne kręgi, symbol przeżytej wojny. Z wnętrza dobiegała muzyka, nieznajoma i intrygująca.

Wybuchnął na jej widok.

- Dain! - Wyciągnął ręce, złapał ją i przytulił. Pocałowała go w policzek, zmierzwiła mu włosy. - Widzę, że wyszedłeś cało.

- Och, Chryste, mniej więcej... lecz nie dzięki Nigelowi. Ten cholerny sukinsyn chciał jechać prosto do Europy, bez chwili przerwy. W końcu udało mi się wybić mu ten pomysł z głowy. - Wyszczrzył zęby. - Ale, hej, wejdz do środka. Cieszę się, że tu jesteś. Chcę ci coś puścić.

Przeszli przez rozległy salon. Ściany były bladobłękitne, podłoga przykryta puszystą wykładziną w kolorze gołębioszarym. Meble z drewna palmowego były obite bawełną. Salon był chłodny i sprawiał miłe wrażenie. W rogu stała wysoka palma.

Daina wychwyciła zapach perfum, które wydawały się lekko znajome, jednak nie potrafiła ich nikomu przypisać. Nie było ich czuć w korytarzu, do którego ją wprowadził. Na ścianach wisały kolorowe zdjęcia kapeli. Minęli trzy sypialnie, z których jedna - największa - najwyraźniej była używana. Było w niej niskie, robione na zamówienie łóżko o ponadstandardowych wymiarach. W przelocie ujrzała czarną komodę z laki i uchylone drzwi łazienki.

Zeszli na dół po krótkich schodach z polerowanego drewna i znaleźli się w studiu na tyłach domu. Mieściła się w nim maleńka reżyserka oddzielona od samego studia przez podwójne szyby okna i dźwiękoszczelne drzwi.

Chris zachowywał się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Rozsiadł się w czarnym fotelu przed konsolą i wcisnął parę kwadratowych guzików. Zapaliły się różowe i zielone światełka i wielki magnetofon za jego plecami zbudził się do życia. Rozległ się szmer przewijanej z wielką prędkością taśmy, potem zapadła cisza. Tylko nikły, ledwo słyszalny szum wydobywał się z olbrzymich głośników wysoko na

ścianie.

Kerr wyszeptał:

- Posłuchaj tego. - Wcisnął guzik.

Rozbrzmiały gitary, falanga dźwięku, z początku niewyraźnego z powodu zbyt wielkiej siły głosu. Ale stopniowo wyłonił się nagi szkielet melodii i temat wiodącej gitary, wiotki i delikatny jak włókno.

Chris nucił, gdzieniegdzie wtrącając urywki słów. W jednym miejscu bogaty chór powtórzył to, co Daina uznała za tytuł utworu: *Dewizą świata jest rock'n'rolli*.

Początkowo była zszokowana. Muzykę można było dopasować do Heartbeatsów, lecz tylko w najbardziej ogólnym sensie. Muzyka kapeli zawsze - przynajmniej po tym, jak umarł Jon, a wraz z nim jego muzyczna współpraca z Chrisem - miała w sobie jakąś surowość ulicznego zabijaki, nawet ballady, które były najwyższą formą wyrafinowania zespołu. Jednak nigdy nie była taka. Daina podejrzewała, że Nigelowi nigdy się nie spodoba. Ta muzyka była inna. Brzmienie było Heartbeatsów - co według Dainy oznaczało Kerra - ale cechowało je takie wsublimowanie, jakiego zespół nigdy nie byłby w stanie tolerować.

Utwór dobiegł końca i zapadła cisza. Chris siedział z głową w rękach, prawie w transie, reflektory zapalały czerwone błyski w jego włosach. Nie widziała jego twarzy.

- To piękne, Chris - rzekła.
- Tak, lecz czy da się sprzedać?

Aktorka spojrzała na niego twardo. Czowała różnicę; wciąż wyczuwała w nim opór, jednak rozpoznała również palące pragnienie tworzenia. Nadal nie była pewna, jakie czynniki go powstrzymują, lecz nagle uznała, że ta chwila jest przełomową w życiu ich obojga. Ostatecznie jestem jego przyjaciółką, pomyślała. Muszę mu powiedzieć, co myślę.

- Nie zadałeś sobie właściwego pytania.
- Jasne, że zadałem. - Podniósł głowę, wysokie oświetlenie sprawiło, że jego już wymizerowana twarz pokryła się jeszcze siecią jakby wrytych w ciele bruzd. Był to makabryczny widok, lecz przez to Kerr wydawał się bardziej bezbronny. - Czy myślisz, że chcę zrezygnować z wielkiej forsy tylko po to, by zwalić się na pysek? Och, krytycy z utęsknieniem będą czekali, by posiekać mnie na kawałki, nazwać mój

wybryk kolejnym odjazdem ego. Ale wcale nie o to chodzi.

Podeszła do niego, dotknęła jego ramienia.

- Wiem, że nie, Chris. Teraz musisz robić muzykę.
- Wiesz - zaczął ze łzami w oczach - czego boję się najbardziej? Nie chcę być taki jak Chuck Berry, nie chcę w nieskończoność powtarzać wszystkich ogranych hitów Heartbeatsów. - Zamknął oczy, skrzywił się. - Zdradzę ci sekret, którego nie zna nawet Nigel. Już nawet nie mogę słuchać tych starych kawałków, a co tu dopiero mówić o graniu. Chryste, potłukłem wszystkie longplaye na kolanie i wyrzuciłem je. - Rozpostarł ręce, zachichotał nerwowo. - W tym domu nie ma ani jednego nagrania Heartbeatsów. - Objął ją, przytulił głowę do jej brzucha. Nie mogę już grać tej muzyki, Daino.

- No, to nie graj - powiedziała, gładząc jego włosy. Pochyliła się, pocałowała go w czubek głowy. - Zostaw kapelę, Chris. To będzie łatwiejsze, niż myślisz. Dajesz z siebie wszystko, a nie dostajesz niczego. Wiem, że to cię zabija. - Czekala w milczeniu na jego słowa. - Chris?

Odsunął się od niej i wtedy zobaczyła jego oczy, wielkie i nawiedzone.

- Nie mogę odejść! - krzyknął w udręce. - Są moją rodziną. Nie mogę ich porzucić.

Daina wiedziała, że jest blisko, jeżeli jednak nie dowie się, co się kryje za tym jego spojrzeniem, nie zdoła mu pomóc.

- Chris, musisz mi powiedzieć, dlaczego ta decyzja jest taka trudna. Wiem, że chcesz być wolny. Co cię powstrzymuje?

- Nie! - Był to prawie krzyk. Wstał, wybiegł z pokoju. Daina poszła za nim, po schodach na korytarz. Mijała sypialnię, kiedy coś zwróciło jej uwagę. Zatrzymała się i weszła do środka.

W pokoju panował rozgardiasz: wszędzie leżały rozrzucone ubrania i gazety. Mały telewizor Sony był włączony, dźwięk był ściszony. Na łóżku leżał magnetofon kasetowy, z kasetą wewnątrz.

Aktorka podniosła przedmiot, który połyskując w świetle przyciągnął jej uwagę. Był to poczwórny naszyjnik z głową egipskiego boga. Naszyjnik Tie. Więc to tak, pomyślała. Teraz, gdy Kerr stał się twórczą podporą kapeli, Thais w końcu dokonała podboju. Co na to powie Nigel? Podejrzewała, że nic. Wiedział, że nie może

zrobić niczego, aby ją powstrzymać, i nie uczyni żadnego ruchu, który mógłby zagrozić kapeli.

Chryste, pomyślała Daina, to Tie trzyma go w kapeli, nic innego. A wiedziała, że Tie potrafi być naprawdę straszna. Nagle przyszła jej na myśl rozmowa z Bonesteelem. „Ona cię kocha.” Nie, pomyślała, to niemożliwe.

Ale wiedziała, że to kłamstwo, i teraz krążący na krawędzi podświadomości pomysł zaczął się krystalizować. Strumyczek potu spłynął po jej czole i górnej wardze, i musiała usiąść na łóżku. Mój Boże, pomyślała. Mój Boże! To da się zrobić.

Spojrzała na naszyjnik w dłoni i zacisnęła palce na głowie boga. Po chwili odrzuciła błyskotkę z powrotem na łóżko.

Wyszła z pokoju i zaczęła szukać Chrisa. Nic dziwnego, że nie mógł jej powiedzieć. Wiedział, jak zareaguje na wieść, że on i Thais są razem. No cóż, nigdy nie dowie się, że ona to odkryła.

Wyszła przez salon na taras. Chris opierał się o cedrową poręcz i patrzył na morze. Poczwała duszący, słodki zapach grasu, zobaczyła, że pali. Jego postawa skojarzyła się jej z inwalidą. Morze przed nimi odmierzało czas regularnie jak bicie w bęben. Przybrzeżne fale zagłuszały wszystkie inne dźwięki, odbijały się echem i w tych echach, coraz głośniejszych, był cel i głębia.

Podeszła cicho i stanęła za nim. Objęła go, pogłaskała po szyi i rzekła:

- Chodź. Pójdziemy się napić.

Początek był łatwiejszy, niż sobie wyobrażała. Zadzwoiła do Tie i zaprosiła ją na drinka. Zapadał zmierzch, dosiadający L.A. jak czarny kochanek, przemieniający brązowy, gęsty smog w nietrwałą, piękną kurtynę. W dolinie oczy łzawiły od zanieczyszczeń, lecz tutaj, w Bel Air, powietrze było o niebo czystsze.

Thais przyjechała nie własnym spiderem, a wyprodukowanym na zamówienie rollsem silver cloud Nigela; taka manifestacja była w jej stylu. Była ubrana w spódnicę w czarne pasy i kremową bluzkę z krepy. Jej włosy, krótsze niż ostatnio, miały barwę kasztanową, podczas gdy skóra jaśniała prawie opalizującą bielą.

Daina przywitała ją przy drzwiach. Miała na sobie ciemnoniebieskie spodnie i plisowaną z przodu koszulę, rozpiętą dość głęboko, by było widać, że nie ma stanika.

- Wejdz - powiedziała z uśmiechem. Thais oderwała oczy od nie skrępowanych piersi aktorki. Jej ciężkie wargi lśniły tym samym odcieniem głębokiej czerwieni, co paznokcie. Daina zobaczyła koniuszek języka, który śmignął między

szkarłatnymi wargami jak różowy łebek żmii.

W przeciwieństwie do Tie miała tylko umalowane oczy i wiedziała, że ten kontrast jest wystarczająco dramatyczny. Odwróciła się i prawie natychmiast poczuła palące spojrzenie kobiety na plecach.

- Muszę przyznać, że byłam raczej zaskoczona twym zaproszeniem - wyznała Thais. - W San Francisco doszło między nami do ostrej wymiany zdań.

• Może dlatego, że obie jesteśmy przyjaciółkami Chrisa - stwierdziła Daina, gdy weszły do salonu. Paliła się tylko lampa z trawionego szkła w towarzyskim kąciku przy aksamitnej sofie. Jej blask był źródłem ciepła i intymności skądinąd niemożliwej do uzyskania w tak wielkim pomieszczeniu. Daina podeszła do baru. - Napijesz się?

- Masz tsingtao?

Aktorka rozejrzała się.

- Chyba mamy gdzieś tutaj butelkę. - Znalazła ją za courvoisierem.

• Aha, jest. - Zerwała pieczęć, wrzuciła lód, nalała wódki, dodała odrobinę lemona. - Wiesz, będąc razem w jego towarzystwie stajemy się całkiem inne.

- Podała Tie zmrożoną szklankę. - Zauważyłaś?

Czarne oczy Thais spojrzały na nią zimno. Daina przyrządziła sobie stoliczną z lodem i wtedy w milczeniu podniosły szklanki jakby w toaście za nieobecnych, ale nie zapomnianych przyjaciół.

• Wydaje się, że masz całkiem dobre stosunki z tym gliną - powiedziała Tie, nie odpowiadając na pytanie Dainy.

- Z jakim gliną? - Daina wyszła zza baru.

• Tym porucznikiem, który prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Maggie. - Ruszyła za aktorką do kanapy. - Jak się nazywa? Bonesteel.

- Przysiadła na podkulonej nodze i w rozcięciu spódnicy ukazało się blade udo.

- Nie lepsze niż z kimkolwiek innym - odparła spokojnie Daina. Napiła się. - W każdym razie wygląda na to, że jestem jedynym alibi Chrisa.

Thais parsknęła.

- Chyba nie myśli, że Chris ją zabił?

- Nie wiem, co myśli. - Daina odstawiła szklankę. - Jest wyjątkowo mało

komunikatywny.

- Znam na to lekarstwo... i ty też powinnaś znać. - Zerknęła na Dainę znad krawędzi szklanki: to samo zimne spojrzenie. - Dlaczego nie dowiesz się, co sądzi? Nie może być zbyt skomplikowany. To powinno być równie łatwe, jak włożenie pasa do pończoch.

- Dlaczego tak się tym interesujesz?

Tie chrząknęła, postawiła szklankę obok drinkówki aktorki.

- To chyba jasne. Nie chcę, by cokolwiek zagroziło pracy kapeli. Mam na myśli między innymi iluzje glin. - Podniosła kopertówkę z jaszczurczej skóry i wyjęła pojemniczek ze skorupy żółwia. Otworzyła go. - Wiesz, że dla tych facetów reputacja jest wszystkim. Gdy nie dokonują aresztowania, podlegają wielkim naciskom. - Wzruszyła ramionami. - Właśnie tak. - Wsunęła rubinowe paznokcie do pojemniczka, wyjęła maleńką srebrną łyżeczkę, którą wbiła w warstewkę białego proszku. Podsunęła ją pod nos, wciągając proszek szybko i głęboko w każdą dziurkę.

- On tego nie zrobi - powiedziała Daina.

- Skąd wiesz?

- Nie jest głupi.

- Wszyscy gliniarze są głupi - stwierdziła Thais, odkładając łyżeczkę i zatraskując pojemniczek. - W taki czy inny sposób. - Poniewczasie zapytała: - Chcesz trochę? - I, jak najbardziej świadomie, wrzuciła pojemniczek ze skorupy żółwia z powrotem do torebki.

Daina miała ochotę skomentować jej hojność, jednak powstrzymała się i powiedziała tylko, że woli trzymać się alkoholu.

- Chiński i rosyjski - rzekła Tie, sięgając po swoją szklankę. Miała na myśli dwie wódki. - Yin i yang. Bardzo interesujące.

- Próbowalaś kiedyś rosyjskiej?

- Nie stolicznej.

Daina pociągnęła łyżeczek.

- Powinnaś. Jest całkiem dobra. - Wyciągnęła rękę z opróżnioną do połowy szklanką. - Masz.

Thais lekko odwróciła głowę.

- Chyba nie chcę. - Ale Daina przytrzymała jej głowę i przycisnęła szklankę do

ust. Usłyszała szcęk zębów o szkło, przechyliła naczynie.

Tie uniosła rękę i odepchnęła szklanę z taką nagłością, że alkohol wylał się na aktorkę. Wychlusnęła resztę swojego drinka w jej twarz.

- Mówiłam ci, że nie chcę!

Daina przysunęła się do niej, poczuła nacisk bujnych piersi kobiety, ciepło jej ciała, perfumy i lekki zapach potu składające się na nową, piżmową woń. Oddech Thais parzył jej policzek, gdy szamotały się na sofie. - Suka! - zawołała Tie. - Ty suko! - Potem krzyknęła z bólu, gdy Daina złapała ją za rękę, przycisnęła do oparcia sofy. - Och, och, och! To boli! Cholera!

- Zobaczyła obnażone zęby Dainy i drżenie przebiegło przez jej ciało. Zamknęła oczy. - Puść mnie. - Jednak wyrzekła to tak cicho, że jej głos wydawał się nieomal częścią narastającej wokół nich ciszy.

- Połóż się! - rozkazała Daina i Thais otworzyła oczy. Drżała. Daina nie zwolniła uchwytu i naparła ciałem na Tie tak, że obie prawie się położyły. W trakcie szamotaniny guziki koszuli aktorki rozpięły się i teraz było widać piersi w całości. Ciemne oczy Thais przesunęły się jakby ściągnięte magnesem. Koniuszek języka wysunął się i nieświadomie wędrował po rozchylonych ustach.

Daina siadła na Tie okrakiem, więząc ją między silnymi udami.

- Co robisz? - zapytała chrapliwie Thais, ale jej ciało powiedziało Dainie, że wie.

Ta podniosła rękę, wyciągnęła koszulę ze spodni, zdjęła ją. Ujęła w dłonie własne piersi. - Powąchaj mnie - wyszeptła ochryple. - Czy możesz mnie powąchać?

Tie próbowała odwrócić głowę, lecz Daina widziała, jak jej nozdrza rozdymają się, wdychając uderzający do głowy zapach.

- Zabierz je - wyjęczała.

- O, nie, nie, nie. - Aktorka pochyliła się, wydłużonym sutkiem obrysowując usta leżącej kobiety, pocierając nim zaciśnięte wargi. - Nie chcesz otworzyć ust, Tie? - Dziwne czarne oczy były zachmurzone, spódnica pomarszczona wokół bioder. Spomiędzy ud buchał żar. - Nie chcesz... ich possać?

Thais odsunęła głowę. W jej oczach widniał strach - i coś jeszcze.

- Co ty robisz? - Jej głos zadrżał i w końcu załamał się. - Zwariowałaś.
- Tak, to prawda... - puściła piersi, chciwie wsunęła rękę pod bluzkę Tie

- szalona. Jestem szalona. Ale z drugiej strony... - schyliła głowę, polizała skórę między piersiami kobiety i uśmiechnęła się szeroko - ty też. - Zaczęła

naciskać biodrami na biodra Thais. - Uhm. Czuję to. Och, jak bardzo. Wiem, że tego chciałaś... potajemnie pragnęłaś tego.

Szybko ściągnęła jej bluzkę i, upewniwszy się, że Tie jest unieruchomiona, zabrała się do spódnicy.

Powróciła do pieszczenia jej piersi, czując ciało reagujące z początku powoli, potem spazmatycznie. Thais zaczęła dyszeć, wysunęła biodra w górę, jednak kiedy Daina rozpięła dzinsy, jęknęła: - Nie, nie, nie. Nie. Och, nie. Och!

- A gdy ta dotknęła jej wzgórka, był już wilgotny.

Tie nadal zawodziła cicho: - Nie, nie - a Daina zaczęła nucić, podczas gdy jej usta i język wędrowały w dół wilgotnego ciała, okrążyły pępek, zbadały jego głębię, ruszyły powoli w dół do linii włosów wzgórka łonowego.

I wtedy, gdy usta aktorki miały zanurzyć się w łonie Thais, ta szarpnęła się desperacko.

- Jeszcze nie! - krzyknęła. - Och, muszę go mieć - i zaczęła szukać własnym łonem wzgórka Dainy. Starła się zdobyć przewagę i Daina pozwoliła jej na to. Wsunęła lewą nogę pod Dainę, drugą między jej uda i rozchyliła je. Teraz były połączone jak para nożyczek.

Thais natychmiast przyciągnęła aktorkę do siebie, ich piersi pocierały się, gdy kręcąc biodrami dążyła do kontaktu intymnych części ciała. Poruszała się coraz szybciej, z zamkniętymi oczyma, i w końcu Dainę też ogarnęło podniecenie, podśpiewujące jak przewód pod napięciem, i jej mięśnie sprężyły się, gdy dochodziła do szczytu.

A potem ręce Tie nacisnęły na jej ramiona i zepchnęły ją w dół tak, że jej głowa znalazła się na poziomie wirujących bioder. - Och! - jęknęła Thais.

- Doprowadź mnie, kochanie. - Jej palce wplątały się we włosy Dainy, ostre paznokcie drapały skórę. - Aach! Jeszcze troszeczkę. Och, kochanie! - Sapnęła, gdy aktorka pogrzebała usta w gorącej wilgoci jej ciała.

Daina wiedziała, że Tie zatraciła się w ekstazie, że potrafi myśleć tylko o orgazmie, i usłyszała własny głos: - Dlaczego nie zostawisz go w spokoju?!

• Odpowiedział jej krzyk małej dziewczynki, kogoś, kim Thais była dawno temu, kto ujawnił się tylko w tej krótkiej chwili. - Och, bosko! Kochanie, bosko! - Ale

nagle przestała odczuwać rozkoszny nacisk i otworzyła oczy.

- Kochanie, co robisz? Jestem gotowa. Ssij mnie!

• Zaraz - rzuciła Daina, wspinając się na rozedrgane ciało Tie. Ta skrzywiła się, czując posuwisty kontakt. Jęknęła i spazmatycznie szarpnęła biodra w górę. - Czy chciałabyś mieć to przez cały czas?

• Och, kochanie... - palce Thais zacisnęły się na niej z potężną siłą - nic nie mów. Dokończ!

- Dokończę - obiecała Daina, używając kciuków i palców wskazujących.

- Lecz najpierw musisz coś zrobić.

- Och, ooch! - Palce Tie osunęły się na grzbiety zajętych dłoni aktorki.

- Już - jęknęła. - Prawie, prawie, ooch! - Daina odsunęła rękę. - Och, nie przestawaj! - Złapała rękę Dainy, próbowała przycisnąć je z powrotem do gorącego ciała.

- Thais, posłuchaj.

• Co... o co chodzi? - Jej biodra nadal poruszały się rytmicznie, ale Daina wygięła się w łuk. Nie odsunęła się całkiem, pozwoliła, by ich ciała muskały się lekko. - Kochanie...

• Możesz mieć to przez cały czas, Tie - wyszeptała jej do ucha, pieszcząc je językiem. - Zawsze. Chciałabyś?

- Tak... och! Tak.

• Zatem wróć do Nigela... albo do kogokolwiek innego. Byle nie do Chrisa...

• Nnnn. Chcę dojść. - Jej ręce przesunęły się do zwieńczenia ud, jednak leżąc na niej aktorka odepchnęła je.

Thais otworzyła oczy.

- Zrób to - wydusiła. - Uderz mnie tam...

• Tak? - Cofnęła rękę, trzasnęła między wilgotne uda. Ciało kobiety podskoczyło jak rażone prądem.

- Tak... och, tak! Jeszcze!

• Dopiero gdy się zgodzisz.

• Tak, tak, tak!

• Co tak?

- Tak, wróć do Nigela. - Zachichotała. - Chris i tak jest marnym kochankiem. Ja tylko chciałam skom... skompletować. - Wsunęła rękę do kieszeni skłębionej spódnicy i wyjęła kapsułkę. - Mała Szatnia. - Otworzyła kapsułkę azotanu amylu, pottrzymała ją pod nosem, wdychając gaz. - Wolę mieć ciebie, Daino. Ty wolisz robić to ze mną... a ja... robić to z tobą. Twoja twarz wielka na pięćdziesiąt stóp... twoje głodne usta... twoje oczy ikony. - Głowa Dainy zniżyła się, a jej palce wsunęły pod Tie, podnosząc z sofy biodra, zanurzając się w niej. - O Boże, o Boże, o Boże... tak!

Thais zaczęła dygotać w orgazmie tak potężnym, że pod koniec omdlała. Dainie było to na rękę. Zemdliło ją, wstała niepewnie i pobiegła, w ostatniej chwili wpadając do łazienki. Uklękła przed chłodnym porcelanowym klozetem i zwymiotowała.

O Boże, pomyślała. O Boże, o Boże - nieświadomie powtarzała wypowiedziane chwilę wcześniej słowa Tie. Ale ich znaczenie było zdecydowanie inne.

Podniosła się chwiejnie, wsunęła głowę pod kran i odkręciła zimną wodę. Czowała się dziwnie zdezorientowana. Jakby wątek jej życia został bezładnie splątany, jakby już nie miała kontroli nad rękoma, stopami i ustami, albo raczej jakby te istotne elementy jej fizycznego ja znalazły się w posiadaniu nieznannej istoty.

Ale to ty! - krzyczała w myślach. Ty! Ty! Ty!

Tie nie poruszyła się, gdy Daina wróciła i stanęła nad nią. Skoro zaczęłam, muszę przez to przejść do końca, pomyślała aktorka. Lecz to będzie łatwe. Nawet nie muszę udawać.

Thais otworzyła oczy i wymruczała coś cicho i niezrozumiale. Ręce miała złożone pod głowę, plecy lekko wygięte. Była to prowokacyjna, uległa poza i Daina pomyślała, że nigdy nie widziała Tie tak bezbronnej.

Kobieta leniwie wyciągnęła ręce, pogładziła udo Dainy. - Dotknij mnie - wyszeptwała. A kiedy Daina cofnęła się o krok, dodała: - Och, proszę. Przycisnęła policzek do brzucha aktorki i sunęła dłońmi po jej nogach.

- Nigdy przed nikim nie klęczałam. - Jej głos był niewyraźny ze wzruszenia.
- Ty nie doszłaś. Pozwól... pozwól mi...

Daina szorstko odepchnęła jej głowę. - Wynoś się stąd! - Jej głos był ostry i zgrzytliwy. Tie szarpnęła się jak smagnięta biczem.

Daina pochyliła się, podniosła jej ubrania. Rzuciła je brutalnie na jej łono, szarpnięciem postawiła ją na nogi. Bez słowa zaciągnęła Thais przez milczący korytarz do frontowych drzwi.

- Ubieraj się i zjeżdżaj! - rozkazała i zostawiła ją, drżącą, z rozszerzonymi oczyma.

W ciemności coś się poruszało. Szmer ukradkowego ruchu. Nagle charczenie, odgłosy uderzeń, trzask pękającego przedmiotu, chrapliwy krzyk.

Zapłonęły latarki. Ponad panującym harmidrem wznosił się głos El-Kalaama. Sylwetki: kształty i cienie tańczące po ścianach, groteskowe, ostro zarysowane. El-Kalaam strzela trzy razy nad głowami. Porządek zostaje przywrócony. Zapalają się lampy.

Heather i Rachel siedzą obok regału, gdzie obie spały. Thomas i Rudd na sofie, angielscy członkowie parlamentu obok nich na podłodze. Renę Louch, rozczochrany i o mętym wzroku, siedzi oparty o lustro. Tylko Emouleur leży. Rozpostarty na brzuchu, z głową i ramionami w głębokim cieniu kominka.

El-Kalaam ponuro rozejrzał się po pokoju. - Podnieść go!

Rita zbliżyła się, czubkiem buta kopnęła młodego Francuza w bok. Attaché nie poruszył się. Natychmiast pochyliła się, przyłożyła palce do jego szyi. Podniosła głowę.

- Nie żyje - powiedziała. - Uduşzony.
- Masz swoją odpowiedź, El-Kalaamie - odezwał się Rudd. - Nikt niczego nie podpisze.

- Zakładam, że to ty go zabiłeś. - Głos terrorysty był zimny, wyprany z emocji.

- Ja tego nie powiedziałem. Ale żałuję, że nie wpadło mi to do głowy.

- Bardzo dobrze, lecz takie rozwiązanie nic nie daje. - Zarzucił głowę i Malaguez złapał Rudda za przód koszuli. - Zabierz go do pralni.

- *Non!* - krzyknął Louch. Wstał niezdarne, opierając się o lustro. Zachwiał się lekko. - Masz niewłaściwego człowieka. On nie zabił Michela; ja to zrobiłem.

- Ty? Interesujące. A z jakiego powodu?

- Był młody, podatny na wpływy. - Francuski ambasador próbował odgarnąć włosy z oczu. - Nie widział tego, coście mu zrobili; ja widziałem. Nie rozumiał, jak

go zmieniliście; ja rozumiałem. Już nigdy nie byłby takim samym człowiekiem. Nigdy nie myślałby ani nie zachowywał się tak samo jak dawniej.

- I o to chodziło.

- Tak, wiem. Dlatego trzeba było go powstrzymać. Trzeba było uratować go przed nim samym albo raczej przed tym, co z niego zrobiliście. - Na twarzy mężczyzny malował się ból. - Próbowałem z nim porozmawiać, ale bez skutku. I... - zdawał się dławić własnymi słowami - musiałem dokonać wyboru... a nie było to łatwe. Nie mogłem pozwolić, by nasz rząd w taki sposób został wciągnięty w ten incydent.

- Rozumiem - rzekł zimno El-Kalaam. - No cóż, to nie ma znaczenia.

- Odwrócił się. - Zgasić światła. Wszyscy stoją przez resztę nocy. - Ciemność.

Ostre światło poranka. Kolory pojawiają się powoli; kremowe i złote wzorki na tapecie; jasna plama ściennego lustra.

- Zostały tylko dwie godziny - poinformował Malaguez El-Kalaama.

- Wiemy, co trzeba zrobić... w taki czy inny sposób. Przyłączył się do nich Fessi.

- Nie sądzę, by Izraelczycy się poddali - powiedział Malaguez. Na twarzy Fessiego odbiła się pogarda.

- Amerykanie i Anglicy nakłonią syjonistów do zmiany kursu. Mają dość siły. Została ona nadwątlona, lecz mimo wszystko... co zrobiłby Izrael bez poparcia Amerykanów?

- O ile Zachód dostatecznie dobrze zrozumiał nasze intencje - odparł Malaguez. - Zdaje się, że wprawiliśmy ich w zakłopotanie.

El-Kalaam chrząknął.

- Mieszkańcy Zachodu rozumieją filozofię tak samo jak nauki Allacha, co znaczy wcale. Rozumieją tylko kule, nitroglicerynę i śmierć. Aby zmusić ich do działania, należy przedsięwziąć ekstremalne środki. Wszelkie subtelności przelatują przez ich mózgi jak niematerialne cienie. Spełnią nasze żądania, punktualnie.

- Czas - zaczął Fessi - ciąży mi na karku niczym kamień. - Trzasnął lewą ręką w AKM. - Tęsknię za walką. Jakaś część mnie chce, by termin minął, a radio nie poinformowało nas o zwycięstwie. Tęsknię za sianiem śmierci i zniszczenia.

- To dlatego, że jesteś szalony - stwierdził Malaguez. - Matka musiała upuścić

cię na głowę, jak byłeś...

Fessi skoczył do niego; El-Kalaam zatrzymał go w połowie drogi.

- Dość! - krzyknął. - Uspokójcie się obaj. - Spojrzał na Rachel i Heather. - Malaguez, zabierz dziewczynę. Fessi, sprawdź, czy radio jest nastawione na właściwą częstotliwość. - Rita złapała Heather za łokieć.

- Potem przyjdź do nas do pralni. Zobaczymy, z czego są zrobione te dwie. Jedno za drugim ruszyli korytarzem. W pokoju po drugiej stronie korytarza nic się nie zmieniło. Okna nadal były przysłonięte, łóżko przewrócone. Podłoga była śliska od różowego płynu. Gumowy wąż wił się do miejsca, w którym upadł Bock. - Co zrobiliście z Susan? - zapytała Heather.

- Nie była nam już potrzebna. - Przywódca terrorystów skinął na Malagueza. - Daj ją tutaj.

Mężczyzna pchnął Rachel na poplamione krzesło, które wcześniej zajmował Bock. Twarz dziewczynki błyszczała od potu. Gdy usiadła, spojrzała na Heather w milczącym porozumieniu.

- To, czego od ciebie chcemy, jest proste - zaczął swym najbardziej umiarkowanym tonem El-Kalaam. - Oświadczenie. - Popatrzył na Rachel.

- Wyobraź sobie tylko, jak świat zareaguje na podpisane przez ciebie oświadczenie, w którym popierasz nasze cele.

- Nikt w nie nie uwierzy.

- Oczywiście mogliśmy napisać je sami i sami je podpisać, ale to byłoby namiastką. Potrzebne nam twoje autentyczne pismo.

- Nikt w to nie uwierzy - powtórzyła Rachel. Spojrzał na nią groźnie, potem lekceważąco machnął ręką.

- Oczywiście, że uwierzą. Ludzie są naiwni. Wierzą w to, co chcą albo... w to, co im się każe. Wielu z nich odnosi się do naszej sprawy z dużym zrozumieniem. Boją się tylko wyrażać je otwarcie... wszędzie czyhają syjonistyczni bandyci.

- Wszystkim, czego chcemy, jest życie w pokoju - powiedziała dziewczynka. El-Kalaam splunął i skrzywił się.

- W pokoju. Och, tak, oczywiście. W pokoju na waszą modłę. Chcielibyście żyć w świecie bez Arabów.

- Przeciwnie, to wy pragniecie zniszczyć nas.

• Przekręcasz fakty! - krzyknął. A potem, o wiele ciszej dodał: - Chcielibyśmy wybić ci z głowy te błędne przekonania. - Uśmiechnął się krzywo. - Mamy czas - i metody. - Wyciągnął ku niej rękę.

- Daj jej spokój - odezwała się Heather. - Jest tylko dzieckiem.

Terrorysta odwrócił się.

• Dzieckiem, mówisz? A czy myślisz, że gdyby włożyć jej w rękę naładowany pistolet, nie zastrzeliłaby mnie bez chwili namysłu? Och, tak, zrobiłaby to. - Podeszedł do Heather. Rita stała za jej plecami, tuż na lewo.

• Nadal nie rozumiesz, prawda? Nie, widzę, że nie. - Wskazał na Rachel.

- To dziecko jest kluczem... kluczem do wszystkiego... do wszystkich naszych marzeń. Nie obchodzą mnie inni... nie są dla mnie użyteczni. Ale ona... ona jest dla mnie wszystkim.

Twój mąż połapał się w tym od razu. I dlatego zrobił to, co zrobił. Podziwiałem go. Przez jedną krótką chwilę był amatorem próbującym zostać profesjonalistą. Udało mu się. Lecz ty... - warknął z pogardą - ty jesteś tylko morderczynią królików. Masz taką mentalność. Nie masz pojęcia o prawdziwym życiu i śmierci; nie wiesz, kiedy zainicjować jedno czy drugie. Twój mąż wiedział przynajmniej tyle. W sercu był rewolucjonistą. Ty jesteś tylko gospodynią, którą nauczono pociągać za spust na strzelnicy. Nie masz mózgu, nie masz odwagi.

Złapał ją za szczękę, potrząsnął jej głową, nie spuszczać z niej oczu.

- Pamiętaj, by od tej chwili trzymać gębę na kłódkę. Patrz, co się stanie. Jeżeli się odezwiesz, Rita rozwali ci głowę kolbą pistoletu. Czy to jasne?

Kobieta skinęła głową w milczeniu. El-Kalaam machnął ręką.

- Zaczynamy.

- Odkryłem coś, co powinnaś wiedzieć.

Nie użył ani jej, ani swego imienia; był bardzo ostrożny. Niemniej jednak natychmiast poznała jego głos. Wspomniała jego ciepły jasny uśmiech, jego zniszczone dłonie artysty.

• Co?

• Nie przez telefon - powiedział Meyer. - Musimy się spotkać. Pomyślała o napiętym terminarzu, byli już tak blisko końca produkcji. Serce jej się ścisnęło.

• Nie mogę jechać do San Diego.

- Nie ma potrzeby. Jestem w L.A.

- Gdzie?

- Och, w okolicy. - Roześmiał się i Daina wspomniała bogaty zapach wody kolońskiej, suchą skórę jego policzka. - Możesz urwać się na godzinę?

Spojrzała na zegarek.

- O zmroku. Musimy wykorzystać światło. Może o wpół do siódmej?
- Świetnie. - Zamilkł na chwilę. - Przed grobem Maggie.
- Wie pan, gdzie...
- Wiem, gdzie to jest.
- W takim razie - rzekła Daina - niech pan nie zapomni przynieść kwiatów.

Przykazała, by szofer studyjnej limuzyny o zmierzchu zawiózł ją na cmentarz. Ostatnio coraz częściej zostawiała srebrnego mercedesa w domu. Powtarzała sobie, że jest to jedynie wynikiem zmęczenia. Zawsze lubiła prowadzić, ale dojazdy do studia i powroty do domu stały się męczarnią. A kiedy poskarżyła się Beillmannowi, ten bez słowa podniósł słuchawkę i zamówił jej limuzynę.

Położyła się wygodnie na siedzeniu i odwróciła do przenośnego lustra, żeby Anna mogła ostrożnie usunąć jej makijaż. Widziała, że ta usługa jej się należy. Westchnęła lekko, czując chłód cold creamu na skórze. Przez pewien czas nie myślała o Meyerze i starała się zapomnieć o czekającym ją spotkaniu. Co dla niej ma?

Myślała o Nowym Jorku i zimie. Trudno było teraz wyobrazić sobie jedno i drugie czy, dokładniej, odczuć. Boże Narodzenie w Nowym Jorku spłowieło do poziomu sceny, w której dawno temu grała na pianie w dolinie - niewyraźnej i nie całkiem realnej. Pragnęła wrócić na Wschód, odświeżyć romans z miastem, które nigdy nie zasypiało. Szampan i kawior płynęły ospale w jej żyłach, wysokie palmy nad głową prześlizgiwały się w ukradkowo nadciągającym wieczorze. Były tylko palmy i mercedesy, i czas płynący tak samo niezależnie od pogody lub nawet pór roku.

- Skończone, panno Whitney.

• Niech Alex cię wysadzi - powiedziała Daina, nie otwierając oczu. Nie chciała, by jej przeszkadzano przed dotarciem do punktu przeznaczenia. Niejasno zdała sobie sprawę, że limuzyna zwalnia, potem zatrzymuje się. Usłyszała, jak Anna mówi dobranoc, i mruknęła coś w odpowiedzi. „Odkryłem coś, co powinnaś

wiedzieć.” Głos Meyera odbijał się echem w jej głowie. Dręczyło ją to, że nie potrafi rozszyfrować jego znaczenia.

Musiała przespać część drogi, bowiem gdy znów otworzyła oczy, limuzyna stała przy bramie cmentarza. Silnik był wyłączony. Spojrzała przed siebie, zobaczyła tył głowy Alexa. Było w niej coś dziwnego. Potem głowa odwróciła się i Daina ujrzała przystojną twarz Margo. Kosmyki czarnych włosów spływały po drobnych uszach. Kobieta uśmiechnęła się.

- Chodźmy, kochanie. Meyer czeka.

Zniknęła z pola widzenia, a chwilę później otworzyła tylne drzwi. Pochyliła się lekko. Jest smukła i śliczna, pomyślała Daina. Wyciągnęła bukiet irysów. - Meyer pomyślał, że mogą się pani przydać. - Aktorka roześmiała się. Ostatecznie to ona zapomniała o kwiatach.

Meyer był sam. Stał przed grobem Maggie, lekko zgarbiony, ubrany w modne, ciemnoszare płócienne spodnie i kremową jedwabną koszulę z krótkimi rękawami. Wyglądał rześko i był w dobrej kondycji. Na otwartej przestrzeni jego mądra głowa Picassa wydawała się jeszcze większa. Opierał się lekko na hebanowej lasce z wyraźnie zaostrzonym końcem i wielką malachitową rączką. - Dostałem ją - rzekł jej później - pod koniec wojny od angielskiego pułkownika.

Przez długi czas stali w milczeniu. Obserwowała go ukradkowo, szukając może oznak starości. Ale, z wyjątkiem sandałów, nie mogła znaleźć żadnych. Ręce mu nie drżały, głowa nie trzęsła się. Przyglądała się cienkiej błękitnej żyłce pulsującej z boku głowy, tylko częściowo przysłoniętej kosmykiem włosów. Niebo nad nimi opalizowało odbitym światłem - głównie neonami z Hollywood i Stripu - lecz smog zmiękczał je i użyczał mu iluzji pierwotnego piękna. W tym blasku Meyer wydawał się nieśmiertelny, nienaruszalny ani przez ręce śmiertelnika, ani przez sam czas. Przeżył obóz koncentracyjny, śmierć dwóch synów i co najmniej jedną żonę. I stał, nie poskromiony.

- Słyszałem o tobie różne rzeczy - zaczął takim głosem, że ciarki przebiegły jej po krzyżu. - Ekscytujące. - Odwrócił się przodem do niej i światło zalśniło w jego oczach, wyolbrzymiając je. - Od dawna nie widzieliśmy nikogo takiej klasy. - Miał zwyczaj używania zaimka „my”, jakby wygłaszał opinię całego świata. - Żar na ekranie. - Zdjął rękę z laski, silnie ścisnął jej ramię. - Wydaje się, że teraz możesz osiągnąć wszystko, co zechcesz.

- Czasami czuję się tak, jakbym miała dziesięć stóp wzrostu - wyznała z rozmarzeniem.

- Powiedz mi, czy to ty się zmieniłaś, czy twoje otoczenie?

- Nie rozumiem.

- No, na przykład, ta limuzyna. - Machnął ręką w stronę bramy cmentarza.

- Sześć miesięcy temu nie miałaś jej... nie mogłaś jej mieć, prawda? – Pokiwał głową. - Tak. Masz ją teraz dlatego, że ty jesteś inna, czy dlatego, że ludzie odbierają cię inaczej?

Daina popatrzyła na niego.

- Czy to ważne? Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

- Tylko dla ciebie, Daino.

Spojrzała na irysy, które Margo wsunęła jej w ramiona. Schyliła się, położyła bukiet na grobie. Wyprostowała się z lekkim zawrotem głowy.

- Jakie to uczucie, kłaść kwiaty na pustym grobie? - zapytał. Wyciągnął ręce i złapał ją, nim upadła. Zatoczyła się na niego, jednak

utrzymał ją mimo bólu w stopach i puścił dopiero wtedy, gdy doszła do siebie.

- Co to znaczy? Byłam na pogrzebie, gdy chowano Maggie. Widziałam...

- Widziałas - zaczął cierpliwie Meyer - pustą trumnę opuszczaną do ziemi.

Twojej przyjaciółki Maggie nie było w środku.

Nie kwestionowała jego słów.

- Zatem gdzie ona jest?

- W Irlandii. - Otoczył ją ramieniem. - Pochowana w domu.

- Lecz Maggie urodziła się w St. Marys, w Iowa.

- Nie urodziła, wychowała. Ona i jej siostra tuż po urodzeniu zostały wywiezione z Irlandii Północnej. Przywieziono je tutaj, umieszczono w odpowiedniej rodzinie i...

- Ale dlaczego?

- Ich prawdziwe nazwisko brzmi Toomey - powiedział Meyer. Odczekał chwilę. - Czy to ci coś mówi?

- Chwileczkę. - Daina wróciła w myślach do rozmowy z Marionem. Wydawał się zdenerwowany, zapytała, dlaczego. „To nieszczęście w Irlandii

Północnej.” Czy nie tak się wyraził?

- Czy to nie Sean Toomey jest patriarchą protestantów w Belfaście?

Mężczyzna skinął głową.

- Ten sam. Maggie była jego wnuczką.
- Mój Boże! - krzyknęła. - Co pan mówi?
- Nie wyciągam żadnych wniosków - oświadczył beznamiętnie Meyer.
- Zostawiam to innym. Mówię ci tylko, czego się dowiedziałem. Czy to nie

część układu?

• Ale Marion powiedział mi, że Sean Toomey zorganizował połączony nalot Brytyjczyków i protestantów na katolicką dzielnicę Belfastu - jak ona się nazywa?

- Andytown.
- Tak. Andytown. I to było...
- Mniej więcej dwa tygodnie przed zamordowaniem twojej przyjaciółki.

Odwróciła się.

- Muszę iść na policję.

Jednakże Meyer trzymał ją za ramię i nie chciał puścić. Odwrócił ją w swoją stronę.

- I co im powiesz?
- To, co właśnie usłyszałam. - Spojrzała w jego pozbawioną wyrazu twarz. -

A może brakuje panu odwagi, by poprzeć własne słowa.

• Opanuj się. To nie ma nic wspólnego ze mną... ani z tobą, jeśli o tym mowa. - Przyciągnął ją do siebie i postukiwał laską na podkreślenie swoich słów. - W porządku, załóżmy, że oboje udamy się na policję i powtórzymy to, co powiedziałem. Czy poważnie wierzysz, że Sean Toomey przysłał tu swoje wnuczki bez wiedzy rządu Stanów Zjednoczonych? I czy myślisz, że pozwolono by, aby cokolwiek dostało się do prasy? - Pomachał laską z boku na bok. - Nie, nie, nie. W tym kraju jest zbyt wielu sympatyków IRA, by do tego dopuścić. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - Nigdy nie otworzą tego grobu. Nigdy. - Położył ręce na jej ramionach. - Daino, ta informacja jest przeznaczona wyłącznie dla ciebie. Obiecałem, że pomogę ci dowiedzieć się, kto zabił twoją przyjaciółkę, nic więcej.

- Ale nie zrobił pan nawet tego.

Mężczyzna wsunął jej w dłoń skrawek papieru, zacisnął jej palce.

- Kiedy będziesz miała okazję - rzekł - spotkaj się z tym człowiekiem. Tym razem to on pochylił się i pocałował ją w policzek.

Nie mogła nic na to poradzić; musiała iść do Bonesteela. Oczywiście był pełen rezerwy. - Musisz mi powiedzieć, skąd pochodzi ta informacja.

- Bobby, nie mogę. - Rozłożyła ręce. - Proszę, nie pytaj.
- Słuchaj...!
- Nie, ty słuchaj. Albo uwierzysz, albo nie i na tym koniec.
- W porządku. Myślę, że to bzdura.
- Świetnie - rzuciła, zbierając się do wyjścia. - Cześć.
- Czekaj. Chwileczkę. - Zabębnił widelcem po serwecie. Siedzieli w kuchni

domu Rubensa. Nie chciała jechać na komisariat, a nie przyszło jej na myśl żadne publiczne miejsce, w którym natychmiast nie otoczyłby jej tłum; nie chciała też rozmawiać w obecności Alexa.

Machnął widelcem.

- Och, siadaj - burknął. - Denerwuje mnie, jak tak stoisz.

Maria miała wolne, ale Daina widziała przez okno, jak meksykański ogrodnik pracuje przy różach.

- Chyba cię nie lubię - rzekła, siadając naprzeciw niego.
- Jednak mnie nie wyrzucasz.
- Wiesz dlaczego. Bez ciebie nigdy nie dowiem się, kto zabił Maggie.

Pochylił się nad stołem.

- A jest to dla ciebie bardzo ważne, prawda?
- Tak.
- Dlaczego?
- Ona była moją przyjaciółką.
- Przyjaciółką, która jechała na prochach, która stale cię okłamywała, która

zazdrościła ci sukcesu, która była przekonana, że masz romans z jej facetem...

Daina trzasnęła go w twarz.

- Chryste, wszyscy jesteście tacy sami, we wszystko wtykacie nosy!
- Tak, to robię - twierdził, nie poruszając się. Twarz miał czerwoną, lecz głos

pozbawiony emocji. - Jestem śmieciarzem. Przetrzęsam brudną bieliznę, szukając zapachu ekstremistów, bo w dziewięciu na dziesięć przypadków to tam znajduję pokręconego sukinsyna, który zabija innych ludzi. Czy dostrzegasz w tym jakąś logikę?

Odwróciła głowę.

- To obrzydliwe.

- Przypuszczam, że dużo bardziej od miażdżenia innych wysokim obcasem.

Spojrzała na niego z ogniem w oczach.

- Ja tego nie robię.

• Robisz - zaprzeczył. - Tylko myślisz, że jest inaczej.

- Wynoś się stąd! - Wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. - Nie chcę mieć z tobą do czynienia!

Podszedł do niej.

- A jak myślisz, co zrobisz w sprawie Maggie?

- Sama dam sobie radę. - Cofnęła się pod ścianę. - Zostaw mnie!

Podniosła rękę, by go uderzyć, jednak on złapał ją za nadgarstek.

• Nie bądź idiotką - powiedział, siłując się z nią. Był teraz bardzo blisko, oboje sapali z wysiłku. - Potrzebujemy się wzajemnie. - Jego usta były tuż nad jej ustami. Zwarli się oczyma. Usta opadły na jej wargi i poczuła jego narastające podniecenie.

- Co robisz? - zapytała.

- A jak myślisz?

Złapał jej ręce i odciągnął je w górę i na boki, eksponując piersi. Zajrzała mu w oczy i, zaskoczona, ujrzała w nich siebie. Uświadomiła sobie, iż chce, aby się z nią kochał nie tylko dlatego, że go lubiła - to za mało. Potrzebowała jego ciepła, ponieważ nie był, jak Rubens, częścią jej świata. Wchodząc w nią udowodniłby, że ona jest czymś więcej niż obrazem z ekranu. Podniosła głowę, by oddać mu pocałunek, ale jego twarz była tak blada, jakby był w szoku. Słyszała jego chrapliwy oddech. Żołądek skurczył się jej ze strachu.

- Co jest, Bobby?

• Nie... naprawdę nie wiem. Ja... - spojrzał na ręce, odsunął je od jej ciała - marzę o tobie cały czas, fantazjuję. Wiesz, nawet w komisariacie, przekomarzam się z

innymi... niektórzy faceci zazdroszczą mi, bo wiedzą, że jestem z tobą.

Przysunęła się do niego, przycisnęła piersi do jego - koszuli.

- Myślałem o tym tyle razy. Jak to by było... - Położył ręce na jej ramionach. -

Jednak teraz, w tej chwili, jestem jak sparaliżowany. Potrafię myśleć tylko o tej wysokiej na pięćdziesiąt stóp tablicy reklamowej, o tym, jaka byłaś w *Regina Red*. Wszystko jest takie... poplątane. Nie potrafię oddzielić jednego od drugiego.

- Ale tylko ja jestem z krwi i ciała, Bobby.

- Nie - zaprzeczył, odpychając ją lekko od siebie. - Nie jesteś. Już nie. Jesteś symbolem, fantazją dla milionów, nie wiem, ilu facetów śni o tobie i budzi się w mokrej pościeli. Teraz jesteś czymś więcej niż ciałem i krwią.

Objęła go.

- To nonsens i sam o tym wiesz. - Tymczasem skurcz w brzuchu rozprzestrzenił się, w końcu ogarnął klatkę piersiową. Pomyślała, że jeszcze chwila, a wybuchnie. Co się ze mną dzieje?

- Nie widzisz? - zapytał z bólem Bonesteel. - Chcę się z - tobą kochać, ale nie mogę. Należymy do innych światów. Nie pasuję do twojego łóżka.

W tym momencie chciała wrzasnąć, że jest tylko małą dziewczynką z ulicy, przerażoną i samą, jednak coś ją powstrzymało i nie musiała już przygryzać wewnętrznej strony policzka, by zmusić się do milczenia. Krzyknęła i porucznik, myśląc, że to wyraz gniewu, cofnął się.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Naprawdę przepraszam, Daino.

- Potem odwrócił się i ruszył korytarzem obok mądrej twarzy Żyda el Greca. Kiedy usłyszała trzask drzwi, osunęła się na kolana, skryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać tak, jak nie płakała od czasu długich dni i nocy w White Cedars. Poczła smak gumy w ustach i niemal zwymiotowała. Objęła się rękoma, kołysała się monotonicznie, i płakała, płakała, dopóki w końcu nie zasnęła na dywanie prawie pod obrazem syreny, która patrzyła na nią smutnymi oczyma.

W głębi duszy wiedziała, jak bardzo komplikuje się jej życie. Ostatecznie to dlatego próbowała uwieść Bonesteela i dlatego załamała się tak kompletnie, gdy jej odmówił. Teraz wiedziała, że jest inna, że różni się od wszystkich, ale - i tego nie rozumiała - nie do końca cieszyła się tym wznoszeniem na szczyt. Widziała Bobby'ego jako ostatnią linię ratunkową łączącą ją z prawdziwym światem

zwyczajnych ludzi, zajmujących się swymi codziennymi obowiązkami tak jak ona niegdyś. Teraz już nie musiała tego robić. Wkroczyła do innego królestwa, i to całkiem chętnie, z otwartymi oczyma i rozpostartymi szeroko rękoma, i to przejście było tak szybkie, tak łagodne i przyjemne, że nie uświadamiała sobie zachodzących z dnia na dzień zmian, nie zdawała sobie sprawy, że dryfuje coraz dalej w morze, aż do chwili, gdy podniosła głowę i zobaczyła, że linia brzegowa już zniknęła.

Detektyw miał rację. Nie należał do jej świata i sięganie po niego w ten najbardziej prymitywny sposób było próbą pokazania jemu - i sobie - że ona nadal jest człowiekiem. Wróciły do niej słowa Meyera. „Powiedz mi, czy to ty się zmieniłaś, czy twoje otoczenie?”

Najbardziej przerażało ją to, że nie знаła odpowiedzi. Jak reaguje symbol? Podejrzewała, że wielu przed nią zadawało sobie to samo pytanie i że ci, którzy nie potrafili odpowiedzieć, nie żyli tu długo.

Rubens po powrocie do domu znalazł ją na sofie, z opróżnioną do połowy szklanką i butelką stolicznej w zasięgu ręki.

- Cholera, Daina, co zaszło między tobą a tym gliną?

Zwróciła na niego nierozumiejące oczy. Podeszedł i wytrącił szklankę z jej bezwolnej dłoni. Szklanka potoczyła się po poduszce, z głuchym odgłosem upadła na dywan.

- Ogrodnik powiedział mi... - Ale ona już szlochała nieopanowanie, przywierając do niego z taką namiętnością, że jego gniew stopniał w jednej chwili. - Daina. - Powtarzał szeptem jej imię, kołyszając ją w ramionach. - Co się stało?

Lecz nie mogła mu nic powiedzieć.

El-Kalaam zaczął wyciągać nóż. Heather zrobiła krok w jego stronę, lecz Rita szarpnęła ją do tyłu. Potrząsnęła MP40 pod jej nosem. Przyłożyła palec do zmysłowych ust, zajrzała jej w oczy. Pokręciła głową.

El-Kalaam podał swój pistolet maszynowy Malaguezowi. Po drugiej stronie krzesła stał Fessi. Bawił się spustem swego AKM. Usta miał rozchylone, oblizywał je, dysząc ciężko.

Przywódca terrorystów zbliżył się do Rachel. Podniósł nóż i oparł czubek na bluzce dziewczynki. W ostrzu odbiła się oślepiająco smuga światła.

Trzask dartego materiału zabrzmiał bardzo głośno w przedłużającej się ciszy. El-Kalaam powoli ciął bluzkę na szerokie pasy. Zalśniła śniada skóra. Ukazały się

łopatki, potem klatka piersiowa. Rachel miała cienki stanik przybrany delikatną koronką. Między piersiami widniała różowa różyczka.

- Tak - mruknął El-Kalaam. Czubek noża zawisł w powietrzu. - I jak się czujesz? - Popatrzyli sobie w oczy. Potem jego spojrzenie zsunęło się na jej ramiona. Nóż przemknął przez pas światła, cienia i znowu światła. Przeciął jedno ramiączko stanika. Rachel sapnęła. Mimowolnie podniosła ręce, by zakryć obnażone piersi, ale Malaguez nie pozwolił jej na to. Ramiona jej zdrząły. Patrzyła prosto przed siebie.

- Popatrz na nie - powiedział El-Kalaam. - Jakie piękne piersi. Nie sądzisz, Malaguez?

- Według mnie trochę za małe.

- Och, daj im trochę czasu, Raoul. Dziecko ciągle się rozwija. - Jeszcze nie jest kobietą. - Łza błysnęła na dolnej powiece prawego oka dziewczynki, przelała się, stoczyła po policzku, spadła na grzbiet ręki El-Kalaama. Terrorysta uśmiechnął się.

- To piersi dziecka - rzekł Malaguez. - Daj je Fessiemu.

- Kłopot z tobą polega na tym, że nie masz wycucia przyszłości, Malaguez. - El-Kalaam zachłannie przyglądał się Rachel. - Teraz to są piersi dziecka, tak. Ale niedługo... ach, rozwiną się we wspaniałe piersi kobiety. - Uśmiech nagle zniknął z jego twarzy. - Chyba że coś im przeszkodzi.

- Na przykład? - zapytał Malaguez. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Och, nie mam pojęcia. Lecz wiesz, jakie jest życie. Może jakiś wypadek.

- Oczy Rachel zamigotały. - Albo... wiesz... pojawi się ktoś zdeprawowany... powiedzmy, ktoś, kto nienawidzi kobiet. Ktoś, kto nie ceni kobiecego ciała. Homoseksualista...

Fessi zachichotał. Oczy miał rozszerzone i błyszczące.

- Albo może psychopata. Świat jest pełen wariatów, wiesz. I przypuścimy, że ten psychopata dopada dziewczynkę pewnej nocy.

Stał bardzo blisko Rachel. Jej piersi wznosiły się i opadały w rytm oddechu.

- Ma nóż. - Ostrze noża przesunęło się, przecinając smugę jaskrawego światła. Jego odbicie przemknęło po policzku Rachel. Jej usta zaczęły drżeć.

- Jest naprawdę obłąkany - kontynuował El-Kalaam. - Łapie naszą śliczną dziewczynkę za włosy... - złapał Rachel, odciągnął jej głowę w tył. Jego grube usta ściągnęły się, gdy warknął: - I szarpie. - Zerknął z góry na jej twarz, pokrytą plamami

światła i cienia.

- Przykłada ostrze noża pod jedną pierś. - Rachel wzdrygnęła się, czując dotyk chłodnej stali. Oddech zaświstał między jej zębami.

- I mówi: Czas, byś zaczęła wyglądać jak mężczyzna. - Ostrze przesunęło się poziomo pod piersią. Dziewczynka zamknęła oczy i zadygotała.

- Najpierw jedna, potem druga.

Rachel zaczęła szlochać. Łzy wylewały się spod jej zaciśniętych powiek. Tłukła głową w wysokie oparcie krzesła.

- Nie - wyszeptała.
- Co nie? - zapytał El-Kalaam. - Co?
- Nie! - pisnęła. - Nie, nie, nie!
- Co nie?

Otworzyła oczy. Łzy spływały na jej smagłą klatkę piersiową.

- Nie, proszę.
- Aha - powiedział terrorysta. Nie odsunął noża. - Nareszcie do czegoś doszliśmy.

Tego ranka Daina zapytała Rubensa, czy nie mógłby wyjść wcześniej z pracy i zabrać ją ze studia. - Muszę wyskoczyć gdzieś wieczorem – powiedziała - i chcę, żebyś był ze mną.

Wielki granatowy lincoln już czekał, gdy wyszła ze swej przyczepy. Szofer Rubensa przytrzymał otwarte drzwi. W przelocie ujrzała Alexa, siedzącego z przodu na fotelu pasażera. Potem Rubens wcisnął guzik i lustrzana, odporna na uderzenia tafla odcięła ich od miejsc ochroniarza i kierowcy.

- Jak się czujesz? - zapytał, całując ją na powitanie. Przytrzymał jej rękę.
- Obłądnie - odparła z cieniem uśmiechu. - Prawie skończyliśmy. Jeszcze tylko jedna czy dwie sceny, z których Marion nie jest zadowolony, i koniec.

- Dobrze. - Rubens zachowywał się tak, jakby nie dostawał codziennych raportów od samego reżysera. Oboje znali prawdę, ale woleli tę iluzję.

- Jak się trzyma George?
- Chyba da sobie radę, jednak wszyscy martwią się o tę sprawę z OWP.

Nawet jego agent z nim rozmawiał, lecz nie przyniosło to niczego dobrego. -

Ścisnęła jego rękę. - Zrób mi drinka, proszę.

Nalegała, żeby pojechali do Moonbeams, szykownej piętrowej restauracji w Malibu, która, szczególnie latem-, stanowiła przyjemną alternatywę wytwornych lokali umiejscowionych wzdłuż North Camden i North Canyon w Beverly Hills.

Podczas kolacji była roztargniona, jakby jej myśli wędrowały gdzieś daleko. Czuła emanujące z niej niemalże namacalne fale energii, które zataczały coraz szersze kręgi, a w końcu objęły całe wnętrze restauracji. Była oszołomiona siłą własnej mocy, która jednocześnie pociągała ją i odpychała. Wszyscy, od szefa sali po głównego kucharza, przychodzili do ich stolika z zapytaniem, czy jedzenie i drinki były takie, jak trzeba. W konsekwencji zdołała zamienić z Rubensem ledwie parę słów.

Po kolacji ruszyli wyłożoną płytami ścieżką na parking. Po czarnym asfalcie wiły się smugi piasku przypominające upiorne węże.

Stanęli przed morzem samochodów, oświetlonym przez dwa wielkie błękitnobiałe reflektory. Wielkie blade ćmy krążyły w jaskrawym blasku, a w chmarze mniejszych owadów grasował jakiś samotny drapieżnik - jego długi, smukły tułów mienił się zielenią i błękitem.

Połyskiwały chromowane okucia. Ostre światło zredukowało kolory samochodów, tak starannie dobierane i kładzione wielkim kosztem na specjalne zamówienie, do niewiele się od siebie różniących neutralnych odcieni. Daina miała wrażenie, że patrzy na symbol banalności. Miała przed sobą okropny zautomatyzowany krajobraz pozbawiony wszelkiej estetyki czy życia i nagle poczuła się tak, jakby znalazła się w obcym świecie, w którym znana jej Ziemia jest tylko wspomnieniem, wirującym ślepo sto milionów mil stąd.

Złapała Rubensa za rękę, powiedziała: - Wynośmy się stąd. - Wydało się jej, że słyszy śmiech i głosy niesione w nieruchomym, wilgotnym powietrzu, ciężkie i stłumione jak huk przyboju, stukot obcasów na kamiennej ścieżce; daleki szum jadących nadbrzeżną autostradą wozów.

Byli prawie przy limuzynie, gdy Daina dostrzegła dwie osoby wysiadające z zaparkowanego trzy rzędy dalej porsche. Poznała samochód jeszcze zanim rozpoznała ludzi.

- Cześć, Daina! - rzuciła Tie. Za nią górowała barczysta postać Silki.
- Nie była w stanie prowadzić - poinformował niskim głosem ochroniarz. I

wtedy aktorka zobaczyła, że Silka podtrzymuje kobietę, która i tak chwieje się niepewnie.

Zajrzała jej w oczy, zobaczyła zmniejszone źrenice, zapytała:

- Co brała?

Silka wzruszył ramionami.

• Wszystko, co jej wpadło w ręce; kokę, tabletkę czy dwie ludę... może dalmane.

• Daina. Daina. - Thais wyciągnęła rękę.

• Co tu się, u diabła, dzieje? - zapytał Rubens, mierząc wzrokiem ochroniarza.

• Tylko mała wymiana zdań - odparł Silka. - Naprawdę nic takiego.

• Wszystko w porządku, Rubensie - potwierdziła Daina. Złapała Tie pod rękę, zaczęła odciągać ją od mężczyzn. - Ja się nią zajmę.

Objęła kobietę w talii, drugą ręką złapała ją za łokieć.

• Chodź - wyszeptwała. - Chodź.

• Zabierz mnie do domu - poprosiła Thais. - Chcę iść do łóżka. Były same w morzu aut.

• Niedługo Silka zabierze cię do domu.

• Nie chcę z nim jechać. Chcę otoczyć nogami ciebie.

• Wystarczy, Tie.

• Chcę poczuć twój - mak.

- Powiedziałam, dość! - syknęła Daina. Ustawiała ją twarzą do siebie, silnie złapała za ramiona. - Mówiłam ci, co masz zrobić. Wróć do Nigela i trzymaj się z daleka od Chrisa.

Rysy Thais były teraz ściągnięte i w tej dziwnej twarzy nie było śladu urody czy choćby zmysłowości.

- Nie chcę Chrisa - wyskamlęła. - Chcę ciebie.

Daina pocałowała ją najpierw lekko, potem z udawaną żarliwością. Czują, jak ciało Tie spięło się, a po chwili rozluźniło, słyszała jęki rozkoszy wywołane naciskiem jej ust i języka.

- No, ruszaj - rozkazała zimno. - Wracaj do wozu. Pokaż Silce, że dasz radę prowadzić. On myśli, że nie możesz.

Thais patrzyła na nią przez chwilę.

- Muszę wrócić, Daino. Kiedy mnie wyrzuciłaś...
- To było tylko upomnienie.

Tie posłała jej słaby uśmiech. - Wiem. - W jej oczach było tyle miłości, że aktorka niemal się skrzywiła. Potem ruszyła wzdłuż rzędu wozów, ręką wspierając się o maski. Uważała pilnie, żeby się nie potknąć ani nie przewrócić, gdyż pamiętała słowa Dainy o ochroniarzu.

Kiedy Thais wsiadła do porsche, Daina wróciła do czekających mężczyzn. Wyglądali tak, jakby nie poruszyli się ani nie odezwali od czasu jej odejścia.

- Już jest dobrze - poinformowała ich obu, chociaż patrzyła tylko na Silkę. Zastanawiała się, na ile jest zorientowany w tym, co się dzieje. Z pewnością nie był głupi i chyba dość dobrze znał Tie. Podejrzewała, że wie wszystko. - Możesz zabrać ją do domu, kiedy tylko zechcesz.

- Ma pani na myśli dom Nigela - powiedział, wpatrując się uważnie w jej twarz.

- Tak, dokładnie tak myślę. Czyż nie do niego należy? Silka obdarzył ją skąpym uśmiechem.

- Domyślam się. Nigel tęskni za nią.

- Już więcej nie musi się martwić.

Ochroniarz wyjął kluczyki porsche i zaczął nimi potrząsać.

- Prawdę mówiąc, dziwię się, że doszło do tego dopiero teraz. Byli razem, sami, jakieś sześć miesięcy temu, kiedy Nigel wyjechał.

Daina wiedziała, że chodzi mu o Thais i Chrisa.

- I nic się nie stało? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem wszystkiego, panno Whitney. Uśmiechnęła się do niego.

- Wiesz co, Silka? Myślę, że z łatwością możesz dowiedzieć się tego, czego nie wiesz o kapeli.

Mężczyzna rzucił kluczyki w powietrze, złapał je.

- W takim razie - rzekł beznamiętnie - uwierz mi pani, gdy powiem, że nic się nie stało. - Odwzajemnił uśmiech. - Dzięki za zaopiekowanie się Tie. W takich przypadkach robi się nieznośna.

W limuzynie, w drodze do domu, musiała opowiedzieć Rubensowi, o czym

rozmawiała. Była to dobra historyjka, taka, w którą prawie sama mogła uwierzyć.

Rachel spojrzała na Heather przez łzy. W jej oczach było tyle smutku i wyrzutu, że kobieta musiała odwrócić głowę.

El-Kalaam wstał. Ostrze noża było wilgotne od potu i łez Rachel. Przez chwilę patrzył jej w oczy.

- Pięć minut - powiedział. - Chcę, żeby to, co powiem, dobrze zapadło ci w pamięć.

Heather zachwiała się i Rita musiała ją podtrzymać.

- Do łazienki - rzekła niewyraźnie. - Muszę skorzystać z łazienki. El-Kalaam odwrócił się. Triumf jaśniał mu na twarzy.

- Wiedziałem, że jesteś tchórzem. Gdzie twoja odwaga? Wygląda na to, że znam cię lepiej od twojego męża. - Roześmiał się, wskazał głową na drzwi.

- Zabierz ją, Rita. Nie chcę, żeby zasmrodziła pokój.

Terrorystka skinęła głową, popchnęła Heather w kierunku wyjścia. W połowie drogi do drzwi Heather potknęła się. Upadła na ręce i kolana.

- Patrzcie - powiedziała Rita. - Nie potrafi nawet sama chodzić.

- Pochyliła się, wsunęła ręce pod pachy zakładniczki. W tym czasie Heather twardo spojrzała na dziewczynkę. Potem Rita postawiła ją na nogi i wyprowadziła z pokoju. Ruszyły korytarzem. Gdy zbliżały się do łazienki, minął je spieszący do pralni terrorysta. Niósł przygotowane do strzału MP40 i był zadyszany.

- Chodź - warknęła Rita. - Przestań się gapić. - Wepchnęła Heather do łazienki. - Masz dwie minuty.

Heather weszła do ubikacji, podniosła spódnicę, usiadła. Dobięło ją zamieszanie od strony pralni, podniesione głosy, szczęk odbezpieczanej broni. Hałas stawał się coraz głośniejszy. Usłyszała zbliżający się tupot.

• Rita! - Był to głos El-Kalaama. - Chodź szybko! - Jego twarz pojawiła się w wejściu. Wydawał się ogromny na tle prostokątu wejścia. Nie spojrzał na zakładniczkę.

- Co się dzieje?
- Jakiś idiota podpalił śmieci na tyłach. - Wrócił na korytarz. - Chodź!
- Ale... - Terrorystka odwróciła głowę w stronę Heather.
- W porządku - odezwał się Fessi tak blisko, że aż drgnęła. - Ja się nią zajmę.

- Wyszczerył zęby.

- Założę się - stwierdziła kwaśno Rita. - Wiem, jak...
- Rita! - przynaglił ją głos dowódcy.
- Rób, co chcesz - rzuciła, przepychając się obok Fessiego. - Lecz uważaj,

możemy jej potrzebować. - Pobiegła za El-Kalaamem.

Mężczyzna wszedł do łazienki z uśmiechem przyklejonym do warg. Jego oczy nie odrywały się od zakrytych spódnicą ud Heather.

- Co tam się dzieje? - zapytała.
- O la la! - mruknął niewyraźnie. - Co my tu mamy? - Wsunął lufę AKM pod spódnicę. Oczy mu płonęły. Wysunął język, oblizał się.

Heather milczała. Lufa AKM zniknęła, sunąc coraz wyżej.

- Kto jest z Rachel? Oczy Fessiego rozbłyły.
- Ja tu zadaję pytania. I otrzymuję odpowiedzi.

Kobieta wpatrywała się w niego uważnie. Fessi zrobił krok w jej stronę. Jego oczy rozszerzyły się, język jeszcze raz przemknął po wargach.

- Podobało ci się, co tamten robił Rachel - powiedziała cicho. Terrorysta podszedł bliżej. - Chciałbyś zrobić to samo mnie, prawda?

Fessi był teraz bardzo blisko. Heather wstała. Mężczyzna zdjął AKM, odstawił broń na bok. Wyjął z kabury automatyczną czterdziestkę piątkę, odbezpieczył. Sięgnął lewą ręką pod spódnicę Heather. Lufę pistoletu przysunął do jej głowy.

- Bez głupich pomysłów - wyszeptał. Jego usta sunęły po jej policzku. Odwróciła twarz. Czuła palce wędrujące po jej ciele i zagryzła wargi, hamując krzyk. Powoli podniosła rękę, przeciągnęła dłońmi po jego ramionach. Jego usta zacisnęły się na jej wargach. Rozchyliła usta. Całowali się przez długi czas. Z korytarza dobiegał tupot, gardłowe krzyki.

Potem, powoli, przesunęła dłonie w dół jego ciała. Fessi sapnął. Powieki mu zatrzepotały i pistolet zachwiało się w powietrzu.

Heather zacisnęła dłoń w pięść, trzasnęła Fessiego w krocze. Terrorysta zawył, zwinął się we dwoje. Pistolet wypalił. Twarz mu zbieła. Kolana się pod nim ugięły.

Kobieta chciała wyrwać mu czterdziestkę piątkę, ale on zdążył ją odrzucić. Pistolet przeleciał po kafelkach na drugą stronę łazienki.

Fessi wyprostował się i wyciągnął ręce. Przeklinał półgłosem. HeathSr

przechyliła się, złapała AKM, uderzyła mężczyznę kolbą w podstawę karku. Ten wydał długie westchnienie i osunął się na posadzkę.

Ostrożnie przekroczyła jego ciało. Podeszła do wyjścia na korytarz. Okrzyki były teraz głośniejsze. Potem usłyszała terkot broni maszynowej na zewnątrz willi.

Wytknęła głowę na korytarz. W salonie panował chaos, terroryści biegli w kierunku drzwi. Nie widziała zakładników. Usłyszała znajomy głos wydającego rozkazy El-Kalaama.

Ruszyła korytarzem w stronę pralni. Kuliła się pod ścianą, z palcem na spuście AKM. Nie odrywała oczu od uchylonych drzwi pokoju. Były coraz bliżej. Na podłogę i drugą ścianę korytarza padał snop jasnego światła.

Tuż przy drzwiach zatrzymała się, nasłuchując, lecz panujący w willi hałas uniemożliwiał usłyszenie czegokolwiek.

Na chwilę zamknęła oczy. Odetchnęła głęboko. Kiedy znów podniosła powieki, skoncentrowała się na prostokącie światła. Odliczała, bezgłośnie poruszając ustami. Na „trzy” skoczyła do przodu. Lewym ramieniem uderzyła w drzwi, otworzyła je na oścież. Przykucnęła, opierając mocno kolbę pistoletu maszynowego o biodro. Zatoczyła lufą krótki łuk. Zobaczyła przywiązaną do krzesła Rachel. Poza dziewczynką w pokoju nie było nikogo.

- Rachel!

Nagle z cienia padły strzały i Heather podskoczyła, przewróciła się, przetoczyła na bok. Kule goniły ją, drąc drewnianą podłogę. Kawałki tynku przeleciały ze świstem obok jej ramienia. Podniosła AKM i strzeliła w ciemność: jedna seria, druga, trzecia.

Rozległ się ostry krzyk i zobaczyła czubek czyjejś głowy. Z cieni wytoczyła się jakaś postać, wpadła w blask niczym nie osłoniętej żarówki. Zalśniła płynąca krew. Ciało ciężko upadło do jej stóp. Był to Malaguez.

Korytarzem szedł, zataczając się Fessi, z czterdziestką piątką w dłoni.

Heather stanęła nad Malaguezem, popatrzyła na niego.

Fessi trzymał rękę między nogami. Skradał się pod ścianą, miał już połowę drogi za sobą.

Kobieta odwróciła się do Rachel.

- Nic ci nie jest?

Dziewczynka podniosła poznaczoną łzami twarz i Heather podeszła do niej.

Fessi, zagryzając zęby, spocony, pojawił się w drzwiach. Podniósł pistolet, celując w plecy zakładniczki.

- Uważaj! - krzyknęła Rachel.

Czterdziestka piątka wypaliła. Heather już się odwracała. Kula trafiła w ścianę blisko jej lewego ramienia. Kobieta opadła na kolana. Fessi wyszczerzył zęby i zniżył broń, by strzelić jeszcze raz.

Heather pociągnęła za spust AKM. Pistolet szarpnął się w jej dłoniach, rzygając kulami. Ich siła była tak wielka, że mężczyzna poleciał w tył i odbił się od ściany. Krew bluznęła na Heather i Rachel. Terrorysta upadł z rozrzuconymi ramionami.

Heather chciała strzelić jeszcze raz, ale AKM się zaciął. Odrzuciła go ze wstrętem, podniosła pistolet zabitego. Odwróciła się do Rachel, zaczęła ją rozwiązywać.

- Zaczął się atak - powiedziała dziewczynka. Wstała, złapała Heather za rękę. - Mówiłam ci, że mój ojciec nas nie zostawi.

Kobieta rozejrzała się po zbryzganym krwią pokoju.

- Chodź. Idziemy.

Wyszły na korytarz i od razu stanęły oko w oko z jednym z Palestyńczyków.

Mężczyzna podniósł pistolet maszynowy. Heather strzeliła mu w piersi. Runął na podłogę, jego głowa zakołysała się bezwładnie.

Heather pociągnęła Rachel w dół korytarza. Za łazienką po drugiej stronie korytarza były zamknięte drzwi. Otworzyła je. Za nimi zobaczyła sypialnię. Wewnątrz nie było nikogo. Wepchnęła Rachel do pokoju, wsunęła się za nią. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

Tutaj też okno było zabarykadowane ustawionym na boku łóżkiem.

- Pomożesz mi odsunąć je od okna?

Dziewczynka skinęła głową. Zaczęły odciągać ogromne „łóże od ściany. Spocily się, mocując z ciężarem. Zza zamkniętych drzwi dobiegały strzały, coraz głośniejsze, coraz bliższe.

Nagle bardzo blisko usłyszały podniesione głosy. Łóżko ustąpiło odrobinę. Walenie do drzwi. Łóżko przesunęło się jeszcze kawałek.

- Dalej! - krzyknęła Heather. - Silniej! Pchaj! Rachel naparła ramieniem na drugą stronę łóżka.

Strzały za drzwiami; kule zajęczały w pokoju. Schyliły głowy, nie zaprzestając wysiłków. Łóżko odsunęło się od okna. Powstała raczej wąska szczelina.

Kobieta przestała pchać.

- W porządku. Idź. Jest dość miejsca dla ciebie.
- Ale nie dla ciebie - rzekła Rachel. Pchała dalej. Teraz ona krzyknęła:
- Pchaj!

Znów rozległy się strzały i obie przycupnęły za łóżkiem. Heather przyciągnęła dziewczynkę do siebie.

- Idź już! - krzyknęła. - Nie ma czasu!
- Nie. Nie zostawię cię. - Rachel miała zdeterminowany wyraz twarzy.
- Chodź, trzeba przesunąć tylko kawałek. - Jeszcze raz przyłożyła ramię do mebla. Czoło zmarszczyło się jej z wysiłku.

Heather patrzyła na nią przez chwilę. Ponownie rozbrzmiał huk wystrzałów, i ona również pchnęła. Łóżko zgrzytało po podłodze. Zamek w drzwiach rozpadł się, strzaskany kulami z karabinu.

- Teraz, Rachel! - wrzasnęła. Drzwi otworzyły się z hukiem.

Dziewczynka wgramoliła się za łóżko. Podniosła szerokie okno, wskoczyła na parapet. - Heather! - krzyknęła, wyciągając ręce.

- Idź! - W głosie kobiety zabrzmiała rozpacz. Odwróciła się do drzwi.
- Zaraz idę.

Rachel wyskoczyła na zewnątrz, w chwili gdy Heather mierzyła wzdłuż lufy czterdziestki piątki. W otwartych drzwiach pojawiła się jakaś postać. Heather usłyszała strzały. Wokół niej zawirowały strzępy płótna. Kule uderzyły bardzo blisko. Nacisnęła spust.

Wrzask zawibrował w powietrzu, ale postać szła dalej. Była to Rita. Krzyczała. Kobieta widziała obnażone białe zęby. I bryzg szkarłatu. Po lewej stronie głowy.

Odwróciła się, wcisnęła za łóżko. Wdrapała się na parapet, niemal upuszczając czterdziestkę piątkę. Potem pomogły jej ręce - ręce Rachel.

Kucając na parapecie zobaczyła wyłaniającą się zza łóżka lufę MP40.

- Chodź! - błagała dziewczynka. - Och, proszę!

Po chwili w polu widzenia pojawiła się zlna krwią twarz Rity. Włosy były

zlepione czerwienią. Lufa pistoletu maszynowego celowała w głowę Heather.

Ta strzeliła jeszcze raz i głowa terrorystki szarpnęła się w tył. Lufa MP40 wzniosła się, siekąc kulami sufit.

Heather odwróciła się. Zeskoczyła. Przycupnęła z Rachel pod ścianą budynku. Zewsząd dobiegały odgłosy strzałów. Gdzieś tam widziały przemykające postacie.

Heather szarpnęła Rachel. Dotarli do pierwszych krzewów żywopłotu, kiedy huragan ognia rzucił je na ziemię. Trwały tak przez chwilę, zadyszane.

Na ziemi była krew i leżeli zabici. Teraz widziały odsiecz, izraelskich komandosów i amerykańskich marines. Pierwsza fala zdobyła willę i już była w środku; potwierdzała to wymiana ognia.

Może pół tuzina komandosów kucą po ich stronie przy drzwiach frontowych. Dowodził nimi wysoki Izraelczyk o kwadratowych ramionach i haczykowatym nosie. Na jego rozkaz komandosi wpadli do domu. Dziewczynka była pochłonięta przebiegiem ataku. Naraz coś zwróciło uwagę Heather.

Przy oknie, z którego tak niedawno wyskoczyły, coś się poruszyło. Dwaj mężczyźni mocowali się przy samym parapecie.

Był to El-Kalaam i jeden z izraelskich żołnierzy. W chwili gdy patrzyła, przywódca terrorystów zdołał uwolnić rękę. Uderzył krawędzią dłoni w kark Izraelczyka. Komandos skrzywił się z bólu, ale nie zaprzestał walki. Wbił kolano w brzuch El-Kalaama. Terrorysta nakreślił ręką krótki łuk. Żołnierz zawył i szarpnął się, gdy palec El-Kalaama wbił się w jego oko.

El-Kalaam jeszcze raz uderzył go w szyję i odrzucił na bok. Sięgnął do lufy pistoletu maszynowego, lecz wówczas kule zabębniły po futrynie okna.

Mężczyzna schował głowę w ramiona, raz jeszcze sięgnął po MP40. Nie mógł go wyciągnąć. Wyskoczył przez okno. Kule podążały jego śladem.

Miał zamiar skoczyć w krzaki, gdy Heather wyszła zza żywopłotu. Stała na rozsuniętych nogach, trzymając pistolet oburącz.

- Stój! - zawołała.

El-Kalaam zawirował. Wybuchnął śmiechem na jej widok.

- To ty. Myślałem, że zginęłaś w strzelaninie. Posłałem do ciebie Ritę.
- Zabiłam ją. Uśmiech zbladł.
- Malagueza i Fessiego też.

- Niemożliwe. - El-Kalaam ściągnął brwi. - Nie ty. Nie morderczynie królików. Ty nie wiesz, kiedy strzelać. - Potrząsnęła głową. - Nie przestraszysz mnie. Odchodzę. Czas, by powalczyć kiedy indziej.

- Jak się poruszysz, zabiję cię.

Rozłożył ręce.

- Co? Zastrzelisz bezbronnego człowieka?
- Nie jesteś bezbronny, El-Kalaamie. Jesteś niebezpieczny. Zbyt niebezpieczny, aby pozwolić ci żyć. Kiedyś powiedziałeś mi, że ja zabijam bezmyślnie, a ty nie. - Potrząsnęła głową. - Ale myliłeś się. To ty zabijasz bezmyślnie. Nic nie może usprawiedliwić...

- Wolność! - krzyknął.

- Wolność jest tylko słowem, którego używasz do usprawiedliwienia swoich poczynań. Tak naprawdę nic ono dla ciebie nie znaczy. Po prostu służy twoim celom. Nic więcej. Jednak to cię teraz nie uratuje. Nic cię nie uratuje. Skręciłeś wątek życia tak, że nikt go nie może rozpoznać. - Szła ku niemu. - Złapałeś cywilizację za gardło i odgryzasz jej głowę.

Uśmiech błysnął na jego twarzy. - Słowa. To tylko słowa. Nie mają dla mnie znaczenia. - Podniósł rękę. - Zegnaj - powiedział i ruszył.

Heather pociągnęła za spust. Czterdziestka piątka ryknęła w jej dłoni; odrzut poderwał lufę do góry. Terrorysta zatoczył się na ścianę. Potknął się, zrobił krok, opadł na kolano. Zacisnął ręce na piersi. Krew wypływała spomiędzy palców. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Patrzył na zbliżającą się Heather.

- Ja nie... - zaczął. - Nie... - Krew trysnęła z jego nosa i ust, zakrztusił się. Kaszlnął, osunął się po ścianie. Głowa opadła bezwładnie. Niewidzące oczy wpatrzyły się w jasne, błękitne niebo.

Heather stanęła nad nim, celując w jego głowę. Rachel wyszła z kryjówki, przebiegła przez trawnik. Przytuliła się do kobiety, kryjąc twarz na jej brzuchu. Objęła ją obiema rękami, splotła palce.

Izraelski dowódca o jastrzębim nosie wytknął głowę przez wielkie okno. Przez zdawałoby się nieskończenie długą chwilę trwał pogrążony w niemym zdumieniu. Potem zniknął i Heather usłyszała, jak błyskawicznie wydaje rozkazy swoim ludziom.

Po chwili obok nich pojawiło się sześciu komandosów. Dowódca wyskoczył

przez okno.

- Nic wam nie jest? - Popatrzył na Rachel i Heather. - Już po wszystkim. -
Mężczyźni otoczyli El-Kalaama.

Oczy kobiety złagodniały, gdy przeniosła spojrzenie z ciała El-Kalaama na komandosa o jastrzębim nosie. Jeden z jego ludzi zaklął i kopnął trupa.

Heather upuściła pistolet na trawę. Schyliła się, wzięła Rachel na rękę. Odwróciła się i z dziewczynką w ramionach odeszła szybko trawnikiem.

11

I ekran ściemniał.

Ale aplauz już wybuchł i narastał jak przyływ, gdy po ekranie spływały czerwone napisy. Wszyscy zaczęli wstawać z miejsc. Owacje zaczęły się gdzieś pośrodku olbrzymiej, zatłoczonej sali i rozprzestrzeniały się, dopóki nie ogarnęły całości. Gdzieś było słycać przeszywające gwizdy. Budynek trząsł się w posadach.

Do Bożego Narodzenia, jak przewidział Rubens, zostało parę dni. Marion skończył film na czas i *Heather Duell* wyświetlano tu, w teatrze Ziegfelda na ulicy Pięćdziesiątej Czwartej w Nowym Jorku, dla zaproszonych gości. > Był to pokaz dla Bardzo Ważnych Osób z prasy nowojorskiej i krajowej. Rubens pozwolił, by wytwórnia rozproszyla zaproszenia również wśród najbardziej wpływowych hollywoodzkich krytyków i dziennikarzy, którzy mieli być obecni na seansie i późniejszym przyjęciu. Przezornie zatrzymał sto biletów dla siebie. Szefostwo Twentieth co prawda domagało się ich dla swojej kadry kierowniczej, lecz ci i tak nigdy by z nich nie skorzystali, a zamiast tego rozdali swoim sekretarkom. Kazał Beryl przyjechać do miasta dwa tygodnie wcześniej i zorganizować lokalną promocję połączoną z rozdawaniem biletów w trzech rozgłośniach radiowych.

Teraz zbierał żniwo. Ludzie z branży słynęli ze swej obojętności, jednak on postawił na instynkt publiczności. Było to ryzykowne zagranie, ponieważ wszyscy wiedzieli, od czego się uzależnia. On, Marion i Beryl prawie miesiąc wcześniej odbyli w związku z tym konferencję na szczycie. Kiedy przedstawił swój plan, Ciarękę sprzeciwił się stanowczo. Ale z drugiej strony był człowiekiem najbliższym związanym z

tym filmem i, jak przekonywająco podkreślił Rubens, tym samym najmniej obiektywnym.

Wreszcie reżyser dał się ubłagać. - Składam swoje cholerne życie w twoje ręce - powiedział, wstając. - Teraz wiem, co czuła Maria Antonina wchodząca na szafot.

Producent klepnął go w plecy i objął. - Tak o nas myślisz, przyjacielu? Jako o komitecie rewolucyjnym? I to po dopiero co zakończonej cudownej robocie?

Mój Boże, człowieku, zrobimy z tego filmu największy przebój wszechczasów! - Ścisnął Mariona za ramiona. - Zaufaj mi. Nie damy się zgniebić, prawda? Masz na to moje słowo.

Mimo tych zapewnień należałoby powiedzieć, że Ciarke nie został całkowicie przekonany, pomyślała teraz Daina, gdy obserwowała szalejącą widownię. Wahał się. Wyraził zgodę, lecz wiedziała, że do tej chwili gryzły go wątpliwości. Ostatecznie to była Ameryka; jego wielki debiut. Okazał się bombą... Dziś chodził cały w uśmiechach.

Aktorka stanęła między Marionem i Rubensem. Odbierała ich obecność jedynie tak, jakby byli duchami, jakby stała w nawiedzonym domu, wymieniając uściski dłoni ze zjawami. Jediną realnie istniejącą dla niej rzeczą był mur hałasu narastającego w teatrze jak fala przyływu, dopóki nie przeszła przez salę i, wracając, nie odwróciła się twarzą do nich.

Usłyszała swoje nazwisko i obejrzała się. Ale nie padało ono z pojedynczych ust. Miała wrażenie, że wykrzykuje je cała widownia i w tym zmasowanym krzyku jej nazwisko, przecież tak bardzo znajome, zyskało nowe znaczenie, nową formę i kształt, nabierało ciała, aż w końcu zdawało się, że, już materialne, zawisło w powietrzu.

Spojrzała w oczy zebranych i zobaczyła jedyną w swoim rodzaju ekspresję. Przenosiła spojrzenie z jednej twarzy na drugą, w świetle i w cieniach, i widziała to samo. Na długich twarzach, okrągłych twarzach, pryszczatych twarzach i doskonałych twarzach pojawił się ten sam wyraz, który łączył je w istotę obdarzoną jednym umysłem, jednym sercem, jednym marzeniem. I z drzeniem większym od przeżywanego kiedykolwiek zdała sobie sprawę, że tym marzeniem jest ona.

Postawiła kołnierz kupionego przez Rubensa długiego futra z kanadyjskich rysiów. Ściągnęła usta, odetchnęła. Gorący oddech skondensował się w lodowatym powietrzu i przez chwilę, nim rozpuścił się w nocy, wisiał mgiełką przed jej twarzą.

Tutaj, w Nowym Jorku, naprawdę czuć było święta. Sznury świateł rozświetlały Szóstą Aleję, a gdy patrzyło się na północ, blade gałęzie drzew w Central Parku wyglądały jak widmowe miotły próbujące ze złością wymieść ciemność - albo zimno.

Tutaj w grudniu nie widziało się koszulek i tenisówek jak na Sunset; nie było otwartych sportowych wozów ani desek surfingowych niesionych do Laguna.

Tutaj grudzień oznaczał zimę i chociaż nie było śniegu w pełnym tego słowa znaczeniu - jedynie brudne resztki rozbite na szare i czarne bryły - było tak mroźno, jak pamiętała. Taksówki z zapalonymi napisami „wolna” krążyły po alei, a przy Trzydziestej Piątej uliczny Mikołaj potrząsał dzwonkami, kwestując dla Armii Zbawienia czy jakiejś innej organizacji charytatywnej. Daina wiedziała, że parę przecznic dalej, na Piątej Alei, Saks nadal świadczy usługi przedświątecznym klientom, a katedra św. Patryka tonie w świątecznych światłach.

Rubens stanął obok niej na chodniku, czekając cierpliwie. Alex przytrzymał otwarte drzwi limuzyny. Marion chwilę wcześniej wsiadł do ciepłego, pluszowego wnętrza.

Mężczyzna otoczył ją ramieniem.

- O czym myślisz?

Nadal patrzyła w górę Szóstej Alei w kierunku parku.

- Chyba mi nie uwierzysz, jak ci powiem.
- Uwierzę we wszystko. - Zadrżał, naciągnął rękawiczki ze świńskiej skóry.
- To do ciebie niepodobne. Wzruszył ramionami.
- Ale to prawda. Jesteś jedyną osobą, która nigdy mnie nie okłamała.
- Lecz może nie zawsze mówiłam ci całą prawdę.
- To nie to samo - rzekł powoli. - Teraz... - przyciągnął ją bliżej, jakby potrzebował jej ciepła - powiedz mi, o czym myślisz.
- Myślałam o tym mieście...
- O mieście? - zapytał zdumiony. - Nie rozumiem.
- Wróciłam po prawie pięciu latach, Rubensie. Kawał życia. Jestem tutaj i czuję się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała. Jestem jak ćpun, a to miasto jak strzał w żyłę.
- Nie rozumiem - powtórzył.

- A powinieneś. Pochodzisz z Nowego Jorku. Powinieneś rozumieć znaczenie tego miasta.

- Miasto to miasto, Daino. Jest i koniec. Ani nie kocham Nowego Jorku, ani go nie nienawidzę. Przyjeżdżam, kiedy zmuszają mnie do tego obowiązki. Wyjechałem przed laty do L.A., bo tam koncentruje się biznes filmowy. I cieszę się, że tak jest. Nigdy nie przyzwyczałem się do gry w tenisa za zamkniętymi drzwiami ani do mieszkania na dwudziestym piątym piętrze czy dojeżdżania do pracy kolejką z Long Island. Wracam tu wystarczająco często.

- Ale co tu widzisz, Rubensie? Tylko beton i szkło?

- Tak - odparł ze ściągniętymi brwiami. - To wszystko. Tylko to i nic więcej. Jadę tam, gdzie muszę i nie ciągnie mnie w żadne inne miejsce.

Daina wyrzekła coś tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Brzmiało to jak „szkoda”. Potem schyliła głowę i wsiadła do limuzyny. Producent podążył za nią.

Alex wrócił na przód limuzyny, zajął miejsce za kierownicą. Zapuścił silnik.

- Jeszcze nie chcę jechać na przyjęcie - oświadczyła. - Jest za wcześnie.

- Beryl załatwiła TV z Eyewitness News - przypomniał jej Rubens.

- Wiem. Świetnie. Powtarzała mi to cztery razy, zanim wyszła na przyjęcie.

- Tylko dlatego, że zadała sobie wiele trudu...

- Zaczekają. - Aktorka strzeliła na niego okiem. - Prawda? Rubens kątem oka zerknął na Ciarke'a.

- Nie przypuszczam, żeby wyszli.

- Jasne - powiedziała Daina. - Beryl się tym zajmie. Za to jej płacimy.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał cicho.

- Nie wiem. Może do parku, okay? Tobie też się spodoba.

Alex skręcił w lewo na Szóstej, przemknął przez Central Park South i wjechał w szumiącą ciemność. Lśnienie miasta wydawało się odległe nie o przecznice, ale o mile.

Daina przerwała panującą we wnętrzu wozu ciszę.

- Myślisz, że to wszystko mnie porywa. - Oparła głowę o aksamitny zagłówek, światło lamp sodowych srebrzyło jej profil, gdy limuzyna mijiała latarnie, jedną po

drugiej, zrównujące się z wozem i szybko zostające w tyle. W tych chwilach jej oczy przypominały błyszczące ametysty, głębokie i eteryczne.

- Zwolnij - wyszeptała, wyglądając przez okno. - Zwolnij, Alex. Ochroniarz przyhamował przy zakręcie, wzdłuż którego ciągnął się kamienny murek, i wyjechali przy Tavern on the Green. Pobliskie drzewa obwieszane były małymi światełkami jak złotą przędzą. - Kiedy byłam dzieckiem - zaczęła

- kiedy byłam smutna, chodziłam do planetarium i obserwowałam wschodzące gwiazdy. W zmierzchu na tle sklepienia rysowała się sylwetka miasta. Potem zapadała noc. I były tylko gwiazdy. - W rzeczywistości rozpamiętywała inne czasy, a opowiedziała im to tylko dlatego, że nie zniosłaby mówienia o tamtym.

- Niczego takiego nie myślę - powiedział Rubens tak, jakby nie było żadnej przerwy od poprzedniej rozmowy.

- Jak jeden z tych starych filmów, wszystko rozpadnie się w ogniu. Każdy strzęp spłonie, aż zostaną tylko popioły rozwiewane najlżejszym podmuchem.

- Przekręciła głowę, obdarzyła go upiornym uśmiechem. - Tak się dzieje z nami wszystkimi, prawda? - Znów się uśmiechnęła, tym razem promiennie.

- Ale, wiesz co? To wszystko są bzdury, wyśnione przez jakiegoś hollywoodzkiego najemnego scenarzystę, na wpół przytomnego od produkowania tuzina scenariuszy na rok. - Ściągnęła wargi. - Nie ma to najmniejszego znaczenia.

- Jednak walące serce mówiło jej co innego.

- To dlatego bez namysłu przechodzimy od jednego projektu do drugiego - wtrącił reżyser.

Wzięła go pod rękę, pocałowała w policzek.

- Widzisz, jaki on jest, Rubensie? Udaje brutala, ale naprawdę jest słodki. I sprytny.

- O, tak. Cholerny geniusz. - Ciarkę westchnął. - Lecz nie zrozumiałaś, o co mi chodzi. Zdaje się, że wszyscy pomijamy czynnik ludzki... element, który powinien wszystko spajać. Chyba nigdy nie nauczymy się, jak kierować nadmiarem sławy. Odrzynamy się od większości ludzi, a to tylko sprawia, że czujemy się jeszcze ważniejsi. Ten proces napędza się sam, rozumiesz? W głębi duszy jesteśmy złośliwymi dziećmi - zawsze zbuntowanymi, domagającymi się niezależności, jakiej nigdy nie mieliśmy w dzieciństwie. - Popatrzył na nich oboje ze szczególnym

wyrazem twarzy. - Psychologiczny bełkot, nie sędzicie?

- Jednak on z pewnością wcale tak nie uważał. - To dlatego wszyscy w końcu okazujemy się takimi skurwielami, co uparcie powtarzała mi moja była żona.

- Roześmiał się. - Na swój sposób to bardzo zabawne. W domu jestem takim cholernie leniwym sukinsynem. Ale w pracy nie.

Teatr jest niezwykle pobudzający - nic nie może równać się z przedstawieniem na żywo - lecz po pewnym czasie staje się jakby skrajnie samoobsługowy. Jest tak silnie spojony, tak potwornie strukturalny, rozumiesz, i przez tę swą naturę okropnie odizolowany. Dla mnie zrobił się zbyt wygodny, jak przytulny kącik, i zacząłem odkrywać w sobie gnuśność. Zacząłem pogardzać tym lenistwem, stwierdziłem, że już nie pracuję na pełnych obrotach, chociaż przez długi czas wmawiałem sobie, że wszystko jest dobrze.

Dla mnie świat filmu zawsze był czymś na kształt gigantycznego istnienia, które, choćby ze względu na swą wielkość, napawa przerażeniem. - Chrząknął. - I przyjazd do Hollywood będącego przeciwieństwem Nowego Jorku był kolejnym szokiem. Wyrastałem w mroku teatrów, a przybycie tutaj było jak wspięcie się na Olimp.

- I przypuszczam - wtrącił Rubens - że teraz powiesz nam, jak bardzo tęsknisz za powrotem do tych sielankowych dni, gdy byłeś reżyserem w teatrze i zarabiałeś jakieś sto funtów na tydzień. Dobra, uczciwa praca. - W jego głosie brzmiał głęboki sarkazm. - Uhm. Wrócić do domu, stary, prawda? Raz jeszcze skąpać się w świetle reflektorów.

- Chryste, nie! - Marion wybuchnął śmiechem. - Nie wróciłbym za całą herbatę Chin czy, bardziej nowocześnie, za cały węgiel Newcastle. - Potrząsnął głową. - Nie, myślę, że sielanki są tylko w książeczkach dla dzieci, takich jak *Czarnoksiężnik z krainy Oz*. I, zauważ, ta jest napisana przez Amerykanina. Żadne takie „Och, cioteczko Em, nie ma jak w domu!” jak w naszej *Alicji w krainie czarów*, nic z tej surowej protestanckiej moralności.

- Nie, oczywiście. - Producent roześmiał się. - Anglicy mają skłonności do tego rodzaju prawomyślności.

- Cholera, prawda, aż za bardzo!

Daina przesunęła się do przodu, gdy wyjechali z północnej strony parku.

- Alex - powiedziała bez tchu - jeszcze nie skręcaj.
- Dokąd, panno Whitney? - Patrzył na nią we wstecznym lusterku, jego oczy były ciemne i nieodgadnione.

- Jedź na północ, przez Sto Szesnąstą, a potem wróć na Piątą Aleję.
- Po co? - zapytał Rubens.
- Po nic - odparła, nie odwracając się. Złapała metalową krawędź odsuniętego w tył przepierzenia. - Daj spokój.

W samochodzie panowała cisza, gdy skręcili i przez pewien czas jechali na wschód; zatrzymali się na światłach i aktorka przyglądała się mijającym ich czarnym twarzom. Wydawały się częścią innego świata, odległe od niej jak Pluton od Ziemi - i mające niewiele więcej do zaoferowania.

Światła zmieniły się na zielone i ruszyli, skręcając na Piątą. Dostrzegła go z daleka. Stał po prawej stronie, wysoki i dużo mniej przysadzisty niż mniejsze budynki wokół. Nadal spowijała go dziwna, quasi-europejska atmosfera podkreślona przez esy-floresy, ozdobne gzymsy, cienie wystających gargulców. Dopiero gdy prawie się zrównali, zobaczyła zabite dyktą okna, wyłamane drzwi, wejście zaśmieczone odłamkami butelek po piwie i winie. Na oknach holu był przybity arkusz blachy z nabazgranym aerozolem czarnym graffiti: „MARK 2 GONE DOWN ZEE RAKHEEN ZOMBY S”. W oknach nie było szyb, okruchy szkła zaśmiecały chodnik wzdłuż frontu. Gdy przemykali, w przelocie ujrzała szyld, czarne litery na białym tle, oznajmiający...

Ale zniknął zbyt szybko, a ona za bardzo była zaabsorbowana samym budynkiem. Oparła czoło na grzbietach dłoni, zamknęła oczy, podczas gdy producent i reżyser rozmawiali cicho, żeby jej nie przeszkadzać. Ręka Rubensa na jej plecach zataczała kręgi jak obojętna mewa.

- Jedziemy - zwróciła się do Alexa dziwnie brzmiącym głosem. - Jedziemy na przyjęcie. - Podniosła głowę, osunęła się na fotel.

- Nie wystarczy - powiedziała. Rubens popatrzył na nią.
- Co nie wystarczy?

- Wszystko. Wszystko, co się stało do teraz. Wszystko, co się stanie dziś w nocy.

Mężczyzna był lekko rozbawiony.

- Nie chcesz najpierw spróbować, a dopiero później potępiać?
- Nie. Już to czuję. Jestem teraz kanibalem, tak jak reszta. Wszystkie te pieniądze i... sława tylko żywią się sobą... zamiast być końcem samym w sobie. To wcale nie tak. I ja naprawdę... naprawdę myślałam, że będzie inaczej. Jestem tylko dzieckiem. Chcę, chcę, chcę. To wszystko, o czym mogę myśleć bez zastanawiania się, czy jest dobre, czy złe. Wszelkie różnicowanie stało się bez znaczenia.

Rubens odwrócił się do Mariona.

- Czy przypadkowo rozumiesz, o co jej chodzi?
- Po prostu daj jej spokój. Ona będzie...
- Na miłość boską, tylko nie płacz - poprosił Rubens.
- Nie. - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie o to chodzi. Ja tylko próbuję... zrozumieć, to wszystko.

Chrząknął.

- No cóż, zostawmy to, ponieważ i tak do niczego nie dojdziemy. Próbujesz intelektualizować... nieuchwytnie uczucie. Przychodzi - i jest. Trzeba się z tym pogodzić. - Otworzył barek, nalał sobie wódki. - I ciesz się, że trafiło na ciebie.

Lokal Windows on the World zajmował najwyższe piętro Tower One w World Trade Center. Roztaczający się z okien widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Wydawało się, że miasto ciągnie się w nieskończoność, coraz dalej i dalej, i nawet brudne wody Hudsonu, zbyt gęste, by całkowicie zamarznąć, dziś wieczorem nie były w stanie powstrzymać metropolii od wdarcia się na klify New Jersey.

Jaskrawe światła miasta pięły się w ciemne niebo, jakby były nie uznającymi granic gwiazdami składającymi się na geometryczny wszechświat, w którym zaokrąglone i miękkie ludzkie ciało wydaje się nie na miejscu.

Po wyjściu z pospiesznej windy na sto szóstym piętrze przywitała ich masa ludzi i świateł. Już było gorąco i pełno dymu. Beryl, doskonale opanowana i panująca nad sytuacją, chociaż spóźnili się ponad godzinę, natychmiast złapała Dainę za rękę i poprowadziła do wnęki, gdzie ekipa Eyewitness News ustawiła reflektory. Już mieli mnóstwo zdjęć z samego przyjęcia.

Z powodu powiązań Clarke'a było tam wielu ludzi teatru z Broadwayu. Nie mogli być obecni na wieczornym pokazie, ale przyjęcie zaczęło się po zakończeniu ich przedstawień i wszystkim zależało na przyjęciu. Prawdę mówiąc, Rubens wyłudził

drugą kopię ze studia, żeby zaprosić ich na seans zorganizowany specjalnie dla nich w niedzielę.

Spengler podszedł i odciągnął ją od jaskrawych świateł i lśniących mikrofonów. Doskonale wiedział, kiedy to zrobić. Był ubrany w srebrno-szary jedwabny garnitur, koszulę w kolorze perłowym i krawat z surowego jedwabiu. Stał z nią pod olbrzymim logo zaprojektowanym dla filmu: szkarłatne litery z wąskimi białymi otoczkami na tle ciemnego błękitu.

Był cały w uśmiechach. Ani słowem nie wspomniał o Montym; nie był na pogrzebie. Reprezentowały go kwiaty wraz z krótkim liścikiem. Wdowa po Montym przeczytała bilecik, w milczeniu poruszając ustami. Podniosła głowę, spojrzała prosto na Dainę i podała kartkę na drobne strzępki. - Rubens miał rację co do sposobu zaprezentowania filmu - mówił teraz do aktorki, odprowadzając ją od przeogromnego logo.

- Prawie zawsze ma rację. Niedługo sam dojdiesz do takiego wniosku.
- Taa, taa. Wiem. Słyszałem to wcześniej.
- Ale często nie jest to prawdą.
- Wszyscy prędzej czy później ponoszą klęskę. Stała z nim twarzą w twarz.

- Byłoby lepiej, gdybyś wyjaśnił tę uwagę.

Podniósł ręce dłońmi na zewnątrz, jego promienny uśmiech spłynął na najbliższe otoczenie.

- Hej, spoko. Nie wiedziałem, że jesteś taka spięta. To tylko przypadkowa uwaga, wyłącznie. - Pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. - Wiesz, teraz nadeszła dla ciebie decydująca chwila. Nadmiar ostrożności nie zawadzi.

- To znaczy?

Wzruszył ramionami, jakby mówiąc: Nie bierz tego zbyt serio, jednakże dwustuwatowy uśmiech świadczył, że mówi poważnie.

- Czasami przedstawiasz Rubensa tak, jakby był kimś więcej niż człowiekiem. To mogłoby okazać się niebezpieczne, o to mi chodzi. On jest omylny jak wszyscy. Pokładanie całego zaufania w jednej osobie... - Znów wzruszył ramionami. Potarł grzbiet jednej dłoni drugą.

- Wiesz - zaczęła uszczypliwie - chyba już zapomniałeś o tym drobnym

incydencie.

- Nie zapomniałem. Lecz to nie znaczy, że boję się Rubensa. Nie jest dostatecznie twardy.

Uśmiechnęła się wtedy, podniosła rękę do jego policzka, dotknęła go.

- Ani ty - powiedziała cicho i odeszła.

Przyjęcie rozkręciło się na dobre i natychmiast została przez nie porwana, uchwycona jakby przez pięść olbrzyma, ciskana od osoby do osoby, od grona do grona, i wszyscy jakby mieli maski, popisywali się, jakby lada chwila mieli zostać poddani ocenie. Nic nie miało znaczenia, nawet komplementy.

- *Ay chica*, aleś wyrosła!

Odwróciła się, zobaczyła usianą piegami twarz o złocistej skórze. Włosy nadal były rudawe i modnie przycięte. Cienki wąs sprawiał, że szeroka szczelina ust wydawała się tym bardziej śmiercionośna. I zmarszczki pojawiły się na tym osobliwym obliczu, od nosa po kąciki ust, i kurze łapki przy oczach. Ale same oczy nie zmieniły się. Bładoniebieskie i płaskie jak podwodne kamienie, ocienione nigdy nie mrugającymi powiekami, wzywały z twarzy wyrażającej zmienne emocje.

- *Que linda muchacha*) - zawołał Aurelio Ocasio, ujmując jej rękę. Dłonie miał zimne, silne. Wyczuwała twardość eksperta; profesjonalisty.

Mężczyzna roześmiał się na widok jej miny.

- Mój Boże, nie pamiętasz mnie! - Oczy nie oderwały się od niej ani na chwilę, chociaż nieco przekrzywił głowę. Piegowata twarz odbiła światło punktowych reflektorów, oczy straciły kolor i Daina odniosła niesamowite wrażenie, że są tylko wywierconymi w czaszce otworami, przez które widać pulsujący wilgotny mózg.

- Czy to możliwe, *linda*? Czy to naprawdę możliwe? - Cofnął się na długość ramion. Nosił szyty na miarę samodiałowy garnitur w kolorze lisiego futra. Koszulę miał bladożółtą, jedwabną, a krawat cienki, w pasy umbry i sieni palonej. W butonierce tkwił goździk. U jego boku przez cały czas stała wysoka, smukła blondynka w brzoskwiniowej satynowej sukni. Dekolt ukazywał odrobinę za dużo strzelistych piersi, by mogła prezentować się naprawdę z klasą. Stała zaciskając w rękach etolę z lisów i czerwono-brązową torebkę z jaszczurczej skóry.

- Może zapomniałaś - podjął Ocasio, wodząc kanciastym palcem wzdłuż nieskazitelnej linii wąsów. Jego twarz wyrażała smutek. - Albo może to tylko czas. To

było... - strzelił palcami - policzmy, dwanaście lat temu. Mam rację? Tak, tak, pamiętam doskonale. Dwanaście lat. Spotkaliśmy się w restauracji. Nie pamiętasz, *chica*? Byłaś wtedy taka młoda. Byłaś z kimś. No, jak on się nazywał? Wiesz... - ciągnął ze smutkiem - za nic nie mogę sobie przypomnieć nazwiska...

- Baba.

- Tak! - Znów pstryknął palcami. - Tak, oczywiście! Widzę, że jednak mnie pamiętasz. - Skłonił się lekko. - Schlebia mi to niezmiernie. - Prawie natychmiast jego twarz ponownie przybrała stosownie ponury wyraz. - Na nieszczęście nie mieliśmy okazji zostać tak bliskimi przyjaciółmi, jak bym sobie życzył. - Wzniósł palec wskazujący. - Ale mimo to, *linda* przeczuwałem, że czeka cię wspaniała przyszłość. Miałaś w sobie pewną jakość. Nie wiem, jak to nazwać, szczególnie po angielsku. Gdybyśmy byli sobie bliżsi, spędzili razem więcej czasu... Tak się cieszę! - Złapał jej dłońe oburącz, podniósł do ust, ucałował. - Brawurowe aktorstwo, *linda*! Jedyne w swoim rodzaju!

- Co teraz robisz? - Nieomal udławiła się słowami.

- Prowadzę wyspecjalizowaną firmę konsultingową. - Uśmiechnął się, jego długie żółte zęby błysnęły w świetle. - Mam, można powiedzieć, tylko jednego klienta: burmistrza miasta Nowy Jork. - Poderwał głowę i zaśmiał się przeszywająco jak ara. - Musisz wstąpić do mojego biura. Nie, nie. Nalegam. Zobaczysz, jak to działa. Cha, cha! Jestem pewien, że będziesz pod wrażeniem, *chica*, o, tak! Lecz widzę, że cię wołają. Domyślam się, że zanoszą się na coś ważnego. Proszę, proszę. Idź już. Znajdę cię jeszcze przed wyjściem. - Posłał jej całusa. - *Adios, linda!* - I potrząsnął głową, gdy odwróciła się i zniknęła w gęstej dżungli spoconych ciał.

- „Daina Whitney tworzy nieczęsty, w dzisiejszych czasach wizerunek scenicznej postaci. Jej rola jest oszałamiająco skomplikowana, musi wyrażać tajemniczość, zmysłowość, bezbronność i - wcale nie paradoksalnie - odwagę uprzednio zarezerwowaną wyłącznie dla męskich odtwórców...” mój Boże!

- Dalej - przynaglił Rubens. - Co jeszcze piszą w *Timesie*”}

- I tak dalej, i tak dalej - odparła nieco zadyszana Daina. - Chryste! Rubens roześmiał się.

- No cóż, zamierzasz zachować wszystko dla siebie? Nawet Alex siedzi jak na szpilkach.

Podniosła głowę i nad płachtą gazety we wstecznym lusterku zobaczyła ciemne jak oliwki oczy ochroniarza.

- Patrz na drogę, Alex, dobrze? Z pewnością nie jest to pora na karambol. -
Potem wróciła do czytania recenzji z *Timesa*:

„Pozornie mamy do czynienia z prostą historią o porwaniu politycznym. Samo w sobie jest to tematem jak najbardziej na czasie, ale uprzedzamy, nie nastawiajcie się na film akcji w czystym tego słowa znaczeniu.

Po jego obejrzeniu natychmiast nasuwają się pewne porównania, głównie z *Czasem Apokalipsy* Francisa Coppoli. Jednakże tam, gdzie panu Coppoli nie udało się zerwać heroicznego fasady wojny i ukazać jej wewnętrznych mechanizmów, Marion Ciarkę, będący wraz z Mortonem Douglasem współautorem scenariusza *Heather Duell*, ukazuje nam warstwa po warstwie mechanizm funkcjonowania terroryzmu i to również jest przerażającą wizją.

Jednakże bez wielowymiarowej interpretacji roli tytułowej film prawdopodobnie nie odniósłby sukcesu. Panna Whitney niesamowicie wiarygodnie gra bohaterkę, która musi oprzeć się szalejącej wokół nawałnicy sił. I tak jej wybitna gra dodaje skrzydeł filmowi, który przez to staje się naprawdę niezapomniany... „

Daina puściła gazetę, która zsunęła się z jej kolan na podłogę limuzyny. Oparła głowę o poduszki fotela, zapatrzyła się w mrugające we mgle światła Manhattanu, tworzące złotą statuetkę o cnotliwie złożonych rękach. Jej obraz żył gdzieś pod jej powiekami. Wkrótce, pomyślała, zobaczy ją naprawdę.

Monika umierała. Cierpiała na chorobę o bardzo długiej nazwie. Daina usłyszała zlepek skomplikowanych słów, które w typowo medyczny sposób nie miały dla niej najmniejszego sensu. Lekarz równie dobrze mógłby mówić po marsjańsku; pomyślała, że oni to lubią. Są dużo bardziej pewni, gdy nikt ich nie rozumie; w ten sposób zmniejszają szansę oskarżenia o niewłaściwe leczenie.

Ale rozumiała jedno: jej matka chorowała na coś takiego jak rak, tylko jeszcze gorsze. Co może być gorsze od raka? - zastanawiała się. Nieuleczalna choroba. Na to, na co chorowała Monika, nie było lekarstwa. Choroba była wyniszczająca.

- Jak rozumiem, nie widziała pani matki od paru miesięcy – powiedział młody, gładko ogolony lekarz. Miał sztuczny uśmiech stewardesy i zapadnięte oczy wojennego weterana. - Nie chcę, żeby była pani zszokowana jej widokiem.

- Przystanęli przed zamkniętymi drzwiami szpitalnego pokoju Moniki. - Nie wygląda tak samo, niech więc pani przygotuje się i nie okazuje przerażenia.

- Poklepał ją po ramieniu i otworzył drzwi.

Udało mu się przerazić ją do obłędu; lekarze chyba rodzą się z tą umiejętnością. Słyszała ciche kroki, szepty, poskrzypywanie przejeżdżającego wózka, krótki, zduszony szloch, cichy brzęk szpitalnego radiowężła. Jednak to wszystko zostało za nią. Przed nią była umierająca matka.

Wyciągnęła rękę i dotknęła drzwi. Wydawały się o wiele za ciężkie, by je poruszyć. Pchnęła je i otworzyła powoli. Weszła do pokoju, wstrzymując oddech.

Monika leżała na wysokim łóżku, rurki wychodziły z jej nosa, z żyły po wewnętrznej stronie łokcia. Na rękach miała ciemne siniaki po licznych zastrzykach. Wydawało się, że śpi, i w tej drzemce już wyglądała jak martwa. Miała zapadniętą twarz, jakby ktoś odarł ją z ciała od wewnątrz.

Daina podeszła do łóżka, a wtedy chora otworzyła oczy, jakby wyczuwając bliskość swej córki.

- Więc - zaczęła cicho - marnotrawna córka wróciła. - Jej ręka zatrzepotała na pościeli jak zraniony ptak.

Daina bardziej niż głosem matki była wstrząśnięta widokiem jej oczu. Mimo okropnych przepowiedni lekarzy były takie same jak zawsze, pełne oschłego humoru, drwiące, złe jak przed dziesięciu laty. To sukinsyn, pomyślała Daina o doktorze. Zwraca uwagę tylko na wygląd zewnętrzny. Ona w środku nie zmieniła się ani na jotę.

- Zmieniłaś się - rzekła Monika. - Czy doktor Geist pomógł ci? – To nie było pytanie. Spojrzała na rękę leżącą na kocu. Zadrżała. - Zimno mi - wyszeptała.

Daina sięgnęła po drugi koc złożony w nogach łóżka. Otuliła nim matkę po samą brodę. Ręka Moniki zacisnęła się na jej nadgarstku.

- Jeżeli jesteś lepsza, wybaczysz mi. - Jej głos wznosił się i opadał w rytm uderzeń serca. - Zrobiłam to, co uważałam za słuszne.

- Zdecydowałaś w moim imieniu, mamó.

Oczy chorej zamknęły się i łzy zaczęły wypływać spod powiek.

- Nigdy nie chciałaś mnie słuchać. Trzeba było nawrócić cię na prawdę.

-Prawda jest taka, że zawsze starałaś się trzymać mnie z dala od tatusia.

- Część jej istoty krzyknęła w myślach: Jak możesz to teraz mówić? Ale druga,

większa część, upierała się, że musi to powiedzieć, nim będzie za późno.

Monika zacisnęła silniej palce.

- Zawsze byłaś taka piękna, taka niewinna. A twój ojciec... patrzył na ciebie w taki sposób. Taki... szczególny. Nigdy nie patrzył tak na nikogo innego, nawet na mnie.

- Ale on cię kochał. Jak mogłaś...

- On kochał kobiety, Daino. - Otworzyła oczy, większe i jaśniejsze niż kiedykolwiek na tle chorobliwie szarej skóry. - Wiedziałam o tym przed ślubem, lecz zakładałam, że przestanie, że uspokoi się, gdy zostanie moim mężem. Tak się nie stało.

- Mamo...!

Daina próbowała się wyrwać, ale Monika trzymała mocno. Poderwała głowę z poduszki.

- Jesteś już dość duża, by to usłyszeć. Chciałaś wiedzieć... teraz musisz wiedzieć. - Głowa jej opadła i przez chwilę oczy znów miała zamknięte. Zdawało się, że ma kłopoty z oddychaniem.

- Twój ojciec nie mógł albo nie chciał przestać. Przypuszczam, że na swój sposób musiał mnie kochać. Nie chciał mnie zostawić. Jednak zawsze podejrzewałam, że to z twojego powodu. Wiedziałam, że nigdy nie zniosłby rozstania z tobą, więc wziął cały ciężar na siebie... i w wolnym czasie dźwigał go.

- Zacisnęła szczelnie powieki. Płakała. - O Boże, pomóż mi. - Daina pomyślała, że coś ją boli i miała zamiar zadzwonić po pielęgniarkę, gdy Monika podjęła: - Zaczęłam cię źle traktować, tak. Byłaś jedynym ogniwem, które mnie z nim łączyło. Nie mogłam zatrzymać jego, lecz ciebie mogłam.

- Ale, mamo...

- Bądź cicho, póki nie skończę, Daino. Nie miałam siły, by z tobą walczyć. - Jej palce przesunęły się i splotły z palcami córki. - Wiem, że to ja wypędziłam cię z domu. Wiem, co ci zrobiłam. Byłam pijana wolnością, jaką mi dała śmierć twego ojca. - Uśmiechnęła się lekko.

- Domyślałam się, że musisz uważać mnie za gruboskórą, jednak spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Spróbuj zobaczyć, co on mi zrobił; co ja zrobiłam sobie. Tak, chciałam się ciebie pozbyć, ale... - łzy znów pociekły z jej oczu -

ale zaraz po twoim odejściu rozumiałam, co zrobiłam i... jak bardzo cię kochałam. Nigdy... rozumiesz, problem w tym, że chyba nigdy nie uważałam cię za samodzielną istotę. Zawsze byłeś czymś, co wiązało nasze małżeństwo, byłeś mostem między twoim ojcem i mną.

Potem, kiedy wróciłaś, poznałam po twoich oczach, że widzę cię po raz ostatni. Bałam się o ciebie. Bóg wie, gdzie byłeś i z kim. Bywałeś w szkole tylko od czasu do czasu i ludzie poradzili mi, żebym poszła do doktora Geista. Myślałam, że wiedzą, o czym mówią... - urwała nagle, przygryzła wargi. Przyciągnęła Dainę bliżej. - Kochanie, czy to było okropne? Musisz mi powiedzieć, proszę.

- Nie - skłamała Daina. - Nie było tak źle.

Oczy chorej pojaśniały, na ustach pojawił się uśmiech. - To dobrze - wyszeptowała. - Czuję się dużo lepiej. Bałam się... - zajrzała córce w oczy.

- Lecz przecież teraz boję się cały czas. Daina pochyliła się, pocałowała matkę w usta.

- Tatuś kiedyś mi mówił, że cię kocha. Monika otworzyła szeroko oczy.
- Naprawdę? Kiedy?

Więc Daina opowiedziała jej o łowieniu ryb na Long Pond, o pogodzie, o widokach, dźwiękach i zapachach, o napinającej się żyłce, o drgającej wędce, gdy ryba złapała przynętę, o podniecającym zmaganiu.

- I co powiedział? - chciała wiedzieć Monika.

- Powiedział: „Wiesz, że bardzo kocham twoją matkę”. - Zdawało się, że Monika zasypia. - Mamo... Mamo? - Daina zadzwoniła po pielęgniarkę.

Dzwonek dzwonił i dzwonił. Daina poderwała się w łóżku, serce jej waliło. Wytarła pot z czoła. Odwróciła głowę. Obok leżał Rubens, spał.

Telefon nie przestawał dzwonić. Zerknęła na zegarek. Świecące cyfry pokazywały 4.12. Nad ranem?

Machinalnie podniosła słuchawkę.

- Uch, uch, uch, uch...
- Co?
- Uch. Dain...? Przetarła oczy.
- Chris?
- Uch, uch, uch...

- Chris, to ty?
- Dain, Dain, Daina... - Głos był stłumiony, niewyraźny.
- Chris, do diabła, gdzie jesteś?
- Hum, ummm...
- Chris, na miłość boską!
- ...owy Jork...
- Co? Nie słyszę... Czy powiedziałeś Nowy Jork? Jesteś tu? Chris!
- Taa, taa, taa.
- Powinieneś przyjść na przyjęcie... - Intuicja. - Jesteś tutaj...
- Ak, ak, ak... - zabrzmiało to prawie jak śmiech. Prawie. - Sam, Dain.

Całkiem sam.

- Do diabła, co ty tu robisz? Chris, nic ci nie jest?
- Ukrywam się, Dain. Jestem tu incog... - Najwyraźniej nie mógł

dopowiedzieć. Słyszała jego oddech, płytki i urywany.

- Chris, powiedz mi, gdzie jesteś.
- Uch, uch, uch...
- Chris! - Rubens przewrócił się na drugi bok, bliski przebudzenia,

i Daina wstała, odeszła tak daleko, jak tylko pozwolił przewód. Stała tyłem do łóżka, otuliła słuchawkę rękoma. - Powiedz mi tylko, gdzie jesteś. Zaraz do ciebie przyjadę. - Poczwała upiorne palce zimnego strachu na kręgosłupie. Zadrżała mimo woli.

- ...otel...
- Jaki hotel? - Obawa wzrastała z każdą chwilą. - Co się dzieje? - Chris, jaki? Carlyle? Pierre? - Wymieniała jego ulubione.

• Ak, ak, ak... - Znów ten dźwięk, tak bardzo podobny do śmiechu, a jednak taki przeraźliwy. Podał jej nazwę: The Rensselaer.

• Co? - prawie zawyła. - Nie wiem, gdzie... - Ale on zniknął jak obłoczek dymu, wydmuchnięty i bezużyteczny.

Nie wywoływała go już, zamiast tego wróciła do łóżka i odłożyła słuchawkę na widełki. Włożyła dzinsy, zatknęła je w wysokie skórzane botki, naciągnęła golf. Potem uklękła obok nocnego stolika, wyciągnęła książkę telefoniczną Manhattanu.

Znalazła *Hotele*, przebiegła palcami w dół kolumny, a wreszcie wyszeptała: - O Boże. - Hotel mieścił się na Czterdziestej Czwartej Ulicy, w bok od Broadwayu. Usytuowanie gorsze niż na Bowary. Nie było powodu, aby Kerr mijał takie miejsce, nie wspominając o zatrzymaniu się w nim. Tak myślała, zarzucając torbę na ramię i cicho wyślizgując się za drzwi.

O 4.20 nad ranem ulice Nowego Jorku wydawały się tak szerokie jak bulwary Madrytu, a samo miasto tak ciche, że bez mała słyszała mrugające neony reklam. *Głębokie gardło* i *Opętanie panny Jones* nadal widniały na afiszach Frisco Theatre na Broadwayu. Po drugiej stronie ulicy powstało nowe, bliźniacze kino, prezentujące wyłącznie filmy hiszpańskojęzyczne. Dziś wieczorem grano *El Brujo Maldito* i *Que Verguenza!*

Taksówka zataczała się i podskakiwała na dziurawym asfalcie. Wielkie kłęby szarobiałej pary z sykiem wydobywały się z włazów kanalizacji, rozświetlone, gdy chwyciły i odbijały światła ulicy i teatrów. Za każdym razem przejeżdżanie przez taką chmurę przypominało przechodzenie na drugą stronę kurtyny i Daina, nadal na wpół śpiąca, być może spodziewała się, że zobaczy budowle innego świata.

Lecz dopiero wtedy, gdy wysiadła z taksówki na chodniku przy Czterdziestej Czwartej, zrozumiała, czego szuka. Była to szara, brudna dżungla jej wyjętej spod prawa młodości. Chciała, teraz desperacko, zobaczyć, że ona nadal istnieje, obwieszona szyldami i pokryta graffiti jak tamta kamienica w Harlemie, której piękna powłoka wkrótce miała poczuć ponizające uderzenie burzącej kuli. Jednakże nie tęskniła za minioną młodością. Prawdę mówiąc, nie miałyby ochoty wrócić do tego okresu.

Zależało jej tylko na jednym: nie chciała być świadkiem zwycięstwa nad tym wyjętym spod prawa światem. Jego nienaruszalne istnienie było dla niej podnoszącą na duchu gwarancją; niepodważalnym, ostatecznym dowodem tego, że to, czego się w nim nauczyła, było ważne. Ponieważ tutaj leżało źródło jej mocy i była ona większa od siły Czerwonych Brygad, Czarnego Września czy ugrupowania Baader-Meinhof.

Spojrzała na hotel Rensselaer. Miał ciemny, brudny fronton z poczerniałego od sadzy metalu i zbrojonego szkła, przez co kojarzył się ze staroświeckim komisariatem. Od strony zachodniej przylegał do niego sklep filatelistyczny z zamkniętą na kłódkę żelazną bramą i oknem wystawowym pełnym spłowiałych i popękanych plastikowych podkładek prezentujących gdzieś po jednym

znaczkę, a od wschodu teatrzyk porno, w którym niedawno zakończył się ostatni występ. Na tablicy ogłoszeniowej widniały dwie linijki czarnych liter. Pierwsza głosiła: XXX, druga: *PARZĄCE SIĘ KRÓLICZKI*.

Nad obrotowymi drzwiami hotelu wisiał stary i ciężki szyld, który poskrzypywał na zardzewiałym drążku tak, jakby lada chwila miał runąć na chodnik.

Na lewo od drzwi była żelazna krata w chodniku, przez którą wydobywała się para, cuchnąca siarkowym odorem kanalizacji Nowego Jorku. Na niej, na zmiętej gazecie, leżał jakiś szukający ciepła bezdomny. Był ubrany w za krótkie spodnie przewiązane w pasie kawałkiem sznurka. Nie miał skarpet, a jego buty - przynajmniej kiedyś można je było tak nazwać - były pełne dziur. Spał w oparach, oparty plecami o brudną fasadę hotelu, z ręką zaciśniętą na szyjce pustej butelki irish rosę.

Nocny wiatr szeleścił posłaniem z gazety, przez co włóczęga wyglądał tak, jakby leciał na czarodziejskim dywanie. Nie znajdzie księżniczki po przebudzeniu, pomyślała Daina.

Odwróciła się do otwartego okna taksówki, podała kierowcy trzy banknoty. Radio było włączone. W talk show ktoś równał z ziemią burmistrza za niedofinansowanie policji.

- Mam zaczekać, panno Whitney? - zapytał taksówkarz. Był młodym brodatym człowiekiem o ziemistej cerze i czerwonych oczach. - O tej porze interes wszawo idzie. Mam książkę, mogę poczekać.

Uśmiechnęła się lekko, odchodząc.

- W porządku. Nie wiem, jak długo tam będę. Wyłączył silnik.

- Mnie tam bez różnicy. Lepiej ja niż ktoś inny, no nie? - Podciągnął szybę prawie do końca, zagłębił się w lekturze kieszonkowego wydania *Magister Ludi* o pozaginanych rogach.

O co się martwię? - pomyślała, wchodząc obrotowymi drzwiami do hotelu. Nic nigdy się nie zmienia.

Hol wyglądał jak zabijaka wagi ciężkiej po walce z mistrzem. Wszystko było połamane i podniszczone. Kurz wisiał w powietrzu, jakby zamiast osiadać, był miotany z miejsca na miejsce.

Podeszła szybko do recepcji. Nikogo nie było. Nie było też książki meldunkowej, tylko małe pudełko ze sklejki, w którym spoczywał plik kart o wymiarach trzy na pięć cali.

Przejrzała je, lecz nie znalazła nazwiska Kerr. Potem przypomniała sobie nazwisko używane w trasie - wszyscy członkowie zespołu mieli pseudonimy ze względów bezpieczeństwa. Chris nazywał się Graham Green, co go nieskończenie bawiło. Pokój 454.

Daina odłożyła kartę i przeszła spieszenie przez hol, który śmierdział jak stare, przepecone skarpety. Rozdygotana winda wyrzuciła ją na trzecim piętrze. Rozejrzała się szybko i prawie biegiem ruszyła korytarzem.

Pokój 454 znajdował się na końcu - był jednym z narożnych. Nawet nie pomyślała, by zapukać - ani że może potrzebować klucza - tylko przekręciła gałkę. Drzwi otworzyły się. Weszła, zamknęła je za sobą. W pokoju było ciemno jak w grobie, lecz mimo to poznała, że znajduje się w przedpokoju dwupokojowego numeru. Nie wiedziała, że w takich hotelach są segmenty.

Ostrożnie ruszyła dalej, sunąc wyciągniętą ręką po wytapetowanej ścianie. Czuła jej podrapaną i postrzępioną powierzchnię, dziurawą jak powierzchnia księżycy. Gdzieś tam, rozumowała, musi być przełącznik.

Znalazła go tuż przy końcu pomieszczenia i nacisnęła. Ciemność. Cisza. Zatrzymała się z bijącym sercem.

Już miała wykrzyknąć jego imię, gdy zwróciła uwagę na ciężkie powietrze. Wciągnęła je do nosa jak myśliwski pies i rozpoznała słodki zapach trawy, cierpką woń kadzidełka - paczuli - i kwaśny odór potu. Wstrzymała oddech. Nie był to zapach człowieka po dniu ciężkiej pracy czy po uprawianiu seksu, raczej smród wymiotów i strachu.

Weszła do pierwszego pokoju, próbując przesyć ciemność wzrokiem. Usłyszała pełne uczucia brzdąkanie gitary - akustycznej, nie elektrycznej - i pomyślała: Nic mu nie jest.

Potem usłyszała basy, syntezator i wchodzącą perkusję, i poznała, że słucha nagrania. Przeszła szybko przez pokój i na progu sypialni usłyszała, jak bogaty tenor zaczyna śpiewać: „Jestem zmęczony kłamstwami/Rzeczy/Które rozwijają się w nocy/Jak żagle/Ciemne chmury wydymają się/Oczarowują nieskończone błękitne niebo”. Melodia płynęła, pulsując hipnotycznie.

- Chris?

„Jestem zmęczony widokami/Piskami zwierzęcej rozkoszy/Które podbijają mój umysł/Odkrywam, /Że już nie mam chęci/Walczyć/O to, czego pragnę.” I lekkie

przejście w chór: „Jestem na linie/Błękitny ptak na linie/Czekający na strzał/Pistoletu, który mnie zabije/Jestem na linie/Po prostu sparaliżowany/Czekający na strzał z pistoletu, który mnie zabije...”

Potem nastąpił fragment instrumentalny, solówka na gitarze, później znów chór i muzyka uleciała na mrocznych, syntezatorowych skrzydłach.

- Chris? - powtórzyła. Weszła do sypialni i zaraz za progiem potknęła się o stos rzuconych bezładnie ubrań. Mruknęła: - Cholera! - i wyprostowała się. Wysoki kształt przy łóżku okazał się lampą. Włączyła ją.

- Och, Chris...

Był to nędzny pokój, długi i wąski; z rodzaju tych, które wydają się stare nawet wtedy, gdy są nowe. Teraz już nic nie mogłoby poprawić jego wyglądu. Magnetofon kasetowy stał na porysowanej drewnianej komodzie, na wpół przysłaniając zaśniedziałe owalne lustro. Po drugiej stronie pokoju jedno samotne

okno o brudnych od sadzy szybach gapiło się na wąski zaułek. Czarny ceglany tył drugiego budynku stał tak blisko, że nawet w samo południe na dole musiała panować noc.

Łóżko, główny mebel w pokoju, było żelazne, przyśrubowane do podłogi, żeby nie można było go przesuwac. Zmięta narzuta i wierzchnie prześcieradło leżały odrzucone, spływając przez tył łóżka na wyświechtany chodnik o niemożliwym do określenia kolorze.

Zza niedomkniętych drzwi łazienki dobiegał grzechot starożytnej armatury. W kątach, gdzie nie docierało światło lampy, poruszały się jakieś szybkie cienie.

- Chris - wydyszała.

Leżał nagi na łóżku, skąpany w pocie. Długie włosy miał pozlepiane i wilgotne; był zarośnięty i może przez to jego twarz wyglądała na tak okropnie wychudzoną. Oczy wydawały się ogromne, chorobliwie wytrzeszczone, wokół widniały sino-czarne cienie, jakby zrobiono mu charakteryzację do roli w jakiejś makabrycznej sztuce.

Policzki i czoło miał poznaczone smugami brudu i zaschniętego potu, a skóra była tak biała, jakby właśnie został wygrzebany z grobu.

- Chris, Chris... - Serce jej pękało. Weszła na łóżko, najpierw wyczuła, dopiero potem zobaczyła zaschnięte wymiociny, pościel po lewej stronie łóżka była sztywna

jak gips. Położyła jego brudną głowę na kolanach, odgarnęła włosy z oczu.

Przez jedną niezdolnie długą, przerażającą minutę myślała, że odleciał za daleko i że jej nie pozna, ale miał tylko kłopoty ze skupieniem wzroku. Muskulary były napięte, węzlaste jakby po jakimś długim, tytanicznym wysiłku; na jego ciele nie było chyba uncji tłuszczu, tylko mięśnie i kości.

Poruszył splekanymi, suchymi ustami. Daina wstała i pobiegła do łazienki po szklankę wody.

Ręczniki, wilgotne i śmierdzące, były rozrzucone po całej posadzce. Na wąskiej szklanej półce nad splekaną umywalką - płynąca od lat woda zazieleniła i pokryła porcelanę brązowymi cętkami - stał szereg męskich i damskich kosmetyków skotłowanych jak armia ołowianych żołnierzyków po bitwie.

Na krawędzi umywalki stała ryzykownie jedna brudna szklanka. Aktorka opłukała ją i napełniła zimną wodą. Zawróciła, usłyszała chrzęst pod podszewą. Odkopnęła ręcznik, zobaczyła strzykawkę i foliową torebkę z oddartym rożkiem. Nikt nie musiał jej mówić, co zawierał woreczek, jednakże pochyliła się, schowała go do kieszeni.

Na początku miał kłopoty z przełykaniem, jednak nie ulegało wątpliwości, że jest okropnie odwodniony. Podtrzymując jego spoconą głowę, obserwując konwulsyjne ruchy krtani, zastanawiała się, jak to mogło się stać w takim krótkim czasie. Co on tu robi? „Ukrywam się, Dain.” Słyszała jego wypowiedziane przez telefon słowa. „Jestem tu incog...” Incognito. Ale dlaczego?

- Dain...

Otworzyła oczy; nie zdawała sobie sprawy, że od jakiegoś czasu miała je zamknięte.

- Jestem tu, Chris.
- Przyszłaś. - Jego głos był słaby i cichy, trudno mu było mówić nawet krótkimi zdaniami.

Poczuła, jak się naprężyła, zajrzała w wytrzeszczone oczy i puściła go na czas. Gwałtownie wygiął się w łuk, usiadł, odwrócił od niej i zwymiotował. Przez chwilę jego ciałem wstrząsały konwulsje, potem spazm minął. Rozluźnił się na tyle, że mogła mu pomóc położyć się z powrotem.

Sięgnęła do telefonu. - Zadzwoń po doktora. - Lecz nie zdążyła nawet

podnieść słuchawki.

- Nie - wybełkotał. Zacisnął palce na jej nadgarstku, z zaskakującą siłą.

- Nic takiego.

- No, to do kogoś z kapeli. Silka nie przyjechał z tobą?
- Nie dzwoń do nikogo.
- Chris, co ci się stało? Popatrzył na nią bez wyrazu.
- Nic.

Złapała go za ramiona, potrząsnęła nim porządnie.

- Tak, cholera, stało się! - Wyciągnęła foliową torebkę, podetknęła mu pod nos. - Co to za gównno?

Odwrócił głowę. Koścista klatka piersiowa wzniosła się ciężko i znów oblał się potem. Coś wymamrotał.

- Co? Co powiedziałeś? - krzyknęła tak głośno, że podskoczył mimowolnie.
- Wiesz, co to jest - wychrypiał. - Śnieg. Widocznie jakieś paskudne gównno.

- Mięśnie napięły mu się i Daina pomyślała, że znów będzie wymiotować. - Naprawdę paskudne gównno. Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przytrafiło. - Ręce miał zacisnięte w pięści, białe i napięte, paznokcie wbijały się w dłonie. Pomyślała, że widzi, jak serce trzepoce się pod bladą skórą klatki piersiowej. - Zrób coś... - Z bólu oczy uciekły mu w głąb głowy. - Wszystko zamknięte...

- Co ty...

Wygiął się w łuk, wargi w straszliwym skurczu ściągnęły się z zacisniętych zębów. Wyglądał jak ożywiony szkielet.

- Uderz mnie. Bij mnie, Dain - wydusił. - Mu... musisz.

Opadł na prześcieradło, a aktorka natychmiast przyłożyła ucho do jego piersi. Cisza.

- Chryste! - zawołała i podniosła się. Usiadła na nim okrakiem. Podniosła prawą rękę, zwinęła dłoń w pięść i z całej siły uderzyła w miejsce nad milczącym sercem. Odliczyła pięć uderzeń, zrobiła to jeszcze raz, stękając z wysiłku. Oczekwała. Trzeci raz. Było to jak tłuczenie w kawał mięsa.

Pochyliła się, posłuchała. Nic. - Dalej, cholera! Nie umieraj mi tu!

- Zamachnęła się, raz za razem waliła w piersi nad sercem, uderzenia brzmiały w jej uszach jak dudnienie bębna. Pot spływał po jej ciele, piekł ją w oczy, skapywał

założnie na jego blade ciało. Łóżko skrzypiało rytmicznie, gwałtownie, jakby się kochali.

-Dalej, dalej, dalej... Chris... nie rób tego... dalej, dalej, dalej!... – Jej głos brzmiał jak litania; błagała jego, ale był to również bodziec dla niej, żeby nie poddała się, nie przestała, póki jest jeszcze cień nadziei. Jednak gdy sekundy przemieniły się w minuty, a minuty zaczęły nakładać się na siebie, hołubiona w sercu nadzieja zaczęła niknąć. Daina wybuchnęła płaczem równie gwałtownym jak ciosy, nienawidząc siebie równie mocno, jak nienawidziła jego za to, co jej robił, za to, że miał czelność ściągać ją tutaj o czwartej nad ranem tylko po to, by wymknąć się jej jak umierający ptak. - Niech cię diabli! - wrzasnęła. - Obudź się!

I stał się cud. Jego powieki uniosły się powoli, jakby budził się ze snu, a potem przez łzy zobaczyła, że na nią patrzy, poczuła, jak umięśniona klatka piersiowa podejmuje ogromny wysiłek zaczerpnięcia powietrza.

Przestała go uderzać, zaniósła się jeszcze większym płaczem.

- Och, Chris... Och, Chris, myślałam, że nie żyjesz, sukinsynu! Zamrugął, otworzył usta, zamknął je, wyszeptał:

- Chyba tak było. Naprawdę... Dain... nie przestawaj...

- Co?

- Nie możesz. Musisz dalej... póki nie będziesz pewna, że znów nie od... odleczę. - Powieki zaczęły mu trzepotać, jakby był zbyt zmęczony, by czuć. - Nie możesz... nie możesz pozwolić się poddać... następnym razem, Dain... nie... nie przebudzę się... nigdy...

Podniosła się z gardłowym jękiem, złożyła razem pięści i uderzyła go. Zadrżał pod tym podwójnym ciosem, a ona sapnęła z przerażenia. Lecz uderzyła jeszcze raz i tym razem otworzył oczy. Nie mógł mówić, ale widziała, jak na nią patrzy - łagodne, pełne oddania spojrzenie. I chciała je teraz widzieć, bardziej niż cokolwiek innego. Wiedziała, że jest jego ostatnią deską ratunku, że dopóki na nią patrzy, nie podda się bez walki.

Wybijiała capstryk na jego ramionach, klatce piersiowej, brzuchu, bokach, udach, nawet karku. Z każdym uderzeniem stękał jak zwierzę. Jego spięte ciało dygotało pod nią spazmatycznie. Skóra była biała jak mleko, zimna jak porcelana umywalki w łazience, przezroczysta jak bibułka.

Widziała pulsujące błękitne żyły, które rozszerzały się, podnosząc ku powierzchni ciała, i zamknęła oczy. Gorące, gorzkie łzy przeciskały się między zaciśniętymi powiekami i miała kłopoty z oddychaniem. Szlochała, bijąc go, stwierdzając, że płacz daje jej siłę, aż w końcu odkryła, że zadawanie ciosów nie wymaga żadnego wysiłku. Pięści śmigające w powietrzu stały się nieważkie, gdy uderzała go z siłą kowalskiego młota.

Wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała niezmordowanie jak fala, i myślała o sobie jedynie jako o dawczyni życia.

Pokój wokół niej spłowił jak stara fotografia wystawiona na oślepiające słońce. Byli tylko oni dwoje, zwarci w straszliwym uścisku dużo bardziej intymnym niż seks, połączeni niewyobrażalną pępowiną. Już nie była świadoma, że kołysze się miarowo, że myśli, nawet że oddycha.

Czas jakby stanął w miejscu. Pot spływał jak klej po ich ciałach, aktorka sapała chrapliwie.

Kerr krzyknął i spróbował zrzucić ją z siebie, miotając się we wszystkie strony. Jednak ona nie przestawała go okładać, póki, z nadludzkim wysiłkiem, nie przekręcił się na bok i nie zwymiotował na łóżko.

Jęknął.

- Chris, Chris; Chris... - I nigdy nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd wzięła siły, by stanąć na czworakach, ściągnąć go ze śmierdzącego łóżka na podłogę i powlec przez niski próg do łazienki. Odkopnęła te cholerne ręczniki, ciężkie jak bryły betonu, i wciągnęła go do wanny. Wyciągnęła rękę na oślep, odkręciła do oporu kurek z zimną wodą. Usłyszała szum prysznica i wrzasnęła, gdy mężczyzna parsknął, usiadł i konwulsyjnie wciągnął ją za sobą.

- Ta cholerna woda jest kurewsko zimna! - Poruszył się, żeby wyjść, lecz ona pchnęła go z powrotem.

- Zostań tu - rzekła - jeszcze przez chwilę. - Musiała podnieść głos, żeby dosłyszał ją w szumie walącej na nich wody.

Oboje drżeli, pokryci gęsią skórką.

Ujęła jego głowę w dłonie, przytuliła do piersi.

- Mów do mnie. Nie chcę, żebyś teraz zasnął.

- Nie... - Zakrztusił się wodą. Parsknął. - Nie mogę jasno myśleć.

- No, to postaraj się, cholera! Do diabła, co robisz w tym burdelu?
- Ukrywam się.
- Przed kim?
- Przed wszystkimi.
- Nie wygłupiaj się!
- Przed cholerną kapelą, w porządku?

Woda leciała im na głowy, spływała z szumem po bokach.

- Co zrobiłeś, Chris? - zapytała cicho.
- Właśnie to, co powiedziałaś, że powinienem. Odszedłem z kapeli.
- Niemożliwe!
- Benno prawie dostał ataku serca. Zrobił się siny na twarzy; bełkotał i

wrzeszczał...

- A Nigel?

Nic nie powiedział... - Przerwał, jak gdyby jeszcze raz przeżywał ową scenę. - To było najdziwniejsze. Nie powiedział ani słowa. Tylko odwrócił się i popatrzy! na Tie. - Parsknął. - Stary Rollie rzucił: „Au, pieprzysz, Chris”, a łan kopnął we wzmacniacz. Odwróciłem się... możemy już się osuszyć? Robię się pomarszczony jak emeryt.

• Za chwileczkę - rzekła jak małemu chłopcu. - Jak skończysz. - Jakby proponowała mu cukierka w nagrodę za to, że będzie grzeczny.

• Zebrałem się do wyjścia, wiesz, a wtedy Nigel odwraca się i mówi: „Lepiej sobie przypomnij, mały. Od razu zmienisz zdanie”.

Daina spojrzała na niego uważnie.

- Co to znaczy?

Kerr odsunął się lekko.

• To tylko między nami - członkami kapeli. - Spuścił oczy. - Zawiazaliśmy pakt, rozumiesz, przed laty. Wydaje się, że w innej epoce.

• Jaki pakt? - Zaczęła odczuwać chłód, który nie miał związku z wodą.

• Pakt, to wszystko. Roześmiała się.

• Och, śmiało. Mnie możesz powiedzieć. - Szturchnęła go żartobliwie.

- Założę się, że podpisany krwią...

Żartowała, więc drgnęła mimo woli, gdy oznajmił:

- A żebyś wiedziała.
- I po tylu latach nadal was obowiązuje? Co...

Odwrócił się gwałtownie, wstał i wyszedł spod prysznic. Podniósł ręcznik i zaczął się wycierać.

Daina zakręciła wodę. Wyszła z wanny, on zaś pochylił się i podał jej drugi ręcznik.

- Kurwa mać, lepiej mi powiedz, o co tu chodzi, Chris.

Stanął nieruchomo jak posąg. Za nimi woda żałośnie kapła z kurka. Nad ich głowami rozległ się rumor, gdy ktoś na wyższym piętrze spuścił wodę.

Chris odwrócił się powoli. W jego oczach widniało coś, czego nie było wcześniej i aktorka zastanawiała się, co to jest.

- W porządku - zaczął powoli - prosiłaś i... w pewien sposób na to zasłużyłaś. Teraz jesteś jedną z nas... - zaśmiał się chrapliwie - chociaż Bóg wie, że Tie chciałyby... - Przerwał nagle, szacująco zmierzył ją wzrokiem.

- Ale nie, może teraz nie chciałyby, co? - Obdarzył ją nikłym uśmiechem.
- Nie raz, lecz dwa razy uratowałaś mi życie.
- Nie...
- Wiem, Dain. Tie powiedziała mi; myślałem, że nastawia mnie przeciw tobie i to prawie zadziałało. Przez parę tygodni byłem na ciebie tak cholernie wkurzony, że nie potrafiłem rozsądnie myśleć. Dopóki się nad tym nie zastanowiłem. Potem, stopniowo, zacząłem rozumieć, co zrobiłaś - i wiedziałem, że nawet Tie tego nie załapała. - Zrzucił ręcznik na ramiona. - Ona wcale cię nie rozumiała, Dain, wiesz o tym? Wprawiłaś ją w osłupienie i przeraziłaś jak cholera.

Roześmiał się krótko, cicho, spojrział w dół nagiego ciała.

- Popatrz tylko na to - rzekł. - I nigdy nie poszliśmy do łóżka.

- Zamknął oczy, zakołysał się lekko i Daina wyciągnęła rękę, by go podtrzymać. Jednak on uśmiechał się nadal. - To taka ulga, naprawdę. - Otworzył oczy. Białka wydawały się nieco czystsze, chociaż nadal miały lekko żółtawy odcień.

- Zawsze myślę swoim fiutem. - Usiadł na krawędzi wanny, nieobrzezany penis zwisał między udami. Popatrzył na nią. - Jestem otoczony gromadą cholernych wampirów, prawda? Na Boga, jak ja do tego dopuściłem?

- Nie spodziewaj się współczucia z mojej strony.

Potrząsnął głową.

- Współczucie jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję.

• Chris - zaczęła powoli - chciałeś, tak naprawdę chciałeś opuścić kapelę już dawno, prawda?

Wsparł głowę na rękach.

- Tak. Chyba tak.

- Ta muzyka...

- Jak muzyka?

- Utwór, który słyszałam, gdy tu weszłam...

- Nie pamiętam.

- Nie dziwię się. Co to było?

Spojrzał na nią jeszcze raz, uśmiechnął się.

- *Na linie*. Utwór do mojego, tylko mojego albumu. Dain... - podniósł się

- tekst, aranżacja, wszystko jest zrobione. Muszę tylko pójść do studia i dokończyć nagrywanie... W domu nie mam wszystkiego, czego potrzebuję. Tylko podstawowe rzeczy.

- Co powstrzymało cię tak długo? Byłeś taki nieszczęśliwy.

• Jestem chorym na umyśle sukinsynem - szczerknął zajadle. - Myślałem sobie, a jeśli. A jeśli odejdę i dostanę w kość? Na jakiego idiotę wyjdę?

- Ale to nie wszystko, prawda? Chris! - Potrząsnęła nim.

Znów miał zamknięte oczy. Osunął się na nią ciężko, jakby nagle siły go opuściły.

- Zmęczony, Daina... taki zmęczony... Trzasnęła go w twarz.

- Na miłość boską, Chris, obudź się! - potrząsnęła nim gwałtownie.

- O Jezu, nie zasypiaj! Mów do mnie. Chris! Mów!

- Co...

• Cokolwiek! Chris! - Zastanawiała się rozpaczliwie. - Opowiedz mi, jak umarł Jon.

• Jon? Co? - Otworzył szkliste oczy, głowa chwiała mu się z boku na bok, jak po trzydniowym pijaństwie. - Jon?

- Tak, pamiętasz. Jon - twój przyjaciel Jon. Umarł. Chris! - Uderzyła go jeszcze raz, wyprostowała, stękając z wysiłku.

- Umm. Wszędzie to było - głos miał niewyraźny. - We wszystkich gazetach. Gliniarze nie chcieli się odcepić... trzy tygodnie... - Teraz widziała tylko białka pod uchylonymi powiekami. - Dopóki Nigel nie przyszedł z pomysłem, by zorganizować koncert ku pamięci Jona. „Zróbmy to w Vondel Park w Amsterdamie”, zaproponował. „Gorączka opadnie, gdy stąd znikniemy.”

- Powieki mu zatrzepotały i aktorka znów uderzyła go w policzek, na tyle mocno, że skóra najpierw zbieleła, a potem zaczerwieniła się. - Tylko... tylko, że to nie był pomysł Nigela... Nie, naprawdę, nie. To Tie. Jednak z drugiej strony, jak się nad tym zastanowić, ona była autorką wszystkich wielkich pomysłów promo... promocyjnych. - Zachichotał. - Wykorzystywała Nigela tak, jak wcześniej Jona. Jak jakaś cholerna wyrocznia delficka. Cholernie dobrze wiedziała, że nie poszlibyśmy na jej pomysły. Ale skoro myśleliśmy, że pochodziły od Jona... - Roześmiał się, głowa zakółsała mu się na ramionach.

- Chryste, miała rację. Ta suka! Miała właściwe pomysły, w porządku. Dały nam... dużo, cholernie dużo.

- I tak zrobiliście koncert w Amsterdamie.

Skinął głową.

- Chorągwie z twarzą Jona, wynajęci faceci godzinami wykrzykujący na ulicach jego imię. - Prychnął. - Później wszystko ucichło... tak jak powiedział - ach, jak ona powiedziała. Gliniarze zniknęli, by przyczepić się do Beatlesów czy kogoś innego. Do diabła, kto wie!

- I Jon nie żył...

- Och, tak, Jon. Mój dobry przyjaciel Jon. Mój kumpel. - Jego głos ociekał sarkazmem. - Mało brakowało, a ta cholerna kapela rozpadłaby się przez niego. Doprowadzał nas do szału swoimi rozkazami i swoim... Chryste, nie mogliśmy na nim polegać! W końcu trzeba było wynająć jakiegoś goryla, by ciągał go na koncerty i próby. Lecz, broń Boże, nic mu nie mówiliśmy. Zwiałyby i schował się przed nami. Nie, nie. Poinformowaliśmy go, że zatrudniliśmy ochroniarza, bo stał się taką wielką gwiazdą. Spodobało się to, naszemu Jonowi, o tak. Jak najbardziej. Gdybyśmy nie... gdyby nie umarł, kto wie, gdzie byśmy teraz wszyscy byli.

Głupi sukinsyn. - Potrząsnął głową z boku na bok jak zranione zwierzę.

- Cholernie głupi sukinsyn. Wiesz, że kapela była jego pomysłem. Tak. Jon pod wieloma względami był cholernym geniuszem. Nie jak Nile, zauważ, robiący dookoła siebie wiele szumu. Nie, nie. Znał się na robieniu muzyki jak nikt. Ale kiedyś zniknął i nawet Tie nie była w stanie powiedzieć, gdzie się podział.

Jon brał wszystkie nasze utwory, Nigela i moje, i robił z nimi cuda. Nie mam pojęcia, jak... Bóg wie, że nawet nie jestem pewien, jak Nigelowi i mnie udawało się pisać to, co pisaliśmy.

Lecz oni się nienawidzili, rozumiesz... Nigel i Jon. Zawsze byli jak ogień i woda. - Próbował spojrzeć jej prosto w oczy, bez powodzenia. - Och, no cóż, może nie zawsze. Ja byłem klejem, który scalał kapelę w tamtych czasach... byłem poś... pośrednikiem między tymi dwoma durniami... ale również przyczyną ich nienawiści.

Jon był zazdrosny o moją współpracę z Nigelem. Dogryzał mi tak, że kiedyś złołem mu skórę. - Potrząsnął głową. - Nic dobrego z tego nie wyszło. Pieklił się przez trzy dni... dał nogę i musieliśmy odwołać koncert. Możesz sobie wyobrazić, jak wrednie czuł się Nigel... jest martwy, gdy nie jest w cholernej trasie.

Co do Nigela, zawsze zakładałem, że nienawidził Jona tylko z powodu jego słabości. Jon pisał własne utwory i często był w studio przed przybyciem reszty. Raz popatrzył na nas wilgotnymi oczyma dziecka i oznajmił: „Mam dla was nowy kawałek”. Jednak nie był w stanie zagrać ani jednej nuty... był popierdolony, w taki czy inny sposób. - Głos złagodniał mu nieco. - Załamał się i płakał,

tuląc swego czerwonego gibsona jak pluszowego misia. Nigel odwrócił się i warknął: „Jezu Chryste, niech ktoś doprowadzi go do porządku”.

Oczywiście to Tie załazała Nigelowi za skórę. Sądzę, że on po prostu nie potrafił zrozumieć, jak ona może żyć z Jonem. Byliśmy w Monachium, kiedy po raz pierwszy pokazała się za kulisami. Nikt nie miał pojęcia, jak udało się jej obejść ochronę. Miała w Niemczech wielu przyjaciół, przynajmniej tylu, ilu trzeba mieć, żeby gdzieś się dostać.

Jon od razu wpadł jej w oko. No cóż, naprawdę nic dziwnego. Był przystojnym durniem... nigdy nie narzekał na brak powodzenia. Teraz musi dorastać wiele jego dzieciaków, cha, cha! Wystarczyło, że zatrzepotał swymi długimi rękami, i wszystkie panienki topniały. Nie że z nami było inaczej. Ale z Jonem... no cóż, zawsze był przypadkiem szczególnym. Jednakże Tie też była specjalna na swój

własny sposób i stała - się pierwszą... i jedyną... która z nim zamieszkała.

Potem, pewnego dnia wybrałem się do mieszkania Jona. Lało jak cholera... zimniej i paskudniej niż w piekle. Znalazłem go leżącego z twarzą w błocie. „Tutaj jestem, chłopcze”, zawołałem, „co ci się stało?” Został pobity, a pomyślałem, że i obrabowany. Lecz nie. To była robota Nigela. „Chryste”, zapytałem, „coś ty, do kurwy nędzy, mu nagadał?” Spojrzał na mnie raczej potulnie. „Nie myśl, że ci powiem.” „Cholera, lepiej to zrób, chłopcze”, powiedziałem. „Wolę usłyszeć to od ciebie.” Skinął wtedy głową i zabrałem go z deszczu. Tę nie było w domu. Usiadłem przed kominkiem, patrzyłem w płomień i grzałem się. Jon nie mógł usiedzieć ani chwili. Łaził w tę i z powrotem tak szybko, że jego psiak dostał skurczu szyi od kręcenia głową. I na każdy dźwięk z ulicy podskakiwał na trzy stopy w górę.

„Cholera, lepiej wyrzucić to z siebie”, poradziłem, „nim doprowadzisz się do ataku nerwowego”.

Wtedy podszedł i stanął nade mną, i z jego twarzy poznałem, że to nie żarty.

„Boję się ci powiedzieć”, wyznał. „Boję się, że mnie znienawidzisz, tak jak Nigel.” Przerwał. „Nie zniósłbym tego, Chris. Wszyscy są przeciwko mnie. Ale gdybyś ty...” Schował twarz w dłoniach. „Nie wiem, co robić.”

Złapałem go za ręce i powiedziałem, „Nie martw się, stary. Nic nie może rozdzielić takich dobrych kumpli jak my. Po prostu nigdy nie przejmuj się takimi bzdurami. O co chodzi?”

„Powiedziałem mu”. Pociągnął nosem. „Powiedziałem Nigelowi, że chcę się z tobą przespać.”

Nie wiem, dlaczego zacząłem się śmiać - z pewnością nie było to zabawne. Ani trochę. Wtedy zrozumiałem, że przynajmniej pod jednym względem Nigel miał rację co do Jona. Był przyzwyczajony, że dostawał wszystko, czego zapragnął. Nieważne co. Zakazane czy nie - jemu, cholera, nie robiło to najmniejszej różnicy. Pod tym względem był jak dziecko.

Był nieodpowiedzialny, ale genialny. Zaczynał dzień od amfetaminy zapijanej dżinem. Potem wdychał trochę koki, brał nieco morfiny, wrzucał tabletkę czy dwie kwasu albo, jeżeli nie miał, THC - cokolwiek miał pod ręką - i może pigułkę czy dwie kodeiny.

Wydaje się niemożliwe, wiem, aby organizm mógł znieść coś takiego. Nic dziwnego, że wtedy znaleźliśmy go w studio, niezdolnego do grania, szlochającego,

„Przecież grałem to wcześniej, doskonale... oni słyszeli. Zapytajcie ich”. Jednak nie było tam nikogo prócz niego.

A kiedy indziej, niewiarygodne, to on nas stawiał na nogi... gdy łaziliśmy w kółko i nie wiedzieliśmy, co robić, on wchodził i wszystko w ciągu paru sekund nabierało kształtu. Wściekało to Nigela niepomierne. Twarz mu bladła, odwracał się i walił pięścią w ścianę. Tak, Jon miał do tego dryg.

Lecz nawet ten jego talent nie mógł powstrzymać narastającej nienawiści. A Tie, która zawsze była obecna, która zawsze była jego ostoją, dodawała mu odwagi; przy niej Jon był śmielszy niż kiedykolwiek. I, jak teraz podejrzewam, popierała go nawet wtedy, gdy wiedziała, że nie ma racji - po prostu podbijała nam bębenka, póki nie zaczęliśmy gonić za mrzonkami.

Drżał teraz, pot spływał po nim jak krople deszczu, i Daina musiała ciasno obejmować go i ścisnąć, jakby to mogło zatrzymać życie, jakie w nim pozostało.

Powieki mu zatrzepotały.

- Nie przestawaj - rzuciła ostro. - Chris, chcę wiedzieć, jak umarł Jon. Spojrzał na nią zmrużonymi oczyma.

- Jon, tak. Śmierć Jona. - Odetchnął głęboko, drżąc. - Mimo wszystko uważam, że była za to odpowiedzialna Ameryka. Pojechaliśmy na nasze pierwsze tournée w sześćdziesiątym piątym... pamiętam, była zima - cholernie przynębiająca zima. W Anglii byliśmy wielcy, a tutaj tylko jedna stacja radiowa puszczała nasze utwory, gdy przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Czasami byliśmy głównym zespołem, zwykle jednak graliśmy na początku, gdy dzieciaki się jeszcze schodziły. Trudno nam było się dostosować... widzieliśmy mnóstwo pustych miejsc.

Jon pomstował przez całe tournée i musieliśmy kogoś do niego wynająć, aby mieć pewność, że się nie zmyje. Przez niego nasze życie stało się jeszcze bardziej żałosne... nie chciał słuchać Benna ani żadnego z nas, kiedy mówiliśmy, że Stany są ważne, jeżeli zależy nam na zrobieniu międzynarodowej kariery. „Nie zależy mi, by być tak wielkim jak Beatlesi czy Stonesi!” wrzasnął. Ale my wszyscy wiedzieliśmy lepiej. Obchodziło go to... bardzo. Po prostu nienawidził Stanów. Były zbyt wielkie i zimne, zbyt wiele wymagały... i nie dbały o niego, chociaż czuł, zawsze, że miał szansę je podbić.

Wreszcie na szczęście tournée dobiegło końca i poleciliśmy z powrotem do Londynu. Nie zamieniliśmy ani słowa w czasie tego długiego lotu, lecz wiem, że te

same myśli chodziły nam po głowach. Wszystko stało się nie do zniesienia... A potem, w Anglii, zaczęło się. Właśnie wtedy, gdy myśleliśmy, że już nie może być gorzej... Jon zaczął pyskować, że przede wszystkim nigdy nie powinien był zakładać kapeli... zarzucił nam, że wypaczyliśmy jego ideę muzyki.

Zęby zaczęły mu szczekać, więc Daina obróciła go twarzą do siebie i przytuliła, szepcząc mu do ucha, by kontynuował.

- Zapomniałem...

- Śmierć Jona.

- Jona... - Skinął głową, z brodą na jej ramieniu. - To było latem, Jon właśnie dostał nowy dom na wsi... w Sussex. Z basenem. Zaprosił nas wszystkich. Tie też, i ona postanowiła urządzić przyjęcie. Zaprosiła grono swoich przyjaciół - naprawdę oszałamiających facetek i stadko pedałów z teatru... tancerzy... aktorów, nie wiem, kogo. Niektórzy byli Anglikami i Szkotami, ale większość stanowili Niemcy, Szwedzi, krótko mówiąc aryjska banda.

Jego głowa opadła na jej ramię i musiała przypomnieć mu, by mówił dalej, nie zasypiał.

- Pamiętam... Nigel szybko miał dość tych pedałów - nigdy ich nie tolerował. Zwykł być... pamiętam, zwykł był łączyć za nimi w Brighton, latem, gdy byliśmy młodszy i nie mieliśmy nic do roboty. Czepiał się z nudów... - Odleciał jakby na chwilę, lecz najwidoczniej z powodu wspomnień, gdyż wrócił bez zabiegów Dainy.

- Wszyscy dużo piliśmy, ćpaliśmy do oporu - do diabła, byliśmy całkiem nieźle zaprawieni. Nigel wpadł w szal, gdy para pedziów zaczęła się obmacywać... próbował ich wyrzucić. Oczywiście, Jon wszedł mu w paradę... Jezu, zaczął ich bronić. „Och, to takie miłe”, rzekł złośliwie Nigel. „Ty cholerna cioto.” Jon się nie odezwał, po prostu stał, kołysząc się w przód i w tył, podczas gdy Tie wrzasnęła do Nigela: „Cholera jasna, to nie twoje przyjęcie - zamknij się!”

Potrząsnął głową.

- Wszystko stało się tak szybko. Nigel uderzył Tie, że aż upadła na leżak, a Jon rzucił się na Nigela.

Naparzali się jak uliczne zabijaki. To było paskudne... cholernie paskudne. „Co się gagicie!” wrzasnąłem. „Rozdzielcie ich!”

Jednak nikt się nie ruszył. Nikt nic nie zrobił. W końcu sam odciągnąłem

Nigela. „Chodź”, powiedziałem. „Wywalmy stąd te cioty, ty, ja i Tie. Nie muszą na to patrzeć.” - Głowa mu opadła. - A później to się stało...

- Co się stało? Chris? - Złapała go pod brodę. - Chris! - Uderzyła go w twarz.
- Byliśmy w kuchni... wszyscy, i ktoś - nie wiem kto - zapytał, „Co by się stało, gdyby gaz był odkręcony, a Jon wszedł i zapalił światło?” Wszyscy wybuchliśmy śmiechem, lecz po chwili nie było tak zabawnie. Poczuliśmy gaz i wyszliśmy na zewnątrz. - Pociągnął nosem. - Potem Jon poprosił o coś do ćpania i ktoś rzucił, „W kuchni, Jon. Prochy są w kuchni”.

Przerwał na chwilę, wsłuchany we własny oddech.

- Zastanawiam się - zaczął powoli - czy umrę.

- Wszyscy umrzemy. Skupił na niej spojrzenie.
- Chodzi mi o to, czy tutaj... teraz... z powodu tego gówna.
- Jeżeli umrzesz - odpowiedziała ostro - to będzie to samobójstwo. Myślał o tym przez chwilę.

- Nie chcę umrzeć! - Jego szept brzmiał jak szelest wiatru w wysokich zaroślach.

- Mów - przynagliła - a nie umrzesz.

Na chwilę zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, lśniły w nich łzy.

- Pamiętam... O Boże, pomóż, pamiętam wszystko. - Zaczął płakać bezgłośnie, łzy skapywały z policzków na jej szyję. - Byliśmy wtedy takimi szczeniakami - podjął po pewnym czasie. - I mieliśmy w głowie tylko jedno: może się uda. To utrzymało nas razem, uczyniło silnymi. Dzięki temu przeżyliśmy... cały ten brud... gówno, jakim obrzucają człowieka dzień po dniu i spodziewają się, że przełknie je bez protestu. Czym jest w porównaniu z tym przyjaźń?

Na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją Daina:

- I co zrobiłeś?
- Nic, kochanie. Wszyscy staliśmy i myśleliśmy o tym strasznym amerykańskim tournée, o tym, ile forsy straciliśmy, ale także o tym, że mimo wszystko od czasu naszego wyjazdu wzrosła sprzedaż naszego albumu... że do Benna zaczęły napływać propozycje zorganizowania następnych koncertów... w większych salach... za większe pieniądze. Głównie jednak myśleliśmy o tym, jak Jon odmówił ponownego wyjazdu do Stanów. Jak gardził Ameryką... Jak odwodził nas od tego, co

wszyscy uważaliśmy za nasze... przeznaczenie. Tak, nasze przeznaczenie. Takiego słowa użyła Tie...

- Chcesz powiedzieć, że ona stała i przyglądała się, jak jej kochanek wchodzi do domu?

Kerr ze smutkiem potrząsnął głową.

- Och, nie, nie. Podeszła do basenu i usiadła dyndając nogami w wodzie...
- Mój Boże!
- On nigdy z własnej woli nie odszedłby z kapeli, bez względu na to, co mówił, bez względu na to, jak skarżył się publicznie. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Byłby niczym bez Heartbeatsów - tak jak my wszyscy. Nie był silnym człowiekiem. Tylko jedno powstrzymywało go przed zaćpaniem się na śmierć... Bez kapeli... - Wzruszył ramionami.

- Więc pozwoliliście mu umrzeć.
- To była ofiara, powiedziała Tie. Każda wielkość, każdy geniusz niesie z sobą ból, stare musi ustąpić, żeby nowe mogło zapuścić korzenie i rozwinąć się. Z Jonem zmierzaliśmy donikąd. Nie było innego wyjścia, albo on, albo my. On nie... W każdym razie to i tak stałoby się bardzo szybko. Jego wątroba, jego nerki nawet jego serce, jak myślisz, jak długo zniosłoby ryle prochów, co? Jak długo? Jak długo? - Wrzeszczał teraz, wrzeszczał i płakał, i szarpał się z nią resztkami sił.

Było jasno, gdy wyłonili się z trzewi Rensselaer na spękany chodnik. Para już nie buchała z żelaznego krateru i ludzki wrak przeniósł się w lepszy albo gorszy klimat, zabierając z sobą gazetę. Została tylko pusta butelka. I taksówka. Gdzieś od strony Broadwayu napłynął ku nim zapach parzonej kawy.

Daina z pomocą zaspanego kierowcy zapakowała Chrisa na tylne siedzenie.

- Jest pani pewna, że temu sukinsynowi nic nie jest? - zapytał taksiarz, żując wykałaczkę. Jego oddech lekko zalatywał tuńczykiem. - Jest blady jak trup.

- Proszę nas zabrać do Sherry-Netherland, to wszystko - powiedziała aktorka, siadając obok Kerra i zatrzaskując drzwi.

- Jasne, że musi być pani dobrym przyjacielem, panno Whitney - stwierdził kierowca, przekręcając kluczyk w stacyjce. Patrzył na nich oboje we wstecznym lusterku. - Hej, czy ja go nie znam?

Chris leżał na plecach. Nadal dygotał, ale wydawało się, że kryzys minął.

Otworzył oczy i przez długi czas patrzył na mijane budynki. - To nie Londyn - mruknął niewyraźnie.

- Nie - odparła cicho Daina, próbując go pocieszyć. - Jesteśmy w Nowym Jorku.

Pokiwał głową.

- Tak. Nowy pierdolony Jork. - Zamknął oczy. - Zabierz mnie na lotnisko - odezwał się głosem tak zdecydowanym, że prawie go nie poznała.

- Chcę jechać do domu. Do L.A... Muszę skończyć nowy album.

12

Oczywiście nie przypuszczała, że po tym, co między nimi zaszło, kiedykolwiek będzie chciała go znów zobaczyć. Myliła się.

Wiedziała to, w chwili gdy wróciła z Nowego Jorku, wsunęła rękę do kieszeni futra z kanadyjskich rysiów i znalazła foliowe opakowanie, które podniosła z podłogi w hotelowym pokoju Chrisa. Patrzyła na nie przez moment, złożyła razem z kartką od Meyera, na której widniały wypisane starannie dwie linijki:

Chanie Wu Cherries, Van Nuys B. z zadowoleniem pomyślała, że da Bonesteelowi dwa potencjalne klucze do morderstwa Maggie. Było to więcej, niż on zrobił dla niej, ale nie miała nic przeciwko temu. Chciała zobaczyć jego minę.

Nie chciała telefonować na komisariat i uprzedzać go o swych zamiarach. Minęła srebrnego mercedesa, który teraz wydawał się jakiś stary, i wsiadła do czarnego ferrari, podarowanego przez studio zaraz po zakończeniu pracy nad *Heather Duell*. Jak przystało na południową Kalifornię, wóz miał tablice HEATHER. Był niski, smukły i bardzo szybki. Jeszcze nigdy prowadzenie nie było tak zmysłowym i ożywym doświadczeniem; sprawiało, że chciała zrezygnować z korzystania z limuzyn - prawie.

Pasuje do mnie, pomyślała, hamując na skraju Bel Air i skręcając w lewo na Sunset. Ferrari mknęło wśród innych wozów jak marzenie. Siedziała tak nisko, że czuła się jego częścią: podłączona do potężnego silnika i elektronicznych obwodów - jak wtedy, gdy jakaś scena szła jak po maśle i ona zalecała się do kamery. Ferrari sprawiało, że czuła się tak, jakby oddawała się przemykającemu obok miastu.

Zatraciła się w pędzie. Jej myśli dryfowały swobodnie. Miała w głowie coś na kształt wielowarstwowej układanki, z której teraz, po miesiącach dopasowywania elementów na ślepo, zaczynał wyłaniać się pewien obraz.

Sen o śmierci matki położył kres wspomnieniom i mogła wreszcie zrozumieć przeszłość w kontekście tego, co przeżywała obecnie. Po przebudzeniu zdała sobie sprawę, że gniew, jaki żywiła do Moniki, przeminął przy szpitalnym łóżku. Było tak, jakby minione lata nigdy nie miały miejsca i ona i jej matka - odarte z narosłej warstwy zazdrości, zawiści, strachu i wściekłości - doszły do istoty swych stosunków: miłości między matką i dzieckiem.

Dla Dainy już nie miało znaczenia to, co Monika zrobiła albo czego nie była w stanie zrobić. W chwiejnej równowadze między życiem a śmiercią liczyła się tylko miłość. Nie chciała, by Monika umarła i odwróciwszy się płakała, milcząco i gorzko, tak nad matką, jak nad sobą i tym, co z własnej woli utraciła. W tej chwili pragnęła mieć moc odwracania czasu, aby wymazać wszystkie stracone lata. Ale nie miała takiej władzy. Była bezradna w konfrontacji z nieznanym, niewidzialnym atakiem choroby, z którym tak dzielnie, acz bez rezultatu walczyła Monika.

Wiedziała także, że w dziwny sposób matka miała rację. Porzuciła dom, by uciec przed wszystkim, czemu nie potrafiła stawić czoła. Patrzyła z pogardą na przyjaciół, którzy w celu oderwania się od rzeczywistości sięgnęli po narkotyki, i czuła się tak znacznie od nich lepsza, choć prawdę mówiąc, sama wybrała tylko nieco inną drogę.

Baba wiedział o tym i tej nocy, kiedy się kochali, przeczuwała, że ma zamiar odprawić ją raz na zawsze. - Dla twego własnego dobra, mała - powiedziała. Wszyscy byli mądrzejsi ode mnie, myślała, kierując się do centrum L.A. Chryste, w tamtych czasach byłam taka naiwna. Lecz przecież każdy kiedyś jest taki, a pierwsze rozczarowania bywają o niebo gorsze.

Ruch na jej pasie zmałał, więc wrzuciła czwórkę, wdusiła pedał gazu i okiełznana bestia ryknęła, wciskając jej plecy w fotel koloru wina. Naprzód, pomyślała. Naprzód, jedź, jedź!

Po raz pierwszy w życiu czuła się spełniona. Odkryła w sobie nowy, wcześniej nie obecny element. Po raz pierwszy uważała, że jest we wszystkim równie kompetentna, jak mężczyzna. Jednakże z pewnością nie odczuwała tego jak mężczyzna, tego była pewna. Co się z nią stało? Pomyślała o tym, co zrobiła dla

Chrisa. Dopiero teraz uświadomiła sobie prawdziwie przerażającą naturę tego epizodu. Co by było, gdyby nie... Znała odpowiedź. Chris byłby martwy.

I co ją opętało, żeby zabrać ten foliowy woreczek? I dać go teraz Bonesteelowi? Czy znajdzie w nim ślady czegokolwiek poza heroiną? Wstrząsnęło nią drżenie przecucia. W co ja się wplątałam? - zapytała siebie w duchu. Maggie, wnuczka sławnej postaci politycznej, zabita gorącym strzałem. Ale najpierw torturowana, jakby to było politycznie umotywowane...

Zmniejszyła bieg, przyhamowała na zakręcie, znowu wrzuciła trójkę. Ten gorący strzał, myślała, nie daje mi spokoju. I oczyma wyobraźni zobaczyła foliowe opakowanie leżące na podłodze hotelowego pokoju Kerra. A jeżeli Chris dostał to samo? A jeżeli nie było to zbiegiem okoliczności, tylko pasującym doskonale „modus operandi”? Albo, myślała, wszystko jest wymysłem rozgrzanej wyobraźni. Jakoś takie rozwiązanie nie trafiało jej do przekonania, chociaż przez kilka minut starała się je uzasadnić. Nie wierzyła w zbiegi okoliczności tego typu.

Komisariat wyglądał dokładnie tak samo, jak przedtem - jakby był kręgiem wozów osadników, lada chwila spodziewających się ataku. W momencie gdy wysiadała z ferrari, ktoś zawołał:

- Panno Whitney!

Był to Andrews, policjant, który poprzednim razem zabrał ją do biura Bonesteela. Właśnie zbiegał po schodach na ulicę. Jego przydługie włosy były spalone słońcem, oczy jaśniały głębokim błękitem. Uśmiechnęła się promiennie. - Jak się pan miewa?

• Świetnie, panno Whitney. Po prostu świetnie. - Wyszczrzył zęby i wyciągnął rękę. - Ma pani niezły wózek. - Poglądził ferrari jak żywe stworzenie. - Zostawi nas wszystkich daleko w ogonie. -

• Wie pan, nie znam pańskiego imienia.

• Pete, proszę pani. - Wskazał kciukiem przez ramię. - A to Harry Brafman. - Drugi mężczyzna, niższy i ciemniejszy od Andrewsa, ale w tym samym wieku, skinął głową na powitanie. - Obaj jesteśmy podwładnymi porucznika Bonesteela.

• Nie wiecie, gdzie on jest? Mam dla niego coś ważnego.

• Jasne, że wiemy. Na nabrzeżu w Santa Monica. Właśnie tam wracamy.

Może pani jechać za nami.

- No, nie wiem, Pete - wtrącił ze ściągniętymi brwiami Brafman. - Wiesz, co tam się dzieje. Nie wolno nam, bez względu na powody, wprowadzać cywilów na teren zamknięty.

Jednak Andrews nie poświęcił większej uwagi jego słowom.

- Panna Whitney i porucznik są starymi przyjaciółmi, Braf. Jeżeli ona mówi, że ma mu coś do powiedzenia, to on będzie chciał to usłyszeć.

Ciemne oczy policjanta prześliznęły się po figurze aktorki.

- Nie mogę się z tym nie zgodzić - rzekł z cieniem afektowanego uśmiechu.

Rzeczywiście coś działo się na nabrzeżach. Jeszcze przed przybyciem do Santa Monica Daina usłyszała przenikliwe wycie syren i była zadowolona z eskorty Andrews; bez niego nigdy nie zdołałaby dojechać na miejsce.

Naliczyła co najmniej pół tuzina radiowozów, a gdy podjechali bliżej, zobaczyła opancerzony pojazd jednostki specjalnej. Teren otoczono barierkami i zatrzymywano wszystkich ciekawskich.

Andrews i, Brafman wysiedli. Zostawili innego policjanta na straży ferrari i przeprowadzili Dainę przez kordon.

Na molo roiło się od glin, wszystkich po cywilnemu. Niedaleko stał ambulans z błyskającym w milczeniu czerwonym światłem i szeroko otwartymi tylnymi drzwiami. Był pusty. Po lewej stronie dwóch sanitariuszy przenosiło coś na nosze. Daina rozpoznała wysokiego asystenta inspektora medycznego, który był w domu Chrisa i Maggie w dzień morderstwa. Zdaje się, że upychał w ustach drugą połowę cheesburgera.

Obok niego stał Bonesteel, elegancki w jedwabno-lnianym białoszarym garniturze. Sprawiał wrażenie jedynej opanowanej osoby na nabrzeżu. Patrzył na nosze, gdy aktorka zbliżyła się w towarzystwie Andrews i Brafmana.

Przez pewien czas nie zwracał na nich uwagi. Potem podniósł głowę i nie odrywając oczu od twarzy Dainy powiedział do policjantów:

- Przybyliście w rekordowym czasie. - Nie poruszył głową. - Strzelanina miała miejsce na drugim końcu mola. Wiecie, co macie robić.

- Co z Forragerem? - zapytał Andrews.

- Dostał w prawe ramię. Wylize się.

- A Keyes?

Porucznik wahał się przez ułamek sekundy.

- Nie udało mu się. - Zamrugął. - Przykro mi, Andrews.

Policjant stał tak nieruchomo, jakby został odlany z ołowiu. Przystojna twarz o ostrych rysach jakby się postarzała. Lekka bryza burzyła jego ładne, jasne włosy. Są jak dziecięce, pomyślała Daina. Ale on już nie był dzieckiem.

Brafman minął ją, dotknął ramienia Andrews.

- Chodź, Pete. Mamy robotę. - Odciągnął kolegę. Odwróceniu do niej plecami wyglądali jak zwyczajni ludzie udający się spacerkiem na koniec mola, żeby popatrzeć na ocean.

- Keyes był jego szwagrem. - Były to pierwsze słowa, jakie Bonesteel skierował do niej. - Andrews i jego siostra są sobie bardzo bliscy - dodał takim tonem, jakby coś takiego uważał za nieprawdopodobne.

- Cześć, Bobby.

- Chłopcy cię przyprowadzili?

- Prosiłam ich o to. Mam coś dla ciebie. - Milczała przez chwilę. - Nie chcę, by Andrews miał w związku z tym jakieś kłopoty.

- O to się nie martw. - Popatrzył na nosze, złapał okrywający je materiał. - Mam tu coś, co może cię zainteresować. - I zaczął ściągać okrycie.

- Żartujesz?

Jego ręka zawisła w powietrzu.

- Żartuję? Nie, jestem jak najbardziej poważny. - Szybkim ruchem odsłonił ciało. - Poznaj Modreda.

Daina zdecydowała, że nie spojrzy, lecz ciekawość wzięła górę. Zobaczyła twarz pod każdym względem doskonale zwyczajną: oczy ani za duże, ani za małe, nos taki jak nos, niczym się nie wyróżniające usta. Krótko mówiąc, była to twarz, na którą nie zwraca się uwagi i której prawdopodobnie nikt nie zapamiętuje. Był człowiekiem z tłumu i wyróżnił się tylko dlatego, że był psychopatycznym mordercą.

Miał białą skórę i wyglądał tak, jakby był pogrążony w spokojnej, niewinnej drzemce. Potem zobaczyła, że okrywająca go płachta czerwieni się w trzech czy czterech miejscach. Wyciągnęła rękę, szukając oparcia, i detektyw ją podtrzymał.

- Co się stało?

- Odejdźmy stąd. Powiem ci w drodze.

Poprowadził ją wzdłuż drogi na plażę. Aktorka zdjęła sandały, on brnął przez piasek w butach. Po jednej stronie kilkoro opalonych dzieciaków grało w koszykówkę. Za nimi, na parującym asfalcie, dziewczęta i chłopcy w kostiumach kąpielowych i obcisłych spodenkach jeździli na wrotkach przy dźwiękach

muzyki disco hałaśliwej jak ruch na Ocean Avenue. Byli bliżej Venice niż Pacific Palisades.

- Psychiatrizy, jeśli chodzi o Modreda, mieli rację co do jednej rzeczy

- zaczął Bonesteel. - On chciał być złapany. - Wsunął ręce w kieszenie.

- Zostawiał nam tropy, ale albo one były zbyt wypaczone, albo my byliśmy zbyt głupi. Tak czy owak, nie mogliśmy go rozgryźć. Więc zadzwonił do nas i umówił to spotkanie. Wiedzieliśmy, że to on, ponieważ podał nam przez telefon pewne rzeczy... szczegóły, których nikomu nie zdradzaliśmy, a które mógł znać wyłącznie morderca. - Zaśmiał się posępnie. - I nie był skromny. Nie na tym etapie. Powiedział nam wszystko.

Porucznik westchnął, odwrócił się, zapatrzył na ocean.

- Chryste - rzekł z goryczą. - Wiedzieliśmy, że jest niebezpieczny, a jednak pozwoliłem mu załatwić moich dwóch ludzi.

- Bobby, skąd mogłeś wiedzieć?

- Skąd mogłem wiedzieć? Skąd? - powtórzył z ironią. - Mój kapitan powiedział mi to samo. Jest w takich sprawach cholernie przyzwoity. „Słuchaj, Bonesteel”, rzekł. „Jest druga strona medalu. Ten maniak raz na zawsze został unieszkodliwiony. Wyciągniemy z tego korzyść. Już kontaktowałem się z prasą. Twoi ludzie polegli na posterunku. Są bohaterami.”

Detektyw przeciągnął ręką przez włosy.

- Bohaterami - parsknął. - Zginęli z powodu głupoty.

- Nie dlatego, że byli odważni?

- Byli na to zbyt młodzi. Po prostu nie znali niczego lepszego.

- Jednak w końcu spojrzał na nią i pokiwał głową. - Tak - mruknął. - Byli odważni.

- I byli twoimi ludźmi. - Popatrzyła na niego. - Dlatego się obwiniasz.

- Byli pod moimi rozkazami!

- Czy zrobiłeś wszystko, by zapewnić im ochronę?

- Powiniennem wiedzieć, że ten czubek będzie miał ukrytą broń. Trzymał ręce w górze. Kazałem Forragerowi i Keyesowi iść i pojmać go. Szczyrzył zęby, wariat. W jednej chwili ręce miał puste, w następnej trzymał mały pistolet dużego kalibru. Musiał być ukryty na sprężynie w rękawie. - Jego szare jak łupek oczy zachmurzyły się na to wspomnienie. - Forrager i Keyes byli bardzo blisko. Nie sądzę, by wiedzieli, co się stało. Usłyszałem pierwszy strzał i kazałem snajperom otworzyć ogień. Kule odrzuciły go na sześć stóp do tyłu, lecz do tego czasu moi ludzie już byli załatwieni. - Przeciągnął ręką po twarzy i Daina pomyślała, że ociera zbląkaną łzę.

- Chroniłeś ich - powiedziała. - Nie można było przewidzieć, co się stanie, nie mogłeś temu zapobiec.

- Znów mówisz jak mój kapitan.
- Może dlatego, że oboje jesteśmy trochę bardziej obiektywni niż ty.
- I nie musicie odwiedzać wdów.
- Nie, nie muszę - przyznała. - Ale to część roboty, prawda? Nie ma jednego bez drugiego.

- Dlatego odchodzę po tej ostatniej sprawie. Nie potrafię tego znieść. Jestem tchórzem.

- To, że czegoś nie można wytrzymać, nie oznacza wcale tchórzostwa. Wiatr załopotał połą jego marynarki, odsłonił podszewkę.

- Wiesz, że tak nie jest. Wzruszyła ramionami.
- Teraz po prostu litujesz się nad sobą.
- Tak uważam.
- Och, Bobby. Jestem zmęczona tymi Prawdziwymi Wyznaniami. Czy możemy darować sobie...

- Daino...
- Nie - przerwała łagodnie, lecz zdecydowanie. - Mieliśmy naszą szansę. Teraz jest po wszystkim i widzę, że tak jest lepiej.

Odwrócił się gwałtownie i Daina patrzyła, jak oddala się plażą. Dziewczyny zerkały na niego ukradkowo, na swój sposób lubieżnie. Był niezwykle pociągającym mężczyzną. Jednak nie dla mnie, pomyślała. Może kiedyś było inaczej, lecz teraz już nie.

Ruszyła po zapiaszczonych betonowych schodach na parking. Podeszła do ciemnozielonego forda Bonesteela, wsiadła i czekała.

Pojawił się po pewnym czasie, oparł o wóz, wsunął głowę przez otwarte okno.

- Sprawdziłem pewne rzeczy, które mi powiedziałaś. O Maggie.
- Myślałam, że mi nie uwierzyłeś.
- Powiedzmy, że byłem sceptyczny.
- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?
- Poprosiłem o pozwolenie na ekshumację ciała i odmówiono mi. - Otworzył

drzwi i wsunął się za kierownicę. Wewnątrz powietrze było duszne, zamknął więc okna i włączył klimatyzację. Kiedy się ochłodziło, rzekł: - Sprawdziłem również naszego przyjaciela Nigela Asha. - Odwrócił się, by na nią popatrzeć. Jego głos znów brzmiał neutralnie. - Czy wiedziałaś, że jest pół-Irlandczykiem?

- Co? - Aktorka próbowała ukryć zdziwienie.
- Irlandzkim katolikiem. Jego matka urodziła się w Andytown, ognisku

zapalnym aktywności IRA w Belfaście.

- Wiem. Jak to się stało, że mimo wszystko wyszła za Anglika?
- Za Walijszyka - sprostował Bonesteel. - Ale, według sąsiadów, nie żyli

dobrze.

- Widzę, że nie traciłeś czasu.
- Jest coś więcej - dodał. - Nigel ma siostrę.
- Nigdy nie słyszałam, by o niej wspominał.
- Z tego, co wiem, nigdy o niej nie mówi.
- Chodzi ci o to, że też nie żyją zbyt dobrze.
- Tego nie powiedziałem. Może dlatego, że ona mieszka w Belfaście.
- Mówisz, że jest członkiem IRA?
- Skłamałbym, gdybym tak twierdził. Nasi brytyjscy kuzyni, gdy chcą,

potrafią być bardzo małowinni. Nie usłyszałem ani tak, ani nie, lecz podali mi jej adres. Mieszka w Falls. - Stamtąd pochodził Sean Toomey. - A co ty masz dla mnie?

Daina wyjęła celofanowy woreczek.

- Przede wszystkim - zaczęła - chciałabym, żeby twoje laboratorium

przeprowadziło analizę zawartości.

Ostrożnie wziął opakowanie, podniósł je do światła.

- Śnieg?
- Tak. I może to wszystko.

Zabezpieczył torebkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Skąd pochodzi?

Opowiedziała mu, co zaszło w Nowym Jorku, i podzieliła się z nim swoimi przypuszczeniami odnośnie do zawartości narkotyku. Porucznik potrząsnął głową.

• Istnieje bardzo niska szansa. Wiesz, że ćpuni co godzinę przejeżdżają się na tym ulicznym gównie. Towar zawsze jest łamany. Pytanie, czym. Jeżeli jakąś obojętną substancją, wtedy zmniejsza moc i to wszystko. Ale jeżeli czymś innym, człowiek kończy w drgawkach na posadzce łazienki. Miał szczęście, że tam byłaś.

• Zrobisz to? - A kiedy się nie odezwał, poprosiła: - Powiedz mi jedno. Czy uliczny towar bywa łamany strychniną?

• Ja o czymś takim nie słyszałem. Chyba że robi się to celowo. - Popatrzył na nią, dotknął miejsca nad kieszenią, do której schował opakowanie. - Uważaj sprawę za załatwioną. - Wyjął kluczyki, zapuścił silnik.

• Dlaczego nie mielibyśmy przejechać się na Van Nuys Boulevard? - zapytała niedbale.

• Na Van Nuys? - powtórzył Bonesteel. - Do diabła, po co chcesz tam jechać?

Pokazała mu kartkę od Meyera.

- Kim jest Charlie Wu?
- Kimś, kto może wiedzieć, kto zabił Maggie.

Detektyw spojrzał na nią podejrzliwie, jednak skrzył na Santa Monica Freeway.

- Skąd to masz?
- Czy ty niczego nie możesz przyjąć na wiarę? - zapytała z rozdrażnieniem.
- Gdybym tak robił, byłby ze mnie cholernie marny glina. - Lecz uśmiechnął się. - Okay, okay, wszyscy mamy swoje sekrety. Zachowaj ten dla siebie.

W West Los Angeles skrzył w lewo, wjechał na San Diego Freeway, kierując się na północ w kierunku doliny.

- Wykonałaś niezłą robotę, by utrzymać Chrisa przy życiu - powiedział, a ona usłyszała nutę szczerzego podziwu w jego głosie. - Jak czuje się teraz?

- Och, świetnie. Ciągłe siedzi w studiu. Skończenie pierwszego solowego albumu zabrało mu więcej czasu, niż myślał. Kilka tygodni temu wybuchł pożar i stracił w nim jedną taśmę-matkę. Musiał powtarzać trzy utwory od początku. Teraz miksuje ostatnie.

- Ty masz wolne do Oscara, co? Staniesz się wtedy jeszcze bardziej niedostępna.

Na drodze panował okropny tłok i Bonesteel zjechał na prawy pas, skręcił przy Mulholland i podążał na zachód, póki nie dotarł do Beverly Glen Boulevard w Sherman Oaks. Dno doliny wznosiło się i Daina wiedziała, że gdy tylko znajdą się wyżej, zobaczy dolinę zakorkowaną brudnym brązowym smogiem, który zalegał w niej już od tygodni. Meteorolodzy nazywali to inwersją termiczną, przepowiadali, że jeżeli ten stan utrzyma się jeszcze dłużej, przemysłowy szlam zacznie przesączać się przez Góry Santa Monica i zaleje Beverly Hills i Hollywood. Już widziała różowy blask doliny odbity wysoko nad głową, jakby zbliżali się do miasta w niebie.

- Co cię to obchodzi? - zapytała. - Dla ciebie już jestem zbyt niedostępna. Roześmiał się z goryczą. - Po prostu nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

I zostaliśmy przy tym.

Ale Daina wiedziała, że tak się nie stanie. Oboje będą sondować się wzajemnie, póki jedno się nie podda. To leżało w ich naturze. Zdała sobie sprawę, że w tej chwili panuje między nimi bardzo kruche zawieszenie broni.

- I ty myślisz o zdobyciu powodzenia na polu literackim? - zapytała. - W sercu jesteś gliną. I zawsze nim będziesz.

- Za każdym razem, gdy człowiek ośmiela się zaryzykować - rzekł powoli - ktoś włązi mu z butami na twarz.

W gasnącym świetle zobaczyła, zawzięty wyraz jego oczu, zimnych i nieco smutnych. Zjeżdżając z gór nie napotkali dębów*, tylko mnóstwo topoli i zarośli. Przed nimi, żarząc się-jak neonowe serce jakiegoś potwornie wielkiego robota przyszłości, leżało Van Nuys. Po chwili skręcili na Ventura Boulevard, potem przemknęli pod przejazdem, na którym dudniły i warczały samochody jadące Ventura Freeway. Pod nimi biegł przepust Los Angeles River. Gdy wyjechali po drugiej

stronie, byli na Van Nuys Boulevard.

Tak jak jakieś dwadzieścia lat wcześniej Sunset Strip był legendą nocy, tak teraz ten bulwar stał się ulicą sennych marzeń. Tutaj paradowali młodzi surferowcy nawet z Laguna Beach; wałęsali się nonszalancko mistrzowie prędkości; dzieciaki ze szkół średnich Hollywood i Van Nuys oddawali się płytkim i ponurym rozmyśleniom o naturze zła.

Złotowłose dziewczęta w lśniących, obcisłych spodenkach i krótkich wielobarwnych koszulkach, strojne jak bożonarodzeniowe choinki, z makijażami bardziej ostrymi niż u trzech kobiet z Rodeo Drive łącznie, jeździły na wrotkach między nieskończonymi karawanami furgonetek chevy, camaro i trans amów. Bursztynowe halogeny oświetlały ostro bulwar i budynki, pod którymi młodzi chłopcy snuli się jak wybrylantynowane leniwe jaszczurki.

Powietrze było gęste od świateł i muzyki Rolling Stonesów dudniącej w tysiącach odbiorników; poszarpane linie melodyczne niezwykle pasowały do tego czasu, tego miejsca. Rock and roli stanowił uderzające do głowy ostre wyzwanie i nadawał posmak nocnemu powietrzu. Gdy Daina je wdychała, zdawało się łaskotać ją w nos jak ozon.

Był to zimny, brutalny świat, lśniący i nieskazitelny, pełen straszliwego niepokoju: jak w powołanym do życia koszmarze czy filmie grozy, migotanie bursztynowych świateł budziło chęć ucieczki i strach - przyprawiający o mdłości strach nie do pokonania, ponieważ nie można było stanąć z nim twarzą w twarz. Daina знаła taki strach, tak samo jak nie obcy jej był ten bezmyślny, drażniący, hedonistyczny plac zabaw. Przemykające cienie fantazji nie były tak bardzo dalekie od czasu jej własnej ucieczki. I znów pomyślała: Nie ma się czego bać. Nic się nie zmienia.

Włączyli się do niespiesznej karawany ciągnącej na północ w kierunku Panorama City, która miała zawrócić na długo przed nim i skierować się z powrotem na południe. Chmury spalin wznosiły się nad tarmakadamową nawierzchnią jak gęste chmury komarów, jak enigmatyczne sygnały dymne prymitywnego plemienia.

Tuż przed nimi zatrzymała się furgonetka w kolorze śliwki. Na boku widniała tęczowa hawajska plaża. Po jednej stronie kołysały się palmy, ale oczywiście głównym elementem był wszechobecny symbol południowej Kalifornii: opalony na brąz surferowiec z deską, przygotowujący się do skoku na wysoką falę.

Z ciemności wejścia wysunęła się dziewczyna, gibka jak leśna nimfa, z długimi włosami zebranymi w gruby kucyk. Była ubrana w oślepiająco białe szorty, czerwoną jak ogień koszulkę bez ramiączek. Zdawało się, że wcale nie ma piersi, że prawie całkowicie składa się ze wspaniałych nóg o barwie miedzi. Drzwi furgonetki otworzyły się i dziewczyna wsiadła. Wóz ruszył, zaczął nabierać prędkości, by dopędzić poprzedzający go pojazd. Daina zdążyła przeczytać nalepkę na tylnym zderzaku: „Nie śmieć się - jest tu twoja córka”.

Może pół mili dalej porucznik wjechał na miejsce do parkowania przed ozdobnym frontonem wielkiego, zatłoczonego baru, który kojarzył się z lokalem dla schizofreników. Architektura nie mogła się zdecydować, czy jest niby-hiszpańska, czy niby-marokańska. Dwa półksiężycowe łuki wieńczyły białe skręcane kolumny; wyglądały one jak z piaskowca, lecz najprawdopodobniej nie były niczym więcej, jak tylko betonem mocno oblepionym piaskiem. Nad łukami wiła się bougainvillea, fosforyzująca w świetle, a jeszcze wyżej migotał płomiennie cynobrowy neon z nazwą przybytku: Cherries.

W gęstym morzu dźwięku i ruchu przejechał powoli błękitny pikap. Z tyłu siedzieli po turecku dwaj chłopcy. Daina pomyślała, że palą mocny haszysz bhang.

- Ale tu trawy - powiedziała.

Bonesteel zerknął na tył oddalającego się wozu, chrząknął.

- Jasne. Na kilogramy. Ci dwaj jednak jej nie palą. To quaalude.

- Nie wiedziałam, że można to palić. Wzruszył ramionami.

- Tutaj codziennie pojawia się coś nowego. Mają dużą inwencję. – Zdjął ręce z kierownicy, spojrzał na wejście do Cherries.

Nieco dalej przy zatłoczonym bulwarze stał Bob's Big Boy, a zaraz za nim aktorka zobaczyła czerwono-biało-niebieski znak stacji Chevron. Klaksony trąbiły w takt muzyki, która zdawała się wylewać z nocy.

- Wiesz coś o tym lokalu? - zapytał detektyw, wskazując kciukiem na łukowe wejście baru.

- Jasne, słyszałam o nim. Kto nie słyszał? Lecz nigdy tu nie byłam.

- I to wszystko, co wiesz? - Jego żywe oczy prześliznęły się po gromadach małałatów, wchodzących i wychodzących z baru. Jego twarz była sina w potoku kolorowych neonów.

- Aha.

Pomyślała, że coś doda, ale milczał. Wytrząsnął z paczki camela bez filtra, zapalił. Wydmuchnął dym za okno i pomyślała: Nawet gliniarze starają się dorastać do tego miejsca. Natychmiast uświadomiła sobie, że to nieuczciwe i podłe.

W wejściu do Cherries przepychali się chłopcy o prostych gładkich włosach, ubrani w bluzy bez rękawów i wybielone dzinsy; ich odsłonięte bicepsy połyskiwały w bursztynowym świetle jak natarte olejem. Towarzyszyły im opalone na ciemny brąz dziewczyny, z chmurami piegów na doskonałych nosach, odymające ciemnoczerwone usta; których powieki opalizowały jak wężowa skóra. Ich kwieciste suknie wydawały się niestosowne i anachroniczne w porównaniu z gładkimi szafirowymi i rubinowymi strojami Spandex ich rówieśniczek, dużo bardziej przypominającymi bieliznę znalezioną na podłodze burdelu niż ubrania na ulicę. Te dziewczyny wyglądały delikatnie i bezbronne, jak dzieci, które nieodwracalnie porzuciły bezpieczne życie u boku rodziców.

Wśród tego potoku, w półcieniu, stali nieruchomo niczym staw czterej chłopcy. Muskały ich końce długich palmowych liści, a co parę sekund oświetlały bursztynowe snopy, przelewające się jak niespieszne fale. Jeden z nich był najwyraźniej przywódcą. Jego blond włosy były tak jasne, że wydawały się powleczone platyną. Miał głęboko osadzone, szeroko rozstawione jasne oczy, cienki nos i raczej pełne usta. Rozmawiał z dziewczyną stojącą na deskorolce. Jego kumple patrzyli na nich ponuro. Jeden z nich obgryzał paznokcie, drugi pił piwo z butelki w torbie z szarego papieru. Platynowowłosy chłopak zdecydowanie kiwnął głową i podał dziewczynie zwitek banknotów. Klepnął ją w tyłek. Dziewczyna przecięła chodnik i skoczyła nad krawężnikiem.

Nabrała prędkości na jezdni, mknąc między samochodami na drugą stronę bulwaru. Tam skręciła w prawo, ruszyła wzdłuż chodnika. W pewnej chwili jeszcze raz przeskoczyła nad krawężnikiem, nie gubiąc płynnego rytmu.

Daina obserwowała ją, wdychając smród skumulowanych spalin, zatrzymywanych w powietrzu przez smog, inwersję ciepłą, perwersyjnego ducha południowej Kalifornii. Przez chwilę miała zawrót głowy. Potem dotarły do niej inne silne zapachy niesione przez podmuch wytworzony przez karawanę powoli przesuwających się samochodów: chili, tacos, płonący olej, trawa.

W halogenowej ciemności zobaczyła, że dziewczyna kieruje się ku cieniom

poruszającym się po tej samej stronie ulicy. Dojrzała meksykańskich podrostków, wychodzących na mgnienie oka w blask bulwaru, outsiderów koki i auaalude, ale nadal królów marihuany i piwa.

Dziewczyna dokonała zakupu, odwróciła się i ruszyła chodnikiem, przygotowując się do skoku w szesciopasmowy potok samochodów, gdy Dainę rozproszył gardłowy ryk potężnego motocykla.

Maszyna, która wyrwała się z karawany pojazdów, skręciła pod Cherries. Daina, choć jeszcze nie rozpoznała szkarłatnego i przezroczystego korpusu, wiedziała, że to Chris. Był w podniszczonej skórzanej kurtce z obciętymi rękawami i prostych denimach. Zsiadł bardzo szybko, a potem, nie zdejmując opalizującego kasku, skierował się do wejścia.

Bonesteel powstrzymał ją, gdy już miała palce na klamce.

- Nie rób tego - rzucił cicho. - Zostań.
- Czemu?

Nie odpowiedział, patrzył na podwójne wejście do baru.

Chwilę później Chris wyszedł, a za nim dziewczyna. Nie różniła się od setek innych, długie, rozpuszczone jasne włosy spływały na jej opalone ramiona. Jednak należałoby powiedzieć, że w przeciwieństwie do innych miała piersi, chociaż była podobnie ubrana: miała luźną żółtą koszulkę i obcisłe szmaragdowe spodenki. Jechała z wdziękiem na błyszczących, robionych na zamówienie wrotkach. Nie rozglądała się.

Czterej chłopcy przy wejściu spojrzeli na nią z taką samą obojętnością, z jaką patrzyli na wszystko inne. Wszyscy mieli długie włosy, co stało się modą na Wschodnim Wybrzeżu. Spadały im na ramiona, dziwnie kontrastując z wystudiowanymi, doskonałymi pozami macho.

Dziewczyna usiadła na siodelku za Kerrem. Ten poruszył prawą nogą i silnik zaskoczył z gardłowym rykiem. Z rury wydechowej buchnął błękitny obłoczek dymu. Chris przekręcił kierownicę i wystartował z piskiem palonej gumy. Klucząc między pojazdami skręcił na południe, z powrotem do Hollywood.

- Chryste! - szepnęła Daina. - Wiedziałeś o tym od początku.
- Pranie brudów, pamiętasz?
- Dzisiaj robisz same niespodzianki - odrzekła ostro, myśląc o bladej twarzy

Modreda.

Dziewczyna na deskorolce wróciła ze swym ładunkiem, wrzuciła przezroczystą torebkę z trawą w złożone ręce chłopaka o platynowych włosach. On pochylił się, pocałował ją mocno w usta. Jedną rękę przesunął w dół jej pleców, objął dłonią świetnie ukształtowany pośladek. Jej biodra wygięły się lubieżnie w jego stronę. Dał jej klapsa i odsunął się - jakby nie mógł zdecydować się ona czy narkotyki - tymczasem dziewczyna wjechała do Cherries. Gdy Daina zerknęła drugi raz, chłopców już nie było.

- Trzy do jednego, że Charlie Wu czymś handluje - powiedział detektyw, otwierając drzwi.

Przeszli przez zatłoczony chodnik, który zdawał się skwierczeć w blasku padających z bulwaru światła.

Wnętrze Cherries było mroczne i zadymione, pełne palm oraz dziewcząt i chłopców w kucykach. Po prawej stronie był długi bar, ciemny i lśniący, a za nim seria luster i szklanych półek z butelkami. Boki baru były lakierowane na czarno, podobnie jak stoliki pod przeciwległą ścianą. Mniej więcej w połowie długości pomieszczenia zaczynało się drugie, dwa razy szersze. Za przeszkloną ścianą i podwójnymi szklanymi drzwiami Daina widziała tańczących ludzi. Światło było przyćmione, hałas stosunkowo niski. Odwróciła się do Bonesteela.

- Do diabła, jak my tu mamy znaleźć Charliego Wu?

Z głośników wiszących pod wyłożonym kafelkami sufitem dobiegał czyjś śpiew: „Twoje oczy nigdy nie mrugają/Zawsze byłeś brakującym ogniwem...”

- Porozmawiajmy z barmanem - zaproponował, prowadząc ją do obitego skórą stołka.

„Malujesz usta, by dać mi znać/ Że naprawdę tylko ty jesteś godna oglądania...”

- Co ma być? - Barman był krzepkim mężczyzną z cynamonowymi wąsami, które opadały po obu stronach ust. Miał długie włosy i inteligentne oczy.

- Dwa piwa - odparł porucznik. - Kirin, o ile macie. „Wykorzystaj swą chwilę/Bo nie jest za późno/Wykorzystaj swój czas/Bo nie jest za późno...”

Później zaczęła się piosenka Heartbeatsów. Głos Chrisa był niski i złowróżbny. Daina zapytała:

- Czy zna pan człowieka nazwiskiem Charlie Wu?

Barman podał ich rachunek, wskazał kciukiem na stół stojący w cieniu w

poblizu przeszklonej ściany dyskoteki,

- Przychodzi tu co wieczór i czeka na panią, panno Whitney. – Ktoś zawołał go z drugiej strony baru i odszedł, zanim zdążyła zapytać o coś więcej. Tylko Meyer, pomyślała, mógł zaaranżować takie spotkanie. To ją upokorzyło. Nadal miała przed sobą długą drogę. Poprowadziła Bonesteela przez zatłoczone pomieszczenie.

Charlie Wu był jednym z tych Chińczyków, których rysy są tak deliktane, iż mogą uchodzić za kobiece. W dodatku nosił bardzo długie włosy i w sumie wyglądał jak hermafrodyta.

Jego głos jednak nie był ani trochę kobiecy. Miał łagodne, ale głębokie i bogate brzmienie. Wu uśmiechnął się na widok aktorki, wstał. Uśmiech szybko przemienił się w grymas, gdy przedstawiła detektywa. - Mówiono mi, że będę rozmawiał z jedną osobą - rzekł. - Z panią. Nie mam powodów, by skarżyć się na gliny, lecz z drugiej strony nie muszę z nimi rozmawiać.

- Nie powiedziałam, że on jest gliną.
- Ha! - parsknął Charlie Wu. - Nie musiała pani. Wszyscy gliniarze chodzą podobnie. - Spojrzał twardo na Bonesteela. - Jednak ten z pewnością ubiera się inaczej.
- Jego obecność nie ma nic wspólnego z tobą - oświadczyła Daina. - Jeżeli o to się martwisz.
- Nie muszę się niczego wstydzić, zwłaszcza jeśli chodzi o gliny. Po prostu mówię pani, jaki był układ.

- Zmieniam go. Bonesteel zostaje.

- Nie ma mowy.

Daina zwróciła się do porucznika.

- Zaczekaj tu. Tylko zadzwonię.

Po raz pierwszy w oczach Chińczyka pojawił się błysk emocji.

- Niech pani nie dzwoni - poprosił z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

Daina odwróciła się. - Ręczy pani za tego faceta?

Aktorka przytaknęła.

- I nic nie znajdzie się w aktach?
- Jeśli o mnie chodzi, jesteś czysty - zapewnił Bonesteel.
- Chcę to usłyszeć również od pani. Ona zna źródło, którym jestem

zainteresowany.

- Masz moje słowo, Charlie.
- Okay. - Skinął głową. - Usiądźmy. - Zamówił kolejkę piwa dla wszystkich.

Popatrzył na przechodzącą obok młodą, nie więcej niż trzynastoletnią dziewczynę; jej długie, spalone słońcem włosy ozdobione były paciorkami i piórkami. - Są trochę dla mnie za młode - powiedział jakby w formie wyjaśnienia. - Ale kierownictwo mnie zna i wszyscy dają mi spokój. - Wzruszył ramionami. - Mam nie normowany czas pracy.

- A właściwie co robisz? - zapytała Daina.
- Jestem mechanikiem.
- Mechanikiem? - powtórzył detektyw. - Żartujesz, stary. Wiemy, że

rozprowadzasz prochy w...

- Teraz pani rozumie, dlaczego nie chciałem, żeby został? - zapytał Charlie Wu ze szczerym smutkiem na twarzy. - Pani nigdy by się tak do mnie nie odezwała, panno Whitney. Poręczono za panią. Lecz on... - Wzruszył ramionami.

- On ma rację, Bobby - rzekła Daina tak cicho, jak było to tylko możliwe na tle wzmocnionego głosu Chrisa. - Daj mu spokój. - Po chwili zwróciła się do obydwu mężczyzn: - Okay, Charlie. Więc naprawiasz samochody.

Potrząsnął głową.

- Nie, samoloty.

- Jesteś mechanikiem lotniczym? Przytaknął.
- A co to ma do rzeczy?
- Spokojnie, Bobby - syknęła Daina. - Zajmujesz się małymi samolotami?

Dwusilnikowymi...

- Cóż, jestem wszechstronnym mechanikiem - odparł Chińczyk - lecz specjalizuję się w siedemset siódmkach, samolotach szerokokadłubowych, prywatnych maszynach - tego rodzaju.

- Jednak nie pracujesz dla żadnej linii.
- Nie, jestem wolnym strzelcem. W ten sposób więcej zarabiam.
- Założę się - mruknął Bonesteel.
- Pani słucha - zaczął Charlie Wu - zwykle jestem bardzo cierpliwym człowiekiem, ale czy mogłaby pani założyć mu kaganiec czy coś podobnego?

Zaczyna mnie wnerwiać.

Aktorka powstrzymała detektywa ruchem dłoni. - Wyjaśnijmy coś sobie - zwróciła się do obu. - To moje przedstawienie i byłabym wdzięczna, gdybyście obaj trochę spasowali. - Zniżyła głos. - Cholera, przestańcie sobie docinać. - Przerwali jej tok myśli. Co takiego powiedział Charlie Wu? - Co robiłeś przez ostatnie sześć miesięcy?

- Ostatnio jestem trochę tępawy. - Uśmiechnął się leniwie. - Lecz nawet gdyby było inaczej, wiedziałbym, o co pani chodzi. Przechodziłem przez to wcześniej, pani rozumie. - Dopił piwo, zamówił następne. - Dostałem wezwanie. Ktoś chciał, żebym pojechał do LAX, do jednego z prywatnych hangarów, i rzucił okiem na Longhorn Series 50. - Popatrzył na nią. - Wie pani, co to jest?

Daina skinęła głową.

• Prywatny szerokokadłubowiec. Około dziesięciu miejsc. - I, w odpowiedzi na jego pełne uznania spojrzenie, dodała: *. Leciłam takim. Możliwe, że tym samym.

• Miał na burcie logo Heartbeatsów?

• Tak.

• Zatem to ten sam. - Chińczyk zamieszał piwo cienkim palcem wskazującym. - Przysłonili oznaczenia tak, żeby wyglądał jak każdy inny z tej serii.

• Czego od ciebie chcieli?

• Kiedy samolot - jakkolwiek - ma lecieć w długą trasę, bystry facet życzy sobie generalnego przeglądu.

• A co ze stałym mechanikiem tego samolotu? - zapytała Daina.

• Był tylko jeszcze jeden facet. Nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Niech pani sama wyciągnie wnioski. - Napił się piwa.

• Czy widziałeś tego, który do ciebie zadzwonił? - zapytał Bonesteel.

• Nie. Mam klucz do skrytki pocztowej. W ten sposób odbieram zapłatę. Gość zostawi klucz w skrytce i to wszystko. - Podniósł palec. - Z wyjątkiem jednej rzeczy. Nie zamierzali przewozić ludzi, przynajmniej nie w czasie tego lotu. Zerknąłem do środka. Wszystkie siedzenia były usunięte.

• Co tam było? - zapytała Daina.

• Dużo niczego. Tylko wolne miejsce. Ale było go na tony.

- Nie był to więc przerzut narkotyków - mruknął do siebie porucznik.
- Po co mieliby zawracać sobie głowę wyjmowaniem foteli? - zapytał Charlie Wu. - Nie, to musiało być coś wielkiego i ciężkiego. - Dopił piwo, otarł usta. - No cóż, to wszystko.

- Chwileczkę - powstrzymała go aktorka. - Kiedy to było?
- Och, jakieś pół roku temu. W datach też jestem dobry. - Uśmiechnął się. - Miło było panią poznać, panno Whitney. - Wstał, odwrócił się. - Och, i pana, Bonesteel, prawda? Nigdy się nie spotkaliśmy.

Detektyw wyjechał z Van Nuys i z doliny w rekordowym czasie. Skręcił na Mulholland i ruszyli w kierunku górnego końca Taopanga State Park. Przez pewien czas jechali w milczeniu. Bonesteel wyjął camele, zapalił jedną ręką.

Zaciągnął się, wydmuchnął dym przez otwarte okno. Rozżarzony koniec papierosa wydawał się jedynym żywym światłem w nocy.

W parku skręcił na wąską drogę o kiepskiej nawierzchni, która szybko przemieniła się w ubitą ziemię. Zatrzymał LTD, wyłączył silnik. Ciche tykanie stopiło się z koncertem świerszczy i żab drzewnych. W gałęziach nad ich głowami coś zaszeleściło, potem usłyszeli cichnący łopot skrzydeł.

Porucznik skończył palić, starannie wygasił niedopałek w popielniczce. Wsiadł z samochodu. Daina nie pytała, po co ją tu przywiózł, wiedziała tylko, że jeszcze nie skończyli. Wsiadła drugimi drzwiami. W parku było chłodno, powietrze było wilgotne jak morze. Bonesteel podniósł głowę, gdy usłyszał cichy szelest liści i trawy pod jej butami.

- Chcę wiedzieć - zagadnął cicho - dlaczego zapytałaś Charliego Wu o ten konkretny okres.

- To dziwne - odrzekła, patrząc na niego. - Z początku pomyślałam, że data sama wpadła mi do głowy. Wiesz... sześć miesięcy to taka naturalna granica. - Jego twarz prawie cała była w cieniu i musiała wyobrażać sobie oddzielnie oczy, nos, usta, i dopasowywać je, jakby była chirurgiem plastycznym pracującym nad najważniejszą rekonstrukcją w swej karierze. - Dopiero potem uświadomiłam sobie, że zasugerowałam się czymś, co Silka powiedział mi - nie pamiętam kiedy - o Chrisie i Tie. Powiedział, że byli razem jakieś sześć miesięcy temu.

- Gdzie był Nigel?

Teraz nie widziała go wcale i zastanowiła się, czy zmienił pozycję, czy też nagle zrobiło się ciemniej. Odwróciła głowę tam, skąd dobiegał jego głos; nic więcej nie mogła zrobić. - Silka mówił, że wyjechał.

- Wyjechał. - W jego ustach to samo słowo nabrało ukrytego znaczenia.

Zapadło milczenie i Daina poczuła niepokój.

- Bobby - szepnęła - o czym myślisz?
- Myślę - zaczął powoli - że myliłem się od początku. Nigel nie brał udziału

w transporcie narkotyków. Nie, chodzi o coś więcej.

- O czym mówisz?
- Zastanów się przez chwilę - powiedział, a ona usłyszała, że się przesuwa. -

Masz wszystkie elementy. Nigel, w połowie irlandzki katolik. Jego matka prawie na pewno była członkiem IRA. Ojciec nienawidzi katolików, dręczy swoją żonę i w końcu zostawia ją. Siostra w Belfaście, schodzi do podziemia.

Teraz przeskocz na chwilę do Stanów. Jesteś członkiem znanej na świecie grupy rockowej, która posiada własny odrzutowiec. Jak sądzisz, jak często samolot jest wykorzystywany oficjalnie? Przez trzy, może cztery miesiące w szczytowym sezonie, gdy kapela jest w trasie. A co robi przez resztę roku, co? Stoi bezczynnie w hangarze w LAX. I teraz: kto wie, czy nie pożyczasz go sobie dwa czy trzy razy w roku? Powiedzmy, na dwa dni? Nikt.

- Ale po co?

Oczy porucznika błysnęły jak ślepiec drapieżnika.

- Pomyśl, Daino. Jesteś półkwi irlandzkim katolikiem, twoja siostra jest członkiem IRA. Co będziesz przewozić odrzutowcem?

Daina nie wiedziała, lecz odkryła, że Heather wie.

- Broń?

Bonesteel uśmiechnął się, „strzelił” wycelowanym palcem.

- Broń. Zaczepnęła powietrza.
- A Maggie?
- Maggie odkryła to i dlatego zginęła. Albo... - stanął bardzo blisko niej

- jak teraz może się wydawać, była to egzekucja dokonana przez IRA w odwecie za akcje zaplanowane przez Seana Toomeya.

- Ale po co morderstwo zostało upozorowane na robotę Modreda?

- To oczywiste. Aby ochronić zabójcę. Jest bardzo dobrze ustawiony, od lat żyje w cieniu. Po co go narażać?

- Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie rozwiązanie. Roześmiał się chrapliwie.

- Nie musi. To coś, z czym w żaden sposób nie jesteś związana.

- Wiedziałaś, gdyby było inaczej, prawda? - zapytała złośliwie. Odsunął się lekko, jakby uciekał przed jej słowami.

- Niewiele stąd widać - zauważył. - Drzewa, wysoki grzbiet wzgórza przysłaniają wszystko z wyjątkiem tego niewyraźnego blasku wysoko na wschodzie. - Ustawił się plecami w tamtą stronę. - Tak jest lepiej.

Niespiesznie zapalił kolejnego papierosa, osłaniając płomyk przed nocnym wiatrem szeleszczącym w liściach.

Aktorka milczała, może zagubiona we własnych myślach, targana niejasnymi emocjami, niepewna teraz, gdzie kończy się Daina, a gdzie zaczyna Heather Duell.

- Zapomnij o Silce - powiedział detektyw w noc. - Jest interesujący i zagadkowy, ostatecznie jednak to tylko pionek; drobna rybka przypadkowo schwytana w zarzuconą przez nas sieć. Ja poluję na Nigela.

- Ale skąd możesz być tego taki pewien? - Obeszła samochód, stanęła obok niego. Tutaj, za garbem gór, powietrze było bardziej czyste; siarkowy smród palonej gumy, smród smogu, zalegał nisko w San Fernando Valley jak ukrywający się trędowaty. Odetchnęła głęboko. Skądś napływało morskie powietrze, wilgotne, ciężkie, pachnące fosforem, takie jak na plaży w Malibu.

Bonesteel stał sztywno, jego sylwetka przypominała czarny pał wbity głęboko w ziemię. Jedyne żywe, czerwone oko papierosa zakreślało krótkie łuki w ciemności, gdy podnosił rękę, by się zaciągnąć, a potem opuszczał ją do boku. Słyszała rytmiczny syk wydmuchiwanego dymu, przypominający szmer pełznących leniwie po piasku fal.

- Kiedyś - odezwał się tak nieoczekiwanie, że drgnęła - znałem pewną dziewczynę. - Jego śmiech zabrzmiał jak szuranie miotły po cementowym chodniku i był równie nieprzyjemny. - To było dawno temu.

Daina przyglądała mu się uważnie. Nie patrzył ani na nią, ani na drzewa, ani nawet na niskie, kruche niebo. Jego oczy stały się puste.

- Marcia była marzycielką. Pełną ideałów i nadziei. Była romantyczką.

- Rzucił niedopałek camela w trawę, zgniótł go czubkiem buta. - Była piękna, piękniejsza nawet od mojej matki. Długie kasztanowe włosy, oczy koloru irlandzkiej mgły... cóż, przynajmniej tak je lubiła określać. I miała rację.

Westchnął głęboko. - Spotkałem ją tuż po tym, jak zostałem gliną. Byłem wówczas bardzo oddany swej pracy. Bardzo pewny tego, czego chciałem i, co gorsza, wierzyłem, że jest to dla mnie najlepsze. - Wzruszył ramionami. - Wtedy wydawało się to dużo bardziej skomplikowane. Marcia była trochę zatrwożona tym, jaki byłem, tym, w co według niej wierzyłem. Jednak nie powstrzymywało jej to od kochania mnie, a jedynie czyniło miłość trudniejszą i bardziej złożoną.

Zakochaliśmy się, mieszkaliśmy razem przez pewien czas... może przez półtora roku. Za długo i za krótko zarazem. Kochaliśmy się do szaleństwa. W końcu zostawiła mnie. Tylko w ten sposób oboje mogliśmy przeżyć, „Odchodzę od ciebie, Bobby”, powiedziała tamtej nocy. „Tak daleko, jak to tylko możliwe.” Przerwała na chwilę. „Będę do ciebie pisała”, dodała, „ale tylko wtedy, gdy obiecasz, że nie przyjedziesz po mnie”. Więc obiecałem.

Miesiąc później dostałem od niej kartkę. Z Florencji. Sześć tygodni później z Grenady, a potem, w środku lata, z Ibizy. „Poznałam kogoś szczególnego”, pisała. „Wysyłam ci tę kartkę nie dlatego, żeby cię zranić, lecz by ci wyznać, że znalezienie tego człowieka tylko uświadomiło mi, jak bardzo cię kocham. Zawsze będę cię kochała, Bobby. I nigdy o tobie nie zapomnę. Twoja M.”

Porucznik skrzyżował ręce na piersiach. Daina podniosła dłoń, dotknęła jego ramienia, jednak chyba nawet tego nie zauważył.

- Przez ten czas nawiązałem nowe znajomości, ona odeszła w przeszłość. Ale, wiesz, naprawdę dziwne było to, że w pewien sposób nadal była ze mną. Gdy napisała do mnie z Ibizy, zrozumiałem, że zawsze będzie częścią mnie. Pewne dziewczyny przychodzą i odchodzą. Pojawiają się, a potem znikają... Nie Marcia. I nigdy nie żałowałem, że ją poznałem, nawet po tym całym bólu... rozstania. W dziwny, bezpośredni sposób byliśmy dla siebie dobrzy w czasie tych dzikich, burzliwych dni i nocy. Budowaliśmy wzajemne zaufanie.

Aktorka oderwała dłoń od jego ramienia, przesunęła ją w dół jego ręki, przybliżyła się do niego.

- Zatem ta historia mimo wszystko ma szczęśliwe zakończenie?

- Nie całkiem. - Ruszył z miejsca i ona podążyła za nim. Było na tyle późno, że z ziemi podnosiła się lekka mgła, spowijając wysoką trawę, oplatając niskie zarośla, przysłaniając dalsze pnie drzew. Zdawało się, że są całkowicie odcięci od reszty świata, jakby spacerowali przez fantastyczną krainę, w której czas stoi w miejscu.

- Na pewien czas straciłem jej ślad, a raczej nie miałem od niej wiadomości. Przeprowadziłem się, co w połączeniu z nieodpowiednim znaczkiem na kopercie sprawiło, że list przyszedł sześć tygodni po wysłaniu. Była w Londynie; miała dziecko. I nikogo innego. Była sama, bez przyjaciół... nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc. Wziąłem urlop okolicznościowy i poleciałem. Myślałem, że przynajmniej będę mógł sprowadzić ją z powrotem.

Lecz spóźniłem się... minęło zbyt wiele czasu... - Stał na skraju łagodnej dolinki. W ciągu dnia z tego miejsca musiał roztaczać się wspaniały widok, jednak teraz otulona całunem ciemności i mgły dolinka wydawała się jedynie wrytą w ziemi dziurą, czarną i bezdenną. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. - Nie było jej, nie było dziecka. Odkręciła gaz, za ostatnie sześć pensów, i nie zapaliła go. Przeczytałem to wszystko czarno na białym w New Scotland Yardzie. Oni się tym zajęli, bo Marcia była Amerykanką. Nie miała rodziny, nikogo, i nie wiedzieli, z kim się skontaktować. Ja byłem jedyną osobą. Nie sprowadziłem jej z powrotem. Załatwiłem wszystko w Londynie, znalazłem miejsce, by... ich pogrzebać. - Przygarbił ramiona. - Lot powrotny był bardzo długi, a w Stanach czekała mnie jeszcze jedna przykra niespodzianka. Ostatni list od Marcii. Napisany w dzień po pierwszym. „Nie obwiniaj Nigela”, napisała. „Długo to trwało, ale w końcu go zrozumiałam. Zdawało się, że zawsze będę go nienawidziła, myśląc, że mnie zdradził. Wierzyłam, w niego, w to, kim był, w jego wielką życiową siłę. Lecz to nie on kłamał, tylko ja. On jest tylko dzieckiem, a tym samym nie ponosi odpowiedzialności. Nie posiada kodeksu moralnego, więc nie może być zły. To ja, ja, ja. To ze mną jest coś złego. Nie pasuję tutaj. I nie mam na myśli Londynu. Żegnaj, Bobby. Jesteś teraz wszystkim, o czym pamiętam.”

Noc ożyła wokół nich tak, jakby do tej chwili wstrzymywała oddech. Ciche cykanie świerszczy, żalostny krzyk nocnego ptactwa, szelest zwierząt w poszyciu, wszystko to nakładało się na bicie serca Dainy, by przypomnieć, że przecież życie

trwa nieustannie. Drżenie przebiegło jej po kręgosłupie i złapała mocniej rękę Bonesteela, objęła go w talii.

- Chodź - powiedziała szeptem, jakby się bała, że podniesiony głos zaniepokoi toczące się wokół nich życie i znów rzuci ich w rozpacz jego opowieści. - Chodźmy stąd.

Jednak on nie chciał się ruszyć.

- Nie chcesz wiedzieć... - jego głos ociekał jadem - kim był ten Nigel?
- Wiem - rzekła łagodnie. - Chodź już.

Tym razem udało się jej odwrócić go i powoli ruszyli do samochodu. Rosa zmoczyła nogawki ich spodni i stopy Dainy w sandałach. Kiedy stanęli przy otwartych drzwiach, odezwała się:

- Nie powinieneś zajmować się tą sprawą.

Popatrzył na nią po raz pierwszy od czasu, który zdawał się obejmować lata.

- Wiem. - Cienie krzyżowały się na jego twarzy, drgając zgodnie z szumem gałęzi pobliskich drzew.

• I naturalnie twój kapitan nie wie nic o tym... związku z przeszłości. Jego szare oczy pociemniały z emocji.

• Nie ma pojęcia.

- Tak myślałam. W przeciwnym wypadku odebrałby ci sprawę, zanim zdążyłbyś mu o wszystkim powiedzieć. Tyle wiem.

Nie skomentował, nadal patrząc jej w twarz. Pachniał lekko tytoniem, wodą kolońską i, jeszcze słabiej, potem. Nie była to nieprzyjemna kombinacja. Przekrzywiła głowę na bok.

- I przypuszczam, że nie zostałeś przydzielony do tej sprawy w wyniku czystego zbiegu okoliczności.

Na jego wargach pojawił się przelotny uśmiech.

• Nie ma czegoś takiego jak czyste zbiegi okoliczności. Podpuściłem Fitzpatricka.

• Jak?

• W prosty sposób. Oświadczyłem mu, że nie wezmę tej sprawy, nie ma mowy. Łatwo przewidzieć posunięcia tego biednego sukinsyna. Wepchnął mi ją w gardło.

- To prawo o zainteresowaniu osobistym ma wiele sensu.
- To też wiem. - Miał ponury wyraz twarzy. - To był dzieciak Nigela, Daino. Był za niego odpowiedzialny, bez względu na to, co myślała Marcia. Nie mówię, że ten sukinsyn miał ją poślubić. Ale nie zasłużyła... nie zasłużyła na to.

- Ty idziesz dalej.
- Od początku - rzekł, pochylając się lekko - do końca.
- Prawie czas - powiedziała Beryl Martin w swój zwykły, twardy sposób, ścinając końcówki słów. Bez wątpienia było to stwierdzenie faktu, a nie opinia, chociaż jedno i drugie było wymienne - o ile padało z jej ust.

- To miasto dosłownie tyka - kontynuowała - jak nastawiona bomba zegarowa. Wszyscy to wyczuwają, Daino. Nawet twoi wrogowie, i od tego pocą się im dłonie.

Rubens spojrział na Dory'ego Spenglera, z powrotem przeniósł spojrzenie na Beryl.

- Jest za mało czasu - zauważył - by cokolwiek mogło pójść źle.

Agentka obdarzyła go szerokim uśmiechem, częściowo przysłoniętym przez czubek jej nosa.

- Nic się nie stanie.

Siedzieli we czwórkę przy nieskazitelnie zastawionym stole przy końcu Le Troisieme. Na zewnątrz, na Melrose, było ciemno i padał ciągły, spokojny deszcz, który nawiedza jedynie Los Angeles jakby w karze za jakieś starożytne grzechy. W restauracji światło było łagodnie rozproszone, podkreślając piękno kremowego i ciemnozielonego wystroju i świetnych kryształów. Kelnerzy nosili czarne smokingi i krochmalone białe koszule z czarnymi muszkami, a Antoine, maitre, prezentował się tak wytwornie, że dosłownie człowieka to wkurzało. Krótko mówiąc wewnątrz Le Troisieme udawało restaurację typową dla Starego Świata na tyle, na ile jest to możliwe w południowej Kalifornii.

Beryl, efektowna jak kakadu w białej sukni, która nie robiła absolutnie niczego, by zamaskować jej tuszę, podniosła kieliszek. Zerknąwszy przez białe wino na ocienioną kloszem z matowego szkła lampę, delikatnie pociągnęła łyżeczek. Obok jej lewego łokcia spoczywała w srebrnym koszyku butelka, w lodzie, owinięta białym ręcznikiem.

- Wracając do spoconych dłoni - podjęła, odstawiając kieliszek – nigdy nie zgadniecie, kto zadzwonił do mnie dziś rano. - Nie czekała na odpowiedź; było jasne, że się jej nie spodziewa. - Don Blair.

- Agent? - Spengler bawił się widelcem. - Czego chciał?

- Jeden z jego klientów w przyszłym tygodniu wystawia konkurencyjny film.

- Beryl wyglądała tak, jakby właśnie połknęła wyśmienity kasek.

- Reżyserem jest Mark Nassiter.

Daina podniosła głowę i oczy agentki przesunęły się w jej stronę.

- *Podniebny ogień* - powiedział Rubens. - Widziałem go. O wojnie w Kambodży. Śmierdzi. I co z tego?

Beryl nie zwróciła na niego większej uwagi.

- Znasz go? - zapytała Dainę.

- Znałam - odparła aktorka. - Po prostu kolejna twarz z zamierzchłej przeszłości.

- Oczywiście. - Beryl uśmiechnęła się łagodnie, przerwała kontakt wzrokowy. Wzruszyła ramionami. - W każdym razie to nie ma znaczenia. Don zadzwonił do mnie z samego rana, bo chciał wiedzieć, co, do diabła, knujemy.

„Wbrew temu, co każde z was może sobie myśleć”, powiedział, „każdy film, jaki uzyskał nominację, ma szansę na zwycięstwo”. Słuchajcie, dosłownie słyszałam, jak się poci. Żałuję, że nie nagrałam tej rozmowy. „Wy wszyscy, cholera”, mówił „zachowujecie się tak, jakbyście mieli Oscara w kieszeni. Jest jeszcze tydzień. Wszystko może się zdarzyć”.

- Co mu odpowiedziałaś? - zaciekawił się agent. Szeroki uśmiech wskazywał, że słuchanie tej historii sprawia mu niezmierną przyjemność.

- Poradziłam mu - zaczęła poważnie Beryl - żeby poszedł na *Heather Duell*.

- Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Spengler rozlał resztę wina. Kelner podszedł bezszelestnie, skłonił się lekko i podał im wielkie płowozółte karty dań, wypisane odręcznie zielonym atramentem. Poleciał niektóre dania. Zamówili jedzenie oraz kolejną butelkę corton charlemagne.

- Teraz poważnie - rzekła agentka. - Promocja w Nowym Jorku – za którą wszyscy musimy podziękować Rubensowi - była jednym wielkim sukcesem. W prasie ogólnokrajowej nadal można znaleźć wzmianki na temat filmu, a tutaj twardo

pracujemy nad premierą w L.A. Ludzie z *Newsweeka* naturalnie wściekali się, że *Time* ich wyprzedził, ale nie mogli za bardzo podskakiwać, ponieważ im proponowano to samo. Teraz chętnie zrobią nam reklamę. - Uśmiechnęła się znowu, tym razem nieco sardonicznie. – Oczywiście jako przynęty użyłam prawa wyłączności do nowego filmu Dainy. Wiem, wiem... - podniosła obie ręce, jakby chcąc odeprzeć protesty Spenglera. Niezliczone złote bransoletki zderzyły się z brzękiem. - Omawialiśmy to wcześniej. Jestem świadoma, że studio chce zaczekać, by jak najlepiej to rozegrać. Z powodu Brando. No cóż, ja mówię, do diabła z tym. Brando nie wycofa się. Kontrakt już został podpisany, nieprawdaż, Dory?

Agent skinął głową bez przekonania.

- Jasne, lecz co z tego? Cholera, to tylko kawałek papieru. Znam Marlona lepiej niż wy. Może wycofać się zawsze przed rozpoczęciem produkcji. A nawet później. Moim zdaniem, przedwczesny start mógłby...

- Wyobraź sobie - przerwała mu Beryl - że artykuł ukazuje się w *Newsweeku*, a później w całym kraju, w tym samym tygodniu, w którym Daina dostaje Oscara. Nie muszę wam mówić, co to dla niej znaczy.

- Myślę o...

- Rubens - Beryl jeszcze raz przerwała Spenglerowi - co ty sądzisz?

Podano zakąski, stawiane jedna po drugiej tak delikatnie, jakby były bezcenną porcelaną. Producent spojrzał na kunsztownie ułożony rząd szparagów. Zaczekał, póki kelner nie nałoży trzech szczodrych łyżek sosu hollandaise. Po jego odejściu wylał resztę na szparagi.

Podniósł nóż i widelec, spojrzał agentce prosto w twarz i oznajmił:

- Masz wolną rękę.

Zjadł trzy szparagi, po czym odrócił się do Spenglera.

- Ani na chwilę - zaczął jedwabistym głosem - nie zapominaj, kim jesteś i czym jesteś. Jesteś tu tylko dlatego, że ci na to pozwalam. Możesz myśleć, że jesteś tak omylny jak my wszyscy... - celowo wspominał słowa, które padły w rozmowie z Dainą w Nowym Jorku, i teraz przerwał, by przyjrzeć się uważnie rumieńcowi wypełzającemu na kark i twarz agenta - ale to tylko oszukiwanie samego siebie. Jesteś bardziej omylny. I można cię zastąpić. Raz okazałeś się głupi i to wystarczy. - Wbił widelec w miękki czubek szparaga, podniósł go w górę. - Miałeś rację w jednym,

Dory. Jestem tylko człowiekiem. Jednak zastanów się, kim wobec tego ty jesteś.

Spengler był czerwony jak burak. Wysoko na jego czole nierówny puls wybijał milczący capstrzyk.

- Raz pozwoliłem ci się zgnoić... - Zaczął wstawać od stołu.

• Dory, siadaj i zachowuj się - rzuciła lekkim tonem Beryl. Pot spływał po górnej wardze Spenglera, szczęka mu drżała.

• Nie masz prawa tak do mnie mówić. Zadzwoń do Brando i...

- Nie rób tego - powiedział cicho Rubens. - Jeżeli odejdziesz, już nigdy nie będziesz mógł wrócić. Lepiej pomyśl o implikacjach, zanim uczynisz nieodwracalny krok.

Agent był nieruchomy jak statua i równie sztywny.

- W każdym razie - cedził Rubens - domyślam się, że musiało do tego dojść. Wyszedłeś z gówna do ogrodu pełnego róż. - Widelec zawisł w połowie drogi do jego ust. - Lecz to nie były twoje róże. - Ugryzł czubek szparaga. - Co ja ci zrobiłem, że tak mnie nie cierpisz, co? Dałem ci palec, a ty nadal nie jesteś zadowolony. Musisz mieć całą rękę. Czy naprawdę sądzisz, że możesz mnie krytykować?

Ze słyszalnym westchnieniem Spengler osunął się na krzesło. Złapał zmiętą Inianą serwetkę, przetarł nią twarz.

• Jestem rozdrażniony, to wszystko. Traktuje się mnie jak chłopca na posyłki.

• Bez ciebie nie mielibyśmy tak szybko filmu z Brando - przypomniała mu Beryl.

• Wiem, ale...

• Nie podoba ci się sposób, w jaki cię traktuję - dokończył Rubens. - Tak? Spengler spojrzał na niego spod oka.

- No cóż, stary, musisz się czegoś nauczyć, i to jak najszybciej. Na nasz szacunek trzeba zasłużyć. Nie spodziewaj się, że z miejsca osiadasz na laurach. Wszyscy musimy pracować. Jeżeli przez cały dzień będziemy siedzieć na tyłkach i podziwiać własne odbicia, niczego nie osiągniemy. Ty myślisz, że tobie się upiecze, bo znasz Brando lepiej niż jego stara, ale to mnie nie obchodzi. Może skończyć się tak, że odlecieś z wiatrem. Coś takiego przytrafia się tu codziennie. W jednej chwili ktoś jest potrzebny, a w następnej obchodzi innych tyle, co zeszłoroczny śnieg. -

Odsunął pusty talerz. - Słuchaj, nie jesteś głupi i masz jaja... przynajmniej tak sądziłem, inaczej nigdy nie poleciłbym cię Dainie. Zastanów się nad tym, a wszyscy znów będziemy żyć w zgodzie.

Przyszedł kelner i zebrał nakrycia. Talerz agenta zostawił.

- W porządku - powiedział producent - zaczekamy, aż Dory skończy pierwsze danie.

- Kochasz mnie? - zapytał po powrocie do domu.
- Tak.
- Nigdy nie myślałem, że zapytam o to jakąś kobietę.
- Nie pytałeś o to nawet swojej żony?
- Zawsze zakładałem, że mnie kocha. - Przesunął dłonią w górę jej ręki. -

Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnąłem usłyszeć prawdy.

• Dlaczego? - wyszeptała. - Przecież to ty w końcu mnie zostawisz. Na jego twarzy odmalował się strach.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo - zaczęła, kładąc palce na jego piersi - nigdy nie jestem pewna, co jest tutaj. Czasami myślę, że masz serce ze szkła - nie, z plastiku: można je przejrzeć, ale nie można złamać. Jesteś jak to miasto, Rubensie. Miasto, które wcale nie jest miastem. - Położyła głowę na jego piersi.

Wziął ją w ramiona, przytulił.

- I co by się stało, gdybym odszedł?
- Nic - skłamała. - Absolutnie nic.

Bonesteel zadzwonił po wyjściu Rubensa do biura.

- Wstałaś?

• Daj mi minutę. - Przetoczyła się w łóżku, przeciągnęła. Spała czy tylko marzyła na jawie? Nie mogła sobie przypomnieć. Myślała o broni i kobietach w mundurach, o George'u i OWP, o Nigelu i IR A.

- W porządku - powiedziała. - O co chodzi?

- W laboratorium znaleźli ślady strychniny w śniegu, który nam dałaś - oznajmił bez wstępu. - Minęłaś się z powołaniem, jak mówiłem. Powinnaś zostać gliną.

Usiadła, nagle w pełni rozbudzona.

- To znaczy, że nadal grozi mu niebezpieczeństwo.
- Możliwe. Może natknął się na zabawę Nigela w przemyt broni. - Milczał przez chwilę. - Może powinienem przyjść do ciebie.
- Po co?
- Skoro Chris jest w niebezpieczeństwie, istnieje prawdopodobieństwo, że ty również. Spędzacie razem zbyt wiele czasu, by zabójca mógł myśleć, że nie wiesz tego, co on.
- To śmieszne. Musiałby czytać w myślach.
- Jak uważasz - skwitował obojętnie. - Aha, kazałem śledzić naszego przyjaciela Charliego Wu. Może zaprowadzi nas w jakieś interesujące miejsce.
- Bobby, dałam słowo...
- Nie martw się, nie będę go naciskał. Żadne z nas nie obiecało, że go nie wykorzysta, prawda? Kto wie, może dopisze mi szczęście. Przydałoby się go trochę na tym etapie. Jestem tak blisko rozgryzienia tej sprawy, rozwiązanie leży nieomal w zasięgu ręki. Niestety, na razie opieram się jedynie na domysłach i nie mogę ruszyć z miejsca. Czuję się jak mucha w pajęczynie.
- Wiem, co o tym myśleć. Sam się podkręcasz. Nie możesz być obiektywny - oboje o tym wiemy. Przekaż sprawę komuś innemu. Na pewno macie mnóstwo detektywów, którzy mogą...
- Do diabła z nimi! - przerwał jej szorstko. - Tylko z powodu tej sprawy jestem jeszcze gliną. Nic mnie teraz od niej nie oderwie.
- Bobby, jesteś stróżem prawa.
- Dokładnie.
- I nie możesz naginać go stosownie do własnych celów.
- Powiem ci coś o prawie, Daina. Jest wypaczane co minutę. Jako glina szybko się nauczyłem, że nieraz prawo jest naszym przyjacielem, ale kiedy indziej lepiej jest omijać je z daleka. Jeżeli zostawi się je w spokoju, śpiące, nie ugryzie.
- Parsknął. - Czy sądzisz, że twój przyjaciel Rubens przejmuje się prawem? Przez jedną krótką, oślepiającą chwilę aktorka była przekonana, że porucznik wie o Ashleyu i o tym, kto kazał go zabić. Zakrztusiła się, jakby miała w ustach gumową pałeczkę doktora Geista.

- Wszyscy ci faceci z miliardami w kieszeni wykorzystują prawo, Daino
- kontynuował Bonesteel. - Dzięki temu tak wysoko dochodzą. No, ale to akademicka dyskusja. Wiem swoje. To Nigel. Ma to we krwi. Jest cholernie nieczuły. Nie obchodzi go nikt poza nim samym.

- Bobby, proszę...
- Prawo to ja, Daino. Zamierzam doprowadzić do tego, by zapłacił za to, co zrobił Marcii. Starzy przyjaciele zasługują na pamięć. Wiesz o tym, prawda?

A jeżeli Bonesteel się mylił? Daina nie była pewna, w co ani komu wierzyć. Wiedziała tylko, że Bobby jest gnany wewnętrznym głodem, który doprowadza go do pożerania samego siebie. Wiedziała, że jest na jak najlepszej drodze do tego, by bez względu na dowody wmówić sobie, że mordercą jest Nigel. Lecz jeżeli ma rację?

Zadzwoiła do Tie i wprosiła się do Nigela. Nie przemyślała do końca swego planu, jednak wiedziała, że musi spróbować.

Thais wyszła do drzwi, objęła ją.

- Jesteś szczęśliwa z Nigelem? - zapytała Daina.
- Teraz, gdy Chris odszedł z kapeli, to nie ma znaczenia - odparła ze smutkiem Tie.
- Kapela nie rozpadnie się. - Ale sama nie bardzo w to wierzyła. Była pewna, że do tego dojdzie i Thais potwierdziła jej domysły.
- Nigel mówi, że wszystko będzie jak wcześniej, lecz ja znam go zbyt dobrze. Jest słaby. Jego iskra twórcza wypaliła się już dawno. Zbyt długo jechał na talencie Chrisa.

Ash był przy basenie. Jak większość Anglików wydawał się stale zdumiony tym, że mieszka w miejscu, gdzie zawsze świeci słońce. Odpoczywał na leżaku. Silka, który przed chwilą przyrządził mu drinka, stawiał wysoką szklankę na bocznym stoliku.

- Silka - zawołała Tie - zrób Dainie drinka, dobrze? Stał, zimny i niewzruszony, z cieniem uśmiechu na ustach.
 - Stolicznaja z lodem i odrobiną limona. - Był to ulubiony drink Rubensa.
 - Nie. - Aktorka specjalnie wybrała coś innego. - Najlepsza byłaby pina colada.
- Ochroniarz skinął głową, ruszył do baru. Najwyraźniej wiedział, czego życzy sobie Thais.

Nigel odwrócił głowę w ich stronę. Nie miał okularów i mrużył oczy w słońcu. Nie przywitał się. Daina wiedziała, że musi winić ją o odejście Kerra.

- Cholera, że też masz czelność tu przychodzić.
- Przyszłam do Tie.
- Masz dziwne pomysły - powiedział do Thais - które nie podobają mi się ani trochę. - Poderwał głowę. - Zabierz ją stąd.
- Przestań zachowywać się jak dziecko - upomniała go zimno Tie, patrząc na niego z góry. - Daina zostanie tu tak długo, jak będzie chciała.
- Kto płaci za twoje jedzenie?
- Chyba nie chcesz, bym... znów odeszła.
- Silka! - wrzasnął Nigel. - Zrób coś! Silka nadszedł z drinkami, podał je kobietom.

- Co miałbym zrobić?

Ash otworzył usta, popatrzył na Thais, zaniknął je. Machnął ręką.

- Och, zrób sobie drinka. Ochroniarz spojrzał na Dainę.
- Chryste!

Wszyscy odwrócili się, słysząc krzyk Nigela. Ten popędził w stronę domu.

- Co się stało? - zawołała za nim Tie. Ale on już zniknął w drzwiach, białe zasłony wyrzuciły się za jego plecami. Pojawił się chwilę później. W lewej ręce trzymał mausera o tępej lufie.

Wszyscy spojrzeli na niego. Aktorka odstawiła nietkniętego drinka i podbiegła do Silki. Słyszała, że Thais robi to samo.

- Nigel...!
- To ten cholerny kojot, Tie! - Popędził na drugą stronę domu, a oni wszyscy za nim. Za domem rozpościerał się długi może na trzysta jardów egzotyczny ogród. Dalej wznosiło się raczej strome wzgórze, wchodzące w skład pasma biegnącego w stronę Topangi. Było porośnięte jeżynami i zielonym poszyciem, które walczyło o miejsce z gęstymi, smukłymi eukaliptusami i rozłożystymi akacjami.

Ash błyskawicznie skoczył w gąszcz. Nie wymachiwał pistoletem, tylko trzymał go nieruchomo u boku. Być może w górę wiodła jakaś na wpół zarośnięta ścieżka, gdyż wspinał się w zdumiewającym tempie.

Thais prowadziła, gdy biegli za nim. Droga była trudna i nim go dopędzili,

dyszeli ciężko, a pot złościł bruzdy w kurzu na ich twarzach.

Światło słońca sączyło się między drzewami, których liście rzucały ruchliwe cienie na stojącego na skraju małej polanki Nigela. Oczy miał szeroko otwarte, nozdrza rozdęte. Mauser w jego dłoni wydawał się bardzo wielki.

Tie zaczęła coś mówić, lecz Nigel ruchem wolnej ręki nakazał jej milczenie.

- Wiem, że ten sukinsyn jest gdzieś tutaj. Widziałem go z dołu, gapił się na mnie, prowokował do przyjscia. - Przekręcił głowę, jakby bez tego ruchu nie mógł skoncentrować wzroku. - Przez cały tydzień go widywałem, słyszałem, jak hałasuje.

- Może jest głodny - podsunęła myśl Daina, obserwując zarośla. Motyl przefrunął leniwie z listka na listek, a wyżej ciemnobrązowe zięby zerwały się do lotu i zaszczebotały z zadowoleniem. Wszystko było tak, jak być powinno.

- Nie, nie - wyszeptał Nigel. - Tu nie ma kota. Przychodzi po coś innego.

- Na przykład? - zapytała.

Jednak Ash nie odpowiedział. Ruchem dłoni pokazał, że mają przykucnąć. Sam obracał się na piętach to w tę, to w drugą stronę.

- Zaczynam czuć się głupio. - Daina wyprostowała się.

- Skoro już tu jesteś - syknął ostro - rób, co mówię, póki nie znajdę tego skurwiela.

- Nie będę słuchała twoich rozkazów - powiedziała łagodnie.

Nigel zawirował i zobaczyła, że jego oczy przypominają dwa krzemienie. Nagle jego chuda, opalona na brąz i silnie umięśniona sylwetka przysłoniła jej wszystko inne.

- Po coś tu przyszła? To terytorium łowieckie.

- Tylko według ciebie. Ja w najmniejszym stopniu nie jestem zainteresowana twoim kojotem. Zostaw go, cholera, w spokoju.

- On mnie dręczy! - wrzasnął.

- Wiedziałeś o tym, prawda?

Kucał w łacie cienia, ale albo promień słońca przedarł się przez liście, albo wysoki podmuch rozchylił gałęzie, gdyż nagle światło zaślniło w jego oczach. Popatrzył na nią twardo.

- O czym ty mówisz? - zapytała Thais.

Daina strząsnęła jej rękę. - O morderstwie.

- Kurwa mać, co to znaczy? - Nigel nie poruszył się. Mauser leżał na jego udzie.

- Ktoś próbował zabić Chrisa, gdy był w Nowym Jorku. Jego heroina była łamana strychniną...

- Zwario...

- Tak samo jak w przypadku Maggie.

- Maggie - wtrącił cicho Silka - została zabita przez maniaka. Wszystkim nam powiedziano...

- Wiem, co wam powiedziano - przerwała mu spokojnie aktorka. - Policja złapała tego psychopatę, lecz to nie on zabił Maggie.

- Skąd pani wie?

Daina zignorowała go. Patrzyła w twarz Asha. Czy Bonesteel miał co do niego rację? Wokół nich panował spokój, wydawało się, że upał odbija się rykoszetem i zamiast tracić na sile, narasta. Powietrze było nieruchome. Wszyscy byli pocętkowani światłem i cieniem, wdychali bogaty zapach ciemnej ziemi.

- Nikt z nas nie miał pojęcia, że coś takiego przytrafiło się Chrisowi - rzekła Tie, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na drugą. - Prawda?

- Nikt nie próbował zabić Chrisa - dodał Nigel. - Wymyślasz.

- Wobec tego może również wymyśliłam to, że Maggie naprawdę nazywała się Toomey i że była wnuczką Seana Toomeya.

Nigel zaśmiał się chrapliwie.

- Teraz wiem, że słońce padło ci na głowę.

- Zamknij się, Nigel! - warknęła Thais. Popatrzyła na Dainę. - Czy to prawda?

- Tak. To było zabójstwo polityczne; zemsta na Seanie Toomeyu.

- Chryste, Nigel, wiedziałeś...

Ale Tie nie dokończyła. Lewa ręka Asha drgnęła i lufa mausera skierowała się w stronę Dainy. Był to pistolet o wielkim kalibrze i wylot lufy wydawał się czarny jak noc - i tak samo wielki.

Aktorka skoczyła jak oparzona, Nigel nacisnął spust. Pistolet wystrzelił, podrywając się w jego dłoni. Daina usłyszała przenikliwy pisk za plecami, poczuła

gorący prysznic czegoś lepkiego.

Zawirowała. Lewe ramię miała zbryzgane maleńkimi kropelkami, które lśniły na jej skórze jak czerwona rosa. Nie była to jej krew. Poczwała smród.

Nigel już ją mijał.

- Ty sukinsynu! - krzyknął. - Mam cię!

13

Gdzieś w głębi limuzyny włączył się alarm. Jego cichy i wysoki dźwięk przypominał bicie okrętowego zegara.

Ciemność, przez którą pędzili, była urozmaicona bąbelkami jasności jak oglądany pod światło szampan.

Klimatyzacja mruczała na progu słyszalności. Daina zobaczyła za oknem smog i wysokie palmy stojące bez ruchu, jakby sam czas uwięził je w wywołującym się w nieskończoność polaroidowym zdjęciu, i iluzja - wywołana przez silnie zabarwione szyby - że żeglują przez rafy nocy, zniknęła. Wiedziała, że na zewnątrz jest zaledwie kolejny wczesny gorący wieczór. W Nowym Jorku już noc.

- Trzydzieści minut do magicznego czasu - powiedział Rubens. Siedział rozluźniony i pewny siebie obok niej w granatowym, szytym na zamówienie smokingu, białej plisowanej na przedzie koszuli, z aksamitną muszką na szyi. Wyglądał tak, jakby świat należał do niego.

- Jak możesz siedzieć tak spokojnie? - chciała wiedzieć Daina. Wierciła się na siedzeniu, wyjęła papierosa z jego papierośnicy, obracała go w palcach jak batutę, a potem złamała. Ze złością strzepnęła włókienka tytoniu z kolan. Łososiowa suknia od Zandry Rhodes szeleściła jak żywa na jej udach. Była lekko opalizująca, wymalowana ręcznie w ukośne paseczki o barwie głębokiego błękitu, przez co aktorka wyglądała tak, jakby spowijała ją kaskada wody.

Rubens położył rękę na jej kolanie.

- Nie masz się czym przejmować.
- Bóg jeden wie, kto może tak powiedzieć i sądzić. - Odgarnęła włosy z czoła, otworzyła torebkę, by wyjąć puderniczkę.

Dorothy Chandler Pavilion był oświetlony dodatkowymi reflektorami ekip

telewizyjnych. Ogromny tłum napierał na obszyte purpurowym aksamitem łańcuchy po obu stronach schodów.

Limuzyna zatrzymała się. Kierowca wysiadł, by otworzyć i przytrzymać drzwi. Mikrofony frunęły ku ich twarzom, posypał się grad pytań. Flesze błyskały jeden przez drugi. Daina odpowiedziała Army'emu Archerdowi na pytania dotyczące filmu, ale gdy zapytał ją o plotki dotyczące jej planów na przyszłość, tylko błysnęła tyśiącwatowym uśmiejchem i, z Rubensem u boku, minęła go i ruszyła po okrytych czerwonym dywanem stopniach.

- Tutaj okaże się, ile to wszystko było warte - stwierdził Rubens.

Cała ta praca nad reklamą... łącznie z sześciotygodniowym objazdowym talk show, w jakim uczestniczyła z Marionem dwa miesiące wcześniej. Było to dające w kość tournee po kraju, które wymyślił jakiś łośbski facet w studio. Kimkolwiek był, miał rację. Kombinacja była doskonała. Ciarkę, zwykle raczej małomówny, przed kamerą, mając aktorkę u boku dzielnie stawiał czoło amerykańskiej machinie mass mediów. W rezultacie w połowie trasy odkryli, że zaimprovizowana rutyna, która jakoś sama wyszła w czasie nagrywania *Mikę Douglas Show*, okazała się przebojowa - na ile to tylko możliwe w telewizji. Nim zakończyli tournee udziałem w *The Tonight Show*, w ciągu przed-premierowego tygodnia w L.A., nie mieli żadnych trudności z uzyskaniem dodatkowych dziesięciu minut poza przydzielonym im czasem antenowym.

Schody za nimi zapełniały się, gdy sławy coraz to wolniej przechodziły przed kamerami TV, po dwie i trzy osoby, jedna grupka daleko od drugiej, poruszające się tak wolno, że zdawały się uwięzione w bursztynie.

Rozlegały się okrzyki i oklaski, gdy gwiazdy wysiadały z limuzyn, rozpoczynały długi przemarsz, dłuższy od weselnego, dłuższy nawet od pogrzebowego, trwający w nieskończoność. Daina widziała wszystko w najdrobniejszych szczegółach i dojmująco odczuwała każdy ruch, każdy krzyk, płacz, wrzask, szmer, pchnięcie, szturchańce, spojrzenia pełne podziwu. Dopiero po pewnym czasie zrozumiała, że to narastanie dźwięku i furii jest skierowane w jedną stronę, od najszerszego miejsca na skrajach zbiegowiska po ostry szpic koncentrujący się na schodach.

Może wcześniej było inaczej, lecz gdy przedarli się przez obszyte aksamitem łańcuchy i Daina znalazła się w oku cyklonu wzniesionych rąk, oślepiających lamp

błyskowych i twarzy z rozchyłonymi ustami, zdała sobie sprawę, że wrzeszczą na jej cześć. Nagroda Nowojorskich Krytyków Filmowych i Złoty Glob wydawały się preludium do tej właśnie chwili.

Rubens zrobił unik, gdy ktoś odwrócił się, próbując podsunąć jej notes po autograf. Złapał ją w talii i zaczął ciągnąć w górę schodów.

Wokół szalał potężny wir, który groził, że ją wciągnie. Światła kołysały się, aktorka słyszała głos Army'ego Archerda relacjonującego bez chwili wytchnienia, zbliżającego się na fali tłumu, pozostawiającego Charltona Hestona, Sally Field czy kogo tam jeszcze.

Daina ruszyła, ciągnięta jakby przez sprzeczne siły. Wspomniała tę biedną dziewczynę nieomal stratowaną przez tłuszczykę podążającą za limuzyną Heart-beatsów w San Francisco i wiedziała, że musi odejść, że rozszalały tłum bywa niebezpieczny, jednak z drugiej strony ociągała się, chciała zostać choćby chwilę dłużej, by w pełni nasycić się tą demonstracją zbiorowego uwielbienia.

Opierała się Rubensowi tak skutecznie, że zdołała utrzymać się w obrębie zbiorowiska. Wszyscy wokół robili, co mogli, by jej dotknąć, porozmawiać z nią, pocałować ją i wydawało się, że skierowany do nich tysięczny uśmiech jest wystarczającą zachętą. Ktoś potknął się, przewrócił, poderwał, ruszył dalej.

I znów popychanie i szturchanie, gdy zbliżyli się do pierwszego zestawu szklanych drzwi teatru. Tłum w swej zbiorowej świadomości, częstokroć typowej dla takiej masy ludzi, wiedział, że jego czas dobiega końca i naparł raz jeszcze jak fala przyptywu.

Ktoś wyciągnął rękę, złapał ją za ramię, szarpnął i Daina nieomal upadła. Rubens podtrzymał ją, odciągnął. Rozległy się gwizdy i przykre dla ucha zawodzenie policyjnych syren, przebijające się przez pomruk ciżby.

Pojawili się gliniarze rozpychający tłum na boki, brnący z przygarbionymi ramionami i wyciągniętymi pałkami. Uformowali klin, rozrzućili ludzi na lewo i prawo. Ktoś krzyknął z bólu albo tęsknoty, a potem pierwsi gliniarze znaleźli się obok aktorki i producenta i przeprowadzili ich przez pierwsze drzwi.

Jeden policjant zatarasował przejście, dwaj inni stanęli po bokach. Pozostali, nadal na zewnątrz, rozstawili się wzdłuż schodów. Z wyciem, błyskając światłami, nadciągały dalsze radiowozy, a zza rogu wyłonił się wóz do rozpędzania zamieszek.

- Nic pani nie jest, panno Whitney? - zapytał jeden z policjantów, którzy

weszli do środka. Był młody, jasnowłosy, miał twarde, błękitne oczy i szerokie ramiona.

- Nic - odparła. - Chyba nie.

Tylne drzwi wozu specjalnego stanęły otworem.

- A pan, panie Rubens? Wszystko w porządku?

Gliniarze wysypali się niczym sól z solniczki, jednak nie byli już potrzebni. Gdy Daina zniknęła ze schodów, tłum cofnął się, jakby nagle opuściła go cała energia.

- Tak, tak - odparł zdawkowo Rubens. Wygładził rękoma smoking i spodnie.

- Do diabła, gdzieście się podziewali?

• Przykro mi, panie Rubens - rzekł glina, chociaż oczywiście wcale tak nie uważał. Ton jego głosu mówił: Gdybyś nie był tym, kim jesteś, powiedziałbym ci, cholera, żebyś sam na siebie uważał. - Przyjechaliśmy tak szybko, jak było to możliwe. Nikt nie spodziewał się czegoś takiego. - Machnął ręką w stronę ulicy. - Przecież nie jesteśmy w Nowym Jorku. - Odsunął się od drzwi, wyjął notes. Długopis pstryknął w jego rękę. - Zastanawiam się, panno Whitney... czy nie miałaby pani nic przeciwko? - Z uśmiechem podsunął notes i długopis. Daina dała mu autograf.

• W porządku. - Uśmiechnęła się do niego. - Przybyliście we właściwym czasie. - W tej chwili, gdyby go poprosiła, przeszedłby dla niej przez szybę. - Może mógłby pan poczekać w pobliżu do zakończenia ceremonii i zapewnić nam eskortę w drodze do domu.

- Hej, Mikę - wtrącił drugi glina, machając rękoma. - Nie wiem...

• Zgłoś to - zdecydował blondyn, nie odwracając się do kolegi. Po czym złagodził ton mówiąc: - Z przyjemnością, panno Whitney. - Wyjął z jej rąk notes i długopis. - Proszę rozejrzeć się za nami po wyjściu.

• Dziękuję, Michael. Pan Rubens i ja będziemy bardzo wdzięczni. - Położyła nacisk na „ja” i reszta zdania jakby spłowiła. Odwróciła się, złapała producenta pod rękę.

- Aha, panno Whitney...

- Tak?

- Powodzenia. Trzymamy za panią kciuki.

- Och, dziękuję, Michael. To bardzo miło z waszej strony.

Policjant zarumienił się i odwrócił.

Daina i Rubens minęli drugi zestaw drzwi i znaleźli się we właściwym holu. Zobaczyła go, w chwili gdy przekraczała próg.

Podszedł szybko, z uniesioną wysoko ciemną twarzą o jastrzębich rysach. Był ubrany w źle dopasowany smoking, najwyraźniej wypożyczony w ostatniej chwili. Włosy miał o wiele dłuższe, niż pamiętała, ich kruczą czerń rozjaśniały teraz pasemka srebra, broda też była przetykana bielą. Zdawało się, że upłynęły wieki, od kiedy wyrzuciła go z domu.

- Czekałem na tę chwilę - oznajmił. Głos mu się nie zmienił, brzmiała w nim ta sama metaliczna nuta, z powodu której zdania wydawały się poucinane, obce. Był to jeden z elementów, które uczyniły go takim dobrym publicznym mówcą. Chyba nie było mu zbyt wygodnie w smokingu, szyję miał zaczerwienioną od pocierania o uwierający go kołnierz.

- Rubensie, to Mark Nassiter.

Zignorowali się z obojętnością zaprzysięgłych wrogów.

- Czego chcesz? - zapytała Daina.
- Znów cię zobaczyć, to wszystko. - Na wardze miał okruszek tytoniu. - Zobaczyć, jaka jesteś. - Jego ciemne oczy były pochmurne. - Zobaczyć, co z ciebie zrobili.

- Niezależnie od tego, jaka się stałam, nikt nie miał na to wpływu. To są moje marzenia.

- Jesteś tego pewna, kochanie? - Łypnął na nią złośliwie i zakołysał się na piętach: nawyk, jaki wyrobił sobie dla skompensowania niewielkiego wzrostu.

Po raz pierwszy dostrzegła twardość w jego twarzy; w jego oczach widniał nieugięty wyraz, który, jak teraz była pewna, musiał być w nich przez cały czas. Mark wyciągnął rękę.

- Jesteś pewna, że to nie on jest duszą tego wszystkiego, że to nie on pociąga za sznurki? - Jego usta wykrzywiła pogarda. - Co się czuje, śpiając z kimś, dla kogo władza jest jak narkotyk? - Podniósł rękę, dotknął jej policzka, przeciągnął palcami po brodzie. - Oto, co się z tobą stało, kochanie.

Daina najpierw poczuła ruch, dopiero potem zobaczyła Rubensa.

- Cholera, jeszcze jedno słowo, ty wredny sukinsynu! - Ręce producenta zacisnęły się w pięści.

Mark pokiwał palcem.

- Śmiało, tłusty kocurze. Nie boję się ciebie. Nie boję się niczego!

Aktorka stanęła między nimi. Patrzyła na Nassitera, ale mówiła do Rubensa.

- Wystarczy. Zostaw to mnie.

- Za cholerę! - Rubens ominął ją. - Ten sukinsyn zasługuje na to, by go przywołać do porządku!

Odwróciła się, spojrzała na niego wściekle.

- Powiedziałam, że ja to załatwię! Mark uśmiechnął się sardonicznie.

- Och, to jest sposób, kochanie. Tak, tak. Na podbudowanie twego malutkiego ja. Korzystaj, póki możesz. Kogo obchodzi, że to tylko iluzja. To drobna potyczka i on pozwoli ci wygrać, ponieważ nic przez to nie traci. Lecz - kiedy chodzi o wojnę, kochanie, to wiedz, że już cię kupił, sprzedał i zapakował jak kawał szynki. I zabawne - naprawdę zabawne - że dowiesz się o tym dopiero wtedy, gdy armia odejdzie na nową, jeszcze większą kampanię i zostawi cię za sobą.

- Jesteś okropnie pewny siebie, prawda? Parsknął szyderczo.

- Chyba dość jasne, że ja nie muszę całować władzy po dupie.

- Och, tak. Już sobie wyobrażam scenę między tobą a ludźmi z Columbii.

- Zmierzyła go wzrokiem. - Jestem pewna, że mimo twojej elokwencji zmieszali cię z błotem za przekroczenie budżetu o jedenaście milionów, których potrzebowałeś, by skończyć *Podniebny ogień*.

Rubens roześmiał się na widok miny Marka.

- Budzisz we mnie wstręt. - Nassiter odwrócił się, by odejść.

- Już skończyłeś? - zapytała słodko Daina. - Myślałam, że to tylko rozgrzewka.

- Widziałem dosyć - rzucił wściekle. - A nawet więcej. Po to tu przyszedłem.

Szybko wyciągnęła rękę, złapała go silnie za ramię, odwróciła twarzą do siebie.

- O, nie, mój chłopcze, tak nie odejdiesz. - Zaczął się wyrwać, jednak ona mocniej zacisnęła palce. - Powiem ci, po coś tu przyszedł. Po swojego Oscara. Ty, który nie całujesz nikogo po dupie. I co, Mark? Jesteś tutaj z nami wszystkimi, nieprawdaż?

- Jak zdobędę nagrodę - warknął - powiem swoje. Na tym mi zależy. Daina

potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy barwy miodu musnęły jej policzki. Uśmiechnęła się.

- Gdybyś miał jaja, trzymałbyś się z daleka jak Brando czy Woody. Ale ty nie możesz. Jesteś zbyt słaby. Brakuje ci odwagi nawet do konfrontacji z tym, czym jesteś. - Cofnęła rękę z jego ramienia, jakby był kawałkiem mięsa sprzed trzech miesięcy. - Jesteś swoimi polemikami; namiętym głosem i wściekłymi oczami w środku nocy. Kiedy jednak przyjdzie co do czego, nie przypasujesz pistoletów i nie strzelasz. Żaden z ciebie outsider. Grasz wyjętego spod prawa, lecz na tym koniec. Spójrz prawdzie w oczy, Mark. Jesteś dzieckiem i zawsze tylko nim będziesz.

Dłonie Marka zacisnęły się, kąciki ust pobladły mu z napięcia.

- Wszystko w porządku, panno Whitney?

Daina lekko odwróciła głowę, zobaczyła za sobą jasnowłosego gliniarza, który opuścił posterunek i przeszedł za drugie drzwi.

- Jak najbardziej...

Ale on nawet nie słuchał. Minął ją, stanął przed Nassiterem, stuknął go czubkiem palca w piersi, jakby chciał sprawdzić, czy żyje. Jego druga ręka lekko wspierała się na kolbie pistoletu w kaburze.

• Sprawiasz tej pani kłopoty, stary, a nie chciałbym odradzać ci tego w inny sposób. - Pchnął go lekko. - Spływaj - rzucił lekkim tonem. - Zabieraj się stąd. - Popchnął go jeszcze raz, tym razem tak mocno, że Mark zatoczył się. Po odzyskaniu równowagi odwrócił się i zniknął w tłumie.

• Jeżeli jeszcze coś mógłbym zrobić, panno Whitney... - Gliniarz dotknął daszka czapki.

- Wystarczy, Michael. Bardzo dziękuję.
- Nie ma za co. - Wyszedł za drzwi i przyłączył się do swego partnera.
- Co z tobą? - zapytała Rubensa, gdy szli przez teatr. - Połknąłeś język?
- Nie wiem - odparł. - Jestem trochę oszołomiony.

Wydawało się, że jest doskonale przygotowana na chwilę, w której być może padnie jej nazwisko. Rubens był pewien, że tak się stanie, ona nie.

Nadeszła pora, gdy strach zaczął pełznąć niebezpiecznie na cichych łapkach, wsączał się do mózgu, oblewał potem. Znów była dzieckiem i wiedziała, tylko wiedziała, że nic nie kryje się w kącie, gdzie rzuciła ubrania i gdzie widniały uchylone

drzwi szafy, w nocy; w ciemności z deszczem spływającym po szybach jak samotne łzy, upiornym neonowym blaskiem błyskawicy i grzmotem przetaczającym się jak fale po skalistym wybrzeżu, wprawiającym okno w drżenie i drącym niebo na części.

- ...wszystkie te żarty. Nominację do Oscara za najlepszą kobiecą rolę pierwszoplanową uzyskały...

Ale, jak w takich przypadkach bywa, wiedza niczego nie rozwiązywała, bo jakaś inna część jej umysłu podkradała się, zaciskała stalowe szpony i zyskiwała przewagę, śmiejąc się histerycznie z racjonalnego świata.

- ...Daina Whitney za rolę w *Heather Duell*...

Siadała wtedy na zmiętej pościeli, z podkulonymi nogami i ciałem pokrytym gęsią skórką, z koszulą nocną skłębioną wokół bioder, i gryzła paznokcie, wpatrując się w kąt czarny jak dół, i zlewała się zimnym potem.

- ...za *Moce, które*...

I myślała, że jest doskonale przygotowana na to, co skoczy na nią z tego ciemnego miejsca.

- ...ale z drugiej strony Jodie Foster ma tylko dziewiętnaście lat. - Śmiech. - A oto najważniejsza koperta. Sally, czy mogłabyś pełnić honory?

To jedyny strach, pomyślała, który może zaćmić ludzki umysł.

- ...łatwiej otwierać koperty, prawda? Ach, mamy. Nagrodę otrzymuje... Daina Whitney... - krzyki i brawa prawie zagłuszyły resztę - za *Heather Duell*

I wtedy pomyślała: I co ja mam im wszystkim powiedzieć? Teraz, gdy wygrałam, teraz, gdy padło moje nazwisko, teraz, gdy cztery pozostałe, które były mianowane, potulnie ukryły swoje rozczarowanie przed kamerami, ale które później, jutro i pojutrze, dzień po dniu, dopóki to wszystko nie pójdzie w zapomnienie, będą prezentowały swe oburzenie i zawiść każdemu, kto tylko zechce słuchać. Czy jest coś, co można by powiedzieć temu środowisku, temu miastu, temu światu?

Temat z filmu rozbrzmiał w teatrze, gdy wspinała się po pleksiglasowych stopniach na scenę. Aplauz dzwonił jej w uszach, jaskrawe światła oślepiały, gdy szła, bez tchu, do maleńkiego podium, gdzie czekali Sally i Bob, obcy teraz, uśmiechnięci i machający rękoma.

Na podium: złota statuetka.

Cisza. I w tej ciszy szelest, jakby była sama na polu pełnym owadów w nieskończenie senne letnie popołudnie.

Popatrzyła na widownię, nikogo nie widząc.

- Myślałam o tylu rzeczach, które można powiedzieć... w takiej chwili. Kiedyś myślałam, że będą to ważne rzeczy. Ale nigdy wcześniej nie przeżyłam niczego podobnego i wszystko, co wcześniej przychodziło mi na myśl, wydaje się nieadekwatne.

Nie ma znaczenia. Nic, co tu mówię, nie ma znaczenia. Ta nagroda... - złapała statuetkę za łydki, podniosła wysoko - nie jest przyznawana za słowa, tylko za czyny. Znaczy ona dla mnie więcej, niż... nie mogę wam powiedzieć. Od tak dawna była moim marzeniem. Dziękuję ci, Rubensie, Yasmin i George'u, a zwłaszcza drogi Marionie. Dziękuję wam wszystkim za udowodnienie, że to miasto nie straciło swego daru urzeczywistniania marzeń.

Dom Rubensa jakby ulegał przemianie w miarę napływania coraz liczniejszych gości. Obok Dainy stało sześć statuetek, łącznie z nagrodą dla najlepszej aktorki drugoplanowej dla Yasmin, za reżyserię dla Mariona i za najlepszy film dla Rubensa.

Daina czuła się tak, jakby stała na najwyższym szczycie świata, poniżej którego rozpościera się największy w świecie dywan, pełen milionów ludzi, ze zwróconymi w górę pełnymi entuzjazmu twarzami, z wyciągniętymi ku niej rękoma, ona zaś wiruje, wiruje, wiruje...

Bateria już pijanych gości strzelała swoimi sonarami SX-70. Pstryk-pstryk-pstryk. Niezliczone zdjęcia wirowały w powietrzu jak konfetti. Daina mrugnęła na tłustą syrenę na ścianie.

Wypiła szampana w rekordowym tempie. Było tu morze taittinger blanc de blanc.

Wcześniej wstąpiła do Zandry Rhodes. Czterdzieści minut trwał seans z Mandy, specjalistką od makijażu artystycznego od Reiko's w Beverly Hills.

Po wyjściu wyglądała jak tygrysica. Mandy potraktowała górną połowę jej twarzy jak płótno, kładąc na nie perłową biel, lśniące złoto, głęboką umbrę i odcienie zgniłej zieleni. Poziomymi pociągnięciami namalowała pasy, które jakby rozciągnęły oczy aktorki i stwarzały niepokojące wrażenie, że bieżą naokoło jej głowy.

Wokół pomalowanych na biało powiek widniały zamaszyste łuki ciemniejszych kolorów, a najbardziej wysunięte partie twarzy: szczyty kości policzkowych, miejsca bezpośrednio nad brwiami, które teraz wyginały się

drapieźnie, były przyprószone brokatem.

Mandy zdjęła diamentową opaskę, która podtrzymywała włosy Dainy podczas ceremonii wręczenia nagród. Zaczesała je w górę i na boki, na kształt grzywy ogromnego kota.

Daina stanęła przed lustrem i potrząsnęła głową. Patrzyła na siebie w ciepłym różowym świetle, w jej gardle rodził się głęboki pomruk. Potem odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

- Idź już - powiedziała Mandy, klepiąc ją po ramieniu - i baw się dobrze. Teraz rzuciła kieliszek od szampana w puste palenisko. Czowała się tak, jakby mogła otworzyć ramiona i objąć noc. Chciała wyjść na zewnątrz, przycisnąć wszystkie gwiazdy do piersi, poczuć ich wieczny zimny ogień i wiedzieć, ze spokojną pewnością, że ona i tylko ona to osiągnęła.

Ludzie przybywali w zatrważającym tempie; nikogo nie brakowało. Mężczyźni i kobiety siedzieli na sofie, po dwoje i troje na fotelach; opierali się o ściany, leżeli na dywanie, tańczyli obok kominka, całowali się na sedesach, rozkładali na łóżkach, co zezłościło Marię do tego stopnia, że z odrazą wzruszyła ramionami i wyszła; pełzali po korcie tenisowym, wisieli na siatce, skakali do basenu, parszkając i chlapiąc się ku konsternacji delfina, który skakał i przewalał się w wodzie, mocząc gości stojących blisko krawędzi.

Przybywali bez końca. Pojedynczo i grupami wlewali się do domu, niosąc prezenty w postaci jedzenia i wina. Myślała, że zna ich wszystkich, ale nie mogła być tego pewna. Nic poza Oscarem nie miało znaczenia, Oscarem, którego ostatecznie ustawiła na okapie kominka, żeby widzieć go z drugiej strony pulsującego pokoju.

Spędziła fascynujące piętnaście minut na rozmowie z dziwnie wyglądającym człowiekiem, wysokim, niewiarygodnie chudym i posępnym. Miał ziemistą cerę, czarną brodę, długi haczykowaty nos i oczy jak kawałki węgla. Po odejściu stwierdziła, że rozmawiała z el Grekiem.

- ...od początku do końca.
- Co?
- Kochanie, chodź - powiedziała cicho Yasmin, obejmując ją w talii.
- To moje przyjęcie. - Mówiła trochę niewyraźnie.
- Wiem. Chcę z tobą tylko przez chwilę porozmawiać. - Uśmiechnęła się. -

Wrócisz za minutkę.

Wyszły na zewnątrz. Zabrało im to półtora roku. Las ludzi przesuwał się i nie było w nim wyraźnej ścieżki. Świat stał się płynny, a one nie miały płetw.

Na zewnątrz, wśród drzew, trawy i misternie rzeźbionego listowia było jakby mniej ludzi, lecz być może wydawało się tak tylko dlatego, że było więcej otwartej przestrzeni.

Ich obcasy zgrzytały na betonie otaczającym basen. Podwodne światła były zapalone i woda lśniła kolorami tęczy. Nie różniła się od lądu.

Delfin przetoczył się i parsknął, zanurkował, a potem wyskoczył w górę, przebijając powierzchnię i wznosząc się wysoko w powietrze, co wywołało szaleńczy aplauz widzów. Stworzenie niewątpliwie cieszyło się tymi wyrazami uznania, gdyż powtarzało swój wyczyn, z każdym udanym skokiem wznosząc się wyżej.

Yasmin przekrzywiła głowę na bok, obserwując popisy zwierzęcia.

- Jak sądzisz, co on myśli? - zastanawiała się na głos. - Przyjmuje się, że są najinteligentniejszymi stworzeniami na ziemi po nas. - Ruszyły dalej.

- Albo może nie mają w głowach nic prócz marzeń. - Odwróciła się i spojrzała na Dainę. - To byłoby bardzo miłe, prawda? - Odetchnęła głęboko nocnym powietrzem. - Nic prócz marzeń.

- Zatem dzisiaj wszyscy jesteśmy delfinami - rzekła Daina, patrząc na nocne niebo, na płonące gwiazdy, i przypomniała sobie swoje pragnienie.

Wydawały się dość bliskie, by móc je dotknąć.

- Muszę ci coś powiedzieć. Daina odwróciła głowę w jej stronę.
- Nic złego, Yasmin. Nie dzisiaj.

Aktorka uśmiechnęła się, zęby zajaśniały zmysłowo w smagłej twarzy. Jej oczy nigdy nie były takie ogromne i wyraziste.

- Dostałam wiadomość tuż przed wyjściem z domu. Szukałam cię wcześniej, lecz nie mogłam cię znaleźć, a potem... po prostu nie było czasu.

- Złapała Dainę za rękę. - Zaproponowano mi główną rolę w nowym filmie Scorsese.

Daina wytrzeszczyła oczy.

- Yasmin, poważnie? - Przyciągnęła ją do siebie, uściskała. - To cudownie!

Tak się cieszę.

- Rzecz w tym, że jutro wyjeżdżam na zdjęcia próbne w Lucernie. Będę tam parę tygodni, a później zaczniemy kręcić w Luksemburgu, Madrycie i na Malcie.

Daina wytrzeźwiała na chwilę.

- Jutro, ale...
- Będę w Grand National w Lucernie. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko się wprowadzę.

- Już nigdy cię nie zobaczę, prawda? Yasmin roześmiała się.
- Jak możesz mówić coś takiego po tym, co razem przeżyliśmy? Daina była bliska łez i nie mogła zrozumieć dlaczego.

- To tylko przeczucie. Aktorka pogładziła ją po karku.
- Nie smuć się. Nie w taką noc. Wrócę. A niedługo ty i tak wyjeżdżasz w związku z projektem Brando. Czyż nie słyszałam o Singapurze?

- Tak.
- Cóż, o tym powinnaś myśleć. Mój Boże, kawał życia!
- Może mogłabym wciągnąć cię do tego filmu - powiedziała z nadzieją Daina. Rozejrzała się. - Gdzie jest Rubens? Jestem pewna, że mógłby to załatwić.

- Daino...
- Nie, nie. Nie ma sprawy. Teraz mogę dostać wszystko, co zechcę. - Roześmiała się, ścisnęła rękę Yasmin. - Czy to nie byłoby wspaniałe? My obie razem w...

- Daino, wyjeżdżam jutro rano. - Yasmin złapała ją za ramiona. - Chcę mieć tę rolę.

- Ale...
- Muszę zrobić coś, co będzie tylko moje. Nie rozumiesz tego?

Daina zawrzała irracjonalnym gniewem. Rozpaczliwie pragnęła kontrolować sytuację. Nie było dobrego powodu, dla którego Yasmin miałyby zostać, jednak Daina chciała tego. Maggie odeszła i teraz Yasmin również odchodziła.

- Widzę, że mnie zostawiasz.
- To nieprawda. Ja tylko...
- Och, Yasmin, nie jedź! - Muzyka bębniła coraz głośniejsze, bąbelkowało w jej żyłach jak dwutlenek węgla, wiła się przez dom i wylewała na zewnątrz w

roziskrzoną noc. Światła zaczęły ją razić i poczuła spazmy wstrząsające jej ciałem jak uderzenia prądu. Jej mięśnie skurczyły się mimowolnie pod lśniącą od potu skórą, jakby groziły przejęciem kontroli nad umysłem.

- Daino, proszę. Nie chcę, żebyśmy rozstawały się w ten sposób. Jesteśmy przyjaciółkami...

- Niech cię cholera! - krzyknęła Daina. - Mogłabym wszystko załatwić! Wszystko! Chryste, nie wiesz, gdzie ci będzie lepiej! - Aktorka spróbowała ją objąć. - Nie, nie. Nie dotykaj mnie! Wynoś się!

Uciekła, by znaleźć Rubensa, ale zamiast tego natknęła się na Ciarkę'a. Twarz miał zarumienioną od alkoholu, lecz oczy rozsądne i złapał ją, gdy potknęła się przebiegając obok niego.

- Cześć! - zawołał. - Mój Boże, co za impreza!
- Och, Marionie! - Padła mu w ramiona.
- Daino, co się stało?

Słowa zdołały przebić się przez mgłę w jej mózgu i oderwała twarz od jego piersi. Czyż Mandy nie mówiła, że woda może zaszkodzić jej nadzwyczajnemu makijażowi? Potrząsnęła głową, splątane włosy omiotły jej ramiona.

- Same dobre wieści, prawda? - Uśmiechnęła się do niego.
- Chryste - wyglądasz jak drapieżny ptak. Ten makijaż jest niesamowity.

Może mnie też powinni taki zrobić.

Roześmiała się, złapała go za rękę.

- Och, Marionie! Co to za miejsce! Czy gdzieś indziej na ziemi może zdarzyć się taka noc?

- Nie mam pojęcia. - Popatrzył na nią trzeźwo. - Co cię zdenerwowało?
- Och, nic takiego. Yasmin zachowuje się jak głupia. Zaproponowałam jej rolę w swoim nowym filmie, jednak ona woli odejść.

- Winisz ją? Dostała główną rolę w bardzo ważnym filmie. Jak możesz się spodziewać, że z niej zrezygnuje?

- Ale popatrz, co jej w zamian proponuję!
- Wszystkim, co jej proponujesz, jest okazja do pozostania drugą po...
- Pozostania moją przyjaciółką!

- Słuchaj, kochanie - zaczął surowo - gdybyś naprawdę uważała ją za swoją przyjaciółkę, życzyłybyś jej jak najlepiej.

- Och, Marionie, nic nie rozumiesz!

- Przeciwnie, rozumiem doskonale. Nie myśl, że nie widziałem, co się z tobą działo. Ten film... Wyznam ci szczerze, Daina, już nigdy takiego nie zrobię, nawet gdybym miał zagwarantowaną kolejną Nagrodę Akademii. Myślałem nad tym przez długi czas. Wcale nie jestem taki dumny z tej nagrody. Zabiorę ją z sobą do Anglii, postawię na kominku w pracowni i co tydzień będzie ją odkurzała sprzątaczką. Co to znaczy? Nic.

Wszyscy poświęciliśmy zbyt wiele temu filmowi. Dużo za niego zapłaciliśmy. Ty, ja, Yasmin, George. Już nie jesteśmy tymi samymi ludźmi. Film nas zmienił, napiętnował na całe życie. Nie poznaję ciebie... Nie poznaję nawet siebie.

- Nie - powiedziała aktorka, potrząsając głową. - Chyba nie myślisz tak naprawdę. To ci, którzy są wokół nas. To oni widzą nas inaczej i inaczej reagują.

- Nie bądź głupia! - syknął z wściekłością. - Czy nie widzisz tego, co masz przed czubkiem nosa? - Tak, pomyślała, widzę. Jednak, och, nie chcę tego przyznać. - Popatrz na George'a. Dziś wieczorem poleciał do Paryża. Wiesz, dokąd zmierza? Do południowego Libanu. Bóg tylko wie, jak to zaaranżował, ale zostanie przyjęty do jednego z tamtejszych obozów OWP. Jestem przekonany, że zostanie tam dokładnie prześwietlony, lecz później... - wzruszył ramionami - stanie się jednym z nich.

- George prawdziwym terrorystą? - Daina zrobiła wielkie oczy. - Brakuje mu na to jaj.

- Przeciwnie - zaprzeczył lekkim tonem Ciarę. - George staje się bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

- George jest nie zrównoważony.

- To właśnie czyni go tak niebezpiecznym.

- Czy Yasmin wie o tym? Reżyser wzruszył ramionami.

- Nie mówiłem jej. Nie ma powodów, by musiała wiedzieć.

- On ją kochał.

- To tylko powód, żeby jej nie mówić. Nagle łzy stanęły jej w oczach.

- Ja również ją kocham, Marionie. Przyciągnął ją do siebie, pocałował w

czoło.

- Wiem, kochanie. Jesteście bardzo dobrymi przyjaciółkami.
- Nie chcę, żeby wyjechała - powiedziała płacząco jak mała dziewczynka, głos był stłumiony przez jego ubranie.

• Jestem pewien, że ona czuje to samo. Ja również odchodzę, wiesz. Nie mogę wytrzymać tu ani chwili dłużej. Chyba już naprawdę nie pamiętam, po co tu przyjechałem. Wiem jedno, okropnie tęsknię za Anglią.

Daina pocałowała Clarke'a w policzek.

- Chcę się z nią zobaczyć. Chcę porozmawiać z nią, nim odejdziesz.

Szukała Yasmin ponad godzinę, ale, chociaż zaglądała wszędzie, nie mogła jej znaleźć.

Goście zaczęli rozchodzić się bardzo późno. Prawdę mówiąc, był prawie świt, nim ostatni chwiejnie opuścili posiadłość. Niektórych trzeba było budzić, na siłę poić mocną czarną kawą, żeby mogli wsiąść do swoich wozów i ruszyć do domów. Ulice były wyludnione, lecz i tak miało dojść do niejednego wypadku: syreny rozrywające resztki nocy, migocące czerwone i białe światła. Sącząca się krew. Przespać to.

Jednak Daina nie mogła nawet marzyć o spaniu. Sen wydawał się równie odległy, jak śmierć. Poza tym adrenalina płynęła w jej żyłach bez końca, jakby dostarczał jej jakiś ogromny zbiornik.

Dom był nie do poznania. Nie miało to znaczenia. Zostawili z Rubensem na straży ponurego intelektualistę el Greca i chorobliwie tłustą syrenę, siedzącą z kołtuńskim zadowoleniem na swej lśniącej skale, i wyszli do ogrodu.

Kochali się gwałtownie pod palmami, których korony szumiały w odświeżającym wietrze. Niebo zaczęło robić się perłowe, najpierw leciutko, nisko nad dachem: nieokreślony blask na wschodzie, który jeszcze nie zagrażał świecącym gwiazdom. Chudy księżyc prawie zaszedł, pojawiał się i znikał między pierzastymi liśćmi palm. Cykanie świerszczy i plusk skaczącego w niedalekim basenie delfina sprawił, że fantazjowała o bezludnej wyspie otoczonej bezkresnym morzem. Morze.

Za drugim razem było całkiem inaczej. Był jeszcze w niej, wilgotny, ponownie sztywniejący. A nigdy przedtem nie był taki delikatny, taki czuły, taki kochający, a przy samym końcu, była pewna, że krzyknął, ale równie dobrze mógł to być jego pot, który skapnął jej na ramię, namaścił ją, nim stoczył się z wypukłej powierzchni i

wsiąknął w ziemię pod nimi.

Spokój. Tylko ich oddechy i śpiew ptaków zapowiadających wschód słońca.

Daina zasnęła w trawie, pot i ich intymne soki wysychały powoli na jej skórze. Długie, gęste włosy rozpostarły się niczym ogon jakiegoś półboga, opalone ciało połyskiwało w ruchliwym jak żywe srebro świetle: w półprze-zroczyście światła, obrazie Rousseau.

Muchy zaczęły brzęczeć w powiększających się łatach światła, złoto-zielony motyl przysiadł na jej kolanie, po czym odleciał z wiatrem, ona zaś śniła, że jest w Nowym Jorku sprzed lat.

Był kwiecień i wszędzie nastała wiosna, ale tutaj szare stalowe kaniony jeszcze nie wyrzekły się chłodu. Miała wysokie brązowe buty zachlapane śniegiem o barwie i konsystencji błota, spłowiałe džinsy i starą marynarską kurtkę z ciemnymi plastikowymi guzikami z kotwiczkami.

Jej miodowe włosy były zaczesane do tyłu i zebrane w ciasny kucyk. Nie miała makijażu. Trzymała ręce głęboko w kieszeniach, szła przygarbiona pod hulający ulicą wiatr. Policzki i czubek nosa miała zaczerwienione, zęby szczękały jej z zimna.

Szła na północ, budynki przesuwaly się obok niej niczym na taśmie transportera. Rozglądała się, szukając tablic z nazwą ulicy, lecz nie mogła ich znaleźć. Doszła do rogu.

Nagle znalazła się przed restauracją i weszła do ciepłego wnętrza. Zobaczyła glazurowaną włoską cegłę, niski sufit. Spowiły ją gęste zapachy gotowanego jedzenia.

Ludzie, pyzaci i niemi, obserwowali ją, gdy spiesznie mijała ich stoliki zastawione jedzeniem i piciem. Zaczęła pocić się i drżeć, jednak nie pomyślała o tym, by rozpiąć kurtkę.

Podeszła prosto do stolika najbardziej ulubionego w restauracji, tego, który stał przy wychodzącym na tyły oknie. Na zewnątrz: ściany pobazgrane graffiti. Chudy pies buszujący w śmieciach, podnoszący parszywą nogę.

Twarz przy stole opychała się frytkami. Wielkie ręce, z palcami podobnymi do obcęgow, pakowały frytki w szeroko otwarte usta w takich ilościach, że za każdym razem wiele z nich spadało na talerz.

Stała nieruchomo, patrząc na tę twarz: blade, bardzo blade oczy, czerwono-złote włosy. Zatłuszczone cienkie usta i okruszki przyklepione do różowych policzków.

Wypowiedziała imię, jego imię, i twarz powoli obróciła się w jej stronę.

Wsunięta do kieszeni ręka zacisnęła się na ciepłej kolbie pistoletu. Palec wskazujący znalazł spust i Daina wyciągnęła pistolet, i zaczęła strzelać w spoconą i śliską od tłuszczu twarz.

Nic się nie stało. Z przerażeniem patrzyła na złotą statuetkę, której głową celowała w rozdziawione usta.

Twarz ryknęła śmiechem. Maleńkie kropelki tłuszczu i okruszki rzygnęły z otwartych ust, z ostrych białych zębów, i zobaczyła pustą ciemną jamę, ogromną jak nocne niebo. Ryk śmiechu nappełnił restaurację, odbijał się od niskiego sufitu i kafelków, i odwróciła się do ucieczki. Ale twarda dłoń wystrzeliła za nią i zamknęła się na jej nadgarstku.

- Masz, kochanie - wypowiedziały bezgłośnie usta i zobaczyła prawdziwy pistolet wciśnięty w otwartą dłoń. Złapała go pewnie, niewiele myśląc pociągnęła za spust i pistolet wypalił podrygując w jej ręce.

Lecz zmasakrowana, ociekająca posoką twarz nie należała do Aurelia Ocasia. Była to twarz George'a.

I znów zadudnił śmiech, twardszy teraz, bardziej okrutny, i uciekła w noc, wcale nie zmniejszając dystansu...

Płakała w trawie. Wysoko ponad jej głową siedział jaskrawo upierzony ptak, może kardynał. Jego ochryple skrzek przypominał podejrzenie hałas ostatniego przyjęcia czy śmiech z jej snu.

Na chwilę zamknęła oczy, jeszcze na wpół śpiąca, nie do końca orientując się, gdzie jest. Gdzieś między Nowym Jorkiem a L.A. Otworzyła suche usta, usiadła, zawołała: - Rubens? - głosem tak cichym jak szept.

Zadrżała, podkuliła nogi, oparła głowę na rękach. Dokuczał jej przeszywający ból głowy i stęknęła jak zranione zwierzę, gdy podniosła powieki i jasne światło uderzyło ją w oczy. Powinnam wstać i przenieść się w cień, pomyślała. Jednak nie ruszyła się.

Oooch! - Rubens? - rozejrzała się uważnie. Szybko oderwała wzrok od wysokiej zielonej siatki, która otaczała kort tenisowy. Siatka płonęła w słońcu.

Wargi miała spierzchnięte, wewnątrz ust lepkie, miała kłopoty z przełykaniem. Odwodnienie, pomyślała, a potem, Mój Boże! - gdy złapała się za obolałą głowę.

- Cóż - mruknął producent, wyłaniając się z zarośli - wreszcie się obudziłaś.

- Szszsz! - ostrzegła. Jej głos zabrzmiał w jej uszach jak salwa z dwudziestu jeden armat.

Przykucnął obok, rzucił jej na kolana jedwabną suknię i wyciągnął rękę ze szklanką z sokiem pomarańczowym.

- Masz - powiedział ciszej - wypij. Maria właśnie go wycisnęła. Wróciła, zadecydowawszy, że da nam jeszcze jedną szansę.

- Gdzie była? - zapytała zdumiona.

- To długa historia. Trzymaj. - Wcisnął zimną szklankę w jej rękę, zacisnął palce. - Wypij. Dodałem parę kropli tylenolu.

Ostrożnie przycisnęła krawędź szklanki do ust i zaczęła pić. Napój smakował tak wybornie, że wypila na raz połowę. Zmrużyła oczy i spojrzała na niego.

- Chyba nie miałeś w co się ubrać.

Wyszczrzył zęby. Miał na sobie lekki trzyczęściowy garnitur.

- Natychmiastowa poprawa.
- Nie mów mi, że wychodzisz tak wcześnie do biura.
- Jest druga trzydzieści. Po południu.
- O cholera! Chciałam zadzwonić do Yasmin.
- Nie chciałem cię budzić.
- Cholera jasna, Rubens!

Patrzył na nią, gdy zastygła z głową wspartą na rękach.

- Zeszłej nocy zachowałeś się jak ostatnia świnia. Płakała, wychodząc.
- Widziałeś, jak wychodziła? - Było to idiotyczne pytanie i Rubens nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

Skądś dobiegł trzask zamykanych drzwi samochodu, rozlegający się szybko i ostro w powietrzu, jak zawsze o tej porze roku. Pies szczeknął parę razy i ucichł; usłyszała rytmiczny stukot piłki o asfalt, rezonującą deskę, chłopięcy okrzyk triumfu.

Wstała i podeszła do basenu. Był chłodny i czysty. Delfin już się nie pluskał. Wrócił do Marinelandu, pomyślała, i skoczyła do wody.

Zimno tchnęło w nią nowe życie, ból głowy minął, jak ręką odjął. Wynurzyła się, popłynęła na drugi koniec basenu, wyszła z wody. Po jej lewej stronie na zielonym trawniku szumiały zraszacze. Kątem oka dostrzegła meksykańskiego ogrodnika, który przycinał żywopłot, ale nie zrobiła nic, by ukryć nagie ciało.

Odwróciła się do Rubensa, oceniając oczy dłonią.

- Nie siedź cały dzień w biurze. Zjedźmy kolację na łodzi.

Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem.

- Przykro mi. Myślałem, że mówiłem ci wczoraj. Muszę lecieć do San Francisco. Jeżeli dzisiaj nie zamknę projektu Stinson Beach, nie wejdzie w ten rok podatkowy.

- O Chryste, nie musisz. Nie dzisiaj.

Pocałował ją.

- Schulyer mówi, że to ważne. Stracę pół miliona odpisów od podatku, jeżeli tego nie zrobię. Nawet ja nazwałbym to ważnym. - Popieścił jej plecy. - Wrócę za dwa, najwyżej trzy dni, i obiecuję ci długi weekend na łodzi, okay?

Zostawił ją przy basenie w jasnym słońcu, w cichych dźwiękach popołudnia. Milczała, wysoka, opalona, wysportowana i pewna siebie.

Stała nieruchomo, słuchając warkotu ruszającej limuzyny, chrzęstu żwiru pod kołami, gdy wóz jechał podjazdem, zabierając go od niej. Chciała rzucić się biegiem przez ogród i dom, by jakoś go zatrzymać. Lecz było to niemożliwe i nie poruszyła się.

Maleńkie kropelki wody staczały się z jej ramion i pleców, z bioder i pośladków, łącząc się w gorące strumyczki po wewnętrznej stronie ud. Wkrótce słońce osuszyło jej skórę. Zaczęła smarować się olejkiem, stojąc przodem do ogrodnika, milcząco ośmielając go, by się odwrócił.

Kiedy tego nie zrobił, a ona skończyła, położyła się na leżaku i zamknęła oczy. Dochodzące do niej dźwięki wydawały się oderwane, jakby nie miały żadnego związku z nią czy miejscem, w którym przebywała. Miała wrażenie, że unosi się w czasie. Zraszacze szumiały nadal, ale dzieciak grający w koszykówkę musiał pójść do domu. Wkrótce słyszała tylko szmer wiatru w koronach palm.

Widziała czerwone słońce przez zaciśnięte powieki, a wiatr porywał jej włosy, które trzepotały za nią jak proporzec.

Obejmowała go mocno i czuła cudowny zapach podniszczonej skórzanej kurtki, zapach jego długich włosów, odrobiny wody kolońskiej albo, pomyślała z drgnieniem, zapach jego po długich godzinach intensywnej pracy.

Ta woń kojarzyła się jej nie tyle z seksem, ile po prostu z zapachem mężczyzny. Jej piersi wznosiły się z każdym oddechem i czuła krzywiznę jego

kręgosłupa oraz napięte mięśnie. Był podniecony i ożywiony prędkością i było to zaraźliwe. Daina podniosła głowę, przysunęła usta do jego ucha.

- Szybciej! - krzyknęła. - Szybciej, Chris!

Przyjechał do domu na harleyu, gdy leżała przy basenie. Całą noc spędził w studiu i nie mógł usiedzieć w jednym miejscu - tak jak i ona.

Otworzyła oczy, gdy pędzili w dół Pacific Palisades, i zobaczyła ocean, ciemny i ciężki, lśniący jak płynne złoto tam, gdzie padało na niego słońce.

Ten ocean jest takim kiepskim substytutem, pomyślała. Nie ma ryczących przypiływów... tylko gnuśna fala, rozleniwiona pełnymi kurzu latami, spokojna aż do ospałości, kojąca, hipnotyczna.

Zamknęła oczy, marząc.

Wiatr wył jej w uszach, szarpał ją za włosy, łaskotał po nagich ramionach.

Poczuła siłę odśrodkową, gdy skręcał w prawo na Old Malibu Road. Dodał gazu i skoczyli do przodu jak wystrzelona z łuku strzała.

Czuła, jak zmienił pas i zwiększył prędkość. Otworzyła oczy i odwróciła głowę. Pacific Coast Highway tworzyła niewyraźną plamę: domy, drzewa zlały się w linie przesuwające się w górę i w dół jak smugi kolorowego światła. Była to gra, w którą bawiła się na tylnym siedzeniu samochodu, gdy rodzice zabierali ją latem na Cape.

Radosny śmiech wyrwał się z jej gardła i ścisnęła kolanami uda Chrisa, jakby jechała na koniu.

- Szybciej! - poganiała. - Śmiało, szybciej!

Powietrze uderzyło w nich z nową siłą, jakby złapała ich gigantyczna ręka i zakręciła wokoło. Wyprzedzili dwa samochody tak szybko, jakby stały w miejscu, i pochylili się lekko, wchodząc w długi, leniwy zakręt zgodny z zarysem linii brzegowej. Daleko przed nimi wlokły się dwa ciągniki z naczepami; buchały dymem z pionowych rur wydechowych, jakby były siewcami chmur.

- Trzymaj się, mała! - Jego słowa, oderwane od ust przez świszczący wiatr, zabrzmiały cicho i chrapliwie jak z kiepskiego megafonu. Zaczęli zostawiać za sobą samochody, z początku powoli, jakby lecieli rakieta z mozołem próbującą wyrwać się z ziemskiej atmosfery oraz pokonać straszliwy ogrom inercji.

Wyrwali się.

Świat przemienił się w jeden długi, wyjący tunel i Daina miała wrażenie, że

oderwali się od nawierzchni autostrady; łąty światła i ciemności przemykały zbyt szybko, by uchwycić je wzrokiem, stając się częścią samego wiatru.

Nagle poczuła coś, jakby wielką pięść uderzającą ją w lewy bok i próbującą zepchnąć ją z siodelka. Zaczęła odwracać głowę. Motocykl zabujał się na resorach, gdy zrównał się z nimi wysoki pojazd. Był bardzo blisko, przysłaniając wiele światła, i o tym myślała, gdy Kerr ryknął: - Ten cholerny sukinsyn jeszcze nas rozwali!

Słowa przemieniły się we wrzask. Owiewka harleya rozpadła się i sypnęła deszczem czarnego lodu w jej twarz. Poczuła palący ból pod prawym okiem, przy uchu. Odruchowo puściła Chrisa jedną ręką, podniosła ją do twarzy. W efekcie zakołysała się niebezpiecznie w prawo. Desperacko próbowała zacisnąć mocniej kolana, ale wyjący wiatr odpychał ją od jego pleców.

Jej kręgosłup tuż nad kością ogonową wygiął się w drugą stronę, sprawiając dotkliwy ból, i jak narkoman tuż po strzale w żyłę stała się świadoma wielu rzeczy naraz, jak prymitywny organizm, w śmiertelnym strachu przed śmiercią, zaczęła rozbijać otoczenie na pojedyncze elementy.

Przed nimi autostrada była pusta aż do wysokich ciężarówek, które posuwały się ociężale może ćwierć mili dalej. Z naprzeciwka jechało niewiele samochodów, lecz prędkość prawie uniemożliwiała... Coś przysłoniło jej prawe oko i przetarła je palcami - było to coś wilgotnego, gorącego i lepkiego. Kątem oka dostrzegła szkarłat.

Nadal była świadoma, że bezpośrednio po lewej znajduje się ten sam solidny cień, czarny jak noc; głowa Chrisa podniosła się i rozległ się kolejny dźwięk, tak wysoki, że zęby jej ścierpły. Głowa zaczęła obracać się jak kula bilardowa ciśnięta na tor.

Potem uderzyła w nich fala grzmotu i odskoczyli od ciemnego kształtu, pędząc w prawo, ponad skrajem autostrady. Przez chwilę lecieli w powietrzu, motocykl przestał wibrować, pośladki Dainy oderwały się od siedzenia, później poczuła wstrząs zderzenia. Harley potoczył się w podskokach po ziemi, potem zaczęła się trawa i w jej nozdrza uderzył ciężki zapach koniczyny. Przerażony ptak wrzasnął, zerwał się do lotu.

Wystająca skała zdecydowała o reszcie. Przednie koło harleya uderzyło pod takim kątem, że przelecieli prosto nad nią, kierownica wyrwała się z zaciśniętych rąk Kerra. Wstrząs był tak silny, że Daina, która przecież trzymała się tylko jedną ręką, przeokoziółkowała do tyłu i wylądowała na podstawie kręgosłupa. Przetoczyła się, trąc

twarzą po ziemi, opadła na jedno kolano.-1

Podniosła głowę, zobaczyła motocykl jadący szaleńczo przez zatłoczoną autostradę. Pędził na ukos do przodu, nadjeżdżające samochody z piskiem zjeżdżały mu z drogi.

Po drugiej stronie autostrady ryknął, pozostawiając za sobą ślad dymiącej czarnej gumy. Daina poczuła smród płonącego oleju i krew.

- Chris! - zawołała, próbując się podnieść.

Ale harley, z Chrisem, już dotarł do drugiej strony, uderzył w bok zaparkowanego samochodu, zawirował i, jeszcze nabierając rozpędu, wbił się w okno stojącego od strony morza domu. Strzeliły jasne płomienie i rozległ się huk jakby końca świata. Kłębiący się dym strzelił w niebo i rozpostarł się jak krucze skrzydła, i ktoś zaczął wrzeszczeć. Samochody hamowały, klaksony trąbiły, wrzask trwał bez chwili przerwy, płomienie zachłannie pięły się w górę, rozprzestrzeniając się z prędkością światła, i ten smród, ten straszny smród wdzierał się do jej nozdrzy. Tylko wrzask i zapadająca ciemność.

„Mógłbym przysiąc, że cię widziałem/Wczoraj na ulicy/I zazdrościłem ci/1 to był mój pierwszy błąd...”

Pisk, grzechot, zderzenie.

„Cóż, to musiał być cud/Gdy zostałem uwięziony w dekoracjach/Czekając tylko na zaistnienie i zniszczenie.

- ...tutaj. Nie, nie chcę niczego takiego. Nie tutaj. - Nieustające dudnienie odbijające się w katedrze jej umysłu.

„Zmiany nadlatują niczym pociski/Porażają, lecz bezboleśnie/Kochanie, widzę że znów jestem sam...”

- ...na miłość boską, niech ten czarny sukinsyn wyłączy to cholerstwo! Cisza, chłodna i krucha, i nikły, bardzo nikły głos:

- W porządku, stary, możesz to robić po drugiej stronie korytarza... Szare pajęczce sieci wyginające się od światła. Mgła jak ziarnka piasku,

rozjaśniająca się, rzedniejąca, odpadająca warstwa po warstwie niczym zdejmowana z oczu gaza.

- ...aina, co się stało?

I tarmoszący nią wiatr, kołysanie do tyłu i w przód, „O Boże, spadam!” i

przechyl jak w czasie trzęsienia ziemi, grunt wznosi się, zderzenie, a potem film o spadającej gwiazdzie, która ucieka od niej, uderzająca, uderzona, wysyłająca szkarłatne i czarne sygnały w niebo, dym zaćmiewający popołudnie, „Chris, Chris, och, Chris!”

- ...porządku, wszystko w porządku. Siedziała, drżąca, szlochając w jego szyję.

- Doktorze?

- Teraz to lepsze niż zastrzyk. Później... - Zdanie urwało się, zawisło w powietrzu.

- Gdzie jestem? - zapytała szeptem. - Nie nad morzem. Dobry Boże, tylko nie tam.

- Jesteś w szpitalu, Daino. - Głos Bonesteela. Teraz go poznała.

- Bobby?

- Tak.

- Bobby. - Przywarła do niego kurczowo. - Motocykl. Coś... on... on... - Jej głos był cienki i kruchy jak ryżowy papier.

- Już wszystko w porządku - powiedział blisko jej ucha. - Już jesteś bezpieczna. Nic ci nie jest.

- Chris - wyszeptała. - Co się stało z Chrisem? Poczła ruch, gdy odwrócił głowę, by spojrzeć na lekarza.

- Nie żyje, Daino...

- Nie! Nie! - Ale krucze skrzydła ciągle przysłaniały błękitne, tak bardzo błękitne niebo, a płomienie pięły się żarłocznie, wysysały tlen z jej płuc, i znów usłyszała wrzask. Przerazające.

Znowu drżała.

- Nie, to nie... - Lecz gniew przeminął i jej słowa były ciche jak błogosławieństwo. Och, Chris, miałeś zacząć nowe życie. Nie mogę w to uwierzyć. Moje serce bije, a twoje nie. Czy ktoś może to wyjaśnić? Przytuliła się do porucznika, do jego ramienia.

- Daino... - jego głos był cichy, kojący - muszę wiedzieć, co się stało. Mój człowiek jechał za wami, jednak zgubił harleya.

Smak ziemi w ustach, kurz i piasek, duszący ją, ramię przyciśnięte do ziemi, szarpiący ból, krew płynie i na wpół ją oślepia, ale wyraźnie widzi to samo: spadająca gwiazda odrywa się od ziemi, nabiera wysokości, a później odbija się, uderza wybuch, „płomienie”, trwający w nieskończoność wrzask. Jej wrzask. Opadła na poduszkę, łzy lały się strumieniami z jej oczu.

- Najpierw powiedz mi, gdzie jestem. - Spojrzała na niego.
- Jesteś w sali nagłych przypadków szpitala Santa Monica. Wyszłaś z tego z paroma powierzchownymi zadrapaniami - z których najgorsze jest pod prawym okiem - mnóstwem otarć, kilkoma siniakami na żebrach. Ramię, według doktora, będzie ci dokuczało przez jakiś miesiąc. Wykaraskasz się, mówi. - Uśmiechnął się, lecz spod uśmiechu przebijało napięcie.

Gdzieś zadzwonił telefon i ktoś pospieszył, by go odebrać.

- No to co się stało?
- Poruczniku, do pana.
- Zaraz wracam - rzucił Bonesteel.

Lekarz, młody człowiek o bladej cerze i krzaczastym wąsie, który nadawał mu wygląd morskiego lwa, czubkami palców dotknął jej policzka.

- Są tylko dwa szwy - powiedział. - Czuje pani? - Aktorka przecząco pokręciła głową. - Niedługo zacznie pani odczuwać ból. To dobra oznaka, niech więc się pani nie martwi. - Złapał koniec wąsa i szarpnął. - Miała pani wiele szczęścia, panno Whitney. Mniej więcej cał w lewo i zostałyby uszkodzony nerw. - Uśmiechnął się. - Prześwietlenie niczego nie wykazało.

Detektyw skończył rozmowę, wrócił i usiadł przy jej boku. Zaczekał, aż lekarz odejdzie, a wtedy poprosił:

- Teraz mi opowiedz.

Zacząła opowiadać wszystko, co pamiętała, dopóki znów nie poczuła smrodu i nie zobaczyła łopocących kruczych skrzydeł...

- ...odpocznij chwilkę - poradził. - Daj sobie trochę czasu. - Kiedy zaczęła oddychać swobodniej, powiedział: - Mówiłaś, że coś podjechało od twojej lewej strony tuż przed wypadkiem. Wiesz, co to było? Widziałaś go wyraźnie?

- Jakaś ciężarówka... albo samochód osobowy. Ale wysoki.
- W tym momencie gnaliście całym gazem, prawda? Robiąc ponad setkę.

Owiewka została strzaskana. Przy tej prędkości mogło to być cokolwiek - na przykład kamyk spod opony jakiegoś wozu. Cholera. - Popatrzył na nią. - To wszystko? Może przypominasz sobie coś jeszcze, nawet najdrobniejszy szczegół... może wrażenie?

- Nie. Czekaj, pamiętam... tuż po strzaskaniu owiewki głowa Chrisa odchyliła się w tył i... w bok od środka autostrady.

- Odwrócił głowę?

- Nie, nie. Bardziej jak... nie wiem, to tylko wrażenie. Wyglądało to tak, jakby coś wykręciło mu głowę. - Zamknęła oczy, czując mdłości i myśląc: O Boże, o Boże. Nie mogę uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczę.

- Daina, jeszcze coś?

- Nie, ja... - Jak mogła być taka głupia? - Tak. Chris powiedział coś, gdy... gdy jechaliśmy. - Musiała przeczekać narastający smród w nozdrzach, wrażenie nagle zatrzymanego pędu; milczenie w grzmocie. - Powiedział: „Ten sukinsyn... jeszcze nas rozwali”.

Twarz Bonesteela była tak blisko, że czuła na policzku jego gorący oddech.

- Jaki sukinsyn, Daino? Kto to był? Nigel?

- Nie wiem.

- Daina!

Jego głos niczym strzała o stalowym grocie przeszył jej głowę i szczelnie zacisnęła powieki. Żołądek zwinął się jej w kulę, zaczęła szlochać, lecz łzy się nie pojawiły. Obejmowała się rękoma, myśląc: Rubens, Rubens, Rubens, gdzie jesteś?

- Wystarczy - usłyszała łagodny głos lekarza.

- Słuchaj pan, jeżeli ona ma w głowie klucz do...

- Jej głowa - przerwał mu zimno doktor - nie nadaje się do takiego przesłuchania. Ona musi teraz odpocząć. Nalegam, poruczniku.

- W porządku, doktorze. W porządku. Czy wolno mi porozmawiać z nią jeszcze przez chwilę? Nie będzie musiała odpowiadać na żadne pytanie.

- Proszę.

Twarz Bonesteela znów pojawiła się w jej polu widzenia. Zobaczyła na niej zmęczenie.

- Przepraszam, że tak cię naciskam - rzekł łagodnie - jednak teraz sprawa

zaczyna się wyjaśniać. Warto było przyczepić ogon Charliemu Wu. Zeszłej nocy doprowadził nas do magazynu. Wiesz, co w nim znaleźliśmy? Dwieście pięćdziesiąt skrzyń z bronią. M-15, karabiny samopowtarzalne, pistolety maszynowe. - Oczy miał rozgorączkowane; wyglądał jak pies myśliwski w końcu spuszczonej ze smyczy. - Nie rozumiesz? To już nie spekulacje. Uniemożliwiliśmy kolejny przerzut odrzutowcem Heartbeatsów.

- A Charlie? - Niepokoiliła się o obietnicę daną Meyerowi i Charliemu Wu. Detektyw wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

- Nie mam pojęcia. Niesamowicie, mimo tych wszystkich gliniarzy udało mi się wymknąć. Naturalnie nie mam pojęcia, gdzie jest teraz.

Uśmiechnęła się blado.

- Dzięki, Bobby...
- A teraz słuchaj, Daina... - twarz mu spoważniała - muszę wrócić na miejsce wypadku... o ile to naprawdę był wypadek.

Złapała go za ramię.

- Co masz na myśli?
- Że to był zamach na Chrisa. Że być może ktoś miał w tym udział.
- Poruczniku, nie chcę, żeby pan straszyl pacjentkę.
- Niech pan słucha, doktorze, ta pani ma prawo wiedzieć, na czym stoi. A może znajdować się w bardzo nieciekawym położeniu.

• Możliwe, możliwe. Zamierzam pana prosić o opuszczenie sali, poruczniku, i to od razu. Dalsza rozmowa nie przyniesie panie Whitney nic dobrego.

- Daina, zostawię tu człowieka... jednego ze swoich. Pamiętasz Andrews?
- Tak.

- To porządny facet. Zostanie z tobą do mego powrotu, okay?

Skinęła bez słowa, odwróciła głowę, znów słysząc wycie, zgrzyt gorącego metalu o tarmakadam, gdy piękny motocykl pędził ukosem i...O Boże. O Boże, Chris, tak mi przykro. I w tym ogłuszającym hałasie słyszała własny głos dochodzący jakby z daleka: Szybciej! Śmiało, Chris! Szybciej! Przeszywający ból za oczyma. Coś z tą szybszą jazdą. Co? W głowie jej dudniło i pomyślała: Chcę do domu.

Doktor był zdecydowanie przeciwny, ale nie mógł jej zatrzymać na siłę i wreszcie Andrews zabrał ją do domu.

Popołudnie przemijało leniwie. Słyszała ruch na Sto Szesnastej Ulicy, a odwracając głowę mogła zobaczyć Pacyfik połyskujący za Lincoln Boulevard, białe żagle pędzące do brzegu. Słońce gasło, morze stawało się płaskie, a w końcu zaskrzyło się twardym światłem, tak oślepiającym, że musiała zamknąć oczy.

Słyszała krzyki mew, raz głośniejsze, raz ciszej przebijały się przez warkot aut. Gdzieś płakało dziecko i urywany, pełen złości hiszpański wybuchał w krótkich seriach jak wymiana ciosów w spotkaniu bokserskim.

Nie pamiętała niczego z jazdy do domu ani tego, jak Andrews otworzył drzwi. Musiał wnieść ją do środka jak nowożeńiec pannę młodą, bo kiedy otworzyła oczy, była w swojej sypialni. Brakowało jedynie Rubensa. Przewróciła się na bok, wyciągnęła rękę, gładząc czubkami palców puste miejsce obok siebie. Zaczęła płakać.

- Panno Whitney, jeśli mógłbym coś...
- Po prostu mów do mnie.

Policjant milczał przez chwilę, może zastanawiając się nad tematem.

- Myślę, że była pani bardzo silna - rzekł w końcu.
- Kiedy?
- Gdy z Brafmanem zabraliśmy panią do Santa Monica.
- A, tak - wyszeptała. - Jak się czujesz?
- Słucham?
- Bobby mówił, że twój... szwagier? Tak, szwagier, został zabity.
- To prawda.
- Jesteś w porządku, Pete.
- Tak, proszę pani. Wiele przebywam ze swoją siostrą. - Słyszała, jak

podchodzi bliżej. - Dlaczego nie spróbuje pani zasnąć? Porucznik przyjedzie, gdy tylko skończy.

- Jesteś bardzo miły - wyszeptała, zapadając w sen.

Nie widziała niczego, nie czuła niczego, nie słyszała niczego, lecz wiedziała, że jest w ruchu. Pędziła przez kanion, którego ogromne ściany uwydatniały jej prędkość. Próbowwała zwolnić, jednak nie mogła. Za każdym razem tylko nabierała przyspieszenia. Podążała za jakimś kształtem i raz, kiedy się odwrócił, zobaczyła błyszczący pysk z płaskim czarnym nosem i wąskimi nozdrzami. Oczy były okrągłe i złote z wyjątkiem środków, gdzie widniały czarne pionowe szczeliny.

Gdy zobaczyła tę twarz, już nie chciała zwolnić. Wystrzeliła do przodu jak karabinowa kula.

I przebudziła się. Wokół panowała gęsta jak smoła ciemność. Środek nocy. Przez chwilę leżała, słuchając przyspieszonego bicia serca. Zamknęła oczy, ale wtedy znów zobaczyła ten okropny wilczy pysk. Otworzyła powieki. Pędziłam tak szybko, pomyślała, rozpamiętując sen. A potem, w oślepiającym błysku, wróciły do niej słowa Bobby'ego: Przy takiej prędkości mógł to być kamyk wyrzucony spod opony. Jednak wiedziała, że to nieprawda. „O Boże!” Kostki palców zbieleły jej z napięcia.

Przed nimi nic nie jechało. Tylko wielkie ociężałe ciężarówki ćwierć mili dalej, a ona ponaglała: „Szybciej, Chris! Śmiało, szybciej!”

Bonesteel miał rację. To nie był wypadek. I ten wysoki kształt. Ten samochód. Stary rols roys silver cloud: wóz.Nigela, który mignął we wstecznym lusterku motocykla tuż przed...

Usiadła na łóżku. - Pete? - zawołała. - Pete!

Przerzuciła nogi przez krawędź, wstała. Musiała powiedzieć Bobby'emu, co sobie przypomniała. Wyciągnęła rękę, zapaliła światło. I stanęła jak wryta. Drzwi szafy były otwarte, szuflady komody wyrzucone i rozbite na dywanie. I jej ubrania. Suknie porzniete na paski długimi cięciami noża, bluzki podarte, spodnie poszarpane. Podniosła rękę do ust, cofając się, byle dalej od tego przerażającego widoku. Dotknęła nogami boku łóżka i zawirowała.

Lampa rzucała kałużę światła na łóżko. Zobaczyła lekkie wgłębienie po lewej stronie, tam, gdzie spała, a tuż na prawo coś bladego, zwiniętego w kulę. Niewiele myśląc pochyliła się i wtedy poczuła męski zapach tak silny, że prawie się zakrztusiła. Ale mimo wszystko musiała się upewnić i dotknęła bladego przedmiotu.

- Mój Boże! - sapnęła. Patrzyła na swoje jedwabne majtki, ciężkie i lepkie od stygnącego nasienia.

Skoczyła do telefonu i jęknęła. Nie było sygnału. Odrzuciła telefon i odwróciła się błyskawicznie. Korytarz zionął czernią. Drżącymi i wilgotnymi rękoma przetrząsnęła ubrania. Znalazła całe dzinsy i włożyła je. Natknęła się na koszulkę, naciągnęła ją szybko przez głowę. Wyszła na korytarz. W połowie drogi do salonu zatrzymała się. Ledwo oddychała, szukając śladu znaku obecności Nigela - bo to musiał być Nigel.

Cisza była przytłaczająca. Strach wyostrzył jej zmysły, więc nagle stała się

świadoma niezliczonych drobnych dźwięków, na które nigdy wcześniej nie zwracała uwagi: skrzyp osiadającego drewna, suchy zgrzyt gałęzi o bok domu, pomruk lodówki w barze po drugiej stronie salonu.

W tej chwili gdy kuliała się w korytarzu, a jej dłonie zostawiały smugi potu na ścianach, wszystkie te ciche odgłosy uległy przerażającej metamorfozie. Oczyma wyobraźni zobaczyła w mroku ciemną twarz, broń w zaciśniętej ręce, napięte mięśnie podkradającej się postaci. Pomyślała o kawałku jasnego jedwabiu leżącego tak blisko miejsca, w którym spała, i przebiegło ją drzenie. Powietrze zdawało się trzepotać z przerażenia.

Zajrzała w ponurą ciemność salonu, jakby pragnęła, żeby jej prześladowca wreszcie się pojawił. Ten dom jest taki duży, pomyślała. Tyle miejsca do ukrycia. I gdzie jest Pete? Wiedziała, że nie może zostać dłużej w tej pozycji. Mięśnie zaczną się kurczyć i nie będzie mogła się ruszyć. Musi wstać i rozpocząć systematyczne przeszukiwanie każdego pokoju albo wyjść. Wstać i uciec. Nic innego nie mogła zrobić.

Potrzebowała broni i dlatego postanowiła pójść do kuchni. Rubens nie trzymał w domu pistoletów, lecz na ścianie obok kuchenki mikrofalowej wisiał zestaw różnorodnych noży. Najpierw jednak musiała sprawdzić, czy wszystkie telefony są głuche. Najbliższy był w salonie, w głębokiej szufladzie stolika koktajlowego w kącie towarzyskim.

Wyteżyła oczy, próbując przebić gęstą ciemność. Nic. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Cisza, tylko bicie jej serca. Dostała gęsiej skórki.

Zaczerpnęła powietrza, zebrała się w sobie, potem szybko ruszyła korytarzem, zapaliła światła w salonie, zewnętrzne w basenie, na korcie tenisowym, w olbrzymim ogrodzie. Teraz potrzebowała światła tak, jak normalnie żywności i wody. Światło stało się elementem warunkującym przeżycie: prymitywny organizm rzucał się na kraty klatki w przerażeniu; ciemność była równoważna śmierci.

Tłusta syrena obserwowała ją ze swej otoczonej pianą skały, gdy szła do sofy na środku salonu. Sofa stała tyłem do niej i mogła zajrzeć do kąca dopiero wtedy, gdy znalazła się bardzo blisko. Wtedy podskoczyła i krzyknęła.

Szuflada stolika była wysunięta, telefon przewrócony. Długi czerwony sznur był silnie napięty i owinięty na szyi Pete'a Andrewsa. Daina patrzyła na jego twarz, przez chwilę niezdolna do uczynienia najmniejszego ruchu. Policzki miał nadęte jak

syrena na obrazie, oczy wytrzeszczone. Z ust wystawał nieprawdopodobnie spuchnięty język, a w powietrzu wisiał taki smród, jakby Pete był dzieckiem, które jeszcze nie nauczyło się korzystać z toalety.

Coś zapiekło ją za oczyma i w głowie, po tej stronie, gdzie została ranna, zatętnił ból. Łzy napłynęły jej do oczu, ale opanowała się, wbijając paznokcie w dłonie. Nie! - wrzasnęła w myślach. Płacz po nim nie da ci teraz nic dobrego. Zaczęła myśleć o Nigelu, wspominając, co zrobił Maggie i może Chrisowi.

Obeszła kanapę, pobiegła do kuchni. Noże lśniły w jej wyobraźni jak czarodziejskie miecze. W kuchni nie było żywego ducha, jednak gdy zapaliła światło, z jej gardła wyrwał się jęk. Noże zniknęły. Gorączkowo zaczęła przeglądać szuflady i szafki, szukając czegoś, czym mogłaby się bronić. Nie znalazła niczego bardziej śmiertelnościowego od drewnianej łopaty.

Wróciła do salonu. Syrena spojrzała na nią z drwiącym zadowoleniem, bezpieczna na swojej skale. Dwa Oscary - jej i Rubensa - stały na kominku jak para żołnierzy.

Podeszła szybko do kominka, złapała swoją statuetkę. Zważyła ją w dłoni. Była dość ciężka, by ogłuszyć, o ile tylko zdoła porządnie się zamachnąć i dobrze wyceluje.

Wspięła się po trzech stopniach do drzwi po drugiej stronie salonu. Lniane kotary były zaciągnięte. Przełożyła złotą statuetkę do lewej ręki, prawą złapała skraj zasłony. Materiał zatrzepotał jak w przeciągu, a przecież wszystkie okna były zamknięte. Rozejrzała się czujnie, a potem uświadomiła sobie, że to drżenie jej ręki wprowadziło w ruch cienkie płótno.

Ostrożnie odciągnęła zasłonę, pochyliła się lekko i wyjrzała na zewnątrz. W blasku lamp ujrzała część kortu, lewy bok basenu, podświetlonego barwnymi światłami, fasadę białej ażurowej altany, a za nią... Altana!

Tam był telefon. Wiedziało o nim niewiele osób, ponieważ Rubens przeprowadzał z niego wyłącznie rozmowy w interesach. Gdyby udało mi się dotrzeć do altany, pomyślała, miałabym szansę. W dłoni czuła krzepiący ciężar statuetki.

Przesunęła się odrobinę i znalazła się przy dwuskrzydłowych drzwiach. Powoli podniosła rękę i nacisnęła mały metalowy uchwyt, który odblokowywał drzwi.

Opuściła rękę w dół i zacisnęła palce na gałce lewego skrzydła. Przekręciła ją, starając się zrobić to bezszelestnie, a potem powoli otworzyła drzwi.

Wyśliznęła się na zewnątrz.

Wokół niej noc żyła własnym życiem. Słyszała delikatny plusk wody w basenie, cykanie świerszczy, a raz, z daleka, dobiegł cichnący warkot samochodu.

Przełożyła statuetkę do prawej ręki, machnęła nią jak wahadłem, przyzwyczajając się do jej wagi i rozłożenia masy. Po co wlec ją ze sobą, jeżeli nie będzie przygotowana na jej użycie?

W porządku, powiedziała sobie. O to chodzi. Zacerpnij powietrza i ruszaj.

Skoczyła w prawo od domu i okrążyła płytszą część basenu, gdy usłyszała ostry głos.

- Daina!

Nie zatrzymała się ani nie obejrzała.

- Daina!

Zawołanie powtórzyło się i zobaczyła, że ktoś kieruje się w jej stronę.

- Daina, nie!

Potężny huk pistoletu zjeżył jej włosy na karku. Stała zadyszana nie więcej niż dwadzieścia stóp od altany. Wiedziała, że jeśli teraz się ruszy, on znów strzeli i tym razem ją trafi.

Podniosła głowę, gdy usłyszała szelest po prawej stronie. Zobaczyła ogromną czarną postać.

- Silka!

Szedł ku niej długim, pewnym krokiem. Był ubrany w czarne dżinsy i czarny golf. Miał buty na gumowych podszewkach, dzięki czemu poruszał się bezszelestnie. W jego prawym ręku zobaczyła długą lufę magnum 357.

Uśmiechnął się, idąc przez trawę, i aktorka odetchnęła z ulgą.

- Tak się cieszę, że cię widzę - rzekła. - Już drugi raz ratujesz mi życie.

Jego uśmiech przemienił się w szydercze, zimne szczyrzenie zębów. Podniósł lufę pistoletu, przycisnął ją do jej piersi. Jego głos był jak płynne srebro.

- Uratowałem cię w San Francisco tylko po to, żebym mógł mieć cię teraz.

Od tamtej nocy, kiedy trzymałem cię w ramionach, myślałem o tobie; o tym, co chcę ci zrobić. - Przynął do niej twarz i Daina szarpnęła się do tyłu, jak przerażona mysz przed hipnotycznie kołyszącym się łbem żmii.

- Nie...

- O tym myślałem, gdy patrzyłem, jak śpisz, i gdy wziąłem twoje majtki do...
- To ty! - sapnęła i rzuciła się do ucieczki, ale on złapał ją za rękę, znów przyciągnął do siebie.

Nie mogła znieść spojrzenia jego oczu. Były ogromne jak wszechświat, przysłaniały wszystko. Zacisnęła powieki, jęknęła cichutko. Usłyszała cichy brzęk i uchyliła powieki.

- Teraz - powiedział Silka - zrobimy ci mały zastrzyk, który, hmm, nieco cię rozluźni. - Trzymał w ręku coś, co przypominało miniaturową trumnę. Otworzył ją i Daina zobaczyła połyskującą strzykawkę, maleńką fiolkę bezbarwnego płynu. Łypnęła na nią szyderczo. - Wprawi cię w dobry nastrój.

Wyjął strzykawkę z pudełka, zaczął ją napełniać. Dainie nie trzeba było mówić, co zawierała fiołka: śnieg łamany strychniną.

- Chryste... - Serce tłukło się jak oszalałe, omywały ją fale strachu. - Nie musisz tego robić.

- Och, tak - mruknął mężczyzna. - Muszę.

Teraz potrafiła myśleć tylko o jednym: jak bardzo mylił się Bobby; jak jego obsesja na punkcie Nigela przysłoniła wszystko inne i miała stać się przyczyną jej śmierci. Wiedziała, że umrze po tym zastrzyku. Nie będzie miała anioła stróża, jakim ona była dla Chrisa w Nowym Jorku. A poza tym Silka na pewno udoskonalił dawkę.

Podniósł strzykawkę, lekko nacisnął tłok i kilka kropelek płynu zalśniło w świetle.

Skinął głową. - W porządku. - Igła strzykawki była ostra, śmiercionośna. Przygotował się do wbicia jej w miękkie ciało po wewnętrznej stronie łokcia.

W tej chwili aktorka podniosła prawą rękę, którą dotychczas trzymała swobodnie i nieruchomo u boku, i trzasnęła złotą statuetką w bok głowy Silki.

Ten stracił równowagę i zatoczył się, Daina zaś rzuciła się w kierunku gąszczu ogrodu.

Każdy krok przyprawiał ją o ból w krzyżu, jakby już tkwił w nim odłamek śmierci w stalowej koszulce.

Usłyszała huk i rzuciła się do przodu i w bok, i przeczołgała się przez ostatnie trzy jardy do pierwszej linii żywopłotów.

Dysząc podniosła się na ręce i kolana i wpełzła głębiej w zarośla. Znów

rozległ się huk. Instynktownie schyliła głowę, a chwilę później uświadomiła sobie, że strzelano z krzaków, nie w nie.

Pobiegła skulona zygzakiem w kierunku strzałów. Zobaczyła go za wielkim żywopłotem z ligustru - kuczał, celując starannie. Z pewnością usłyszał ją, ale nie chciał się dekoncentrować. Strzelił jeszcze raz, a potem ona znalazła się obok niego.

- Bobby! Mój Boże, to wariat!

- Fanatyk - poprawił Bonesteel, wyglądając przez lukę w liściach. Strzelił, zaklął: - Cholera! Ten sukinsyn jest dobry. Bardzo dobry. - Zerknął na nią. - Jest fanatykiem, a to wcale nie to samo. Zgoda, jest szalony, lecz w bardzo przebiegły sposób. - Szybko przeładował broń, strzelił.

- Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem - powiedział cicho. Kręcił głową, wypatrując śladu Silki. - Przycisnąłem facetów z laboratorium i w końcu dali mi, co chciałem. Chris został postrzelony w lewą skroń. Wyciągnęliśmy fragmenty kuli z tego, co zostało z jego czaszki. Ty byłaś...

- Silka ma magnum 357.
- Nie jestem zaskoczony... teraz.
- Od początku myliłeś się co do Nigela.
- Chodź - rzucił, łapiąc ją za rękę. - Ruszajmy, bo inaczej wystrzela nas jak kaczkę.

Poprowadził ją przez krzaki pod kątem do ostatniego strzału. Przykucnęli. Daina czuła ostrą woń prochu i ciężki smród strachu. Przez jej głowę jak błyskawice przemknęły sceny z *Heather Duell*. Zdawało się, że nie ma żadnej różnicy między tym, co czuła wtedy i teraz; jedno i drugie stopiło się nierozzerwalnie.

- Chcę dostać tego sukinsyna - wyszeptała - za to, co zrobił Maggie i Chrisowi. Za nieszczęście, jakie spowodował.

Zacisnął rękę na jej ramieniu. - Musisz stąd odejść. Tu jest zbyt niebezpiecznie...

- Jeżeli myślisz, że cię zostawię, to...
- Rób, co powiedziałem! - syknął dziko, popychając ją. - Wynoś się stąd w diabły. Zjem tego sukinsyna na kolację, nim ty...

Usłyszała huk i w *tej* samej chwili zobaczyła grymas na jego twarzy. Rozpamiętując to z perspektywy doszła do wniosku, że przecież musiała być jakaś

kolejność zdarzeń.

Porucznik skoczył ku niej, na nią, przewrócił ją. Czuła jego serce zderzające się z jej sercem.

- Chryste! - wyszeptał. - Jezu Chryste!

Widziała rysy ściągnięte z bólu, ból w oczach, ciemnych i nawiedzonych. Skóra pokryła się błonką potu. Daina poczuła poszerzającą się między nimi kałużę wilgoci.

- Bobby! - zawołała. - Och, Bobby!

Usłyszała szelest liści, zobaczyła, jak długie łodygi chyłą się w jej stronę. Niewiele myśląc wyrwała z ręki Bonesteela rewolwer, wysunęła się spod bezwładnego ciała i uciekła. Kula przeleciała ze świstem tuż na lewo od niej. Aktorka sapnęła, zmieniła kierunek i popędziła obok trzech pni i wysokich rozkołysanych paproci.

Odwróciła się raz i widząc jakiś ruch pociągnęła za spust. Pistolet poderwał się w jej dłoni, nie była na to przygotowana, i musiała przytrzymać go drugą ręką. Drżąc ruszyła dalej. Strach zaćmiewał wszystko, czego nauczył ją Jean-Carlos.

Zdała sobie sprawę, że płacze, i przywołała się do porządku. Dalej! Weź się w garść. Jeżeli tego nie zrobisz, zginiesz. Teraz nie ma nikogo między tobą a nim.

Przykucnęła za pnem wysokiej palmy, nasłuchując. Panowała cisza. Strzelanina spłoszyła ptaki i nawet świerszcze zamilkły. Ale z drugiej strony huk wystrzałów mógł zostać wzięty za strzały w gaźniku. Nie mogła liczyć na reakcję sąsiadów.

Czuła pracujące z wytężeniem serce i smród strachu. I pomyślała: Przynajmniej mam to, czego chciałam; osiągnęłam to, po co tyle lat temu poszłam do Baby.

Powoli wychyliła się, spojrzała w prawo i lewo, i cofnęła pospiesznie, gdy kula odbiła się rykoszetem od pnia i brzęcząc jak pszczoła odleciała w noc. Podniosła pistolet, złapała go oburącz i strzeliła. Tym razem była przygotowana na kopnięcie i pocisk poszedł tam, gdzie mierzyła. Strzeliła jeszcze raz.

Cisza.

Gdzie on jest?

Jedynie kołyszące się statecznie czubki wysokich palm.

Czas iść. Wstała, zrobiła krok w lewo i kula zajęczała, wrywając z ziemi

kępkę trawy. Uderzyła niecałe cztery cale od czubka jej buta. Cofnęła się i pomyślała: Chryste, ma mnie na widelcu.

Czuła się całkowicie bezradna. Zaczęła opuszczać ją energia. Nie mogła się ruszyć, a to oznaczało samobójstwo. Nawet gdyby zamiast przez parę tygodni ćwiczyła z Jean-Carlosem całymi latami, nie mogłaby mieć wielkich nadziei na pokonanie kogoś o doświadczeniu i sile Silki. Pewne rzeczy po prostu ją przerastały.

Z przygnębieniem otworzyła bębenek trzydziestki ósemki. I zacisnęła zęby. Zostały dwa naboje. Zatrzasnęła bębenek, zamknęła oczy. Głowa ją bolała i znów zaczęła płakać. Czy tak zachowywały się Heather? O Jezu, przestań żartować. To nie film. Odsiecz przybyła i została pobita.

Bobby. Pomyślała o nim. Co z Bobbym? I Chrisem, i Maggie. Co z nimi wszystkimi? Nikt nie będzie wiedział, co się stało. Nawet ona, tak bliska rozwiązania zagadki, nie potrafiła dopasować wszystkich elementów. Czy ktoś inny mógłby to zrobić? Niemożliwe.

Zerwał się wiatr, wysuszając pot na jej skórze. Zadrżała. Nad głową trzepotały palmowe liście, uginały się i machały, jakby chciały ją ostrzec.

A co z Heather? Na ile naprawdę jej wizerunek był fałszywy? Do tej chwili Daina byłaby gotowa postawić wszystkie swoje pieniądze, że wcale.

Czy film był tylko wyczarowaną przez nich fantazją? Gdyby była mężczyzną, mogłaby, chciałaby... lecz nie urodziłam się mężczyzną, pomyślała ze złością. Jestem tym, kim jestem i to nie stanowi różnicy. Jednak stanowi, Boże dopomóż. Teraz widzę, że tak.

Patrzyła bezradnie na pistolet trzymany w rękach między kolanami. Przez chwilę panowała cisza i wyraźnie usłyszała szelest, jakby podkładał się do niej jakiś nocny drapieżnik. Słyszała, jak się zbliża. Zostało niewiele czasu.

Obróciła się na kolanach, wyrzała zza pnia. Ale nie zobaczyła nikogo, jakby Silka stał się niewidzialny. Jean-Carlos nie mówił o czymś takim ani słowa.

A potem nagle pojaśniało w głowie, jakby bliskość śmierci przemieniła wnętrze jej głowy w kryształ. Dni uleciały jak liście, wszystkie te tygodnie, miesiące, i z powrotem znalazła się na tym dziwnie oświetlonym poddaszu na ulicy Trzeciej Zachodniej, i słyszała Jean-Carlosa: „Nigdy nie ufaj broni automatycznej. Jak się rozgrzeje, ma tendencje do zakleszczania”. Popatrzyła na police positive 38. To był rewolwer. Coś mówił o rewolwerach - tylko co?

Jacarandy wyszeptaly jej imię i podniosła głowę. Cienki strumyczek potu toczył się dręcząco wolno wzdłuż jej kręgosłupa.

Chryste, pomyślała. On tu jest. A ja nadal go nie widzę. Bawi się ze mną.

„Bawić się!” Sapnęła, spojrzała z drugiej strony pnia. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, serce waliło jak młot. Jean-Carlos powiedział: „Z kobiecego punktu widzenia sytuacje często są trudne... wiele razy niemożliwe do opanowania. Rzecz w tym, żeby się nie poddawać”. Przeszył ją wzrokiem i mogła sobie wyobrazić, jak ucieka z Morro Castle, z bólem zostawiając za sobą wszystkich, którzy coś dla niego znaczyli. „Gdy twój przeciwnik spodziewa się braku siły, zabaw się z nim. Patrz, pokażę ci sztuczkę i wtedy zrozumiesz, dlaczego sam używam rewolweru.”

Oddech ze świstem wrywał się z jej rozchylonych ust. Drżącymi palcami ponownie otworzyła bębenek. Były na miejscu: dwa ostatnie naboje. Ostrożnie przekręciła bębenek. Już! Wysunęła język, oblizała spierzchnięte wargi. Wiedziała, co musi zrobić.

Odwróciła się, czekając na niego.

Noc była bardzo spokojna, wiatr zamierał w locie. Musiał nadciągnąć znad Pacyfiku, gdyż czuła wilgoć otulającą ramiona i tułów jak warstwa wosku.

Zobaczyła ruch między żywopłotami, bardzo blisko - bliżej, niż sobie wyobrażała - wycelowwała i powoli nacisnęła na spust. Rozległ się głośny szczęk iglicy i nic poza tym. Tylko echo - szydery śmiech dobiegający z pustej komory. Silka nie musiał wiedzieć, że Bobby przeładował pistolet. Czy liczył strzały? Daina byłaby zdziwiona, gdyby było inaczej.

I wyłonił się jak sataniczny Adam spośród wysokich kwiatów i krzewów ogrodu. Podszedł prosto do niej, z magnum trzymanym swobodnie u boku.

Wycelowwała, znów nacisnęła spust, usłyszała jedynie najgłośniejszy szczęk w świecie, odbijający się echem w nocy. - Cholera!

Mężczyzna odrzucił głowę w tył, roześmiał się.

- Już ci nic nie zostało, kochanie - rzekł wolno - tylko to. - Podniósł pistolet, nawet nie zadając sobie trudu wymierzenia w nią. Nie było potrzeby. Mógł sobie na to pozwolić. I delectować się tą chwilą. Daina doszła do wniosku, że był typem człowieka, któremu sprawia przyjemność to, co robił. Nie tylko profesjonalną, ale jakąś większą. Dużo większą.

Nadszedł czas. Zdobyła Oscara za rolę w *Heather Duell*, jednak to było nic w

porównaniu z tą, jaka ją czekała. Jeżeli nie uda jej się zagrać przekonująco, zginie w ciągu pięciu minut.

Zrobiła przerażoną minę. Nie wymagało to wielkiego wysiłku.

- Nie musisz tego robić, Silka - powiedziała drżąco. - Mogę być dla ciebie bardzo dobra. Jaki jest sens w zabijaniu mnie? Już mnie nie chcesz?

- Chcę - odparł, podchodząc bliżej. - I jeszcze będę cię miał. Tylko najpierw przyłożę ci magnum do głowy i rozpieprzę ci mózg. - Dziko wyszczerzył zęby. - To będzie przyjemne, bardzo. Przysporzyłaś mi mnóstwo kłopotów. - Potrząsnął głową. - Baby już takie są, wślizgują się wszędzie i zagnieżdżają... jak wszy.

Niestety, teraz muszę porzucić to wszystko, tę słodką raketę, którą tak długo pędziłem, kupując broń za pieniądze kapeli, przerzucając ją ich odrzutowcem do Irlandii Północnej. - Wbił w nią płonące oczy. - Gdyby Chris nie zrobił się taki sprytny, nigdy nie sprawdziłby rachunków i nie odkrył, że nawet przy całej rozrzutności Heartbeatsów wydatki są o wiele większe. Nigdy by mnie nie podejrzewał, a ja nie musiałbym go zabijać. Wszystko nieuchronnie wiodło do tej krwawej łaźni.

Wzruszył ramionami.

- Ale jestem przyzwyczajony do śmierci; wolność powstaje ze skrwawionych trupów. - Zdawało się, że ziemia drży pod jego stopami, gdy szedł w jej stronę. - Moi dwaj bracia, tak pełni ideałów, poszli w ślady ojca i w Irlandii Północnej wstąpili do IRA. Pewnego dnia dostałem list od Dana. „Ned został zabity”, pisał. „Ci cholerni protestanci załatwili go w czasie nalotu.” Ned miał tylko siedemnaście lat, był z nas najmłodszy. On i Dan pracowali razem. „Potrzebujemy cię teraz”, pisał Dan.

Właśnie wyszedłem z marines. Chciałem walczyć, lecz dla sprawy, w którą naprawdę bym wierzył. Pojechałem do Belfastu, zobaczyłem, jak jesteśmy traktowani w swej własnej ojczyźnie. Sześć miesięcy później razem z Danem wróciliśmy do Bostonu i zaplanowaliśmy napad na zbrojownię Straży Narodowej. Zabraliśmy skrzynie z pistoletami maszynowymi M-60 do Meksyku, a potem zorganizowaliśmy przerzut.

Dan wrócił z nimi, a ja zostałem. W Belfaście spotkałem ciemnowłosą dziewczynę o oczach jak szmaragdy. Ona także pracowała nad pewnym planem. Wielu z kierownictwa IRA było przekonanych, że plan nie zadziała; ona wiedziała, że

się mylą.

- To była siostra Nigela - wtrąciła Daina.

Silka szeroko otworzył wyprane z koloru oczy.

- Tak - przyznał. - Więc wiesz to wszystko. Defraudacja, przemyt broni... to jej pomysł. Jakże ona nienawidzi swego brata hedonisty, który robi wielką forszę, ale wypina się na sprawę wolnej Irlandii! Miałem mnóstwo kontaktów w Stanach i dzięki temu znalazłem się na kolacji Stowarzyszenia Wytwórni Nagraniowych obok Benna Cutlera. Sprzedanie mu mojej bajeczki nie było trudne - lecz z kapelą było inaczej.

Górował nad nią, stojąc na lekko rozsuniętych nogach.

- Byli niebezpieczni, wszyscy na swój sposób. Z drugiej strony jednakże przypominali dzieci: lubili nagrody. Dzięki swoim powiązaniom zawsze byłem dobrze zaopatrzony w narkotyki. Spodobało się im to. I przypadł im do gustu fakt, że byłem twardy; fizycznie silny. Wynajęli mnie i mogli mi rozkazywać. Zapewniłem im dobre samopoczucie.

Jego twarz była twarda jak granit, oczy nie mrugały.

- Obrabiałem ich przez dziesięć lat. Oczywiście siostra Nigela miała dopracowany plan ściągania im pieniędzy, ale, zabawne, nie był konieczny. Tyle forsy szło na narkotyki i starannie omijało księgi, że zachowanie podstawowej ostrożności gwarantowało mi bezkarność.

Naturalnie Jon trochę nabruździł, bo raz się na mnie napatoczył. Oczy miał szkliste i myślałem, że jest na takim haju, że nie zauważy, co się święci. Lecz Jon nie był głupi - przyszedł do mnie później, chciał forsy i... innych rzeczy za trzymanie gęby na kłódkę. Biedny, sadystyczny Jon. - Mężczyzna wzruszył masywnymi ramionami, przechodząc przez niski, idealnie przycięty żywopłot.

- No cóż, nie było wyboru. Musiałem się go pozbyć. Ale dyskretnie, rozumiesz. Dyskretnie. Nie mogłem sobie pozwolić nawet na cień podejrzenia.

Uśmiechnął się.

- To byłoby takie proste, poważnie. Jon był tak uzależniony, że jego śmierć z przedawkowania nie wzbudziłaby najmniejszych podejrzeń. Prawdę mówiąc byłoby dziwne, gdyby w końcu nie przegiął.

Jednak potem zobaczyłem, co się dzieje w kapeli i pomyślałem: Mój Boże, jest lepiej, niż mogę marzyć. Pozwolę, by oni zabili go dla mnie. - Znów wzruszył ramionami. - Oczywiście nieco strychniny w śniegu pomogło Jonowi wyprawić się na

wielki koncert w niebie. - Roześmiał się, był to ostry, krótki szczek. - Pierdoleni amatorzy. Inaczej z pewnością wyczułby gaz.

Zatrzymał się tuż przed nią.

- Teraz - rzekł ochryple - zamierzam odebrać zapłatę za te wszystkie lata wiernej służby kapeli i wolnej Irlandii. Zabicie Maggie było moim ostatnim zadaniem dla IRA. Jadę do domu na długi odpoczynek z mnóstwem forsy w kieszeni. - Zrobił jeszcze krok i Daina podniosła rewolwer.

Był tak blisko, że nie musiała celować, wystarczyło pociągnąć za spust. Ułamek sekundy wcześniej zobaczyła początki zrozumienia na jego twarzy - jego własną śmierć odbitą w okrutnych, lodowatych oczach.

Ogromne napięcie mięśni ramienia rozprzestrzeniło się wzdłuż ręki do palców. Drobnymi mięśniami zaczęły zginać palec, by nacisnąć, nie, na miłość boską, szarpnąć za spust.

Różne obrazy pojawiły się przed jej oczyma, przysłaniając tak blisko stojącego Silkę. Zdemolowane wnętrze domu Chrisa, wybebeszona kolumna pełna krwi, ciała i połamanych kości, które niegdyś składały się na myślącą, odczuwającą ludzką istotę.

Opuszka palca przylgnęła szczelnie do ciepłego jak krew metalu, wyczuła napięcie mechanizmu spustowego czekającego, by zwolnić iglicę. Daina zobaczyła rozmazaną plamę. Druga broń - ze śmiertelnie przerażającą dziurą na końcu długiej lufy - podnosiła się z zatrważającą szybkością. Daina wiedziała, że z każdym ułamkiem sekundy traci przewagę, którą dała jej chwila zaskoczenia.

Ból wykrzywił jej rysy, zmusił do zmruczenia prawego oka, czuła się tak, jakby właśnie wyskoczyła z okna na piątym piętrze. Ale płynąca w krwi adrenalina na moment wstrzymała ogrom bólu.

Palec wskazujący nieuchronnie naciskał spust, i znów słyszała wrzask, widziała czarne i dymiące opony znaczące zatłoczoną jezdnię, i motocykl rozpoczynający swój ostateczny ślizg ku nicości. Czarny hełm Chrisa, światło przenikające jak laser wypukłą powierzchnię, i ten zapach, i wznosząca się mewa, wrzeszcząca bez końca, podczas gdy okno zapada się i nabrzmiewa kula ognia, rozpościerają się krucze skrzydła...

Trzydziestka ósemka ryknęła ogłuszająco. Silka został rzucony w tył, w chwili gdy po raz drugi nacisnęła na spust.

Siła strzału z bliskiego zasięgu oderwała go od ziemi, obróciła w powietrzu.

Krew trysnęła na trawę jak deszcz. Celowała w serce i Jean-Carlos byłby z niej dumny.

Wstała, podeszła do mężczyzny. Olbrzymie magnum leżało tuż obok wyciągniętej prawej ręki. Twarz teraz była pozbawiona wyrazu; nic nie świadczyło, że kiedykolwiek był myślącym stworzeniem, pełnym nienawiści, żądz i gniewu. Szkliste oczy były puste jak soczewki.

Aktorka pozwoliła, by rewolwer wysliznął się z jej ręki. Odwróciła się i pobiegła do Bobby'ego. Żył jeszcze. Znów go zostawiła, pobiegła do altany. Jej obcasy bardzo głośno stukały na kamieniach, a potem na cegle w pobliżu basenu.

Przeprowadziła rozmowę i wróciła do detektywa. Położyła jego głowę na kolanach i po pewnym czasie otworzył oczy.

- Gdzie on jest? - Był to tylko szept. Pochyliła się, żeby mógł ją usłyszeć.
- Nie żyje, Bobby. Zastrzeliłam go.

Oczy mu zamigotały. Słyszała dalekie zawodzenie nadciągającej karetki i wozów policyjnych.

- Wykonywałem tylko swoją robotę - powiedział. - Myślę, że powinie nie trzymać się pisania. - Zawodzenie było coraz głośniejsze, przebijało się między drzewami w coraz silniejszych falach.

Daina miała wrażenie, że krew wypływa z niego strumieniami i przycisnęła dłonie do rozszarpanego ciała. Pomyślała o Babie. - Cicho, Bobby. - Dotknęła jego ramienia. - Odpocznij. Ambulans już prawie tu jest.

Pojechała do Cedars-Sinai z Bonestealem, trzymając go za rękę, jakby ten kontakt ciała z z ciałem pomógł utrzymać go przy życiu. Jego twarz była blada, ledwo rozpoznawalna pod przezroczystą maską tlenową. I wszystkim, co słyszała prócz wycia syren był chrapliwy zgrzyt jego nierównego oddechu.

Sparaliżował ją strach, że Bobby może nie przeżyć. Pomyślała wtedy o technicolorowych zachodach słońca, gdzie wszyscy żyją szczęśliwie na zawsze, i o swej mocy wyczarowywania tych zachodów.

Porucznik leżał na stole operacyjnym ponad sześć godzin i powtarzała sobie jak litanię, że to dobrze, że gdyby miał umrzeć, stałoby się to od razu.

Przez ten czas wychodziła z poczekalni tylko do ubikacji. Nic nie jadła. Kiedy ktoś przyniósł jej kawę, wypła ją posłusznie. Siedziała na krytej plastikiem kanapie w

kolorze kiczowatego zachodu słońca i patrzyła na swe białe, zaciśnięte ręce.

Pierwsze półtorej godziny minęło jak z bicza strzelił. Wokół niej roili się gliniarze, podenerwowani znalezieniem trzech ciał w jednym miejscu, w tym porucznika-detektywa z wydziału policji. Powiedziała im wszystko, co wiedziała - zachowała dla siebie jedynie wyznanie Bobby'ego dotyczące Nigela; mogłoby ono tylko zaszkodzić im obojgu. Ubrany po cywilnemu detektyw, być może partner Bonesteela, w końcu wypędził wszystkich, a potem przyniósł jej kubek namiastki zupy pomidorowej, która miała smak metalu i czasu.

Później było znacznie gorzej, bo została sama. Bez zainteresowania przyglądała się detektywowi, który telefonował w połowie korytarza. Rozpaczliwie pragnęła, by Bobby przeżył. Wmawiała sobie przez resztę tych dręczących godzin, że jeśli tylko uwierzy, wszystko będzie dobrze.

Wstała z niewygodnej kanapy, podeszła do okien. Wychodziły na zachód, w kierunku Pacyfiku. Na ulicy Trzeciej Zachodniej warczały samochody. Ktoś wysiadł z BMW, potrząsnął pięścią w powietrzu.

Niedaleko dwie dziewczyny, tak młode, że piersi miały zupełnie płaskie, jechały na wrotkach wzdłuż ulicy. Były gibkie; płowe jak lwice, długie jedwabiste włosy powiewały za nimi niczym skrzydła wrózek. Trzymały się za ręce i odrzuciwszy w tył głowy, śmiały się z zamieszania, jakie wywołały. Ich figury taneczne były tak skomplikowane, że przywiodły Dainie na myśl Astaire'a i Rogers. Złota para śmigała coraz szybciej, jak wahadło napędzane własną mocą, wykonując zapierające dech manewry jedna po drugiej, wyzwolone i wreszcie wolne, zatracone w tańcu.

Wiedziała, że pokochała Bobby'ego, nie jak kochanka, ale jak przyjaciela. Jednak teraz zdała sobie sprawę, że był on prawie tak niebezpieczny jak Silka; jego obsesja sprawiła, że nie mógł być dobrym gliną. Gdyby miał okazję, może nawet zastrzeliłby Nigela.

Coś w niej pękło, miała wrażenie, że osuwa się w przepaść, czarną i niezgłębioną jak sam kosmos, poszerzającą się z każdą chwilą. Nie wiedziała, jak można czuć cokolwiek innego.

Usłyszała hałas po drugiej stronie korytarza. Pojawili się reporterzy i kamerzyści. Jedynie trzech umundurowani gliniarze oddzielali ją od tego motłochu. Detektyw z rękoma w kieszeniach z zapalem mówił coś do wypchniętego przed jego

twarz bukietu mikrofonów, lecz nie ustąpił z drogi.

Dziewczynki zniknęły z ulicy i płynny szereg samochodów znów ruszył, z East Los Angeles do Encino, muzyka wylewała się z włączonych odbiorników. Jak śmietana z dzbanka, pomyślała. Było tak, jakby dziewczynki nigdy nie istniały.

Usłyszała tupot stóp i drzwi sali operacyjnej stanęły otworem. Kiedy pojawił się spocony chirurg, wiedziała, zanim otworzył usta.

- Nie udało się. Przykro mi, panno Whitney. Zrobiliśmy wszystko, co tylko możliwe. - Jego słowa mijaly ją jak wiatr. - Było nas trzech. - Jak matador po korridzie był zbyt zmęczony, by od razu zdjąć wilgotne, pożyczowane czerwienią rękawiczki, atrybuty swego zawodu. Gdy wreszcie zaczął je ściągać, wydały okropnie piskliwy dźwięk. - Jeżeli to jakaś pociecha, walczył. Bardzo.

- Nie - powiedziała. Odwróciła się i ruszyła wyłożonym zielonymi kafelkami korytarzem obok detektywa o poblądłej twarzy. - To nie ma najmniejszego znaczenia.

14

Rubens zastał Dainę czekającą w korytarzu. Ranek był bardzo jasny, a on zostawił okulary przeciwsłoneczne w samolocie. Kiedy otworzył drzwi, wnętrze domu wydawało się bardzo ciemne i zatrzymał się na chwilę, aby oczy przystosowały się do mroku.

Na początku widział tylko jej sylwetkę, wysoką, smukłą i wspaniałą - prawie, pomyślał, jak doskonały okaz rzeźby.

Potem ona poruszyła się i dotarł do niego jej delikatny zapach; poczuł szczególne napięcie mięśni na karku i był w kłopotcie, próbując je wyjaśnić.

Po chwili zobaczył ją wyraźnie. Miała na sobie jasną bawełnianą sukienkę w kolorze winogron. Znad jej prawego ramienia patrzyła na niego smutna, mądra twarz el Greca.

- Dowiedziałem się o wszystkim w drodze z lotniska - powiedział.

- I o Chrisie. Przypuszczam, że trochę się spóźniłem. - Stał nieruchomo jak skała, patrząc na nią z bliska. W jego oczach malował się strach, jakby jego nieobecność mogła się stać przyczyną jej śmierci. - Dobrze się czujesz?

- Doskonale.

- A twoja twarz?
 - Będzie normalna. Za jakiś czas. - Popatrzyła na niego żartobliwie.
- Nie chcesz mnie dotknąć?

Jakby jej słowa były rozkazem uwalniającym go z niewoli, rzucił walizkę i torbę. Wziął ją w ramiona.

Ten kontakt spowodował, że jej chłodne opanowanie legło w gruzach. Przerazenie i namiętność, które desperacko próbowała trzymać na wodzy, wyrwały się spod kontroli i wtuliła się w niego jak dziecko.

- Już po wszystkim - wyszeptał, delikatnie gładząc jej włosy. - Po wszystkim. - Ale to on drżał.

- O co chodzi, Rubensie? - Przywierając do niego czuła, jak przenika ją jego siła.

Bałem się, że nie żyjesz. - Dziwne brzmienie jego głosu sprawiło, że włosy zjeżyły się jej na karku. - Albo że jakoś się zmieniłaś. - Jestem taka sama - zapewniła, ani trochę w to nie wierząc. - Jestem taka sama jak zawsze.

Spojrzał przez korytarz do salonu.

- Wygląda tak, jakby tu nic nie zaszło. Jakby to był sen czy coś takiego. - Popatrzył na nią. - I tak to nazywajmy. Złym snem. - I pocałował ją mocno w usta, jakby to mogło wypędzić całe zło, które hulało tu tak niedawno. - Gdzie Maria?

- W kuchni.

- Zostań tu - rzekł pogodnie. - Poproszę, by przygotowała nam potężny lunch, zabierzemy go na łódź. Uśmiechnął się do niej. - Nie zapomniałem o obietnicy.

Wyruszyli w czasie ładnej pogody, ale wkrótce spowiła ich niska morską mgła i chociaż byli dość blisko brzegu, Daina nie mogła dostrzec lądu. Płynęli leniwie na południowy zachód, a dokładniej w kierunku San Diego. Rubens nie wspominał o miejscu przeznaczenia, a Daina nie pomyślała, by o to zapytać. Nie było potrzeby. Morze było ich jedynym przeznaczeniem; ich jedynym celem - bycie razem.

Maria przeszła samą siebie, przyrządzając zimne kurczę na słodko-kwaśno, tortille i enchilada, sałatkę z pomidorów i cebuli w oliwie i z bazylią. Dołożyła świeżo upieczony bochenek francuskiego chleba z ziarnem sezamu, jak Daina lubiła, i butelkę mocnego, wytrawnego włoskiego gattinara.

Trzymali wachty na mostku, po kolei sterując łodzią, nie rozmawiając o

niczym ważnym. Później Rubens zostawił koło sterowe w doświadczonych rękach aktorki i zszedł na dół, by uciąć sobie krótką drzemkę. Kiedy wrócił o zmierzchu, był ubrany w granatowe marynarskie spodnie, trykotową koszulę z krótkimi rękawami i znoszone espadryle. - Zjemy za godzinę - oznajmił.

Rzucił kotwicę, zapalił światła nawigacyjne i razem zeszli na dół. Przy kolacji powiedział:

- Mam dla ciebie niespodziankę.

Spojrzała na niego, badając każdy rys - ciemne, niezgłębione oczy, silny, jastrzębi nos, wyraziste usta - i zastanawiała się, jak kiedykolwiek mogła bać się tego człowieka.

- Co?

Iskry zapaliły się w jego oczach.

- Prezent - rzekł z zamaszystym gestem prestidigitatora. - Cokolwiek zechcesz.

Oczywiście wiedziała, że żartuje.

- Och, naprawdę? Zobaczmy. Ciekawe. Co myślisz o Tadź Mahal?
- Daj mi tydzień - odparł z całą powagą. - Jeżeli naprawdę myślisz o tym serio.

- Tadź Mahal jest trochę wielki. - Wtedy uświadomiła sobie, że coś jej umknęło. - Nie żartujesz, prawda?

- Nie. - Ujął jej rękę. - Chcę podarować ci to, czego pragniesz najbardziej w świecie. Coś, czego nikt inny nie może ci dać. Co to będzie?

Co? - zastanowiła się. Futra, ubrania, biżuteria. Podróż dookoła świata. Pomyślała o rollsie grand corniche, o lotusie formuła I, o odrzutowcu lear. Pomyślała o obrazach starych i współczesnych mistrzów; Rembrandt byłby miły albo Picasso. Zawsze uwielbiała Moneta. Czego by nie dała, żeby mieć jego płótno! Jednak nie mogła powiedzieć niczego. Była zbyt oszołomiona. Muszę poczekać z podjęciem decyzji, pomyślała. Przynajmniej do jutra. Rubens wydawał się rozczarowany, gdy mu to oświadczyła, ale zrozumiał.

Tej nocy kochali się długo i leniwie, zgodnie z delikatnym kołysaniem łodzi. Lecz-gdy Daina zaczęła zapadać w sen, gdy zawisła na tej cienkiej, efemerycznej linii między oboma światami, poczuła, że jej serce oplatają macki niepokoju. Próbowała

zdefiniować jego źródło, nim to się jednak stało, zasnęła.

Budziła się, przechodząc ze snu w sen, jak jej się wydawało. Spacerowała ulicami europejskiego miasta. Miasta nad morzem, chociaż nie potrafiła określić jakim. Promienie słońca grzały jej ramiona, płytki pod stopami miały barwę malowniczych wzgórz po lewej stronie. Była spragniona i zatrzymała się pod pasiastym parasolem ogródkowej kawiarni, lekko wystrzępionym i spłowiałym. Zamówiła americano, lecz gdy podniosła napój do ust, okazał się tak słony, że nie mogła go wypić. Przyzywała kelnera, na próżno starając się przyciągnąć jego uwagę. Wołała, wołała...

Przebudziło ją wołanie. Albo dźwięk bardzo podobny. Leżała w podwójnej koi, z Rubensem u boku, i czekała na powtórzenie się dźwięku. Wiedziała, że się powtórzy. Czekając rozmyślała o swoim śnie. To miasto. Z pewnością była w nim kiedyś, wydawało się takie znajome. Zastanowiła się głęboko. Nad morzem. Mogło to być Morze Śródziemne. Tak, wobec tego... Neapol! Oczywiście! To był Neapol. Ale nie była tam, och, co najmniej dziesięć lat. Co z tym Neapolem...?

Potem z jakiegoś powodu pomyślała o Bullfinch's *Mythology*. Było lato, gdy czytała ją zachłannie od deski do deski i kiedy skończyła, zaczęła od początku. Neapol.

Wtedy zaskoczyła. Legenda o jednej z syren: Parthenope, która po tym, jak Ulisses umknął swemu przeznaczeniu, oszalała z wściekłości rzuciła się w morze. Jednak zamiast utonąć, została wyrzucona w Neapolu. Daina przypomniała sobie zamówione w zalanej słońcem kawiarni americano i jego słony smak; słony jak morze. Zadrżała.

I dokładnie w tej samej chwili usłyszała dźwięk, który ją przebudził, ciche nawoływanie, dochodzące jakby ze wszystkich stron. Było tak intensywne, że nawet kadłub łodzi zdawał się wibrować. Usiadła, rozejrzała się. Brzmiało przez bardzo długi czas. Pieśń żałosna i prawie hipnotyczna.

Wstała, włożyła dzinsy i golf, wyszła na pokład. Świtało. Mgła podniosła się i morze rozciągało się we wszystkich kierunkach. Nie było wiatru, powierzchnia wody była nieruchoma i gładka jak szkło. Najmniejsza zmarszczka nie burzyła pozaczasowej powłoki.

Poszła na rufę, oparła łokcie na relingu i wdychała głęboko chłodne powietrze. Sprawilo ono, że pomyślała o zimnej wodzie, o brei w rynsztokach, kleistej, lepkiej i

czarnej od sadzy, o długich, ciemnych ulicach pełnych lśniących czarnych twarzy i ryczących odbiorników nastawionych na stację WWRL, James Brown ryczący w noc, o zachwaszczonych, tonących w śmieciach podwórzach przed wyburzonymi budynkami, o parze wyrzygiwanej spod ziemi.

Wyczarowała podziemny świat z drugiego brzegu Styksu, tuż za Zanzi Barem. Czarne błyszczące twarze, żółtooki, o białych zębach, patrzące na nią wrogo... Wspomnienia z innego czasu.

Serce waliło jej w piersiach, gdy słuchała cichego zawodzenia dobywającego się z kolosalnego łona Pacyfiku, które brzmiało jak wezwanie samego morza. Niebo jaśniało. I nagle wszystkie jej myśli stały się niematerialne jak wiatr. Wszystkie, prócz jednej, wirującej w jej wyobraźni niczym lśniący złożony miecz. Raz próbowałam, pomyślała, lecz wtedy byłam tylko dzieckiem, przekonanym, że voodoo może zrobić to za mnie. Cóż, teraz jestem kobietą. I posiadam moc.

Potem obok niej stanął Rubens z kubkami parującej kawy w dłoniach. Wzięła kubek, napiła się chciwie, przyciskając ręce do gorącego naczynia.

Wiedziała, co chce mu powiedzieć, ale gardło miała tak ściśnięte, że musiała odczekać chwilę, odpocząć, nim znów otworzyła usta i dziwnym, chrapliwym głosem zaczęła:

- Jest pewien człowiek. W Nowym Jorku. Znam go... od dawna. Zabił... mojego przyjaciela, kogoś, kogo kochałam. Wdarł się do jego mieszkania i zastrzelił go jak zwierzę. - Kręciło się jej w głowie, żołądek skurczył się gwałtownie. Wcześniej nikt oprócz niej tego nie wiedział. - Nie wie, że tam byłam, że widziałam, co zrobił. - Jak to powiedział Bobby? Nie można zapominać o starych przyjaciółach. Nigdy, o, nie.

Patrzyła w twarz Rubensa, świadoma, że dźwięki morza napływają jak niewidzialne fale, jak hipnotyczny śpiew syren.

- To, co się przytrafiło Ashleyowi... - Mężczyzna popatrzył na nią w szczególny sposób, oczy miał twarde i ciemne, i pełne migocącego gniewu. - Pytałeś, czego chcę nade wszystko - podjęła, odwracając wzrok. - Chcę, by to samo spotkało tego człowieka.

Rubens objął ją i razem poszli na mostek. Wcisnął guzik i kotwica wyłoniła się z wody. Gdy przygotował wszystko do drogi, rzekł: - Słuchaj. Wieloryby wołają do siebie, długa samotna pieśń. - Potem zakręcił kołem, kierując łódź do brzegu.

Po powrocie do domu Daina podała Rubensowi nazwisko tego człowieka: Aurelio Ocasio. Jak dziwnie zabrzmiało w jej uszach. Wymówiła je po raz pierwszy od tak wielu lat. Było to nazwisko kogoś obcego.

Gdy producent podszedł do telefonu, przeszła przez salon, otworzyła drzwi do ogrodu. Woda w basenie skrzyła się w promieniach słońca, które przemieniały jej powierzchnię w diamenty. Gdybym skoczyła, pomyślała, z pewnością skręciłabym kark.

Wyszła na zewnątrz i upał uderzył w nią z taką siłą, że aż się zachwiała. Rozbolał ją żołądek, myślała, że zwymiotuje. Chwiejnie dotarła do najbliższego leżaka. Nogi jej drżały, pot łaskotał na czole, pod pachami. Mój Boże, pomyślała. Na tę chwilę czekałam, od czasu gdy zobaczyłam Ocasia nad ciałem Baby. Życzyłam mu śmierci. Tak bardzo nienawidziłam jego, mego ojca za to, że umarł i zostawił mnie samą z matką.

Ta nienawiść była pięścią zaciśniętą wokół jej serca, była częścią niej samej od tak dawna, że zatraciła swe prawdziwe znaczenie. Narosła w niej do tego stopnia, że zaczęła żyć własnym życiem. W przebłysku tak nagłym i potężnym, że na chwilę ją oślepił, aktorka wyraźnie zobaczyła, jak bardzo zatraciła się w tej nienawiści i że przez ten ostatni akt pogрузy się w niej całkowicie.

Przez chwilę czuła się taka bezradna, taka samotna, taka przerażona jak w czasie długiego uwięzienia przez doktora Geista. Zaczęła płakać.

Idiotka! - zbeształa się. Czego beczysz? Nadal masz moc. Skorzystaj z niej!

- Rubens! - krzyknęła, odrywając ręce od twarzy. - Rubens!

Poderwała się, przebiegła przez ogród, myśląc: Podnosił słuchawkę, gdy wychodziłam. - Rubens! - zawołała. Ile czasu minęło? - Rubens! Odkładał słuchawkę, gdy wpadła do salonu.

- Mój Boże, nie! - Oczy miała szeroko otwarte, oddychała z trudnością.
- Daino, co...
- Rubens, czy to już się stało?
- Rozmawiałem z Schulyerem. On...
- Telefon do Nowego Jorku! - wrzasnęła. - Rozmawiałeś?
- Właśnie miałem zamiar. Co...?
- Och, dzięki Bogu! - Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Podszedł do niej,

drżącej na całym ciele. Wziął ją w ramiona.

- Kochanie, o co chodzi?
- Nie chcę, żebyś dzwonił. - Spojrzała mu w oczy.
- To twój prezent. Oczywiście...
- Po prostu nie dzwoń! - Świadomie złagodziła ton, położyła rękę na jego

piersiach. - To wszystko.

• Myślałem, że strasznie ci na tym zależy. Czyżbym odniósł mylne wrażenie?

Daina znów zamknęła oczy i producent poczuł przebiegające przez nią drzenie.

- Nie. Modliłam się o śmierć Ocasia przez jedenaście lat.
- Zatem pozwól mi zadzwonić. Pozwól mi się uszczęśliwić. Masz teraz

władzę, nie rozumiesz?

• Właśnie o to chodzi. Mam władzę, tak jak ty. Marion miał rację. Jej zdobycie nie jest trudne, ale trzeba jeszcze wiedzieć, co zrobić, gdy się ją posiadzie. Myślę, że Meyer jest tego samego zdania...

- Meyer? - Oczy mu stwardniały. - Co wiesz o Meyerze?

Popatrzyła na niego. - Rubensie, spotkaliśmy się w San Francisco.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?
- Nie sądziłam, byś potrafił to zrozumieć. Martwił się o ciebie. Myśli, że

stałeś się zbyt do niego podobny. Ma rację.

• A co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

• Ponieważ teraz jestem pewna, że mnie kochasz. Nie mogę żyć tak dalej, Rubensie. Przez całe życie miałam do czynienia z przemocą, jednak nigdy naprawdę nie rozumiałam jej natury. Teraz widzę, że ja... że my pogrążyliśmy się w niej coraz głębiej, jak w lotnych piaskach, nawet o tym nie wiedząc. Byłam twoim najlepszym uczniem, lecz wreszcie uzmysłowiłam sobie, czym się staję.

Kiedy rozumiałam, co zrobiłeś Ashleyowi, obiecałam sobie, że nigdy nie dopuszczę, by to się powtórzyło. Tę samą obietnicę złożyłam Meyerowi. On jest sprytniejszy, niż oboje przypuszczaliśmy. Dobiliśmy targu: on pomoże mi dowiedzieć się, kto zabił Maggie, a ja będę cię chronić. Ale dał mi nauczkę. Zaproponował mi przemoc i ja ją przyjąłem; i zrobiłam to chętnie.

Teraz rozumiem, że jeśli natychmiast nie przestaniemy, do końca życia będziemy wyjętymi spod prawa; nie będzie odwrotu. Kiedyś, dawno temu, w czasach gdy znałam Aurelia Ocasia, tym właśnie chciałam być: człowiekiem wyjętym spod prawa. I wszystkie decyzje, jakie od tamtej pory podejmowałam, do tego prowadziły. Teraz wiem, że tego nie chcę; że mi nie wolno.

Ashley nie żyje. Żadne z nas nie może w związku z tym niczego zrobić. Ale przyszłość to odrębna historia.

Przez nieskończenie długi czas patrzyli sobie w oczy. - Odchodzę - wyznała wreszcie.

- Dokąd?

- Nie wiem. Dokądkolwiek. Neapol jest równie dobry, jak inne miasta, by zacząć od początku. - Zamilkła na długą chwilę. - Chcę, żebyś pojechał ze mną, Rubensie.

Uważnie wpatrywała się w jego oczy, szukając w nich odpowiedzi. Nie wiedziała, że ma ona dla niej tak wielkie znaczenie. Serce tłukło się w jej piersiach jak oszalałe. Co robi, jeżeli on postanowi zostać? Wiedziała, że i tak odejdzie. Decyzja została podjęta w jądrze jej istoty i nie było odwrotu; nie chciała odwrotu. Ale była pewna, że jeśli on zostanie, pęknie jej serce.

- Umiem robić tylko jedno: wykorzystywać ludzki strach.

- Teraz masz mnie - rzekła.

- Nie chcę cię utracić - powiedział niewyraźnie.

- No, to chodź. - Ujęła jego dłoń, uściśnęła. - To będzie dla mnie tak samo przerażające, jak dla ciebie. Lecz przynajmniej będziemy wiedzieli, że robimy coś, czego oboje pragniemy: uczymy się wszystkiego od początku.

- Chyba nie jestem na to za stary. - Uśmiechnął się. - Spakuję się i...

- Nie. Po prostu odejźmy. Teraz.

- Zabierzmy przynajmniej Oscary.

- Po co? Przynależą do tego miejsca, prawda? Będą na nas czekały, jeżeli kiedyś wrócimy.

- A dom?

— - Niech Meksykanie się nim zajmą, zawsze to robili.

I wyszli przez szeroko otwarte drzwi w gorące słońce i cętkowane cienie.

Zeszli po schodach i ruszyli przez bujną trawę. Żwir zachrzęścił pod ich stopami, gdy dotarli do srebrnego mercedesa. Daina wsunęła się za kierownicę. Rubens, z ręką na drzwiach, przez chwilę patrzył na dom.

Potem usiadł obok niej i Daina zapuściła silnik. Mercedes ryknął gardłowo, gdy zawróciła i szybko ruszyła długim podjazdem wijącym się między szumiącymi palmami.

„KB”